

JOHN JAKES

PÓŁNOC

i

POŁUDNIE

TOM I

PROLOG

Dwa losy

Rok 1686: Chłopiec węglarza

— Chłopiec powinien wreszcie przyjąć moje nazwisko — powiedział Windom po kolacji. Już najwyższa pora.

Był to jego czuły punkt; wracał do tej sprawy zawsze, kiedy wypił za dużo. Siedząca przy kominku matka chłopca zamknęła *Biblię*, która leżała na jej kolanach.

Bess Windom jak co wieczór czytała po cichu. Obserwując ruchy jej warg chłopiec widział, z jakim trudem jej to przychodzi. Kiedy Windom przerwał milczenie, dojrzała właśnie do swego ulubionego wersetu z piątego rozdziału *Ewangelii św. Mateusza*: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie z powodu sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebios”.

Chłopiec, Joseph Moffat, siedział oparty plecami o róg kominka i strugał małą łódź. Miał dwanaście lat, krępa budowę ciała jak matka, szerokie ramiona, jasnobrązowe włosy i błękitne oczy, które niekiedy zdawały się być pozbawione wszelkiej barwy.

Wiosenny deszcz bębnił o dach kryty strzechą. Windom rzucił na pasierba posępne spojrzenie. Tuż pod jego oczami widniały smugi węglowego pyłu, brud wyzierał też spod połamanych paznokci. W życiu Windom okazał się niezdarą, a miał już czterdzieści lat. Kiedy nie był pijany, rąbał drewno, a potem przez dwa tygodnie wypalał je w stosach wysokich na dwadzieścia stóp. W ten sposób sporządzał węgiel drzewny dla małych pieców rozrzuconych wzdłuż rzeki. Była to praca brudna i ponizająca; kobiety z sąsiedztwa utrzymywały swe najmłodsze dzieci

w ryzach strasząc je, że natkną się na niego, Czarnego Węglarza, jeśli nie przestaną się wałęsać.

Joseph nie odezwał się nawet jednym słowem, ale uwagi Windoma nie uszedł jego palec wskazujący, którym chłopiec wystukiwał jakiś rytm na rękojeści noża. Pasierb był niezwykle impulsywny i zdarzały się chwile, kiedy Windom odczuwał przed nim strach. Ale nie teraz. Przekorne, wyzywające milczenie Josepha doprowadzało ojczyma do wściekłości.

Wreszcie chłopiec przemówił.

— Mnie podoba się to nazwisko, które noszę — mruknął i zajął się wystruganą już do połowy łodzią.

— Na Boga, co za zuchwały szczeniak! — zakrzyknął Windom.

Potrącając taboret, rzucił się na pasierba. Bess stanęła między nimi.

— Zostaw go, Thad. Żaden z wiernych uczniów naszego Zbawiciela nie skrzywdziłby dziecka.

— Pytanie tylko, kto chciałby kogo skrzywdzić. Spójrz no na niego!

Joseph stał oparty plecami o kominek. Oddychał szybko ze wzrokiem utkwionym w ojczyma, a w dłoni, na wysokości pasa, ścisnął nóż, gotów do zadania ciosu.

Windom powoli otworzył pięść, niepewnym krokiem cofnął się i ustawił przewrócony taboret. Jak zwykle to Bess cierpiała najbardziej, kiedy strach i uraza chłopca kierowały się przeciw ojczymowi. Joseph znowu usiadł przed kominkiem, zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzyma.

— Mam już dosyć tego gadania o twoim Bogu — powiedział do żony Windom. — Zawsze mówisz, że On jest gotów wysłuchać każdego biedaka. Twój pierwszy mąż był głupcem, skoro zginął za coś takiego. Jeśli twój umiłowany Jezus ubrudzi sobie kiedyś ręce przy moim węglu, zacznę w Niego wierzyć, ale na pewno nie wcześniej.

Sięgnął po zieloną butelkę ginu.

Później, w nocy, Joseph leżał w bezruchu na sienniku przy ścianie, wsłuchując się w odgłosy dochodzące zza postrzępionej zasłony oddzielającej łóżka; Windom obrzucał jego matkę obelgami i dawał jej cięgi. Bess szlochała przez dłuższą chwilę i chłopiec zacisnął pięści. Niebawem jednak szloch przerodził się w miarowe pojękiwanie i chrapliwe okrzyki.

Kłótnia kończy się tak, jak zawsze — pomyślał cynicznie.

Nie potępiał matki za to, że pragnie odrobiny spokoju, poczucia bezpieczeństwa i miłości. Po prostu wybrała nieodpowiedniego mężczyznę, to wszystko. Skryte za zasłoną łóżko dawno już przestało skrzywić, a Joseph leżał z otwartymi oczami, rozmyślając, jak zabić węglarza.

Nigdy w życiu nie przyjmie nazwiska ojczyma. Będzie kimś lepszym od niego. Uporem, który demonstrował, chciał wyrazić wiarę w możliwość ułożenia sobie lepszego życia. Życia takiego, jakie wiódł Andrew Archer, właściciel huty, do którego Windom oddał go dwa lata temu do terminu.

A jednak niekiedy ogarniało go zniechęcenie; wtedy gdy jego nadzieje i wiara w inne życie jawiły mu się jako bzdurne mrzonki. Czy było w nim coś prócz brudu? Brudne ciało, brudna dusza, nawet jego ubranie zawsze pokrywał węglowy pył, przynoszony do domu przez Windoma. I chociaż nie rozumiał, jakiego przestępstwa dopuścił się jego ojciec, za co zginął w Szkocji, nie był w stanie cofnąć tego, że ów postępek ciąży również na nim.

„Błogosławieni, którzy cierpią...” Nic dziwnego, że matka upodobała sobie właśnie ten werset.

Ojciec Josepha, farmer o surowej, pociągłej twarzy, którego chłopiec już prawie nie pamiętał, był fanatycznym orędownikiem kościoła prezbiteriańskiego. Zmarł z upływu krwi po długich torturach, stosowanych za pomocą „hiszpańskiego buta” i śruby ściskającej kciuki. Stało się to w okresie nazywanym przez Bess „czasem mordów”: w ciągu pierwszych miesięcy sprawowania władzy przez księcia Yorku tego samego, który nieco później wstąpił na tron królewski jako Jakub II. Książę przysiągł, że wytępi prezbiterianów i ustanowi episkopat, chcąc w ten sposób uśmierzyć nękające kraj właśnie pomiędzy religijnymi i politycznymi antagonistami.

Po krwawej śmierci Roberta Moffata jego przyjaciele pośpieszyli na farmę, aby powiadomić o tym jego żonę i skłonić ją do ucieczki. Uczyniła to wraz ze swym jedynym synem na niecałą godzinę przed przybyciem ludzi księcia, którzy puścili z dymem całą posiadłość. Po wielu miesiącach tułaczki matka i syn dotarli wreszcie do wzgórz południowego Shropshire. Tam właśnie, będąc u kresu sił, Bess zdecydowała się pozostać.

Porosłe lasami górzyste tereny na południe i zachód od rzeki Severn, wijącej się tu, to tam, sprawiały wrażenie sielskich i bezpiecznych. Za resztę pieniędzy wywiezionych ze Szkocji Bess wydzierżawiła chatę. Najmowała się do posług, po kilku latach poznała i poślubiła Windoma. Udała nawet, że przyjmuje oficjalną wiarę, jako że chociaż Robert Moffat wszczepił żonie zapal do swojej religii, nie zdołał natchnąć ją odwagą niezbędną do stawiania oporu władzom jeszcze po jego śmierci. Nowa wiara Bess wiązała się z rezygnacją w obliczu niedoli.

Była to wiara pozbawiona oparcia i wartości, co chłopiec rozumiał już niebawem. On dążył do czegoś innego. Człowiekiem, na którym pragnął się wzorować, był obdarzony silną wolą Archer mieszkający w wytwornym domu na wzgórzu.

tuż nad rzeką, w pobliżu będącego jego własnością pieca hutniczego.

Czy stary Giles nie mówił chłopcu, że jest wystarczająco zmyślny i energiczny, aby osiągnąć w życiu podobny sukces? Czy nie powtarzał tego raz po raz?

Joseph najczęściej wierzył staremu. Wierzył, dopóki nie widział u siebie czarnych obwódok pod paznokciami i nie słyszał innych terminatorów, goniących go drwiącymi okrzykami w rodzaju: „Brudny Joe, czarny jak Murzyn!”

Dopiero wtedy uświadamiał sobie, jak mamiące są jego marzenia, i śmiał się z własnej głupoty, aż jego wyblakłe oczy napęśniały się wstydliwymi, płynącymi nieprzerwanie łzami.

Stary Giles Hazard, kawaler, był jednym z trzech najważniejszych pracowników w hucie Archera. Do niego należała obsługa pieca pudlarskiego na węgiel drzewny, w którym stapiano kawałki surówki w celu usunięcia nadmiaru węgla i innych składników, czyniących żeliwo zbyt kruchym, aby móc produkować z niego podkowy, obręcze r^a koła czy lemieszce. Giles Hazard miał gburowaty głos, a swoich pomocników i uczniów zwykł traktować jak niewolników. Przez całe życie mieszkał o dziesięć minut marszu od pieców hutniczych, a zaczął pracować przy nich w wieku zaledwie dziewięciu lat.

Był to niski, przysadzisty mężczyzna, jego sylwetka, choć korpulentna, tryskała wprost energią. Sądząc po wyglądzie, można go było wziąć za starszą odmianę Josepha i może właśnie dlatego traktował chłopca niemal jak syna.

Nie był to jednak jedyny powód. Z pewnością chłopiec podobał mu się, ponieważ szybko się uczył. Giles zwrócił na niego uwagę latem, kiedy Joseph zaczynał drugi rok pracy u Archera. Relacjonując właścicielowi huty postępy w pracy poszczególnych terminatorów, Giles nie omieszkał pochwalić Josepha, który zręcznie poruszał się wokół rowu, skąd ciekłe żelazo wpływało do licznych mniejszych koryt. Wyglądały jak prosiaki karmione przez maciorę i dlatego gotowy odlew zwano „świńskim żelazem”.

Giles cieszył się takim zaufaniem właściciela, że nie miał żadnych kłopotów z przeniesieniem chłopca do pracy przy piecu pudlarskim. Tu Joseph mieszał surówkę długim, żelaznym drągiem w trzech lub czterech korytach naraz, tak aby otrzymać jednolity stop. Radził sobie z tym tak dobrze, że już wkrótce Giles poczuł się w obowiązku pochwalić go.

Jesteś bardzo zręczny i nadajesz się do tej pracy. Nie jesteś też kłótniwy, chyba że, jak zauważyłem, inni dokuczają ci z powodu zajęcia twojego ojczyma. Weź przykład z pana Arche-

ra. Jest uparty, to prawda, ale wie też, że czasem trzeba ustąpić. Swoje wyroby sprzedaje z uśmiechem na twarzy i grzecznymi słówkami, nie wpycha niczego swoim klientom na siłę, jeśli nie mają na to ochoty.

Mówił tak, choć wątpił, aby chłopiec przejmował się jego słowami. Życie Josepha przybrało już swój ostateczny kształt, ciekła surówka jego charakteru zdążyła skrzepnąć. Okoliczności i prości rodzice to właśnie skazało Josepha na życie skromne, z dala od świata. Chyba że wcześniej spotka go śmierć w jakiejś burdzie, do której mogła go wciągnąć jego porywczosć.

A jednak może dlatego, że sam stawał się coraz starszy i żałował już, że zdecydował się na życie w samotności Giles nie przestawał zachęcać Josepha. Uczył go nie tylko, jak wytapiać żelazo, przekazywał mu również niezbędną wiedzę o nim.

Żelazo rządzi światem, mój chłopcze. Rozrywa ziemię i łączy kontynenty, pomaga też wygrywać wojny. W hucie Archera wyrabiano kule armatnie dla okrętów wojennych. Giles skierował swą szeroką, okrągłą twarz do księżycy.

Bóg jeden wie, skąd żelazo zjawilo się na Ziemi. Ludzkość znała meteoryty już od samego początku.

Co to takiego meteoryt, panie Hazard? — zapytał od razu Joseph.

Giles uśmiechnął się od ucha do ucha. - Spadająca gwiazda. Na pewno już taką widziałeś. Chłopiec w zadumie skinął głową. A Giles mówił dalej o wielu rzeczach, które stopniowo w miarę, jak Joseph poznawał swój zawód zyskiwały coraz bardziej na znaczeniu. Giles opowiadał o dziejach hutnictwa, o piecach istniejących w Niemczech od X wieku, takich jak „Stiickofen” czy „Flussofen”, o „hauts fourneaux”, które pojawiły się we Francji w XV wieku, o Walonach w Belgii, którzy mniej więcej przed sześćdziesięciu laty opracowali metodę przetopu surówki.

Ale to tylko jedno tyknięcie wielkiego zegara hutnictwa żelaza. Siedemset lat temu obróbką żelaza zajmował się Saint Dunstan. Powiadają, że w jego sypialni w Glastónbury znajdowała się kuźnia. Egipskich faraonów chowano z żelaznymi amuletami i ostrzami sztyletów, gdyż ów metal był tak rzadki i cenny. A również potężny. Czytałem o sztyletach z Babilonu i Mezopotamii, które istniały na wiele milleniów przed Chrystusem.

Ja nie czytam zbyt dobrze...

Ktoś powinien cię tego nauczyć — burknął Giles. — Albo mógłbyś przyswoić to sobie sam. Chłopiec znowu skinął głową.

Chodzi mi o to, że nigdy jeszcze nie słyzałem tego słowa, które pan wymówił. Mil... i coś tam jeszcze.

— Millenium. Millenium to tysiąc lat.

— Aha.

Błysk w oku. Giles ucieszył się widząc, że Joseph notuje sobie tę informację w pamięci.

— Człowiek, który czyta, może nauczyć się naprawdę bardzo dużo. Nie wszystkiego, ale dużo. Mam na myśli kogoś, kto chciałby być czymś więcej niż tylko węglarzem.

Joseph zrozumiał. Znowu skinął głową, bez cienia urazy.

— Czy ty w ogóle umiesz czytać? — zapytał Giles.

— O, tak. — Chłopiec umilkł na moment, patrząc na starego. Potem przyznał: — Ale tylko trochę. Matka próbowała uczyć mnie liter na *Biblii*. Podobają mi się opowieści o bohaterach, takich jak Samson i Dawid. Ale Windom nie chciał, aby matka mnie uczyła, no i w końcu przestała.

Giles zamyślił się.

— Gdybyś zostawał codziennie po pracy jeszcze na pół godziny, mógłbym spróbować.

— Ale Windom nie...

— Kłam przerwał mu Giles. Jeśli cię zapyta, dlaczego przyszedłeś tak późno do domu, skłancL To znaczy, o ile w ogóle chcesz do czegoś dojść. Być czymś więcej niż zwykłym węglarzem.

— Naprawdę sądzi pan, że dam sobie radę, panie Hazard?

— A ty jak sądzisz?

— Że sobie poradzę.

— W takim razie uporasz się z tym. Świat należy do wytrwałych i energicznych, nie do porywczych.

Rozmowa ta miała miejsce latem. Przez całą jesień i zimę Giles uczył chłopca. Uczył go dobrze, tak dobrze, że Joseph nie mógł inaczej; któregoś dnia, kiedy Windoma nie było w domu, gdyż hulał zapewne gdzieś w gospodzie, pochwalił się swoim sekretem. Pokazał matce książkę, którą udało mu się przynieść skądś potajemnie — kontrowersyjną książkę *Metallum Martis*, napisaną przez zmarłego niedawno Duda Dudleya, nieślubnego syna piątego lorda Dudleya.

Dud Dudley twierdził w niej, że udało mu się roztopić żelazo za pomocą węgla mineralnego — albo kamiennego — co Joseph, mimo widocznego jeszcze wysiłku, zdołał przeczytać matce.

Oczy Bess zaiskrzyły się z zachwytu, ale już po chwili zmatowiały.

— Nauka to wspaniała rzecz, mój synu, jednak może też doprowadzić do nadmiernej pychy. Ośrodkiem twego życia musi być Jezus. — Nie podobało mu się to, co mówiła, zachował jednak milczenie. — W życiu liczą się tylko dwie rzeczy — uświadamiała

go dalej. — Miłość do Syna Bożego i miłość do bliźniego. To właśnie taka miłość, jaką czuję do ciebie — zakończyła, tuląc go w ramionach.

Słyszał jej łkanie, czuł drżenie jej ciała. „Czas mordy” wytepił w niej wszelkie nadzieje prócz jednej: że dostanie się do raju. Pozostała jej tylko wiara w syna i Zbawiciela — właśnie tego, któremu na przestawał ufać. Było mu jej żal, ale zamierzał iść przez życie własną drogą.

Windomowi nie powiedzieli nic o lekcjach, ale od tamtego wieczoru w postawie Bess pojawił się cień dumy, co wywołało gniew męża. Pewnego letniego wieczoru, wkrótce po sprzeczce spowodowanej uporem Josepha, który nie zgadzał się przyjąć nazwiska ojczyzna, chłopiec wrócił do domu i zastał matkę pobitą do krwi, półprzytomną, leżącą na brudnej podłodze. Windoma nie było. Nie chciała powiedzieć, co się stało, i błagała syna tak długo, aż przyrzekł jej, że nie spełni swych gróźb wobec ojczyzna. Nienawiść narastała w nim jednak nieprzerwanie.

Kiedy kolejna jesień zabarwiła wzgórze Shropshire złotem i purpurą, postępy chłopca w nauce były już tak zadowalające, że Giles zdobył się na następny śmiały krok.

— Porozmawiam z panem Archerem i poproszę go, aby pozwolił ci spędzać co tydzień godzinę z guwernerem mieszkającym w jego domu. Nauczanie synów pana Archera nie zabiera mu przecież całego czasu. Jestem pewien, że nasz pan pozwoli mu uczyć cię matematyki, a może nawet trochę łaciny.

— Czemu miałby pójść na to? Przecież jestem nikim.

Stary Giles uśmiechnął się i przyjaznym gestem rozwichrzył mu włosy.

— Na pewno ucieszy się, że zdobędzie w ten sposób, praktycznie bez dodatkowych kosztów, lojalnego i wykształconego pracownika. To po pierwsze. Po drugie pan Archer to bardzo przyzwyczajony człowiek. Kilku takich chodzi jeszcze po tym świecie.

Joseph nie bardzo mu dowierzał, ale wkrótce Giles powiedział, że Archer wyraził zgodę. Tego wieczoru chłopiec biegł do domu uradowany i tak podniecony, że zapomniał o ostrożności. Nad rzeką i wzgórzami wisiała ciężka mgła, dygotał więc na całym ciele, kiedy wreszcie wpadł do chaty. W izbie siedział Windom, brudny jak zwykle, zapijaczony. Joseph, poruszony faktem, że ktoś myśli o nim z uznaniem, zignorował ostrzegawcze spojrzenia matki i bez zastanowienia pochwalil się nowiną.

Windom nie wydawał się zbyt przejęty tym, co usłyszał.

— Na Boga, po co temu młodemu durniowi nauczyciel? — Przeszył chłopca spojrzeniem pełnym drwiny, bolesnym jak tniecie miecza. — Przecież to prostak, taki sam prostak jak ja.

Bess miętosiła w dłoniach rąbek fartucha. Skonfundowana, zastanawiała się gorączkowo, jak wybrnąć z sytuacji. Spiesznie

podeszła do kominka, nerwowym ruchem sięgnęła po pogrzebacz i strąciła go na podłogę. Joseph utkwiał wzrok w ojczyźnie.

— Już nie — sprostował. — Stary Giles uczył mnie.

— I czego cię nauczył?

— Czytać. Abym był kimś lepszym.

Windom parsknął śmiechem, podłubał małym palcem w nosie, otarł go o spodnie i znowu się roześmiał.

— Strata czasu! Nie potrzeba ci książek, aby pracować przy piecu.

— Owszem, potrzeba, jeśli chcę być bogaty jak pan Archer.

— Aha, wydaje ci się zatem, że przyjdzie dzień, kiedy staniesz się bogaty, czy tak?

Joseph zacisnął wargi, aż zbieleły.

Niech mnie diabli - wykrzyknął wreszcie — jeśli miałbym być takim nędzarzem i głupcem jak ty!

Windom ryknął coś i rzucił się na chłopca. Bess przestała machinalnie mieszać w garnku przytwierdzonym łańcuchem do ściany. Z wyciągniętymi rękami podbiegła do męża.

On nie miał nic złego na myśli, Thad! Bądź miłosierny, jak nauczał nas Jezus...

Głupia, świętoszkowata dziwka! Zrobię z nim, co będę chciał! wrzasnął Windom i uderzył ją w skroń.

Zatoczyła się, padła plecami na gzyms kominka i krzyknęła ze strachu. Ból zdołał jakoś zachwiać jej oddaniem wobec Zbawiciela. Otworzyła szeroko oczy, dostrzegła leżący na podłodze pogrzebacz, chwyciła go i podniosła, po czym zamierzyła się na męża. Był to gest wyłącznie patetyczny, ale Windom wolał potraktować go jak prawdziwe zagrożenie. Rzucił się na nią.

Joseph, przerażony, a zarazem rozwścieczony, począł szamotać się z ojczymem, ale Windom odtrącił go. Bess nadal ścisnęła w rękę pogrzebacz, była jednak zbyt wystraszona, aby się na coś zdecydować. Windom wyrwał go jej bez trudu i na oczach chłopca uderzył ją nim dwukrotnie w głowę. Padła twarzą na podłogę, po jej policzku zaczęła ściekać krew.

Joseph wpatrywał się w matkę przez chwilę, a potem, nie panując nad sobą, skoczył do przodu, aby chwycić pogrzebacz. Kiedy Windom odrzucił pręt za siebie, podbiegł do pieca, szarpnął za łańcuch od garnka i oblał wrzątkiem ojczyma, który wrzasnął, przyciskając ręce do poparzonych oczu.

Joseph również oparzył sobie ręce, ale prawie tego nie czuł. Uniósł pusty gar i grzmotnął nim Windoma w głowę, a kiedy tamten jęcząc runął na podłogę, owinął łańcuch wokół szyi ojczyma i zaciskał go tak długo, aż żelazo wpiło się w ciało, a Windom przestał wierzcąc nogami i znieruchomiał. ? Joseph wybiegł przed chatę, we mgłę, i zwiłotował. Dopiero teraz uświadomił sobie, co uczynił. Zapragnął nagle zapłakać,

pobiec przed siebie, gdzie oczy poniosą, zamiast tego jednak zmusił się, by wejść z powrotem do chaty. Kiedy znalazł się w izbie, dostrzegł, że plecy matki drżą miarowo. A więc żyła!

Po wielu próbach udało mu się postawić ją na nogi. Mamrotała coś bez związku, śmiejąc się raz po raz. Otulił ją szalem i poprowadził powoli przez kłęby mgły do domu Gilesa Hazarda odległego o dwie mile. W drodze zachwiała się kilkakrotnie, ale jego nalegania odniosły skutek i posłusznie szła dalej.

Giles otworzył drzwi, gderając coś pod nosem, świeca, którą trzymał w dłoni, oświetlała mu twarz. Już po chwili pomagał ułożyć Bess na swym niskim, ciepłym jeszcze łóżku. Zbadał ją, a potem odstaąpił o krok, trąc w zadumie podbródek.

Pobiegnę po doktora — zaofiarował się Joseph. — Gdzie mogę go teraz znaleźć?

Stary Giles nie ukrywał zatroskania.

Ona jest w tak ciężkim stanie, że nie wiem, czy lekarz zdoła jej pomóc.

Chłopiec stał jak oniemiały, po chwili z oczu popłynęły mu łzy.

— To niemożliwe!

— Spójrz na nią! Ledwo oddycha! A co do tutejszego cyrulika, to analfabeta. Jedyne, co może zrobić, to wypytać cię, jak doszło do tych obrażeń.

Stwierdzenie zawierało ukryte pytanie, Joseph wspomniał jedynie, że Windom uderzył jego matkę.

Możemy tylko czekać — powiedział wreszcie Giles, przecierając oczy.

I modlić się do Jezusa.

Do tych słów skłoniła chłopca rozpacz. Giles postawił garnek na ogniu, a Joseph kleknął przed łóżkiem, splótł dłonie i począł modlić się żarliwie, wkładając w to całą swoją duszę.

Nic jednak nie wskazywało, aby jego modły miały być wysłuchane. Bess Windom oddychała coraz wolniej, coraz słabiej, jakkolwiek przetrwała do chwili, kiedy mgła nad rzeką przerzedziła się i pojaśniała. Giles delikatnie dotknął ramienia chłopca, budząc go.

Siądz przy kominku — powiedział okrywając kocem poranioną, ale spokojną już twarz Bess. Już po wszystkim. Ona szuka teraz swego Jezusa. Nic już nie można zrobić. Jeżeli chodzi o ciebie, to inna sprawa. Twój los zależy od tego, czy dasz się schwytać. — Odetchnął głęboko. — Twój ojczym nie żyje, prawda?

Chłopiec skinął głową.

Tak też sobie pomyślałem. Inaczej nie przyszedłbyś tu. On by się nią zajął.

Cały ból Joseph zawarł w jednym zapalczym okrzyku:

— Jestem rad, że go zabiłem!

— Nie wątpię w to. Ale prawdą jest też, że stałeś się mordercą. Archer nie będzie trzymał u siebie zabójcy i nie mogą go za to potępiać. Mimo to... — Jego głos złagodniał, dotychczasowa powaga nie była widocznie prawdziwa. — Nie chciałbym też, aby cię powieszono lub poćwiartowano. Co robić? — Zaczął przechadzać się od ściany do ściany. — Poszukiwany będzie Joseph Moffat, czyż nie tak? W porządku, a więc musisz stać się kimś innym.

Podjąwszy decyzję Giles sporządził pismo, z którego wynikało, że jego okaziciel Joseph Hazard, bratanek Gilesa, podróżuje w sprawach rodzinnych. Zawahał się przez moment, po czym podpisał oświadczenie własnym nazwiskiem, dodał jeszcze słowa: „wuj i opiekun” i opatrzył pismo kilkoma ozdobnymi zakrętasami, które nadały mu pozory autentycznego dokumentu.

Giles obiecał, że urządzi pogrzeb Bess zgodnie z obrządkiem chrześcijańskim, wymógł też na chłopcu, aby dla własnego bezpieczeństwa nie pomagał mu w przygotowaniach do tej uroczystości i wyjechał jak najprędzej. Dał chłopcu dwa szylingi i trochę chleba zawiniętego w chustę, jak również radę dotyczącą unikania głównych dróg, po czym pożegnał go długim, ojcowskim uściskiem. Wreszcie wypchnął oszołomionego Josepha Moffata na zewnątrz, na szare od mgły wzgórze.

Krocząc opustoszałą drogą w Gloucestershire Joseph przystanął mimo woli i rozejrzał się dokoła. Noc była widna, roziskrzona tysiącami gwiazd. Na wschodzie, ponad zarysem dachu stodoły, ujrzał białą smugę, coś płomienistego, spadającego niezwykle szybko na ziemię.

Żelazo. Bóg zesłał człowiekowi żelazo, tak jak mówił Giles. Chłopiec rozumiał już, dlaczego właściciele hut są tak dumni ze swego zawodu. Było to zajęcie zrodzone i błogosławione w niebiosach.

Przejęty grozą, a zarazem czią Joseph wpatrywał się w smugę bieli, aż zniknęła tuż nad horyzontem. Oczyma wyobraźni widział olbrzymi meteor, tłący się gdzieś w świeżo powstałym kraterze. Z pewnością w całym procesie tworzenia nie było materiału potężniejszego niż ten. Nic dziwnego, że właśnie dzięki maszynom i urządzeniom z żelaza wygrywano wojny i pokonywano olbrzymie odległości.

Od tej pory kierunek drogi jego życia był jasno wytyczony.

Joseph kroczył spiesznie w kierunku portu Bristol nad rzeką Avon. Ani razu nie został zatrzymany, nikt nie zażądał okazania pisma sporządzonego tak pieczołowicie przez Gilesa. Świadczyło

to chyba aż nazbyt wyraźnie, w jakim stopniu świat troszczył się o Thada Windoma, prawda?

Joseph płakał po stracie matki, nie miał natomiast większych wyrzutów sumienia po zabicju ojczyma. Tęczył to, co należało uczynić; żądza zemsty szła tu w parze z koniecznością.

W drodze opadły go dziwne, nie znane dotychczas myśli, wiele z nich dotyczyło religii. Nigdy nie aprobował wiary swej zmarłej matki w łagodnego, wyrozumiałego i najwidoczniej bezsilnego Chrystusa, teraz jednak odkrył w sobie przychylność i zainteresowanie *Starym Testamentem*. Bess czytała mu mnóstwo opowieści o śmiałkach, którzy nie cofali się przed zuchwałymi czynami. Kiedy szedł przez pola i lasy do wielkiego portu w zachodniej Anglii, czuł się coraz bardziej związany nie tylko z nimi, ale również z Bogiem.

Po kilku nieudanych próbach odnalazł kapitana statku udającego się do Nowego Świata — tej części kuli ziemskiej, gdzie wielu Anglików odnajdywało w owym czasie swą drugą ojczyznę. Kapitan, któremu jedną nogę zastępowała proteza, nazywał się Smollet, a jego statek „Mewa z Portsmouth”. Propozycja, którą przedstawił młodzieńcowi, była zupełnie jasna.

Podpiszesz dokument, że zgadzasz się do mnie. Ja ze swojej strony zapewniam ci przejazd i utrzymanie, dopóki będziesz na pokładzie. Zawiniemy do Bridgetown na Barbadosie, potem skierujemy się do kolonii w Ameryce. Tam poszukują rąk do pracy, zwłaszcza z wyuczonym zawodem. Jeśli naprawdę znasz się na hutnictwie, jak mi powiedziałeś, nie będę miał żadnych kłopotów ze znalezieniem ci miejsca pracy.

Zerknął na Josepha znad kufła piwa, który właśnie podnosił do ust. Chłopiec nie miał do niego żalu o tak twarde warunki, przeciwnie, podziwiał go za to. Zdawał sofcie sprawę, że ten, kto dąży do sukcesu, musi stale podejmować trudne decyzje. Tak samo było przecież z bohaterami *Starego Testamentu*, Abrahamem czy Mojżeszem. Jeśli miał obrać sobie kogoś za wzór do naśladowania, to z pewnością jednego z nich.

— No więc, Hazard, jak brzmi twoja odpowiedź?

— Nie powiedział mi pan jeszcze, jak długo musiałbym u pana służyć.

Kapitan Smollet uśmiechnął się z uznaniem.

— Niektórzy są tak podnieceni... albo też skruszeni po dokonanym występku — Joseph zignorował ów test, jego twarz pozostała nieporuszona że zapominają zapytać o to, a oczy otwierają im się dopiero, gdy wypływamy w morze. Opuścił wzrok na swój kufel. — Umowa opiewa na siedem lat.

W pierwszej chwili Joseph chciał krzyknąć „nie”. Pohamował się jednak. Smollet wziął jego milczenie za odmowę, wzruszył ramionami i wstał, rzucając na brudny stół garść monet.

To nie byle co być uwięzonym przez siedem lat jak niewolnik — pomyślał Joseph. Ale z drugiej strony mógłby mądrze wykorzystać ten czas, z pożytkiem dla siebie. Mógłby uczyć się dalej, zarówno przedmiotów ogólnych, jak doradzał Giles, jak też wybranego przez siebie fachu. A po siedmiu latach stałby się wolnym człowiekiem w innym kraju, gdzie potrzebni są hutnicy i gdzie nikt nie słyszał nigdy o Thadzie Windomie.

Kapitan Smollet stał już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go głos Josepha:

— Podpiszę.

Tego wieczoru kiedy Joseph pędził co tchu po nabrzeżu, przy którym stała zakotwiczona „Mewa z Portsmouth”, padał deszcz. W oknach na rufie, gdzie mieszkał kapitan, dostrzegł blask światła. Jak tam widno i przytulnie! Za chwilę, właśnie w tej kajucie, postawi krzyżyk, podpisując w ten sposób umowę.

Uśmiechnął się, myśląc o kapitanie. Co za huncwot! Na temat przeszłości swego nowego niewolnika zadał jedynie kilka błahych pytań. Joseph, obawiając się, że Smollet cofnie swoją ofertę, skwapliwie pokazał mu dokument sporządzony przez Gilesa. Kapitan wziął kartkę, rzucił na nią badawcze spojrzenie i oddał z uśmiechem.

— Podróż w sprawach rodzinnych! Aż do kolonii! Coś takie go!

Spojrzeli na siebie. Smollet domyślił się, że chłopiec ucieka, ale nie przejmował się tym. Joseph podziwiał bezpardonową przedsiębiorczość kapitana. Podobał mu się coraz bardziej.

Siedem lat to wcale nie tak długo, ani się obejrzy, jak będzie już po wszystkim.

Z tą myślą zatrzymał się na schodkach wiodących do wody, zszedł trochę niżej i, przytrzymując się śliskiego drewna jedną ręką, zanurzył drugą w słonej wodzie raz, drugi i trzeci. Potem uczynił to samo drugą dłonią. Jeśli jego ciało było zbrukane krwią, to owym symbolicznym gestem zmył ją definitywnie. Teraz rozpocznie nowe życie.

W blasku okrętowej latarni obejrzał mokre palce i roześmiał się na całe gardło. Dawniej pod jego paznokciami tkwił zawsze węglowy pył. On również zniknął. Wszedł na kładkę, pogwizdując, a kiedy znalazł się na pokładzie statku Smolleta, był w radosnym nastroju. Zobowiązał się odsłużyć tu siedem lat, a jednak patrzył w przyszłość z nie znanym dotychczas poczuciem, że jest wolny.

W Nowym Świecie życie Josepha Mof... nie, Josepha Hazarda będzie zupełnie inne. Bóg już o to zadba. Jego Bogiem, w którego wierzył teraz bardziej zarliwie i który stawał się dlań coraz (bliższy, była siła sprzyjająca ludziom dzielnym, nie cofającym się przed niczym co trudne i ciężkie.

W ciągu ostatnich kilku dni Joseph i jego Bóg zbliżyli się do siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Stali się przyjaciółmi.

1687: Arystokrata

U schyłku wiosny następnego roku, po drugiej stronie oceanu, w królewskiej kolonii Karolinie, ktoś inny również marzył o zrobieniu majątku. Jednak jego ambicja przerodziła się w pasję. Wiedział już, co to bogactwo, władza i poczucie bezpieczeństwa. Ale bezpieczeństwo okazało się iluzją, a bogactwo i władza uleciały gdzieś niczym lśniący piach na plaży w Charles Town, ginący pod sztormową falą.

Charles de Main dobiegł już trzydziestki. Od dwóch lat przebywał ze swoją śliczną żoną Jeanne w kolonii. Europejczycy zasiedlali Karolinę dopiero od siedemnastu lat; całą jej białą ludność, liczącą dwa do trzech tysięcy osób, stanowili więc wcześniej czy później przybyli osadnicy. Wśród nich znajdowała się grupa poszukiwaczy przygód przybyłych z Barbadosu. Ludzie ci osiedlili się w wiosce Charles Town i wkrótce pod rządami angielskich lordów-arystokratów, którzy utworzyli tę kolonię jako przedsięwzięcie czysto finansowe — uzyskali pewną władzę. Niebawem osadnicy z Barbadosu zaczęli okazywać innym swoją wyższość.

Charles uważał ich za niepraktycznych głupców. Marzyli o rolniczym raj, gdzie mogliby się wzbogacić hodując jedwab, cukier, tytoń i bawełnę. Charles należał do ludzi patrzących na życie trzeźwo. Nizinne ziemie Karoliny, leżące nad oceanem, były zbyt wilgotne, aby można było myśleć o tradycyjnym rolnictwie. Klimat stawał się nie do zniesienia zwłaszcza latem; przetrwać mogli wyłącznie ci najbardziej odporni. Właściwie dobrobyt kolonii opierał się na trzech źródłach: skórze, którą handlowano w faktorii Charlesa, hodowli bydła, jak również tym rodzaju bogactwa, który Charles sprowadzał z głębi kraju za pomocą broni palnej. Byli to Indianie skazani na życie w niewoli.

Charles de Main nie przybył do tej krainy mokradeł i piaszczystych wzgórz dla jej walorów geograficznych czy handlowych. Wraz z Jeanne uciekli z doliny Loary, gdzie Charles przyszedł na świat jako czternasty książę swojego rodu.

W wieku dwudziestu lat ożenił się i przejął zarząd nad winnicami należącymi do jego rodziny. Przez kilka lat życie

młodej pary przypominało prawdziwą idyllę, jeśli pominiemy smutny fakt, że Jeanne nie dała swemu mężowi dzieci. Niebawem jednak religia przekazywana w rodzinie de Main z pokolenia na pokolenie sprowadziła na nich prawdziwe nieszczęście.

Kiedy Ludwik XIV w 1685 roku unieważnił Édykt Nantejski, przerwał tym samym kruchy pokój pomiędzy francuskimi katolikami i protestantami. Podobnie jak inni zapalczywi i dumni hugenoci — słowo „dumni” niektórzy Francuzi zastępowali określeniem „zdradzieccy” — Charles de Main i jego żona stanęły w obliczu groźnych, szalejących w całym kraju prześladowań. Kiedy terror objawił się w pełni, każda próba opuszczenia Francji zaczęła być traktowana jak ciężkie przestępstwo, a mimo to rodzina de Main — dokładnie tak samo jak setki innych hugenotów — obmyślała plany ucieczki.

W wiosce leżącej u podnóża rozległego, przyozdobionego wysokimi wieżami zamku Mainów mieszkał prawnik, niejaki Emilion, który pod maską pobożności ukrywał fanatyzm i nieuczciwość. Wiedział doskonale, jakie zyski można osiągnąć w Anglii, sprzedając tam czerwone i wytrawne białe wina z posiadłości Mainów. Z zawiścią patrzył więc na miejscowe winnice i, aby wejść w ich posiadanie, przekupił jednego z parobków, który miał dostarczyć mu informacji na temat swego pana i pani.

Emilion podejrzewał, że de Main podejmą próbę ucieczki i rzeczywiście: wkrótce parobek doniósł o przygotowaniach, które potwierdzały te przypuszczenia. Wystarczyło jedno jego słowo przekazane odpowiedniemu urzędnikowi. Tej nocy, gdy de Main zdecydowali się uciec, ich powóz został zatrzymany zaledwie pół kilometra od zamku.

Charles tulił do siebie przerażoną małżonkę, pocieszając ją czule, nie chciał bowiem, aby myślała o tym, co może ich spotkać, gdyby nie zgodzili się wyprzeć swej wiary. Jeden z hugenotów z sąsiedztwa, schwytyany w drodze na wybrzeże, zmarł, kiedy szpada inkwizytora odcięła mu genitalia.

Młody szlachcic i jego żona spędzili w więzieniu siedemnaście dni. Przesłuchiwano ich za pomocą noży i rozżarzonego żelaza, ale żadne z nich nie załamało się, przynajmniej na zewnątrz, chociaż pod koniec Jeanne tylko krzyczała i płakała, niezdolna już do innych reakcji.

Z pewnością zginęliby w lochu w Chalonnies, gdyby nie pomógł im wuj Charlesa z Paryża, zręczny polityk, który potrafił zmieniać swą wiarę równie szybko, jak jedwabne szaty. Znał kilka ważnych i wpływowych osób, których katolickie przekonania nie wpływały na zawartość ich sakiewek. Dano niezbędną łapówkę, co sprawiło, że tylne drzwi pozostały pewnego razu nie domknięte. I w ten sposób Charles i Jeanne de Main uciekli z Nantes w zębie rozsypującej się ze starości łodzi

rybackiej, która o mało nie wywróciła się w burzliwe wody kanału.

W Londynie inni hugenoci poradzili im, by wyjechali do Karoliny. Tolerancyjna pod względem wyznawanej religii kolonia stała się bezpieczną przystanią dla wielu uciekinierów. Kilka miesięcy później, już po drugiej stronie oceanu, młody szlachcic — zdeprymowany upałami i arogancją, które panowały w kolonii — zastanawiał się, czy podróż i w ogóle życie jest warte takich wysiłków. Wyglądało na to, że Charles Town nie zawsze przynosi szczęście tym, którym na imię Charles. Tak przynajmniej myślał wtedy.

Niebawem uprościł swoje nazwisko, tak że brzmiało już tylko „Main”. W ten sposób zaznaczył, iż od tej chwili rozpoczyna nowe życie na nowej ziemi. Zniknął też jego pesymizm. W Karolinie poczuł się wolny od większości zasad, które kępowały go, gdy nosił tytuł szlachecki. I nie omieszkał z tego skorzystać.

Przeżył już tortury — o czym świadczyły blizny na nogach i piersi — wiedział też, że przeżyje również biedę. Chciwy, podły prawnik ukradł mu ziemię i zamek, ale on zdobędzie inną posiadłość i postawi nowy, ogromny dom. Albo uczynią to jego potomkowie, o ile oczywiście ciało Jeanne da mu następcę.

Biedna Jeanne. Dziś jej szare oczy były tak czyste i piękne jak dawniej. I tylko wąskie siwe pasemko, widoczne w jej włosach, zdradzało ogrom cierpień, których zaznała w więzieniu. Tak jak i słodki uśmiech małej dziewczynki oraz sposób, w jaki nuciła coś lub chichotała w odpowiedzi na wszelkie zadawane jej pytania. Niekiedy rozpoznawała męża, była jednak przekonana, że nadal przebywają we Francji. Jej umysł okazał się mniej odporny na tortury niż ciało.

Oplakany stan umysłu Jeanne nie stłumił wprawdzie jej namiętności, ale ich współzycie było bezowocne; nadal nie mieli dzieci. Ten fakt, jak również upływający czas, który kładł się coraz większym brzemieniem na jego barkach, sprawiała, że Charles spędził niejedną bezsenną noc. Po trzydziestce człowiek zaczyna się starzeć, po czterdziestce może powiedzieć, że ma już za sobą długie życie.

Starania o utworzenie małej faktorii handlowej w pobliżu brodu na Cooper River pod Charles Town również zmieniły wygląd Maina. W niczym nie przypominał już arystokraty. Nadal był wysoki i właśnie ten wzrost sprawiał, że chodził nieco przygarbiony, ale bieda, praca i stałe napięcie nie pozostały bez śladu. Jego uśmiech, niegdyś tak wesoły i czysty, wydawał się teraz fałszywy, a nawet okrutny, i rzadko pojawiał się na twarzy Charlesa. W jego postawie trudno byłoby się dopatrzeć dawnej

dumy; bez wdzięku siedział na grzbiecie małego pony, który aż uginał się pod jego ciężarem. Charles stał się niemal zwierzęcą parodią swego dawnego ja.

Zwłaszcza tego dnia nie wyglądał jak biały. Włosy—brązowe, podobnie jak oczy — sięgały z tyłu do pasa, na czole przytrzymała je czerwona opaska. Jego ciało było niemal tak samo śniade, jak ciała ośmiu splepanych, półnagich istot ludzkich, które ślaniając się podążały za nim gęsiego. Mimo iż wiosenny poranek był niezwykle upalny, Charles miał na sobie długie, irchowe spodnie i kaftan ze starej, popękanej skóry. Za pasem upstrzonym perłami tkwiły dwa naładowane pistolety i dwa noże, a na kolanach — muszkiet. Handlarz żywym towarem musiał być ostrożny i dobrze strzelać.

Była to już czwarta wyprawa Charlesa do osad Czirokezów koczujących u podnóża gór. Gdyby nie zajmował się sprzedażą Indian, jako handlarz zbankrutowałby już dawno. Niewielka placówka nad rzeką nie dawała dużych dochodów, mimo iż agenci z Charles Town kupowali od niego wszystkie skóry, które uzyskiwał od członków plemion, na które potem napadał.

Zaden z jego jeńców nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Siedmiu mężczyzn i kobieta byli ładni, o śniadej skórze, gibkich ciałach i pięknych, czarnych włosach, jakich nigdy jeszcze nie widział.

Szczególnie atrakcyjna jest ta dziewczyna — pomyślał. — Ma ładne piersi. Już wcześniej zauważył, że raz po raz zerka na niego. — Z pewnością w łagodnym spojrzeniu jej dużych oczu kryje się pragnienie, aby poderżnąć mi gardło.

Charles jechał pierwszy, plecami do jeńców, gdyż na końcu orszaku znajdował się jego współnik, również uzbrojony. Był to potężnie zbudowany mieszaniec, spłodzony najwidoczniej przez przybyłego tu z Florydy Hiszpana. Pochodził z plemienia Yama-see, a gdy zjawił się rok temu w faktorii, mówił już trochę po francusku. Przyznał wtedy, że ma tylko jedno pragnienie: walczyć z Indianami z wrogich plemion. Wszystko wskazywało na to, że bardzo chętnie pracuje dla Charlesa. Obszar Karoliny zamieszkiwało trzydzieści różnych plemion, z których większość organizowała przeciw sobie wyprawy łupieżcze; tym samym dla mieszanca, który nazwał się Królem Sebastianem, zawód i powołanie zwały się w jedno.

Król Sebastian miał twarz łajdaka i — jak wielu innych Indian — lubił paradować w stroju białych. Tego dnia miał na sobie brudne spodnie do kolan, które kiedyś były różowe, oliwkowy płaszcz z brokatu, rozpięty na potężnej, spoconej piersi, oraz duży, poplamiony turban ozdobiony fałszywymi klejnotami.

Król Sebastian znalazł upodobanie w tym, co robił. Raz po raz popędzał konia, doganiając jeńców, i dźgał muszkietem tego czy

innego w pośladki. Zazwyczaj wywoływało to spojrzenie pełne nienawiści, na co mieszaniec wybuchał zjadliwym śmiechem i ostrzeżał, tak jak teraz:

— Uważaj, mały bracie, bo inaczej użyję tego strzelającego kija i będzie po tobie.

— Ty też uważaj — powiedział po francusku Charles, zatrzymując konia i przepuszczając kolumnę. Spostrzegł nienawistne spojrzenia jeńców. — Chciałbym dostarczyć mą zdobycz na licytację w stanie nienaruszonym i będę ci wdzięczny, jeśli zastosujesz się do mej rady.

Król Sebastian, który nie uznawał krytyki, wyładował swój gniew na jeńcach, popędzając maruderów harapem. Charles, aczkolwiek niechętnie, przymknął na to oczy.

Licytacje odbywały się na pustym terenie pod Charles Town i miały charakter tajny. Handel niewolnikami był uznany już od kilku lat za proceder nielegalny, przynosił jednak spore zyski i dlatego zajmowano się nim w dalszym ciągu. Dodatkową atrakcją była świadomość małego ryzyka. Charles na przykład schwytał swoich jeńców o zmierzchu przy grządce melonów, grożąc im strzelbą. Czirokezi byli nie tylko wojownikami, ale też farmerami. Zaskoczeni na swoich poletkach zazwyczaj nie stawiali oporu. Oczywiście z pewnym niebezpieczeństwem trzeba było się liczyć.

Kilku Indian umarło wprawdzie w drodze na wybrzeże, jednak nieporównywalnie więcej czarnych sprowadzanych przez Bridgetown z Afryki ginęło podczas długiej podróży statkami przez ocean. Zresztą nie można było zająć się afrykańskim handlem, nie posiadając statku albo przynajmniej jakiegoś kapitału. A Charles miał tylko swoją faktorię, konia i broń.

Upał narastał, orszak wlokący się po piaszczystych pagórkach opadły chmury drobnych owadów. Temperatura i ciemne plamy lasów daleko na horyzoncie stanowiły dla Charlesa dowód, że zbliżają się już do równinnego wybrzeża. Jeszcze jedna noc i pół dnia i znajdą się w faktorii, gdzie, aczkolwiek niechętnie, pozostawił Jeanne samą, jak zawsze gdy wyruszał na wyprawę. Z tego powodu dręczył go niepokój. Dziś jednak było to coś więcej: Charles czuł trwogę. Znowu zauważył wzrok dziewczyny. Czyżby czekała na dogodny moment, aby dać sygnał do ucieczki? Wstrzymał konia, a potem do wieczora jechał u boku Króla Sebastiana.

Tej nocy rozpalili ognisko nie z powodu chłodu, lecz aby uchronić się przed owadami. Król Sebastian objął pierwszą wartę.

Charles wyciągnął się wygodnie, trzymając na piersi broń gotową do strzału, i zamknął oczy. Walcząc ze snem rozmyślał nad sposobem zdobycia majątku. Musi jakoś zmienić postępowania-

nie. Póki co nie mnoży kapitału, ma stale tyle samo. Fakt, że żyli samotnie w factorii, nie był korzystny dla Jeanne, nawet mimo stanu jej umysłu. Zasługiwała na coś lepszego i Charles chciał jej zapewnić wygodne i dostatnie życie. Kochał ją naprawdę głęboko.

Mimo to trudno uchronić się od myśli natury bardziej praktycznej. Gdyby udało mu się stworzyć na nowo majątek, kto byłby spadkobiercą? Biedna Jeanne, której dotąd pozostawał wierny — jedyny pozytywny element jego obecnego życia — jest nie tylko obłąkana, ale również bezpłodna.

Pograżał się już we śnie, kiedy dobiegł go dźwięk kajdanów. Otworzył oczy w tej samej chwili, kiedy Król Sebastian wykrzyknął coś ostrzegawczo. On również zapadał już w sen; świadczyła o tym jego półleżąca pozycja, jak również gorączkowe gesty, kiedy usiłował wycelować z muszkietu. Siedmiu Indian, szepionych ze sobą kajdanami na rękach i nogach, rzuciło się jak jeden na swoich zdobywców, pociągając ze sobą dziewczynę, trzecią w rzędzie. W ostatniej chwili przeskoczyła — chcąc nie chcąc — przez ognisko.

Zdjęty strachem Charles chwycił za jeden z pistoletów.

Jezu Chryste, spraw, aby proch był suchy mimo nocnego powietrza!

Pistolet nie wypalił. Charles chwycił za drugi.

Indianin na lewym końcu szeregu zdążył uzbroić się w kamień i cisnął nim teraz w Króla Sebastiana, który usiłował przykleknąć i jednocześnie wystrzelić z muszkietu. Odchylił się, ale kamień ugodził go w prawą skroń. Nie było to nic groźnego, wystarczyło jednak, by — kiedy mieszaniec wreszcie wypalił

— kula poszybowała w ciemność, nie czyniąc nikomu nic złego.

Jeden z napastników stawiał już bosą stopę na szyi Charlesa i udusiłby go, gdyby ten nie przeturlał się na lewy bok i nie pociągnął za cyngiel. Pistolet na szczęście wypalił. Kula przeszła przez podbródek Czirokeza i odhupała część czaszki. Widok był tak okropny, że ostudził zapał buntowników, chociaż walka trwała nadal. Charles musiał zastrzelić jeszcze jednego Indianina, a Król Sebastian zabił następnego, zanim czterech pozostałych odciągnęło w tył dziewczynę i zwłoki współplemieńców. Włosy jednego z zabitych musnęły głowni ogniska, zatliły się i stanęły w płomieniach.

Charles dygotał na całym ciele. Był czarny od ziemi i prochu, obryzany krwią i mózgiem pierwszego zabitego Indianina. Na kolecie przeżuł kawałek mocno osolonej dziczyzny, teraz miał trudności z utrzymaniem go w żołądku.

Kiedy wyszedł zza krzaka, dostrzegł Króla Sebastiana, który — najwidoczniej roztrzęsiony — chłostał pozostałych przy życiu śmiałków. Mieszaniec uwolnił zabitych z kajdanów, nie zadał

sobie jednak trudu, aby otworzyć je kluczem, lecz użył noża. W ciemnościach gromadziły się już sępy, aby zająć się zwłokami. Król Sebastian chwycił dziewczynę za włosy i poderwał jej głowę do góry.

— Wydaje mi się, że ta dziewczka też zasłużyła sobie na karę.

Stanik jej sukienki ze skóry obsunął się nieco, odsłaniając na chwilę ciemne piersi. Charles poruszony ich widokiem pochłaniał je wzrokiem. Piersi dziewczyny były dojrzałe i pełne życia. Spojrzała wyczekująco na Króla Sebastiana i zmieniła pozycję, tak że suknia zasłoniła ciało.

Charles pochwyił w powietrzu rękę mieszańca, zanim zdołała zadać cios dziewczynie. Jego twarz umazana krwią przypominała pokryte barwami wojennymi oblicze Czirokeza.

— To ty zasłużyłeś na karę — powiedział. Zasnąłeś na warcie!

Król Sebastian sprawiał teraz wrażenie, jak gdyby zamierzał rzucić się na swego chlebodawcę. Charles nie spuszczał z niego wzroku. Dziewczyna nie rozumiała ani słowa z tego, co ów wysoki mężczyzna powiedział po francusku, domyśliła się jednak sensu. I wprawdzie zabrakło jej odwagi, aby się uśmiechnąć, ale w jej oczach pojawił się błysk wdzięczności.

Upłynęła jedna minuta. Druga. Mieszaniec w końcu trzepnął dłonią komara, który usiadł mu na karku, i odwrócił wzrok. I na tym sprawa została zakończona. Chociaż niezupełnie. Przynajmniej nie dla Charlesa. Nawet kiedy odsiedział swą wartę, kiedy znowu zlizował go Król Sebastian, nie mógł zasnąć. Bliski kontakt ze śmiercią przypominał mu, że nie ma synów. Jego trzech bracia umarli wkrótce po urodzeniu, a siostra uciekła za Pireneje, kiedy we Francji zaczęły się niepokoje. On był ostatni z rodu.

Kiedy wreszcie zasnął, miał osobliwe sny; widział w nich urodzajne pola Czirokezów, a na ich tle piersi Indianki.

Wczesnym popołudniem następnego dnia dotarli do faktorii mieszczącej się nad Cooper, jedną z dwóch rzek nazwanych tak po Anthonym Ashleyu Cooperze, lordzie z Shaftesbury i jednym z pierwszych posiadaczy ziemskich w Karolinie.

Jeanne czuła się bezpiecznie i dobrze, gdy przez pół godziny wraz z Charlesem spacerowała brzegiem rzeki. On obejmował ją ramieniem, ona zaś paplała coś jak małe dziecko, popatrując jednocześnie na białą czapkę, stojącą nie opodal na jednej nodze. Jeanne naprawdę zasługiwała na lepsze życie. Zasługiwała na piękny dom, pomocną służbę.

Rankiem poczynił przygotowania do wyjazdu na wybrzeże. Zamierzał wyruszyć w południe, by zawieźć na sprzedaż Indian i skóry. Jadąc na nielegalną licytację miał—jak zwykle—omijać

główne drogi, tak aby nikt nie spostrzegł ani jego, ani ludzkiej kontrabandy.

Na pół godziny przed wymarszem przybiegła do niego Jeanne, krzycząc coś w podnieceniu. Nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi, ale wkrótce pojawił się przerażony Król Sebastian. Mieszaniec usiłował coś wyjaśnić, odnajdując z trudem francuskie słowa.

— Kto nadchodzi? — przerwał mu Charles. — Panowie? Dostojnicy? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

Wystraszony Indianin skinął głową i pokazał otwartą dłoń z rozczapierzonymi palcami.

— Mnóstwo.

Charles poczuł ucisk w żołądku.

Czym prędzej zapędzili niewolników do szopy skleconej z pni palm i cyprysów. Charles gorączkowo wiązał w stajni czterech mężczyzn i dziewczynę, podczas gdy Król Sebastian knebłował im usta. Gdyby więźniom udało się wydać choćby jeden okrzyk, handel niewolnikami zostałby zdemaskowany, on zaś jako jego organizator — byłby zgubiony. Pałające dziwnym ogniem oczy jeńców świadczyły, że mają nadzieję, że do tego dojdzie. Na rozkaz Charlesa mieszaniec ponownie sprawdził wszystkie kneble.

Na domiar złego okazało się, że na czele gości stoi członek władz kolonii, elegancki Anglik o nazwisku Moore. Wraz z czterema czarnoskórymi służącymi, z których jeden zdawał się mieć na wszystko oko, zwiadał to — jak się wyraził — „przekłete, zapowietrzzone odludzie”, rozglądał się bowiem za terenem, gdzie za dala od malarycznego wybrzeża mogłaby stanąć jego letnia rezydencja.

Moore spędził w factorii trzy godziny, podczas których Charles siedział jak na rozżarzonych węglach. W pewnym momencie ze stajni dobiegło go jakieś tupnięcie, a potem zgrzyt łańcuchów, ale jego gość, zajęty gadaniem, nie usłyszał hałasu. Kiedy jeden ze służących dostrzegł w kącie łańcuchy i kajdanki, Charles wyjaśnił spiesźnie:

— Dostałem je za pistolety od takiego podejrzanego trapera. Mówił, że jest z Wirginii. To było ostatniej jesieni i...

Moore nie patrzył już na żelastwo. Z typową dla Anglików arogancją zaczął rozwodzić się nad paskudną pogodą i prymitywnym sposobem życia na odludziu i w ogóle w Nowym Świecie. O czwartej, kiedy upał zelżał, goście odjechali. Charles nalał sobie do pełna ginu, wypił wszystko dwoma łykami, ucałował czule Jeanne i pośpieszył do szopy.

Przy drzwiach stał na straży Król Sebastian. Kiedy Charles wszedł do środka, dostrzegł wściekłe spojrzenia, rzucane przez czterech jeńców na dziewczynę. Jej knebel zsunął się z ust,

mogła więc krzyknąć... Wpatrywała się teraz w Charlesa z tą samą napiętą uwagą, z jaką przyglądała mu się ostatniej nocy, i raptem zrozumiała. Może zresztą zrozumiała to już wcześniej, od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał, ale poczucie winy i wzgląd na Jeanne nie pozwalały mu przyjąć tego do wiadomości. Obrócił się na pięcie i wybiegł na prażące słońce.

Wyglądało na to, że handel Indianami staje się zbyt niebezpieczny. Ta myśl prześladowała go jeszcze następnego ranka, kiedy z opóźnieniem wyruszał, jak również kiedy podążał bagnistymi ścieżkami. Nie opuściła go nawet wtedy, gdy dotarł na wybrzeże.

Polana znajdowała się poza palisadą otaczającą Charles Town. Miejsce wybrano niezwykle starannie: było na tyle daleko, aby nikt niepowołany nie odkrył go, i na tyle blisko, aby nawet jadąc w ciemnościach nie narażał się na niebezpieczeństwo. Podążając brzegiem rzeki Cooper można tam było dotrzeć w ciągu zaledwie dziesięciu minut. Na polanie zgromadziło się już pół tuzina mężczyzn, których Charles scharakteryzował w duchu jako „angielskich snobów”. Byli to plantatorzy z różnych zakątków okręgu, mających nadzieję na dobre plony, co z kolei oznaczało spełnienie marzeń, z którymi niegdyś przybyli do Karoliny. Jak dotąd ich wysiłki nie przynosiły rezultatów. Kolonia sprawiała wrażenie chybionego przedsięwzięcia.

Mimo to w dalszym ciągu twierdzono, że życie w Karolinie jest pod wieloma względami wspaniałe. Rozprawiano na temat ostatnich plotek z miasta, chwalono też Charlesa za jego ofertę, choć nikt nie zatrzymywał się przy nim na dłużej; plantatorów raził nie tylko jego zapach, ale również pochodzenie.

Podest, na którym odbywała się sprzedaż, sklecony z pni palmowych, tonął w zadymionym świetle pochodni wetkniętych w ziemię. Licytator, jeszcze jeden szanowany dżentelmen, prowadził przetarg w zamian za niewielki procent od ogólnej sumy. Charles słyszał, że człowiek ten rozwodził się w mieście na temat zła, za jakie uważał handel indiańskimi niewolnikami. Taka gadanina nie była niczym nowym. Większość obecnych plantatorów posiadała przynajmniej jednego niewolnika. Tym, co ich naprawdę niepokoiło, była nie tyle niemoralna wymowa faktu zniewalania jednego człowieka przez drugiego, co raczej możliwość wystąpienia utrudnień w handlu niewolnikami, gdyby w przyszłości plemiona indiańskie zjednoczyły się, aby stawić opór. Biali obawiali się wybuchu powstania. To wszystko jednak nie przeszkodziło im przybyć tu tego wieczoru.

Przekłeci hipokryci pomyślał Charles.

Jeden po drugim zostali sprzedani czterej Indianie, za których uzyskiwał coraz wyższą cenę. Charles stał na uboczu, a jego zły

nastrój mijał w miarę, jak pykając glinianą fajkę, obliczał w myślach zysk. Począł przysłuchiwać się rozmowom. Jeden z plantatorów opowiadał, że zamierza wysłać swego nowego niewolnika do Zachodnich Indii, aby go zahartować. Chodziło mu o jego całkowite ujarzmienie, złamanie ducha. Inny dżentelmen wypowiadał się na temat ułatwień w otrzymywaniu ziemi leżącej nad rzekami i potokami.

— No tak, ale co daje samo posiadanie ziemi, skoro nie stać cię potem na opłacenie dzierżawy i nie masz wystarczających plonów, aby zwróciły wkład i dały gotówkę?

— Może teraz będą dobre zbiory — powiedział pierwszy, bawiąc się niedużym, ale pękatym woreczkiem.

Reszta, zaintrygowana, skupiła się wokół nich. Nawet Charles przysunął się bliżej, nadstawiając ucha. Licytacja została przerwana, a mężczyzna z woreczkiem wyjaśnił:

— To są nasiona. Z Madagaskaru. Ten sam gatunek, który udaje się tak wsporniale w mokrych ogrodach w mieście.

Ktoś obok wykrzyknął podekscytowany:

— Czy to ten ryż, który kapitan Thurber ofiarował w ubiegłym roku doktorowi Woodward?

Thurber był kapitanem brygantyny, która stała w porcie Charles Town, oczekując na przegląd i remont. Charles słyszał już, że na pokładzie statku przywieziono ryż.

Właściciel woreczka z nasionami wetknął go pieczołowicie do kieszeni.

— Tak. Ten sam. Ryż rośnie w mokrej ziemi. Co więcej: potrzebuje jej. W mieście zupełnie oszaleli na wieść o nowych możliwościach. Wszyscy nagle zapalali chęcią kupna ziemi. Coś mi się widzi, że z tych cholernych mokradeł będziemy mieli wreszcie pożytek i zysk.

Jego sąsiad zapytał z powątpiewaniem:

— Możliwe, ale który z białych wytrzyma pracę na bagnach?

— Żaden, to jasne, Manigault. Tu potrzeba ludzi nawykłych do olbrzymich upałów i wyjątkowo ciężkiej pracy. — Przerwał na chwilę dla wywołania większego efektu. — Afrykańczyków. I powiem wam, że trzeba ich o wiele więcej, niż jest teraz w kolonii.

We Francji Charles Main musiał znosić prawdziwe katusze za religię, którą wyznawał. Ale zakłamanie intrygantów takich jak Emilion oraz okrucieństwa, których doznała Jeanne, zniszczyły niemal jego wiarę będącą główną przyczyną tego, że los doświadczył go tak ciężko. To jego silna wola, nie zaś siła nadprzyrodzona, pozwoliła mu przetrwać tortury oprawców przypalających mu ciało rozżarzonych żelazem. Mimo więc iż nadal wierzył w Najwyższego, wizerunek Boga zmienił się w jego oczach całkowicie; Bóg był istotą, którą cechowała obojętność. Nie miał

On żadnego planu, który zapewniałby dobrobyt wszechświata i jego mieszkańców. Może nawet w ogóle działał bez planu. Jeśli tak, to człowiek musi zdać się wyłącznie na siebie. Oczywiście, nic nie zaszkodzi oddać Bogu cześć raz na jakiś czas, podobnie jak postępuje się ze zdzięczinniałym już wujem. Ale gdy chodzi o własną przyszłość, mądry człowiek powinien wziąć los w swoje ręce.

A jednak na tej oświeconej płomieniami pochodni polanie, w samym sercu rozległego, gęstego lasu, przepelnionego zapachem wilgotnej ziemi oraz krzykami ptactwa, z Charlesem stało się coś dziwnego. Nieoczekiwanie jego dawna wiara odżyła z wyjątkową mocą. Przez moment niemal namacalnie czuł istnienie jakiejś niezziemskiej siły, która sprawiła, że przeżył ostatni okres tylko po to, aby zjawić się właśnie tu i teraz.

I w tej sekundzie podjął decyzję. Nie zainwestuje już w swoją faktorię nawet szylinga ze swoich zarobków. Bez względu na to, ile zażądają ci pokątni doradcy za wskazanie sposobu wzięcia w dzierżawę kawałka ziemi tu, bliżej wody, zapłaci tę sumę. Dowie się jeszcze więcej na temat owych nasion z Madagaskaru. Był przede wszystkim człowiekiem zajmującym się uprawą ziemi. A skoro mógł uprawiać winogrona, może teraz zająć się ryżem.

Ale praca na polu stanowiła problem. Charles znał dobrze niewdzięczność tej ziemi. Sam nie wytrzymałby nawet miesiąca, harując zanurzony po pas w zakażonej wodzie, nie mówiąc już o aligatorach wyczekujących przy brzegu. Odpowiedź była prosta: murzyński niewolnik. Albo nawet dwóch niewolników, o ile wystarczy mu na nich gotówki.

Z wypaczoną logiką człowieka, który wie, że jest winny, ale musi znaleźć sposób, aby dowieść czegoś wręcz przeciwnego, Charles trudnił się sprzedażą niewolników, nie popierając jednak samego niewolnictwa. W głębi duszy wzdragał się przed tym procederem. Zresztą, nigdy nie wiedział, jaki będzie los Indian, których schwytał i sprzedał innym. A może — usprawiedliwił się obłudnie — otrzymywali potem wolność od dobrych właścicieli?

Teraz jednak nie mógł pozwolić sobie na takie fanaberie, jak wyrzuty sumienia. Musiał mieć przynajmniej jednego zdrowego Murzyna. Była to sprawa ekonomii. Albo oportunistu. Albo instynktu przetrwania.

Człowiek czyni to, co należy uczynić.

— Panowie, panowie — nawoływał licytator. — Te rozmowy odrywają nas od najlepszej oferty tego wieczoru!

Wszedł na podium i uniósł skórzaną suknię dziewczyny, odsłaniając jej płeć. Mężczyźni spojrzeli z nagłym zainteresowaniem.

Człowiek czyni to, co należy uczynić. Charles uświadomił sobie, że ta sama zasada dotyczy problemu potomstwa. Jeśli miał zdobyć w Karolinie duży majątek — a teraz wreszcie zajaśniała iskierka nadziei, nadziei, o której zapomniał już wiele lat temu — musiał przyjąć do wiadomości fakty. Nie miał najmniejszego zamiaru porzucać swej umiłowanej Jeanne. Jednak nie mógł też dłużej być tak bardzo skrupulatny w sprawie wierności małżeńskiej.

— Panowie, kto uczyni pierwszą propozycję? Oto mamy tu urodziwą Indiankę. Kto zapłaci?...

— Stać! — Wymachując rękami, Charles zaczął przeciskać się przez tłum.

— O co chodzi, Main? — zapytał licytator, podczas gdy ludzie odepchnięci na bok ostentacyjnie otrzepywali sobie ubrania i wymieniali ironiczne uwagi za plecami Charlesa. Może i jest protestantem, ale przede wszystkim grubianinem. No, ale czego się można spodziewać po Francuzie?

Stojąc prosto, jak niegdyś, Charles spojrzął na zaskoczonego, nieco zirytowanego licytatora.

— Zmieniłem zamiar. Ona nie jest na sprzedaż.

Z wolna przeniósł wzrok na dziewczynę. Licytator opuścił jej suknię. Duże oczy Indianki zdawały się przeszywać twarz Charlesa. Zrozumiała.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że lepiej nie próbować wynajmować pokoju w domu noclegowym w Charles Town. Nawet w tych najpodlejszych hotelikach na skraju półwyspu, gdzie obie rzeki stykały się i wpływały do oceanu, nie udzielono by gościny białemu i Indiance, która nie jest jego niewolnicą. Wyszukał więc ustronną polanę niedaleko palisady. Tam, nie bacząc na węże i owady, rozłożył koce, umieścił broń w zasięgu ręki, ułożył się obok niej w tej gorącej, wilgotnej ciemności i posiadł ją.

Znał jedynie kilka słów w jej języku, ale żadne z nich nie zaliczało się do czułych. Indianka zdawała sobie sprawę z jego żądzy, ale i ona pragnęła go. Poczuc jego usta na swoich, jego dłoń na swoim łonie — za tym tęskniła niemal od pierwszej chwili. Widział to w jej oczach, ale nie potrafił pojąć.

Charles był znakomitym kochankiem, czułym wtedy, gdy było to potrzebne. Nie zapomniał jeszcze niezawodnych, wyrafinowanych pieścizot, zawdzięczał to wiernej i spragnionej uczucia żonie. Sposób, w jaki się kochali, uległ wkrótce zmianie. Powolny, leniwy rytm ustąpił miejsca ruchom szybszym, bardziej celowym. Ich podniecenie wzrastało. Błogi letarg przerodził się w namiętność wręcz szaleńczą. Leżąc na mokrej żyznej

ziemi, pośród setek brzęczących i piszczących żyłatek, pod niebem usianym tysiącami gwiazd, tulili się do siebie.

Tej nocy zasiał swoje nasienie równie planowo, jak zamierzał wsadzać w ziemię sadzonki ryżu, którego zbiory miały stworzyć w przyszłości majątek Mainów.

W owym czasie Charles Town składało się z niespełna stu prostych domów i kilku sklepów. Wielu przybyszów z Barbadosu rozważało możliwość wzniesienia przestronnych, przewiewnych budowli, typowych dla ich ojczystej wyspy. To wymagało jednak lepszej sytuacji finansowej i korzystnych widoków na przyszłość. Unosząca się nad miastem aura dobrych manier i dużych pieniędzy była tylko pozorna.

Jednak rankiem następnego dnia Charles odniósł inne wrażenie. Dzień był pogodny, słoneczny, od portu dął rzeński wiatr północno-wschodni. Charles podążył wolnym krokiem, kierując się w stronę nabrzeża, za nim szła dziewczyna. Nie mógł nie zauważyć pogardliwych spojrzeń mijanych ludzi. Utrzymywanie kontaktów seksualnych z kolorowymi, Indiankami czy Murzynkami, było dopuszczalne, nie należało się jednak z tym afiszować.

Pełne potępienia miny owych dżentelmenów naprowadziły go wkrótce na inne myśli. Większość mieszkańców Karoliny podchodziła do spraw rodowodu w sposób piekielnie snobistyczny. Gdyby dowiedziano się, że splodzone przez niego dziecko jest w połowie Czirokezem, ani on, ani jego potomek nie zostaliby zaakceptowani przez miejscową społeczność niezależnie od tego, ile by miał pieniędzy i jak nieskalana była rasa jego przodków.

Spiesznie obmyślił plan działania. Wiedział, że zapłodnił Indiankę, i zamierzał zająć się tą sprawą. Kiedy ciąża zacznie być widoczna, zadba o to, aby ukryć dziewczynę na odludziu, w chacie, gdzie nie ujrzy jej nikt prócz niego i może Króla Sebastiana. Wyjaśni jej, że dzięki temu będzie bezpieczna.

Następnie powie Jeanne, że chciałby zaadoptować chłopczyka. Ani przez chwilę nie wątpił, że Indianka da mu syna, był również pewien, że zdoła opanować jej furię po odebraniu dziecka. Był mężczyzną, co stanowiło istotną zaletę. Był też białym, a to oznaczało, że racja jest po jego stronie. W ostateczności mógł użyć przemocy. Niewiele było sposobów zapewnienia ciągłości jego rodu i bezpieczeństwa potomkowi noszącemu jego nazwisko, do których by się nie posunął.

Później mógł przedstawiać dziecko jako osieroconego syna swojej siostry. Pomysł zelektryzował go do tego stopnia, że nie zdołał ukryć podniecenia. Dziewczyna szła teraz u jego boku i dostrzegła twardy uśmiech, który pojawił się nagle na jego

twarzą i tak samo raptownie zniknął. Widząc jej pytający wzrok, dotknął delikatnie ramienia Indianki i spojrzał tak, że uspokoiła się natychmiast. On również zaczął oddychać normalnie, nie tak szybko i głośno, jak przed chwilą. Ruszyli dalej.

Zaczął dopytywać się o statki, które przywoziły Afrykańczyków na sprzedaż, i dowiedział się, że w ciągu najbliższych trzech tygodni żadna handlowa jednostka nie zawinie do portu. Jedyny statek przy nabrzeżu zasługujący na uwagę należał do kupca z Bridgetown i miał na pokładzie kilku pasażerów. Nazywał się: „Mewa z Portsmouth”.

Charles minął grupę pięciu młodych ludzi najwidoczniej zafascynowanych niewielkim portem. Takich jak oni widywał już wcześniej. Chłopcy okrętowi. Wyglądali na przygnębionych, wszyscy prócz jednego: przysadzystego, barczystego młodzieńca o jasnobrazowych włosach i oczach przywodzących na myśl kryształki lodu połyskujące w słońcu. Poruszał się dosyć buńczucznie. Szli naprzeciw, spojrzeli więc na siebie tylko przelotnie. Młodzieniec zdumiał się nieco na widok mężczyzny w prostym odzieniu i z pokąsną brodą, ale o arystokratycznej postawie, a dawny handlarz niewolnikami i przyszły właściciel niewolników zastanawiał się, co mogło skłonić młodego człowieka do dobrowolnego oddania się w tak poddańczą służbę.

Przez nadburcie statku wychylił się jakiś marynarz.

— Wracać na pokład, chłopcy. Nadchodzi przyptyw. W Penn's Town jest więcej rzeczy, na które możecie wybałuszać gały.

Czym prędzej pobiegli z powrotem na statek, a wysoki arystokrata powoli zniknął w tłumie. Idąca za nim Indianka nie spuszczała ze swego towarzysza pełnych zachwyty oczu. W promiennym blasku poranka obaj mężczyźni momentalnie zapomnieli o sobie.

KSIEGA PIERWSZA

Zew werbli

„(••) W przyszłych wojnach naród winien zwrócić wzrok na Akademię Wojskową, gdyż tam kryją się zdolności, mogące doprowadzić męstwo do zwycięstwa.”

Minister wojny John C. Calhoun do Sylvanusa Thayera, dyrektora Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych, 1818

1

Może pomóc zanieść to na pokład, paniczku?

Sztauer uśmiechał się wprawdzie, ale w jego wzroku nie było nic przyjaznego, jedynie żądza wyciągnięcia pieniędzy od złodzieja, którego niewątpliwie miał przed sobą.

Kilka minut wcześniej woźnica pojazdu przeznaczonego dla gości hotelowych z Astor House zrzucił na nabrzeże sfatygowany już mocno kufer. Orry chwycił go za jedyną ocalałą rączkę i przeciągnął o kilka stóp do przodu, zanim robotnik portowy stanął przed nim, zagradzając dojście do trapu.

Był wspaniały, bezwietrzny czerwcowy ranek 1842 roku. Orry gorączkował się już na samą myśl o czekającym go dniu. Fałszywy uśmiech sztauera i jego zimny wzrok jeszcze wzmogły napięcie chłopca, do czego przyczyniła się również obecność dwóch kompanów zabijaki, stojących nie opodal w nonszalanckich pozach.

Co innego jednak nerwy, a co innego tchórzostwo; Orry nie miał zamiaru dopuścić do tego, aby pierwsze uczucie przerodziło się w drugie. Już wcześniej ostrzegano go, że w Nowym Jorku aż się roi od wszelkiego rodzaju oszustów. Widocznie natknął się właśnie na jednego z nich. Orry zdjął swój wysoki, wytworny kapelus, wyjął zza jego wewnętrznej tasiemki chusteczkę i wytarł czoło.

Orry Main miał szesnaście lat i niemal sześć stóp i dwa cale wzrostu; podkreślała to szczupła sylwetka, która przydawała

jego ruchom naturalnego wdzięku. Miał pociągłą twarz o regularnych rysach i zdrowym kolorze skóry, charakterystycznym dla kogoś, kto spędza mnóstwo czasu na słońcu. Jego nos był wąski i arystokratyczny, brązowe włosy układały się w naturalne fale. Oczy, również brązowe, były głęboko osadzone. Kiedy nie spał dobrze, tak jak ostatniej nocy, pojawiały się pod nimi sińce, a wtedy twarz przybierała wyraz melancholii. Z natury nie był jednak melancholijny, czego dowodził goszczący często na jego ustach uśmiech. Przy tym należał do ludzi rozważnych; miał zwyczaj zatrzymywać się przed każdym ważnym krokiem, aby jeszcze raz przemyśleć sobie wszystko.

Zniecierpliwiony sztauer postawił nogę na kufrze.

— Chłopcze, pytałem cię...

— Słyszałem pana, sir. Ale dam sobie radę sam.

— Coś podobnego! — odezwał się drwiąco drugi robotnik.

— Skąd jesteś wieśniaku? — Orry'ego zdradził widocznie akcent, gdyż ubranie nie wskazywało na to, że pochodzi ze wsi.

— Z Południowej Karoliny.

Serce zabiło mu mocniej. Ci trzej wyglądali na silnych i twardych. Nie zamierzał jednak spuszczać z tonu. Znowu chwycił za rączkę kufra, ale sztauer przytrzymał mu dłoń.

— Nic z tego. Zaniesiemy to na pokład albo popłyniesz do West Point bez bagażu.

Orry'ego zaskoczyła nie tylko groźba, ale również łatwość, z jaką tamci odgadli cel jego podróży. Potrzebował trochę czasu, aby zebrać myśli i wziąć się w garść, by dać odpowiednią odpawę tym zbirom. Potrząsnął ręką na znak, że chce, aby tamten go puścił, co też sztauer uczynił po chwili namysłu. Orry wyprostował się i oburącz wcisnął z powrotem kapelusz na głowę.

Tuż obok przeszły spieszenie trzy pasażerki: dwie urocze dziewczyny i starsza kobieta. Od nich z pewnością nie mógł oczekiwać pomocy. Potem po trapie zszedł niewysoki mężczyzna w mundurze, prawdopodobnie urzędnik tej linii żeglugowej. Przystanął natychmiast, kiedy jeden ze sztauerów wykonał groźny ruch ręką.

— Ile kosztowałoby takie wniesienie bagażu na pokład?

— zapytał Orry. Za jego plecami zapiszczały koła powozu, po bruku zastukały kopyta. Usłyszał rozbawione głosy, donośny śmiech. Kolejni pasażerowie statku.

— Dwa dolary.

— Toż to osiem razy tyle, ile jest warte!

Sztauer uśmiechnął się krzywo.

— Możliwe, żołnierzyku. Ale taka jest cena.

— Jeśli masz coś przeciwko temu — dodał drugi — idź poskarżyć się u burmistrza. Albo u brata Jonathana. Wszyscy

trzej wybuchnęli śmiechem. Bratem Jonathanem potocznie nazywano cały naród.

Orry był już mokry z emocji i od upału. Nachylił się, usiłując jeszcze raz sięgnąć po kufer.

— Nie mam zamiaru dać wam...

Sztauer odepchnął go.

— W takim razie kufer zostanie tu, gdzie leży.

Orry próbował swoim spojrzeniem zamaskować ogarniający go strach.

— Sir, niech pan mnie nie dotyka. Ale słowa te odniosły skutek wręcz odwrotny do zamierzonego; sztauer wyciągnął rękę, aby potrząsnąć młodzieńcem. Orry przewidział to, uchylił się, po czym zadał awanturnikowi silny cios w żołądek.

Panowie, przestańcie! krzyknął urzędnik. Zdecydowanym krokiem ruszył ku nim, ale drugi sztauer pchnął go gwałtownie, o mały włos nie zrzucając z trapu do wody.

Jeden z napastników chwycił Orry'ego za uszy i kopnął go w krocie. Chłopiec zatoczył się, padając na kogoś, kto stał z nim, ale zaraz wymachując groźnie pięściami skoczył do przodu, wprost na trzech napastników.

Młody człowiek, niewiele starszy ode mnie przemknęło Orry'emu przez głowę, kiedy po chwili potrącony przez niego człowiek włączył się do bójki.

Jego nieoczekiwany sprzymierzeniec był niski i bardzo krępy, ale ciosy rozdawał z niezwykłym zacięciem. Orry ruszył do ataku, rozkrwawił czysj nos i poczuł na policzku paznokcie rozrywające mu skórę. Wyglądało na to, że i tu, do doków Nowego Jorku, dotarł już styl walki stosowany na pograniczu.

Pierwszy sztauer usiłował wsadzić palec w oko Orry'ego, zanim jednak dosięgnął celu, z prawej strony ugodziła go długa laska, ozdobiona złotą gałką. Gałka trafiła go w czoło, on zaś wrzasnął przeraźliwie i zatoczył się.

Łajdaki! krzyknął jakiś mężczyzna. — A gdzie stróże porządku?

— Williamie, proszę, nie denerwuj się! — odpowiedział ko-
bięcy głos.

Przysadzisty młodzieniec skoczył na kufer Orry'ego, całkowicie opanowany i gotów do dalszej walki. Tymczasem do urzędnika na trapie dołączyło dwóch marynarzy ze statku. Sztauerzy cofnęły się nieco, a po osądzeniu odmienionej tak nagle sytuacji i kilku soczystych przekleństwach, które sprawiły, że dwie przybyłe właśnie damy jęknęły zgorzzone, oddalili się spieszenie i wkrótce zniknęli w ulicznym tłumie.

Orry odetchnął głęboko. Jego rówieśnik zeskoczył z kufra; wytworne ubranie nie leżało już na nim tak porządknie, jak przed bójką.

— Dziękuję panu bardzo za pomoc, sir. — Te uprzejme słowa pozwoliły Orry'emu ukryć przed Jankesem, i to, jak się wydawało, przed zamożnym Jankesem, zdenerwowanie.

Krepy młodzieniec uśmiechnął się.

— O mały włos byśmy ich pobili.

Orry odpowiedział uśmiechem. Nieznajomy sięgał mu zaledwie do ramion. Nie miał na sobie zbędnego tłuszczu, ale mimo to jego ciało wyglądało na masywne. Twarz chłopaka była w kształcie szerokiego U. Zgubił gdzieś kapelusz, a brązowe włosy, nieco jaśniejsze niż Orry'ego, przetykały w kilku miejscach wyblakłe od słońca pasemka. Błede, jakby sine oczy, pozbawione były srogiego wyrazu dzięki iskierkom wesołości. Wrażenie to potęgował uśmiech, chociaż ktoś nastawiony wobec chłopca nieprzyjaźnie nazwałby go zuchwałym.

— Przecież pobiliśmy ich naprawdę — odparł Orry.

— Nonsens — odezwał się otyły mężczyzna o ziemistej cerze, starszy od zbawcy Orry'ego o trzy, cztery lata. — Tamci mogli was zranić albo nawet zabić.

Krepy młodzian wyjaśnił Orry'emu:

— Najniebezpieczniejsza rzecz, na jaką mój brat odważył się kiedykolwiek, to obcinanie paznokci.

Kobieta, która krzyknęła podczas bójk, niska, w wieku około czterdziestu lat, powiedziała z wyrzutem:

— George, nie bądź tak impertynencki wobec Stanleya. On ma rację. Jesteś zbyt nierozważny.

A więc to cała rodzina. Orry przytknął dłoń do róna kapelusza.

— Czy zwyciężyliśmy, czy też nie, pomogli mi państwo w bardzo kłopotliwej sytuacji. Prosię przyjąć jeszcze raz moje podziękowanie.

— Pomogę panu nieść kufer — zaoferował się George. — Płynie pan zapewne tym statkiem, czy nie tak?

— Owszem, do Akademii Wojskowej.

— Został pan skierowany w tym roku? Orry skinął głową.

— Dwa miesiące temu.

— Coś takiego! — uśmiechnął się ponownie George. — To tak jak ja.

Wypuścił rączkę kufra i Orry odskoczył w ostatniej chwili, ratując nogę przed zmiążdżeniem.

Nieznajomy wyciągnął do niego rękę.

— Nazywam się George Hazard. Pochodzę z Pensylwanii. Z małego miasta, o którym pan jaszczce nie słyssał... Lehigh Station.

— Orry Main. Z parafii Saint George w Południowej Karolinie.

Uścisnęli sobie dłonie, spoglądając jeden na drugiego. Orry

odniósł wrażenie, że ten wojowniczy Jankes zostanie jego przyjacielem.

Nie opodal ojciec George'a wymyślał urzędnikowi, który biernie przyglądał się całemu zajściu. Urzędnik wyjaśniał zdecydowanie, że nie odpowiada za przystań, która stanowi teren publiczny. Najstarszy z Hazardów wykrzyknął:

— Zapisałem sobie pańskie nazwisko. I obiecuję, że w tej sprawie przeprowadzone będzie dochodzenie.

Z nachmurzoną miną podszedł z powrotem do rodziny. Żona usiłowała go uspokoić, szepnęła coś do ucha i pogłaskała go raz czy dwa. George odchrząknął i z powagą dokonał prezentacji całej rodziny.

William Hazard był imponującym mężczyzną o twarzy pooranej bruzdami. Wyglądał na starszego od żony o dziesięć lat, było to jednak złudzenie. Oprócz rodziców i obu starszych synów była jeszcze Virgilia najstarsza z dzieci, jak przypuszczał Orry i sześć-, może siedmioletni chłopiec. Matka wołała na niego William, George mówił Billy. Chłopiec ustawicznie gmerał przy wysokim kołnierzu, który uwierał go w uszy; podobne kołnierze nosili również pozostali mężczyźni, łącznie z Orrym. Billy wpatrywał się w George'a z nieskrywanym podziwem.

Stanley jako najstarszy przejmie po ojcu hutę wyjaśnił George, taszcząc wraz z Orrym kufer. — Już od dawna było wiadome, że będzie zajmował się właśnie tym.

Hutę żelaza?

Tak. Nasza rodzina produkuje żelazo już od sześciu pokoleń. Dawniej firma nosiła nazwę „Piecze Hazarda”, ale ojciec zmienił ją na „Stalownia Hazarda”.

Mój starszy brat byłby tym zafascynowany. Interesuje go wszystko, co wiąże się z techniką lub nauką.

— A więc pan również jest drugim synem? - zapytał ojciec George'a, wchodząc z resztą rodziny na pokład.

— Tak, sir. Mój brat Cooper zrezygnował ze skierowania na Akademię, ja udaję się tam zamiast niego. — Nie wyjaśnił tego bliżej. Nie było sensu rozgłaszać na prawo i lewo o rodzinnych sporach, nie było sensu opowiadać obcym ludziom jak Cooper, tak podziwiany przez Orry'ego, ustawicznie rozczarowuje i drażni ojca tym, że chadza własnymi drogami.

— A więc może się pan uważać za szczęśliwego — oświadczył Hazard-senior, podpierając się laską. — Niektórzy powiadają, że Akademia to przystań dla arystokratów, ale tak wcale nie jest. Prawda jest taka: Akademia daje najlepsze wykształcenie w całej Ameryce. — Każde zdanie akcentował wyraźnie.

Mówi, jakby przemawiał w Kongresie pomyślał Orry. Do przodu przesuwała się siostra George'a. Była to mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna o twarzy pozbawionej

uśmiechu i oszpeconej kilkoma bliznami po ospie. Jej figura nie należała do szczupłych, była właściwie zbyt pulchna jak na obcisłą w talii i ozdobioną bufiastymi rękawami suknię z batystu. Strój uzupełniały rękawiczki i kwiecisty kapelusz. Panna Virgilia Hazard poprosiła:

— Czy byłby pan tak uprzejmy i powtórzył swoje imię, panie Main?

Zrozumiał, czemu nie jest jeszcze zamężna.

— Orry — powiedział, literując dokładnie.

Wyjaśnił, że jego przodkowie należeli do pierwszych osadników w Południowej Karolinie i że jest trzecim członkiem rodziny, który nosi to imię, będące zniekształceniem imienia Horry, które często występuje wśród hugenotów, a wymawiane jest tak, jakby nie istniała w nim w ogóle litera „h”.

Ciemne oczy Virgilia spoglądały nań wyzywająco.

— Czy mogłabym się dowiedzieć, czym trudni się pańska rodzina?

Momentalnie poczuł się zepchnięty do defensywy, wiedział już, o co jej chodzi.

— Jesteśmy właścicielami plantacji ryżu, proszę pani. Jest dosyć duża i przynosi spore zyski. Zdawał sobie sprawę, że jego słowa zabrzmiały tak, jakby się przechwalał; widocznie poczuł się zagrożony jej atakiem.

— W takim razie, jak przypuszczam, ma pan niewolników.

Z jego twarzy zniknęły teraz resztki uśmiechu.

— Tak, proszę pani, ponad stu pięćdziesięciu. Bez nich nie można by uprawiać ryżu.

— Jak długo Południe będzie się opierało na niewolnictwie, pozostanie zacofane, panie Main.

Matka dotknęła jej ramienia.

— Virgilio, to nie czas ani miejsce na taką dyskusję. Twoja uwaga była nieuprzejma i niechrześcijańska. Prawie nie znasz tego młodzieńca.

Zamrugła oczyma, na inną formę przeprosin nie miał chyba co liczyć.

— Pasażerowie na pokład. Prosimy pasażerów o wejście na pokład!

W powietrzu rozległ się ostry dźwięk gongu. George zakreślił się nerwowo, objął Billa, matkę i ojca, sztywno uściśnął dłoń Stanleya i ledwie burknął coś na pożegnanie do Virgilia.

Wkrótce parowiec odbił od przystani. Stojąca na brzegu rodzina Hazardów długo wymachiwała rękami, aż wreszcie zniknęła w oddali. Statek wolno popłynął pod prąd. Obaj podróżni spojrzeli po sobie, teraz byli już zdani na własne siły.

Siedemnastoletni George Hazard czuł się w obowiązku przeprosić swego towarzysza z Południa. Nie potrafił zrozumieć

siostry, przypuszczał jednak, że jest obrażona na wszystkich dokoła, ponieważ nie przyszła na świat jako mężczyzna — z wszelkimi należnymi prawami i przywilejami. Wściekłość uczyniła z niej człowieka nie umiejącego dostosować się do otoczenia; była zbyt obcesowa, aby znaleźć sobie adoratora. Młody Pensy Iwańczyk nie rozumiał też poglądów siostry. Nigdy dotąd nie łamał sobie głowy nad sprawą niewolnictwa. To zjawisko po prostu istniało, jakkolwiek wielu ludzi sądziło, że powinno być zakazane. W każdym razie był daleki od potępiania za ten stan rzeczy owego Południowca.

Łopatki koła spieniały skapaną w słońcu taflę wody. Nabrzeże i zabudowania Nowego Jorku zniknęły już z pola widzenia. George zerknął ukradkiem na Orry'ego, który przypominał mu Stanleya: „Najpierw przemyśl sobie wszystko dokładnie, a dopiero potem działaj”, ale jednocześnie różnił się od jego brata w istotny sposób. Uśmiech Orry'ego był szczery, naturalny, nie jak Stanleya zarozumiały i wymuszony. George odchrząknął.

Moja siostra zachowała się nieodpowiednio. To, co powiedziała, nie było grzeczne.

Zauważył, że Orry mmentalnie zeszytniał, ale po chwili odprężył się pod wpływem jego słów.

Czy ona jest abolicjonistką? zapytał George'a.

Nie sądzę. W każdym razie nie aktywną, chociaż myślę, że mogłaby nią być. Mam nadzieję, że nie weźmie pan jej uwag do swojej osoby Moim zdaniem w taki sam sposób odniosłaby się do każdego przybysza z Południa, a jest pan zapewne pierwszym z tamtej części Stanów, na którego się natknęła. W Pensylwanii nie ma wielu Południowców, ja również nie poznałem jeszcze żadnego.

Spotka ich pan wielu w Akademii.

To dobrze. Chętnie dowiedziałbym się, jacy są naprawdę. Widzi pan, mam swoje wyobrażenia...

I jakież one są? — Ludzie z Południa jedzą wieprzowinę i kapustę, walczą na noże i obchodzą się niewłaściwie z niewolnikami.

Mimo iż Orry poczuł się dotknięty owym opisem, zdołał dostrzec w nim akcenty humorystyczne.

Te słowa mogą być prawdziwe w odniesieniu do niektórych Południowców, ale z pewnością nie do wszystkich. To właśnie, jak sądzę, rodzi nieporozumienia. Zastanowił się przez chwilę. Ja również mam przed oczyma wizerunek Jankesa.

— Tak też myślałem. A jaki? George uśmiechnął się.

Jankes lubi wymyślać stale coś nowego i jest gotów wywieść w pole swego sąsiada, z którym procesuje się w sądzie.

Jest impertynencki, próbuje namówić innych do kupna jego noży czy innych przedmiotów z żelaza, ale najbardziej zależy mu na tym, aby obedrzeć cię ze skóry. George roześmiał się na cały głos.

— Muszę przyznać, że spotykałem już i takich Jankesów.

— Ojciec mówi, że Jankesi chcą teraz rządzić całym krajem.

Tej uwagi George nie mógł zignorować.

— W ten sam sposób, w jaki robi to od lat Wirginia? Orry oparł dłoń na lakierowanym relingu.

— Proszę popatrzeć...

— Nie, niech pan lepiej spojrzysz tam. — George uświadomił sobie, że jeśli mają zostać przyjaciółmi, muszą natychmiast zmienić temat rozmowy. Wskazał na rufę, gdzie pod barwnymi parasolami chichotały dwie młode kobiety. Trzecia, starsza od nich, drzemała na ławce.

W życiu George'a były już dwie dziewczyny, z którymi sypiał. To pozwalało mu uważać się za światowca.

— Może podejźmy do nich i porozmawiamy?

Orry zaczerwienił się i potrząsnął głową.

— Proszę iść, jeśli ma pan ochotę. Mnie tak bardzo nie zależy na emablowaniu dam.

— Nie lubi pan?

— Nie znam się na tym — przyznał nieśmiało.

— No cóż, a więc powinien pan się nauczyć, w przeciwnym razie utraci pan połowę przyjemności, jakie może dać życie. — Oparł się o reling. — Zresztą, ja chyba też nie będę z nimi rozmawiać. Nie mogę sobie pozwolić na romansowanie, podczas gdy płyniemy do West Point.

Umilkł, poddając się uczuciu trwogi, które narastało w nim, odkąd opuścił dom. Jego rodzina będzie spędzać czas w mieście; ojciec załatwiać interesy, inni korzystać z uroków restauracji, muzeów i teatrów, gdy on podążał ku niepewnej przyszłości. I był samotny. Nawet jeśli uda mu się znieść spartańską dyscyplinę Akademii, upłyną dwa lata, zanim ujrzy ponownie Lehigh Station. Kadeci otrzymywali przepustkę tylko raz, pomiędzy drugim a trzecim rokiem.

Oczywiście będzie musiał pokonać mnóstwo przeszkód, zanim zasłuży sobie na ten króciutki urlop. Akademia oznaczała ciężką pracę, młodszy kadeci byli niemiłosiernie dręczeni przez absolwentów wyższych klas, co jeszcze bardziej utrudniało pobyt na uczelni. Dlatego właśnie instytut poddawano coraz częstszej krytyce, zwłaszcza ze strony demokratów, którzy w ogóle sprzeciwiali się istnieniu tej szkoły.

Parowiec płynął pod prąd. Po jednej stronie wznosiła się palisada zielona od letnich liści, ale na urwistym brzegu nie widać było żadnego śladu obecności człowieka. Statek wiozł ich

w dzikie pustkowię i dlatego George cieszył się z towarzystwa kogoś skazanego na równie niepewny los i — o ile się nie mylił — dręczonego tą samą obawą o przyszłość.

2

Parowiec płynął na północ, w kierunku Hudson Highlands. Około pierwszej po południu znalazł się w pobliżu West Point. Orry wyteżył wzrok, chciał obejrzeć pomnik wielkiego bohatera, Kościuszki, stojący na brzegu, ale gęste listowie uniemożliwiło ten zamiar.

Kiedy statek został wprowadzony do Północnego Doku, oczom obu młodzieńców ukazał się zapierający dech w piersiach widok na Cieśninę Hudsona, rozciągającą się na północ. Lodowce utworzyły niegdyś coś w rodzaju tarasów na stokach, których charakterystyczne wierzchołki Orry znalazł z książek. Wskazał je teraz palcem. Za nimi, na Wschodnim brzegu, wznosił się Mount Taurus, na zachodzie Crow-Nest, a nieco dalej w górze rzeki łańcuch Shawangunk.

— Za nami, tam gdzie mineliśmy Constitution Island, Amerykanie podczas rewolucji wzniesli zapórę z łańcuchów, aby uniemożliwić żeglugę w tym miejscu. W górze mieścił się Fort Clinton, nazwany tak na cześć brytyjskiego generała, a tam to ruiny Fortu Putnam.

— Jak widzę, interesujesz się historią — zauważył George.

— Tak. Podczas rewolucji walczyło kilku Mainów, jeden z nich u Mariona, Lisa z Moczar.

— Cóż, myślę, że walczyło w niej również kilku Hazardów. Ale w Pensylwanii nie interesujemy się zbyt tymi sprawami. — W głosie George'a zabrzmiało rozdrażnienie, którego przyczyną z pewnością był upał i poczucie osamotnienia. Zdając sobie z tego sprawę, usiłował obrócić wszystko w żart. Teraz już rozumiem, czemu nie masz czasu na dziewczęta bez przerwy czytasz.

Orry znowu poczerwieniał, ale George machnął ręką.

— Och, nie zrozum mnie źle. To, o czym mówiłeś, jest bardzo ciekawe. Ale czemu jesteś stale tak poważny?

A co w tym złego? Ty też powinieneś spoważnieć, o ile chcesz przebrnąć przez swój pierwszy letni obóz. George opanował się.

— Chyba masz rację.

Kiedy zeszli na ląd, obie dziewczyny pomachały im na

pożegnanie. Upał stał się nie do zniesienia i George zdjął płaszcz. Na nabrzeżu czekało na nich dwóch umundurowanych żołnierzy. Jeden z nich, o wyglądzie niezdary, stał oparty o rozklekotany jednokonny wóz. Miał na sobie krótką kurtkę z mosiężnymi guzikami, spodnie i rękawiczki – wszystko w białym kolorze, ale brudne. Na głowie nosił płaski kaszkiet o krągłym denku, ozdobiony jakimiś mosiężnymi ornamentami. Przy szerokim pasie wisiała olbrzymia szabla.

Orry i George byli jedynymi przybyszami. Marynarze, nie troszcząc się o zawartość bagaży, zrzucili kufry na brzeg. Zanim obaj młodzieńcy zdążyli rozejrzeć się, wciągnięto spiesznie trap, rozległ się dzwon pokładowy, łopatki koła uderzyły o wodę, a ryk syreny obwieścił, że statek odpływa.

Niższy żołnierz, w nieco czystszej mundurze, zacisnął dłoń na rękojeści szabli i postąpił krok do przodu. On również miał na głowie kaszkiet, jego twarz pokrywały zmarszczki, a akcent, gdy odezwał się do chłopców, jednoznacznie wskazywał na irlandzkie pochodzenie.

— Kapral Owens, armia Stanów Zjednoczonych. Dowódca patrolu.

— Jesteśmy młodszymi kadetami... — zaczął George.

— Nie, sir!

— Jak to?

— Jesteście rzeczą, sir. Aby zostać młodszym kadetem, należy zdać egzaminy wstępne. Do tego czasu będziecie czymś niższym od młodszych kadetów. Na razie jesteście po prostu rzeczami. Zapamiętajcie to sobie i zachowujcie się stosownie do tego.

George nie potrafił przełknąć słów kaprała.

— Aha, wszystko zgodnie z hierarchią i przegródkami, co?

Owens prychnął pogardliwie.

— Dokładnie tak, sir. Akademia przywiązuje olbrzymią wagę do hierarchii. Nawet poszczególne oddziały różnią się rangą. Saperzy tworzą elitę, szczyt, że tak powiem. Dlatego zostają nimi wyłącznie kadeci, którzy osiągną najlepsze wyniki. Ci z najgorszymi ocenami zostają dragonami. Zapamiętajcie to sobie i zachowujcie się stosownie do tego.

Przeklęty gbur pomyślał Orry.

Owens nie przypadł mu do gustu. Jak się później okazało, jego odczucia pokrywały się z opinią większości kadetów. Owens wskazał na wóz.

— Załadujcie tam swój bagaż i idźcie ścieżką pod górę. Zameldujcie się u adiutanta.

George chciał się dowiedzieć, gdzie zastaną adiutanta, ale Owens zignorował pytanie.

Krętą ścieżką z trudem wspinali się pod górę, za którą

rozcigała się równina; płaskie, pozbawione drzew pole, piaszczyste i rozżarzone od słońca. Orry zatęsknił za domem. Próbował zwalczyć to uczucie, przypominając sobie, po co tu przybył. Akademia dawała mu szansę osiągnięcia tego, o czym marzył od najmłodszych lat: zrobienia kariery w wojsku.

Jeżeli George czuł się zagubiony, to nie dał tego po sobie poznać. Podczas gdy Orry wpatrywał się w kamienne budowle, wznoszące się na skraju równiny, George skoncentrował uwagę na niewielkim drewnianym domku tuż obok, po lewej stronie, a zwłaszcza na kilku osobach, gawędzących ze sobą i obserwujących plac spod daszku werandy.

— Dziewczyny — niepotrzebnie wyjaśnił George. To z pewnością hotel. Ciekawe, czy mógłbym tam kupić cygara.

— Kadeci nie palą. Tak mówią przepisy.

— Jakoś sobie poradzę. George wzruszył ramionami.

Orry wprawdzie znajdował się pod dużym wrażeniem Akademii, ale same budynki wydały mu się nazbyt spartańskie; odpowiadały jednak oczywiście specyfice wojska. Zadawało to niewątpliwie kłam krytykom, którzy twierdzili, że Akademia rozpieszcza tych, którzy już do niej wstąpili.

West Point nie mogła być też uważana za ostoję próżniactwa, jako że co roku w czerwcu przybywało tu dziewięćdziesięciu do stu młodych ludzi, z których po czterech latach dyplom ukończenia uczelni otrzymywało jedynie czterdziestu lub pięćdziesięciu. Orry i jego nowy przyjaciel mieli przed sobą długą drogę, zanim opuszczą to miejsce jako pełnoprawni absolwenci klasy z roku 1846.

Przyjęcie do West Point odbywało się wedle ściśle określonych zasad. Minimalny wiek wynosił szesnaście lat, maksymalny — dwadzieścia jeden. Każdego roku do Akademii mógł być przyjęty tylko jeden kadet z danego okręgu wyborczego. Istniała rezerwa miejsc dla dziesięciu słuchaczy; mogli na nią liczyć synowie oficerów nie posiadających stałego miejsca zamieszkania, było również jedno miejsce prezydenckie, przeznaczone dla okręgu Columbia.

Akademia istniała zaledwie czterdzieści lat, stała się już jednak obiektem zajadłych ataków zarówno ze strony Kongresu, jak też opinii publicznej. Jej walory edukacyjne uznawano wprawdzie w kraju i w Europie, ale nie mogło to zastąpić życzliwości ze strony społeczeństwa. Uczelnia musiała ustawicznie odpierać zarzuty, iż jest zbyt elitarna i służy jedynie synal-kom zamożnych i ustosunkowanych osobistości. Podczas prezydentury Jacksona kongresmen David Crockett z Tennessee przedłożył projekt ustawy, która gdyby została zatwierdzona, oznaczałaby likwidację Akademii.

Mimo iż uczelnia w West Point powstała w 1802 roku, aż do

zakończenia wojny w 1812 roku* nie cieszyła się wielkim poparciem, a nawet zainteresowaniem Kongresu i rządu. Podczas wojny duża część dowództwa wojskowego okazała się nieudolna, czego konsekwencją było mianowanie w 1817 roku na nowego komendanta Akademii majora Sylvanusa Thayera. To właśnie on zdołał podnieść poziom szkolenia wojskowego jak również przedmiotów ogólnych. Od tej pory wśród absolwentów West Point zdarzali się coraz częściej wojskowi, którzy w późniejszym okresie okazywali się wybitnymi oficerami. Orry wielokrotnie słyszał od ojca o Robertcie Lee** z Korpusu Saperów. Lee był kadetem pod koniec lat dwudziestych.

A jednak sceptycznie nastawione społeczeństwo nie miało okazji przekonać się o wojskowych umiejętnościach absolwentów Akademii, nie było bowiem wojny. Bez wojny zapewnienia płynące z West Point na temat olbrzymiej wagi programu uczelni nie mogły znaleźć odpowiedniego posłuchu. Ow sceptycyzm potęgowała postawa wielu kadetów; jedynie nieliczni uwzględniali w swych planach długą karierę w szeregach armii. W rzeczywistości przyjęcie do Akademii oznaczało dla wielu okazję do *zdobycia rzetelnego wykształcenia. Obowiązujące prawo zmuszało* po uzyskaniu dyplomu ukończenia uczelni do odbycia zaledwie czteroletniej służby wojskowej. W czasie podróży parowcem George również przyznał, że zamierza odsłużyć tylko ten wymagany czas, a następnie zrzucić mundur. Nic dziwnego, że w opinii wielu ludzi przestępstwem było marnotrawienie pieniędzy z budżetu państwowego na kształcenie młodych mężczyzn, którzy nie chcieli potem spłacać długu służbą wojskową z prawdziwego zdarzenia.

Z dała, z drugiego końca placu, dobiegły okrzyki. Orry i George odkryli źródło tych odgłosów niemal natychmiast: na piaszczystej alejce, wiodącej do dwóch murowanych budynków koszarowych, umundurowani kadeci wydawali komendy. W odpowiedzi na te ryki inni młodzieńcy w cywilnych ubraniach niezdarnie stawali w szeregu. Sposób, w jaki to czynili, chaotyczny i bezładny, świadczył, że to nowicjusze.

Rozległ się odgłos werbla: staccato o wyraźnie zaznaczonym rytmie. Nie opodal George'a i Orry'ego pojawił się kadet w imponującym mundurze, kroczący dziarsko w stronę hotelu. George uniósł dłoń, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

* Chodzi o wojnę z Anglią za prezydentury J. Madisona. ** Lee R. Edward (1807–1870) — podczas wojny secesyjnej jeden z pięciu dowódców wojsk Konfederacji. Od lutego 1865 roku naczelny dowódca wojsk Południa.

— Przepraszam!

Kadet przystanął, wyprężył się i obrzucił ich surowym spojrzeniem.

— Czy zwrócił się pan do mnie, sir? — Zabrzmiało to raczej jak okrzyk, nie zaś pytanie.

George uśmiechał się w dalszym ciągu.

— Zgadza się. Właśnie szukamy...

— Jeśli jest pan nowicjuszem, sir — ryknął tamten — trzeba zdjąć kapelusz. — Spojrzał na Orry'ego. — Pan również, sir! Zwracając się do starszego rangą, należy zawsze zdjąć nakrycie głowy, sir. — Znowu popatrzył na George'a. — A teraz słucham, sir. Co pan mi chciał powiedzieć, sir?

Zastraszony krzykiem i tymi wszystkimi „sir” George ledwie zdołał zapytać o biuro adiutanta.

Tędy, sir. A co do nas, jeszcze się spotkamy, sir. Może pan być tego pewien, sir.

Ruszył przed siebie. George i Orry wymienili spojrzenia pełne konsternacji. Dowiedzieli się, jak w West Point zwracają się do siebie uczący się w tej szkole kadeci — i wcale nie byli tym zachwyceni.

Sekretarz adiutanta był również Irlandczykiem, na szczęście jednak bardziej uprzejmym niż jego ziomek, którego zdążyli poznać. Przejrzał ich dokumenty, podczas gdy drugi asystent odebrał im kieszonkowe, które mieli przy sobie, i wpisał kwotę do akt, po czym wysłał obu do sierżanta Striblinga, koszary południowe, pokój numer czternaście.

W pobliżu koszar zatrzymali się przy pompie wodnej. Nieco dalej pasła się krowa komendanta Delafielda, oni jednak skierowali wzrok na odbywających musztrę młodych ludzi; z pewnością nowicjuszy jak i oni, mieli bowiem na sobie cywilne ubrania. Na pytanie Orry'ego o mundury sekretarz adiutanta odpowiedział:

— Nie będą wam potrzebne, dopóki nie staniecie się młodszy mi kadetami, chłopcy. A młodszymi kadetami staniecie się dopiero po zdaniu egzaminów wstępnych.

Maszerujący po dziedzińcu wykonywali rozkazy nieudolnie, potykając się raz po raz, co sprawiało, że instruktorzy musztry wykrzykiwali polecenia coraz głośniej. Wkrótce miejsce nowicjuszy zajął batalion umundurowanych kadetów. Ich musztra przebiegała sprawnie, była tak zsynchronizowana, że Orry odzyskał nadzieję; przyjdzie czas, że i oni nauczą się ćwiczyć.

Kadet Stribling nosił nieskazitelnie białe spodnie i przepisową szarą kurtkę, ozdobioną czarnymi, jodełkowatymi sznurami i trzema rzędami kulistych, złoconych guzików. Nie dając im dojść do słowa, skrzyczał ich podobnie, jak uczynił to przedtem kadet idący do hotelu, a następnie wysłał do magazynu, skąd

pobrali rynsztunek: wiadra i miotły, blaszaną miskę, mydło, książkę do nauki rachunków i tabliczkę łupkową oraz koce tak nowe, że były jeszcze przesiąknięte zapachem owiec. Ten właśnie zapach charakteryzował młodszych kadetów.

Ich pokój na trzecim piętrze koszar z pewnością nie należał do luksusowych: jedno okno, kilka półek na książki, duży kominek — oto, co zajmowało jedną ścianę. Orry zastanawiał się, czy aby w tym pokoju będzie wystarczająco ciepło w śnieżne, zimowe noce. Do tej pory widział śnieg tylko raz i to zaledwie przez dwie godziny—gdyż potem biała pokrywa zniknęła — ale przecież nie znajdowali się w Południowej Karolinie.

George oglądał wąskie, żelazne łóżka okiem znawcy.

— Te nogi są źle odlane — zauważył.

Znowu dobiegł ich dźwięk werbla, ale tym razem jego brzmienie w stęchłym powietrzu było inne. George skrzywił się.

— Wygląda na to, że każda czynność sygnalizują tu biciem w bęben. Czuję się już jak jakiś przeklęty niewolnik!

— Myślisz, że to sygnał na kolację? — W oczach Orry'ego zabłysła nadzieja.

— Dobrze by było! Umieram z głodu.

Nie była to jednak jeszcze pora posiłku. Kiedy zeszli na dół, otrzymali rozkaz, by stanąć w szeregu i obserwować wieczorną defiladę. Orkiestra wojskowa zagrała marsza i Orry od razu zapomniał o głodzie.

Bagnety przy opartych o ramiona muszkietach płonęły w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca, najrozmaitsze kolory i pióra na oficerskich kapeluszach tańczyły na wietrze. Maszerujący żołnierze i muzyka zafascynowała Orry'ego do tego stopnia, że raptem tęsknota za domem rodzinnym przestała mu doskwierać; poczuł się niemal szczęśliwy. Mimo wszystko West Point było spełnieniem jego chłopięcych ambicji, które nadal kształtowały jego życie.

Nie pamiętał już dokładnie, kiedy postanowił zostać żołnierzem, wiedział jednak doskonale, dlaczego ta profesja znaczy dla niego tak wiele; otaczał ją niezwykły splendor, nie dający się porównać z życiem plantatora ryżu, miała też uniwersalne znaczenie. Wielu ludzi spoglądało na wojsko z góry, nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że generałowie i ich armie często zmieniali kształt całych krajów i ustalali bieg historii.

Dawniej czytał mnóstwo książek o wodzach, którym udało się tego dokonać. Aleksander Wielki. Hannibal. Czyngis-chan. Bonaparte, którego apokaliptyczny cień pokrył całą Europę niepełna pół wieku temu. Właśnie te lektury, jak również chłopięce marzenia, będące mieszaniną niebezpiecznych przygód i historycznych widowisk, bohaterstwa i rozlewu krwi, wpłynęły na decyzję Orry'ego o rozpoczęciu kariery wojskowej. Wiedział, że

do końca życia będzie wdzięczny starszemu bratu za to, że zrezygnował z nauki w West Point.

Po zakończeniu tej imponującej ceremonii werbel odezwał się ponownie; tym razem obwieścił kolację. Kadet Stribling objął komendę nad oddziałem rekrutów, którzy pomaszzerowali do jadalni w sposób daleki od regulaminowego. Tam wszyscy czekali na stojąco, aż najstarszy rangą, kapitan kadetów, da rozkaz: „siadać”.

Oddział usiadł przy rozchybotanym drewnianym stole, zarezerwowanym dla nowicjuszy. Jednak przy innych stołach Orry zauważył kilku nowych kadetów siedzących wspólnie ze słuchaczami starszych klas. Można to było sobie wytłumaczyć tylko w jeden sposób: te „rzeczy” przybyły tu o dzień wcześniej. Kadeci z najwyższej klasy mieli najlepsze miejsca przy końcach stołów. Tuż przy nich, po bokach, siedzieli słuchacze z przedostatniej klasy, następni ci z drugiej i wreszcie młodszy kadeci. Natomiast z denerwowanych rekrutów, z których Orry nie spuszczał oka. Starsi kadeci wypowiadali ironiczne uwagi na ich temat, nie śpieszyli się z podaniem im talerzy. Orry poczuł ulgę, że nie siedzi przy takim stole.

Ktoś powiedział, że głównym posiłkiem tego dnia był obiad, a więc na kolację otrzymali to, co zazwyczaj zostaje w żołnierskich stołówkach jako resztki: wołowinę i gotowane ziemniaki. George i Orry byli tak głodni, że wcale im to nie przeszkadzało. Tym bardziej że było też trochę przysmaków: chleb domowego wypieku, wiejskie masło, mocna kawa. Po kolacji na rozkaz kapitana wszyscy powstali z miejsc. Kadeci i rekruci odmaszerowali w takt gwizdków i werbla do swoich kwater.

Kiedy obaj przyjaciele rozkładali koce na żelaznych łózkach, posępny wzrok George'a zdawał się pytać, po co w ogóle przybyli w to miejsce osamotnienia i twardych rygorów. Czas wolny do capstrzyku kilku kadetów ze starszych klas wykorzystano na zapoznanie się z rekrutami. Jeden z nich, dryblas mający co najmniej sześć stóp wzrostu, Barnard Bee, pochodził z Południowej Karoliny, co ucieszyło Orry'ego. George również spotkał ziomka ze swego rodzinnego stanu, kadeta Winfielda Hancocka.

Południowe koszary pomieściły większość rekrutów i jeszcze pierwszego wieczoru George i Orry zapoznali się z wieloma z nich, między innymi z bystrym, wygadany, niewysokim przybyszem z Filadelfii, który przedstawił się jako George McClellan.

To śmietanka towarzystwa — wyjaśnił George, kiedy tamten wyszedł. — Jego rodzina jest znana w całej wschodniej Pensylwanii. Jest podobno bardzo inteligentny, może nawet to geniusz. Ma dopiero piętnaście lat.

Orry oderwał wzrok od małego, wiszącego nad umywalką lustra, w którym przeglądał się od dłuższego czasu; otrzymał już rozkaz, aby przyszczyć włosy.

— Piętnaście? Jak to możliwe? Przecież trzeba mieć co najmniej szesnaście, żeby się tu dostać!

George rzucił mu cyniczne spojrzenie.

— Chyba że masz odpowiednie znajomości w Waszyngtonie. Ojciec powiedział mi, że jest spory nacisk niektórych polityków, aby synowie pewnych osobistości zostali przyjęci na tę uczelnię. A również, aby nie wyrzucać ich, gdyby nie dawali sobie rady z nauką albo wpadli w jakieś tarapaty.

Kilka minut później zjawili się dwaj następni rekruci. Pierwszy, elegancko ubrany Wirgińczyk, który przedstawił się jako George Pickett, był średniego wzrostu, często się uśmiechał i miał ciemne, połyskliwe włosy, opadające na ramiona. Jak wyjaśnił, został skierowany do West Point ze stanu Illinois, gdzie pełnił funkcję sekretarza w biurze swego wuja, prawnika. Nie mógł być wysłany z Wirginii, gdyż ten stan wyczerpał swój limit przydziałów. O zasadach przyjęć na uczelnię Pickett wyrażał się jeszcze bardziej pogardliwie niż George. Jego bezpośredni sposób bycia bardzo przypadł George'owi i Orry'emu do gustu.

Drugi gość również pochodził z Wirginii, ale Pickett przedstawił go bez większego entuzjazmu. Może żałował nawet, że zawarł znajomość z tym niezgrabnym dryblasem. Pomiędzy nim, pochodzącym z okręgu Fauquier, a owym kadetem z Clarksburga, istniała wyraźna różnica. Oczywiście, tego zachodniego skrawka ziemi nie można było traktować jako autentycznej części Południa, gdyż w górzyściej okolicy żyli przede wszystkim ludzie prości, nie umiejący czytać ani pisać.

Tom J. Jackson — jak sam się przedstawił — był doskonałym tego przykładem. Miał ziemistą cerę oraz długi i cienki nos, przywodzący na myśl ostrze noża. Podczas rozmowy przeszywał obecnych spojrzeniem swych szaroniebieskich oczu, czym działał Orry'emu na nerwy. Jackson starał się sprawiać wrażenie wesołka, podobnie jak Pickett, ale brak towarzyskiej ogłady, cechujący jego zachowanie, spowodował, że ta wizyta — choć tak krótka — nie była przyjemna dla żadnego z czterech młodzieńców.

— Z taką facjatą powinien pójść na kaznodzieję, nie na żołnierza — mruknął George, zdmuchując świecę. — Wygląda, jakby coś go dręczyło. Bóle brzucha. Może skurcz jelit. A zresztą, co to mnie obchodzi? On z pewnością nie wytrzyma nawet dziesięciu dni.

Orry o mały włos nie spadł z łóżka, kiedy ktoś nagle otworzył drzwi potężnym kopniakiem, a stentorowy głos ryknął:

— A pan, sir, nie wytrzyma nawet połowy tego co on, jeśli nie

będzie pan przestrzegał ciszy o wyznaczonej porze. Dobranoc, sir!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Nawet w momentach wypoczynku nie można było umknąć przed panującym w West Point systemem i kadetami ze starszych klas.

Odgłos werbla obudził ich jeszcze przed świtem. Ranek, który nastął, nie był przyjemny. Kadet w stopniu porucznika, pochodzący z Kentucky, zrzucił na podłogę wszystkie koce i przeprowadził wykład na temat właściwego sposobu składania pościeli oraz przygotowywania pokoju do inspekcji. George nie posiadał się ze złości, ale mogło być przecież jeszcze gorzej. Rekruta z sąsiedniego pokoju odwiedziło dwóch podoficerów, z których jeden przedstawił drugiego jako wojskowego fryzjera. Nowicjusz, biorąc wyjaśnienie za dobrą monetę, pozwolił niefrasobliwie, aby tamten wypróbował na nim swą brzytwę i nożyce. Po tej operacji był łysy jak kolano.

Jednak nie wszyscy kadeci uprzykrzali życie swoim młodszym kolegom, niektórzy nawet oferowali pomoc. Kadet Bee zaproponował, że pomoże* w nauce tych przedmiotów, które mieli zdawać na egzaminach wstępnych, a więc w lepszym opanowaniu czytania, pisania, ortografii, prostych rachunków i matematyki dziesiętnej, jak również ułamków pospolitych.

George podziękował mu mówiąc, że da sobie radę. Orry natomiast przyjął ofertę z wdzięcznością. Zawsze zaliczał się do mizernych uczniów o słabej pamięci i nie miał żadnych złudzeń co do swoich umiejętności.

W przeciwieństwie do niego George nie zamierzał poświęcać całego wolnego czasu na naukę, zameczał natomiast pytaniami kadetów sprawiających wrażenie bardziej przystępnych. Dowiedział się w ten sposób kilku rzeczy, które ucieszyły go niepomiernie. Otóż pewien właściciel łodzi przyływał regularnie w ustronne miejsce nie opodal dziedzińca Akademii i czekał tam na kadetów posiadających koce lub inne towary na wymianę. Wśród nielegalnych towarów, które oferował właściciel łodzi, były ciasta, whisky i — dzięki Bogu! cygara. George palił, odkąd ukończył czternaście lat.

Jeszcze bardziej uradowała go wiadomość, że przez cały rok przyjeżdżają do hotelu „Roe” młode kobiety. Niewiasty w różnym wieku zdawały się cierpieć na tę samą dolegliwość, określaną złośliwie i z przymrużeniem oka jako „kadecka gorączka”. George odetchnął z ulgą; może więc jego czteroletnie wygnanie nie będzie tak straszne, jak się spodziewał.

Wiedział, że będzie mu ciężko pogodzić się z dyscypliną, ale z drugiej strony wykształcenie, które mógł zdobyć w West Point,

przedstawiało rzeczywistą wartość, będzie więc musiał po prostu nauczyć się obchodzić pewne przepisy. Jego współlokator był sympatyczny, nawet bardzo, nie miał tych drażniących arystokratycznych manier jak niektórzy Południowcy. W niespełna dwadzieścia cztery godziny wielu z nich zawarło znajomość z Jankesami, tworząc niewielkie grupy trzymające się razem.

Po obiedzie werbel wezwał na musztrę. W pierwszej chwili, dołączając do oddziału, George ucieszył się, ale radość pierzchnęła natychmiast, gdy ujrzał instruktora. Był to typ wazący co najmniej dwieście funtów, o zarysowującym się już pod mundurem brzuszku, czarnych włosach, chytrych, ciemnych oczach i twarzy, która na słońcu raczej czerwienieje niż brązowieje. Wyglądał na osiemnaście, dziewiętnaście lat. George skojarzył go sobie natychmiast z tucznikiem, z gruboskórnym zwierzęciem, i od pierwszej chwili poczuł do niego niechęć.

— Panowie, jestem kadet Bent, wasz instruktor musztry. Z wielkiego i suwerennego stanu Ohio. — Przystanął raptownie przed Orrym. — Czy chciałby pan to skomentować, sir?

Orry przełknął ślinę.

— Nie.

— Odpowiada się: Nie, nie chciałbym, sir.

George nagle odniósł wrażenie, że ten opasły kadet poświęcił swój wolny czas, aby zebrać informacje na temat miejsc, z których pochodzą jego podopieczni, a teraz wykorzystuje je, aby ich prowokować. Dla wielu Południowców wyraz „Ohio” oznaczał tylko jedno: stan, w którym mieściła się uczelnia Oberlin kształcąca białych i czarnych studentów jak równych sobie.

— Wy, dżentelmeni z Południa, uważacie się zapewne za coś wyższego od nas, mieszkańców Zachodu, czy tak, sir?

Orry poczuł, że twarz nabiega mu krwią.

— Nie, sir.

— Cóż, cieszy mnie, że zgadza się pan ze mną, sir. Jestem tym zaskoczony, ale bardzo się cieszę.

Bent przeszedł powoli wzdłuż szeregu, mijając kilku rekrutów o wyglądzie gamoni, na następną ofiarę wybrał George'a.

— A pan, sir? Co pan myśli o Zachodzie, patrząc nań ze swoich stron, czyli ze Wschodu... Chyba się nie mylę, prawda, sir? Który z tych trzech regionów góruje według pana nad innymi?

George uczynił wszystko, aby spojrzeć na niego z uśmiechem skończonego idioty.

— Cóż, oczywiście, że Wschód, sir.

— Co pan powiedział?

Nieprzyjemny oddech Benta mógł przyprawić o mdłości, ale George nie przestawał się uśmiechać.

— Wschód, sir. Na Zachodzie są sami chłopci. Oczywiście nie mam na myśli tu obecnych, sir.

— Czy powtórzyłyby pan to samo wiedząc, że rodzina Bentów ma ważnych i wysoko postawionych przyjaciół w Waszyngtonie, sir? Przyjaciół, których jedno słowo wystarczyłoby, aby stracił pan swoje miejsce na uczelni?

Nadęty paw pomyślał George, uśmiechając się w dalszym ciągu.

— Tak jest, powtórzyłbym to. — Zanim Bent otworzył usta, dodał: — Sir.

Zdaje się, że pańskie nazwisko brzmi Hazard, sir. Wystąpić! Zademonstruję na panu przed tymi oto dżentelmenami jedną z fundamentalnych zasad maszerowania. Czy pan mnie słyszał, sir? Powiedziałem: wystąp!

George wysunął się czym prędzej do przodu. Nie wykonał rozkazu natychmiast, gdyż jak urzeczony wpatrywał się w złowieszcze błyski w oczach Benta. To już nie było zwykłe dokuczanie, ten łajdak znajdował prawdziwą przyjemność w znęcaniu się nad innymi. Mimo upału George'a przeszedł dreszcz.

A teraz, sir, wyjaśnię zasadę, o której mówiłem. Zazwyczaj nazywamy to gęsim krokiem. Niech pan stanie na jednej nodze, o tak...

Podniósł prawą nogę, ale zachwiał się; waga jego ciała nie pozwalała mu utrzymać równowagi.

Na komendę: „przód” wyrzucamy uniesioną nogę do przodu, o tak... Przód!

Nie zdołał unieść nogi na odpowiednią wysokość. Cały w potach z widocznym trudem usiłował pozostać w tej niewygodnej pozycji przez dłuższą chwilę. Następnie, z okrzykiem „w tył”, chciał opuścić nogę i przenieść ją do tyłu, zachwiał się jednak ponownie i o mały włos nie padł na ziemię. Ktoś parsknął śmiechem. George uświadomił sobie z przerażeniem, że ów chichot, dobiegi od strony Otty'ego.

To pan, sir! Nasza cieplarniana lilia z Południa! Jak widzę, kpi pan sobie ze mnie... z ćwiczeń wojskowych!

Sir... zaczął Orry, najwyraźniej wystraszony. Gdyby został pan już przyjęty formalnie jako młodszy kadet, podałbym pana do raportu i otrzymałby pan dwadzieścia punktów karnych. A musi pan wiedzieć, sir, że jeśli otrzyma w roku dwieście punktów karnych, czeka pana trakt do Can-terberry była to droga wiodąca do najbliższej stacji kolejowej, a określenie to oznaczało umownie relegowanie z uczelni --a tym samym hańba. Nie uratują pana wtedy nawet starsi kadeci. A więc niech pan okiełzna swoją wesołość, sir! Pławiąc się w swej pysze, Bent rozglądał się z satysfakcją. I, co jeszcze ważniejsze, niech pan pokaże, co pan pojął z moich wyjaśnień. Przecwiczycie to razem, pan i pański kolega. Wystąp!

Orry stanął obok George'a. Bent stąpił przed nimi **jak paw**,

butnie, jak gdyby widział się już w randze kaprala, i wykrzykiwał:
— Unieść nogę! Wytrwać! Zaczynamy! Przód, w tył! Przód, w tył! Przód, w tył!

Zanim upłynęła minuta, George poczuł ból w prawej nodze. Jeden z oficerów przechodzących właśnie obok skinął do Benta z aprobatą. A komendy Benta stawały się coraz głośniejsze, padały coraz szybciej. George był już cały pokryty potem. Noga zaczęła dygotać, zwłaszcza mięśnie uda.

Upłynęły dwie minuty. Następnie jeszcze dwie. W uszach narastał szum, przed oczami pojawiła się mgła. Zdawał sobie sprawę, że może nie wytrzyma już nawet przez dziesięć minut. Właściwie zawsze szczycił się świetną kondycją fizyczną, ale nie był przyzwyczajony do tego typu demoralizujących ćwiczeń.

— Przód, w tył! Przód, w tył! — Głos Benta ochryplł z emocji.

Rekruci stojący w szeregu wymieniali płochliwe spojrzenia. Patologiczna uciecha otyłego kadeta była aż nazbyt widoczna. Orry upadł pierwszy, łądując na dłoniach i jednym kolanie. Bent spiesznie podszedł do niego, szurając nogą tak, aby sypnąć mu piachem w oczy. Chciał już dać rozkaz, aby Orry wstał i kontynuował ćwiczenia, kiedy zauważył, że oficer obserwuje ich w dalszym ciągu.

— Wracać do szeregu, sir! — polecił. W jego głosie dał się wyczuć żal. Rzucił druzgocące spojrzenie George'owi. — Pan też, sir. Może następnym razem nie będziecie traktować wojskowej musztry tak frywolnie i zachowywać się impertynencko wobec starszego rangą.

George czuł straszliwy ból w prawej nodze, wrócił jednak do szeregu, starając się nie utykać.

Rekruci są narażeni na najprzeróżniejsze szykany — pomyślał. — To nic takiego, ale ten złośliwy wieprz jest czymś więcej niż wymagającym przełożonym. Jest sadystą.

Chytre, małe oczka Benta wpiły się w niego ponownie. Wyzywająco odparował to spojrzenie. Wiedział już, że ma w nim wroga.

Obaj przyjaciele zaczęli rozpytywać o Benta i wkrótce zdobyli więcej informacji, niż się spodziewali. Kadet z Ohio, wyjątkowo nielubiany, był już studentem starszej klasy. Koledzy z tego samego roku chętnie rozprawiali o jego porażkach, co stanowiło rzadko występujący objaw nielojalności i świadczyło o całkowitym braku szacunku wobec Benta.

W okresie gdy był młodszym kadetem, musiał znosić niezwykle ostre szykany. Według słów Hancocka i innych sam był temu winien przez swoje pompatyczne uwagi na temat wojny

i nieustanne chępcie się koneksjami rodzinnymi w Waszyngtonie.

— Przypuszczam, że jest taki z powodu swojej tuszy — wypowiedział się na temat Benta Bee. — Znałem kilku tłustych facetów, którym zatruwano życie, kiedy byli jeszcze mali, i w konsekwencji wyrosli na ludzi naprawdę złych. Ale z drugiej strony to jeszcze nie wyjaśnia, czemu jest aż tak cholernym parszywcem. Postawę, którą on przyjął, rzadko można spotkać u wojskowego, można by pomyśleć, że jest niespełna rozumu — zakończył Bee pukając się wymownie w czoło.

Inny kolega z klasy wspomniał o oddaniu Benta dla czołowego wykładowcy Akademii, profesora Dennisa Mahana, który uczył techniki i strategii wojennej. Mahan reprezentował opinię, że najbliższa wielka wojna, niezależnie od tego, co ją wywoła i kto będzie w niej uczestniczył, zostanie rozegrana wedle zupełnie nowych zasad strategicznych. Jedną z nich miała być szybkość. W lepszej sytuacji znajdzie się armia, która potrafi poruszać się szybciej. W systemie transportu, zarówno w Ameryce, jak również w innych częściach świata, właśnie dokonywał się przełom. Mimo niezbyt korzystnej sytuacji w gospodarce sieć kolejowa rozrastała się nieprzerwanie. Kolejnictwo miało wpłynąć na szybkość transportu w dużo większym stopniu niż teorie wykładane w salach Akademii; to ono miało uczynić z nich rzeczywistość.

Drugą zasadę Mahana stanowiła informacja, i to nie uzyskiwana w sposób tradycyjny, ale od przywiązanych do ziemi podniebnych zwiadowców. Profesor chętnie rozważał się na temat wykorzystania balonów do celów obserwacyjnych, jak również o eksperymentach przeprowadzanych z zaszyfrowanymi wiadomościami, które słało przewodami na odległość wielu kilometrów.

Poglądy Mahana interesowały wielu kadetów, ale tylko nieliczni podchodzili do nich w sposób tak fanatyczny jak Bent. Szczególnie wyraźnie uwidoczniło się to, kiedy na nieszczęście młodych kadetów Bent zjawił się ponownie jako instruktor musztry. Mahan uczył, że wielcy wodzowie, tacy jak Fryderyk czy Napoleon, nigdy nie walczyli wyłącznie o kawałek ziemi, ale o cel dalece istotniejszy; a mianowicie, by skruszyć opór nieprzyjaciela. Podczas musztry Bent pozwolił sobie na wygłoszenie krótkiego, dziwaczego wykładu, w którym powołał się na teorie Mahana, po czym zaznaczył, że obowiązkiem kadetów z klas starszych jest wdrażanie dyscypliny wojskowej przez bezwzględne tłumienie oporu wśród młodszych kolegów. Kiedy to mówił, po jego spoconej twarzy przemknął nikły uśmiech, jednak jego małe, ciemne oczy pozbawione były wszelkiej wesołości.

Jackson, który również znajdował się w tym oddziale, tego

dnia stał się obiektem ataku ze strony Benta. Nieraz wymyślał on Wirgińczykowi od „durniów”. Po powrocie do koszar Jackson określił Benta jako człowieka nieco zbyt „rozdrażnionego”.

— I nie jest chrześcijaninem. Nie ma w nim nic z chrześcijani na — dodał z właściwą mu żarliwością.

George wzruszył ramionami.

Gdyby ktoś ochrzcił cię imieniem Elkanah, zapewne i ty bybyś niezbyt normalny.

— Nie znam się za dobrze na sprawach wojskowych — wtrącił Orry — ale według mnie Bent nie nadaje się na dowódcę i nie będzie dobrym dowódcą w przyszłości.

— Ale należy do ludzi tego pokroju, co to przebijają się łokciami wszędzie tam, gdzie chcą — zauważył George. Zwłaszcza jeśli rzeczywiście ma takie koneksje, jakimi się chępli na prawo i lewo.

Stało się już tradycją, że absolwenci Akademii podczas swojej ostatniej defilady podrzucali kapelusze do góry, a potem kopali je po całym dziedzińcu lub dźgali bagnetami. Tak właśnie wyglądało ukończenie West Point.

Tuż po ceremonii absolwenci opuszczali uczelnię; większość z nich przedtem oddawała lub sprzedawała swoje mundury i pościel pozostającym w murach Akademii przyjacielom. Wszystkie klasy przesuwają się o jeden stopień w górę, a Zarząd Wizytatorów, powołany przez generała Winfielda Scotta do egzaminowania przyszłych absolwentów, kierował całą swą uwagę na młodszych kadetów.

Generał Scott był czołowym żołnierzem narodu, pompatycznym i otyłym, ale cieszącym się sławą bohatera. Niektórzy nazywali go Starym Zrzedą i Strojnisem. Wraz z córkami mieszkał w hotelu i uczestniczył we wszystkich egzaminach wstępnych, jakkolwiek większość z nich przesyłał, podobnie zresztą jak duża część oficerów będących członkami Zarządu. Egzaminy przeprowadzane były przez profesorów, których bez trudu rozpoznawano po ubraniach, mieli bowiem na sobie nie przepisowe mundury, lecz granatowe kurtki i spodnie o wojskowym kroju.

Nowych kadetów podzielono w sposób przypadkowy na niewielkie grupy lub sekcje; wszystko, co działo się w Akademii, odbywało się w sekcjach. Egzaminy przebiegały na wzór normalnych zajęć klasowych. Tu, w West Point, studenci nie wysłuchiwali biernie wykładów, aby po kilku miesiącach powtórzyć je na sprawdzianie przed swoim nauczycielem. Każdego dnia, zgodnie z ustalonym planem zajęć, określona liczba członków poszczególnych sekcji wygłaszała referat. W tym celu używano wiszącej na ścianie tablicy.

Podczas egzaminu George, Orry i inni musieli podejść do tablicy i zademonstrować swą wiedzę ze wszystkich wymaganych przez program nauczania przedmiotów. George nie przygotowywał się zbyt pilnie, nie wyglądał jednak na zaniepokojonego oczekującym go sprawdzianem, na co wskazywała jego swobodna postawa. Egzamin zdał bez żadnych trudności.

Kiedy przyszła kolej na Orry'ego, sala egzaminacyjna wydała mu się gorętsza od górniczego szybu, oficerowie znudzeni, Scott chrapał właśnie, a odpowiadanie przy tablicy stanowiło dlań prawdziwą mękę. Na pytania odpowiadał razem z Jacksonem. Trudno było ocenić, którego z nich oblał większy pot, kto bardziej umazał się kredą. Czy warto było tak się męczyć dla królewskiego żołdu kadeta, wynoszącego czternaście dolarów miesięcznie? Orry musiał powtarzać sobie w duchu, że tortury przy tablicy to cena za to, że ma zostać żołnierzem.

Szczerze mu dopisało. Dwudziestu kandydatów nie zdało i zostało odesłanych do domu. Reszta otrzymała mundury. Po pierwszych, wydających się nie mieć końca miesiącach, zostali młodszymi kadetami. Orry jeszcze nigdy nie był tak podekscytowany jak teraz, kiedy przesuwał dłonią po rękawie swojej kurtki kadeta, przypominającej frak.

3

Przepisowy dwumiesięczny obóz letni rozpoczął się 1 lipca. Z wyjątkiem przedostatniej klasy, której uczniowie przebywali na urlopach, cały korpus kadecki rozbił w dolinie namioty. Orry poznał tajniki stania na warcie oraz postępowania z uczniami starszych klas, którzy weszli w ciemnościach, aby przekonać się, czy zdołają wyprowadzić w pole nowego wartownika.

Bent był obecnie kapralem. Już trzykrotnie podał Orry'ego do raportu za różne przewinienia. W opinii samego obwinionego dwa oskarżenia zostały wyssane z palca, trzecie zaś było mocno przesadzone. George nalegał, aby w tej ostatniej sprawie wysłał pisemne wyjaśnienie do kapitana Thomasa, komendanta kadetów. Gdyby wyjaśnienie to brzmiało przekonywająco, punkty karne zostałyby anulowane. Jednak Orry słyszał już, że Thomas jest pedantem na punkcie gramatyki i stylu; często trzymał przed sobą delikwenta przez całą godzinę, usiłując przeprowadzić w tym czasie poprawę wyjaśnienia. Ponieważ Orry'emu za bardzo przypominało to odpowiedzi przy tablicy, przyjął naganę do wiadomości i zainkasował punkty karne.

Ulubionym celem Benta zdawał się być George, który nie wiedzieć czemu zawsze zwracał na siebie uwagę podoficera z Ohio. Kiedy młodszy kadeci mieli doprowadzić obóz do porządku, Bent zamęczał George'a do granic wytrzymałości, rozkazując mu zbierać ziarenka żwiru i prostować zdżbła trawy, które uznał za wykrzywione. George, ku olbrzymiej fadości kaprała, nie potrafił ukryć rozdrażnienia, zbierał więc w szaleńczym tempie punkty karne i wkrótce zdobył ich trzy razy więcej niż Orry.

Mimo ciasnych namiotów, złego wyżywienia i nieustających szykan ze strony studentów ze starszych klas, którzy krytykowali u młodszych kadetów dosłowne wszystko: od sposobu salutowania do przodków, życie w obozie sprawiało Orry'emu przyjemność. Podobały mu się ćwiczenia piechoty i artylerii zajmujące większość dnia, a parady wieczorne, oglądane przez gości z hotelu, stanowiły wspaniałą demonstrację sprawności wojska, co wynagradzało wszelkie trudy.

Co tydzień odbywał się wieczorek taneczny dla kadetów. Aby zapewnić schodzącym się na tę imprezę damom wystarczającą liczbę partnerów, Akademia zaoferowała swoim studentom usługi

ności tańczenia gigy, przypominał też sobie i inne kroki i nie opuszczał żadnej potańcówki, o ile akurat nie pełnił służby. Młodszy kadetom wolno było przebywać w towarzystwie dam, mieli jednak obowiązek ustępować swoim starszym kolegom. Mimo to George bawił się świetnie i kilkakrotnie udało mu się odbyć wraz z partnerką tak zwany flirciarski spacer, co oznaczało rozmyślne wykroczenie przeciw regulaminowi, który nie zezwalał młodszy kadetom na przebywanie w pewnych miejscach placówki.

Pewnego wieczoru po tańcach George wśliznął się do namiotu, owiewał go wyraźny zapach cygar. Orry nie spał jeszcze i George począł namawiać przyjaciela, aby w następnym tygodniu poszedł z nim na potańcówkę.

— Kiedy ze mnie okropny tancerz — ziewnęła Orry. — Po prostu nigdy nie starczyło mi odwagi, aby objąć mocno dziewczynę. Sądzę, że kłopot polega na tym, iż traktuję kobietę jak obiekt, który należy czcić z daleka, tak jak pomnik.

— Co za bzdury! szepnął George. — Kobiety są po to, aby je dotykać i korzystać z ich istnienia... Podobnie jak stare zimowe rękawiczki, które polubiłeś. I to władnie uwielbiają.

— George, nie mogę w to uwierzyć. Kobiety nie mają takich myśli jak mężczyźni. To wrażliwe, delikatne istoty. I bardzo szlachetne.

— One jedynie udają, że są wrażliwe i szlachetne, gdyż czasem pomagają im to w osiągnięciu celu. Uwierz mi, Orry, kobieta pragnie dokładnie tego samego, o czym marzą mężczyźni. Po prostu nie mogą się do tego przyznać, to wszystko.

Powinieneś zapomnieć czym prędzej o tej romantycznej wizji słabej płci. Jeśli tego nie uczynisz, nadejdzie dzień, że któraś z tych słabych kobiet złamie ci serce.

Orry był skłonny przyznać przyjacielowi rację, ale tego lata nie mógł się jakoś zmusić do pójścia na potańcówkę.

Pod koniec sierpnia wrócili do West Point kadeci, którzy przebywali na urlopowach, i korpus ponownie zakwaterował się w koszarach. Uczniowie ze starszych klas wykorzystali tego dnia młodszych kadetów jako juczne zwierzęta, każąc im przynieść do sal swoje bagaże. Kapral Bent upatrywał sobie George'a, który musiał, uginając się pod ciężarem jego rzeczy i to przy upale dochodzącym do dziewięćdziesięciu ośmiu stopni, taszczyć jego bagaże aż czterokrotnie. Za piątym razem Bent rozkazał mu biec. George zdołał dotrzeć do połowy schodów koszar północnych, rozpaczliwie nabrał do płuc powietrza i stracił przytomność.

Spadając na dół, rozkrwawił sobie czoło. Bent nie przeprosił go za ten incydent ani nawet nie wyraził współczucia, podał go natomiast do raportu za nieostrożne obchodzenie się z dobytkiem starszego kadeta i spowodowanie strat. Orry począł namawiać przyjaciela do napisania wyjaśnienia w tej sprawie, ale George odmówił.

— Musiałbym przyznać, że zemdlałem jak dziewczyna, a tego nie chcę. Ale nie martw się, przyjdzie czas, że dostanę tego drania. Jeśli nie za tydzień, to w przyszłym miesiącu albo nawet za rok.

Orry poczuł nagle, że trawi go ta sama żądza.

Poranne strzelanie, wieczorne strzelanie, odgłosy gwizdków i werbli — to wszystko stało się wkrótce czymś normalnym, graniczącym nawet z zażyłością. Ale najbardziej Orry polubił dźwięk werbla; nie tylko pełnił funkcję zegara, ale przypominał mu również, po co tu przebywa, dodawał mu także otuchy, kiedy nauka wydawała mu się zbyt trudna — to zaś zdarzało się zawsze, kiedy stawał przy tablicy.

Zajęcia z matematyki dla młodszych kadetów odbywały się w godzinach porannych, a z francuskiego po południu. W pierwszym tygodniu podział na poszczególne sekcje oparty był na zasadzie czystego przypadku, potem jednak wśród nowych kadetów wprowadzono hierarchię. Orry znalazł się w przedostatniej sekcji matematycznej i w ostatniej francuskiej, wśród „nieśmiertelnych”, jak nazywali ich kadeci.

Sekcja francuska, w której znajdował się Orry, podlegała porucznikowi Theophile d'Oremieulx, rodowitemu Francuzowi, od stóp do głów Galijczyka. Reagował z niezwykłą wrażliwością na akcent i postępy w nauce swych podopiecznych, co uwzględniał w sposób jednoznaczny w ocenach.

Pozycję klasy podawano do wiadomości co tydzień podczas apelu. Niektórzy kadeci opuszczali ostatnią sekcję francuskiego, inni dostawali się do niej, natomiast Orry pozostawał w niej niezmiennie. D'Oremieulx, zaintrygowany tym faktem, zaczął wypytywać go o szczegóły dotyczące domu i Orry zdradził się, że protoplasta rodu Mainów był Francuzem.

— W takim razie pańscy krewni znają ten język?

Nie, już nie, niestety. Matka potrafi trochę czytać, a siostry uczą się francuskiego w domu, to wszystko.

Wielki Boże! wykrzyknął instruktor, biegając nerwowo od ściany do ściany. — Czy oni naprawdę spodziewają się, że będę nauczał barbarzyńców? Równie dobrze mógłbym próbować przyswoić m'sieu Attila sztuki malowania filiżanek do herbaty!

Wyglądało na to, że owa rozmowa wpłynęła niekorzystnie na i tak już złe stosunki pomiędzy Orrym i nauczycielem. Pewnego październikowego popołudnia, kiedy Orry ponownie dał dowód słabej znajomości francuskiego, d'Oremieulx stracił panowanie nad sobą:

Niech pan pozwoli sobie coś powiedzieć, m'sieu Main. Gdyby m'sieu Jezus Chrystus zapytał mnie: „M'sieu d'Ore-mieulx, czy woli pan słuchać, jak m'sieu Main mówi po francusku, czy też woli pan iść do piekła?”, powiedziałbym Mu: „Wolę już iść do piekła, bardzo proszę, m'sieu Jezus Chrystus.” A teraz niech pan już siada, niechże pan siada!

Następnego dnia Orry począł ćwiczyć francuski na głos i otdął robił to zawsze, kiedy przebywał w pokoju sam. Jednak Bent nie przestawał węszyć i w dwa dni później przyłapał go na jednej z owych głośnych deklamacji. Jeszcze z korytarza ryknął na całe gardło, żądając wyjaśnienia, co się dzieje. Kiedy Orry powiedział, że się uczy, Bent parsknął wzdorliwie.

— Pan tu się z kimś zabawia, sir. Nie jest pan sam.

— Orry poczerwieniał.

— Nie, sir. Może się pan przekonać...

Ale kapral odmaszerował już, a następnie podał Orry'ego do raportu za próbę wyprowadzenia starszego rangą w pole.

Orry złożył pisemne wyjaśnienie. Po niezbyt przyjemnym przesłuchaniu, przeprowadzonym przez kapitana Thomasa, skarga na niego została oddalona. Dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że Bent usłyszawszy o tym szalał i kłął na czym świat stoi przez co najmniej dziesięć minut.

Jesień minęła szybciej, niż Orry się spodziewał. Marsze, ćwiczenia z musztry, zajęcia w klasie i nie kończąca się nauka wypełniały niemal cały wolny czas. System panujący w West

Point pomyślany był w ten sposób, aby nie dopuszczać do osłabienia koncentracji. Jedynie w sobotnie popołudnie młodszym kadetom wolno było spędzać czas wedle własnego uznania, ale nawet wtedy zdarzało się często, że wysyłano ich na obchód lub wyznaczano do pełnienia warty – w ten sposób mogli odrobić punkty karne.

Szczególnie uciążliwa była służba podczas niepogody. Nadin-tendent Delafield, nazywany Starym Dickeyem, miał dziwne sposoby oszczędzania. Jednym z nich była odmowa wydawania płaszczy aż do egzaminów styczniowych. Po co dawać kadetowi drogie odzienie, które zabierze sobie do domu, gdyby został wydalony z Akademii? Efekt jego rozumowania był taki, że w okresie jesiennej słoty najmłodsi kadeci pełnili wartę w cienkich, niewiarygodnie brudnych płaszczech, znalezionych na wartowni i będących od wielu lat siedliskiem kurzu i robactwa.

George nadal nie uczył się dużo, był jednak zawsze w pierwszej lub drugiej sekcji zarówno na zajęciach z matematyki, jak i z francuskiego. Miał już jednak 110 punktów karnych, podczas gdy Orry 93. W obu przypadkach odpowiedzialny za dwie trzecie punktów był Bent. Szykany ze strony kadeta z Ohio osłabły nieco w miarę zbliżania się egzaminów styczniowych.

Każdego wieczoru Orry czekał, aż pogasną światła, po czym wymykał się do pokoju Toma Jacksona. Przy blasku żarzących się węgli uczyli się razem. Orry doszedł do przekonania, że Jackson posiada wrodzoną inteligencję, jest nawet błyskotliwy, ma jednak duże kłopoty z lekcjami i formalnym przebiegiem zajęć; każda pozytywna ocena wymagała z jego strony niezwykle wysiłków. Mimo to Wirgińczyk był zdecydowany nie dawać za wygraną i wkrótce jego determinację dostrzegli koledzy, obdarzając go przydomkiem „generał”.

Bywały momenty, kiedy *Orry* uważał Jacksona za szaleńca potrafił na przykład siadać sztywno na pięć minut, tak aby jego narządy wewnętrzne „mogły przybrać właściwą pozycję”. Do spraw zdrowotnych odnosił się z maniacką wręcz pedanterią.

George wysłał do domu jeden okolicznościowy list, Orry napisał ich wiele i na każdy otrzymał odpowiedź. Ale kiedy grudzień począł dobiegać końca, korespondencja przestała wystarczać. Nigdy przedtem Orry nie spędzał świąt Bożego Narodzenia z dala od rodzinnej plantacji i ta świadomość wprawiła go w sentymentalny nastrój. Okazując swoje uczucia, co zdarzało się niezwykle rzadko, George przyznał, że i jemu będzie w święta brakować domowego ciepła. Wreszcie Boże Narodzenie nadeszło i chociaż kapelan wygłosił interesujące kazanie, a w kantine podano smaczny posiłek, dla większości kadetów był to dzień pełen smutku i poczucia osamotnienia.

Niebawem rozpoczął się styczeń ze swym posępnym chłodem i szarym niebem. Zbliżały się egzaminy. Rzekę Hudson stopniowo pokryła lodowa powłoka, ale Orry nie zwracał na to uwagi. Nawet gdy stał na warcie, targany śnieżycą, jego myśli krążyły wokół języka francuskiego.

W jakiś sposób przetrwał pytania przy tablicy. Po ogłoszeniu wyników egzaminu począł skakać z radości. Kadeci, którym się nie udało, pakowali w milczeniu swoje walizy. Szesnastu młodszych kadetów udało się w drogę do Canterbury. Inni złożyli ślubowanie, podpisali warunki poboru i otrzymali wreszcie kadeckie płaszcze.

Od początku lutego upłynęło zaledwie kilka dni, kiedy George przedstawił przyjacielowi ryzykowną propozycję.

— Nie mam już ani jednego cygara. A poza tym nie uczciliś my jeszcze naszego wspaniałego sukcesu na egzaminach. Może więc poszlibyśmy do Benny'ego?

Orry spojrział na okno. Blask księżycy oświetlał na zamarzniętych *szybach gwiazdiste wzory*, kominiek nie *zdołał* pokonać nocnego chłodu. Hudson była już niemal zupełnie zamarznięta.

— W taką pogodę? O tej porze? — Orry nie ukrywał zaskoczenia. — Jeszcze trochę i zabrzmi capstrzyk i sygnał gaszenia świateł.

George zeskoczył z łóżka, gdzie leżał do tej pory czytając książkę.

— Jasne! Musimy odwiedzić to słynne miejsce. Zasłużyliśmy sobie na małą uroczystość. Gdzie podziała się twoja żądza przygód? — I już nakładał swój nowy płaszcz.

Orry właściwie chciał odmówić, ale ponieważ George uczynił już kilkakrotnie parę krytycznych uwag na temat jego charakteru, postanowił tym razem nie odrzucać propozycji przyjaciela. Pół godziny po zgaszeniu świateł wymknęli się z pokoju, zeszedli ostrożnie po żelaznych schodkach, obeszli wartownika i pobiegli nad rzekę, w przenikliwy, zapierający dech w piersiach ziąb. Z wysiłkiem zeszedli ścieżką po stoku, brodząc po śniegu i przedzierając się przez zamarznięte zarośla. Przeprawa stawała się coraz trudniejsza. George rzucił okiem na połyskliwą biel z lewej strony.

— Łatwiej byłoby iść po tym lodzie.

— Sądzisz, że jest wystarczająco gruby i nie załamie się pod nami?

W błędnych oczach George'a odbijał się księżyc żeglujący wysoko po niebie.

— Zaraz się przekonamy.

Orry podążał za przyjacielem, w duchu ganiąc siebie za

ustawiczny brak odwagi. Czy taka postawa przystoi komuś, kto może już wkrótce obejmie dowództwo nad oddziałem podczas bitwy? Wszedł na śliski lód i usłyszał ostry trzask. George, idący przodem, przystanął.

— Co to było?

Orry zerknął na ciemny stok, górujący nad nimi.

— Wydawało mi się, że to stamtąd.

— Chyba nie myślisz, że ktoś skrada się za nami?

Orry rozejrzał się dokoła. Na oświetlonym przez księżyc lodzie mogli być zauważeni przez każdego, kto znajdowałby się na brzegu.

— Już za późno, aby się nad tym zastanawiać!

George przyznał mu rację. Przyśpieszyli kroku. Kilkakrotnie słyszeli trzask powłoki lodowej, tak jakby miała pęknąć pod ich ciężarem; rzeczywiście była jeszcze zbyt słaba. Nic jednak nie wskazywało na to, że ktoś ich śledzi. Niebawem więc, oparci o gyzms okna, wpatrywali się w przytulny kominek, ogrzewający wewnątrz niewielkiej, położonej nad brzegiem rzeki gospody Benny'ego Havena.

George zatarł ręce, po czym chuchnął w dłonie.

— Mamy szczęście! W środku nie mają nikogo ze starszych klas!

Istotnie, Benny Haven nie miał żadnych klientów z Akademii, jedynie dwóch mieszkańców Buttermilk Falls, miasteczka położonego na pobliskim wzgórzu, siedziało za stołem. Dobroduszny Benny, mężczyzna w średnim wieku, o czarnych włosach, dużym nosie i indiańskich rysach twarzy, sprzedawał tu piwo, wino i mocniejsze napoje alkoholowe od wielu, wielu lat; otwarcia gospody nie pamiętali już nie tylko kadeci, ale również oficerowie. Obu nowych klientów powitał wylewnie, rolnicy z Buttermilk Falls zmierzyli ich posępnym wzrokiem.

George poprosił o trzy cygara i dwa kufle piwa, po czym usiedli przy stoliku w kącie pod oknem, skąd roztaczał się widok na wzgórze. Gdyby pojawił się starszy kadet, mogli uciec przez odkryte zasłoną drzwi tuż obok kamiennego kominka. Orry odprężył się nieco, rozkoszując się smakiem piwa i zapachem gorącej szynki, który dochodził z kuchni. Zamówił talerz szynki i trochę pieczywa.

Benny przyniósł jedzenie i rozpoczął rozmowę. Zapewnił, że jako nowy klient Orry jest tu mile widziany, ale jego akcent wskazuje, że pochodzi z Południa. Nie potrafił pohamować ciekawości i zapytał grzecznie, jak to właściwie jest z żądaniem Południa dotyczącym aneksji Teksasu. Czy kryje się za tym pragnienie niektórych polityków, aby przyłączyć do Unii kolejne terytorium, na którym panuje niewolnictwo?

Orry zdążył już przywyknąć do tego typu uwag, nie poczuł się

więc dotknięty. Zresztą jego brat Cooper mawiał zawsze — ku wielkiemu niezadowoleniu ojca — że taka jest prawda. Orry postanowił nie śpieszyć się z udzieleniem odpowiedzi.

Podczas gdy zbierał myśli, Benny zmarszczył brwi i zerknął w stronę okrytych zasłoną drzwi. Z kuchni dobiegł jakiś szmer. Wyraz twarzy George'a sygnalizował kłopoty, zanim jeszcze czyjaś ręka szarpnęła zasłonę, a zza materiału wyłoniła się zaczerwieniona od mrozu twarz trzęsącego się z zimna kadeta.

— Aha... i cóż my tu mamy? Dwóch winowajców, jak widzę — odezwał się Elkanah Bent z szerokim uśmiechem na twarzy.

Orry poczuł skurcz w żołądku. Był pewien, że zjawienie się kaprała nie jest sprawą przypadku. Przypomniał sobie hałas, który słyszeli podczas marszu po lodzie. Ile to nocy Bent szpiegował ich, czekając na taką okazję jak ta?

Nieoczekiwanie George zamachnął się i rzucił swój pusty kufel. Bent uchylił się przed lecącym w powietrzu naczyniem, a George krzyknął: — W nogi! — i jednym susem znalazł się za drzwiami.

Orry pobiegł za nim, a w głowie kołatała się bezsensowna w tej sytuacji myśl, nie zapłacili za piwo!

Pędząc wzdłuż brzegu George zapadł się w głęboką zaspę śnieżną. Orry przystanął, wrócił się i pomógł przyjacielowi stanąć z powrotem na nogi. W oddali dostrzegł Benta, z trudem brodzącego za nimi, oraz Benny'ego Havena, który stał w drzwiach gospody, z rozbawieniem obserwując całą scenę. Najwyraźniej nie przejmował się nie zapłaconym rachunkiem.

— Pośpiesz się, George — wykrzyknął Orry zadyszczanym głosem, kiedy George potknął się i runął w śnieg po raz drugi.

Coś mi się widzi, że ten sukinsyn dostanie nas w końcu, tak jak chciał.

— Chyba że złoimy mu skórę.

— Jeśli to uczynimy, złoży na nas raport, a nie możemy przecież skłamać. — Orry biegł, z coraz większym trudem chwytnąjąc powietrze. Kodeks honorowy Akademii zdążył już wejść im w krew.

— Rzeczywiście, nie możemy tego zrobić — przyznał George.

Olbrzymia masa ciała nie sprzyjała Bentowi, obaj uciekinierzy oddalali się z każdą chwilą. Biegli szybko, a jedyną przeszkodę stanowiły zarośla. Zamarznięte gałęzie chłostały im twarze i łamały się z trzaskiem przypominającym odgłos wystrzału. Niebawem George zmienił kierunek. Przeskoczył niski krzew i wylądował na lodzie. Orry dostrzegł, jak biała od blasku księżyca powierzchnia pęka.

— Może uda nam się zmusić go, by nie podawał nas do

raportu — mruknął George podążający przodem. On też jest poza terenem Akademii po zgaszeniu światła, nie zapominaj o tym.

Orry nie odpowiedział, nieprzerwanie parł do brzegu. W rozmowaniu George'a było coś niewłaściwego, nie potrafił jednak określić co.

Bieg po zamrożonej rzece był ryzykowny. Kilkakrotnie Orry odnosił wrażenie, że lód załamał się zŁ moment. Obejrzał się i dostrzegł Benta, który potykając się i zataczając biegł uparcie za nimi: duża, rozedrgana plama z atramentu na białej powierzchni rzeki.

— Jeszcze dwadzieścia jardów i wyjdziemy na ścieżkę — krzyknął George, wskazując dróżkę. W tej samej chwili za ich plecami rozległ się przeraźliwy wrzask. George ślizgał się jeszcze chwilę, zanim się zatrzymał, po czym spojrział za siebie.

O Boże! jęknął. Orry wpadł na niego i również odwrócił się: nad lodową taflą widniała już tylko połowa ciemnej plamy. Bent rozpaczliwie wymachiwał rękami, usłyszeli jego pełne trwogi wołanie.

— Wpadł do wody! krzyknął Orry.

— Nic dziwnego. Wiesz*, ile on waży? Idziemy dalej!

— George, nie możemy go tak zostawić! Może się utopić!

Wrzaski Benta przybrały na sile. George skrzywił się.

— Obawiałem się, że to powiesz.

— Słuchaj, nie wierzę, że tak nagle straciłeś sumienie...

— Och, zamknij się już i chodź przerwał mu George, zwracając.

W jego oczach migotały iskierki gniewu, nie musiał nawet mówić Orry'emu, że szczęście odwróciło się od nich. W następnej chwili Bent począł zapadać się pod lód. Orry i George przyspieszyli kroku. Głowa Benta zniknęła. Jego czapka pływała po wodzie, sztywny daszek połyskiwał w blasku księżyca. W tym samym momencie, kiedy przyjaciele dotarli na miejsce wypadku, Bent wynurzył się. Chlapiąc na wszystkie strony i krzycząc ze strachu, wyciągnął ku nim ręce.

George i Orry zaczęli ciągnąć ciało do góry. Ratunek nie był sprawą łatwą, ponieważ nie mogli znaleźć oparcia na śliskim lodzie. Dwukrotnie o mały włos sami nie wpadli głowami do wody, ale w końcu udało im się wydostać Benta na powierzchnię. Leżał teraz w bezruchu, krztusząc się: mokre, masywne cielsko. George ukląkł przy nim.

— Bent? Musi pan wstać i wrócić do koszar. W przeciwnym razie zamarznie pan tu.

— Tak... dobrze. Niech pan mi pomoże... proszę.

Objęli go ramionami, podpierając w ten sposób. Bent nie był już w stanie powiedzieć nic sensownego, jęczał tylko, chwytając

łapczywie powietrze. Jego ubranie przesiąkło wodą do tego stopnia, że wkrótce obaj wybawcy również mieli przemoczoną odzież, a zanim dotarli do brzegu, dygotali z zimna nie mniej niż kapral. W milczeniu wdrapał się z wysiłkiem na wzgórze, po czym otrząsnął się, odetchnął głęboko i powiedział:

— Doceniam to, co uczyniliście. To... dowodzi, że jesteście dzielni. Dalej pójdę sam. A wy wracajcie do koszar jak najszybciej.

Zanurzył się w mrok, ale jeszcze przez pewien czas przyjaciele słyszeli jego chrzęszczący krok i ciężki oddech.

Orry zaczął dzwonić zębami. Miał zgrabiałe od mrozu ręce. Jak dziwnie zabrzmiały ostatnie słowa Benta, tak jakoś...

Nie potrafił ubrać myśli w odpowiednie słowo. Ale George wiedział i tak, o co mu chodzi.

— Powiedział to tak szczerze, jak kobieta zachwalająca dobre strony staropanieństwa. Szkoda, że nie pozwoliliśmy mu się utopić.

Mimo zimna Orry roześmiał się wesoło.

— Teraz, kiedy jest już po wszystkim, musisz przyznać, że nasza uroczystość wypadła nadzwyczaj nędźnie.

— W samej rzeczy. — George wyciągnął z kieszeni trzy połamane cygara i wyrzucił je ze smętną miną. — Jedyna pociecha, że nie zapłaciłem za nie. Chodź już, wejdziemy do srodka, inaczej umrzemy na zimnicę.

Następnego ranka Bent nie zjawił się na śniadaniu. Najwidoczniej zgłosił, że jest chory. Doktor Wheaton, lekarz urzędowy od niemal dwudziestu lat, był człowiekiem z natury łagodnym i prostodusznym. Nigdy nie podejrzewał nikogo o symulantwo i często dawał kadetom skierowanie do szpitala albo zwalniał ich ze służby.

O swojej nocnej eskapadzie George i Orry opowiedzieli jedynie najbliższemu kolegom. Potem, w ciągu dnia, Pickett przyniósł im niedobre wieści.

— Obawiam się, że ta podstępna świnia nie powiedziała wam prawdy, chłopcy. Okazuje się, że miał specjalne zezwolenie na przebywanie poza obozem po capstrzyku. Przepustkę uzyskał od jednego z oficerów sztabowych. Bent oświadczył mu, że według otrzymanych informacji dwaj młodszy kadeci wymykają się do Benny'ego niemal co wieczór, zamierza więc przyłapać ich na gorącym uczynku.

Na obiad podano „wołowinę Albany” — tak nazwano jesiotra złowionego w Hudson zanim jeszcze rzeka zamarzła. Nie wiedzieć czemu, ryba nie smakowała Orry'emu. Potem zastanawiał się, czy przypadkiem nie zawiniło tu złe przeczucie.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku kapral Bent podał do raportu kadetów Maina i Hazarda.

Kodeks honorowy Akademii oparty był na wierze w dobry charakter kadetów. Jeżeli obwiniony oświadczył, że oskarżenie nie jest słuszne, polegano na jego słowie i wycofywano oskarżenie. W kodeks wierzył Orry, a nawet mimo swego cynizmu George. Z tego względu żaden z nich nie zaprzeczył zarzutom, chociaż punkty karne, które otrzymali, znacznie przybliżyły George'a do owej krytycznej granicy, która oznaczała wydalenie z uczelni.

Aby pozbyć się choćby paru punktów karnych, przyjaciele musieli odbyć kilka dodatkowych wart. Pogoda była coraz częściej burzliwa. George znosił służbę pod gołym niebem bez żadnego uszczerbku na zdrowiu, inaczej jednak rzecz miała się z Orrym. Od czasu owej przygody na rzece kichał stale i prychał, a szczególnie słabo poczuł się pewnego sobotniego popołudnia, kiedy wyruszył na obchód.

Od północnego zachodu przez góry nadciągnęła śnieżycy i w ciągu niespełna godziny ziemię pokrył biały puch na wysokość jednej stopy. Niebawem temperatura wzrosła, po czym spadł deszcz ze śniegiem. Orry człapał przez dłuższy czas tam i z powrotem w pobliżu bramy, aż wreszcie uświadomił sobie, że mimo zimna jest cały rozpalony. Na twarzy pot mieszał się z deszczem i śniegiem, muskiet zdawał się ważyć tonę. Orry zatoczył się i oparł o ścianę koszar, aby znaleźć chwilę wytchnienia.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Orry otworzył oczy i rozpoznał studenta z ostatniej klasy, Sama Granta, człowieka dosyć niepozornego, ale za to świetnego jeźdźca.

— Kto wysłał tu pana w taką pogodę? zapytał Grant. — Jest pan aż zielony na twarzy, tak jakby lada chwila miał pan zemdleć. Powinien pan pójść do szpitala!

— Czuję się świetnie, sir — zachrypiął Orry, starając się stanąć prosto.

Niski, ciemnooki kadet mierzył go sceptycznym wzrokiem. Czuje się pan tak samo świetnie, jak moja ciotka Bess na pięć minut przed przeniesieniem się na tamten świat. Czy mam odszukać oficera sztabowego i poprosić go, aby wyznaczył do służby kogoś innego?

— Nie, sir, to byłoby... zaniedbywanie obowiązków z mojej strony.

Grant potrząsnął głową.

— Będzie z pana świetny żołnierz, Main, o ile przedtem nie zgubi pana upór.

— Wie pan, jak się nazywam?

— Wszyscy w korpusie znają pana, pańskiego przyjaciela, no

i tego łajdaka z Ohio. Wielka szkoda, że kapral Bent cieszy się tu takim poważaniem. Niektórzy z nas usiłują temu zaradzić i szykanują go tak samo, jak on szykanuje innych. Mam gorącą nadzieję, sir, że wyzdrowieje pan na czas, aby zobaczyć to na własne oczy.

Uśmiechnął się lekko i ruszył w śnieżyce.

Była chyba dopiero czwarta po południu, panowały jednak takie ciemności, jak o północy. Orry zmusił się, aby przejść kilka kroków, zataczał się jednak. Na szczęście większość oficerów przebywała w koszarach, nie mogli więc ujrzeć tego żalosego widowiska.

Upłynęło jeszcze pół godziny. Orry zaczął zastanawiać się z coraz większą trwogą, czy aby nie jest poważnie chory, może nawet śmiertelnie, i czy jego bezsensowne pragnienie, aby nie zdradzić się przed nikim ze swą słabością, nie stanie się przyczyną jego zguby.

Pański krok nie jest wystarczająco żwawy, sir, jest wręcz rozlazły.

Orry odwrócił się na dźwięk tego głosu, jak rażony piorunem. Przy bramie majaczyła w ciemnościach niekształtna sylwetka Benta okutanego w płaszcz. Jego oczy płonęły.

— Słyszałem, że pan pełni tu służbę, sir. Przyszedłem więc sprawdzić...

Urwał, kiedy wartownik zdjął z ramienia starą strzelbę o gładkiej lufie. Orry nie czuł już strachu, ogarniała go za to furia.

— Dlaczego wycelował pan we mnie, sir?

— Dlatego, że teraz zastrzelę pana, Bent. Jeżeli nie zostawi pan w spokoju mnie i mego przyjaciela, zabiję pana.

Bent próbował przywołać na twarz szyderyczy uśmiech.

— Ależ ta strzelba nie jest nabita, sir.

Naprawdę? - — Orry zamrugał oczyma i zachwiał się na nogach. W takim razie zatłukę nią pana na śmierć, sir. Nawet gdyby mieli mnie potem postawić przed sądem wojskowym albo nawet skazać na rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny, zabiję pana, niewdzięczny łajdaku, jeśli nie zniknie pan stąd przed upływem pięciu sekund.

— Na Boga, a więc mamy w West Point szaleńca!

Tak jest, sir! Szaleńca z Ohio, który traktuje młodszych kadetów jak zwierzęta. Ale oto ma pan tu przed sobą, sir, jednego z tych, którzy nie chcą już dłużej, aby nimi pomiato. A więc pięć sekund. Jeden, sir, dwa, sir...

Bent był najwyraźniej wściekły, milczał jednak. Ten biały, narwany upiór stojący przed nim budził strach. Czapka i brwi Orry'ego gineły pod warstwą śniegu, on sam sprawiał wrażenie niebezpiecznego szaleńca, zwłaszcza teraz, kiedy obrócił strzelbę kolbą do przodu i ujął ją za lufę jak maczugę.

Twarz Benta wyrażała upokorzenie i nienawiść. Nieoczekiwanie wykręcił się na pięcie i po chwili jakby rozpląnął się w śnieżycy.

Orry odchrząknął i zawołał za nim:

— I lepiej będzie, jeśli od dziś zostawi nas pan w spokoju!

— Co pan powiedział, sir?

Ostry ton głosu zmusił go do obrócenia się w drugą stronę. Po mokrym śniegu człapał ku niemu jeden z oficerów, opatulony aż po uszy. Wiatr wył tak donośnie, że gdyby nie krzyczał na całe gardło, Orry nie dosłyszałby słów.

— Kadet Grant poprosił mnie, abym wyszedł tu do pana. Powiedział, że jest pan chory i zbyt osłabiony, aby pełnić służbę. Czy tak jest w istocie?

Postawę na baczność Orry ćwiczył już setki razy. Usiłował przybrać ją również teraz, nie zdając sobie nawet sprawy, że właśnie popełnił ów najgorszy, niewybaczalny błąd; przed chwilą rzucił strzelbę w śnieg.

Oficer chwiał się nieco w przód i w tył, Orry postanowił nie patrzeć na ten ruch i zamrugał oczyma.

— Czy tak jest w istocie, sir?

— Nie, sir! — wykrzyknął Orry i w tym samym momencie nieprzytomny runął na ziemię potracając przy tym oficera.

George przybiegł do szpitala godzinę później. Doktor Wheaton czekał na niego w izbie przyjęć.

— Stan zdrowia pańskiego przyjaciela jest nadzwyczaj po ważny. Ma niebezpiecznie podwyższoną temperaturę. Staramy się obniżyć ją, ale jeśli nie osiągniemy tego w ciągu najbliższej doby, nie ręczę, czy przeżyje.

George pomyślał o Bencie, o szalejącej śnieżycy i o Orrym.

— Ten biedny, przeklęty dureń chce za wszelką cenę zostać żołnierzem — wyjaśnił z goryczą w głosie.

— W tym miejscu takie pragnienia są podsycane jeszcze bardziej — Wheaton powiedział to z dumą, ale zarazem z ubolewaniem. — A pan również nie wygląda zbyt dobrze, młody człowieku. Przepiszę panu szklaneczkę rumu. — Uśmiechnął się porozumiewawczo. Proszę do mego gabinetu.

Za zgodą lekarza George został w szpitalu na noc, aby czuwać przy łóżku Orry'ego. Przez pewien czas towarzyszyli mu Pickett i Jackson, a w pewnym momencie do sali zajązła również starszy kadet Grant. George nie wiedział, skąd Orry go zna.

Rankiem w szpitalu zrobiło się zimno i cicho. George wiercił się na krześle. Wszyscy już wyszli. Twarz Orry'ego była nadal tak biała jak nie farbowany wełniany koc, którym został przykryty aż po szyję. W migotliwym blasku lampy olejnej sprawiał

wrażenie wątlęgo. Bardzo wątlęgo i bardzo chorego. George wpatrywał się w twarz przyjaciela i raptem, ku swemu zaskoczeniu, uświadomił sobie, że oczy zachodzą mu łzami. Ostatni raz płakał, gdy miał pięć lat; jego starszy brat, Stanley, złożył mu skórę za to, że bawił się jego ulubioną żabką.

Nie zdziwiło go, że tak bardzo przejął się losem Orry'ego Maina. W krótkim czasie przeszli razem tak wiele! A wspólne nadzieje i niewygody wykuły silne więzy przyjaźni. To również było zasługą West Point.

Nie wstawał z krzesła, nie jadł i nie spał aż do południa, kiedy wreszcie temperatura opadła.

Następnego dnia za oknem świeciło lutowe słońce, a Orry wyglądał znacznie lepiej. George odwiedził go przed kolacją, przynosząc dobre wieści.

— Wygląda na to, że Bent zmęczył się już dręczeniem nas. Kiedy szedłem do ciebie, minąłem go, a on udał, że patrzy w inną stronę.

— A ja nadal chciałbym go zabić. Boże, wybac mi te słowa, ale nie potrafię czuć nic innego do tego człowieka.

Ta ogromna nienawiść zaniepokoiła George'a, uśmiechnął się jednak jakby nigdy nic.

— Posłuchaj, przyjacielu, przecież to właśnie ty nawoływałaś do łagodności i zmiłowania, kiedy topił się w lodowatej wodzie. I udało ci się mnie przekonać.

Orry splótł dłonie.

— Prawie tego żałuję.

— Lepiej będzie zostawić go w spokoju. I tak nie znajdzie sobie miejsca. Starsi kadeci zadają mu bobu, jak tylko mogą. Słodka jest zemsta!

— Ale on uzna, że to nasza wina. Nawet jeśli przez jakiś czas przestanie nam dokuczać, na pewno tego nie zapomni. Coś z nim nie jest tak.

— Nie myśl już o tym — George wzruszył ramionami. — Mamy co innego na głowie. Musimy zrobić wszystko, aby nie dostać więcej niż dwieście punktów karnych. Niedługo czerwiec.

— Chyba masz rację — westchnął Orry.

Ale żaden z nich nie wierzył, że wystarczy zapomnieć o Bencie, aby odsunąć niebezpieczeństwo.

Późną wiosną do West Point zawitała rodzina Hazardów, ale bez Virgilli. George uzyskał niezbędną w tej sytuacji zgodę na zjedzenie z nimi obiadu w hotelu. Zabrał ze sobą Orry'ego.

William Hazard zaprosił Południowca do złożenia w przy-

szości wizyty w Lehigh Station i Orry przyjął zaproszenie z prawdziwą radością. Rodzina George'a wydała mu się tak samo sympatyczna jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, z wyjątkiem Stanleya, który nie przestawał gadać, a raczej puszyć się jak paw. Szczególnie chełpił się faktem, że wieczorem on i ojciec mają zjeść kolację z rodziną Kemble, która mieszkała za rzeką w Cold Spring.

Pomiędzy jednym i drugim kęsem wybornego udka jagnięcia Orry zapytał:

— Czy owi Kemble to krewni państwa?

Stanley zachichotał.

— O, nie, mój chłopcze. To właściciele odlewni w West Point. Jak pan myśli, kto wytwarza większość armat kupowanych przez armię?

Napuszona poza Stanleya prowokowała najmłodszego Hazarda, Billa, do strojenia grymasów i niemego parodiowania jego min. Siedział tuż obok Stanleya, który nie widział jego twarzy i nie rozumiał, dlaczego Orry zanosí się od śmiechu. Aż William Hazard trzepnął Billa w ucho. Pani Hazard spoglądała na to wszystko zatroskana.

Orry przybrał poważną minę.

— Bardzo mi przykro — powiedział oficjalnym tonem — ale nazwisko Kemble słyszę po raz pierwszy.

— Ależ oni wszędzie słyną ze swych sobotnich przyjęć! — Ton głosu Stanleya sugerował, jakoby Orry i jego rodzinny stan znajdowali się poza głównym nurtem życia kraju.

Orry zwrócił się do Williama Hazarda.

— Oni wytwarzają żelazo, prawda?

Ojciec George'a skinął głową.

— Zupełnie szczerze i bez zawiści muszę przyznać, że w całej Unii nie ma lepszych od nich.

— Może pomogliby mojemu bratu.

Stanley, znudzony, nadział kartofel na widelec. Ale William Hazard słuchał grzecznie, kiedy Orry opowiadał, że w ostatnich listach Cooper skarżył się na żelazne osie i koła zamachowe w młynie ryżowym w Mont Royal, które pękały zbyt często.

Tak nazywa się nasza plantacja. Dawniej młyn był napędzany siłą wody w rzece, ale mój brat namówił ojca do zainstalowania maszyny parowej. Ojciec był temu przeciwny i teraz uważa, że miał rację.

— Lane żelazo to trudna sprawa — wyjaśnił Hazard. — Może rzeczywiście ci Kemble pomogą pańskiemu bratu. Albo, jeszcze lepiej, dlaczego nie my? Niech pański brat napisze do mnie.

— Powiem mu to, sir. Dziękuję panu.

Orry zawsze robił wszystko, aby wywrzeć na Cooperze dobre wrażenie. Od razu następnego dnia napisał do brata. I rzeczywi-

cie; odpowiedź Coopera rozpoczynała się od słów uznania. Przyznał też, że podejrzewał już owego człowieka z Columbii, który wyrabiał części do młyna, iż zna się na ich wytwarzaniu jeszcze mniej niż on sam. Z tego powodu byłby wdzięczny za poradę i pomoc ze strony ekspertów. Zamierzał natychmiast wysłać odpowiedni list do Hazarda.

Nastał czerwiec. Ku swemu olbrzymiemu zaskoczeniu Orry zdał sobie sprawę, że ma duże szanse na przejście do następnej klasy, jakkolwiek jeszcze niedawno zanosilo się na to, że pozostanie w gronie „nieśmiertelnych”. George nadal doskonale radził sobie z nauką, chociaż nie widać było, aby się zbyt przemęczał. Orry zazdrościł mu, ale nigdy do tego stopnia, aby uczucie to przerodziło się w zawiść mogącą osłabić ich przyjaźń.

Zarówno jeden jak i drugi zdołali utrzymać liczbę punktów karnych poniżej dwustu, kiedy zaś zaczęli się zjawiać nowi kandydaci na kadetów, George i Orry mogli odetchnąć. Teraz z kolei oni dokuczali nowo przybyłym, ale w sposób pozbawiony złośliwości. Bent dał im wspaniały przykład, do czego może doprowadzić podłość jednego człowieka wobec drugiego.

Oczywiście nie byli w stanie uniknąć spotkań z Bentem, ale za każdym razem, kiedy się mijali, jego wzrok był tak obojętny, jak gdyby ich nie dostrzegał. Czuli, że chociaż zostawił ich w spokoju przez ostatnie miesiące pierwszego roku, nie zapomniał o nich. Jeszcze wyraźniej uświadamiali sobie, że nie wybaczył im niczego.

Do rozpoczęcia obozu letniego pozostało mniej więcej dziesięć dni, kiedy nieoczekiwanie zjawił się Cooper. Właśnie przyjechał z Pensylwanii, gdzie William Hazard i Stanley przebadali część pękniętych części młyna z Mont Royal.

— Pański ojciec i brat rozwiązała zagadkę niemal w jednej chwili — powiedział Cooper do George'a. Tak jak podejrzewałem, ten dureń z Columbii nie miał zielonego pojęcia, jak należy robić te części. Widocznie nie utrzymywał odpowiedniej temperatury przy wytopie. Jeśli uda mi się go o tym przekonać, nie będziemy mieli tylu awarii. Ale z pewnością nie będzie to łatwa sprawa, nie zechce przecież przyznać, że nauczył się czegoś od Jankesa.

Zafascynowany George przyglądał się Cooperowi, który miał dwadzieścia trzy lata, był wyższy od swego młodszego brata i nosił wytworne ubranie, choć w sposób wyraźnie niedbały. Miał zapadnięte policzki, ciemne oczy o ostrym spojrzeniu i niemałe poczucie humoru, jakkolwiek sprawiał wrażenie człowieka raczej skłonnego do sarkazmu niż wesołości. Pewne cechy, najwidoczniej rodzinne, dzielił wraz z Orrym; na przykład szczupłą sylwetkę, brązowe, kędzierzawe włosy i wąski, niemal arystokratyczny nos. Ale starszy brat nie miał owej zdrowej, czerstwej

cery, jaką Orry nabywał zaledwie po kilku godzinach spędzonych na słońcu; chuda twarz Coopera i całe jego ciało zdawały się emanować chorobę, jak gdyby anemiczny i wycieńczony przyszedł na świat jedynie po to, by ustawicznie nad czymś rozmyślać.

Cooper złożył tę krótką, nieoczekiwaną wizytę nie tylko, aby zobaczyć się z bratem, lecz również w celu obejrzenia uczelni, która czyniła ze swoich studentów najsprawniejszych żołnierzy w całym kraju. Do nauki przywiązywał olbrzymią wagę.

W „Roe's Hotel” przebywał krótko, ale i tak nie potrafił skoncentrować się na widokach, które przecież chciał obejrzeć. Orry zauważył raz, jak wpatruje się w murowane koszary -- albo w coś za nimi -- z jakimś tęsknym wyrazem twarzy.

Jednak tuż przed wyjazdem zdołał odsunąć od siebie troski i nieco ironiczną pozę, uśmiechnął się otwarcie do George'a i powiedział:

— Musi pan nas odwiedzić, sir. Zobaczy pan, ile pięknych dzieł jest w naszych stronach, nawet w naszej rodzinie. A przynajmniej będą śliczne, kiedy podrosną. W Lehigh Valley nie widziałem zbyt dużo pięknych dam. Co prawda, większość czasu spędziłem przy piecach hutniczych. Pańska rodzina posiada niezwykłą, imponującą fabrykę, mister Hazard.

Cieszyłbym się, gdyby mówił pan do mnie George.

— Nie, nazywaj go „Pniak” -- sprostował Orry. Wszyscy kadeci mają już swoje przydomki. Ochrzczono nas w ubiegłym tygodniu.

— A więc Pniak, co? Cooper zerknął na brata. — A jaki ty masz przydomek?

Tyczka.

Cooper roześmiał się.

A więc części tego samego drzewa, tak? No cóż, panie Pniak, chciałbym to powtórzyć: podziwiam wielkość i rozmach huty należącej do pańskiej rodziny. Jego wzrok stał się znowu jakby nieobecny, pełen melancholii. — Szczerze podziwiam.

Poprzez porykiwanie cieląt przewożonych łodzią po rzece Hudson dobiegł ich gwizd parowca przy Porcie Północnym. Cooper chwycił swój kufer i zbiegł po schodkach hotelowej werandy.

— Niech pan nas odwiedzi, mister Pniak. Orry, pamiętaj: masz się dobrze odżywiać. Spodziewamy się ciebie w domu na przyszłe lato.

Kiedy zniknął w oddali, George powiedział:

Ten twój brat wygląda na świetnego faceta.

Orry zmarszczył brwi.

— Bo taki rzeczywiście jest. Ale coś z nim jest nie tak. Przez cały czas zadawał sobie wiele trudu, aby śmiać się i żartować,

co nie przychodziło **mu** łatwo, zauważyłem jednak, że coś go dręczy.

— Ale co?

— Chciałbym to wiedzieć!

4

Szalupa rzeczna „Eutaw” wiozła Coopera z wybrzeża do domu. Na jej pokładzie znajdowały się przesyłki pocztowe i paczki z różnymi towarami, zamówionymi przez właścicieli plantacji w faktorii w Charleston.

Nastał cichy, słoneczny poranek. Wody Ashley były przejrzyste i prawie nieruchome. Ze wszystkich rzek ryżowych ta właśnie przynosiła najmniej pożytku, ulegała bowiem nawet nikłym wpływom oceanu i, chociaż była czysta, słona woda z Atlantyku, która wdzierала się do niej podczas przypływu lub huraganu, niszczyła ryż. Jednak zdaniem ojca Coopera i okolicznych plantatorów ryzyko to wynagradzała łatwość, z jaką można było przewieźć zbiory statkiem do Charleston.

Czerwcowe słońce przypiekało szyję i ramiona Coopera, który stał przy relingu, wypatrując zarysu doku Mainów. Często odczuwał niechęć, myśląc o tym stanie, a zwłaszcza tej jego części. Ale miłość do rodzinnych stron zakorzeniona była głęboko w jego duszy, tęsknił zwłaszcza do tak dobrze znanych pinii, rzeki, starych dębów i karłowatych palm, które porastały brzegi w miejscach, gdzie nikt nie uprawiał ziemi. Drzewa rozbrzmiewały szczebiotem sojek i rudzików. Nieco dalej, tuż przy brzegu, przebiegała droga. Cooper dostrzegł na niej trzech młodzieńców pędzących na koniach, usłyszał nawet tętent kopyt. W tej części kraju wyścigi konne były ulubionym sportem jej mieszkańców.

Owady siadały na jego ciele, kłusząc dotkliwie. Cooper czuł już niemal zapach niezdrowej, nadchodzącej wielkimi krokami letniej pory roku. W dworku przygotowania do przeniesienia się całej rodziny do Summerville szły już zapewne pełną parą. To właśnie stamtąd ojciec będzie wyruszał na regularne inspekcje plantacji, a do Mont Royal wróci nie wcześniej, niż ustaną upały. W Południowej Karolinie, a zwłaszcza w rejonie wybrzeża, gdzie każdego roku malaria zabijała całe tuziny białych, mawiano: „Wiosną raj, latem piekło, jesienią szpital”.

Wokół portu gęste listowie ustąpiło miejsca zbudowanym ręką człowieka wałom — wysokim nasypom ochronnym. Za nimi rozciągały się pola wydarte wiele lat temu moczarom dzięki

morderczej pracy przodków Coopera. Nasypy stanowiły najważniejszy element całego systemu upraw, tworzącego podstawę plantacji ryżu.

W regularnych odstępach nasypy przerywane były prostokątnymi drewnianymi słupami, zwanymi drenami. Zaopatrzone je z obu stron w śluzy, dzięki którym plantator mógł kierować na pola lub odprowadzać z nich wodę, w zależności od potrzeb rosnącego na nich ryżu. A ryż rósł, jeśli ludzie Tilleta Maina wykonywali swą pracę należycie i szybko. Rósł, jeśli pól nie nawiedzało zbyt wiele ptaków wydziobujących ziarna, rósł też wówczas, gdy jesienne burze nie zasalały za bardzo rzeki.

Wiatry zmieniały się często, zwiększając stopień ryzyka. Toteż rozczarowań nie brakowało, a chwile triumfu były rzadkie. Plantator zajmujący się uprawą ryżu uczył się bardzo szybko szacunku dla sił przyrody, a Cooper coraz bardziej był przekonany, że rodzina Mainów powinna znaleźć sobie zajęcia bardziej nowoczesne i mniej uzależnione od kaprysów pogody.

Łódź nagle zadygotała, wyrwijając go z zadumy. Zbliżyli się już do przystani, a on nawet tego nie zauważył. Raptem ogarnął go dziwny smutek.

Lepiej będzie, jeśli nie powiem ani słowa o tym, co widziałem na Północy — pomyślał.

Nie był jednak pewien, czy wytrwa w tym postanowieniu.

Wkrótce kroczył spiesznie ścieżką przez ogród, skąd rozciągał się widok na rzekę. Powietrze przesycone było wonią fiołków i jaśminu, dzikich jabłoni i róż. Na tarasie pierwszego piętra dużego dworku jego matka, Clarissa Gault Main, nadzorowała pracę kilku niewolników, którzy zamykali właśnie górne pokoje. Na widok syna podbiegła do poręczy, pozdrawiając go donośnie. Cooper pomachał jej ręką i przesłał całusa. Bardzo kochał matkę.

Obszedł dom, witając wszystkich Murzynów, krzątających się w pobliżu oddzielonej od reszty budynku kuchni. Stąd mógł rozkoszować się uroczym widokiem krótkiej, bo zaledwie półmilowej dróżki, wijącej się pomiędzy gigantycznymi dębami ku brzegowi. Gwałtowny powiew wiatru potrząsał drzewami, okrytymi siwymi kępami mchu.

Na końcu ścieżki dostrzegł dwie małe dziewczynki; swoje młodsze siostrzyczki, jak zwykle skaczące sobie do oczu. Jedna uciekała przed drugą. Nigdzie nie było natomiast śladu po tym nicponiu, kuzynie Charlesie.

Główne biuro plantacji Mont Royal mieściło się w niewielkim budynku za kuchnią. Cooper wszedł po schodkach i usłyszał głos Ramba, jednego z najbardziej doświadczonych woźniców ojca.

— Kiełkują na South Square, mister Main. Na Landing Square też. — Miał na myśli pola, które niegdyś zostały tak nazwane.

Tillet Main co roku, by mieć pewny zysk, obsadzał jedną trzecią ziemi pod koniec sezonu, w pierwszych dniach czerwca, kiedy niebezpieczeństwo utraty zbiorów nie było już tak duże. Woznica informował go teraz, że nasiona na tych terenach zaczęły kiełkować. Niebawem zacznie się odwadnianie pól za pomocą drenów, po czym nastąpi długi okres suchej uprawy.

— To dobra wiadomość, Rambo. Czy pan Jones wie już o tym?

— On być tam ze mną, sir, żeby zobaczyć.

— Chciałbym, żebyś ty i pan Jones powiadomili o tym wszystkich, którzy powinni wiedzieć.

— Dobrze, sir. Zrobię to na pewno.

Cooper otworzył drzwi i powiedział „dzień dobry” do wysokiego, siwego Murzyna, który właśnie zamierzał wyjść. Wszyscy w rodzinie nazywali czarnoskórych po prostu „ludźmi Tilleta”. Wyraz „ludzie” był pojęciem tradycyjnym, który miał zapewne złagodzić lub zniekształcić prawdę. Co do Coopera, potrafił

— choć nie bez pewnych oporów wewnętrznych — nazywać to, co czuł. O Murzynach zgodnie z prawdą mówił „niewolnicy”.

— Myślałem już, że porwali cię Jankesi odezwał się Tillet Main poprzez gęsty tuman dymu z fajki, unoszący się nad biurkiem. Kąciki jego ust drgnęły i był to zapewne jedyny objaw uczucia, które miał okazać tego ranka.

— Postanowiłem spędzić tam jeszcze jeden dzień, aby odwiedzić Orry'ego. Wiedzie mu się dobrze.

— Spodziewałem się, że u niego wszystko w porządku. Bardziej interesuje mnie, czego się dowiedziałeś.

Cooper opadł na stary bujany fotel, stojący obok biurka zasłanego papierami. Tillet sam prowadził sprawy księgowe i sprawdzał dokładnie każdy rachunek, który dotyczył operacji finansowych w Mont Royal. Podobnie jak większość okolicznych plantatorów uważał swe ziemie za posiadłość rodową, należał jednak do tych właścicieli ziemskich, którzy skrupulatnie przeliczają najdrobniejsze nawet wydatki.

Okazuje się, że moje podejrzenia nie były bezpodstawne — powiedział Cooper. — To, że prety i koła zamachowe pękały tak często, można wyjaśnić w sposób naukowy. Jeśli w trakcie odlewania żelaza nie oksyduje wystarczająca ilość węgla, węgla i jeszcze innych składników, żelazo nie będzie na tyle mocne, aby wytwarzać z niego części podlegające dużym obciążeniom. Muszę wyjaśnić to jakoś temu durniowi z Columbii. Jeśli mi się to nie uda, moglibyśmy zlecić wykonanie tych części którejs z stalowni na Północy, w Maryland albo Pensyl...

— Wolałbym ograniczyć się do naszego stanu — przerwał mu Tillet. — Łatwiej jest wymóc coś na przyjaciółach niż na obcych.

— Niech i tak będzie — westchnął Cooper. Jeszcze jedna reprimenda ze strony ojca! Co tydzień wysłuchiwał ich tuzin. Poczucie żalu kazało mu dodać: — Ale w Pensylwanii zyskałem teraz przyjaciół.

Tillet zignorował tę uwagę.

Głowa rodziny Mainów liczyła sobie czterdzieści osiem lat. Wianuszek włosów wokół łysej już głowy był zupełnie siwy. Cooper odziedziczył po ojcu sylwetkę i ciemne oczy. Równocześnie jednak właśnie pod tym względem istniała pomiędzy nimi wyraźna różnica: spojrzenie Coopera było łagodne, zamysłone, naznaczone nieraz sztuczną wesołością. Wzrok Tilleta rzadko był przyjazny czy radosny, raczej bezpośredni, twardy, a czasem przenikliwy.

Będąc odpowiedzialny za zachowanie i byt wielu istot ludzkich, zarówno białych, jak też czarnych, Tillet Main zdążył się już przekonać, że nie należy być nieśmiałym. Wydawał rozkazy tak, jakby był do tego stworzony. Określając jego charakter w kilku słowach, można by rzec, że kochał swą żonę i dzieci, i ziemię, i kościół, i swoich Murzynów, i swój stan i czuł się z tym wspaniale.

Połowa dzieci, które spłodził, nie przeżyła czwartego roku życia. Matka Coopera mawiała, że to właśnie dlatego Tillet uśmiecha się tak rzadko. Ale najstarszy syn podejrzewał, że istnieje jeszcze inna przyczyna. Pozycja i pochodzenie Tilleta sprawiały, że wykazywał niekiedy naturalną skłonność do arogancji, jednocześnie cierpiał na potęgujący się kompleks niższości, nad którym nie potrafił zapanować, tym bardziej zaś nie mógł go zwalczyć. Była to dolegliwość, którą Cooper dostrzegał ostatnio u wielu Południowców, a jego ostatnia podróż przekonała go raz jeszcze, że mieli wszelkie powody, by być w takim nastroju.

Tillet obserwował go bacznie.

Nie wygląda na to, abyś się cieszył, że jesteś w domu.

— Ależ tak, cieszę się zapewnił Cooper i była to prawda. — Tylko że już tak dawno nie byłem na Północy... od mego ostatniego roku w Yale. A to, co ujrzałem tam teraz, zdeprymowało mnie do reszty.

— Powiedz dokładniej: co takiego zobaczyłeś? Tillet nie spuszczał teraz z niego oka. Cooper wiedział, że powinien czym prędzej opanować ożywienie, ale przekora nie pozwoliła mu.

— Fabryki, ojczy. Olbrzymie, brudne fabryki, które huczą i cuchną, i zanieczyszczają powietrze jak piece Belzebuba. Północ rozwija się w zastraszającym tempie, wszędzie wprowadza się do pracy maszyny. A co do ludzi... mój Boże, nigdy jeszcze nie widziałem takiej masy! Gdybym miał porównać, to my tu żyjemy jak dzikusy.

Tillet zapalił fajkę i pykał z niej przez chwilę, zamyślony.

— Sądziś, że ilość ma większe znaczenie niż jakość? — zapytał wreszcie.

— Nie, sir, ale...

— Nie chcemy, aby zalała nas fala ludzi obcych i w dodatku nic niewartych.

I oto znowu ta głupia, nieustępliwa duma! Cooper warknął:

— A czy Charles Main nie był również człowiekiem obcym i nic niewartym?

— Był księciem, dżentelmenem i jednym z pierwszych hugenotów, którzy osiedlili się w tym kraju.

— To wszystko brzmi pięknie, sir, ale hołdowanie przeszłości nie stworzy fabryk ani nie pomoże gospodarce Południa. Nastąpiła era maszyn, a my nie chcemy przyjąć tego do wiadomości. Trzymamy się kurczowo rolnictwa i przeszłości, pozostając coraz bardziej w tyle. Kiedyś Południe właściwie rządziło całym krajem. Ale teraz już nie. Z każdym rokiem tracimy znaczenie i wpływ w całych Stanach. I nie bez powodu; po prostu nie nadążamy za innymi.

Urwał w ostatniej chwili, zanim przytoczył swój ulubiony argument, że pomyślność Południa jest tak ściśle powiązana z systemem niewolnictwa, jak sami niewolnicy uzależnieni są od swych właścicieli. Nie musiał jednak posuwać się aż tak daleko, aby wprowadzić ojca z równowagi. Tillet uderzył pięścią w blat biurka.

— Zamknij się! Południowiec nie powinien krytykować swojej ojczyzny! A przynajmniej ten, który wie, co to lojalność! Wystarczy, że ci cholerni Jankesi biorą nas na języki!

Cooper poczuł się pojmany, przygnieciony, w kleszczach, które z jednej strony tworzyły jego własne poglądy, a z drugiej niemożność przekonania ojca, aby zmienił swoje. W przeszłości nieraz ścierali się na ten temat, nigdy jeszcze tak zapamiętane. Nie panując już nad sobą, Cooper krzyczał:

— Gdybyś nie był tak cholernie uparty, jak reszta właścicieli ziemskich w tym zacofanym...

Nagły wrzask z zewnątrz przerwał kłótnię. Ojciec i syn podbiegli do drzwi.

Hałasu narobiła jedna z owych małych dziewczynek, które Cooper zauważył, idąc do biura. Ashton Main i jej siostra, Brett, skończyły na pół godziny przed przybiciem szalupy do brzegu lekcję czytania i liczenia. Ich nauczyciel, Niemiec z Charleston, do którego zwracały się „Herr Nagel”, uciał sobie przedpołudniową drzemkę. Żądza wiedzy, widoczna u młodszej z siostr, cieszyła go, drażniła natomiast impertynencja starszej oraz jej niechęć do wszystkiego, co wiązało się z niewielkim nawet wysiłkiem intelektualnym.

Obie niewątpliwie należały do rodu Mainów, jakkolwiek różniły się od siebie. Goście zwracali uwagę przede wszystkim na Ashton, która już teraz była śliczna, chociaż liczyła sobie zaledwie osiem lat. Miała włosy dużo ciemniejsze niż reszta rodziny; niekiedy, w odpowiednim oświetleniu, sprawiały wrażenie czarnych. Z oczu przypominała ojca: były tego samego koloru i tak samo srogie.

Brett była od niej młodsza o dwa lata. Powszechnie uważano ją za dziewczynkę nie tyle nieładną, co raczej nie dorównującą siostrze urodą. O tym, że rosła, świadczyła smukła, wysoka sylwetka, charakterystyczna dla Tilleta i jej braci; już teraz była tak wysoka, jak Ashton. Ta cecha mogła w przyszłości stanowić przeszkodę w znalezieniu wielbicieli, jak nieraz ostrzegą ją Ashton.

Po zakończeniu lekcji obie dziewczynki udały się na przechadzkę nad rzekę. Wśród gałęzi niewielkiego krzewu, tuż za ostatnim polem, na którym dumnie wznosiły się zielone pędy marnocnych zasiewów, Brett odkryła ptasie gniazdo z jednym bladym jajkiem.

— Ashton, zobacz! — xawołała.

Siostra znalazła się przy niej jednym zwinnym, buńczucznym susem. Mimo swego wieku była w pełni świadoma wrażenia, jakie mogła wywrzeć na innych, bijąc przy tym na głowę Brett. Jej poczucie wyższości widoczne było nawet w minie, z jaką spoglądała na jajko.

— Zostawiła je chyba czapla — powiedziała Brett. Spojrzała ze smutkiem na rzekę. — Mogę się założyć, że zaraz wróci po nie do gniazda.

Jej zatroskana mina nie uszła uwagi Ashton, której pełne, czerwone usta rozchyliły się na moment w uśmiechu.

— No cóż, czeka ją więc przykra niespodzianka powie działa, schylając się błyskawicznie po jajko. Następnie pobiegła czym prędzej w stronę, skąd nadeszły.

Brett podążyła za nią.

— Odłóż je! Nie masz prawa zabierać matce jajka!

— A właśnie że mam! — odparła Ashton.

Brett znała dobrze swą siostrę, przynajmniej tak się jej zdawało. Sytuacja wymagała szybkiej reakcji, a zarazem sprytu. Zaczęła udawać, że cała ta sprawa przestała ją interesować, a kiedy Ashton zapomniała o ostrożności, zwalniając kroku, by obejrzeć łup, który trzymała na otwartej dłoni, podbiegła do niej zniенаcka i porwała jajko.

Ashton goniła ją wokół dworku aż do drogi, gdzie dostrzegł je Cooper. Po kilku minutach, kiedy obie opadły z sił, Ashton zrobiła minę, jakby poczuła wyrzuty sumienia.

— Tak mi przykro, Brett. Miałaś rację, a ja postąpiłam

naprawdę wstrętne. Powinnyśmy odłożyć to jajko na miejsce. Pozwól mi spojrzeć na nie jeszcze raz, a potem wrócimy do gniazda.

Jej słodki, niewinny uśmiech uspił czujność młodszej siostry, która wyciągnęła do niej rękę z jajkiem. Ashton chwyciła je i uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

— Jeśli nie może być moje, ty też nie będziesz go miała. — Zaciśnęła pięść, miażdżąc jajko.

Brett rzuciła się na nią, a ponieważ była zwinna, szybka i nie starała się zachowywać jak dama, powaliła ją bez trudu na ziemię. Szarpiąc siostrę za włosy, tłukła ją pięściami, aż Ashton poczęła krzyczeć wniebogłosy. I właśnie ten zgiełk sprawił, że ojciec i Cooper wybiegli z biura. Tillet rozdzielił je, wysłuchał dwu różniących się całkowicie relacji i przełożył po kolei dziewczynki przez kolano, sprawiając im lanie — wszystko to zanim matka, zwabiona hałasem, wybiegła z domu.

Brett szlochała, rozgoryczona krzywdą, która ją spotkała. Ashton ryczała jeszcze głośniejsze. Kiedy jednak odrzuciła głowę do tyłu, wykrzywiając twarz, jej oczy zabłyśły. Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że to łzy, ale uważny obserwator dostrzegłby, że dziewczynka jest rozbawiona. Clarissa, Tillet i Cooper nie zauważyli tego.

Ale Brett zorientowała się, w czym rzecz.

W odległości niespełna mili od dworku, w małej osadzie należącej do plantacji, w tym czasie miała miejsce inna sprzeczka. Dwaj chłopcy, czarnoskóry i biały, tarzali się pośrodku piaszczystej drogi, walcząc o bambusową wędkę.

Droga biegła pomiędzy dwoma rzędami otynkowanych na biało chat niewolników. Nie opodal, starannie oddzielone od dworku, mieściły się izba chorych, niewielki kościół, jak również — górując nieco nad okolicą — pięcioizbowa rezydencja na podmurówce. Ten dom należał do nadzorcy Mont Royal, pana Salema Jonesa, który pochodził z Nowej Anglii, z natury zaś był niezwykle wymagającym służbistą. Jones wychował się na Południu pod okiem swojej owdowiałej matki, a mniej więcej jedenaście lat temu zjawił się w Mont Royal ze świetnymi referencjami od właściciela innej plantacji. Tillet traktował go jak Jankesa, a więc kogoś obcego; wprawdzie zmienił nieco zdanie widząc, jak korzystna dla plantacji okazała się działalność nowego nadzorcy, nigdy jednak nie pozbył się nieufności wobec tego człowieka.

Obaj chłopcy szamotali się na oczach czarnoskórych dzieci i niewolników z racji wieku niezdolnych do pracy. Trudno było ocenić, który z walczących jest bardziej zażarty i brudny. Biały,

o śniadym ciele i dużej sile, miał siedem lat. Był to Charles Main. Kuzyn Charles, jak nazywała go Clarissa, aby odróżnić go od własnych dzieci.

Charles był dzieckiem nadzwyczaj urodziwym. Ale miła powierzchowność stanowiła jedyną dodatnią cechę, którą odziedziczył. Był synem brata Tilleta, nieudolnego prawnika, Hugera Maina. Huger i jego żona zginęli na pokładzie płynącego do Nowego Jorku parowca, który zatonął w 1841 roku w pobliżu Cap Hatteras. Podczas gdy jego rodzice odbywali tę podróż, Charles przebywał u ciotki. Był jedynakiem i po pogrzebie, kiedy to opuszczono do grobu dwie puste trumny, pozostał w domu swych krewnych.

Życie Charlesa było teraz łatwe, choć upływało w samotności. Intuicja odpowiadała mu, że wujek Tillet nie miał zbyt wysokiego mniemania o jego ojcu, w związku z czym on starał się nie mieć z opiekunem wiele do czynienia. Fakt, że nie jest akceptowany, zaczął zresztą wkrótce traktować jak zrzęczenie niebios. Ciotka i wuj pozwalali mu kroczyć własną drogą, nie próbując nawet skazywać go na tortury nauki pod okiem niemieckiego guwernera. Charles zajmował się więc łowieniem ryb, przeczesywaniem okolicznych lasów i wędrówkami po okalających plantację moczarach. Jego przyjaciele rekrutowali się spośród czarnoskórych rówieśników, takich jak Cuffey, z którym właśnie walczył o bambusową wędkę.

Uwagę chłopców i innych dzieci zwróciły donośne głosy, dobiegające z jednej z murzyńskich chat. Po chwili wyszedł z niej zamasytym krokiem dobrze wszystkim znany mężczyzna w wysokich butach. Krępy, łysy, o wydatnym brzuchu i niewinnej twarzy cherubina Salem Jones uważał za niezbędne umacniać swój autorytet w ten sposób, że nie ruszał się nigdzie bez pejcza, który ścisnął w dłoni, oraz zatkniętej za pas grubej, drewnianej pałki.

Chłopcy przerwali walkę, podczas której Charles nieumyślnie złamał wędkę. Jak zwykle koszula wychodziła mu na spodnie, cała twarz była umazana błotem. Tydzień temu walczył z kuzynem Cuffeya, Jamesem, i przyplacił to utratą jednego z przednich zębów. Pocięszal się jednak myślą, że zyskał w ten sposób wygląd zawiadziaki.

— Jones znowu próbował się dostać do Semiramis — szepnął Cuffey. — Stara się o to już od sześciu miesięcy, kiedy umarła mu żona.

Salem Jones przemaszerował drogą i zniknął za drzwiami swej rezydencji, a Charles podszedł do chaty, w której razem ze swoją rodziną mieszkała Semiramis. Drzwi były otwarte, ale Charles nie dojrzał dziewczyny. Mimo to widział ją oczyma wyobraźni, tak jakby stała teraz tuż przed nim. Semiramis miała

czarne, jedwabiste ciało, piękne, regularne rysy twarzy i figurę o dojrzałych już kształtach. Na całej plantacji nie było chłopca, który nie twierdził, że ta dziewczyna jest niezwykła.

Nie kryjąc wściekłości Jones osiodłał konia i pognął na pole. Cuffey zabawił się w jasnowidza.

— Priam zapłaci za to. Stary Jones nie dostać od dziewczyny tego, co chciał, a więc odbije sobie to na jej bracie.

Charles rzucił okiem na słońce.

— Chciałem iść do domu na obiad, ale pokręcę się tu, aż Priam upora się z robotą.

Wiedział, że rodzina i tak się za nim nie stęskni.

Zastanawiał się, co się może wydarzyć. Brat Semiramis, Priam, był silnym, hardym Murzynem. Mimo że reprezentował już czwarte pokolenie rodziny, przywiezionej tu z Angoli, nadal przepełniało go marzenie o wolności, której nigdy nie zakosztował. Charles potrafił zrozumieć jego uczucia. Chłopiec nie umiał zaaprobować systemu, który jednym gwarantował wolność tylko dlatego, że mieli białą skórę, a odmawiał jej innym, ponieważ byli czarni. Uważał, że to niesprawiedliwe, nawet barbarzyńskie, jakkolwiek wierzył, że tak właśnie dzieje się na całym świecie, nie można więc tego zmienić.

Kilkakrotnie dyskutował na temat pewnych aspektów niewolnictwa z Cuffeyem. Na przykład obaj wiedzieli, że Semiramis nie miała nic przeciwko temu klasycznemu imieniu, które jej nadano, gdy przyszła na świat; bardzo dziwacznemu imieniu, jak określał je Cuffey. Ona jednak nie widziała w nim drwiny ze swej sytuacji. Priam natomiast odczuwał cały ciężar szyderstwa, nie ukrywał wcale faktu, że nienawidzi swego imienia.

— Priam mówić, że nie będzie zawsze człowiekiem pana Tilleta — powiedział kiedyś w zaufaniu swemu przyjacielowi Cuffey. — Mówić to nieraz.

Charles wiedział, co to znaczy: Priam zamierza uciec. Ale dokąd? Przecież niewolnictwo istnieje na całej Ziemi! Cuffey wierzył, że są takie miejsca, gdzie wszyscy ludzie są wolni, nie potrafił jednak tego udowodnić.

Przez całe długie popołudnie Charles włóczył się po osiedlu niewolników. Na godzinę zdrzemnął się w chłodnym, ciemnym kościele, a kiedy Murzyni, pracujący dotąd na polu, zaczęli się schodzić z motykami na ramionach, siedział na werandzie, strugając coś nożem.

Jones wrócił do domu godzinę wcześniej. Teraz stanął na ganku w przepoconej koszuli, prezentując ostentacyjnie harap i pałkę.

— Ty tam, Priam! — zawołał, uśmiechając się łaskawie.

Niewolnik, o całą głowę wyższy od nadzorcy i o piętnaście lat młodszy od niego, wystąpił z gromady przechodzących Murzy-

nów i zapytał tonem, w którym zabrzmiał zaledwie cień respektu:

— Tak, panie Jones?

— Woźnica twierdzi, że ostatnio nie pracujesz tak gorliwie, jak należy. Mówi też, że ciągle się na coś uskarżasz. Czy mam ci wyznaczać codziennie półtorej normy do zrobienia?

Priam potrząsnął głową.

— Przecież robię wszystko, co mi każą. Ale chyba nie muszę lubić tej pracy, prawda? — Przeniósł wzrok na innych niewolników, jego oczy pałały gniewem, a nawet nienawiścią. — Woźnica nie mówił nigdy, że nie jest ze mnie zadowolony.

Jones zaczął schodzić na dół, wolno i majestatycznie, zatrzymał się jednak na środkowym stopniu. Gdyby zszedł niżej, nie sięgałby czubkiem głowy nawet do oczu Priama.

— A ty naprawdę myślisz, że powinien być ci to powiedzieć? Nie, jesteś na to za głupi. I tak byś tego nie zrozumiał. Jedyne, do czego się nadajesz, to praca, którą wykonujesz. Praca czarnucha. Praca zwierzęcia. — Dźgnął Priama pałką w brzuch, próbując go sprowokować. — Postaram się, abys przez najbliższy tydzień miał trochę więcej pracy. ^Każdego dnia otrzymasz dodatkowo pół normy do zrobienia.

Od strony gromady Murzynów, przyglądających się scenie, dobiegły tłumione westchnienia. Jedna norma, jedna ustalona norma pracy była tym, co wykonywało się zazwyczaj na wszystkich niezbyt represyjnych plantacjach. Krzepki niewolnik mógł uporać się ze swoją normą pracy do zachodu słońca, a potem porobić jeszcze w swoim ogródku lub zając się własnymi sprawami.

Priam zacisnął zęby. Był na tyle rozsądny, że postanowił nie drażnić nadzorcy. Ale Jones nie zamierzał dać za wygraną. Charles nienawidził tego napuszonego, niskiego Jankesa o lysiej czaszce i płaczkliwym, nosowym głosie.

— Cóż to, nie masz nic do powiedzenia, czarnuchu? Jones znowu dźgnął go pałką w brzuch, tym razem mocniej. Mógł bym zrobić coś więcej, niż tylko zwiększyć twoją normę. Mógł bym dać ci to, na co sobie zasłużyłeś tym bezczelnym wzrokiem. — Potrząsnął pałką przed nosem Priama. O, to na przykład.

Nierówny charakter sprzeczki wzburzył w Charlesie krew, gwałtownie zerwał się.

— Panie Jones, ma pan harap i ma pan też kij. Priam nie ma nic. Dlaczego nie może być pan wobec niego fair? Niech pan mu da pałkę albo harap i wtedy stańcie do walki.

Cisza.

Przerażeni niewolnicy tkwili w bezruchu. Od strony rzeki dobiegł ich chrapliwy ryk aligatora. Nawet Priam zmienił wyraz twarzy, jego oczy nie były już tak zuchwałe. Nadzorca, oniemiały z zaskoczenia, wpatrywał się w chłopca.

- Bierzesz stronę tego czarnucha? — zapytał wreszcie.
- Chciałbym tylko, aby traktowano go uczciwie. Wszyscy mówią, że to dobry pracownik. Mój wuj ciągle to powtarza.

— Jest czarnuchem i oczekuje się od niego tylko jednego: ma ciężko pracować, a nawet, gdyby to było konieczne, paść przy pracy. A od ciebie oczekuje się, byś siedział w tym wielkim domu, bo tam jest twoje miejsce. Ciągle włóczysz się po tej części plantacji i zaczynam się już zastanawiać, dlaczego. Co cię tak ciągnie? Może jakiś zew, po którym swój rozpoznaje swego? Może odrobina murzyńskiej krwi?

Nie obraza, lecz szyderstwo rozwścieczyło Charlesa. Pochylił głowę i natarł na nadzorcę jak szarżujący byk. Potem uderzył go jeszcze dwukrotnie pięścią i czym prędzej pierzchnął. Do zapadnięcia zmroku ukrywał się nad rzeką, wreszcie doszedł do przekonania, że powinien wrócić do domu. Kiedy włókł się powoli przez ogród, zza krzaka dobiegł go cichy syk.

W nikłym świetle zamajaczyła twarz Cuffeya. Uśmiechając się, powiedział, że sposób, w jaki Charles postanowił odwrócić uwagę Salema, okazał się skuteczny; po jego ataku Jones był tak wściekły, że zrezygnował z dalszego znęcania się nad Priamem.

Głodny i zmęczony Charles dotarł do domu. Zwycięstwo, które odniósł, wydało mu się nagle nieistotne. Co więcej: wydało mu się ono wręcz czymś katastrofalnym, kiedy zorientował się, że czeka już na niego wuj Tillet z zachmurzoną miną.

— Godzinę temu był tu Jones. Wejdz do biblioteki. Żądam wyjaśnień.

Charles posłusznie udał się za nim. Dom najbardziej podobał mu się właśnie o tej porze: srebrne naczynia i pucharki, meble z palisandru i orzecha odbijające blask świec i lamp, kryształowe zyrandole, poddające się z cichym brzękiem lekkiej bryzie wiejącej od rzeki, służący, którzy szeptali coś do siebie, a nawet wybuchiłi dyskretnym śmiechem po skończonej pracy. Ale dziś Charles nie słyszał ani nie widział nic.

Z zachwytem patrzył też zawsze na bibliotekę Tilleta: na ciężkie, masywne meble i fascynujące, nadzwyczaj realistyczne malowidła ściennie, zdobiące ścianę nad kominkiem i przedstawiające rzymskie ruiny. Na półkach stały setki pięknie oprawionych ksiąg w różnych językach — angielskim, łacińskim i greckim. Charles nigdy nie interesował się nimi, jakkolwiek podziwiał wujka, że jest w stanie je przeczytać. Ale tego wieczoru również biblioteka wydała mu się obca, a nawet odpychająca.

Tillet poprosił, aby Charles wytłumaczył się ze swego postępuku. Z wahaniem, urywając raz po raz, chłopiec wyjaśnił, że ujął się za Priamem, ponieważ Murzyn nie miał broni, Jones natomiast wymachiwał harapem i pałką.

Tillet sięgnął po fajkę, potrząsając z dezaprobatą głową.

— W takiej sytuacji nie wolno ci stawać po którejkolwiek ze stron. Wiesz przecież, że Priam jest jednym z moich ludzi, nie może więc mieć takich samych praw i przywilejów, jak biały.

— A nie powinien ich mieć? Czy musi przyjmować tak potulnie zaczepki innych?

Tillet zapalił fajkę, uczynił to szybko i zręcznie. Mówił teraz ciszej, co nie wróżyło nic dobrego.

— Jesteś bardzo młody, Charles, i bardzo łatwo możesz stać się ofiarą błędnych pojęć... niewłaściwych poglądów — dodał, obawiając się, że chłopiec mógłby go nie zrozumieć. — Co do mnie, troszczę się o swoich ludzi i oni o tym wiedzą. A pan Jones, chociaż jako nadzorca sprawuje się dobrze, jest w pewnym sensie cholernym durniem. Nie ma najmniejszej potrzeby, aby kręcił się wszędzie ze swoją pałką czy harapem. Tu, w Mont Royal, nie mamy żadnych czarnych, którzy sprawialiby kłopoty... Chociaż nie, cofam to, co powiedziałem. Priam i jeszcze jeden czy dwóch wykazują oznaki drzemającej w nich chęci do buntu. Co prawda, nie zawsze i nie w stopniu, którego nie można wybaczyć. Staram się, jak mogę, aby utrzymać tu dobrą atmosferę. Moi ludzie są szczęśliwi.

Urwał, czekając na potwierdzenie swej opinii przez bratanka. Ale Charles zapytał:

— Jak może czuć się szczęśliwy ktoś, komu nie wolno iść, dokąd chce, ani robić tego, na co ma ochotę?

Pytanie wydawało się zupełnie logiczne, ale Tillet wpadł w furie.

— Nie zadawaj pytań na temat spraw, o których nie masz zielonego pojęcia. Ten system jest dla nich bardzo korzystny. Gdyby nie przebywali tu, żyliby w dziczy. Murzyni są najszcześliwsi wtedy, kiedy inni organizują im życie, kiedy nie muszą robić tego sami. A co do ciebie, młody człowieku...

Rzucił szybkie spojrzenie na drzwi, których nie zamknął za sobą. Ktoś stał tam, podsłuchując ich rozmowę. Ale Tillet najwidoczniej nie przejął się tym. Pogroził fajką, mówiąc dalej:

— Jeśli nadal będziesz sprawiał panu Jonesowi kłopoty, przełożę cię przez kolano i złoję skórę. Życzę sobie, abyś zaczął wreszcie zachowywać się jak przystało na dżentelmena, młodego dżentelmena, chociaż obawiam się, że może się to okazać niemożliwe, zważywszy na twój okropny charakter. A teraz wynoś się stąd!

Charles zakręcił się na pięcie i pobiegł do wyjścia. Nie chciał, aby wuj dostrzegł łzy, które nieoczekiwanie napłynęły mu do oczu. Kiedy szarpnął za drzwi, wzdrygnął się na widok majaczącej w mroku postaci. Ale była to tylko ciotka Clarissa. Czule, jak gdyby chciała dodać mu otuchy, wyciągnęła rękę.

— Charles...

Wuj miał go za nicponia. Ona zapewne podzielała tę opinię. Uchylił się przed jej ręką i wybiegł z domu w ciemność.

Nieco później, tego samego wieczoru w obszernej sypialni, której okna wychodziły na rzekę, Tillet pomagał żonie rozpiąć gorset. Odetchnęła głęboko z ulgą, obeszła kilka spakowanych częściowo kufrów i waliz i zniknęła za parawanem, aby przygotować się do snu.

Tillet przesunął dłonią po płóciennych kalesonach, w których sypiał przy ciepłej pogodzie. Nie były wprawdzie modne, ale za to wygodne. W pokoju panowała cisza, która po chwili zaczęła go irytować. Zerknął na parawan.

— Skończ już z tym, Clarissa! Chciałbym się dziś porządnie wyspać!

Wyłoniła się zza zasłony odziana w nocną koszulę, szcztokując siwe, rozpuszczone włosy. Była niewysoką kobietą o delikatnych arystokratycznych rysach, które tworzyły jakiś osobliwy kontrast z pulchną twarzą i grubymi ramionami, przywodzącymi na myśl prostą wieśniaczkę. Niewielu było ludzi, którzy uważali, że jej synowie są do niej podobni; może tylko odziedziczyli po niej kształt nosa. Przodkowie Clarissy, hugenoci o nazwisku Gault, przybyli do Południowej Karoliny dwa lata przed Charlesem de Main i ten właśnie fakt Wytykała mężowi zawsze, gdy stawał się wobec niej zbyt wyniosły.

— Przeprosiłam już za to, że podsłuchiwałam — powiedziała. — W jaki sposób traktujesz kuzyna Charlesa, to już twoja sprawa. To przecież syn twojego brata.

— Nie wywiniesz się z tego tak łatwo — odparł szorstko, z pewną dozą sarkazmu. — Tym bardziej, że wiem, iż masz na ten temat własne, sprecyzowane zdanie.

— A wysłuchałbyś mnie, gdybym zechciała ci je przedstawić? — zapytała poważnym, wolnym od wszelkiej złośliwości tonem. Rzadko sprzeczali się ze sobą, prowadzili za to nie kończące się dyskusje. — Szczerze mówiąc wątpię. Przecież ty już spisałeś tego chłopca na straty jako nicponia i niedołęgę.

Tillet usiłował znaleźć oparcie w porzekadle:

— Jaki ojciec, taki syn.

— Nieraz to się sprawdza. Ale tylko nieraz.

— Ma niebezpieczne poglądy. Czy słyszałaś, jakie zadaje pytania?

— Tillet, mój drogi, kuzyn Charles nie jest jedynym człowiekiem, który wątpi w słuszność systemu, w którym nasza rodzina żyje już od sześciu pokoleń.

— Żyje i to w dobrobycie — dodał, siadając ciężko na samym brzeżku łoża z baldachimem. — Podobnie jak rodzina Gault.

— Temu nie zaprzeczam.

— Nawet mój własny syn hołduje tym szalonym poglądom.

Oskarżycielski ton wzbudził jej gniew.

— Jeśli znowu zamierzasz wygłosić wykład na temat Coopera, wiecznie pogrążonego w książkach, i mojej odpowiedzialności za ten stan rzeczy, to nie chcę już tego słuchać. Chciałabym ci przypomnieć, że Cooper studiował w Yale, twojej uczelni, ponieważ ty na to nalegałeś. I... tak, to prawda, ja również mam pewne wątpliwości, podobnie jak on, czy to słuszne utrzymywać w niewoli dziesiątki tysięcy ludzi.

Machnął ręką.

— Ty i ten twój strach przed powstaniem! Tu nie wydarzy się nic podobnego. Nie żyjemy na Haiti. W Mont Royal nie mamy żadnych Veseyów.

Była to aluzja do organizatora buntu niewolników w 1822 roku, niejakiego Veseya, wolnego Mulata z Charleston. Powstanie nie doszło do skutku, zostało zawczasu wykryte i stłumione, a jednak wielu mieszkańców Południowej Karoliny pamiętało o tym wydarzeniu, wielu spędzało ono sen z powiek.

Protekcjonalny ton Tilleta rozgniewał Clarissę jeszcze bardziej.

— Tak, w samej rzeczy, czuję strach przed czarną większością mieszkańców tego stanu. Ale jeszcze bardziej, uwierzysz mi czy nie, jest to sprawa mego sumienia.

Zerwał się na równe nogi. Na jego policzkach pojawiły się wypieki, pohamował się jednak i już po chwili wziął się w garść. Kochał żonę i dlatego była jedyną osobą, która mogła wieść z nim dysputy i wygrywać.

Tonem bardziej ugodowym mruknął:

— Odbieglśmy znacznie od pierwotnego tematu.

— Masz rację. — Kiwnięcie głową i uśmiech oznaczały, że i ona pragnie zakończyć sprzeczkę. Chciałam jedynie zasugerować, abyś nie okazywał chłopcu dezaprobaty. Tkwi w nim dużo energii. Może powinienś skierować ją na właściwe tory.

— W jaki sposób?

Wzruszyła nieznacznie ramionami i westchnęła.

— Nie wiem. To jest właśnie problem, z którym nie potrafię sobie poradzić.

Pogasił lampy, podciągnął wyżej cienki, bawełniany koc, który miał ich chronić przed chłodem nocy, i przytulił się do Clarissy, obejmując ją, jak zwykle, w pasie. Ale konflikt istniał nadal, może dlatego że gdzieś w głębi duszy Tillet czuł, iż żona nie myśli się co do kuzyna Charlesa. Podobnie jak Clarissa, on również głowił się często nad rozwiązaniem problemu, jak do-

tańd bezskutecznie. Niechybnie szukał ratunku pod maską wrogości.

— Cóż, nie mam czasu na nawracanie tego młodego nicponia, to byłoby zadanie dla Heraklesa. Powiedziałem: Heraklesa? Zaiste, trudno o lepsze określenie. Tak jak obdarzeni zdrowym rozsądkiem ludzie z sąsiedztwa jestem przekonany, że Charles źle skończy.

— Jeżeli rzeczywiście wszyscy są tego zdania — mruknęła pośepnie w ciemności — to tak się stanie.

5

Dla George'a i Orry'ego obóz letni 1843 roku okazał się o wiele przyjemniejszy niż poprzedni. George otrzymał awans na kaprala, co zakłopotało nieco jego przyjaciela, marzącego o karierze wojskowej. Mimo to uściśnął serdecznie dłoń świeżo upieczonemu podoficera i wspólnie pośpieszyli do Benny'ego na piwo i cygara. Nie obawiali się już, że zostaną schwytani; teraz byli doświadczonymi kadetami.

Przez cały czas obozu Orry rozmyślał z obawą o nauce na trzecim roku uczelni. Nie był już nowicjuszem, ale to nie oznaczało, że może sobie pozwolić na zbijanie bąków. Uświadamiał to sobie zwłaszcza wtedy, gdy wspominał francuski, geometrię wykreślną i rysunek techniczny.

A jednak George zdołał go namówić, aby przyszedł na ostatnią tego lata potańcówkę. Jak zwykle odbywała się w budynku Akademii. Na widok szykownie odzianych dziewcząt i ich matek Orry poczuł się niezręcznie; przyszedł jedynie dlatego, aby uczynić zadość uporczywym naleganiom przyjaciela.

W galowym mundurze było mu nie tylko gorąco, ogarniało go coraz większe zażenowanie, chociaż sytuacja miała też dobre strony. Z przyjemnością zerkał na wypudrowane ramiona i zalotne spojrzenia kobiet, chociaż skonstatował z pewną goryczą, że żadna z dziewcząt nie spojrzała zachęcająco w jego stronę.

Okazji do rozrywki dostarczył również Elkanah Bent. Zjawił się w towarzystwie dziewczyny o końskiej twarzy i nieładnej cerze. George trącił przyjaciela w bok i uśmiechnął się. Pickett niemal zatoczył się ze śmiechu.

— Nie do wiary — wykrztusił z trudem. — A więc jednak znalazła się taka, która jest skłonna zatańczyć walca ze słoniem!

Mimo ścisłu panującego w sali Bent dostrzegł, jak wielkie wzbudza zainteresowanie. Obrzucił kolegów jadłowitym spojrzeniem, ale George uśmiewał się, jakby tego nie zauważył.

- Jeśli ktoś jest tak brzydki, jak to biedne stworzenie, gotów jest zaakceptować nawet mężczyznę o twarzy Benta.

Ładne czy brzydkie — dziewczęta przybyłe na potańcówkę onieśmiały Orry'ego, stał więc jak kloc. George natomiast tańczył z zapalem. Orry spoglądał nań raz po raz, pragnął pójść w jego ślady i poprosić do tańca którąś z siedzących jeszcze młodych dam, nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać.

W ten sposób upłynęła godzina i wtedy z kłopotu wybawił go George; podszedł prowadząc dwie dziewczyny i dał do zrozumienia, że jedna z nich przeznaczona jest dla Orry'ego, po czym wraz z drugą odplynął tanecznym krokiem. Orry'emu natomiast wydało się, że ziemia rozstała się pod jego stopami, a on wzbił się w powietrze. Jego pytania były niezręczne, a wysiłki, aby udzielać błyskotliwych odpowiedzi, wręcz śmieszne. Ale dziewczyna — pulchna i sympatyczna — zdawała się być zafascynowana jego szykownym mundurem do tego stopnia, że nie zwracała uwagi na braki w obyciu towarzyskim kadeta. Nie przestawała zerkać na guziki jego kurtki.

Przedstawiła się jako panna Draper z Albany. Ponieważ w dalszym ciągu nie potrafił się zdobyć na inteligentne czy w ogóle jakiegokolwiek — uwagi, zdecydował się z nią zatańczyć. Nieustannie deptał jej po trzewikach, a rozmowa ograniczyła się do jego nieustannych przeprosin za nieudolne prowadzenie w tańcu. Kiedy wreszcie zapytał ją, czy nie miałyby ochoty wyjść z sali na krótki spacer, z zapalem i niemal bez tchu wyraziła zgodę.

Przepustka zezwalała mu poruszać się po całym terenie Akademii, również po owych ustronnych miejscach, gdzie odbywano „flirciarskie spacery”, poprowadził ją więc w tamtą stronę. Jednakże ciemność panująca pod drzewami, jak również szum wiatru w gałęziach — a może był to szelest jej jedwabnej sukni? — wzmogły jedynie jego zakłopotanie. W niezręcznym milczeniu siedzieli na ławeczce, patrząc przed siebie.

Nieoczekiwanie panna Draper otworzyła obszerną torebkę i wyjęła parę ciasteczek, które wyniosła z hotelu. Orry poczęstował się jednym, upuścił je jednak niechcący na ziemię. Drugie, gdy wsuwał do kieszeni kurtki, zgniótł. Pana Draper wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę wyczekująco, wreszcie poderwała się z miejsca.

Bardzo proszę, sir, niech mnie pan odprowadzi do sali.
Zrobiło się już zimno.

W rzeczywistości wieczór był nadzwyczaj ciepły. W dręczącym milczeniu wrócili na salę. Nim upłynęło trzydzieści sekund, panna Draper tańczyła już z innym kadetem. Wieczór okazał się więc nieudany, tak samo zresztą jak jego zaloty.

— Nigdy więcej nie pójde na tak bzdurną imprezę powie-

dział do George'a, kiedy leżeli już w swoim pokoju po zgaszeniu światel. — Lubię przebywać w towarzystwie dziewcząt, ale nie potrafię się wtedy zachować. A już w ogóle nie mam pojęcia, jak należy flirtować. Panna Draper pożegnała się ze mną tak szybko, jakbym cierpiał na jakąś zakaźną chorobę.

— Mój chłopcze, z pewnością zaniedbałeś „qui pro quo”!

— Nie rozumiem.

— Czy panna Draper nie zaoferowała ci jakiegoś drobiazgu?

Na przykład ciasteczek?

— Skąd, u diabła, wiesz o tym?

— Ponieważ ja również otrzymałem ciasteczka.

— Od niej?

— Oczywiście że nie. Od innych dziewcząt.

— Czy to znaczy, że nie od jednej?

— Od kilku. To część zabawy, Orry. W zamian za poczęstunek one oczekują jakiegoś prezentu, a prawdziwy dżentelmen nie może nigdy zawieść pod tym względem. Jak myślisz, dlaczego stale żebrzę o zapasowe guziki i przyszywam je do płaszcza?

— Zauważyłem właśnie, że często gubisz guziki. Czy naprawdę myślisz, że panna Draper chciała, abym...

— Śmiałek zasługuje wprawdzie na ślicznotkę — przerwał mu George — ale ślicznotki pragną za to otrzymać guziki z West Point. Zwłaszcza, zanim pozwolą się objąć czy pocałować. Mój drogi, guzik od munduru kadeta to najbardziej pożądana ze wszystkich romantycznych pamiątek.

— Mój Boże! — Orry aż jęknął. — Nie miałem o tym najmniejszego pojęcia! Nic dziwnego, że patrzyła na mnie tak, jakby chciała mnie zamordować. No cóż, trudno, może należą do tych mężczyzn, którym Wszechmogący przeznaczył tylko jedną kobietę!

— Tak samo jak przewidział dla ciebie tylko jeden rodzaj kariery: w wojsku? Orry, naprawdę, podchodzisz do tych spraw zbyt poważnie — Żelazne łóżko zaskrzypiało w ciemności, kiedy George przekreślił się na nim, aby spojrzeć na przyjaciela. — Skoro już rozmawiamy ze sobą tak otwarcie, to jest jedno pytanie, które od dłuższego czasu nie daje mi spokoju. Chociaż wydaje mi się, że znam już odpowiedź.

— Cóż to za pytanie?

— Czy byłeś kiedykolwiek z kobietą?

— Posłuchaj, jest to pytanie tak osobiste, żeby nie powiedzieć: niezręczne...

* Qui pro quo (łac.) — coś za coś

- Och, daruj to sobie, po cóż ta cholerna retoryka z Południa! Byłeś z kobietą czy nie?

— Nie — odpowiedział szeptem Orry.

— No, więc musimy z tym coś zrobić-

— Zrobić? Ale co?

— Na miłość boską, masz taki głos, jakbyśmy rozprawiali o ciężkiej chorobie!

Orry zorientował się, że jego przyjaciel tylko udaje zagniewanego. Zachichotał nerwowo i mruknął:

— Przepraszam cię. Mów dalej.

— W miasteczku mieszka kilka niezwykle usługowych kobiet. Wizyta u jednej z nich mogłaby cię wyleczyć z twoich sentymentalnych wyobrażeń na temat kobiet, a już z pewnością pomoże ci zrozumieć, że kobieta nie roztrzaska się na kawałki, jeśli spojrzysz na nią pożądliwie, z zachwytem.

Orry już otworzył usta, aby przedstawić swoje racje, ale George nie dał mu dojść do słowa.

— Tylko nie próbuj mnie przekonać, że jest inaczej. I nie wykręcaj się. Nie będzie cię to wiele kosztowało, a zobaczysz, ile się nauczysz. Jeśli zależy ci choć trochę na naszej przyjaźni, musisz to zrobić.

— Właśnie się obawiałem, że powiesz coś takiego.

Orry miał nadzieję, że jego głos nie zdradzi podniecenia, które nieoczekiwanie nim owładnęło.

Spodziewał się, że wtajemniczenie w sprawy seksualne odbędzie w sposób dyskretny, że oprócz nich dwóch zostanie dopuszczona do sekretu wyłącznie owa kobieta, ale kilka wieczorów później George zjawił się z czterema innymi kadetami, po czym wyruszyli do Buttermilk Falls. Wyglądało na to, że wszystko będzie miało charakter równie prywatny, jak otwarte zebranie.

Dama, której złożyli wizytę, wydała mu się stara, mimo iż nie liczyła sobie więcej niż trzydzieści trzy lata. Hoża brunetka, Alice Peet, miała łagodne oczy, twardy uśmiech i twarz, z której ciężka praca i troski starły dawną urodę. George wyjaśnił, że kobieta trudni się praniem bielizny i „innymi usługami”, aby zarobić na utrzymanie siebie, trojga dzieci, jak również kota. Jej mąż, marynarz z parowca, przed dwoma laty wypadł za burtę podczas sztormu i zginął w nurtach rzeki.

Alice Peet odesłała już dzieci do swojej przyjaciółki, tak że ona i jej goście mieli dom wyłącznie dla siebie. Dom to może zbyt szumnie powiedziane, należałoby raczej użyć słowa „chata”. Całe mieszkanie składało się z obszernej izby i drugiej, znacznie mniejszej, przeznaczonej zapewne dla wieczornych gości. Pokoje połączone były lichymi drzwiami.

Orry przeknął palącą whisky, którą podała mu Alice, i raptem ogarnęły go wstyd i skrepowanie. Uświadomił sobie, że nie zdoła uczynić nawet kroku, aby wejść za owe drzwi. Bez słowa wymknął się na ganek. Chata Alice Peet mieściła się na południowych peryferiach miasteczka. Okolica nie była przyjemna, miała jednak jedną zaletę; roztaczał się stąd wspaniały widok na roziskrzoną od gwiazd rzekę Hudson. Orry usiadł i powoli odprężył się.

Nic nie wskazywało na to, że Alice boleje nad utratą męża. Śmiała się, piła i weseliła z kadetami. Przyjęcie stawało się coraz bardziej beztroskie i huczne. Po upływie mniej więcej godziny Orry doszedł do przekonania, że zapomniano o nim, i poczuł ulgę. Raptem drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem.

Z chaty chwiejnym krokiem wytoczył się kadet Stribling. Teraz, kiedy George i Orry znaleźli się w wyższej klasie, zaprzyjaźnił się z nimi.

— Main? Gdzie pan się podziewa, sir? Madame Pompadour-Peet oczekuje pana z niecierpliwością. I, proszę mi wierzyć, z określonym zamiarem.

Zatoczył się i omal nie spadł z ganku, jednak w ostatniej chwili przytrzymał się poręczy i czknął donośnie.

— Mój Boże, ta kobieta jest wręcz nie nasycona! Znosi się na burzliwą i długą noc. Ale to nic, dopóki cena nie idzie w górę, wszystko jest w porządku. No, chodźże wreszcie, teraz twoja kolej!

— Dziękuję, ale wydaje mi się, że zostanę tu...

— Kadet Orry Main, sir? — To krzyknął George. — Niechże pan tu wejdzie i spełni swój obowiązek, sir!

Upłynęło jednak jeszcze parę minut, zanim Orry uległ presji kolegów i z widocznym wahaniem wszedł do środka. Kadeci, uśmiechając się tajemniczo, wepchnęli go do drugiego pokoju i zamknęli drzwi. Ogarnął go strach, a jednocześnie uświadomił sobie ze zdumieniem, jak trafny jest przydomek, którym obdarzyli go koledzy i poczuł gwałtowną erekcję, tak jakby w rozporku spodni znalazła się sztywna tyczka. Zapinany na guziki rozporek był jedną z ostatnich nowości, zastosowanych w mundurach West Point. Wprowadzono ją wbrew głosom krytyki ze strony obrońców moralności, do których między innymi zaliczała się żona Starego Dickeya. W ten sposób zmysłowość została zaakceptowana w sposób oficjalny również przez rząd.

Orry puścił wodze fantazji, wyobraził sobie raptem, że pod silnym naporem guziki rozporka odrywają się i pryskają na boki. W ciemności poczuł przyjemny zapach piżma, wody toaletowej, whisky i ciepłego ciała.

— Podejdz tu — usłyszał szept.

Potknął się o krawędź łóżka i wymamrotał przykładne słowa

przeprosin. Alice Peet nie śmiała się z niego. Może była pijana, w każdym razie ton jej głosu był miły.

— Podejź, tu, mój drogi. Nazywasz się Orry, prawda?

— Tak, Orry.

— Ładne imię. Twoi przyjaciele powiedzieli mi, że to twój pierwszy raz.

— Cóż, ja...

— Nie musisz mi odpowiadać. Usiądź tu.

Cały rozpalony, tak jakby miał gorączkę, przysiadł ostrożnie na samym brzegu łóżka.

— Zrobimy to tak, kochanie, aby było to dla ciebie łatwe i przyjemne — szepnęła i nagle dotknęła go w sposób tak szokujący, że ktoś starszy na jego miejscu mógłby dostać apopleksji.

Alice była jednak ekspertem. Dziesięć minut później Orry jęknął bezwiednie, to zaś, co stanowiło dotąd dla niego wielką tajemnicę, było już teraz całkowicie zrozumiałe.

Wracając do koszar usiłował zapewnić George'a, że spędził wspaniałe chwile. Ale w rzeczywistości uściski Alice Peet pozostawiły wrażenie niedosytu i jakiegoś dziwnego smutku. Może różnił się od innych chłopców, ale zdawał sobie teraz sprawę, że stosunek cielesny z obcą niemal kobietą nie jest tym, czego naprawdę pragnie. Wizyta w chacie Alice pomogła mu uświadomić sobie raz jeszcze, że w jego życiu będzie tylko jedna kobieta. Jedna i żadna inna. Wierzył też, że będzie to miłość od pierwszego wejrzenia.

Nawet jeśli czyniło to z niego romantycznego głupca, nie zamierzał się zmieniać.

Pewnego sobotniego popołudnia, wiosną 1844 roku, George i Orry uzyskali czas wolny, a ponieważ nie musieli odrabiać żadnych punktów karnych ani pełnić dodatkowej warty, udali się na przechadzkę na wzgórze okalające Akademię. Tego dnia Orry dowiedział się, jak bardzo sprawy hutnictwa żelaza fascynują rodzinę Hazardów. Była to fascynacja głęboka, mająca w sobie nawet coś mistycznego, a uległ jej również George, chociaż dotychczas skrywał to tak głęboko, jak tylko potrafił.

Spacerując po wzgórzach, doszli do krągłego, płytkiego krateru o średnicy nieco większej niż dwie stopy. Na jego dnie zebrało się już trochę brudu, a krawędzie zdążyły zarosnąć świeżą trawą, co świadczyło, że krater powstał kilka miesięcy albo nawet lat temu.

George'a ogarnęło nieoczekiwane podniecenie. Ukłąkł i bez słowa począł oburącz grzebać w kraterze.

— George, co ty, u diabła, ro...

Poczekaj, znalazłem coś! Spod sypkiego piachu wydobył coś w rodzaju żużlu w kształcie stożka o wysokości około sześciu cali od wierzchołka do podstawy. Orry jeszcze nigdy nie widział żużlu o ciemnobrazowej barwie.

— Na Boga, cóż to takiego?

— Nic, co pochodzi z Ziemi — odparł George z dziwnym, jakby zimnym uśmiechem, a kiedy Orry zmarszczył brwi na znak, że ta zagadkowa odpowiedź nie zadowala go, dodał, wskazując na zachmurzone niebo: — To pochodzi stamtąd. Nazywa się meteoryt. Kolor świadczy o dużej zawartości żelaza. Starzy robotnicy w fabryce nazywają to gwiazdnym żelazem.

— Obracał w dłoniach chropowatą bryłkę, oglądając ją niemal z czcią. Zaskoczony Orry przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— Starożytni Egipcjanie wiedzieli dużo o gwiazdnym żelazie — mówił cicho, jakby do siebie, George. — Ten odłamek przewędrował może całe miliony mil, zanim spadł w to miejsce. Mój ojciec twierdzi, że hutnictwo żelaza wpłynęło na bieg historii w większym stopniu niż wszyscy ci politycy i generałowie razem wzięci od początku dziejów. — Uniósł wyżej dłoń z meteorytem. — A tu widzisz przyczynę. Żelazo jest w stanie zniszczyć wszystko: rodziny, majątek, rządy, całe kraje. W całym wszech świecie nie ma nic, co posiadałoby większą moc.

— Czyżby? — Orry skierował wzrok na rozciągającą się poniżej równinę. — Naprawdę sądzisz, że jest potężniejsze od olbrzymiej armii?

— Bez broni... a więc bez żelaza... nie ma olbrzymiej armii!

Powiedział to z taką pasją, że Orry'ego przeszedł dreszcz. Po chwili zawrócili i niebawem George był znowu sobą: gadatliwym, sypiącym żarcikami kolegą. Nadal jednak ścisnął w dłoni meteoryt. Kiedy znaleźli się w koszarach, owinał go starannie i schował niby drogocenną zdobycz.

Pewnego wieczoru, pod koniec maja, George'owi skończyły się cygara. Wkrótce stał pod drzwiami gospody Benny'ego Havena. Ze środka dobiegał gromki chór; zebrani śpiewali starą, znaną wszystkim piosenkę na cześć właściciela. Każda kolejna klasa Akademii próbowała stworzyć nową zwrotkę, która pasowałaby do już istniejących. Przeważnie układano zwrotki dosyć sprośne, ale tym razem słowa były niewinne:

*Chodźcie tu, koledzy, i stańcie w szeregu,
Zaśpiewajmy razem coś sentymentalnego. W
armii wciąż zmuszają, by trzeźwość zachować,
Nie śpieszą się jednak, by nas awansować.*

*A więc niech nam żyje ten, co piwo ma !
Wiwat Benny Haven, po trzykroć: hura!*

George zajrzał przez okno i skrzywił się niezadowolony. W gospodzie było zbyt wielu kadetów z różnych klas, łącznie z tym przeklętym Bentem. Przyszło mu na myśl, że może powinien zawrócić, ale nie palił już od wielu dni i nie chciał dłużej czekać.

Zajrzał po raz drugi i zorientował się, że większość kadetów wypila już za dużo. Wiosna robiła swoje. Błyskawicznie obmyślił plan działania. Będzie zachowywał się tak, aby kadeci ze starszych klas nie sądzili, że czuje się winny. Wszystko zależy od wrażenia, jakie się robi na otoczeniu. Wyprostował się, przywołał na twarz butny uśmiech i wszedł do środka.

*Benny Haven, hura, Benny Haven, hural
Niech żyje ten, co piwa nam da!*

Starsi kadeci obrócili się ku niemu, ale okrzyki, którymi mieli go onieśmielić, były tym razem nadzwyczaj słabe i mało przekonujące. George kupił cygara i właśnie wychodził, kiedy Bent, zataczając się, podszedł do niego i objął ramieniem. Poczł ucisk w żołądku, jego prawa dłoń zacisnęła się machinalnie w pięść. Ale to nie było potrzebne. Wzrok Benta był niepewny, zamglony. Poprosił George'a, aby napił się z nim piwa, mruczając coś o przeszłości, którą należy wymazać z pamięci. George nie przejął się zbyttnio jego słowami, skorzystał jednak z zaproszenia na piwo; nie miało go bowiem nic kosztować, a chciało mu się pić.

Elkanah Bent był podchmielony i może dlatego mniej napuszony niż zazwyczaj. Podekscytowany przekazał ostatnie nowinki z Waszyngtonu. Wynalazca Morse przesłał po drucie jakąś wiadomość, i to aż do Baltimore.

— Czyżby pan nie rozumiał, Hazard, jakie to ma znaczenie? Przecież to zaczątki udoskonalonej informacji i łączności wojskowej. Dokładnie to, co przepowiadał stary Mahan! Następna wojna...

— Jaka następna wojna? — przerwał mu George.

— A skąd mogę to wiedzieć? — Bent siorbnął kolejny łyk piwa, które rozlało się na brodę i mundur. — Ale nie wątpię, że wybuchnie. To pewne jak pory roku. — Jego wzrok powoli odzyskiwał ostrość. — Ludzie nie potrafią rozwiązywać konfliktów w inny sposób. Taka to już ich zwierzęca natura. I tu przez wzgląd na naszą wojskową karierę mogę tylko podziękować Bogu.

Kilku kadetów przysłuchiwało się ich rozmowie, jeden z nich wpatrywał się w Benta z takim samym niedowierzaniem na

twarży, jak George. Ale Bent nie zwracał na to uwagi. Jego głos nieoczekiwanie przybrał na sile.

— A kiedy kraj znajdzie się w obliczu nowej wojny, rozejrzy się za innym wodzem. — Nachylił się do przodu, z rozognioną twarzą i wilgotnymi ustami. — Armia zapragnie amerykańskie go Bonaparte.

George zdobył się na nerwowy uśmiech.

— No cóż, panie Bent, pana stać na szersze spojrzenie niż mnie. Mam nadzieję, że kiedy wybuchnie ta pańska gigantyczna wojna, mnie nie będzie już w wojsku. Gdybym jednak wtedy był jeszcze żołnierzem, będą mi przyświecały trzy cele: wykonywać rozkazy, robić to mądrze i efektywnie oraz unikać kul.

Całkiem słusznie pochwalił Bent i machnął ręką.

— Roztropny generał nigdy nie wystawia się na ogień przeciwnika. Indywidualny żołnierz jest tylko częścią całej maszyny, a lepiej stracić pięćdziesiąt tysięcy takich części niż jednego wspaniałego wodza.

— Interesująca teoria — mruknął George i gwałtownie wstał. Podziękował za poczęstunek, ale Bent jakby nie słyszał tych słów. Uparcie ciągnął George'a za rękaw, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

George wyrwał się przejęty nagłą odrazą do tej zapijącej kreatury i głoszonych przez nią poglądów. Zażęł za świeżym powietrzem i innym widokiem niż małe, obłąkane oczy Benta.

Jeszcze przed upływem tego samego tygodnia Pickett zaprosił George'a, Orry'ego i kilku innych przyjaciół na składkowe przyjęcie, co należało do tradycji West Point. Przez trzy dni poprzedzające imprezę zaproszeni goście zbierali resztki mięsa, ziemniaków, masło i chleb — wszystko, co zostawało w kantynie — i wynosili je w sprawdzony już sposób: w czapkach, z których usuwali przedtem pierścień usztywniający z trzciny.

W sobotni wieczór, tuż po inspekcji, zebrali się w pokoju Picketta, gdzie Wirgińczyk, wykorzystując skradzione składniki i naczynia, przyrządził potrawę. Jedną porcją tej mieszaniny częstowano również wartownika, zabezpieczając się w ten sposób przed przykrymi niespodziankami w rodzaju nagłego przerwania przyjęcia.

Spotkanie przebiegało w radosnej, beztrudnej atmosferze. W ożywionej rozmowie poruszano wiele tematów: problem Oregonu, traktat kwietniowy przewidujący aneksję Teksasu, konwencję demokratów, która zaledwie dzień wcześniej okazała się niekorzystna dla dotychczasowego faworyta, Van Burena, otworzyła natomiast drogę do kariery politycznej człowiekowi z pogranicza, Półkowi, zagorzałemu ekspansjonście. Myśleli

również o letnich wakacjach, snuli plany na przyszłość. Orry opowiedział o swoich zamierzeniach, a George wspomniał o niedawnym spotkaniu z Bentem.

— Mógłbym przysiąc, że kiedy mówił o amerykańskim Bona parte, miał na myśli samego siebie. Co gorsza, odniosłem wrażenie, że bez mrugnięcia okiem wysłałby na pewną śmierć cały regiment, gdyby dzięki temu mógł osiągnąć cel. Uczyniłby to, nie przejmując się losem swych ofiar. Żołnierzy określił jako „części zapasowe”.

Pickett sięgnął po rondel, w którym podgrzewał na kominku resztki posiłku.

— Powiem tu tylko tyle: ten człowiek zawział się jak diabli, aby zająć wysoko. I niech Bóg zlituje się nad każdym, kto stanie mu na drodze, umyślnie lub przypadkowo.

Jakiś szczupły kadet z Missouri mruknął:

— Moim zdaniem wszyscy traktujecie go zbyt serio, a tymczasem to zwykły osioł. Kłown.

— Skoro myślisz, że tak łatwo pozbedziesz się problemu, jakim jest Bent, to znaczy, że sam jesteś osłem — odparł George.

— Amen — dodał Orry. — Bent jest naprawdę niebezpieczny. Może nawet szalony. Lepiej schodź mu z drogi.

— I skończcie to jedzenie — skwitował dyskusję Pickett.

Orry płynął na południe parowcem żeglugi przybrzeżnej. Już podczas pierwszego posiłku w jadalni spostrzegł, jakie wrażenie wywiera jego szykowny mundur. Długie, smukłe poły płaszcza i jego mankiety były ozdobione niezliczoną ilością tłoczonych, połączanych guzików. Mundur budził powszechną sensację. Wszyscy pasażerowie traktowali go uprzejmie, a nawet przyjaźnie, z wyjątkiem pewnego kupca z Connecticut, który burknął coś o napuszonej arystokracji wojskowej. Uważał, że Akademia w West Point powinna być nadzorowana przez cywilne ministerstwo.

W Charleston Orry wynajął konia, aby resztę drogi przebyć nieco wolniej. Zamierzał napatrzeć się do syta na swoje rodzinne strony. Nie był tu dwa lata i ku swemu zdumieniu uświadomił sobie, że wybrnął szczęśliwie z owego sprawdzianu charakteru i intelektu, jakim był pobyt w West Point. I ta świadomość wprawiła go w radosny nastrój. Pomyślał, że to byłby wymarzony urlop, gdyby do domu czekała nań dziewczyna, której mógłby ofiarować tradycyjny prezent, dowód miłości kadeta: złocista,

haftowaną naszywkę, zdobiącą czarną aksamitkę na jego czapce. Na naszywce widniały litery U.S.M.A.* utrzymane w staroangielskim stylu. Ale takiej dziewczyny nie było. Żdażył nawet pogodzić się z myślą, że na szukaniu jej spędzi całe życie.

Kiedy wyjeżdżał z miasta, rozpoczęła się ulewa. Orry zatrzymał się, aby nałożyć niebieski płaszcz i naciągnąć czapkę głębiej na czoło, ratując się choć trochę przed deszczem. Wiedział, że i tak przemoknie do suchej nitki, zanim dotrze do Mont Royal, gdzie zamierzał spotkać się z Cooperem. Z plantacji mieli wspólnie udać się do letniej rezydencji rodziny.

Po prawej stronie drogi płynęła chłostana przez deszcz rzeka, po lewej wznosił się ciemny gąszcz palm i dębów, przez które tu i ówdzie prześwitywały moczary. Powietrze było wilgotne, pełne znajomych dźwięków i zapachów.

Po chwili natknął się na dwóch Murzynów na wozie, jadących z ładunkiem do Charleston. Jeden z nich wyjął przepustkę i pokazał ją Orry'emu. Uczynił to, nie czekając na wezwanie. Żaden niewolnik nie miał prawa podróżować dokądkolwiek bez pisemnej zgody swego pana. Konne patrole ustawicznie przeczesywały drogi, sprawdzając, czy napotkam Murzyni posiadają takie przepustki, chociaż nie robili tego tak sumiennie, jak zyczyliby sobie plantatorzy. System ten istniał już od lat i miał zapobiegać gromadzeniu się niewolników, a tym samym organizowaniu ewentualnych buntów.

Upłynęła godzina, odkąd opuścił miasto, kiedy usłyszał czyjeś wzburzone głosy. Galopem pokonał zakręt drogi, po czym osadził konia. Tuż przed nim leżał przewrócony na bok wytworny, pięknie lakierowany powóz. W następnej chwili Orry zauważył, że ulewa zniszczyła dużą część drogi, która osunęła się, tworząc stromą pochyłość. Powóz, kiedy pokonywał ów zwężony odcinek, musiał zsunąć się, a potem wywrócić na stoku. Dostrzegł urwane lejce, nigdzie jednak nie było nawet śladu konia.

Obok powozu stał biały woźnica, który usiłował otworzyć drzwiczki. Zdenerwowane głosy należały do kobiet, ale Orry nie widział ich. Ujrzał za to pół tuzina toreb i kufrów rozrzuconych po drodze. Jeden z nich otworzył się przy upadku, w błotnistej mazi leżały białe, obszyte koronkami suknie. Najwidoczniej podróżni nie należeli do ludzi biednych.

Orry trącił konia i podjechał bliżej. Woźnica zerknął na jego mundur.

* U.S.M.A. — United StateS Military Academy (Akademia Wojskowa Stanów Zjednoczonych).

- Sir, czy jest pan policjantem?
- Nie, ale pomogę z prawdziwą przyjemnością.
- Nie mogę dosięgnąć tak wysoko, aby otworzyć drzwiczki.
- Może ja spróbuję.

Zsiadając z konia zauważył, jak coś długiego i cienkiego przemyka zwinnie wzdłuż powozu, a potem wsuwa do środka przez okno. Miało oliwkowy kolor i ciemne zygzaki. Z pewnością wąż. Spiesznie doskoczył do powozu, który leżał w bagnistej,, głębokiej kałuży.

Wejść tam — powiedział do woźnicy.

Wdrapał się na górę po osi i tylnym kole, a kiedy zajrzał do wnętrza powozu, spostrzegł parę największych i najciemniejszych oczu, jakie kiedykolwiek widział. Mimo olbrzymiego napięcia zorientował się, że jest to bardzo piękna biała kobieta, młoda, o jasnej cerze. Towarzyszyła jej nieco starsza Murzynka.

— Za chwilę będą panie wolne.

Nachylił się, sięgając do klamki, przy czym tak niepostrzeżenie, jak to tylko było możliwe, zlustrował wnętrze powozu. I raptem go dojrzał; wąż leżał nieruchomo w fałdach sukni białej kobiety, która nie zdawała^ sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Po policzkach Orry'ego spływał deszcz zmieszany z kroplami potu.

— Bardzo proszę, aby panie zachowały zimną krew i wysłu chały spokojnie tego, co powiem. — Jego niski, nagłący głos sprawił, że obie spojrzały na niego z uwagą. Proszę się nie ruszać i w ogóle nie robić nic, dopóki nie pozwolę. Do powozu dostał się wąż...

Ich oczy rozszerzyły się z trwogi. Murzynka uczyniła ruch, jakby chciała rozejrzeć się dokoła, ale Orry szepnął:

— Nie! Proszę tego nie robić!

Posłuchały go, również Orry tkwił w bezruchu. Gad otworzył właśnie pysk, ukazując jego białe jak bawełna wnętrze i jadowe zęby. Z czoła Orry'ego począł spływać pot, serce waliło donośnie, jego dźwięk niemal rozsadzał mu głowę.

— Est-ce que le serpent est venimeux? zapytała biała dziewczyna. Uświadomiła sobie, że zadała to pytanie po francusku. — Czy ten wąż jest jadowity?

Orry nadal mówił szeptem.

— Nawet bardzo. Ale one nie atakują, dopóki nie czują się zagrożone. Chociaż z drugiej strony nie trzeba wcale wiele, aby je zaniepokoić. Dlatego poprosiłem, aby powstrzymały się panie od wszelkich ruchów i głośnego mówienia. Jeśli mnie panie posłu chają, wszystko będzie w porządku.

Nie mówił prawdy. A w każdym razie nie był teraz zupełnie szczerzy. Całe szczęście, że nie mogły poznać jego myśli i nie dostrzegły ogarniającego go strachu.

Uśmiechając się z zażenowaniem dziewczyna wyjaśniła.

— My się na tym nie znamy, sir. Mieszkamy w mieście.

W każdym razie nie w Karolinie, poznał to po jej akcencie. Nie odrywał wzroku od wodnego mokasy, który właśnie zamknął pysk. Raptem ciałem Murzynki wstrząsnął dreszcz, przerażenie wzięło górę. Przygryzła wargi, usiłując pohamować płacz, była jednak bezsilna.

Proszę ją uspokoić — szepnęła Orry do dziewczyny. — Proszę coś zrobić, *aby była cicho*.

Ona również była wystraszona, ale panowała nad sobą. Powoli, niezwykle ostrożnie, objęła starszą kobietę, kładąc na jej ramieniu dłoń w rękawiczce. Delikatnie pogłaskała Murzynkę, szepcząc łagodnie:

— Merę Sally, priere de se taire encore un moment. J'ai peur aussi. Mais si nous pourrions rester tranquilles une minute de plus, nous serons en securite. J'en suis suré.*

Murzynka opanowała strach. Uniosła lewą rękę i musnęła nią dłoń dziewczyny w geście wdzięczności. Ale jej ruch był zbyt raptowny, a szelest sukni zbyt głośny. Zanim Orry zdołał ostrzec kobiety, wąż śmignął do przodu. Dziewczyna, czując go przez suknię, krzyknęła przeraźliwie. Orry przez jedną straszliwą sekundę widział jedynie mgłę. Zaciśnął dłoń na oknie, nachylił się, spojrzął na podłogę...

Mokasyn zniknął. Najwidoczniej spłoszony hałasem uciekł przez jedno z niżej położonych okien. Orry stropił się, przekonany, że cała akcja ratunkowa została spartaczona. Ale obie podróżne były innego zdania. Dziękowały mu wylewnie przez cały czas, gdy jeszcze raz badał wnętrze powozu i otwierał drzwi, po czym pomógł kobietom wydostać się na zewnątrz.

Najpierw podał rękę Murzynce, potem dziewczynie. Kiedy stanęła na bocznej ściance powozu, przytrzymał ją w talii nieco dłużej, niż było to konieczne. Nie potrafił się pohamować. Był oczarowany śnieżnobiałą karnacją jej skóry, ciemnymi oczyma, czarnymi, połyskliwymi włosami i cudownie pełnym biustem, który odznaczał się wyraźnie pod wytwornym podróżnym strojem. Była mniej więcej w jego wieku. W całym swoim życiu nie widział tak pięknej kobiety.

— Zapewne nigdy nie zdołamy spłacić naszego długu wobec pana — powiedziała, a ostatni wyraz zabrzmiał jak pytanie.

— Main. Orry Main — odparł.

— Służy pan w armii?

* Mamo Sally, zachowaj spokój jeszcze przez moment. Ja też się boję. A jeśli będziemy cicho jeszcze przez minutę, zostaniemy uratowane. Jestem tego pewna.

— Jeszcze nie. Jestem słuchaczem Akademii Wojskowej W West Point, jadę do domu na dwumiesięczny urlop.

— Mieszka pan gdzieś w pobliżu?

— Tak, nasza plantacja znajduje się nieco dalej w górę rzeki.

Zeskoczył na ziemię, wyciągnął ramiona i pomógł jej przejść po kole i osi. Dotyk jej dłoni, nawet przez rękawiczkę, przejął go dreszczem. Miała pełną twarz i zmysłowe wargi, które stanowiły kontrast z jej subtelną postacją. Z zalem wypuścił ją z objęć.

— Nazywam się Madeline Fabray. Zdamy właśnie do posiadłości zwanej Resolute. Czy pan zna tę plantację?

Z wielkim trudem udało mu się nie zmarszczyć brwi.

— Owszem. Należy do pana LaMotte. To niedaleko stąd.

— Cała nasza trójka, Maum Sally, Villefranche i ja, przebyliśmy długą drogę z Nowego Orleanu. Do tej pory nikt z nas nie przebywał poza domem dłużej niż dwa dni. Obawiam się, że ludzie w Nowym Orleanie są straszliwie prowincjonalni. Wielu z nich twierdzi, że wystarczy przejść się z Place d'Armes nad Missisipi, aby ujrzyć wszystko, co warte jest obejrzenia na całym naszym kontynencie.

Drażniła się z nim, to oczywiste. Delektował się każdym jej słowem.

— W każdym razie — mówiła dalej — nie miałam jeszcze przyjemności poznać mieszkańca Karoliny. Miałam nadzieję, że dotrę do Resolute w porze obiadu, ale teraz już wiem, że to niemożliwe. Muszę powiedzieć, że drogi są tu w opłakanym stanie. Tyle dziur... Villefranche to dobry woźnica, ale ten odcinek drogi okazał się zbyt wąski, aby przejechać. Konie zsunęły się i poniosły, pojazd przewrócił się na bok... — Wzruszyła ramionami, uzupełniając w ten sposób słowa. Uśmiechnęła się do niego ciepło. — Na szczęście zjawił się właśnie pewien dzielny kawaler i nie zawahał się przyjść nam z pomocą.

Poczuł, że się czerwieni.

— Powinna być pani bardziej wdzięczna nerwom węża niż mnie.

— Nie, panie Main, to wobec pana zachowam wdzięczność. — Odruchowo dotknęła jego ramienia. — Na zawsze.

Na krótką chwilę ich oczy spotkały się. Zarumieniała się lekko i spiesznie cofnęła dłoń, a na jej twarzy pojawił się przelotny cień troski.

Nie rozumiał tej reakcji. Wyglądało na to, że chociaż dotknęła jego ręki umyślnie, żałowała teraz, że to zrobiła. Słyszał już nieraz, że kobiety z Nowego Orleanu mają niezwykle subtelne maniery, ale czy było coś złego w tym, że kobieta dotyka ramienia mężczyzny w geście wdzięczności? Chyba nie. A więc, o co chodzi?

Oczywiście nie starczyło mu odwagi, aby zapytać ją o to

wprost. Zresztą podejrzewał, że nie odpowiedziałaby na pytanie. Wyczuwał w niej pewną nieśmiałość i jakąś barierę nie pozwalającą jej okazywać światu myśli i emocji. I właśnie za tą barierą kryło się wyjaśnienie owego ukradkowego gestu, jakim oparła dłoń na jego ramieniu, aby cofnąć ją niemal natychmiast z wyrazem zaskoczenia, a może nawet wstydu.

Mimo iż zagadka pozostała nie rozwiązana, odniósł wrażenie, że i tak dowiedział się dużo na temat powabnej podróżniczki, zwłaszcza jak na tak krótki czas. Była kobietą inteligentną i łagodną, a zarazem -jak podejrzewał - zdolną do namiętności. Te fascynujące cechy jej charakteru pociągały go bardziej niż jej uroda. Przez krótką, oszałamiającą chwilę miał wrażenie, że odnalazł pokrewną duszę.

Romantyczny osioł - skarcił się w duchu.

Villefranche zauważył grzecznie, ale rzeczowo, że czas ruszać w drogę. Orry odchrząknął.

- Mniej więcej o milę dalej jest skrzyżowanie dróg i sklepik. Zatrzymam się tam i znajdę dla pani parę mułów i dwóch albo trzech Murzynów, aby pomogli postawić powóz.

Razem z woźnicą pozbierali ułożyli leżące w nieładzie bagaże, jakkolwiek nie robił tego zbyt gorliwie. Sama myśl, że ta piękna dziewczyna jedzie odwiedzić właściciela Resolute, Justina LaMotte'a, którego znał doskonale i nie cierpiał, wprawiała go w zły nastrój.

LaMotte'owie byli starą, arystokratyczną rodziną hugenotów. Pierwszy LaMotte zjawił się w Karolinie co najmniej rok wcześniej niż Charles de Main. Z tego powodu Justin, jego brat Francis i pozostali członkowie klanu spoglądali z góry na Mainów i większość mieszkańców stanu. I to mimo iż Justin znajdował się o krok od bankructwa, czemu winna była zła gospodarka i zbyt wystawny styl życia. Ci, którzy nie znali go dobrze, wyrażali się o nim po pierwszym, a nawet po drugim spotkaniu z dużym uznaniem. Ale Orry wiedział, jakim człowiekiem naprawdę jest Justin LaMotte.

Zapragnął dowiedzieć się jak najwięcej o pięknej podróżniczce. Podając kolejną torbę woźnicy, powiedział do Madeline:

- Pani nazwisko pozwala mi przypuszczać, że jest pani Francuzką.

Roześmiała się.

- Och, w Nowym Orleanie niemal wszyscy noszą francuskie nazwiska, ponieważ większość, a zwłaszcza duchowni, twierdzi, że inne trudno byłoby wymawiać, nie mówiąc już o ich zapamiętaniu. Wie pan, Francuzi potrafią być nieznośnymi snobami.

- Tak, słyszałem o tym. Osiedlali się również w Karolinie. - Cisnął mu się na usta komentarz na temat Justina, pohamował się jednak w ostatniej chwili. - A skąd pochodzi pani rodzina?

— Ze strony ojca z Niemiec. Mój prapradziadek Faber jako jeden z pierwszych osiedlił się na tej części wybrzeża, którą nazywają niemiecką. To mniej więcej dwadzieścia pięć mil w górę rzeki od Nowego Orleanu. Tam, u nas, mieszka mnóstwo Niemców, ale w ciągu ostatniego stulecia niemal wszyscy zmienili swoje nazwiska, tak aby zyskały francuskie brzmienie. Buchwalter to teraz Bouchwaldre, Kerner — Quernel. Mogłabym przytoczyć panu jeszcze z tuzin takich przykładów.

— Ale obecnie pani rodzina nie mieszka już na Niemieckim Wybrzeżu, lecz w mieście, czy tak?

Na jej twarzy ponownie zjawił się wyraz napięcia.

— Mam już tylko ojca.

Wyjaśniła, że jest właścicielem cukrowni, tak jak jego ojciec i dziadek. Pragnął towarzyszyć jej w tej podróży, ale niestety pół roku temu sparaliżował go atak apopleksji.

Orry zdrapał błoto z ostatniej torby, po czym zaczął się żegnać.

— Mam nadzieję, że mile spędzi pani czas w Resolute, panno Fabray. — Bał się powiedzieć więcej, wiedział jednak, że powinien to uczynić, gdyż tak dogodna chwila nie nadarzy się już nigdy więcej. — Może... — machinalnie miętosił czapkę w dłoniach — ...może zobaczymy się jeszcze?

— Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność, panie Main — odparła i lekko skinęła głową.

Był zbyt przejęty, aby zauważyć, że to tylko uprzejmość. Pomachał ręką na pożegnanie i odjechał. Przez całą drogę do sklepu przy skrzyżowaniu nie opuszczał go radosny nastrój, który sprawił, że zaczął śpiewać. Nie rozumiał tylko jednego, dlaczego tak piękna i inteligentna dziewczyna, jak Madeline Fabray, odwiedza ludzi tak aroganckich i pustych, jak LaMotte. Czyżby łączyły ich więzy krwi? Jedyne takie wyjaśnienie wydało mu się logiczne.

No cóż, jakoś się zmusi, aby być uprzejmym wobec Justina, o ile zdoła w zamian za to spotkać się z jego gościem. Był już zdecydowany; wykorzysta pierwszą sposobność, aby się z nią zobaczyć. W domu spędzi ponad półtora miesiąca, wystarczająco dużo czasu, aby adorować młodą damę. Oczywiście wyobraźni już widział siebie, jak ofiarowuje Madeline haftowaną odznakę ze swej czapki, a potem, pod koniec urlopu, przyrzekają sobie święcie, że będą do siebie pisać. Jakież dziwne figle płała los! Gdyby ten ulówny deszcz nie podmył drogi, nie spotkaliby się może nigdy. Stało się jednak, a efektem tej przygody było uczucie nie znanego dotąd szczęścia.

Już w pięć minut po przybyciu do Mont Royal Cooper brutalnie sprowadził go na ziemię.

— Powiedziałaś: Fabray? Obawiam się, braciszku, że trafiłeś

jak kulą w płot. Fabray to nazwisko młodej kobiety, która ma poślubić Justina.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Orry otrząsnął się ze zdumienia, a potem wykrzyknął:

— Jak to możliwe? Jak?

Cooper wzruszył ramionami. Znajdowali się w pokoju jadalnym, który z powodu szalejącej znowu ulewy sprawiał wrażenie mrocznego i pośepnego. Czapka Orry'ego leżała w kącie, tak jak ją cisnął w porywie radości, witając się z bratem. Cooper, w samej koszuli, nalał dwa kieliszki najlepszego bordo, jakie trzymał tu ojciec, ale Orry nie tknął nawet swojego kieliszka.

— Nie mam pojęcia — odparł Cooper. Położył obutą nogę na kosztownym mahoniowym stole. — Nie jestem powiernikiem Justina ani Francisa.

— Nie mogę uwierzyć, że taka dziewczyna mogłaby poślubić Justina. Przecież ona nie skończyła chyba jeszcze dwudziestu lat. LaMotte jest od niej starszy o jakieś piętnaście albo i dwadzieścia lat. Kiedy zmarła jego pierwsza żona?

—, Myślę, że dziewięć lat temu. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Ślub zapewne zaaranżował jej ojciec. Takie rzeczy zdarzają się, i to dość często. A LaMotte mogą poszczycić się dobrym rodowodem, chociaż już wiele lat temu zatracili właściwe istotom rozumnym człowieczeństwo.

Orry po raz pierwszy okazał zainteresowanie kobietami. Miał się w bezsilnej złości i użalał nad sobą w sposób, który komuś innemu mógłby się wydać komiczny. Ale Cooper ani myślał natrząsać się z brata. Mimo iż jego samego los nie doświadczył jeszcze w ten sposób, nie mógł więc pojąć w pełni bólu Orry'ego, nie wątpił, że jego rozpacz jest diabelnie prawdziwa.

Wypił trochę wina i powrócił do planu młyna, nad którym siedział, kiedy brat wszedł do domu. Orry kręcił się dokoła stołu, nerwowo chodził tam i z powrotem, na jego twarzy malowało się coraz większe poruszenie. Raptem przystanął obok krzesła Coopera.

— Kiedy odbędzie się ślub?

— W następną sobotę. Nawiasem mówiąc, nasza rodzina została zaproszona, ale ty, jak sędzę, nie pójdziesz.

— Sobota! Czemu tak szybko?

— Cóż, mogę się tylko domyślać. Matka Justina sugerowała, aby ślub odbył się jesienią, kiedy będzie nieco chłodniej. Ale on jest wystarczająco dorosły, aby się jej sprzeciwić. Nie wiem, czy tak spieszo mu do tej młodej damy, czy też do jej posagu. Jeśli jest rzeczywiście tak ładna, jak mówisz, mogę zrozumieć to i owo... Słyszałem, że Justin jest tak krewki, jak jego najlepsze ogiery. Posłuchaj, przestań się wściekać. To po prostu dziewczyna i tyle.

Orry obrócił się na pięcie i spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie, jest czymś więcej. Czymś o wiele więcej. Kiedy ją zobaczyłem, wystarczyło pięć minut i już wiedziałem, że ona i ja stworzylibyśmy wspańiałą... stworzylibyśmy...

Nie wiedział, jak dokończyć. A może obawiał się kpin brata. Cooper przyglądał się, jak Orry podnosi z podłogi czapkę i przesuwa lekko palcem po złocistych literach. Później, bez jednego słowa, Orry wyszedł z pokoju.

Cooper westchnął i sięgnął po nie tknięty kieliszek brata.

— Do diabła — mruknął.

Raptem i jego ogarnął smutek.

Następnego ranka bracia osiodłali konie i wyruszyli do Summerville. Kiedy przybyli na miejsce, Orry starał się, aby powitanie wypadło serdecznie, ale Clarissa знаła dobrze swoje dzieci. Wieczorem, po kolacji, odciągnęła Coopera na bok.

— Twój brat nie jest dobrym aktorem. Co go trapi? Nie cieszy się, że przyjechał do domu?

— Ależ tak, nawet bardzo. Tylko że wczoraj na drodze do Charleston poznał młodą kobietę. Zakochał się w niej, a później się dowiedział, że jest narzeczoną Justina LaMotte.

— O Boże! Czy to ta dziewczyna, którą wszyscy nazywają Kreolką?

— Przypuszczam, że tak. A to naprawdę Kreolka?

— Na to wskazuje jej nazwisko. Boże! westchnęła ponownie.

— To może stać się poważnym problemem! Mam na myśli ten ślub. Twój ojciec wolałby tam nie iść, ale grzeczność wymaga, aby nasza rodzina była na ślubie obecna. Miałam nadzieję, że pójde z tobą i z Orrym.

Cooper potrafił zrozumieć antypatię ojca wobec LaMotte'ów, sam podzielał to uczucie. Byli to ludzie bardzo powierzchowni, małoduszni, żywili się koniną i załatwiali spory za pomocą potępianych przez prawo pojedynków. Mając wzgląd na matkę, odparł jednak:

— Jeśli mam być szczerzy, też bym wolał tam nie iść, ale oczywiście pójde z tobą. Co do Orry'ego, myślę, że nie powinniśmy go namawiać.

— Tak, masz rację — skinęła głową Clarissa. — To zrozumiałe, że w tych okolicznościach nie zechce pójść.

Ale jeszcze tego samego wieczoru Orry zaskoczył ich, oświadczając, że w sobotę będzie im towarzyszył. Cooper uznał ten zamiar za nierozsądny, powstrzymał się jednak od wszelkich komentarzy. Tillet zażyzył sobie, aby Clarissa zabrała na przyjęcie również kuzyna Charlesa.

— Może zainspiruje go widok dam i dżentelmenów i zacznie zachowywać się tak jak oni — dodał uszczypliwie.

Biedny Charles — pomyślał Cooper — zawsze czeka go jakaś kara: jak nie ta, to inna.

Sobota przyniosła ciepłą, łagodną pogodę, a rzeński wiatr odegnał owady. Wyjazd do Resolute opóźnił się o godzinę, gdy na Clarissę nieoczekiwanie spadło dodatkowe zajęcie. Tuż przed wschodem słońca służąca przywieziona tu z Mont Royal poczuła bóle porodowe. Clarissa pomagała przy każdym porodzie, który miał miejsce na plantacji, nie oczekując za to żadnych podziękowań czy choćby wyrazów uznania. Uważała, że spełnia w ten sposób swój obowiązek, spadający tradycyjnie na nią jako na kobietę o określonej pozycji. Nadejdzie czas, kiedy zaczną ją w tym wyręczać Brett i Ashton.

Podróż powozem trwała półtorej godziny. Przez cały ten czas kuzyn Charles niecierpliwiał się i nie ukrywał swego niezadowolenia. Clarissa kazała mu założyć szykowny garnitur o wysokim kołnierzu i krawat, zanim jednak dotarli do Resolute, zdołał dokładnie pognieść ubranie.

Na miejsce dojechali czterdzieści minut po zakończeniu ceremonii zaślubin, która odbyła się w niewielkiej kapliczce w obecności najbliższych krewnych. Teraz trwało już przyjęcie, rozbawieni goście gawędzili pod dębami i magnoliami lub pomiędzy czterema pomalowanymi na biało i żółto pawilonami, wzniesionymi na trawnikach.

Plantacja LaMotte'ów przypomniała Cooperowi pewną prostytutkę z Charleston, która usiłowała ukryć ślady mijającego czasu pod grubą warstwą pudru i szminki. Na pierwszy rzut oka dwór sprawiał imponujące wrażenie, uważny obserwator mógł jednak zauważyć odpadające belki i mocno zaawansowaną pleśń. Od słupów podpierających dach werandy — dwór Resolute zwrócony był w stronę rzeki i niewysokiego wzgórza — oderwały się już całe płyty zaprawy murarskiej, a wiele okiennic, zniszczonych przez burzę, straszło swym wyglądem.

Rozochoceni goście zdawali się jednak nie zwracać na to uwagi. Licząc wszystkich członków rodziny LaMotte, gości, jak również przywiezionych na tę okazję niewolników, Cooper oceniał liczbę obecnych na około trzysta osób. Mniejsze i większe wytworne pojazdy zajmowały dwa akry ziemi tuż przy drodze. W powietrzu unosił się zapach dymu, co świadczyło, że gospodarze zgodnie z tradycją tutejszych przyjęć weselnych podadzą 'piecyste.

Zagrała orkiestra z Charleston. Kuzyn Charles uciekł czym prędzej. Orry, z niezmiennie ponurą miną, rozglądał się za panną młodą. Cooper miał nadzieję, że poncz będzie wystarczająco mocny, tylko alkohol mógł uratować resztę wieczoru.

- Oto i ona — odezwał się Orry. — Powinniśmy złożyć jej nasze uszanowanie, zanim kolejka się wydłuży.

Clarissa i Cooper przyznali mu rację. Ustawili się za innymi gośćmi, którzy również czekali, aby złożyć życzenia, po czym przywitali się z pastorem, rodziną pana młodego, oblubienicą i jej mężem.

Justin LaMotte był przystojnym, masywnie zbudowanym mężczyzną o czerstwej twarzy i jedwabistych, brązowych włosach, które sprawiały wrażenie farbowanych. Gratulacje Mai-nów przyjął z uśmiechem i kilkoma uprzejmymi, choć zdawkowymi słowami wdzięczności. Ale w jego wzroku nie było nawet śladu ciepła.

Cooper nie spuszczał wzroku z panny młodej. Jej uroda rzeczywiście zapierała dech w piersi. Nic dziwnego, że oczarowała Orry'ego. Justin nie zasługiwał na nią. A ona? Czy zdawała sobie sprawę, jakim człowiekiem był jej mąż? Biedne stworzenie! Byłoby tragedią, gdyby dopiero teraz miała się dowiedzieć, jaki naprawdę jest uroczy LaMotte.

Cooper celowo przecisnął się do przodu, aby potem odwrócić się i zobaczyć, jak zachowają się jego brat i Madeline. Miał nadzieję, że nie dojdzie do żadnych cikliwych scen.

Orry czuł się już wystarczająco niezręcznie, kolejna konsternacja nie była mu potrzebna. Okazało się, że potrafi się zachować jak prawdziwy dżentelmen; na krótką chwilę ujął dłoń Madeline, nachylając się jednocześnie i obdarzając ją przelotnym, tradycyjnym pocałunkiem w policzek. Jednak w momencie, gdy cofnął się, Cooper dostrzegł, w jaki sposób młodzi spojrzeli na siebie. Nie tylko w jego, ale i jej oczach zauważył smutek i krótkie, ale zdumiewająco szczere uświadomienie sobie utraconej szansy.

Potem, jakby w poczuciu winy, panną młoda odwróciła wzrok. Justin witał się właśnie z jednym z gości i nie zauważył, co zaszło między nią i Orrym. Rozmyślając o tym, co ujrzał w oczach Madeline, Cooper powiedział sobie w duchu:

Chciałbym, aby jakaś kobieta spojrzała na mnie w taki sposób choć raz w życiu.

Kiedy wreszcie odeszli na bok, postanowił okazać bratu współczucie, nie potrafił jednak znaleźć odpowiednich słów. Zresztą podejrzewał, że Orry poczułby się urażony. Zrezygnował więc ze swego zamiaru i wyruszył na poszukiwanie ponczu. W pewnym momencie dostrzegł kuzyna Charlesa, który czołgał się pod stołem. W rękę trzymał talerz z pieczoną baraniną. Jego koszuła wysunęła się już ze spodni.

Cooper przyglądał się przez chwilę, jak służący obsługuje jego matkę, po czym pozostawił ją w towarzystwie trzech starszych dam; dwie były kuzynkami Mainów, trzecia należała do rozległej rodziny Smithów. W przeciągu pół godziny opróżnił

cztery kielichy ponczu, ale nie pomogło to wiele. Ze wszystkich stron dochodziły go komplementy pod adresem pana młodego, co sprawiało, że kipiał ze złości. Goście byli po prostu niezwykle kurtuazyjni, ale jego kurtuazja nie sięgała tak daleko, aby miał zmuszać się do kłamstw.

Wkrótce płaśał na ułożonych przed domem deskach z dobroduszną starszą damą, którą wszyscy nazywali ciotką Betsy Buli. Lubił tańczyć polki, ale ciotka Betsy zepsuła jego dobry nastrój, mówiąc:

— Wspaniała z nich para, nieprawdaż? Ona będzie bardzo szczęśliwa. Nie znam zbyt dobrze Justina, ale zawsze sprawiał na mnie wrażenie uprzejmego i niezwykle czarującego.

— Na weselu wszyscy mężczyźni wyglądają na aniołów.

Ciotka Betsy nie ukrywała, jak bardzo rozczarowała ją ta odpowiedź.

— I pomyśleć, że ktoś tak miły, jak twoja matka wydała na świat tak cynicznego nicponia! Odnoszę wrażenie, że nie lubisz Justina. Z taką postawą nie dostaniesz się do niebios, pamiętaj o tym!

Wcale nie chcę dostać się do raj, zależy mi tylko na jeszcze jednym kielichu ponczu — pomyślał Cooper, kiedy muzyka umilkła.

— Dziękuję za taniec, ciociu Betsy — powiedział. — A teraz ciocia pozwoli, że przeproszę ją na chwilę. — Skłonił się i odszedł.

Popijając poncz, skarcił się w duchu za okazanie swych uczuć. W najmniejszym stopniu nie przejmował się opinią innych, nie chciał jednak martwić matki. Za nic na świecie nie postawiłby jej w kłopotliwej sytuacji. Problem polegał na tym, że trudno mu było zachować obojętność w stosunku do Justina LaMotte. Ten człowiek przybierał pozę dżentelmena, była to jednak zwykła blaga. Nawet swoje konie traktował lepiej niż Murzynów. Maltretowanie i pełne okrucieństwa znęcanie się nad niewolnikami były w Resolute na porządku dziennym, odkąd Justin po śmierci ojca przejął zarządzanie plantacją.

Latem ubiegłego roku, kiedy Justin poniósł porażkę w wyścigach konnych, jeden z jego czarnoskórych służących uczynił coś, co wywołało niezadowolenie pana. Wykroczenie niewolnika było niewspółmiernie małe do furii, która ogarnęła Justina; rozkazał nasypać gwoździ do pustej beczki i wsadzić do niej winowajcę, a następnie sturlać ją po zboczu wzgórza. Obrażenia, które odniósł niewolnik, uczyniły go niezdolnym do dalszej pracy, bezużytecznym dla każdego, kto chciałby go zatrudnić. Niedługo potem odebrał sobie życie.

Tego typu barbarzyńskie metody należały w tych stronach do rzadkości, nie stosowano ich w ogóle w Mont Royal. Zdaniem Coopera złe traktowanie Murzynów było jedną z przyczyn

niewielkich zbiorów w Resolute i bankructwa, które coraz bardziej zagrażało posiadłości LaMotte'a. Nawet kiedy odsuwał na bok obiekcje natury moralnej, Cooper dostrzegał w istniejącym systemie jedną olbrzymią wadę. Sam fakt, że człowiek trzymany był wbrew swej woli, oznaczał znęcanie się nad nim. Do owej krzywdy moralnej dochodziły okrucieństwa fizyczne. I jak można było oczekiwać, aby taki człowiek przy pracy dawał z siebie wszystko? Wszystko, a nawet jeszcze więcej! Cooper doszedł do przekonania, że istotna różnica pomiędzy systemami ekonomicznymi na Północy i na Południu polega nie na przeciwstawieniu rolnictwa i przemysłu, ale na motywacji do pracy. Wolny Jankes pracował, aby poprawić swój byt, niewolnik na Południu, aby uniknąć kary. Właśnie ta różnica była przyczyną powolnego, ale nieuchronnego upadku Południa, które drążył od środka stworzony niegdyś system.

Ale jak wytłumaczyć to ludziom pokroju Justina LaMotte'a albo nawet Tilleta Maina? Ratując się przed przygnębieniem Cooper sięgnął po kolejny kielich ponczu.

Francis LaMotte był o trzy lata starszy od swego brata. Celował w umiejętności jazdy konnej, regularnie bijąc na głowę Justina i wszystkich swych przeciwników w średniowiecznych turniejach, tak popularnych w tych stronach. Popisy Francisca fascynowały widzów; w pełnym galopie nadziewał na lancę cały rząd wiszących kół i zawsze okazywało się, że zebrał ich najwięcej.

Był to człowiek niewysoki i muskularny, o opalonej twarzy. W przeciwieństwie do brata nie miał ani odrobiny wdzięku. Stał teraz z Justinem, spoglądając nań z zachmurzoną miną, a ponieważ chwilowo nie było przy nich gości, popijali poncz. Tuż obok Madeline rozmawiała z episkopalnym pastorem.

— Nie wiem, ojczy Wiktorze, kto wygra jesienne wybory — mówiła na tyle głośno, że obaj bracia usłyszeli jej słowa ale wynik będzie zapewne zależał od kwestii aneksji Teksasu.

— Czy pani wie, że tej sprawie nadał rozgłos mieszkańiec Południowej Karoliny?

— Ma pan na myśli pana Calhouna, prawda?

Ojciec Wiktor skinął głową. Calhoun pełnił funkcję trzeciego sekretarza stanu w dręczonej niepokojami administracji Johna Tylera. Po objęciu swego urzędu na początku roku opracował projekt układu o aneksji, który został podpisany przez Republikę Teksasu i Stany Zjednoczone już w kwietniu.

— Jeżeli chodzi o znaczenie tej sprawy, ma pani całkowitą rację — przyznał pastor. — Jeszcze przed upływem tego roku

każdy, kto zajmuje się życiem publicznym, będzie musiał określić swoje stanowisko.

Nie musiał dodawać, że wielu ludzi już to uczyniło. Poparcie Polka i byłego prezydenta Jacksona dla planu aneksji było powszechnie znane. Tajemnicą nie było też istnienie opozycji skupionej wokół Van Burena i Claya.

— I tak powinno być — odparła Madeline. — Niektórzy ludzie są zdania, że problem Teksasu sięga swymi korzeniami głębiej, niż przyznają to politycy. Słyszałam, że w rzeczywistości chodzi tu o rozszerzenie niewolnictwa.

Pastor obruszył się.

— Tak mogą mówić jedynie agitatorzy, moja droga. Pozbawieni skrupułów jankescy agitatorzy.

Grzeczność nakazała jej kiwnąć głową na znak, że dopuszcza taką możliwość, potem jednak mruknęła:

— Zastanawiam się...

., Pastor, nieco nachmurzony, przerwał jej sucho:

— Może weźmiemy coś do jedzenia?

Madeline zorientowała się, że go rozdrażniła.

— Tak, oczywiście. Proszę iść przodem.

Uśmiechnęła się do męża, on zaś zmusił się, aby odwzajemnić uśmiech. Kiedy odeszła za pastorem, Francis zerknął na brata:

— Twoja żona ma wyrobioną opinię na temat wielu spraw politycznych.

Justin zachichotał. Był to śmiech beztroski i jowialny.

— A więc zauważyłeś to?

— Nie powinna głosić swych poglądów tak otwarcie. Inteligencja jest u kobiet cechą pożądaną, o ile nie przekracza pewnych granic.

— Mój drogi bracie, wszystko ma pewną cenę. Posag przekazany przez starego Fabraya nie stanowi pod tym względem żadnego wyjątku.

Znad krawędzi srebrnego kielicha Justin wpatrywał się w wypukły stanik ślubnej sukni Madeline, jego wół przymknięte, senne oczy taksowały położenie słońca. Jeszcze kilka godzin i to wszystko, co kryje się pod satyną i koronkami, będzie należało do niego. Nie mógł już doczekać się tej chwili.

Jakież to figle płała nieraz los — pomyślał. Mniej więcej przed dwoma laty postanowił pojechać do Nowego Orleanu, chociaż właściwie przekraczało to jego możliwości finansowe. Udał się tam, aby pofolgować sobie przy stołach do gry i wziąć udział w jednym z tych legendarnych bali, odbywających się w słynnym salonie przy Orleans Street. Zanim jednak zdążył zabawić się czy choćby rzucić okiem na czarnoskóre ślicznotki, przypadek zrządził, że przy barze pewnego modnego salonu gier poznał Nicholasa Fabraya. Fabray nie oddawał się hazardowi, był tu

jednak dosyć często. Właśnie w tym salonie spotykali się najbardziej wpływowi mieszkańcy miasta, a Justin zorientował się niebawem, że Fabray jest jednym z nich; znał tu wszystkich, ubierał się wytwornie i drogo i wydawał pieniądze z beztrząsą właściwą ludziom, którzy nie obawiają się, że mogłoby im ich zabraknąć. Justin począł rozpytywać o Fabraya i niebawem okazało się, że jego przypuszczenia były słuszne.

Dwa dni później natknął się przypadkowo na Fabraya w tym samym miejscu. Wtedy to właśnie dowiedział się, że właściciel cukrowni ma niezamężną córkę. Od tej pory zaczął tryskać wręcz uprzejmością i dobrym humorem. Fabray wkrótce znalazł się całkowicie pod jego wpływem; kiedy Justin chciał być czarującym, nikt nie mógł mu się oprzeć.

Wystarczyło, że LaMotte wspomniał kilkakrotnie, jak nieswojo czuje się w obcym mieście, aby Fabray zaprosił go do domu na kolację. Justin w ten sposób poznał Madeline i na jej widok ogarnęła go przemożna żądza. Oczywiście nie dał tego po sobie poznać, a dziewczynę traktował z tą samą wyszukaną kurtuazją, z jaką odnosił się do jej ojca. Jeszcze tego samego wieczoru doszedł do przekonania, że to śliczne stworzenie nie czuje przed nim strachu, jakkolwiek górował nad nią wiekiem i doświadczeniem.

Przedłużył swój pobyt w Nowym Orleanie do tygodnia, a potem do dwóch. Fabray sprawiał wrażenie zadowolonego z faktu, że dzentelmen pokroju Justina zabiega o względy jego córki. A wszystko, czego Justin dowiadywał się od niego, wzmagало jedynie chęć zdobycia dziewczyny. Przede wszystkim nie istniały żadne problemy religijne. Była to rodzina niemiecka — ich prawdziwe nazwisko brzmiało Faber i protestancka. Madeline chodziła do kościoła, w przeciwieństwie do ojca, który bardziej niż własną duszą interesował się powiększaniem kapitału. Domyślając się, jakie zamiary żywi Justin, Fabray dał mu do zrozumienia, że przeznaczył na posag córki sporą sumę.

Pewnego razu Justin zapytał o matkę Madeline, uzyskał jednak bardzo skąpe informacje; zmarła kilka lat temu, była Kreolką, co oznaczało, że urodziła się w Nowym Orleanie jako dziecko Europejczyków, najprawdopodobniej Francuzów, chociaż mogli też — oboje albo jedno z nich — pochodzić z Hiszpanii. Oglądając niewielką galerię portretów przodków Madeline, Justin zapytał, czy nie ma wśród nich portretu jej matki, na co Fabray odparł wymijająco, że go tu nie ma.

Justin natychmiast postanowił nie wypytywać Fabraya. W każdej szanowanej rodzinie, również w jego własnej, zdarzały się ukrywane starannie tajemnice. Najczęściej były to żony, które odeszły z innym mężczyzną lub zapadły na dolegliwość nerwową i dlatego spędzały resztę życia odizolowane od świata.

Na temat zmarłej matki Madeline nie dowiedział się nic kompromitującego — ci, których o nią wypytywał, nie pamiętali nawet jej imienia — zdecydował więc, że zapomni o tej sprawie w zamian za piękną dziewczynę i pieniądze, których potrzebował rozpaczliwie, aby móc utrzymać dotychczasowy styl życia.

Jeżeli córka Fabraya miała jakiegokolwiek wady, były to co najwyżej jej inteligencja oraz niechęć do skrywania faktu, że ma własne zdanie na temat spraw, które zwykle się pozostawiać wyłącznie mężczyznom. Fabray zatroszczył się, aby Madeline otrzymała najlepsze wykształcenie dostępne dla młodej kobiety w Nowym Orleanie, to mianowicie, które gwarantowała szkoła urszulanek.

Fabray miał wielu przyjaciół wśród chrześcijan mieszkających w mieście i był powszechnie znany jako żarliwy zwolennik kościoła katolickiego. Przekazując znaczną kwotę pieniędzy na potrzeby prowadzonego przez urszulanki szpitala i sierocińca, zdołał nakłonić je, aby zaakceptowały uczennicę wyznającą wiarę protestancką.

Otwarta natura Madeline nie odstraszała Justina. Wiedział, w jaki sposób można się z tym problemem uporać, postanowił jednak nie ujawniać swych metod, dopóki córka Fabraya nie zostanie jego legalną żoną.

Przed wyjazdem z miasta poprosił Fabraya o zgodę na oświadczyń i uzyskał ją. Madeline słuchała cierpliwie jego zawilego raczej wyznania miłości, a on coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że kiedy skończy mówić, ona wyrazi zgodę. Ale Madeline odmówiła, chociaż kilkakrotnie dziękowała mu za zaszczyt, który jej sprawił.

Tego wieczoru, aby uwolnić się od fizycznej i psychicznej frustracji, opłacił prostytutkę, po czym pobił ją brutalnie, używając nawet laski. A kiedy udało jej się wreszcie wymknąć z jego hotelowego pokoju, leżał w ciemnościach co najmniej godzinę, nie mogąc zasnąć. Wracał pamięcią do wyrazu twarzy Madeline w chwili, kiedy powiedziała: nie. Doszedł do przekonania, że dziewczynę jednak ogarnął lęk. Ponieważ nie wierzył, aby się go bała — był przecież uosobieniem dobrego wychowania — założył, że przestraszyła ją perspektywa zamążpójścia. Taka reakcja była czymś normalnym u młodej dziewczyny i nie mogła stanowić przeszkody nie do pokonania. Jej odmowa oznaczała chęć zwłoki, a nie jego definitywną porażkę.

Przez kilka kolejnych miesięcy Justin słał do Madeline długie, kwieciste listy miłosne, w których powtarzał swe oświadczyń i na które ona odpowiadała wyrazami wdzięczności, podtrzymując zarazem grzecznie, choć stanowczo swą odmowę. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, atak apopleksji jej ojca zmienił wszystko.

Justin właściwie nie wiedział, dlaczego ta zmiana nastąpiła. Może Fabray obawiał się, że jego dni są już policzone, i postanowił uczynić wszystko, aby jeszcze przed śmiercią zabezpieczyć przyszłość córki, wydając ją za mąż? W każdym razie Madeline wyraziła zgodę, po czym ustalono warunki. Rekompensata finansowa za wytrwałe starania Justina była bardziej niż zadowalająca. A poza tym miał już niebawem uzyskać prawo do położenia swych dłoni na jej...

Bezlitosny głos Francisca przywołał go do rzeczywistości.

— Powiadam ci, Justin, przyjdzie czas, że sam dojdiesz do przekonania, iż Madeline jest zbyt niezależna. To dla niej niedobrze. Dla ciebie też. Żona nie powinna wypowiadać swych poglądów na tematy polityczne... zwłaszcza w towarzystwie.

— Tak, oczywiście, masz rację, ale nie mogę tego zmienić w jeden dzień. Potrzebuję trochę czasu.

Francis prychnął pogardliwie.

— Zastanawiam się, czy ty w ogóle poradzisz sobie kiedykolwiek z tą młodą damą.

Justin położył mu na ramieniu swą dużą, wypielegnowaną dłoń.

— Czy twoje doświadczenie nie nauczyło cię, jak należy postępować z rasowymi zwierzętami? Ognista kobieta nie różni się pod tym względem od ognistej klaczy. I jednej, i drugiej można i należy uświadomić, kto jest panem i władcą. Upił łyk ponczu i mruknął: — Należy je okiełznać.

— Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. — W głosie Francisca zabrzmiało powątpiewanie, ale jego znajomość kobiet ograniczała się do niewolnic, prostytutek i jego niedorozwiniętej umysłowo, zahukanej małżonki. — Kreolki mają temperament, trudno je nazwać pokornymi. Ta południowa krew! Podjąłeś olbrzymie ryzyko, biorąc ją sobie za żonę!

— Nonsense! Madeline pochodzi wprawdzie z Nowego Orleanu, ale jest przede wszystkim kobietą. A kobiety, mimo wszystko, są tylko trochę inteligentniejsze od koni. Na pewno nie sprawi mi... Dobry Boże, cóż to takiego? — Obrócił się na pięcie, zaalarmowany krzykami i odgłosem przewracającego się stołu. — Jakaś bójka?

Czym prędzej pobiegł w tamtym kierunku.

Kilka minut wcześniej kuzyn Charles siedział pod dębem, oparty plecami o pień. Płaszcz rzucił obok siebie i właśnie skupił swą uwagę na drugiej okazałej porcji pieczeni jagnięcej, kiedy poczuł na sobie cień. Podniósł wzrok i ujrzał chudego, wymuskanego chłopca w towarzystwie trzech innych. Młodzieniec, o kilka lat starszy od Charlesa, był członkiem klanu Smithów.

— To ta kreatura z Mont Royal — powiedział, przybierając wyzywającą postawę. Spojrzał na Charlesa. — Miejsce, jak widzę, dosyć ustronne. Czyżbyś się ukrywał?

Charles zmierzył go wzrokiem, po czym kiwnął głową.

— Zgadza się.

Smith uśmiechnął się, rozluźnił nieco krawat. .

— Tak? Obleciał cię strach?

— Przed tobą? Nie za bardzo. Po prostu chciałem w spokoju zjeść tę pieczeń.

— A może wstydzisz się swojego wyglądu? Proszę rzucić na niego okiem, panowie — kontynuował tonem przesadnie podniosłym. — Na przykład to jego pomięte ubranie, czyż nie jest zachwycające? Albo ta fatalna fryzura! Czy nie są też godne uwagi te brudne policzki? Wygląda raczej jak biała hołota niż członek rodziny Mainów!

Obelgi burzyły w Charlesie krew, hamował się jednak. Był przekonany, że bardziej podziła Smithowi na nerwy, zachowując spokój. I rzeczywiście, podczas gdy tamci trzej wysmiewali się z Charlesa, Smith spowaźniał nagle i wykrzyknął:

— Podnieś swój tyłek i patrz prosto w oczy tym, którzy mówią do ciebie, chłopcze, tym bardziej że są kimś lepszym. — Nieoczekiwanie ujął Charlesa za lewe ucho i pociągnął z całej siły.

Charles, nie namyślając się wiele, cisnął weń talerzem z pieczenia. Mięso i sos wylądowały na błękitnej kamizelce Smitha. Jego przyjaciele wybuchnęli śmiechem, on zaś odwrócił się ku nim, klnąc z furją. Charles wykorzystał sposobną chwilę; skoczył na równe nogi, chwycił od tyłu za oba uszy Smitha i wykręcił je brutalnie.

Napadnięty zawył z bólu. Jeden z jego kompanów zawołał:

— Słuchaj no, mały bękarcie... — zamierzył się, ale Charles uchylił się przed ciosem. Śmiejąc się czmychnął za drzewo, po czym co sił w nogach pobiegł w stronę gości weselnych.

Był przekonany, że Smith i jego przyjaciele nie wywołają burdy na oczach wszystkich. Nie docenił jednak ich wściekłości; płonąc żądzą odwetu pobiegli za nim. Charles pośliznął się na trawniku, gdzie ktoś rozlał jakiś trunek. Runął na plecy, tracąc niemal oddech, i w tym samym momencie dopadł go Smith. Z wyrazem triumfu na twarzy poderwał go na nogi.

— Ty prostaku, teraz ci pokażę, jak należy...

Charles wyrznął go głową w brzuch. Wprawdzie umazał sobie włosy sosem, ale efekt wynagrodził tę ofiarę. Smith chwycił się oburącz za obolałe miejsce i zgiął się wpół. W tej pozycji jego twarz była nie osłonięta i Charles wykorzystał to; natychmiast dźgnął go kciukiem w oko.

— Zabić go! — krzyknął jeden z młodzieńców, Charles wołał

nie przekonywać się na własnej skórze, czy inni potraktują to wezwanie rzeczywiście poważnie. Pomknął w stronę gości weselnych spożywających posiłek.

Kompani Smitha puścili się za nim w pogoń. Charles rzucił się na ziemię i wczółgał pod jeden ze stołów. Ktoś chwycił jego nogę, by go wyciągnąć. Szarpnął się więc, a jego ruch przewrócił stół. Ten właśnie hałas zwrócił uwagę Justina LaMotte'a, jego brata i innych gości.

Charles zorientował się już, że Smith nie zna stylu walki, który stosowano na pograniczu, był też pewien, że dotyczy to pozostałych trzech chłopców, i ta świadomość zaczęła go bawić. Odwrócił się raptownie do napastnika trzymającego go za nogę i runął na niego. Kiedy nadbiegli Justin i Francis, a tuż za nimi dziesięcioletni syn Francisca, Forbes, Charles klęczał na Smisie* tłukąc go po głowie z widoczną uciechą.

— Zabierzcie go! — jęknął tamten. — On... nie walczy jak..., džentelmen.

— Nie, sir, walczę po to, by zwyciężyć! ----- Charles chwycił przeciwnika za uszy, szarpnął, a potem puścił gwałtownie, uderzając jego głową o ziemię.

— Charles, dosyć tego!

Ton głosu przywołał go do rzeczywistości. Ktoś poderwał go w górę, chłopiec obrócił się i ujrzał Orry'ego we wspaniałym mundurze i z oczyma roziskrzonymi gniewem. Obok niego stali Cooper, ciotka Clarissa i cała gromada gości.

Usłyszał kobiecy głos:

— Co za wstyd! Cała ta inteligencja... miły wygląd... wszystko zmarnowane! Złe skończy ten młody Main, bardzo źle!

Inni poparli ją. Charles obrzucił tłum wyzywającym spojrzeniem. Orry szarpnął go z całej siły za rękę, a ciotka Clarissa przeprosiła wszystkich za zamieszanie i zaoferowała się, że pokryje wszelkie szkody. Ton jej głosu sprawił, że Charles poczerwieniał i wreszcie spuścił głowę.

— Myślę, że powinniśmy już wracać do domu — powiedziała Clarissa.

— Och, jakże mi przykro, że nie mogą państwo zostać dłużej — zawołał Justin, ale Charles wiedział, że żal nie jest szczery.

W drodze powrotnej Orry zaczął go pouczać.

— Dałeś naprawdę haniebne widowisko! Nie interesuje mnie to, jak bardzo cię prowokowano; tak czy inaczej powinieneś być panować nad sobą. Najwyższy czas, abyś zaczął zachowywać się jak džentelmen!

— Kiedy ja nie potrafię — zawołał Charles. Nie jestem džentelmenem! Jestem sierotą, a to pewna różnica. Wszyscy w Mont Royal przypominają mi o tym przez cały czas!

W gniewnych oczach chłopca Cooper dostrzegł błysk bólu

i goryczy. Orry napuszył się niczym generał, który uświadamia sobie, że zlekceważono jego rozkazy.

— Ty zuchwały...

— Zostaw go — przerwał mu łagodnie Cooper. — Gadanina tamtych ludzi była już dla niego wystarczającą karą.

Charles zerknął na niego. Zdziwił go fakt, że ów chudy, rozmiłowany w nauce mężczyzna wie o nim tak wiele. Aby ukryć zakłopotanie, zaczął wyglądać przez okno.

Orry, zaperzony, już chciał rozpocząć kłótnię, ale Clarissa położyła mu dłoń na ramieniu.

— Cooper ma rację. Skończmy tę dyskusję. Porozmawiamy w domu.

W chwilę później spróbowała objąć Charlesa, odsunął się jednak na bok. Spojrzała na swego najstarszego syna i potrząsnęła głową. Kiedy przyjechali do Mont Royal, Tillet — nie bacząc na jej protesty — sprawił chłopcu lanie. Jak echo powtórzył to, co powiedziała dama na weselu Justina:

— Zobaczysz, że on źle skończy. Czy trzeba ci jeszcze innych dowodów?

Wlepiła w męża wzrok, w którym malowała się konsternacja.

Gdzieś w dworku Resolute zegar wybił drugą.

Nocne powietrze, wilgotne i ciężkie, wzmagало wrażenie Madeline LaMotte, że znalazła się w straszliwej pułapce. Jej wytworkna, bawełniana nocna koszula splątała się wokół talii, nie śmiała jednak wykonać najmniejszego nawet ruchu, aby ją obciągnąć, bała się zbudzić męża, który leżał obok, pochrapując co chwila.

Dzień był męczący, a na domiar złego w czasie ostatnich godzin przeżyła szok, ból i rozczarowanie. Do tej pory uważała Justina za człowieka delikatnego i taktownego, nie tylko z racji jego wieku, ale również dlatego, że właśnie tak zachowywał się w Nowym Orleanie. Teraz wiedziała, że to wszystko było pozą, mającą wyprowadzić w pole i ją, i jej ojca.

Tej nocy trzykrotnie otrzymała gorzką nauczkę. Trzy razy Justin wygzekwował swoje małżeńskie prawa. Uczynił to brutalnie, nie troszcząc się w ogóle, czy ona ma na to ochotę. I tylko jedna rzecz sprawiała jej ulgę; ujawnienie jego nieuczciwości pozwalało jej zapomnieć o wstydzie, który odczuła, stosując wobec męża podstęp.

Ów podstęp — odrobina krwi za pierwszym razem — przeprowadziła przy pomocy Maum Sally, która wiedziała, jak się do tego zabrać, a było to konieczne, gdyż Madeline swego czasu okazała się na tyle nierozsądna, aby dać się uwieść. Ten jeden nieopatrzny krok okazał się brzemienny w skutki. Gdyby nie to,

nie musiałyby ignorować własnej godności ani uciekać się do oszustwa w noc poślubną. Mało tego, w ogóle nie znalazłyby się w tej straszliwej sytuacji.

Madeline została uwiedziona latem, kiedy miała czternaście lat. Po dziś dzień zachowała w pamięci postać Gerarda, beztrzęskiego, przystojnego młodzieńca, który pracował jako steward na jednym z tych olbrzymich parowców pływających po Missisipi. Pewnego popołudnia zupełnie przypadkowo poznała go w pobliżu przystani. Gerard miał siedemnaście lat i był tak wesoły, a zarazem troskliwy, że Madeline przestała niebawem słuchać głosu rozsądku i do końca lata raz na dziesięć dni, gdy parowiec zawijał do portu, wymykała się na spotkania z młodym stewardem. A potem, pewnego sierpniowego, burzliwego popołudnia, kiedy zapadł już zmrok, uległa jego uporczywym namowom i poszła z nim do brudnego pokoiku, wynajętego w alejce w Vieux Carre. Niestety, gdy tylko znalazła się w tym kompromitującym miejscu, Gerard zatracił gdzieś swe dobre maniere i posiadał ją namiętnie, choć starając się nie sprawić jej bólu.

Nie przyszedł na następne umówione spotkanie, ona zaś zdecydowała się na duże ryzyko; weszła na kładkę parowca i zaczęła o niego wypytywać. Majtek, którego zaczepiła, odpowiadał wymijająco, nie miał jakoby pojęcia, gdzie może podziwiać się Gerard. Ale w pewnym momencie Madeline rzuciła okiem na jeden z górnych pokładów i tam, w okrągłym oknie kajuty, dostrzegła zarys twarzy. Kiedy Gerard zorientował się, że dziewczyna zauważyła go, cofnął się i zniknął w mroku. Nie ujrzala go już nigdy więcej.

Przez kilka dni obawiała się, że może być w ciąży, a kiedy podejrzenia okazały się bezpodstawne, zjawily się wyrzuty sumienia. Oddała się Gerardowi, gdyż sama tego pragnęła, ale teraz, gdy przekonała się, że chodziło mu wyłącznie o to, namiętność przerodziła się w skruchę oraz strach przed wszystkimi młodymi mężczyznami i ich żądzą. Wydarzenia owego lata wzbudziły w niej chęć pokuty i wyznaczenia sobie nowych, trwałych tym razem wzorów postępowania.

Przez kilka kolejnych lat zniechęcała skutecznie wszystkich zalecających się do niej mężczyzn i rzeczywiście udało jej się uniknąć ich towarzystwa do czasu, kiedy ojciec przyprowadził na obiad Justina LaMotte'a. Gość z Południowej Karoliny miał dwie cechy, które przemawiały na jego korzyść: czar delikatności i wiek. Była przekonana, że tak dojrzały mężczyzna nie kieruje się jak Gerard żądzą i między innymi dlatego zmieniła w końcu zdanie, przyjmując jego oświadczenia.

Zmiana ta nastąpiła kilka dni po ataku apopleksji, któremu uległ jej ojciec. Pewnego wieczoru, przy migotliwym blasku świec ustawionych obok łóżka, zaczął ją prosić:

— Nie wiem, ile mi jeszcze życia zostało, Madeline, a więc przyrzeknij, że zrobisz coś dla mnie: wyjdź za LaMotte'a. To człowiek porządny i szanowany.

— Tak — odparła, będąc pod wrażeniem tańczących płomyków świec i belkotliwej mowy ojca. — Ja też jestem tego zdania.

Tylko uporczywe błaganie ojca, leżącego na łożu boleści, zdołało pokonać jej strach przed zamążpójściem. Ale nawet świadomość, że spełnia jego życzenie, nie odegnęła smutku, który czuła opuszczając dom, niewielki krąg przyjaciół i miasto tak dobrze znane i kochane. Wybrała się w długą podróż do Południowej Karoliny, gdyż nie chciała trapić ojca, uwierzyła, że Justin LaMotte jest takim człowiekiem, na jakiego wygląda.

Jak bardzo się omyliła! Jak okrutne i wielkie było jej rozczarowanie! Biorąc pod uwagę to, na czym mu najbardziej zależało, Justin nie różnił się wcale od młodszych mężczyzn, a pod pewnym względem był nawet gorszy Gerard przynajmniej starał się nie sprawić jej bólu.

Za to, co się stało, nie winiła ojca, wierzyła jednak, że sprawy nie posunęłyby się tak daleko, gdyby miała matkę i mogła poprosić ją o radę. Madeline w ogóle nie знаła swojej matki, o której Nicholas Fabray opowiadał, że ta inteligentna, wykształcona Kreolka o niezwykłej urodzie była najcudowniejszą kobietą pod słońcem. Fabray powtarzał, iż Madeline jest do niej bardzo podobna, nie było jednak żadnego portretu, który mógłby to potwierdzić. Nicholas zlecił wprawdzie pewnemu malarzowi, aby sporządził portret jego żony, uczynił to jednak tuż przez jej nagłą i niespodziewaną śmiercią. Jak twierdził potem, fakt, że zdecydował się na to tak późno, stanowił drugi najpoważniejszy błąd w jego życiu.

Mój Boże, jakież to wszystko pogmatwane, jak okropnie skomplikowane — myślała Madeline. — I pełne gorzkiej ironii. A ile to czasu wyklócała się z Maum Sally na temat owego podstępu w noc poślubną! Ciągłe mówiła nie i nie, mimo iż Maura Sally przekonywała ją, że to konieczne nie tylko ze względu na nią. Zważywszy na znaczenie, jakie mężczyźni przywiązują do dziewictwa, taki krok byłby aktem życzliwości wobec Justina. Ten podstęp miał zapewnić gładki, bezkonfliktowy start do małżeństwa.

A potem, kiedy już ustąpiła, jak bardzo czuła się winna i jak śmieszne jest to poczucie winy teraz, gdy porównuje swój podstęp z oszustwem, którego dopuścił się Justin!

I było jeszcze coś: to spotkanie na drodze z młodym kadetem, Orrym Mainem. Urzekły ją jego łagodność, dobre maniery i głębokie, ciemne oczy. Zapragnęła wtedy dotknąć go i uczyniła to, zapominając na krótką chwilę nie tylko o tym, że już niebawem wyjdzie za mąż, ale również, że może i on nie

jest taki, na jakiego wygląda. Przecież był mniej więcej w jej wieku.

Nieoczekiwanie, zwłaszcza że przecież leżała u boku męża, Orry stanął przed jej oczami jak żywy. Nawet przy powitaniu poczuła, że coś ciągnie ją do tego młodego kadeta. Oczyrna wyobraźni pochłaniała jego wyimaginowaną twarz. Raptem znowu ogarnęło ją poczucie winy. Niezależnie od tego, jak Justin z nią postąpił, był przecież jej mężem! Sama myśl o innym mężczyźnie okrywała ją hańbą.

Jednak twarz Orry'ego nie zniknęła. Chcąc odpedzić jej obraz nakryła oczy ramieniem gwałtowniej, niż to należało uczynić. I w tej samej chwili zamarła, oddech Justina zabrzmiał raptem inaczej. Przycisnęła ręką do ciała i zacisnęła obie dłonie w pięści.

Obudził się.

Chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu atak kaszlu. Niepewnym głosem zapytała:

— Nic ci nie jest? — Nie potrafiła się zdobyć na to, aby troska wypadła bardziej przekonująco.

Przekręcił się na bok, plecami do niej.

— Nie, wszystko w porządku, a czuję się jeszcze lepiej, kiedy przepłuczę gardło burbonem.

W ciemności przewrócił kieliszek stojący przy łóżku i zaklął, używając słów, jakie Madeline słyszała zaledwie kilka razy w życiu, mimo iż jej ojciec miał wyrobiony pogląd na temat wielu spraw i często dawał temu wyraz za pomocą mało delikatnych określeń.

Justin, któremu nie przyszło nawet na myśl, że powinien przeprosić ją za ordynarne słowa, upił wprost z karafki, po czym westchnął przeciągle i opadł z powrotem na łóżko, wspierając się na łokciu. Księżyc był teraz wysoko, a jego blask padał na jedwabiste włosy i muskularną pierś Justina. Jak na człowieka w średnim wieku zachował niezwykle gibkie ciało.

Uśmiechnął się do niej.

— Nie musisz się martwić o moje zdrowie, droga Madeline. Czuję się świetnie. Większość mężczyzn z rodu LaMotte dożywała dziewięćdziesiątki. Zamierzam korzystać z twoich względów długo, bardzo długo.

Była zbyt przynębiona, aby cokolwiek odpowiedzieć. Przerzątał ją ochryply ton jego głosu. Wiedziała już, co oznacza. Z wyraźnym rozdrażnieniem dodał:

— Chcę, abyś urodziła mi synów, Madeline. Moja pierwsza żona nie potrafiła mi ich dać, a Francis miał kiedyś czelność wyrazić przypuszczenie, że wina leży po mojej stronie. To oczywiście nonsens, czego niebawem dowiedziemy.

Uniósł się znowu i nachylił nad nią niczym jakieś olbrzymie monstrum, po czym zerwał z niej prześcieradło.

— Justin, proszę, chciałabym najpierw wstać i...

— Nie teraz — warknął. Chwycił za rąbek jej nocnej koszuli i podciągnął ją wysoko, obnażając łono. Brutalnie, sprawiając jej ból, wsunął rękę pomiędzy jej uda.

Kiedy rzucił się na nią i zaczął stękać, zamknęła oczy i z całych sił zacisnęła pięści, wpijając paznokcie w dłonie.

7

Orry wrócił do West Point z czapką, na której nadal widniała haftowana odznaka. Jediną osobą, której mógł opowiedzieć o swym bogatym w wydarzenia urlopie, był George, ten zaś, widząc przygnębienie przyjaciela, starał się, jak mógł, skierować jego myśli w inną stronę.

— To, czego ci trzeba, Tyczko, to wizyta u Alice Peet. Już ona sprawi, że zapomnisz o Madeline i to szybko.

Orry spojrzał na przyjaciela i powoli potrząsnął głową.

— Nigdy.

Powiedział to tak żarliwie, że George'a ogarnął niepokój. Czyżby Orry zamierzał spędzić resztę życia na wzdychaniu do zameżnej kobiety? Objął go ramieniem i usiłował rozweselić, ale bez skutku.

Orry zdawał sobie sprawę, że musi znaleźć jakiś sposób, aby zapomnieć o Madeline. Oddał się całkowicie nauce, chcąc opuścić szereg „nieśmiertelnych”. Ale program nauczania nie był wcale łatwiejszy od programu dwóch pierwszych klas. Lubił zajęcia z mechaniki, optyki, astronomii i elektryczności, nie potrafił jednak — mimo gorących starań —• przenieść się z ostatniej sekcji choć o stopień wyżej.

Dotyczyło to również rysunku dla zaawansowanych. Profesor Weir niemilosiernie krytykował akwarele Orry'ego, nazywając je bohomazami. George natomiast nadal prześlizgiwał się bez żadnego wysiłku. Istotnym postępowaniem w porównaniu do poprzedniego roku była możliwość doskonalenia sprawności ciała w nie mniejszym stopniu niż umysłu. Kadeci uczyli się jeździć konno pod okiem profesora przezywanego Old Hersh. Orry był dobrym jeźdźcą. Na egzaminie końcowym teoretycznie mieli możliwość wyboru rodzaju broni, do której chcieliby uzyskać przydział. Ale w praktyce sześć rodzajów broni tworzyło hierarchię odpowiadającą układowi sekcji na uczelni. Tylko najlepsi absolwenci dostawali się do oddziałów inżynierskich lub do cieszących się nieco mniejszą popularnością zwiadowców. Kadeci,

kończący Akademię z gorszymi ocenami otrzymywali przydziały do piechoty lub do dragonów i strzelców konnych. Te dwa ostatnie rodzaje broni traktowane były przez wyższych oficerów z takim lekceważeniem, że nawet nie reagowali na nieregularne wasy, które zapuszczali służący w nich żołnierze. Orry miał zamiar nie tylko zostać świetnym jeźdźcem, postanowił również zapuścić wasy.

Podczas letniego obozu kadet Bent otrzymał awans na oficera. Z dumą paradował po całym terenie, prezentując szkarłatną szarfę i kapelusz ozdobiony pióropuszem, ale ranga nie zdołała poprawić jego charakteru. Nadal znęcał się nad rekrutami i młodszymi kadetami, wykazując przy tym niezwykłą złośliwość. Zdażył już znaleźć kolejną ofiarę: kościstego rekruta z Kentucky nazwiskiem Isham, który podobnie jak niegdyś Orry i George — nie zachowywał się w stosunku do niego dość pokornie.

Na krótko przed rozpoczęciem wyborów powszechnych Bent zarzucił Ishamowi, że ustawicznie gubi krok w trakcie wieczornych apeli. Tego samego dnia Isham wycieńczony wysiłkiem fizycznym i podwyższoną temperaturą poczekał na Benta przed południowymi koszarami i poprosił go, aby wycofał raport, który zwiększał liczbę jego punktów karnych do 164; obawiał się bowiem, że nie zostanie dopuszczony do egzaminów wstępnych. Bardziej doświadczeni kadeci mogliby mu powiedzieć, że podobne błagania wyzwalają w poruczniku Bencie najgorsze instynkty. I rzeczywiście, Bent oskarżył Ishama o zuchwalstwo wobec przełożonego, po czym wyznaczył mu o zmierzchu dodatkową „musztrę dyscyplinarną”.

Następnego ranka, tuż po pobudce, George i Orry dowiedzieli się, że Isham przebywa w szpitalu. Stopniowo, krok po kroku, poznali prawdę; Bent zabrał rekruta na szczyt wzniesienia, skąd do portu wiodła kręta, spadzista ścieżka, i rozkazał mu maszerować nią tam i z powrotem. Noc była ciepła, wyjątkowo ciepła jak na koniec października, a powietrze ciężkie od wilgoci. Wystarczyło czterdzieści minut, aby Isham poczuł, że brakuje mu sił.

Bent siedział na kamieniu mniej więcej w połowie stoku, uśmiechając się i wykrzykując ironiczne uwagi. Isham nie zdobył się na to, aby poprosić go o łaskę, a Bent oczywiście nie miał zamiaru go oszczędzać. Rekrut wytrzymał niemal godzinę męczarni. Potem nogi ugięły się pod nim, runął na ziemię i stoczył się w dół, gdzie przeleżał nieprzytomny do północy. Bent oczywiście ulotnił się z miejsca wypadku natychmiast, kiedy Isham spadł ze ścieżki. Nie było też żadnych świadków.

Rekrut dowlókl się do szpitala ostatkiem sił, a badania wykazały wstrząs mózgu i trzy złamane zebra. Wśród kadetów zawrzało. Rozeszły się wieści, że Isham pozostanie kaleką.

Jednak rekrut z Kentucky okazał się silny, wyzdrowiał. Po wyjściu ze szpitala opowiedział kolegom, jak doszło do wypadku. W ten sposób George i Orry poznali prawdę, jakkolwiek podobnie jak inni kadeci domyślali się jej już wcześniej.

O wypadku dowiedział się oficer sztabowy, który podał Benta do raportu za okrucieństwo wobec podwładnego. Isham nie złożył jednak skargi na swego dręczyciela, zabrakło więc dowodów jego winy. Kiedy Bentowi odczytano oskarżenie, zaprzeczył wszystkiemu. Pickett przywiózł te wieści w sobotę po południu do Gee's Point, gdzie Orry i George z kilkoma przyjaciółmi, korzystając z wciąż pięknej pogody, kąpali się w rzece. George zareagował w sposób jednoznaczny.

— A to lajdak! Czy wycofano oskarżenie?

— Jasne — odparł Pickett. — A co można było zrobić, skoro wyparł się wszystkiego?

George sięgnął po koszulę wiszącą na gałęzi.

— Myślę, że musimy coś zrobić, aby usadzić wreszcie naszego pana Benta.

Orry podzielał jego zdanie, ale jak zwykle dokładnie rozważył propozycję przyjaciela i zapytał:

— Czy to aby nasza sprawa, George?

— Teraz to już sprawa całego korpusu. Bent skłamał, aby ratować własną skórę. Czy chcesz, żeby ktoś taki jak on dowodził oddziałem żołnierzy? Byłby zdolny posłać całą kompanię na rzeź, a następnie bez mrugnięcia okiem obarczyć winą kogoś innego. Najwyższa pora, aby wreszcie się go pozbyć. I to na dobre.

Wybory prezydenckie dobiegały końca. Henry Clay, kandydat wigów, złągodził swoje stanowisko w kwestii Teksasu; teraz wypowiadał się na ten temat niemal jak jego oponenti. Ale przeciwnicy aneksji nie przestawali ostrzegać, że przyłączenie Teksasu do Unii mogłoby wpędzić kraj w wir wojny. Gdyby do niej doszło, byłby to sprawdzian programu West Point i jej absolwentów, pierwszy od czasu Sylvanusa Thayera. Ogłoszenie wyników wyborów, jak również decyzji w sprawie Teksasu, miało nastąpić 4 grudnia.

George i Orry poświęcali politycznym debatom niewiele uwagi, koncentrując się raczej na nauce i spisku mającym doprowadzić do wydalenia Benta z Akademii. Ta ostatnia sprawa pozostawała w sferze mglistych pragnień do czasu, kiedy George złożył kolejną wizytę u Benny'ego Havena i dowiedział się, że jednym ze stałych klientów Alice Peet jest porucznik armii, Casimir de Jong — ten sam oficer sztabowy, który wniósł na Benta skargę w aferze z Ishamem. Po powrocie do koszar George przekazał uzyskane informacje Orry'emu:

— Stary Jongie przychodzi po swoje uprane rzeczy w każdą środę o dziesiątej wieczorem. Jak słyszałem, spędza u Alice przynajmniej godzinę, aby załatwić wszystko jak należy. Idę o zakład, że nie ogranicza się do płacenia za upranie koszul i bielizny, prawdziwy cel tych odwiedzin jest z pewnością inny.

Orry był całym sercem za tym, aby rozprawić się z Bentem.

— W takim razie sędzę, że nasza strategia musi oprzeć się na zwyczajach de Jonga. Należy zrobić wszystko, aby pewnej środy około dziewiątej trzydzieści wieczorem nasz wojak z Ohio znalazł się w ramionach czcigodnej Alice.

George uśmiechnął się.

— Jak widzę, czeka cię świetlana przyszłość na polach bitewnych. Pamiętaj jednak o jednym: musisz znać swoich sprzymierzeńców tak samo dobrze, jak wrogów.

— Co masz na myśli?

— Nasza czcigodna Alice ma wprawdzie dobre serce, ale nie bez powodu trzyma się w pobliżu żołnierzy. W ten sposób zarabia na życie. Z pewnością nie zechce zabawić się z Bentem za darmo, zwłaszcza kiedy go sobie obejrzy.

Rzeczywiście, tej sprawy nie można było pominąć. Cały spiszek został zawieszony na trzy tygodnie, w tym czasie wtajemniczeni kadeci znosili koce i sprzęt kuchenny. Przezornie nie pytano żadnego z nich o pochodzenie czy też sposób zdobycia przedmiotów, które spiskowcy zanieśli następnie nad rzekę, do właściciela łodzi, aby uzyskać za nie potrzebną gotówkę.

Wieczorem, w przeddzień ostatniej tury wyborów, George udał się do Alice z pieniędzmi w rękę. Następnego dnia po kolacji machina mająca zniszczyć Ben ta pracowała na pełnych obrotach. George i Pickett w obecności świadków zainscenizowali spór na temat poparcia Polka dla aneksji Teksasu, przy czym George wyraził pogląd, że chodzi tu po prostu o chęć przyłączenia do Unii kolejnego niewolniczego terytorium. Pickett poczerwieniał z gniewu, zaczął wykrzykiwać coś głośno i agresywnie. Przypadkowi świadkowie, a nawet niektórzy dopuszczeni do spisku kadeci, byli przekonani, że jego wściekłość jest prawdziwa.

Wystarczyło parę dni, aby po całej uczelni rozniosła się wieść, że jeden George pokłócił się z drugim, po czym Pickett natychmiast zaczął przypochlebiać się Bentowi. Wykorzystując swój urok i spryt zdołał już niebawem wkraść się w łaski porucznika. W środę, kiedy zapadł zmierzch i począł sypać lekki śnieg, Pickett zaprosił go do Benny'ego Havena na kieliszek czegoś mocniejszego, a następnie zmienił zdanie, sugerując, że większe atrakcje czekają ich u Alice Peet.

George i Orry, jak również inni obserwatorzy z korpusu, tropili ich po śniegu, a potem, drżąc z zimna pod oknami Alice,

przyglądali się, w jaki sposób bierze się ona do dzieła. Nie miała takich zdolności aktorskich jak Pickett, ale i tak radziła sobie znakomicie. Zanim podeszła do Benta, on zdążył już położyć czapkę na krzesło, rozpiąć kołnierz i opróżnić trzy kieliszki. Jego wzrok stawał się z każdą chwilą coraz bardziej szklisty.

Alice nachyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Bent otarł usta. Przez uchylone okno obaj przyjaciele usłyszeli, jak pyta ją o cenę. George uściśnął rękę Orry'ego: nadszedł moment krytyczny. Powodzenie spisku zależało od tego, czy Bent uwierzy Alice, że nie chce od niego pieniędzy, że po prostu go polubiła. Wcześniej, kiedy obmyślali plan, Pickett zauważył, że będzie to równie trudne, jak przekonanie kogoś, iż wody Niagary popłyną do góry. Ale Bent był już pijany, a w głębi jego zamglonych oczu Orry dostrzegł coś, co odczytał jako pragnienie zahukanego, otylego chłopca znalezienia kogoś, kto by go kochał. Bent dał znak Pickettowi, ten zaś wstał i z uśmiechem pokijał im ręką na pożegnanie.

Wyszedł na ulicę, zamykając za sobą drzwi, a mijając spiskowców szepnął, nie odwracając głowy:

Spodziewam się, że opowiecie mi potem o wszystkim, co się tu wydarzy. — Nie zwalniając kroku oddalił się po skrzypiącym pod nogami śniegu, przyjaciele natomiast zobaczyli przez okno, że Alice ujęła Benta za rękę i pociągnęła go do sypialni. Przynęta chwyciła, sidła miały zatrzaskać się lada chwila.

Dokładnie o dziesiątej zjawił się okutany po uszy porucznik Casimir de Jong. Kroczył dziarsko po śniegu, nucąc jakąś piosenkę. Stał przed drzwiami chaty Alice, zapukał i nie czekając na zaproszenie wszedł do środka. Kadeci usłyszeli, jak Alice krzyknęła, udając przerażenie. Następnie wpadła do pokoju, obciążając jedną ręką koszulę, a drugą poprawiając potargane włosy. Z mroku drugiego pokoju dobiegał zasapany oddech i szelest pościeli.

Old Jongie pochwycił czapkę leżącą na krzesle i wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem zmiął ją w dłoni i stanął na szeroko rozstawionych nogach przed wejściem do sypialni. Jako doświadczony oficer sztabowy dawno opanował sztukę wywoływania strachu głośnymi rozkazami. I właśnie teraz uciekł się do koszarowego ryku.

— Kto tam jest? Niech pan natychmiast wyjdzie, sir!

W chwilę później w progu stanął Bent, dysząc ciężko i rozglądając się w popłochu na boki. Old Jongie znieruchomiał, szczęką opadła mu ze zdumienia.

— Dobry Boże, sir!... Nie wierzę własnym oczom!

— To nie to, o czym pan myśli! wykrzyknął łamiącym się głosem Bent. — Przyszedłem tu... przyszedłem tylko po rzeczy... które oddałem do prania...

— I dlatego stoi pan teraz z gaciami opuszczonymi do kolan?! Z kalesonami na wierzchu? W imię przyzwoitości, sir, niechże pan okryje swą nagość!

Orry i George podkradali się bliżej, aby zajrzeć do środka przez na w pół uchylone drzwi. George z trudem hamował śmiech. W blasku lampy naftowej Orry ujrzał, jak Bent gorączkowo podciąga spodnie. Alice załamywała dłonie.

— Och, panie Bent, sir, tak bardzo dałam ponieść się uczuciom, że zupełnie zapomniałam, że co srode u tej porze pan porucznik odbiera swoje rzeczy. To właśnie tamto zawiniątko...

W ostatniej chwili uchyliła się przed pięścią Benta.

— Zamknij się, dziwko!

— Dostyc tego, sir! — ryknął znowu de Jong. — Niech się pan zachowuje jak przystało na dżentelmena, dopóki pan jeszcze może!

Twarz Benta płonęła purpurą. W ciszy pobliskiego lasu jakieś nocne zwierzę nastąpiło na gałąź. Trzask zabrzmiał donośnie jak wystrzał z broni palnej.

Dopóki jeszcze mogę? szepnął Bent. Co pan ma na myśli?

— Czyżby nie było to dczywiste, sir? Podano pana do raportu za większą liczbę przewinień, niż chciałbym tu teraz wyliczyć. Ale zapewniam pana, że nie zapomnę o żadnym z nich. Zwłasz cza o tych, które są karane wydaleniem z Akademii!

Bent wyglądał jak ktoś ciężko chory.

— Sir, to jakieś potworne nieporozumienie. Jeśli pozwoli mi pan to wszystko wyjaśnić...

— W taki sam sposób, w jaki wykreślił się pan ze sprawy Ishama? Za pomocą kłamstw? De Jong był uosobieniem gniewu ostatniego sprawiedliwego, Orry niemal poczuł litość dla Benta.

De Jong ruszył zamaszystym krokiem do wyjścia. Bent odniósł wrażenie, że wraz z odejściem oficera znikną widoki na jego karierę wojskową. Rozpaczliwie chwycił go za rękę.

Niech mnie pan nie dotyka, pijaku głos de Jonga był zimny i cichy. Oczekuję pana u siebie natychmiast po pańskim powrocie do koszar. I radziłbym, aby nie zajęło to panu więcej niż dziesięć minut, w przeciwnym razie każę sprowadzić pana pod eskortą!

Z ostentacyjną wzgardą zszedł po stopniach i po chwili zniknął w śnieżycy. Nie zauważył dwóch kryjących się pod schodami kadetów.

W chacie Bent obrócił się do Alice.

— Ty głupia, niezdarna dziwko! Teraz...

Jednym ruchem odsunął na bok rozchwyiany stół. Alice podbiegła do pieca i chwyciła wiszący na haku tasak.

- Wynocha stąd! Pniak uprzedził mnie, że jesteś stuknięty, ale ja, głupia, nie wierzyłam mu. No już, wynocha! Jazda stąd! Potrząsnęła wojowniczo tasakiem, który błysnął w świetle lampy. George i Orry wymienili zatroskane spojrzenia. Bent stanął jak wryty, patrząc na nią ze zdumieniem.

— Pniak? Czy to znaczy, że Hazard maczał w tym swoje łapy? Pickett namówił mnie, abym tu przyszedł, a ty udawałaś, że...

Zabrakło mu sił, aby wypowiedzieć myśl do końca. Jego gniew przerodził się w szaleńczą furię, jakiej Orry jeszcze nigdy nie widział na ludzkiej twarzy.

Alice próbowała zatuszować gafę ostrym, piskliwym śmiechem.

— Co? Czegoś się spodziewała? Nigdy bym nie pozwoliła, aby dotknęła mnie taka świnią jak ty, ale zapłacono mi za to, i to sporo. A i tak nie wiem, czy potrafiłabym z tobą...

Ciałem Benta wstrząsały dreszcze.

— Powiniem był się tego domyśleć. To podstęp. Spisek. Wszyscy przeciwko mnie, czy tak?

Alice usiłowała naprawić swój błąd.

— Nie. To nieporozumienie...

— Nie kłam — krzyknął Bent. Stojący przed domem przyjaciele nie dostrzegli, co się dzieje w pokoju. Widocznie Bent wykonał jakiś groźny gest, gdyż kobieta zaczęła krzyczeć. Tym razem nie udawała. — Zamknij się, bo pobudzisz wszystkich w miasteczku.

— Ale o to jej właśnie chodziło. Krzyknęła jeszcze głośniej. Bent wypadł z chaty z rozwianą czupryną i wytrzeszczonymi ze strachu oczyma. Jedną ręką przytrzymywał spodnie.

Przyjaciele spojrzeli po sobie. Żaden nie odczuwał satysfakcji, na którą tak długo czekali.

Trzy dni później Bent został wydalony z uczelni. Większość kadetów wyraziła radość z tego powodu. Oczywiście był wśród nich Orry. I George. Obaj przyznawali jednak, że dręczą ich wyrzuty sumienia. Sposób, w jaki pozbyli się Benta, zastawiając na niego pułapkę, wydał im się niegodny kadetów z West Point. Ale z czasem przestali o tym myśleć. Dla Orry'ego dowodem, iż udało mu się przewyciężyć konflikt sumienia, stał się fakt, że powróciły erotyczne sny, których bohaterką była Madeline.

Podczas świąt Bożego Narodzenia nadal rozprawiano o zwycięstwie wyborczym Polka. Ponieważ prezydent-elekt nie przestawał mówić o swym zamiarze dokonania aneksji Teksasu, Orry począł zastanawiać się, czy natychmiast po ukończeniu uczelni — co miało nastąpić od czerwca za rok — nie będzie musiał walczyć przeciw armii meksykańskiej. Czy na północ-

nym zachodzie powstanie drugi front, jako efekt nie kończących się sporów z Brytyjczykami o granicę w Oregonie? Przyszłość rysowała się ekscytująco, choć zarazem przyprawiała o dreszcz trwogi.

Ostatniej grudniowej soboty w pokoju Picketta odbywało się kolejne przyjęcie, kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Orry otworzył je i ujrzał Toma Jacksona. Jackson był wzorowym studentem, głównie dzięki mozolnej pracy nad sobą. Mimo że nadal nie był zbyt lubiany przez kolegów, uważano go bowiem za dziwaka, tkwiło w nim coś — jakaś siła czy też srogość — co budziło szacunek. Ceniono go zwłaszcza w bardziej tolerancyjnych grupach, jak właśnie ta.

— Witam, generale! — wykrzyknął George, kiedy Jackson zamknął za sobą drzwi. — Poczęstujesz się?

— Nie, dziękuję. — Jackson przytknął dłoń do brzucha, dając do zrozumienia, że jest akurat cierpiący. Wyglądał na bardziej zatroskanego niż zazwyczaj.

— Jakież kłopoty? — zapytał Orry.

— Przynoszę niedobre wieści, zwłaszcza dla was obu Jackson zerknął na Orry'ego i George'a. — Wygląda na to, że owe koneksje sięgające do Waszyngtonu, którymi zawsze chępił się Bent, nie były wytworem jego fantazji. Jak dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, od adiutanta, jednym z ostatnich posunięć byłego ministra wojny Wilkinsa była interwencja właśnie w tej sprawie.

George potarł palcem górną wargę.

— Interweniował w tej sprawie, Tomie? No i co?

— Decyzja o usunięciu go z uczelni została anulowana. Pan Bent znowu znajdzie się wśród nas jeszcze przed upływem dwóch najbliższych tygodni.

Cofnięcie decyzji o relegowaniu studenta nie było w West Point niczym nowym. Znajomości i układy rodzinne sprawiały, że zdarzało się to wystarczająco często, aby prowokować głosy krytyki pod adresem Akademii. Był to nadużycie, któremu nie potrafił przeciwdziałać nawet najbardziej sumienny dyrektor, jako że najwyższą instancją władzy dla West Point był Waszyngton.

Jeszcze przed upływem tygodnia powrócił pozbawiony swej dawnej rangi Bent. George i Orry spodziewali się zemsty, ale nic takiego nie nastąpiło. Zaczęli więc unikać go, jak tylko mogli, ale nie zawsze im się to udawało. Kiedy któryś z nich przypadkiem spotykał Benta, jego reakcja była zawsze taka sama: nalana twarz pozostawała nieruchoma, niby wykuta z kamienia, wzrok był tak obojętny, jakby miał przed sobą zupełnie obcych ludzi.

— Właściwie przeraża mnie to o wiele bardziej, niż gdyby zaczął szaleć na nasz widok — powiedział kiedyś Orry. — Co on zamierza?

— Słyszałem, że kuje zawzięcie — odparł George. — Ale *moim zdaniem nic mu z tego nie przyjdzie*. Po *tym co* zrobił, nawet gdyby zdobył najlepsze oceny, powinien się cieszyć, gdy dostanie się do piechoty.

Nadchodził czerwiec, a Bent nadal trzymał się na uboczu. Stopniowo przestawano rozprawać o odwołanej decyzji, aż wreszcie zapomniano o wszystkim. Były ważniejsze sprawy: naród miał za sobą niezwykle znaczącą wiosnę.

Pierwszego marca, na trzy dni przed objęciem prezydentury przez Polka, ustępujący prezydent Tyler podpisał uchwałę Kongresu, na mocy której Teksas miał zostać włączony do Unii jako kolejny stan. Polk siłą rzeczy musiał wziąć na siebie wszelkie konsekwencje, wynikające z tego faktu, a przede wszystkim reakcję rządu Meksyku. Pod koniec miesiąca ambasador Stanów Zjednoczonych w Mexico City został poinformowany, że Meksyk zrywa stosunki dyplomatyczne z jego krajem.

Gorączka wojny poczęła ogarniać poszczególne rejony kraju, w szczególności Południe. Orry otrzymał list z domu, w którym Cooper uskarżał się na entuzjazm Tilleta wobec wyprawy wojennej, mającej bronić nowego niewolniczego stanu. Akcja zbrojna wydawała się nieunikniona, nie ulegało bowiem wątpliwości, że władze Teksasu zaaprobują aneksję. Na Północy zdania na temat wojny były podzielone. Opozycja działała najenergiczniej w okolicach Bostonu, ostoja abolicjonistów.

Kończący Akademię kadeci, a wśród nich i Bent, przygotowawali się pilnie do ostatnich egzaminów, prowadzili też rozmowy z krawcami wojskowymi, którzy zawsze zjawiali się w West Point o tej porze roku. W klasie Benta, nie różniącej się pod tym względem od innych, na dyplom ukończenia uczelni mogła liczyć mniej więcej połowa uczestników pierwszego letniego obozu. Każdy odchodzący z uczelni kadet otrzymywał awans na tytularnego oficera w danym rodzaju broni. Oficer tytularny nie 1 dostawał żołdu w wysokości przysługującej jego randze, większość kadetów czyniła więc, co mogła, aby ten prowizoryczny status zakończył się jak najszybciej i aby mogli jeszcze w pierwszym roku aktywnej służby otrzymać stopień pełnego porucznika. Przewidywania George'a w stosunku do Benta sprawdziły się; kadet z Ohio zdołał uzyskać jedynie tytularną rangę w piechocie.

Po zakończeniu egzaminów odbyła się defilada, po której Bent odezwał się wreszcie do George'a i Orry'ego. Był chłodny, czerwcowy wieczór, tuż po zachodzie słońca. Łagodnie zaokrąg-

lone wierzchołki wzgórz, skąpane częściowo w szkarłatnej, częściowo w błękitnej poświacie, wznosiły się nad równiną, gdzie absolwenci przyjmowali gratulacje od rozpromienionych matek, cichych, lecz dumnych ojców, wylewnych braci i siostr oraz wielbicielek. George zauważył, że Bent należał do nielicznej grupy kadetów, których nie odwiedził dosłownie nikt.

W swoim mundurze, założonym po raz ostatni, Bent wyglądał wyjątkowo schludnie. Korzystając z przywilejów przysługujących słuchaczom ostatniego roku, zapuścił bujne bokobrody. Mniej więcej za godzinę znajdzie się na przystani, aby popłynąć do Nowego Jorku, gdzie jak zwykle na drugi dzień po promocji w którymś z eleganckich hoteli odbędzie się przyjęcie dla całej klasy. Urlopy absolwentów miały trwać do końca września.

Uśmiech Benta uspokoił Orry'ego, ale kiedy tamten obrócił się nieco, padające z boku promienie zachodzącego słońca oświetliły nalaną twarz i Orry dojrzał w jego oczach nienawiść.

— To, co mam obu panom do powiedzenia, nie zajmie wiele czasu. — Bent robił częste przerwy, by złapać oddech, tak jakby za wszelką cenę starał się nie okazać kłębiących się w nim emocji. — Niemal udało jsię panom zniszczyć moją karierę wojskową i ten fakt zachowam w pamięci na zawsze. Pewnego dnia zajdę wysoko, bardzo wysoko, i to z kolei jest fakt, który powinien panom dobrze zapaść w serca. Gdyż ja nie zapomnę nigdy nazwisk ludzi, którzy są winni trwałej skazy w moich aktach.

Obrócił się tak raptownie, że George odskoczył. W purpurowym blasku słońca wydawało się, że oczy i twarz Benta płoną. Ciężkim krokiem powlókł się w stronę koszar. Waga utrudniała mu zachowanie właściwej postawy wojskowej.

George obrzucił przyjaciela zdumionym spojrzeniem, tak jakby nie potrafił uwierzyć w prawdziwość melodramatycznej deklaracji, którą przed chwilą usłyszeli. Orry natomiast modlił się żarliwie, aby George nie lekcewał i nie śmiał się ze słów Benta, gdyż było to oświadczenie szaleńca, a takiego nie wolno ignorować. : W groźby szaleńca należy wierzyć i mieć się na baczności.

8

Podczas obozu letniego George awansował na porucznika-kadeta. Orry był jedynym wśród kolegów, który nie otrzymał żadnej rangi. Kadeci obrócili to w żart, mówiąc, że ma teraz stopień „aż szeregowca”, ale dla Orry'ego sytuacja była jednak zniechęcają-

ca, świadczyła bowiem aż za dobrze, jak oceniają go przełożeni. Może nawet lubili go prywatnie, ale żeby mieli wierzyć w jego talent wojskowy — co to, to nie.

Opinię tę potwierdzały zajęcia w ostatniej klasie. George nadal prześlizgiwał się z klasy do klasy bez najmniejszego wysiłku. Orry natomiast męczył się nad zasadami prawa konstytucyjnego, praktyką wprowadzania prawa wojennego i wieloma innymi tematami. Jeszcze większe problemy sprawiały mu zajęcia z inżynierii cywilnej i wojskowej. Regularnie spotykał się więc z osławionym, budzącym respekt profesorem Mahanem.

W swoim ciemnoniebieskim surducie, błękitnych spodniach i skórzanej kamizelce Mahan w każdym calu był wykładowcą Akademii. Nigdy nie zezwalał, aby kadet, odpowiadając na jego pytania, czynił jakiegokolwiek odstępstwa od tego, czego i jak on uczył. Jeśli kadet był na tyle nierozsądny, aby nie zgadzać się z nim — nawet jeśli wyrażał to w sposób nieśmiały — natychmiast stawał się celem agresywnego sarkazmu Mahana, który niszczył go psychicznie. Wykładowca według własnych kryteriów ustalał miejsce każdego ucznia i zgodnie z tym — obojętne, czy delikwent rzeczywiście zasłużył sobie na to miejsce, czy też nie — zapadał wyrok, od którego nie było odwołania. Mimo to kadeci lubili Mahana, a nawet uwielbiali go, i tylko dlatego nie wyśmiewali się z nieznaczej wady wymowy nauczyciela, który mówił tak, jakby stale był przeziębiony.

Oprócz zajęć z inżynierii wojskowej Mahan prowadził wykłady, podczas których przekazywał kadetom ogólną wiedzę o wojsku. Groza ogarniała jego uczniów, gdy przepowiadał nową, apokaliptyczną wojnę, zrodzoną w aktualnej epoce przemysłowej. W tej wojnie, tak odmiennej od poprzednich, oni będą musieli przejąć dowodzenie, mówił.

A wojna mogła wybuchnąć wcześniej, niż się spodziewano. W lipcu 1845 roku generał Zachary Taylor oraz półtora tysiąca żołnierzy wyruszyło nad Nueces River. Meksyk upierał się, że owa rzeka stanowi jego północną granicę. Taylor zajął pozycje w pobliżu Corpus Christi, miasta leżącego nad Nueces, po czym przygotował się na ewentualny atak Meksyku.

Późną jesienią siły Taylora liczyły już cztery i pół tysiąca żołnierzy. 29 grudnia Teksas przystąpił do Unii jako dwudziesty ósmy stan, twierdząc, że układ pokojowy kończący wojnę o niepodległość ustanowił rzekę Rio Grandę granicą południową. Protesty Meksyku wskazywały, że nasilają się tam nastroje wojownicze. Układ pokojowy był według Meksykan nieważny, a Republika Teksasu oszustwem. Po prostu nie istniała. A w jaki sposób nielegalny twór polityczny mógł przystąpić do Unii? Odpowiedź była prosta: nie mógł. Tego, kto myślał inaczej, czekały straszliwe konsekwencje.

Owe groźne słowa nie spodobały się tym Amerykanom, którzy wierzyli, że ich naród ma niemal moralne prawo do rozszerzania swych granic. Robert Winthrop, poseł z Massachusetts, natknął się w jakimś podrzędnym piśmie na sformułowanie, które zdawało się podkreślać słuszność tego prawa, i to w sposób niezwykle sugestywny. Na początku stycznia Winthrop wystąpił na forum Kongresu, mówiąc o „oczywistym przeznaczeniu”.

Zimą stało się jasne, że wysiłki ambasadora amerykańskiego w Meksyku, Johna Slidella, który prowadził negocjacje pokojowe, spełzły na niczym. Wypełniając rozkazy swoich przełożonych z Waszyngtonu, generał Taylor znowu posunął się do przodu, tym razem na południe, przez skąpo zaludnione, dzikie tereny, do których pretensje rościły zarówno Meksyk, jak i Teksas, aż do Rio Grande. O wojnie zaczęto mówić jak o czymś najzupełniej realnym, a oponenti prezydenta określali ją mianem „wojny pana Polka”.

Owej niespokojnej wiosny 1846 roku George Hazard skonstatawał ze zdumieniem, że w ciągu tych czterech lat, kiedy interesowały go wyłącznie cygara, dziewczęta i czasem nauka, zaszły istotne zmiany. Chłopcy przekształcili się w młodych mężczyzn, młodzi mężczyźni w twarde, doświadczonych ludzi, a ci z kolei mieli otrzymać awanse na oficerów tytularnych; w jego i Orry'ego przypadku na oficerów tytularnych ze świeżo zapuszczonymi bokobrodami.

Orry otrzymał przydział do piechoty i George postanowił pójść w jego ślady. Niektórzy profesorowie i oficerowie sztabowi nie byli tym pomysłem zachwyceni; uważali, że George, mając tak wspaniałe oceny, mógłby pójść do artylerii lub oddziałów zwiadowczych. Nawet Orry nalegał, aby posłuchał ich rad, ale George był nieugięty.

— Wolę służyć z przyjacielem w piechocie, niż kręcić się z działem wśród obcych. Zresztą, zamierzam wystąpić z wojska po czterech latach i nie przywiązuję wagi do tego, gdzie spędzę ten czas. Chodzi mi tylko o jedno; aby nie strzelano do mnie zbyt często.

O ile George nie był zachwycony perspektywą pójścia na wojnę, Orry pragnął zetknąć się z prawdziwym niebezpieczeństwem, ujrzeć gdzieś na odległych polach bitewnych Meksyku tego strasznego diabła na własne oczy. Bywały chwile, że to pragnienie budziło w nim poczucie winy, ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że bez doświadczenia bojowego nie może marzyć o karierze wojskowej. Nawet stanowisko zwierzchników, którzy odmówili mu awansu, nie zmieniło decyzji Orry'ego. Postanowił być żołnierzem bez względu na to, co o tym myślał inni.

Możliwość rozpoczęcia akcji zbrojnej ekscytowała i napawała niepokojem również innych kadetów. Korpus „rozpieszczonych arystokratów” z West Point miał wreszcie uzyskać szansę udowodnienia swej przydatności. Właściwie swą prawdziwą wartość miała teraz pokazać cała armia. Wielu Amerykanów wypowiadało się pogardliwie na temat swoich żołnierzy, twierdzili, że mają oni talent wyłącznie do jednego: symulactwa, i że uczynili z tego prawdziwą sztukę.

Pytanie, czy wojna wybuchnie, czy też nie, zostało rozstrzygnięte, zanim George i Orry ukończyli uczelnię. Dnia 12 kwietnia meksykański dowódca z Matamoros wezwał generała Taylora do wycofania się z zajętego terenu. Żądanie to zostało zignorowane, wskutek czego ostatniego dnia tego miesiąca meksykańscy żołnierze rozpoczęli przeprawę przez Rio Grandę. Na początku maja armia Taylora w bitwie pod Paño Alto odrzuciła trzykrotnie liczniejszego przeciwnika i powtórzyła ten wyczyn w parę dni później pod Resaca de la Palma. Bal się więc rozpoczął, a Kongres na inwazję na terytorium amerykańskie zareagował 12 maja deklaracją o wypowiedzeniu wojny.

Wojna wywołała wiele kontrowersji. George nie był tak radykalny, jak wrogo nastawieni wobec Południa wigowie w rodzaju Horace’a Greeleya, wydawcy „New York Tribune”, który nazwał wojnę oszukańczą grabieżą ziemi i ostrzegł, że intryga Południa spycha cały naród w „bezdenną otchłań zbrodni i okrucieństwa”. George kpił też jednak z propagandy meksykańskiej przewrotnie nawołującej do wytepienia katolicyzmu w Ameryce Północnej. Cieszył się już na myśl o czterech leniwych latach, które zamierzał spędzić w wojsku, wojna psuła mu więc szyki.

Natychmiast po podjęciu decyzji o rozpoczęciu służby w piechocie George napisał do ojca, prosząc go, aby uruchomił swe kontakty. I wreszcie rozkazy nadeszły, miał zgłosić się w VIII Pułku Piechoty. Orry ku swemu niezmiernemu zdumieniu dowiedział się, że i on będzie wysłany do tego pułku. George udawał, że jest zaskoczony owym zbiegiem okoliczności.

Była piękna czerwcową pogodą, kiedy absolwenci przyjęli życzenia szczęścia od swoich profesorów i odbyli swą ostatnią defiladę. Po raz pierwszy George i Orry mieli na sobie niebieskie, przepisowe mundury armii amerykańskiej: granatowe kurtki i błękitne spodnie z wąskimi, białymi, biegnącymi wzdłuż szwów lampasami piechoty.

Na defiladę przybyli ojciec George’a i Stanley, z rodziny Orry’ego nikt nie mógł odbyć tak długiej podróży z Południowej Karoliny. Zaraz po zakończeniu uroczystości starsi Hazardowie odpłynęli do Albany, gdzie czekały na nich interesy. W pół godziny później również George i Orry byli gotowi do podróży.

Niebawem parowiec odbił od przystani. Orry, oparłszy się o reling, patrzył na urwisty cypel i ścieżkę, którą po raz pierwszy wspinali się przed czterema laty.

— Będzie mi brakowało tego miejsca. Uśmiejesz się, ale najbardziej przywiązałem się do odgłosu werbli. Z czasem to wchodzi w krew.

George nie śmiał się, potrząsnął jednak głową.

— Będziesz tęsknił za werblem, który dzielił twoje życie na drobne, surowe fragmenty?

— Tak. Nadawał dniom pewien rytm, jakiś porządek i ład, na którym mogłeś polegać.

— No cóż, panie Tyczko, tylko nie usychaj z tęsknoty! W Meksyku jeszcze nie raz usłyszysz bicie w bębny.

Zapadał zmierzch, gdy parowiec zbliżał się do Constitution Island. Kiedy płynęli w dół rzeki Hudson, było już ciemno. W mieście zarejestrowali się w American House, a następnego ranka rozpoczęli zwiedzanie Nowego Jorku. Na Broadwayu natknęli się na kilku podoficerów dragonów, wtedy zaszalutowano im po raz pierwszy. Orry nie posiadał się z radości.

— Jesteśmy teraz żołnierzami! Prawdziwymi żołnierzami!

Jego przyjaciel wzruszył ramionami, nie wyglądał na przejętego. Zanim wsiadł do pociągu do Filadelfii, Orry uzyskał od niego przyrzeczenie złożenia w czasie urlopu wizyty w Mont Royal. Następnie mieli razem udać się do pułku. George przystał na to chętnie. W ciągu ostatnich czterech lat poznał wielu Południowców i polubił niemal wszystkich.

A zresztą nie zapomniał słów Coopera o dziewczętach z Południa, ładniejszych podobno niż w innych częściach kraju.

Pierwszą rzeczą, jaką George uczynił po powrocie do Lehigh Station, było wyjęcie z torby meteorytu, który znalazł w pobliżu uczelni. Umieścił go pieczołowicie w swoim pokoju na parapecie okiennym, tak aby nikt ze służby nie wziął go nieopatrznie za zwykły kamyk, nadający się do wyrzucenia. Potem ułożył się wygodnie, podpierając głowę dłońmi, i zatopił wzrok w swoim trofeum.

Upłynęło dziesięć minut. Dwadzieścia. W ciemnościach ów chropowaty, bogaty w żelazo okruch zdawał się przemawiać do niego bezgłośnie, a zarazem z jakąś niezwykłą mocą, opowiadać o tym, że jest w stanie zmienić lub nawet zniszczyć wszystko, co człowiek stworzył czy wynalazł. Kiedy wreszcie George wstał, by wyjść z pokoju, trząśnięty był całym, chociaż letnie popołudnie było nadzwyczaj ciepłe.

Niewiele spraw George traktował poważnie, jeszcze mniej wywierało znaczący wpływ na jego emocje. Odłamek gwiazdne-

go żelaza, substancji stanowiącej sedno majątku Hazardów, był wyjątkiem. George nie miał najmniejszego zamiaru zginąć w Meksyku śmiercią bohatera, o czym i tak zapomniano by niebawem; miał liczne i poważne plany na przyszłość. Niech Orry, skoro tego chce, spędza całe życie na polach bitew, rozstrzygając spory graniczne. George marzył, by wytwarzając żelazo przyczynić się w bardziej istotny sposób niż żołnierze do ulepszenia świata.

W połowie września spakował się i pożegnał z rodziną. Armia Taylora, korzystając z ośmiotygodniowego zawieszenia broni, maszerowała w kierunku Monterrey w Meksyku. George również podążył w tę stronę, gdyż jego pułk wchodził w skład II Dywizji Taylora, dowodzonej przez generała Wortha. VIII Pułk Piechoty miał już za sobą kilka zażartych walk i zapewne wiele przed sobą.

Podczas długiej drogi koleją do Południowej Karoliny George starał się uporządkować swoje poglądy na temat ziomek i Południowców. W West Point kadeci pochodzący z obu części kraju byli zgodni co do tego, że lepiej przygotowani są Jankesi, gdyż na Północy są lepsze szkoły, przy czym Południowcy dodawali natychmiast, iż fakt ten nie ma znaczenia, jako że bitwy wygrywają zazwyczaj ludzie dzielni, a nie wykształceni.

Gdyby ktoś zapytał go o różnice regionalne, scharakteryzowałby Jankesów jako ludzi praktycznych, pełnych werwy, ciekawych życia, skorych do poprawiania wszystkiego, gdziekolwiek to możliwe. W przeciwieństwie do nich Południowcy sprawiali wrażenie zawsze zadowolonych z życia, a jednocześnie oddawali się bezustannym dysputom i rozważaniom teoretycznym, przy czym często skłaniali się ku abstrakcji, zwłaszcza w takich sprawach, jak: polityka, niewolnictwo Murzynów i konstytucja, żeby wymienić tylko trzy.

Niewolnictwo uznawano oczywiście za zjawisko pozytywne. Dziwne, George nagle przypomniał sobie słowa Orry'ego, że nie zawsze tak było. Będąc chłopcem Orry kilkakrotnie podsłuchiwał rozmowy mężczyzn, którzy odwiedzali ojca. Często poruszali w nich temat tego dziwnego systemu, a pewnego razu Tillet przyznał, że niewolnictwo zawiera aspekty odrażające i dla Boga, i dla ludzi. Jednak po buntach zorganizowanych przez Veseya i Turnera Orry zauważył, że dyskusje w Mont Royal ustały; Tillet był zdania, że mogłyby zachęcić do kolejnego powstania.

George nie miał jeszcze wyrobionej opinii na temat niewolnictwa, nie był za ani przeciw. Na wszelki wypadek postanowił nie poruszać tego tematu w Południowej Karolinie ani mówić Mainom, co myślą o tym inni Hazardowie. Jego rodzice nie należeli do grona fanatycznych abolicjonistów, uważali jednak, że niewolnictwo jest systemem z gruntu złym.

Orry przyjechał po niego powozem na małą, ginącą niemal w lesie stację Północno-Wschodniej Linii Kolejowej. W drodze na plantację przyjaciele rozprawiali z ożywieniem o wojnie i wydarzeniach minionego okresu. Orry powiedział, że jego rodzina wróciła ze swojej letniej rezydencji dwa tygodnie wcześniej, by być w domu podczas wizyty George'a.

George był zafascynowany bujną roślinnością Południa, przytłoczony wielkością i przepychem Mont Royal i zachwycony rodziną Orry'ego. Przynajmniej jej lwią częścią. Tillet Main wydał mu się człowiekiem poważnym, do obcych odnoszącym się nieufnie i jakby z obawą. Potem był kuzyn Charles, łobuziak, ale jednocześnie ładny chłopiec, którego głównym zajęciem było chyba uśmiechanie się w jakiś posepny sposób i wymachiwanie olbrzymim nożem „bowie”.

Siostry Orry'ego były jeszcze oczywiście za młode dla George'a. Brett, która właśnie ukończyła dziewięć lat, miła i bystra, usuwała się w cień zawsze, kiedy zjawiała się jedenastoletnia Ashton. Starsza z sióstr była jedną z najładniejszych dziewczynek, jakie George kiedykolwiek widział. Cóż to będzie za ślicznotka, .gdy jeszcze trochę podrośnie!

Pierwszy dzień w Mont Royal spędził na oglądaniu pól i poznawaniu zasad funkcjonowania plantacji ryżu. Po południu oddał się pod opiekę Clarissy i jej córek, które zaprowadziły go do uroczej altany w kącie ogrodu. Usiedli wygodnie na wiklinowych krzesłach, a dwie czarnoskóre niewolnice podały im smakowity napój orzeźwiający i drobne ciasteczka.

Po pewnym czasie Clarissa przeprosiła gościa i odeszła, aby sprawdzić coś w kuchni. Ashton splotła dłonie i spojrzała na George'a swymi dużymi, ciemnymi oczyma.

— Orry powiedział, że ma pan przydomek Pniak. Ale ja nie sądzę, aby wyglądał pan jak pniak. Uśmiechnęła się, w jej oczach zatańczyły iskierki.

George wsunął palec za ciasny kołnierz. Raptem zabrakło mu słów. Z kłopotu wybawiła go Brett.

— To najładniejszy mundur, jaki kiedykolwiek widziałam... choć muszę przyznać, że nie widziałam ich wiele.

— Nie tak ładny jak to, co w nim tkwi dodała Ashton i tym razem George splonął rumieńcem. Dziewczynki sprawiały wrażenie miniaturowych kobietek, a nie dzieci. Zalotność Ashton wprawiała go w zakłopotanie.

To wina jej wieku — pomyślał.

Była za młoda, aby kokietować, a jednak to czyniła. George lubił towarzystwo ładnych kobiet, unikał jednak pięknych. Były zbyt świadome swego uroku i ta wiedza sprawiała, że stawały się kapryśne i trudne. Podejrzewał, że tak właśnie będzie w przyszłości z Ashton Main.

Ashton obserwowała go uporczywie znad szklaneczki z lemoniadą. Kiedy wreszcie opuścił towarzystwo dziewcząt, odetchnął z ulgą.

Dwa dni później, przy obiedzie, Clarissa oznajmiła, że organizuje piknik, aby przedstawić George'a sąsiadom i krewnym.

— Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy mieli zaszczyt gościć senatora Calhouna. Przez kilka tygodni przebywał w Fortie Hill. Cierpi na jakąś chorobę płuc, a klimat w rejonie Potomacu pogarsza jego stan. W głębi kraju powietrze jest zdrowe i czyste i to pomaga mu... Tillet, na Boga, cóż to za mina?

Oczy wszystkich skierowały się na koniec stołu. Gdzieś na zewnątrz, w oddali, wieczorną ciszę przerwał grzmot. Ashton i Brett wymieniły bojazliwe spojrzenia. Nastąpiła właśnie sezon huraganów, które z niszczycielską furją nadciągały znad oceanu.

— John Calhoun już od dawna nie zachowuje się jak jeden z naszych — mruknął Tillet.

Jakiś owad wylądował na jego czole. Tillet zamierzył się, po czym trzepnął go z całej siły. W kącie pokoju tkwił w bezruchu mały, czarnoskóry chłopiec, który niby strzelbę trzymał przed sobą packę na owady. W odpowiedzi na gest Tilleta skoczył do przodu i energicznie pomachał packą nad jego głową, wiedział jednak, że nie zrobił tego na czas. Rozczarował swego pana. Strach widoczny w oczach chłopca powiedział George'owi więcej na temat stosunku pana do niewolnika, niż zdołałby wyczytać przez wiele godzin z pism abolicjonistów.

Przy każdej publicznej okazji wnosimy toast na cześć Calhouna — kontynuował Tillet. — Wnosimy pomniki i płyty pamiątkowe, czcąc go jako największego z żyjących obywateli stanu, a może rfawet kraju. A on co? Ulatnia się do Waszyngtonu i najwyraźniej ignoruje wolę swych wyborców.

Cooper chrząknął, co rozgniewało ojca.

— Cóż to, sir zawołał brat Orry'ego — czy to znaczy, że uznasz pana Calhouna za prawdziwego obywatela Południowej Karoliny tylko wtedy, gdy będzie miał takie same poglądy jak ty? Jego niechęć do wojny nie przysparza mu może sympatyków, ale on jest przynajmniej szczery. Z pewnością podziela i popiera większość innych twoich poglądów.

— W przeciwieństwie do ciebie. Ale nie mogę powiedzieć, abym przejmował się tym faktem. — Sarkazm w głosie Tilleta sprawił, że George poczuł się nieswojo. Podejrzewał, że Maina dotknęły jednak słowa syna.

— To dobrze — odparował Cooper i machnął w powietrzu ręką, w której trzymał kieliszek z winem. — W ogóle nie musisz przejmować się tym, co myślę. — Udawał, że nie widzi błagalnego

spojrzenia matki. — Ale jeśli nie zwracasz uwagi na opinię reszty kraju, to już twoje ryzyko.

Tillet zmiął serwetkę. Spojrzał na George'a, zmuszając się do uśmiechu.

— Mój syn to samozwańczy ekspert w sprawach całego kraju. Są chwile, kiedy odnoszę wrażenie, że czułby się lepiej mieszkając na Północy.

Cooper siedział sztywny, jakby połknął kij.

— Bzdura — odparł. Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Gardzę tymi cholernymi abolicjonistami i ich obłudą. Ale hipokryzja Jankesów nie zaślepiła mnie na tyle, abym nie dostrzegał prawdy w niektórych żądaniach, które wysuwają. Kiedy ktoś ośmiela się skrytykować choćby jednym słowem nasze postępowanie na Południu, przybieramy natychmiast pozę zagrożonego jeżozwierza. Jankesi mówią, że niewolnictwo jest niewłaściwe, a wtedy my oświadczamy, że to błogosławieństwo dla czarnych. Tamci wskazują na poranione plecy niewolników, a my...

— Nikt z moich ludzi w Mont Royal nie ma poranionych pleców — przerwał Tillat, zwracając się do George'a. Ale Cooper jakby nie słyszał tych słów.

... A my reagujemy na to wyświechtanym frazesem, że niewolnicy są u nas szczęśliwi. Na miłość boską, przecież to niemożliwe, aby człowiek pozbawiony wolności czuł się szczęśliwy!

— Powściągnij swój plugawy język, kiedy mówisz w obecności dzieci! — krzyknął Tillet.

Ale syn był nie mniej rozwścieczony niż ojciec.

Zamiast uznać prawdę i wyciągnąć z niej wnioski, unikamy jej. Zadawaliśmy się tym, czym jesteśmy już 110 pięćdziesięciu lat: farmerami, których zbiory uzależnione są od potu czarnoskórych poddanych. Ignorujemy takich ludzi, jak ojciec George'a, mimo iż na Północy są już całkiem legiony jemu podobnych. Ojciec George'a wytwarza żelazo rękami wolnych robotników. Żelazo wędruje potem do maszyn i właśnie te maszyny to przyszłość. Jankesi pojęli już, na czym polega sens tego wieku, a my nadal rozumiemy wyłącznie minione stulecie. Jeżeli senator Calhoun przestał powtarzać jak papuga uznawane w tym stanie mądrości, to tym lepiej. Potrzebni nam są ludzie jego pokroju.

Głos Clarissy nabrał niezwykłej ostrości, kiedy powiedziała:

— To niegrzeczne z twojej strony mówić przy gościu tak bez umiaru.

— Tak, do diabła z prawdą! Przede wszystkim dobre maniere. — Cooper uśmiechnął się szyderczo i uniósł kieliszek jak do toastu, ale Tillet wytrącił mu go z dłoni.

Czarnoskóry chłopiec z packą na owady schylił się błyskawicznie.

cznie. Kieliszek przeleciał obok niego i roztrzaskał się o ścianę. Brett krzyknęła przeraźliwie i skuliła się na krześle, zakrywając dłonią oczy, a Orry spojrzął na George'a i wzruszył ramionami. Z niepewnym uśmiechem zdawał się prosić przyjaciela o wybaczenie.

Tillet kipiał z wściekłości.

— Wypiłeś za dużo wina, Cooper. Lepiej byś zrobił, udając się na spoczynek, dopóki nie weźmiesz się znowu w garść.

— Rzeczywiście, tak będzie lepiej — przytaknęła Clarissa. Powiedziała to łagodnym tonem, ale słowa zabrzmiały jak rozkaz.

Cooper zachowuje się istotnie tak, jakby był zamroczony alkoholem — pomyślał George.

Cooper wstał, przez chwilę wpatrywał się w ojca, roześmiał się, po czym wybiegł z pokoju. Twarz Tilleta zszedła, najwidoczniej najstarszy z rodziny Mainów odczuwał boleśniej szyderstwo niż najbardziej nawet bluźniercze słowa.

Posilek upłynął w posepnym nastroju i niemal w milczeniu. George siedział przygnębiony. W tym domu uwidoczniła się rysa, taka sama jak ta, o której wspomniał jego ojciec mówiąc, że cały kraj zaczyna dzielić się na dwa obozy.

9

Mimo iż piknik przypadł na „niezdrowy” okres, zdołał zgromadzić ponad dwustu gości. Wielu przybyło wprost ze swych letnich rezydencji, część przyjechała aż z Columbii. Zrobiło to na George'u duże wrażenie, ale jeszcze bardziej poruszył go fakt pojawienia się późnym przedpołudniem senatora Johna Calhouna.

Wraz ze swą żoną, Florydą, przyjechali starą, ale elegancką kolaską, wokół której natychmiast zebrali się przyjaciele i gapie. George słyszał, że senator spędził tę noc w Charleston. Towarzyszyli mu woźnica i trzech innych Murzynów, jego służących, którzy podążali za kolaską w wozie ciągniętym przez muła.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat nikt nie odgrywał w życiu publicznym Ameryki większej i bardziej znaczącej roli niż ów wysoki, zwinny mężczyzna, który właśnie wysiadł z powozu i zaczął witać się z wszystkimi, którzy go obścapi. George usiłował przypomnieć sobie funkcje pełnione przez Calhouna, pamiętał jednak tylko o dwóch: ministra wojny i wiceprezyden-
ta. '..

W początkowym okresie swojej kariery Calhoun był zagorzałym zwolennikiem Unii i Akademii Wojskowej. Kiedy inni krytykowali ambitny program reform Syłvanusa Thayera, on zaaprobował go, wychodząc z założenia, że Ameryka nie będzie silnym państwem, jeśli nie będzie miała silnej armii. Ale teraz, kiedy padało jego nazwisko, większość mieszkańców Północy kojarzyła je tylko z jedną sprawą — doktryną unieważnienia. Senator Calhoun sformułował ją na początku lat trzydziestych. Omawiana była wtedy niepopularna w Południowej Karolinie protekcjonistyczna taryfa celna. Calhoun uważał, że każdy stan ma suwerenne prawo do unieważnienia owego cła, co w efekcie oznaczało, że stany mogą przeciwstawić się każdemu zarządzeniu federalnemu, które wyda im się niesłuszne. Całą sprawę zakończył wówczas prezydent Jackson, który zgnił Calhouna i zagroził nawet wprowadzeniem do akcji sił federalnych.

George został przedstawiony Calhounom. Wiek senatora ocenili na nieco ponad sześćdziesiąt lat. Wiek i choroba nie tylko wyniszczyły twarz polityka, ale również niekorzystnie wpłynęły na jego postawę. Dawną formę przypominały jednak w dalszym ciągu pełna fantazji siwą czupryna, odrzucona z czoła na tył głowy, oraz błyszczące, ciemnoniebieskie oczy.

Calhoun wypowiedział parę uprzejmych słów na temat West Point, po czym przeszedł dalej. Na George'u zrobił wrażenie człowieka zmęczonego i zgorzkniałego. Jego uśmiech wyglądał na fałszywy, ruchy na wymuszone.

George'a przedstawiono tyłu osobom, że próbując zapamiętać wszystkie nazwiska, wkrótce poczuł zawrót głowy. Poznał Mainów i Bullów, i Smithów, Rhettów i Hugerów, i Boykinów, i LaMotte'ów, i Ravenelów. Pewna kobieta z rodziny Smithów, mniej więcej w jego wieku, wydawała się zafascynowana jego mundurem w tym samym stopniu, co on jej dekoltem. Uzgodnili więc, że spotkają się za dwadzieścia minut przy stoliku z ponczem.

Herr Nagel, który nauczał obie siostry Orry'ego, był już pijany w sztok. George pomógł mu dojść do ławki, następnie spędził kilka mało przyjemnych minut na rozmowie z nadzorcą Tilleta, niskim Jankesem, Salemem Jonesem. Jones miał twarz anioła, ale złe oczy, utkwione stale w miejscu, gdzie paru faworyzowanych niewolników spożywało przy ustawionych dla nich stolikach posiłek, czekając zarazem na rozkaz rozpoczęcia występu dla gości. Dołączyli do nich Murzynie Calhouna; stali teraz razem potęgując rozgardiasz. Jones obserwował ich bacznie z zaciśniętymi ustami.

Burzowe chmury nagle przesłoniły niebo. Przelotny deszcz, który zmusił wszystkich do ucieczki, ustał po kilku minutach i goście zaczęli wyłaniać się ze swych kryjówek. George usiłował

znaleźć dziewczynę Smithów. Raptem wpadł na Orry'ego i natychmiast zauważył jego błędny wzrok.

— Któż to cię zahipnotyzował, Tyczko? Ach... rozumiem.

— Przyjazny uśmiech zniknął z jego twarzy. — Widzę na jej ręku duże pierścionki. I ślubną obrączkę. Czy to ta, w której zakochałeś się dwa lata temu?

Tonem niezwykle łagodnym Orry odparł:

— Jest piękna, prawda?

— Piękna to niewłaściwe określenie. Powiedziałbym, że jest zachwycająca. A więc to jest Madeline. Wygląda na zmęczoną.

— Zdawał sobie jednak sprawę, że zmęczenie nie może wytłumażyć dziwnego, martwego wyrazu jej twarzy.

Orry próbował wyjaśnić jej wygląd.

— Właśnie wróciła z Nowego Orleanu. Jej ojciec miał drugi atak apopleksji, pojechała więc do niego. W parę dni później zmarł. Musiała załatwić wszystkie formalności pogrzebowe, no i nic dziwnego, że jest teraz tak wymęczona.

Wzruszenie w jego głosie nie uszło uwagi George'a. W ciągu ostatnich miesięcy nie słyszał niemal o tajemniczej Madeline i doszedł w końcu do przekonania, że Orry zdołał przezwyciężyć zaślepienie, które nim owładnęło. Teraz okazało się, że źle ocenił uczucia przyjaciela.

Zaczął bacznie przyglądać się dziewczynie. Mimo podkrążonych oczu była istotnie jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło mu się widzieć do tej pory. Miała czerwone, pełne usta oraz czarne, gładkie włosy, tworzące zdumiewający kontrast z białą cerą.

Nachylił się do przyjaciela:

— Czy poznałem już jej męża?

— Tak. To tamten gbur.

Orry wskazywał ruchem głowy jednego z LaMotte'ów. Dopiero teraz George przypomniał sobie, że został mu przedstawiony. Ten typ to Justin. Arogancki łajdak. Tak samo jak jego brat Francis, stojący tuż obok ze swoją niechlujną żoną i młodym, przystojnym synem. Syn, w wytwornym surducie i gustownym krawacie, zadzierał nosa tak samo jak jego ojciec i wuj. Zachowywali się nie jak amerykańscy farmerzy, lecz jak gdyby pochodzili z którejsz europejskich rodzin królewskich.

— Jak ona może wytrzymać z takimi ludźmi? — szepnął.

— Może, a nawet dobrze sobie z tym radzi. Madeline potrafiłaby oczarować samego diabła. A matka mówiła mi, że wywiązuje się wspaniale ze swoich obowiązków na plantacji LaMotte'a. Jest to tym bardziej niezwykle, że przecież nie uczyła się nigdy przyjmować porodu czy prowadzić kuchni. Ale i tak jestem przekonany, że Justin nie potrafi docenić jej zdolności. Chodź, przedstawię cię.

Ruszyli w jej stronę. Widok obu przyjaciół przywołał na twarz Madeline spontaniczny uśmiech radości.

Mój Boże — pomyślał George — ona rzeczywiście przeżywa to wszystko bardzo ciężko.

Jej twarz niemal natychmiast przybrała z powrotem ów martwy wyraz, wyglądała teraz jak ktoś, kto dokonał właśnie strasznego odkrycia.

To wiąże się z jej mężem, jestem tego pewien — pomyślał George.

Madeline stała sama, ale zanim Orry zdążył podejść do niej, w pobliżu zjawiał się Calhoun z Tillem Mainem u boku i kilkoma innymi gośćmi z tyłu. Wszyscy uważnie słuchali słów senatora.

— Są tacy, Tillet, którzy twierdzą, że to wszystko przez tę aferę z unieważnieniem. Że sama doktryna była niewłaściwa. Nie zgadzam się z tym. W świetle konstytucji moja doktryna była słuszna. Tylko że sposób, w jaki zamierzaliśmy wprowadzić ją w życie, nie był zbyt roztropny. Przez to była z góry skazana na fiasko. Pojedynczy stan nie może liczyć na to, że oprze się potędze rządu federalnego. Ale kilka stanów... połączonych ze sobą i zdeterminowanych... to już inna sprawa.

Tillet odchrząknął.

— Czy ma pan na myśli secesję?

Calhoun wzruszył ramionami, gwałtownie, niecierpliwie.

— No cóż, to słowo może pan usłyszeć dziś na Południu niemal w każdej rodzinie. Jeszcze wczoraj padło w mojej obecności w Charleston. Pewien dżentelmen, którego szanuję, nazwał secesję jedyną adekwatną reakcją na wniosek kongresmana Wilmota.

Miał na myśli poprawkę do ustaw federalnych, przewidującą wyasygnowanie dwóch milionów dolarów na przyspieszenie negocjacji z Meksykiem. Wilmot zaproponował, aby na terenach przyłączonych do Unii w trakcie trwania owych negocjacji niewolnictwo było zakazane. Argumenty za i przeciw zrodziły burzliwe kontrowersje w całym kraju. Parlament zaaprobował ustawę, ale Senat zawiesił ją do czasu powrotu z przerwy urlopowej, którą rozpoczynał w połowie sierpnia.

— Ten dżentelmen miał rację — zawołał jeden z zebranych. — Wniosek Wilmota to ordynarna prowokacja. To obraza rzucona w twarz Południa.

— A czegoż się można spodziewać po demokracji z Pensylwanii? — zapytał Tillet. — Tam na Północy pojęcie sprawiedliwości nie zna żadnych barier.

Calhoun skinął głową.

— Właśnie z tego powodu rozważania o secesji są teraz na czasie. Może byłby to jedyny sposób, aby naprawić krzywdy wyrządzone w tych stronach.

— Moim zdaniem powinniśmy przeprowadzić secesję — odezwał się Justin LaMotte. Podszedł do żony, rzucając jej ponure spojrzenie.

George nie wiedział, co jest przyczyną jego złego humoru, prawdopodobnie chodziło o jej zainteresowanie dyskusją. Była przecież jedyną kobietą wśród tylu mężczyzn. Żona drugiego LaMotte'a odeszła już parę minut temu.

Tillet zwrócił się do Justina.

— Mimo iż niektórzy z tych jankeskich polityków napawają mnie odrazą, nie chciałbym, aby po tych wszystkich zmaganiach o utworzenie naszego kraju Unia uległa rozpadowi.

Kąciki ust Calhouna drgnęły.

Słowo „chcę” nie jest tu właściwe. Jeśli dojdzie do rozpadu Unii, to tylko z ich winy. Zmuszą nas ci Jankesi, którzy jedyną przyjemność znajdują w wyszydzeniu nas.

— Byłoby dla nas lepiej utworzyć odrębny kraj — oświadczył Francis LaMotte.

— Jak możesz mówić coś takiego, Francis?

Ten kobiecy głos sprawił, że wszyscy umilkli i odwrócili głowy, niektórzy nawet otworzyli ze zdziwienia usta. Justin wyglądał, jak gdyby wolał teraz zapaść się pod ziemię. Widać było, jak szok i wstyd przekształcają się w gniew. Madeline zdawała się nie zwracać na to uwagi. Jeszcze raz ów osobliwy, martwy wyraz twarzy zniknął gdzieś, oczy zabłyśły. Teraz, kiedy już przemówiła, nie miała zamiaru zamilknąć. Podeszła do Calhouna.

— Jestem mieszkanką Południa, z krwi i kości, panie senato rze. Przed laty po raz pierwszy usłyszałam, jak mężczyźni rozmawiali o secesji. Mój ojciec twierdził, że to gadanie nie przyniesie nic dobrego, gdyż coś takiego nie może się udać. Od tamtej pory rozmyślałam nad tym nieraz i podzielam jego zdanie.

Calhoun zareagował uprzejmiej niż inni mężczyźni, którzy otwarcie przybierali złowieszcze miny i mruzcili coś pod nosami. Najwidoczniej jednak i on był zaskoczony faktem, iż kobieta zabiera głos w sprawie będącej domeną mężczyzn. Unosząc lekko siwe brwi, zapytał:

— Czy istotnie, proszę pani?

Madeline zdołała uśmiechnąć się rozbrajająco.

— Oczywiście. Proszę tylko pomyśleć, o stronie praktycznej tego problemu. Co by się stało, gdybyśmy byli samodzielnym państwem, a rynki bawełniany i ryżu uległyby załamaniu? Przecież to zdarzyło się już w przeszłości. Czy wtedy moglibyśmy liczyć na sympatię czy też pomoc ze strony tego drugiego narodu na Północy? A gdyby do władzy doszli tam ludzie nieprzyjaźni nastawieni do nas? Gdyby ustanowili prawa uniemożliwiające nam zakup towarów niezbędnych do codziennego życia? Faktem

jest, panie senatorze, że jesteśmy uzależnieni od Północy. Nie mamy własnych fabryk ani ważnych bogactw naturalnych...

— Ale mamy nasze zasady — przerwał jej Justin. — A te są ważniejsze niż jakieś tam fabryki. — Zaciśnął dłoń na jej ramieniu, a George spostrzegł, że Madeline skrzywiła się z bólu. — Ale jestem pewien, że senator nie jest zainteresowany kobiecyimi opiniami na tematy polityczne.

Calhoun, zaniepokojony furją widoczną w oczach LaMotte'a, próbował jeszcze załagodzić konflikt.

— Och, zawsze ciekawiły mnie opinie mych wyborców, ktokolwiek by to...

Justin nie pozwolił mu dokończyć.

— Chodźmy już, moja droga. Tam dalej jest ktoś, kto chciałby się z tobą zobaczyć. — Na jego twarzy pojawiły się szkarłatne rumieńce, uśmiech wyglądał wręcz upiornie.

Madeline uczyniła ruch, jakby chciała uwolnić się z jego uścisku.

— Justin, proszę...

— Chodźmy już!

Pod naporem jego ręki odwróciła się, tuż za nimi ruszył Francis. George z niepokojem spojrział na przyjaciela. Przez moment wydawało mu się, że Orry zaraz popełni morderstwo. Ale niemal równocześnie Calhoun, aby rozładować napięcie, opowiedział jakiś dowcip i kryzys minął.

Tymczasem Justin zaciągnął żonę na drugą stronę trawnika, gdzie w długich szeregach stały powozy. Wiedział, że część gości obserwuje ich, był jednak zbyt rozwścieczony, aby zwracać na to uwagę. Kiedy Francis poprosił go, aby się uspokoił, zaklął tylko i zażądał, aby brat zostawił ich samych. Francis, dotknięty słowami brata, zrobił w tył zwrot i wrócił do towarzystwa skupionego wokół senatora.

Justin pchnął Madeline na duże tylne koło powozu. Piasta koła dźgnęła ją w plecy.

— Zostaw mnie! — jęknęła. — Nie masz prawa traktować mnie...

— Mam wszelkie prawo — przerwał jej. — Jestem twym mężem, a ty upokorzyłaś mnie w obecności senatora i wszystkich moich przyjaciół!

Utkwiła w nim wzrok, jej twarz poczerwieniała.

— Bardzo mi przykro, Justinie. Nie miałam pojęcia, że posiadanie własnego zdania i wyrażanie go jest w Południowej Karolinie przestępstwem. Nie wiedziałam, że zakazana tu jest wolność słowa...

— Oszczędź mi tych wywodów! — Ponownie ścisnął ją za ramię i pchnął na koło. Jęknęła cicho i spojrzała nań z odrazą.

— Łajdaku! Dla ciebie liczy się tylko ta twoja przekłeta reputacja, a nie uczucia tych, których ranisz, kiedy tylko przychodzi ci na to ochota! Po naszej nocy poślubnej oczekiwałam tak wiele! Ale teraz nie mam już żadnych złudzeń.

I mogłabym zniszczyć na zawsze twoją wspaniałą reputację — pomyślała. Ale mimo gniewu wiedziała, że tego nie uczyni.

Justin nie panował już nad sobą. Nawet opór Madeline — cecha, której nie spodziewał się znaleźć u kobiety — nie był w stanie pohamować jego wściekłości. Potrząsnął nią ponownie.

— Ja również powiem ci coś, moja droga, co do czego nie powinnaś mieć żadnych złudzeń. Masz określoną pozycję. Jesteś żoną. A to oznacza, że nie masz prawa wyrażać własnych opinii w jakiegokolwiek istotnej sprawie. W tej części kraju kobiety o ambicjach intelektualistek kończą bardzo źle, i to jest podstawowa wiedza, którą twój zmarły ojciec powinien był ci przyswoić.

— Mój ojciec nauczył mnie, że nie ma nic złego w tym, że kobieta myśli samodzielnie...

— Nie interesują mnie błędy twego ojca! Co więcej, cieszę się, że nie musiałem nigdy rozstrząsać z nim tej sprawy, gdyż wtedy musiałbym może ugodzić go pięścią tak, by runął na ziemię!

Gwałtownie uwolniła ramię i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Tylko to potrafisz, prawda? Bić tych, którzy mają inne zdanie niż ty! Siłą torować sobie drogę przez życie!

— Możesz to nazywać, jak ci się podoba. Ale zapamiętaj jedno: kobiety nie zostały stworzone do myślenia. Siostry Grim-ke musiały opuścić nasz stan, gdyż nie potrafiły tego zrozumieć. Teraz włączą się gdzieś na Północy, głosząc hasła wolności dla czarnuchów i wolnej miłości, hańbiąc siebie i cały ród kobiecy. Nigdy nie pozwolę, aby moja żona zachowywała się w ten sposób. Musisz wiedzieć, gdzie twoje miejsce i pilnować go. I jeszcze chciałbym ci coś przyrzec. — Nachylił się nad nią, jedwabiste, brązowe włosy opadły mu na czoło. Jej opór ustąpił miejsca trwodze, kiedy wpił w nią wzrok. — Jeśli jeszcze raz wypowiesz przy innych swoje zdanie i wprawisz mnie w zakłopotanie, tak jak przed chwilą, pozajujesz tego. Potraktuj to jak ostrzeżenie.

Wyprostował się i odgarnął włosy z czoła. Siłąc się na uśmiech, jakby nic się nie stało, wrócił do gości. W stosunkach Madeline i Justina coś się zmieniło, wiedzieli o tym oboje. Każde z nich sięgnęło głęboko w duszę drugiego, dotykając miejsc najbardziej sekretnych i czułych, o których dotąd starali się nawet nie myśleć.

— Łajdak! — szepnęła Madeline. Jakże słodka i cudownie okrutna byłaby zemsta, gdyby powtórzyła Justinowi wszystko, co powiedział jej ojciec na moment przed śmiercią, każde z tych zaskakujących słów.

Oparła się o koło powozu, usiłując pohamować łzy. Nie wiedziała, co jest gorsze; upokorzenie, którego doznała, przepelniający ją gniew czy też świadomość, że groźba Justina nie została rzucona na wiatr.

Orry obserwował całą scenę z oddali. Już dawno nie czuł się tak spięty i sfrustrowany jak w tej chwili. Pałał chęcią uczynienia czegoś, aby przyjąć Madeline z pomocą, choćby pobić LaMotte'a do nieprzytomności. Wiedział jednak, że jest przywiązana do męża religią i prawem. Była żoną, należała do Justina, stanowiła jego własność. Gdyby Orry poszedł za głosem instynktu, pogorszyłby jej sytuację.

Podziwiał Madeline, która wróciła do pozostałych gości i poczęła przechadzać się wśród nich z tak obojętnym wyrazem twarzy, jakby nie wiedziała, że nadal wszyscy plotkują na jej temat. W myślach przeklinał ich, widząc lekceważące spojrzenia, którymi ją odprowadzali. Jego nastrój nie uszedł uwagi George'a ani Coopera, którego doszły już słuchy o wymianie zdań pomiędzy Madeline i Calhounem.

Obaj usiłowali porozmawiać z Orrym, on jednak oddalił się. Przez pewien czas kręcił się bez celu, raptem zauważył stojącą na uboczu Madeline. Zapominając o ostrożności uczynił to, do czego przez całą ostatnią godzinę pchały go emocje, skierował się prosto w jej stronę.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tak. — Nie mówiła prawdy, słyszał, jak kipi z gniewu. — Żeby tylko ktoś nie zobaczył, że rozmawiamy ze sobą!

— Kocham panią — powiedział. Wpatrywał się teraz w czubki swych butów. Czuł, że trawi go gorączka. Nie mógł znieść, że on traktuje panią tak podle. Spotkajmy się jutro. Albo pojutrze. Proszę.

Odpowiedziała niemal bez wahania.

— Dobrze. Jutro. Ale gdzie?

Spiesznie opisał pierwsze bezpieczne miejsce, które przyszło mu do głowy. Właśnie skończył, kiedy przerażona wstrzymała oddech.

— Ktoś nadchodzi.

Szepnął jeszcze godzinę spotkania, a ona zakręciła się na pięcie i po chwili zniknęła w oddali. Pobiegł w drugą stronę, jego serce waliło jak młotem ze strachu i radości.

Nathanael Greene przez większą część swego dorosłego życia był własnością Johna C. Calhouna. Teraz, kiedy miał już sześćdziesiąt trzy lata, nie cierpiał niczego tak bardzo, jak trudów

podróżowania i konieczności zadawania się z niewolnikami
pośledniejszego rodzaju. Pycha Greene'a miała dwa źródła. Jego
pan był jednym z najznakomitszych obywateli tego kraju, a po
drugie Greene służył u niego jako niewolnik domowy, co
oznaczało, że jego ranga jest znacznie wyższa niż zwykłych
niewolników, przeznaczonych do pracy w polu.

Greene urodził się na głębokim Południu, nienawidził jednak
panujących tam upałów, fetoru i bezmiaru nawiedzanych przez
owady moczarów. Marzył za to, by znowu znaleźć się w górzystych
okolicach Clemson, w chłodnym, niedużym domu Calhou-na,
otoczonym barwnymi rabatkami i dzikimi pomarańczami. W
Mont Royal czuł się nieswojo, a to zazwyczaj wyzwalало w nim złe
instynkty, skłaniało do popełniania jakiejś niegodziwości.

Niebawem zdudziło go towarzystwo domowych niewolników,
zgrupowanych wokół ustawionego dla nich stołu. Korzystał z
pewnych przywilejów i wiedział doskonale, na ile może sobie
pozwoić. Niepostrzeżenie kilkakrotnie łyknął z butelki whisky,
którą ukrył w swoim surducie z wytwornego sukna, a potem
wyruszył na poszukiwanie rozrywki.

W pobliżu kuchni dostrzegł wysokiego, dobrze zbudowanego
niewolnika, który wnosił do środka drewno na opał. Powietrze
było tu gorące od żaru pieca, przywodziło na myśl piekło. Greene
zaśmiał się w kulak, czekał. Kiedy Murzyn znowu wyszedł z
kuchni, Greene zbliżył się do niego. Pozwolił mu rzucić okiem na
butelkę, a potem powiedział z niewinnym uśmiechem:

— Wygląda na to, żeś nieźle spragniony, czarnuchu. Wejdz
w cień i łyknij sobie trochę żytniówki, to cię ochłodzi.

Propozycja była niezwykle nęcąca, ale zagadnięty potrząsnął
głową.

— Czarnuchom nie wolno pić. Wiesz o tym.

— Jasne, że wiem. Ale dziś jest święto, a pan Calhoun... on nie
patrzy teraz w naszą stronę.

Niewolnik zerknął niepewnie na stoły ustawione dla czarnych.
Niewolnicy siedzieli, jedząc, rozmawiając i popijając poncz, który
nie zawierał alkoholu. Co jakiś czas któryś wstawał, aby wykonać
otrzymany rozkaz, podczas gdy inni, zrobiwszy to, co do nich
należało, wracali do stołu.

— Nie chcę kręcić się koło tych domowych czarnuchów —
wyjaśnił niewolnik. — Pracuję w polu i tamci zadzierają nosa,
kiedy mnie widzą.

— Nie martw się, czarnuchu, już ja się tym zajmę. Jestem
domowym czarnuchem pana Calhouna, tak więc jeśli cię zapra-
szam, to wszystko w porządku. — Popychał chłopaka w stronę
grupy Murzynów. — Jak cię zwą?

— Priam.

— Bardzo ładne imię. łyknij sobie.

Priamowi dokuczaly upal i pragnienie. To, jak rowniez zachety Nathanaela Greene'a, pomogly mu przewyciżyć obawy. Podeszli do pozostalych niewolników, którzy oczywiście poznali Priama i obrzucili go gniewnymi spojrzzeniami. Po chwili jednak zrozumieli zamiary Greene'a; miny i gesty, które robil za plecami Priama, byly aż nadto wymowne.

Z ich spojrzeń zniknela wzgarda, a twarz Priama rozjasnila się. Co kilka minut Greene wyciagal ukryta butelke i oslanial chlopaka, gdy ten pociagal kolejny lyk. Niebawem Priam poczal chichotac, a nawet smiac się glosno. Niewolnicy, z wyjatkiem dwuch kobiet, którym nie podobal się zart, usmiechali się, tracajac się lokciami.

— Jeszcze poprosil Priam.

— Jasne, starczy i dla ciebie Greene bawil się doskonale.

Chodz, wez sobie.

Wyciagnal reke w cala dlugosc. Priam postapil krok i siegnal po butelke, ale Greene w ostatniej chwili cofnal reke. Chlopak zatoczył się wprost na stol, stracajac z niego polmisek z fasola.

Greene rozesmial się.

— Wielki Boze, alez z ciebie niezdara!

— Bo to po prostu niezdarny czarnuch z pola — zawolal ktos.

W pijackie odretwienie Priama wkradla się nieufnosc.

— Daj mi te butelke warknal.

— Greene pomachal mu nia przed oczyma.

— Jest przeciez tu, czarnuchu. Nalezny do ciebie, o ile potra fisz ja wziac.

Wybuchneli smiechem.

— Daj mi ja! — glos Priama przerodzil się w ryk.

— No, no, cos podobnego! odparl Greene, nie przestajac wymachiwac butelka. — Spojrzcie, on chce wydawac polecenia lepszym od siebie!

— Ale zadziera nosa! poparl go ktos.

Priam zamrugal oczyma i otarl dlonia pot z szyi. Butelka to pojawiala się przed nim, to znów znikala. Raptem skoczył do przodu, usilujac pochwycić ja oburacz. Greene cofnal się, a Priam trafil w próznie. Rozległ się kolejny wybuch smiechu. Chlopak pochyil glowe, odwrócił się i z zacisnietymi pieściami zaatakowal rozbawionych Murzynów. Kobiety zapiszczaly, mężczyzni rozpierzchli się na boki.

Tumult zwabil Tilleta i jeszcze kilku gości. Tillet byl zirytowany. W zly nastrój wprawil go upal, nie doszedl jeszcze do siebie po nieprzyjemnej sprzeczce z Cooperem. Na domiar zlego Wypatrzył pod stolem kuzyna Charlesa, który zdazyl juz podrecz Spodnie, a teraz, rozentuzjzmowany, zagrzewal do walki obu (przeciwników).

Tillet zjawil się w chwili, gdy Priam ponownie usilowal

pochwycić Greene'a. Niewolnik Calhouna skrył się za plecami trzech rosłych Murzynów. W chwili gdy nadszedł senator. Greene dostrzegł właściciela Mont Royal.

— Ten czarnuch skoczył na mnie! — krzyknął. — Jest pijany jak bela!

I bez tych słów Tillet zorientował się, w czym rzecz.

— Priam, wracaj do swej chaty! — polecił. — Porozmawiam z tobą później.

Na twarzy Priama pojawił się strach. Zdawał sobie sprawę, że domowi niewolnicy wezmą stronę Greene'a, i to rozgniewało go jeszcze bardziej. Podeszedł do Tilleta i wskazał na leżącą teraz na ziemi butelkę.

— Wypiłem trochę, bo ten czarnuch pana Calhouna dał mija. Zachowywał się jak przyjaciel, ale potem zaczął mnie wyzywać.

Tillet był tak oburzony, że z trudem wykrztusił:

— Twoje wyjaśnienia nie interesują mnie.

A Greene zaśmiał się krótko, jakby z niedowierzaniem.

— Co ten czarnuch wygaduje? Wszyscy wiedzą, że nam nie wolno pić alkoholu. Ode mnie nie dostał nawet kropli, nie, sir — zakończył, patrząc na swego pana z oddaniem.

— Było tak, jak on mówi — powiedziała jedna z Murzynek. — Ten niewolnik był już pijany, kiedy podeszedł do nas i zaczął się awanturować.

Reszta Murzynów potwierdziła jej słowa. Priam powiódł dokoła wzrokiem, jakby nie wierzył, że jego ziomkowie mogą traktować go w ten sposób. Sprawiał wrażenie człowieka boleśnie ugodzonego nożem.

Z miną wyrażającą święte oburzenie Greene pomachał palcem przed jego nosem.

Przestań kłamać, czarnuchu! Chcesz wpędzić mnie w tarapaty?

Nie odezwał się znowu Tillet, chwytając swego niewolnika za ramię. — Uspokój się wreszcie, sam już siedzisz w kłopotach po uszy!

Priam wyrwał się z uścisku, a zebrani jęknęli, po czym wstrzymali oddechy. Tillet skierował wzrok na własną rękę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co uczynił Priam. W tym momencie zjawiał się Salem Jones. Stał tuż obok swego chlebodawcy, z trudem powstrzymując uśmiech. Priam nachylił się z lekka i zacisnął pięści, po jego policzkach spływał pot. Do gapiów dołączyli Orry i George. Nawet jeśli Tillet nie zdawał sobie sprawy, że Priam utracił panowanie nad sobą i stanowi poważne zagrożenie, oni dostrzegli do natychmiast.

— Chyba już pojedziemy odezwał się Calhoun. — Nathanael, jeśli...

— Nie — zaoponował Tillet. — To zbyt czyste, John. Winien jest

tu jedynie Priam. — Orry zauważył, że gniew ojca rośnie. — Idź do swojej chaty, Priam. Idź natychmiast albo będzie z tobą bardzo źle.

Priam potrząsnął głową. Tillet zeszywniał, jak gdyby znienacka otrzymał cios.

— Rozkazuję ci po raz ostatni!

Niewolnik ponownie pokręcił głową, w prawo i lewo. Twarz Tilleta pokryła się purpurą. Pragnąc zapobiec dalszym kłopotom Orry zwrócił się do ojca, zanim jednak zdołał wymówić słowo, Tillet lewą ręką wykonał szybki gest i na ten sygnał Jones wydobył spod swego sztywnego surduta orzechową pałkę, po czym przywołał kilku niewolników domowych.

— Ty, Jim. I ty, Arystoteles. Bierzcie go.

Priam krzyknął i zatoczył się. Wskazani Murzyni ruszyli w jego stronę, on zaś cofnął się trzy kroki i padł plecami na stół. Półmiski z jedzeniem zleciały na ziemię, roztrzaskując się na kawałki. Jones poczekał, aż jego czarni pomocnicy obezwładnią Priama, po czym pochylił się i zaczął go tłuc pałką. Uderzył Priama kilkakrotnie, po ostatnim ciosie chłopak osunął się na ziemię. Z rany na czole sączyła się cienka strużka krwi. Oczy pałającymi nienawiścią wpatrywał się w swego pana, który stanął teraz tuż przed nim.

Powiedziałem ci przecież, że będzie z tobą źle, Priamie. Naprawdę żałuję, że mnie nie posłuchałeś.

Orry, który stał obok, zapytał:

— Czy nie sądzisz, że otrzymał już swoją karę?

Tillet nadal mienił się na twarzy, oddychał z trudem.

— Nie. Priam zepsuł uroczystość i wprawił mnie w zakłopotanie w obecności gości. Moich ludzi traktuję dobrze, nie zamierzam jednak tolerować niewdzięczności czy nieposłuszeństwa. Zamierzam postąpić z tym czarnuchem tak, aby stanowiło to przestrożę dla innych.

Po raz pierwszy użył w odniesieniu do swych niewolników określenia „czarnuch”. I to właśnie było dla Orry’ego sygnałem, aby nie próbować powstrzymać ojca niezależnie od tego, co zamierzał uczynić z Priamem.

Również Priam uświadomił sobie, w jak niezwykłą furię wpadł jego pan. Kiedy niewolnicy, trzymając go w żelaznym uścisku, odciągali go na bok, szlochał cicho.

W Resolute Madeline obróciła się po raz dwudziesty w swoim łóżu. Już godzinę temu, kiedy włożyła nocną koszulę i zdmuchnęła świece, wiedziała, że upłynie mnóstwo czasu, zanim zaśnie. Zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wiele też miało się jeszcze

wydarzyć, o ile ona okaże się wystarczająco dzielna — lub nieroztropna — aby do tego dopuścić.

Okna sypialni były szeroko otwarte, ale powietrze jakby zastygło w bezruchu. W pobliżu jej pokoju ktoś krzątał się, zabezpieczając dom na noc. Dochodzące z zewnątrz odgłosy nocy, choć ledwie słyszalne, stanowiły tło dla jej oddechu.

Justina nie było w domu, dzięki Bogu! Wyjechał do Charleston wraz z bratem; najwidoczniej pragnął dać jej czas, aby w samotności mogła oddać się rozmyśleniom nad bezmiarem swych grzechów i karą, na którą by zasłużyła, gdyby nie przestała grzeszyć.

Lajdak — pomyślała, kiedy oczyma wyobraźni ujrzała jego obłudną twarz. Dziwne, jak łatwo, coraz łatwiej, przychodziło jej obrzucać go w myślach wyzwiskami. Ileż by dała za to, by móc uczynić coś więcej! Znaleźć w sobie wystarczająco dużo odwagi, aby rzucić mu w twarz wyznanie, które uczynił jej ojciec na krótko przed śmiercią. Jakże marzyła, aby uśmiechnąć się do Justina i powiedzieć: „Mój drogi, bardzo mi przykro, ale czuję się w obowiązku poinformować cię, że poślubiłeś kobietę, w której żyłach płynie murzyńska krew”.

Justin oszukiwał ją przed ślubem, a więc została by mu wymierzona sprawiedliwość, gdyby dowiedział się od niej jakkolwiek z pewnym opóźnieniem — że i on został oszukany. Oczywiście nie zrobiła tego umyślnie, nie знаła ani nawet nie podejrzewała prawdy, którą jej ojciec wyszeptał zbiełałymi wargami, gdy siedziała przy nim w niemal ciemnym pokoju, przesyconym mdłym zapachem woskowych świec, potu i śmierci.

Przez całe swoje życie Nicholas Fabray czynił wszystko, co mógł, aby usuwać z drogi Madeline wszelkie przeszkody; nie inaczej wyglądały te ostatnie chwile. Starał się złagodzić szok, który mogły wywołać jego słowa, powoli i szczegółowo opowiadał o matce Madeline: jaka była wytworna, taktowna i miła. Dopiero potem wyznał, że jego żona, nie różniąca się wyglądem od białych kobiet, była w rzeczywistości w jednej czwartej Murzynką. W żyłach Madeline płynęła więc ósma część murzyńskiej krwi.

— Dlaczego... — zacisnęła z całej siły rozdygotaną dłoń i oparła ją o kolano. — Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

— Dlatego że przekłębysz mnie, gdybyś dowiedziała się o tym od kogoś innego.

Nie wypowiedział drugiej, bardziej brutalnej myśli. Zwlekał z tym zwierzeniem również dlatego, iż zawsze owa prawda będzie słabym punktem córki mimo jego wysiłków, by ją zataić i niezależnie od faktu, że zapewne nigdy nie wyjdzie na jaw.

Zarówno on, jak również jego żona pragnęli uchronić Madeli-

ne przed życiem, które czekałoby ją, gdyby ktoś dowiedział się o domieszce murzyńskiej krwi płynącej w jej żyłach. Kobiety takie jak ona mogły — o ile dopisało im szczęście — cieszyć się względami białych dżentelmenów, a nawet korzystać z ich majątku. Ale tego typu dobrodziejstwo nigdy nie trwało długo, gdyż kobieta mieszanej rasy nie mogła być niczym lepszym, jak tylko kochanką, szykowną dziewczką białego mężczyzny.

Nicholas Fabray nie miał chęci odegrać smutnego dramatu, powszechnego w Nowym Orleanie. Poślubił kobietę, którą kochał, i ten czyn wymagał niezwyklej odwagi. Tego oczywiście nie powiedział, ale Madeline zrozumiała; pochyliła się nad łóżkiem ojca i długo tuliła w ramionach jego kruche, na wpół sparaliżowane ciało.

Nie, opowiadał Fabray, nie było już nic do stracenia, co najwyżej można było wygrać, ukrywając pewne fakty z przeszłości Madeline. Był przekonany, że zatajenie prawdy nie będzie trudne, jako że niemal nikt z półświatka Nowego Orleanu nie znał matki Madeline. Reszty dokona czas. Po prostu Madeline musi dochować tajemnicy, milczeć na temat własnego pochodzenia. W ten sposób zapewni sobie bezpieczeństwo, o które on walczył tak długo.

I wreszcie wyjawiał jej główny powód, dla którego chciał, aby poślubiła Justina LaMotte. Justin nie tylko był człowiekiem miłym i przyzwoitym — tu Madeline odwróciła głowę, a na jej wargach pojawił się sardoniczny uśmiech ale również mieszkał z dala od Luizjany. W Południowej Karolinie nie będzie narażona na niebezpieczeństwo ujawnienia prawdy o pochodzeniu jej matki, natomiast w Nowym Orleanie niebezpieczeństwo to — jakkolwiek nikłe — istniało. Słabnącym głosem Fabray wymamrotał jeszcze coś o obrazie swej żony.

— Obraz, tato? Masz na myśli portret?

— Tak, portret. — Jego oczy były znowu zamknięte, mówił z widocznym trudem.

— A więc gdzieś jest jej portret?

— Był. — Czubkiem języka przesunął po wysuszonych wargach. Potem otworzył oczy i usiłował powiedzieć coś jeszcze, ale jego głos był tak słaby, że nie rozumiała wiele. Zrozumiała jedynie, że obraz gdzieś zniknął. Kiedy i w jakich okolicznościach, tego nie powiedział.

Myśli Fabraya uleciały daleko, kiedy jego wyniszczonym ciałem poczęły wstrząsać słabe konwulsje. Trzymała go za rękę, a drugą dłoń przyciskała do swego policzka, jak gdyby w ten sposób mogła powstrzymać żal. Zawołała służącego i poleciła mu sprowadzić lekarza. Na dziesięć minut przed jego przybyciem Nicholas Fabray umarł.

Szok nastąpił dopiero nazajutrz, kiedy uporała się już z wszy-

stkimi formalnościami pogrzebowymi. Załamana szlochała niemal przez godzinę, rozpamiętując śmierć ojca i straszliwy sens tajemnicy, którą ją obarczył. Przez moment poczuła doń nienawiść za to, że powiedział jej o wszystkim; kiedy ktoś miał w żyłach choćby jedną kroplę murzyńskiej krwi, nie różnił się w oczach Południowców od pierwszego lepszego niewolnika o hebanowej skórze.

Na pogrzeb przybyło wielu polityków i ludzi interesu, katolików i protestantów. Przyprawdzili swoje białe żony, a Madeline, widząc to, doceniła zręczność, z jaką jej ojciec dokonał oszustwa. Resztki pretensji opuściły ją; opłakiwała ojca i błogosławiła zarazem.

Leżąc w ciemnościach Madeline zastanawiała się, co skłoniło ją, aby powiedzieć „tak”, kiedy Orry wyszeptał błagalnie prośbę o tajne spotkanie. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, mimo to jednak wiedziała, że jeśli nic jej nie przeszkodzi, pójdzie na to spotkanie. Owa gotowość była naturalną reakcją na okrucieństwo Justina, jednak stanowiła również jawny gwałt zadany zasadom, które uznawała dotąd bez zastrzeżeń. A więc jak to się mogło stać, biorąc nawet pod uwagę charakter Justina? Wiele kobiet musiało przez całe swoje życie znosić podobne albo nawet jeszcze gorsze cierpienia. Czyjej przypadek różnił się od innych?

Odpowiedź kryła się w czymś, co trudno było logicznie wyjaśnić. Coś w oczach młodego kadeta, w jego kurtuazyjnym zachowaniu i jego nieśmiałej postawie wzywało ją, przemawiało do niej, poruszało jej najskrytsze, pierwotne instynkty. I taka była prawda, niezależnie od jej obaw, że może skoro jest tak młody — i tym razem spotkają rozczarowanie. Wierzchem dłoni dotknęła policzka i jęknęła załóżnie. Jej życie, poskładane tak starannie i sumiennie przez zmarłego ojca, zaczynało się straszliwie komplikować. Jak dobrze, że Nicholas nic o tym nie wie.

Odszukała w pamięci twarz Orry'ego. Rzeczywiście był młody. I to stanowiło olbrzymie ryzyko, ale jedno z tych, które była gotowa podjąć. Kolejne ryzyko oznaczało pójście na spotkanie. Nie zdejmując ręki z twarzy zamknęła oczy i skoncentrowała się na planie działania. Musiała wszystko dokładnie obmyślić, aby jej wyjazd z Resolute nie wzbudził niczych podejrzeń. Leżała nadal w tej samej pozycji, kiedy wreszcie usnęła. Śniła o całującym ją czule Orrym.

Podobnie jak Madeline, również niewolnica Semiramis długo nie mogła usnąć tej nocy. Jones zamierzał uczynić coś strasznego jej bratu. Zapewne chce go wychłostać. Priam wywołał na pikniku olbrzymie zamieszanie. Niewolnicy z Mont Royal do końca dnia nie mówili o niczym innym.

Większość czarnych uważała, że jej brat otrzyma to, na co sobie zasłużył. Wygadywali na jego temat same złe rzeczy, ponieważ zazdrościli mu jego odwagi. Zawsze przecież opowiadał o Północy, paplał o ucieczce na wolność. Nazywali go samochwałą. Twierdzili, że nigdy tego nie zrobi właśnie dlatego, iż liczyli się z możliwością ucieczki Priama, wiedzieli zaś, że ich na to nie stać. A on nie zdobyłby się na to tylko w jednym przypadku; gdyby przedtem zginął przez własną porywczosć.

Semiramis chciała usnąć, chciała zapomnieć o chłóście, która czekała Priama. Przewracała się na swym cienkim, pachnącym cierpko sienniku to na jeden, to na drugi bok, wszystko na próżno. Napięcie było zbyt duże.

Przez szpary w zamkniętych drzwiach przeblyskiwało migotliwe światło: na podwórzu, za domem starego Jonesa, zapalono pochodnie. Niebawem miała się zacząć egzekucja. Świadczyły o tym pochodnie, jak również cisza panująca tej nocy. W całym osiedlu niewolników nie słychać było śmiechu ani rozmów.

Ciche stuknięcie do drzwi sprawiło, że drgnęła gwałtownie. Usiadła na łóżku. Kto tam?

Czyjś cień przesłonił na moment odbłask pochodni.

— Cuffey.

O Boże, nie! — zawołała. Nie dziś! Już od kilku miesięcy spiała z nim, mimo iż był jeszcze bardzo młody. Za młody, jak twierdziły z zazdrości starsze kobiety. Ale one nigdy nie widziały go nagiego ani nie miały pojęcia, co potrafi wyczyniać tym swoim niezwykłym...

Zanim zdołała dokończyć myśl, chłopiec wszedł do środka i ukląkł przy niej.

— Nie przyszedłem po to. Przyszedłem w sprawie Priama.

Jones chce go wychłostać.

Hm... Nawet gorzej. Przyniósł z dworu tego starego łownego kocura i chce przetrzepać nim Priamowi skórę.

Semiramis oniemiała z przerażenia. Po chwili zawołała: - O

Jezu, słodki Jezu! To go zabije!

Priam musiał rozgniewać pana Tilleta bardziej, niż myślała. Z pewnością jej brat uniósł się dumą i walczył zawzięcie. Nie widziała awantury, gdyż w tym czasie pracowała w innym miejscu, słyszała już jednak o zajściu to i owo. Najchętniej pobiegłaby teraz do dworu prosić o łaskę.

Cuffey odwiódł ją od tego zamiaru. Został przy niej i, gdy czekali na krzyki skazańca, szeptał jej do ucha czerze słowa pociechy.

Podwórze wyraźnie oświetlały wetknięte w ziemię pochodnie. Priam leżał na brzuchu z rozłożonymi ramionami.

Jones zgromadził widownię złożoną z około dwudziestu niewolników. Zależało mu na tym, gdyż widowisko — o ile kara wymierzona będzie jak należy — mogło przynieść korzyści na całe lata. Mogło wywrzeć silne wrażenie na innych niewolnikach, którym marzył się bunt, i stanowić przestrożę. Temu celowi miały służyć nie tylko cierpienia Priama, ale również poniżający sposób przeprowadzenia egzekucji. Chłopiec musiał się obnażyć, uklęknąć i opuścić głowę, a do jego nóg i rąk przywiązano liny, których końce przytwierdzono do wbitych w piaszczystą ziemię słupków. W ten właśnie sposób unieruchomiono skazańca.

Gdzieś w ciemności, za podwórzem, odzywały się co jakiś czas zwierzęta i ptaki, ale w chatach niewolników panowała niezwykła cisza.

Wspaniale — pomyślał Jones. — Wszyscy patrzą lub nadśledzają. Dla nich będzie to świetna przestroga, a kiedy opowiedzą o wszystkim pozostałym niewolnikom, efekt będzie jeszcze większy.

Olbrzymi Murzyn o imieniu Harmony trzymał w wyciągniętej jak najdalej od ciała ręce jutowy worek. Worek podrygiwał, stworzenie w nim szamotało się rozpaczliwie. Jones spoglądał na tłumok raz po raz z nie skrywanym zadowoleniem, bez pośpiechu naciągając na dłonie grubo wywatowane rękawice. Do tej pory nie miał okazji użyć ich w Mont Royal, trzymał je jednak w kufrze, tak na wszelki wypadek. Fakt, że Tillet Main, którym w skrytości gardził, wyraził w końcu zgodę na ten rodzaj kary, zdziwił go, ale zarazem uradował.

Poszedł do leżącego na ziemi Priama, tak aby ten mógł przyrzeć się rękawicom, następnie przestawił bliżej trzy wiadra z mocno osoloną wodą, którą zamierzał polać rany Priama. Te wiadra z solanką były jego własnym pomysłem.

Wskazał na wór, po czym wyciągnął prawą rękę.

— No, dobra, Harmony... teraz!

Niewolnik nerwowym ruchem otworzył worek, a Jones wsunął do środka dłoń okrytą rękawicą, po omacku chwycił kota za tylne łapy i wyciągnął rozwścieczone, parskające przeraźliwie zwierzę.

Niewolnicy cofnęli się o krok. Jones odwrócił głowę bojąc się, że pazury kocura mogą dosięgnąć jego oka. Wreszcie udało mu się oburącz ująć tylne łapy drapieznika. Dysząc ciężko z emocji stanął po prawej stronie Priama, jedną nogą niemal dotykał biodra niewolnika, druga znajdowała się na wysokości jego żeber. Przez cały czas walczył z kotem, ale wiedział, że efekt wynagrodzi mu ryzyko. Wreszcie zamachnął się zwierzęciem,

niemal w taki sam sposób, w jaki wytrawny gracz w golfa uderza kijem, a pazury kota wczepiły się w plecy Priama, rozdzierając skórę aż do podstawy kręgosłupa. Jones uniósł zwierzę i uśmiechnął się na widok umazanych krwią pazurów.

Priam nie krzyknął, ale mocno przygryzł dolną wargę, co nie uszło uwagi Jonesa. Niemal przyjaznym tonem powiedział:

— To jeszcze nie koniec. Na pewno nie!

George leżał w gościnnym pokoju na pierwszym piętrze, daremnie usiłując zasnąć. Zdjął z siebie wszystko oprócz bawełnianych kalesonów, ale i tak lał się z niego pot.

Dokuczał mu żołądek, bolała też głowa.

Miniony dzień nie mógł nazwać przyjemnym. Zamieszanie, które wywołał ów niewolnik, Priam, zdenerwowało Orry'ego i wprawilo go w zakłopotanie. Do George'a zaczął odnosić się z dziwnym zażenowaniem, odzywał się doń tylko wtedy, gdy musiał. Zresztą całe to wydarzenie poruszyło również George'a. Po raz pierwszy od przyjazdu do Mont Royal zaczął rozpamiętywać wszystko, co widział. Przypominał sobie napotkanych w majątku niewolników, rozmyślał o tym, co dostrzegł na ich twarzach i w oczach.

Nie chciał myśleć źle o ludziach, którzy przyjęli go tak gościnnie. Nie chciał myśleć źle o swoim najlepszym przyjacielu. Ale to, co zauważył w Mont Royal... no, wnioski nasuwały się same. To było naprawdę męczące. Teraz zaczął rozumieć komentarze, które nieraz słyszał w domu, zwłaszcza z ust Virgilio.

O Boże! — szepnął nagle. Zerwał się z łóżka i wyjrzał przez okno. Gdzieś w oddali, w mroku, ktoś krzychał rozdzierająco.

Był pewien, że to niewolnik, którego dosięgła kara. Krzyk ustał dopiero po pięciu minutach, a George położył się z powrotem na łóżku i utkwiał wzrok w suficie. Wiedział, że nie zdoła teraz usnąć, wiedział, że w jego pamięci pozostanie już na zawsze wrzask tego nieszczęśnika.

Wrzaski zwabiły Coopera. W rozwianej, przepoconej nocnej koszuli zbiegł na dół. Już od kilku tygodni miał wrażenie, że w jego życiu dzieje się coś ważnego, że jest to dla niego punkt zwrotny i że nie będzie już w stanie tolerować tego, co dzieje się wokół. Potrzebne mu było jednak wydarzenie, które zmobilizowałoby go do działania.

I nastąpiło ono właśnie dziś.

Chaty niewolników stały w odległości trzech czwartych mili od dworu. Fakt, że krzyki docierały tak daleko, był wymowny.

Aż za bardzo. Cooper, nie pukając nawet do drzwi, wtargnął do biblioteki.

— Co, u diabła, oni mu robią?

Tillet spojrział na syna poprzez gęste kłęby dymu z fajki. Na jego łysej głowie perlił się pot. Wszystkie okna były zamknięte. Dlaczego? Czyżby chciał w ten sposób odgrodzić się od przykrych dla ucha odgłosów?

— Kazałem wychłostać go kotem.

— Twarz Coopera stężała.

— Na Boga! Toż to barbarzyństwo!

— Tillet skoczył na równe nogi.

— Twoje pobożne wypowiedzi obchodzą mnie tyle, co nic.

— W takim razie co sądzisz o własnych wypowiedziach?

— O czym tym mówisz?

— Tamtego wieczoru byłeś łaskaw oświadczyć przyjacielowi Orry'ego, że w Mont Royal nikt nie ma poranionych pleców. A jak wyjaśniłbyś teraz rany na plecach Priama?

— Nie muszę niczego wyjaśniać, ty złośliwy szczeniaku! Priam jest moją własnością i mogę z nim robić, co mi się żywnie podoba.

Stali mierząc się wzrokiem. Cooper poczuł raptem, że robi mu się niedobrze.

— To przecież człowiek, a ty nazywasz go swoją własnością. Ten nieludzki system doprowadzi do upadku nasz stan i całe to cholerne Południe, zobaczysz!

— Słyszałem to kazanie już nieraz. Tillet machnął fajką, która pozostawiła w stęchłym powietrzu smużkę dymu. Odwrócił się plecami do syna. — A teraz bądź tak dobry i zostaw mnie samego.

Cooper wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

1

Następnego ranka śniadanie wypadło wręcz posępnie. George zapytał Orry'ego, jak czuje się Priam, czym —jak się zdawało— uraził przyjaciela. Orry poinformował go uprzejmie, że niewolnik odpoczywa w chacie dla chorych, a kilka minut później oświadczył, że nie będzie go do południa, a nawet trochę dłużej. Nie wytłumaczył dlaczego ani nie przeprosił za to, że zostawia gościa samego, był natomiast bardzo zdenerwowany. George nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

Potem zjawiała się Clarissa, bez powodzenia udająca wesołość. Najwidoczniej nie spała dobrze. W milczeniu dźgała widelcem jedzenie na swoim talerzu i prawie uszczęśliwiona wybiegła, aby pogodzić siostry Orry'ego, które znowu wszczęły sprzeczkę.

Do jadalni wszedł Cooper. Był nie uczesany, koszula wychodziła z pogniecionych spodni. Opadł na krzesło stojące obok

Gorge'a i całkowicie zignorował posiłek. Kilkakrotnie wymamrotał coś ochrypłym głosem i dopiero po pewnym czasie George zrozumiał, co mówi:

— Nie mogę tu zostać. Nie mogę pomagać w zarządzaniu czegoś takiego. Cały ten system jest nie tylko zbrodniczy, ale też

idiotyczny. Idiotyczny i przeklęty.

Wkrótce wymknął się z pokoju. Orry uniósł brew.

— Co, u diabła, w niego wstąpiło?

Zabrzmiało to jak pytanie retoryczne, ale George odpowiedział:

— Poczulem zapach wina. Nie chciałbym obmawiać twego brata, Tyczo, ale obawiam się, że jest pijany.

W prostej linii Mont Royal i kaplica Zbawienia były oddalone od siebie zaledwie o dwie mile. Niewielka spalona kaplica była doskonale ukryta w gąszczu i można było do niej dojść tylko wijącymi się przez las i moczary dróżkami. Jazda konno trwała godzinę. Kolejne ścieżki były coraz węższe i bardziej zarosnięte, a Orry dochodził do wniosku, że nie zastanie Madeline w umówionym miejscu. Z pewnością uznała jego spieszną wyszeptaną wskazówkę za zbyt niedokładną albo co było jeszcze bardziej prawdopodobne — tę drogę za zbyt uciążliwą dla kobiety. Kaplica Zbawienia zamknęła swoje podwoje pięć lat temu, kiedy jej pastor, kaznodzieja metodystów, nagle padł martwy w trakcie szczególnie płomiennego kazania, nie znalazł się nikt, kto mógłby go zastąpić. Zresztą parafia nigdy nie była zbyt liczna: zaledwie kilku plantatorów ryżu ze swymi rodzinami i paru czarnych wyzwolenców, którzy uzyskali prawo do uczestniczenia we mszach.

Biali odsunęli się. Pozostali czarni. Niebawem kaplica zasłynęła jako ośrodek nielegalnych zgromadzeń, jako miejsce, gdzie Murzyni zbierali się, aby omawiać zakazane tematy: powszechne wyzwolenie, bunt. Pewnej nocy kaplica została podpalona przez nieznaną sprawców. Powiadano, że maczali w tym palce bracia LaMotte. W każdym razie wyzwolenci nie powrócili tu już nigdy, a cały teren objęła w posiadanie bujna roślinność. Miejsce było wymarzone na tajemne schadzki. Z trzech stron otaczał je gąszcz lasu, czworobok zamykały ciągnące się wiele mił trzęsawiska, których widok zapierał dech w piersiach. Kiedy Orry'ego dzieliło od celu ostatnie ćwierć mili, ogarnęła go panika. Nie bał się Justina LaMotte'a, obawiał się raczej, że naraził Madeline na niepotrzebne ryzyko. Raz po raz powtarzał sobie w duchu, że z pewnością i tak nie czeka na niego. Ale jeżeli okaże się, że przyjechała na spotkanie, to czego właściwie od niej chciał? Aby popełniła cudzołóstwo? Mimo iż w głębi duszy

przyznawał ze wstydem, że o to właśnie chodzi, jego sumienie i wzgląd na dobro Madeline podpowiadały, że to niemożliwe.

Zamęt w jego głowie wzmagała myśl o ostatnich wydarzeniach w Mont Royal. Wstydził się, że George był świadkiem okrucieństwa, przyjaciel miał teraz dowód, iż Północ słusznie potępia Południowców. Ale zakłopotanie sprawiło tylko, że przybrał wobec George'a pozycję obronną, a nawet — wbrew wszelkiej logice — gniewną i nieprzyjazną. Był zły i zdenerwowany, kiedy odgarniał kilka ostatnich gałęzi, kierując konia ku kaplicy. Szczątki zwęglonych belek i ścian leżały rozrzucone na ziemi. Ruiny kaplicy i widoczne nieco dalej bagna tonęły w głuchej ciszy, zupełnie wymarłe. Na twarzy Orry'ego odmalowało się rozczarowanie.

Nie opodał zarzął koń, zatrzeszczały gałęzie. Po lewej stronie, tuż nad brzegiem moczarów, ujrzał Madeline. Oddzielona od niego kępą drzew wpatrywała się w skąpane w słońcu, oddalone nieco trzciny i połyskliwą wodę.

Uwiązał konia i podbiegł do niej. Jakże pięknie wyglądała w wytwornym kostiumie do jazdy. Ujął ją za ramiona i nachylił się, ale niemal natychmiast zmieszany i zaczerwieniony cofnął się.

— Nawet nie pomyślałem o tym, aby zapytać, czy dużo pani ryzykuje, przyjeżdżając tu.

Uśmiechnęła się i z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

— Nie tak bardzo. W każdym razie nie dziś. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, kiedy udaję się do chaty dla chorych, aby zająć się pacjentami. Tego właśnie oczekuje się od kobiety. Powiedziałam służbie, że po wizycie u chorych odbędę krótką przejażdżkę. Służące zrozumiały to. Wiedzą, jak nieznośny może być Justin. Zresztą, on zostanie z Francisem w Charleston aż do jutrzejszego wieczoru. Ale oczywiście nie mogą przebywać tu zbyt długo.

Wyciągnął rękę, aby ująć jej dłoń. Uśmiech zniknął z twarzy Madeline, zastąpiło go napięcie.

— Bardzo się cieszę, że przyjechała pani na spotkanie — powiedział. — Czy pomyśli pani o mnie źle, jeśli przyznam się...

— przelknął ślinę — że chciałbym panią pocałować?

Zauważył jej przestach, ale opanowała się tak szybko, że zastanowił się, czy nie było to złudzenie. Spiesznie dodał:

— Jeśli myśl o tym niepokoi panią, cofam swoje pytanie. Jej oczy zajaśniały znowu ciepłym blaskiem, usta złagodniały, kąciaki warg drgnęły w uśmiechu.

— Nie może pan tego uczynić, już za późno. A zresztą — odwzajemniła uścisk jego dłoni — ja chcę, aby pan mnie pocałował. Jestem po prostu trochę przerażona, to wszystko.

Zachłannie, choć niezdarnie, wziął ją w ramiona. Jej usta były miękkie i chłodne. Nigdy jeszcze nie dotykał języka kobiety

w taki sposób jak teraz, kiedy rozchyliła wargi. Natychmiast doznał wzdruć i ogarnął go wstyd, ale ona tuliła się do niego z całych sił, jakby nie widziała w tym nic złego. To nie była zabawa, przez długą, intensywną chwilę trwali w namiętnym uścisku, obsypując szaleńczymi pocałunkami oczy, policzki i uszy, dając wyraz swym uczuciom i pragnieniom. Nie mógł dłużej zwlekać, musiał jej to powiedzieć:

— Madeline, kocham cię. Pokochałem od pierwszej chwili.

Roześmiała się. Spozrzegł, że jej oczy wypełniły się łzami. Musnęła dłonią jego twarz i niemal jednym tchem odparła:

— Och, mój słodki Orry, mój kawalerze! Ja też cię kocham, nie widzisz tego? Podobnie jak ty zrozumiałam to od razu, kiedy cię poznałam, i przez cały czas próbowałam wmówić w siebie, że to nieprawda. — Znowu przyłgnęła do niego, pokrywając jego usta i twarz gorącymi pocałunkami.

Odruchowo, nie zastanawiając się nad tym, co robi, położył dłoń na jej piersi. Zadrżała i przytuliła się jeszcze mocniej, ale po chwili odsunęła się. Podobnie jak Orry wiedziała, co mogłoby się wydarzyć, gdyby dali się porwać uczuciom. Przysiedli na fundamencie kaplicy, obserwując białe czaple, które podrywały się z bagien i z wdziękiem zataczały rozległe kręgi. Objął ją ramieniem, Madeline przytuliła się ufnie. Siedzieli w milczeniu i bezruchu niby postaci na rodzinnym portrecie.

Czy twój mąż... — Urwał i odchrząknął. Czy próbował w jakikolwiek sposób zemścić się na tobie, kiedy wróciliście do domu?

— Och, nie. Wystarczyło mu to, że upokorzył mnie w Mont Royal.

Wpatrywał się przed siebie z nachmurzoną miną.

— Gdyby kiedykolwiek podniósł na ciebie rękę, czy powiesz mi o tym?

— Nie posunie się tak daleko. Jego okrucieństwo jest bardziej subtelne. I o wiele bardziej skuteczne. Zna tysiące sposobów, aby zranić duszę, wie, jak pozbawić kogoś śmiechem albo spojrzeniem poczucia własnej wartości. Wydaje mi się, że mężczyźni w tym stanie nie powinni obawiać się powstania niewolników, lecz raczej buntu własnych żon.

Roześmiał się, dotykając rękawem jej kostiumu.

— Trzeba przyznać, że nie skąpi, jeśli chodzi o dobra doczesne. Ile to kosztowało?

— Zbyt wiele. Masz rację, nie liczy się z pieniędzmi, tak samo zresztą jak z uczuciami innych. Jeśli myśli, że czegoś potrzebuje, kupuje to. Pozwoliłby mi na wszystko, dopóki będę pamiętała, że nazywam się LaMotte. I że jestem kobietą.

— Wszystko byłoby inaczej, gdybyś została moją żoną. Chciałbym, abyś nią była.

Och, ja też. Tak bardzo bym tego chciała!

Może nie powinienem był cię prosić, abyś spotkała się ze mną, ale... spojrzał na Madeline, starając się nie okazywać, jak boleśnie przeżywa schadzkę — ...ale musiałem ci wreszcie powiedzieć, co czuję.

— Tak. — Musnęła dłonią jego policzek. — To tak jak ja.

Pocałował ją, długo i namiętnie.

Jej głos, gdy odezwała się po chwili, zabrzmiał inaczej, pojawiła się w nim nuta gorczy.

— Justin myśli, że nie jestem wiele warta jako kobieta.

— Czemuż to?

— Bo nie urodziłam mu dzieci.

— Czy to... dlatego... że... — urwał zmieszany.

— Och, co do niego, nie szczędzi wysiłków — powiedziała czerwieniąc się. Jego próby, aby zostać ojcem, są nawet bardzo... żywiołowe.

Orry poczuł się, jak gdyby ktoś dźgnął go nożem w brzuch. Przez chwilę siedział w bezruchu, a ból powoli mijał. Madeline mówiła dalej:

Mówię z tobą tak otwarcie, bo nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. A prawda jest taka — na jej twarzy odmalowała się teraz głęboka powaga że to z winy Justina, jestem tego pewna, nie zaszłam w ciążę. Wiem, że jego pierwsza żona również nie miała dzieci.

To prawda przytaknął Orry.

Oczywiście nie wolno mi nawet wyrazić przypuszczenia, że to on jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy. -- Nie zezwala ci na takie myśli, co?

— Nie zezwala mi w ogóle na żadne myśli.

Przez następną godzinę rozmawiali o wszystkim: o jego przyjacielu George'u, o wojnie, która zaprowadzi ich obu do Meksyku, na pola bitewne, o nieposłuszeństwie i ukaraniu Priama oraz wynikłym z tego zamieszaniu w rodzinie Mainów. Sprawy te wydawały się jakieś nierzeczywiste, otaczający ich świat jakby przestał istnieć, liczyło się tylko to ukryte w gąszczu miejsce i żadna inna siła prócz ich miłości.

W końcu, kiedy słońce przesunęło się niżej, a niebo ściemniało, Madeline wstała.

Muszę już iść. Inaczej nigdy już nie mogłabym tu przyjść, mój kochany Orry. Pocałuj mnie na pożegnanie.

Padli sobie w objęcia i przez kilka upojnych minut całowali się i pieścili. Potem pomógł jej dosiąść konia. Kiedy objeżdżała ruiny, z niezrównanym wdziękiem siedząc w siodle, jeszcze raz obejrzała się i ściągnęła cugle.

— Kiedy wrócisz z Meksyku, na pewno będziemy się widywali od czasu do czasu. Na przyjęciach czy weselach. I zawsze

gdy spojrzę na ciebie, będziesz wiedział, co czuję. Och, Orry, tak bardzo cię kocham!

W tym okrzyku mieszały się radość i ból. Zniknęła w oddali, a on odczekał dwadzieścia minut, zanim ruszył w stronę domu. Teraz prawie żałował, że to spotkanie doszło do skutku; rozerwało tylko olbrzymią ranę w jego duszy, która kiedyś się zabiłiżniła, a teraz nie zagoi się już nigdy.

10

Tego samego wieczoru, po kolacji, przyjaciele udali się na spacer w kierunku przystani. George w milczeniu palił cygaro. Orry, nie tłumacząc się ze swej niedawnej nieobecności, kroczył z ponurą miną. To, jak również wydarzenia poprzedniego dnia, zepsuły nastrój George'a. Usiedli na starych, porzuconych na przystani beczkach, wpatrując się w nurty Ashley, w których odbijały się już pierwsze gwiazdy. Usłyszeli skrzypnięcie drzwi wejściowych dworu i wkrótce ujrzeli Clarissę, szybkim krokiem zmierzającą do osiedla niewolników.

— Wygląda na zmartwioną mruknął George.

— Podejrzewam, że z Priamem jest niedobrze. Brett powie działa mi, że matka była u niego po południu już dwa razy.

George wypuścił dym nosem i ustami.

— Bardzo dba o waszych niewolników, prawda?

— Nie bez powodu. Oni sami nie mają najmniejszego pojęcia, jak zadbać o siebie. Są jak małe dzieci.

— Może dlatego, że nie wolno im być nikim innym.

— Och, daj spokój! Cóż to, przyszliśmy tu, żeby debatować?

— Debaty są dobre dla polityków. Ja tylko wyraziłem swoje zdanie.

— I mam nadzieję, że na tym koniec warknął Orry.

Jego ton wyraźnie sugerował, że George robi lepiej, nie mówiąc nic więcej. Ale nie było to proste. George czuł, że sumienie nie da mu teraz spokoju co zdarzało się raczej rzadko i będzie miał do siebie pretensję, o ile nie wyrzuci z siebie tego, co mu leży na sercu. Przemówił cicho, ale zdecydowanie:

— Nie, niezupełnie. Jesteście wspaniałą rodziną, Orry. Miła. Uprzejmą. Bardzo postępową pod wieloma względami. To samo można by powiedzieć o twoich sąsiadach, a przynajmniej o części tych, których poznałem. Ale niewolnictwo... no... tu zgadzam się z twoim bratem. Niewolnictwo jest jak kawał twardego mięsa, które nie da się przełknąć, choćbyś starał się, nie wiem jak. ,

- Zawsze myślałem, że te sprawy cię nie interesują.
- Tak było. Do wczoraj. — George strząsnął popiół z cygara.
- -Co oni zrobili z tym niewolnikiem?

Orry nie odrywał oczu od rozedrganej świetlnymi refleksami rzeki.

— Nie wiem. Ale cokolwiek zrobili, było to konieczne.

— I tego właśnie nie potrafię przełknąć. Jak to możliwe, że jest konieczne, aby jedna istota ludzka sprawiała ból drugiej? Jeżeli zmusza do tego system, to znaczy, że ów system nie jest właściwy.

Orry wstał, na twarz wystąpił mu rumieniec. Jego głos był teraz tak ostry, że George wzdrygnął się.

— Pozwól, że powiem ci coś o Południowcach. Otóż Południowcy mają już dosyć napuszonych Jankesów, którzy krytykują wszystko, co się tu dzieje. Cooper też może opowiedzieć wiele ciekawych faktów o warunkach, w jakich żyją robotnicy ze stalowni Hazarda. Czy niewolnictwo ekonomiczne jest mniej naganne niż to, co potępiasz u nas?

George, podobnie jak Orry, poderwał się na równe nogi.

— Poczekaj no, Orry! Ci robotnicy w naszej hucie...

— Nie, to ty poczekaj! Północ powinna posprzątać najpierw u siebie, a dopiero potem może wytykać nas palcem. Jeśli na Południu są jakieś problemy, uporamy się z nimi sami.

— Nie wydaje mi się, mój przyjacielu, abyście zamierzali się z nimi uporać. I, jak widzę, stajecie się diabelnie pewni siebie i drażliwi, gdy ktoś wam mówi, że coś u was jest nie tak.

— Stajemy się drażliwi tylko wtedy, gdy mówią nam o tym Jankesi. Wściekamy się wtedy jak diabli. Północ wtrąca się w sprawy Południa od trzydziestu lat. Jeśli to się nie skończy, skutek może być tylko jeden.

— Chcesz powiedzieć, że powstanie separatystyczny rząd, który będzie uznawał niewolnictwo? Kiedy byliśmy w West Point, twoi kompani z Południa zawsze wyskakiwali z tą groźbą. A więc, na co jeszcze czekacie? Dokonajcie secesji!

— Ja wcale nie grożę — odparował Orry. — Ale przewiduję kłopoty, i to mnóstwo kłopotów, dla każdego intruza, który nie przestanie mówić nam, ludziom z Południowej Karoliny, jak myśleć i jak postępować!

— Czy według ciebie ja też należę do tych intruzów?

— Do diabła, tak! — odparł Orry i oddalił się szybkim krokiem.

George zastanawiał się, czy nie powinien spakować się i wyjechać jeszcze tego samego dnia, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Dostrzegał strapienie przyjaciela i czuł, że nie ma ono nic

wspólnego z przedmiotem ich sprzeczki. Sprawa Priama nie dawała mu jednak spokoju. Dostrzegł teraz nowy, ponury aspekt niewolnictwa. Rozumiał już, jak to się dzieje, że przypadkowi znajomi albo wytrawni oponenti, na przykład politycy, spierają się o to tak zażarcie. Jeśli jednak problem niewolnictwa mógł poróżnić dobrych przyjaciół, wniosek nasuwał się tylko jeden: sprawa jest istotnie niezmiernej wagi.

Kilka kolejnych dni upłynęło w atmosferze napięcia i wymuszonej uprzejmości. Przyjaciele unikali się, a spór załagodlili dopiero na dzień przed wyjazdem do Charleston. Wieczorem wypili kilka kieliszków i wtedy Orry rozpoczął rozmowę.

— Posłuchaj, wydaje mi się, że mamy walczyć z Meksykanami, a nie ze sobą.

— Masz bezwzględną rację — odparł George z widoczną ulgą.

— Przykro mi, że wetknąłem nos w nie swoje sprawy.

— A mnie przykro, że tak cię potraktowałem.

Wypili jeszcze jeden kieliszek za odświeżoną przyjaźń. Ale wspomnienie kłótni, a zwłaszcza jej przyczyny, utkwilo na dobre w każdym z nich.

Parowiec żeglugi przybrzeżnej opłynął Florydę, kierując się ku zatoce. Morze było wzburzone. Kilka pierwszych dni George spędził z głową wystawioną za burtę. Kiedy wreszcie statek zawitał na kilka godzin do Nowego Orleanu, aby uzupełnić zapasy, z ulgą postawił nogę na stałym lądzie.

Wraz z Orrym włóczył się jakiś czas po grobli i starej dzielnicy portowej, następnie poszli do gospody na czarną, gorzką kawę. George kupił gazety i siedząc nad drugą filiżanką kawy chciwie wyląwiał z nich najświeższe wiadomości. Pod koniec września generał Taylor oblegał, a następnie zajął Monterrey, co sprawiło, że uznano go za prawdziwego bohatera. W opinii polityków miał niebawem zostać kandydatem wigów na prezydenta, chyba że o miejsce w Białym Domu ubiegałby się również jego przełożony, generał Scott, także wig. Na dalekim zachodzie Amerykanie szybko opanowywali hiszpańską Kalifornię, którą Stany Zjednoczone zaanektowały na mocy proklamacji.

Bywały chwile, kiedy George uprzytamniał sobie, że trudno mu uwierzyć w fakt, iż jego kraj znajduje się w stanie wojny z Meksykiem. Upłynęło zaledwie dwadzieścia kilka lat, odkąd rząd Meksyku zaproponował Jankesom kolonizację stanu Coahuila i Teksas oraz przyznał koncesję amerykańskiemu impresario, Austinowi, aby ten mógł zagwarantować bezpieczeństwo osadnikom.

Oczywiście miało to miejsce pod koniec długiego panowania Hiszpanów w Meksyku. Kraj zdobył niebawem niepodległość i to

było początkiem wszystkich kłopotów. Konstytucja z 1824 roku zmieniana była przez kolejne rewolucje. Rządy powstawały i padały w oszalałym tempie.

Rok 1836 przyniósł krótkotrwałą, choć brutalną walkę o niepodległość Teksasu. Na początku marca tegoż roku Teksasczycy broniący misji Alamo zostali zmasakrowani*. W niespełna miesiąc później wojsko pod dowództwem Sama Houstona wygrało wojnę i wywalczyło pod San Jacinto wolność dla Republiki Teksaskiej. Meksyk nigdy im tego nie zapomniał.

George zauważył, że w wiadomościach znowu pojawiło się nazwisko człowieka przez ostatnie dwadzieścia lat związanego z Meksykiem i Ameryką. Z wygnania na Kubie powrócił generał • Antonio López de Santa Anna wraz ze swą żoną i siedemnastoletnią żoną. Można było przypuszczać, że — jak to już wielokrotnie bywało w przeszłości — ponownie obejmie dowództwo nad armią meksykańską.

Santa Anna, człowiek twardy i przebiegły, liczący obecnie 52 lata, walczył już po tyłu stronach, dla tyłu frakcji, że ten, kto chciał poznać przebieg jego kariery wojskowej, musiałby chyba przesledzić wszystkie dokumenty z nim związane. Najpierw, jako młody oficer, służył wiernie Hiszpanii, następnie poparł bunt przeciw swemu ojczystemu krajowi. Był kolejno naczelnym dowódcą wojsk meksykańskich, prezydentem i dyktatorem Meksyku. Odnosił krwawe zwycięstwo pod Alamo, a następnie przegrał pod San Jacinto, gdzie podczas sromotnej ucieczki w brudnych szatach kobiecych został pojmany przez zwycięzców.

Pod Tampico, broniąc kraju przed usiłującymi odzyskać Meksyk Hiszpanami, samozwancy Napoleon Zachodu stracił nogę, którą przechowywano w kaplicy w Mexico City jak relikwię, dopóki był u władzy. Tłum powlókł ją ulicami miasta, gdy fortuna odwróciła się od niego.

Trzeba przyznać, że to niezwykle człowiek — pomyślał George. — Zawsze wie, jak się ustawić, a najlepszy tego dowód to obecne spory graniczne.

Jako dowódca pokonanej armii Santa Anna w 1836 roku podpisał traktat pokojowy, uznający Rio Grandę graniczną rzeką Teksasu. Teraz jednak twierdził, że na dokumencie widnieje jedynie jego nazwisko, innymi słowy; rząd Meksyku nie

* Fortu Alamo, obleżonego przez ponad czterotysięczną armię meksykańską pod dowództwem gen. Santa Anny, broniło mężnie przez 13 dni zaledwie 185 żołnierzy i ochotników, m.in.: David Crockett, John Bowie oraz płk William Barrett Travis. 6 marca twierdza padła, a wszyscy jej obrońcy polegli.

podpisał tego traktatu. A więc Meksyk ma prawo nie uznawać układu i w dalszym ciągu walczyć o sporne terytorium, oczywiście pod dowództwem jego, Santa Anny.

George miał ochotę porozmawiać o tym z Orrym, ale jego przyjaciel nie był zainteresowany tematem. Apatia Orry'ego zaintrygowała go, ale wnet przypomniał sobie, że z Nowego Orleanu pochodzi Madeline LaMotte. Natychmiast wstał i oświadczył, że wraca na statek, aby wreszcie napisać zaległy list do domu. Orry ochoczo podchwycił tę myśl. Gdy tylko obrócili się plecami do miasta, jego nastrój znacznie się poprawił.

Parowiec pruł fale zatoki w stronę ujścia Rio Grande. Nagły i silny sztorm, który nie był niczym niezwykłym o tej porze roku, uszkodził koło łopatkowe, co zmusiło kapitana do rzucenia kotwicy przy wyspie Świętego Józefa, by usunąć usterki. Galary przewiozły żołnierzy do Corpus Christi. Było to mało ciekawe miasteczko na zachodnim brzegu Nueces River, znane dawniej jako Kinney's Ranch, składające się z około czterdziestu zabudowań, w tym kilku sklepów.

Przyjaciele rozdzielili się na kilka godzin. Płaski, piaszczysty teren wybrzeża Teksasy zafascynował Orry'ego. Idąc główną ulicą, pokrytą kałużami i błotem, ze zdumieniem zauważył kilka antylop pasących się za nie pomalowanymi domami. Sklepiarz, którego minął, ostrzegł go przed tarantulami. Orry, kiedy znowu się spotkali, przekazał ostrzeżenie George'owi. Przyjaciela interesowały teraz inne aspekty życia. Z nieszczęśliwą miną zaczął opowiadać:

— Spotkałem tu tylko jedno dziewczę. Brzydkie jak noc. Może będę miał więcej szczęścia wieczorem.

— Gdzie?

— Na zabawie. Mieszkańcy Corpus Christi urządzają ją dla biednych, samotnych żołnierzy. Możesz mi wierzyć; oszaleję, jeśli wkrótce nie będę mógł objąć kobiety.

Impreza odbywała się w stodole na terenie factorii pułkownika Kinneya. Rozwieszono lampy, a sufit udekorowano zżar-tymi już częściowo przez mole flagami. Na brudnej podłodze rozrzucono świeżą słomę, sprowadzono skrzypka, na chwiejnym stole piętrzyły się ciasta, placki i torty, stała też olbrzymia czara ponczu. Przybyło około osiemdziesięciu oficerów i podoficerów oraz około czterdziestu mieszkańców miasteczka, wśród których było zaledwie siedem kobiet. Z tych tylko jedna była atrakcyjna, ona też kupiała na sobie uwagę większości obecnych.

Z pewnością zasługiwała na powszechne zainteresowanie. Była to smukła kobieta, która dopiero co przekroczyła dwudziestkę, o zdumiewająco rudych włosach. Kolor jej skóry przywo-

dził na myśl gęstą śmietaną, a tak niebieskich oczu George nie widział jeszcze nigdy. Jego zapału nie ugasił jej imponujący wzrost, nie dał się też zniechęcić widokiem całej chmary oficerów, kręcących się stale wokół niej. Kilku było w randze majora, a nawet pułkownika.

Z pewnością ruszą na mnie zwartym szeregiem, jeśli zbliżę się do niej otwarcie — pomyślał George.

Należało więc podejść przeciwnika. Kiedy skrzypek zagrał do pierwszego tańca, George stanął przy naczyniu z ponczem, uśmiechając się i próbując nawiązać rozmowę z kilkoma mieszkańcami miasteczka. Nim upłynęło pięć minut, wiedział już to, na czym mu najbardziej zależało, obmyślił też plan działania.

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę cywila stojącego w otwartych drzwiach stodoły. Wiedział, że prezentuje się interesująco. Spędził przecież pół godziny na czyszczeniu z podróżnego kurzu jasnoniebieskich spodni i polerowaniu miedzianej rękójści oraz ozdób na pochwie swojej długiej na jard szabli oficera piechoty. Mężczyzna, na którym chciał wyrzucić dobre wrażenie, miał rumianą twarz, zadarty nos i krótkie, potargane włosy, raczej siwe niż rude. Nosił niemodne już ubranie z czarnej sukna.

George uniósł swój kieliszek.

— Wspaniałe przyjęcie, sir. Wy, Teksanczycy, umiecie podej mować gości.

Uśmiechając się sucho, mężczyzna odparł:

— Kiedy toczy się wojna, poruczniku, patriotyzm każe często zapomnieć o ostrożności.

— Nie rozumiem, sir.

— W Corpus Christi opinia o żołnierzach jest tak zła, jak to tylko możliwe. Stacjonowały tu oddziały Zacha Taylora, kiedy szły nad Rio Grandę. Dla miasta była to twarda lekcja i tego doświadczenia nikt tu nie zapomni. Na szczęście Teksanczycy wiedzą już teraz, jak chronić siebie... i swoje córki. — Klepnął dłońią olbrzymi pistolet tkwiący w kaburze u prawego boku. Lufa miała niemal trzydzieści centymetrów długości.

Paterson Colt — ocenił w duchu George — chyba kaliber 36.

— O, a więc przyszedł pan tu z córką?

Mężczyzna o czerstwej twarzy roześmiał się ubawiony.

— Tego nie powiedziałem, młody człowieku, ale najwidoczniej zdobył pan mnóstwo informacji. Czy to dlatego podszedł pan do mnie na rozmowę?

George przełknął ślinę, potem i on parsknął śmiechem.

— A myślałem, że robię to taktownie. Dobrze pan odgadł, sir. Zdałem sobie sprawę, że nie mam szans na zamienienie z pańską córką choćby paru słów, zważywszy na ten tłum wokół niej. Ale gdyby pan przedstawił mnie...

— Może faktycznie nie jest pan taktowny, sir, ale za to sprytny. Jeśli jednak mam pana przedstawić, muszę poznać pańskie nazwisko.

— Porucznik George Hazard, VIII Pułk Piechoty.

Tamten wyciągnął rękę.

— Patrick Flynn z Cappamore, hrabstwo Limerick, ale teraz już chyba Tekszańczyk. Jestem tu wystarczająco długo! Przybyłem rok po tym, jak pułkownik Kinney otworzył swoją faktorię. W tym samym roku straciłem żonę, mnie i Constance udało się jakoś przetrwać, chociaż to miasto nie nadaje się do prowadzenia kancelarii adwokackiej... Nawet mucha zdechłaby z głodu.

— Jest pan prawnikiem? W takim mieście?

— Co jakiś czas spędzam miesiąc w San Antonio. I właściwie tylko dzięki temu utrzymuję się na powierzchni. W San Antonio ludzie są bardzo kłótlivi. Prawa uczyłem się w Belfaście i dobrze na tym wyszedłem, jako że pełno tam, nad zatoką, pogmatwanych sytuacji, zasadzek stanowiących świetną szkołę. Potem cała seria niepowodzeń rzuciła mnie do Teksasu, a było to wtedy, gdy Sam Houston dwoił się i troił, aby oderwać go od Meksyku. Osiedliłem się w Corpus Christi, sądziłem bowiem, że miasto przekształci się wkrótce w port, a tym samym będzie tu mnóstwo pracy dla prawnika. — Znowu uśmiechnął się sucho i dodał: —Ale rozwój wypadków nie sprzyjał realizacji mych marzeń, los nie spełnił mych nadziei. — Odrzucił głowę do tyłu i jednym haustem opróżnił kieliszek. — Ani pragnienia.

— Ale mimo wszystko musi się tu panu podobać.

— O, tak. Jest tu dużo powietrza i przestrzeni. Ani śladu tych wszystkich snobistycznych przymusów, na które byłem skazany jako mały chłopiec w starej ojczyźnie. Jest tu kilku takich, którym nie podoba się moja wiara, chociaż i tak nie mogę praktykować, gdyż w pobliżu nie ma żadnego kościoła katolickiego. Ale rachunki są wyrównane, bo ja z kolei nie uznaję panującej tu opinii o niewolnictwie.

— Słyszałem, że popiera je wielu Tekszańczyków.

— Z przykrością muszę to potwierdzić. Mogłem przekonać się nie raz, że człowiek pracuje gorliwiej, jeśli może przy tym liczyć na osobiste korzyści, niż wtedy, gdy wisi nad nim batóg nadzorcy. Ale tej prawdy moi sąsiedzi nie mają ochoty słuchać. Niektórzy zadowolają się obrzucaniem mnie obelgami, ale są też tacy, co to najchętniej wypędziliby mnie stąd za takie poglądy. Nie robią zaś tego, bo wiedzą, że jestem, że tak powiem, niezależny.

Uśmiechnął się i znowu dotknął rękojęści kolta.

— Ale pan przecież chce poznać Constance.

— Tak, chcę. Nawet bardzo.

— Z przyjemnością przedstawię jej pana, gdy tylko uwolnię

ją od tej zgrai durniów, ani jeden z nich nie dorównuje panu fantazją. A może jest pan Irlandczykiem? George roześmiał się.

— Nie, sir.

— Postaram się spojrzeć przez palce na tę wadę.

To powiedziawszy odszedł wolnym krokiem. George poprawił kołnierz. Dostrzegł Orry'ego, który kierował się ku niemu, i dał mu znak, aby tego nie robił. Orry rozejrzał się dokoła, pojał, w czym rzecz, po czym dołączył do kilku poruczników, którzy z marsowymi minami stali obok czary z ponczem.

Patrick Flynn wyłowił córkę z tłumy oficerów. George, udając że nie widzi rozszlonych spojrzeń, skupił całą swą uwagę na dziewczynie. Trochę zirytowana postępkami ojca, który chwycił ją za rękę i odciągnął na bok, trochę ubawiona, pozwoliła się zaprowadzić do George'a.

— Constance, przedstawiam ci porucznika Hazarda. Pragnął cię poznać i zorientował się, że będzie miał większe szanse, jeśli zwróci się z tym najpierw do mnie.

— Ale skąd wiedział, czy i ja chcę go poznać, ojcze? zapytała z ironicznym uśmiechem.

George wyprężył się, aby wydać się nieco wyższym. Boże, i tak jestem o dwa cale niższy pomyślał z rozpaczą. Zmuszając się do uśmiechu spojrzał prosto w lśniące, niebieskie oczy.

— Proszę dać mi pięć minut, panno Flynn, a rozwieję wszystkie pani wątpliwości.

Roześmiała się. Kątem oka dostrzegła wąsatego majora dragonów, zdążającego ku nim, i chwyciła George'a za rękę.

— Proszę ze mną zatańczyć, poruczniku, w przeciwnym razie nigdy nie będziemy mieli tych pięciu minut.

Nie musiała mu tego powtarzać. Skrzypek zagrał walca. George przemknął z Constance tuż obok rozwścieczonego majora i doprowadził ją na środek sali. W jego ramionach była tak zwiewna i pachnąca, tak niesłychanie piękna, że miał wrażenie, iż obejmuje jakąś niezmierną, kruchą istotę. Spostrzegła to, gdyż powiedziała:

— Trzyma mnie pan tak delikatnie, poruczniku... Czyżby pan się bał, że mogę się rozlecieć na kawałki?

— Nie, wcale nie, pani nie jest krucha, tylko nadzwyczaj deli... to znaczy... — Nie potrafił dokończyć zdania. Co to, u diabła, znaczy? Nie zdarzało mu się to nigdy, gdy był z dziewczyną. Zaczynał zachowywać się jak Orry, który najwyraźniej zadowolony z siebie obserwował go znad stolika z ponczem.

Przez resztę tańca wymieniali zdawkowe uwagi. George opowiedział jej o West Point i swoim domu w Pensylwanii, Constance powtarzała głównie to, co mówił wcześniej jej ojciec.

George czuł zamęt w głowie. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów, nie mówiąc już o wygłoszeniu ich z wdziękiem. Ona zaś zachowywała się swobodnie, uśmiechała się i gawędziła bez najmniejszego skrepowania.

Niebawem dowiedział się, że jest nie tylko piękna, ale również wykształcona.

— Ojciec wysłał mnie do akademii dla młodych kobiet w San Antonio. Uważa, że również kobiety powinny się kształcić. Jak na człowieka urodzonego w Irlandii jest bardzo postępowy. Twierdzi, że wiara w Tróję Świętą nie powinna zastępować zdrowych zainteresowań sprawami świeckimi.

George uśmiechnął się i poczuł, że dręczące go napięcie powoli ustępuje.

— Lubię pani ojca.

— On chyba też pana polubił, w przeciwnym razie z pewnością nie przedstawiłby mi pana. Cieszę się, że to zrobił.

Naprawdę? Panno Flynn, to wspaniale!

W przyпыłwie entuzjazmu zawirował z nią raz jeszcze, ale po chwili Constance musnęła go lekko swoim ozdobnym wachlarzem na znak, że ma przestać tańczyć. Przeprosił ją.

Kiedy powiódł dokoła wzrokiem, dostrzegł rozbawione twarze. Nawet Orry uśmiechał się ironicznie. Constance szepnęła mu do ucha:

— Poruczniku Hazard, muzyka ucichła już kilka minut temu.

Rzeczywiście? Mój Boże! Niech to... och, przepraszam, panno Flynn, nie miałem wcale zamiaru przeklinać w pani...

— Poruczniku przerwała to ja zaczęłam przeklinać, jeśli pozwoli pan, abym znalazła się w ramionach tego dragona, który gapi się na mnie. Przejdźmy się trochę, proszę.

Z największą przyjemnością!

Podał jej ramię i poprowadził ku wyjściu. Wąsaty major kroczył za nimi, z każdą chwilą wyglądał na coraz bardziej urażonego. Kiedy zbliżył się do nich na odległość trzech kroków, Patrick Flynn jakby się potknął i wpadł na majora, omal nie oblewając go ponczem. Natychmiast zaczął przeproszać oficera tak żarliwie, że ten zrobił w końcu dobrą minę do złej gry.

Tymczasem George i Constance wymknęli się na zewnątrz, w ciemność.

— Zakochałem się — wyznał George kilka godzin później.

— A więc to o to chodziło — pokiwał głową Orry. A ja już myślałem, że to jakiś rozstrój nerwowy. Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak ogłupiałego ani tak małomównego przy dziewczynie.

Nieco zmęczeni szli brzegiem w stronę białych namiotów i świateł prowizorycznego obozu, rozbitego dla pasażerów parowca. George odskoczył przerażony na bok, kiedy tuż przed nim na drogę wypadł duży zajac. Westchnął jak człowiek schnący z miłości i powiedział:

— Myślę, że i ona mnie lubi. Ale nie jestem pewien.

— To jasne, że cię lubi. Przecież spędziła w twoim towarzystwie większość wieczoru, prawda? A nie musiała. Mogła wybrać innego. Niekoniecznie kogoś przystojniejszego od ciebie — Orry nie ukrywał ironii, łagodził ją jednak przyjacielskim uśmiechem — ale chociaż takiego, na kogo musiałaby podnieść oczy.

George tracił go w ramię i zwymyślał. Orry roześmiał się, a jego przyjaciel westchnął ponownie.

— Mam nadzieję, że nie naprawią parowca przed upływem tygodnia. Constance zaprosiła mnie na jutro na obiad. Gotowana wołowina po teksasku i ziemniaki.

— O, a więc rozmawialiście już o jej kuchni? To brzmi tak, jakbyś znalazł miłość swego życia!

— Na Boga, bo tak chyba jest naprawdę. Kiedy tylko ją objąłem, poczułem... no, coś wzniosłego. Ale na dłuższą metę mogą pojawić się problemy. Ona jest Irlandką. I katoliczką. A na Północy nie patrzą dobrym okiem na taką kombinację.

— Stałeś się bardzo poważny. Co za tempo!

— Nic na to nie mogę poradzić. Zresztą nie dbam o to. George Hazard, pogromca słabej płci, stał się raptem zupełnie bezsilny. I to jest chyba najdziwniejsze w całej tej historii.

— Wcale nie. Co do mnie, rozumiem to doskonale.

George wiedział, że Orry chciał przez to coś powiedzieć, był jednak zbyt podniecony, aby domyślać się sensu słów i zwrócić uwagę na nutkę melancholii, która zabrzmiała w głosie przyjaciela.

Daleki gwizd oznajmił, że galar niebawem odpłynie. George potrząsnął dłonią Patricka Flynna.

— Do widzenia, sir. Wobec mnie, człowieka obcego, był pan wspaniały!

— Dla nas nie jest pan już obcy, młody człowieku — odparł prawnik i zerknął na córkę. Constance, która narzuciła właśnie na ramiona lekki szal, obracała w dłoniach parasolkę. Flynn położył rękę na ramieniu młodzieńca i ścisnął je lekko. — Życzymy panu szczęśliwej drogi na miejsce walki. Oby Bóg wiodł pana bezpiecznie po ścieżkach służby wojskowej. Chcielibyśmy, aby pan tu wrócił.

— Oczywiście, sir, postaram się.

Te słowa wyrażały raczej nadzieję niż pewność. George

przeczytał już wystarczająco dużo gazet, aby wiedzieć, ilu ludzi zginęło w Meksyku nie tylko z ręki wroga, ale również z powodu rozmaitych chorób. Wiedział też, że jeszcze wielu polegnie zanim skończy się wojna. Dziwne, kilka dni temu nie myślał w ogóle o takich sprawach, a teraz, w tym śmiechu wartym miasteczku na pustynnym wybrzeżu, raptem życie stało się dlań czymś nieziemnie cennym.

Wyszedł z domu z Constance. George zszedł z drewnianej werandy na błotnistą drogę i wyciągnął ku niej rękę. Podała mu swoją, stanęła obok niego i otworzyła parasolkę.

Dzień był posepny, typowo jesienny, porywisty wiatr niósł już przedsmak zimy. George zajął się parasolką, podając dziewczynie drugie ramię, Constance przycisnęła się doń całym ciałem, aż poczuł jej piersi, i tak, w milczeniu, szli przed siebie. Kiedy szybkim krokiem zbliżali się do przystani, gdzie kończono załadunek ostatniego galara, zaczął siąpić deszcz.

-- Napiszesz do mnie, George?

— Będę pisał regularnie, dzień w dzień. Odpiszesz mi?

Wiesz, że tak. Przyrzeknij, że wrócisz tu tak szybko, jak tylko będziesz mógł.

— Przyrzekam. Chciałbym pokazać ci Pensylwanię, przed stawić cię mojej rodzinie.

Wiedział, że Constance jest w stanie oczarować jego najbliższych, może nawet zwalczyć pokutujące w tym narodzie uprzedzenia wobec katolików. Gdyby jednak z jakiegoś powodu jego rodzina miała jej nie uznać, przestałby uważać się za jej członka. W ciągu tych kilku dni Constance stała się całym jego światem i to z jej przyczyny zaczął się bać po raz pierwszy w życiu — zabłąkanej kuli jakiegoś Meksykanina.

— Mój ojciec jest pod głębokim wrażeniem tego, co opowiedziałeś mu o swojej rodzinie powiedziała. — Jego zdaniem większość Teksasńczyków to głupcy, ponieważ nie chcą uznać, że fabryki stają się ważniejsze niż farmy.

— Rodzina mego przyjaciela, Orry'ego, też nie chce tego uznać.

— Południowcy są bardzo zacofani.

Nie bardziej niż Jankesi — pomyślał, przypominając sobie incydent w Filadelfii, który miał miejsce przed jego wyjazdem do Mont Royal. Ściany kościoła katolickiego ktoś wymazał czerwoną farbą, widniały tam wulgarne słowa i obraźliwe stwierdzenia. Nawet jego brat, Stanley, choć nie przepada za papistami, był oburzony — jakkolwiek bardziej skandalicznym językiem tych stwierdzeń, niż motywacją postępku.

W galerze siedziało już trzech starszych oficerów, nie ukrywali zniecierpliwienia. Sternik kiwnął na George'a, wzywając go do pośpiechu. Gwałtowny podmuch wiatru wyrwał z ręki Hazar-

da parasolkę, zakręcił nią w górze, po czym rzucił na wodę, gdzie zakołysała się na falach jak lekka łódź. Mężczyźni w galarze roześmiali się, ale George nie zwracał na nich uwagi. Całą duszą i sercem był teraz z Constance; widział tylko ją, jej ogniste, rozwiane na wietrze włosy, niebieskie oczy, wpatrzone w niego, policzki mokre od deszczu... Nie, uświadomił sobie raptem i aż drgnął ze zdumienia. To nie był deszcz, lecz łzy.

— Constance, jesteś pierwszą dziewczyną, której to powiem. Może pomyślisz sobie, że jestem niegrzeczny i zbyt zuchwały, gdyż znamy się tak krótko, ale muszę ci... — nabrał szybko powietrza i dokończył: — Kocham cię.

— Ja też cię kocham, George. Pocałuj mnie!

— Na oczach wszystkich?

— Na oczach wszystkich. I tam, gdzie będziemy sami. Całuj mnie wszędzie... i zawsze.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak okrzyk. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła całować niemal z furją. Przytulił ją do siebie, przywarł całym ciałem; to rozstanie było najtrudniejsze i najbardziej bolesne w jego życiu. Rude, rozwiane włosy Constance muskały mu twarz. Na policzkach poczuł niemęskie łzy... nie jej, lecz swoje własne, ale to nie liczyło się teraz nic a nic.

— Poruczniku, ostatni sygnał! - krzyknął sternik. Niech pan wejdzie na pokład, bo oskarżą pana o dezercję!

Od strony zakotwiczonego przy ławicy parowca dobiegł gwizd. George wyrwał się z objęć i wskoczył do galaru, wpadając na pułkownika artylerii, który obsypał go przekleństwami. Usiadł na środkowej ławce wiosłarza. Łódź odbiła od brzegu, a George uprzytomnił sobie, że deszcz przybrał na sile. Dopiero teraz zauważył, że zgubił gdzieś kapelusz. To również nie miało żadnego znaczenia.

Constance stała na przystani, włosy, rozwiane już zupełnie, opadały jej na ramiona aż do pasa niby czerwona chorągiew.

— Wróć szepnął George.

Oficer siedzący obok spojrzał na niego zdumiony. Powtórzył to w duchu, patrząc, jak jej postać maleje w oddali wraz z szarymi zabudowaniami miasteczka. Wróć.

To słowo było obietnicą i modlitwą.

11

Sierzant Jezreel Flicker uważnie przepatrywał pusty brzeg.

— Ani śladu meksów. Cholernie dziwne. Do diabła, przecież nie robiliśmy tajemnicy z naszej inwazji.

Orry, siedzący **tuż** obok niego w tańczącej na falach łodzi, warknął:

— Niech to diabli, kiedy wreszcie zamierzają nas wysłać? Jeśli za tymi wydmami są jacyś snajperzy, wyłowią nas jednego po drugim jak ryby z beczki.

Pucowałała twarz Flickera pozostała nieporuszona. Ten małomówny zawodowy żołnierz z Kentucky był dziesięć lat starszy od Orry'ego. Obaj zdawali sobie sprawę, że to on dowodzi plutonem. W odpowiedzi na nerwowy wybuch Orry'ego uśmiechnął się.

— Spokojnie, poruczniku. Wiem, że nie może się pan docze kać widoku przeciwnika. Ale proszę mi wierzyć, to naprawdę nic przyjemnego.

Orry rzucił mu chmurne spojrzenie. Według Flickera nie miał powodów do obaw. Sierżant mógł spokojnie naigrawać się z jego zniecierpliwienia, był już przecież nie raz w największym ogniu pod Monterrey i gdzie indziej i przetrwał. Ale on, Orry, nie miał jeszcze okazji, aby się sprawdzić. Od sześciu miesięcy przebywał w Meksyku, a jedyne wystrzały, które usłyszał, padły z broni tych cholernych, stale pijanych ochotników. Aż dziw, że nie odstrzelili sobie jeszcze *własnych nóg*.

Twarze części ludzi Ofry'ego były żółte, wysoka fala nie przestawała kołysać łodzią. Długa na czterdzieści stóp łódź była jedną ze stu pięćdziesięciu, które generał Scott sprowadził specjalnie na tę akcję. Każda wiozła na pokładzie ośmiu członków załogi i czterdziestu do pięćdziesięciu żołnierzy. Do tej pory dostarczono dopiero sześćdziesiąt pięć łodzi, które obecnie ustawiono w długi rząd przy plaży Collado, naprzeciw wyspy Sacrificios, mniej więcej dwie i pół mili poniżej portowego miasta Vera Cruz. Właśnie tu, poza zasięgiem artylerii wroga rozlokowanej w mieście, Scott zamierzał przeprowadzić operację, której celem było zdobycie Mexico City.

George i Orry służyli w dwóch różnych kompaniach VIII Pułku Piechoty. Obie kompanie wraz z innymi regularnymi jednostkami piechoty i artylerii, tworzącymi Pierwszą Brygadę generała Wortha, wchodziły w skład pierwszego rzutu uderzeniowego. W swoim plutonie Orry miał Irlandczyków, Niemców, kilku Węgrów oraz sześciu rodowitych Amerykanów. Nawet w czasie pokoju imigranci stanowili spory procent armii.

Ośmiu wioślarzy robiło, co tylko było w ich mocy, aby utrzymać łódź w wyznaczonym miejscu pośród pozostałych, czekających na sygnał do ataku. Silny nurt wokół Sacrificios ustawicznie rozrywał ich szyk, przez co stracili już kilka godzin. Za łodziami czekały transportowce oraz jednostki floty inwazyjnej: całe tuziny statków wszelkich rozmiarów, od parowców do małych kanonierek. Reje i maszty największych statków uginały się niemal pod ciężarem gapiów: marynarzy i żołnierzy, którzy

mieli wyruszyć do akcji w kolejnych rzutach. Gdy artylerzyści ładowali działa kartaczami, orkiestry wojskowe na statkach rywalizowały ze sobą. Poprzez grzmot fal uderzających o łodzie i głośne przekleństwa żołnierzy Orry słyszał dźwięki „Hail, Columbia” i „Yankee Doodle”.

Musiał przyznać, że powodów do przeklinania żołnierze mieli aż nadto. Złościło ich wszystko, począwszy od przekazanych im przez rząd butów — tandetnych, pasujących na prawą albo na lewą nogę, ale nie na obydwie — aż po kauczukowe manierki. Siedzący w łodzi żołnierz pociągnął właśnie łyk, skrzywił się i splunął daleko za burtę.

— Nie smakuje ci gorąca woda, co, Novotny? — uśmiechnął się sierżant Flicker. — Powinniście mnie byli słuchać, kiedy mówiłem wam o tym w zeszłym tygodniu. Kauczuk gromadzi ciepło. Na waszym miejscu wyrzuciłbym to jak najszybciej i zaopatrzył się w coś takiego. — Klepnął dłonią po własnej bani, zawieszanej u pasa.

Mężczyźni sarkali, gdyż wysyłano ich na łąd z chlebakami i w ciężkich płaszczach. Narzekali też na broń. Kilka oddziałów wyposażono wprawdzie w gwintowane strzelby, produkowane od 1841 roku, ale ludzie Orry’ego mieli stare flinty o gładkiej lufie. Dowództwo wychodziło z założenia, iż żołnierzom łatwiej będzie obchodzić się z muszkietami niż z nowoczesną bronią palną. Ten sposób rozumowania doprowadzał Orry’ego do rozpacz. Ludzie traktowani jak bezmyślne istoty zaczęli w końcu zachowywać się zgodnie z tą opinią.

Było łagodne, bezchmurne popołudnie; pogoda jak wymarżona. Na północnym zachodzie widać było wieże i dachy Vera Cruz. Na wprost, w trudnej do określenia odległości od brzegu, spoza oparów rzadkiej mgły wylaniał się imponujący, pokryty śniegiem wierzchołek Orizaby. Ale Orry był zbyt pochłonięty innymi sprawami, by zwracać uwagę na piękno krajobrazu. Uświadomił sobie, że jego pogląd na życie w wojsku zmienił się, odkąd przybył do Meksyku. Nadal myślał o karierze wojskowej — i dlatego właśnie nie mógł doczekać się chwili, kiedy weźmie udział w walce — ale znaczna część uroku, który wiązał się z tą profesją, bezpowrotnie zniknęła.

Przede wszystkim, jego służba wojskowa jak dotąd stanowiła źródło nie tylko frustracji, ale również ustawicznych kłopotów. Parowiec z Corpus Christi zarzucił kotwicę w porcie Brazos Santiago, u ujścia Rio Grandę. Orry i George wraz z żołnierzami z innych oddziałów zeszli na łąd, a już następnej nocy Orry rozchorował się na dyzenterię, co, jak się dowiedział, czekało wszystkich nowicjuszy. Nastroju przygnębienia nie złagodziło nawet otoczenie: chłodna i piękna wyżyna Sierra Madre.

Przyjaciele zameldowali się w swoim pułku w Saltillo. Natychmiast odkomenderowano ich, aby zastąpili oficerów liniowych rannych pod Monterrey. Dowódcą kompanii Orry'ego był kapitan Wilford Place, ospały zręda, który zdawał się gardzić każdym, bez względu na to, czy był jego zwierzchnikiem, czy też podwładnym. Orry zorientował się niebawem, że taka postawa jest powszechna wśród oficerów. W Armii Stanów Zjednoczonych sposób życia wyznaczały wzajemne animozje.

Oficerowie z West Point patrzyli z góry na tych, którzy nie ukończyli Akademii, zawodowi żołnierze nienawidzili niezdyscyplinowanych ochotników, czekających tylko na okazję, aby puścić z dymem dom Meksykanina, skraść mu dobytek lub zgwałcić żonę czy córkę. Rodowici Amerykanie nie ufali imigrantom i vice versa. Nawet wśród najwyższych szarż istniały antagonizmy. Od momentu rozpoczęcia wojny generał Worth wiodł spór z generałem Twiggs o to, który ma ostatnie słowo. Ten dziwaczny spór doprowadził do rozłamu w armii i wreszcie zniszczył przyjaźń Wortha i Zacha Taylora, którzy znali się od czasu wojny z 1812 roku.

Nawet w odległym Waszyngtonie nie stroniono od wykorzystywania wzajemnej nieufności. Kiedy Taylor pobił nieprzyjaciela pod Monterrey, zaproponował Meksykanom wspaniałomyślne warunki ugody. Zbyt wspaniałomyślne, jak orzekli jego oponenti, pozwolił bowiem, aby pobite wojsko wycofało się bezpiecznie za linię zawieszenia broni. Odezwały się głosy, że jako głównodowodzący powinien być bezlitośnie zniszczyć siły wroga i w ten sposób zakończyć wojnę.

Prezydent Polk wykorzystał ów fakt, by skrytykować Taylora, którego skromność i niewątpliwa odwaga czyniły niezmiernie lubianym wśród żołnierzy. Niechęć prezydenta mogła też być spowodowana stale wzrastającą popularnością Taylora w szeregach wpływowej partii wigów. Polk był w końcu lojalnym demokratą. Prezydent pragnął utworzenia na południu drugiego, niezależnego frontu, który mógłby uderzyć wprost na stolicę Meksyku. Aby osiągnąć ten cel, został zmuszony do skierowania tam drugiego generała popierającego wigów, głównodowodzącego armią Winfielda Scotta.

Do inwazji na ląd Scott użył mniej więcej dziewięciu tysięcy zawodowych żołnierzy Taylora, pozostawiając go z samymi niemal ochotnikami. Dysponując tak nikłą siłą Taylor miał stawić czoło potężnej armii meksykańskiej, która jak twierdzili zwiadowcy — właśnie kierowała się na niego. Wojskiem meksykańskim dowodził Santa Anna, samozwańczy Napoleon Zachodu. Mniej oględni wielbiciele dowódcy z powodu jego drewnianej nogi nazywali go „w trzech czwartych Nieśmiertelnym”.

Wszystkie manewry strategiczne i intrygi oznaczały dla Orry'ego tylko jedno; okazja do wzięcia udziału w walce nie nadarzy się tak szybko. Jako podkomendni Wortha on i George na początku stycznia przemaszerowali całą drogę powrotną do Santiago, aby tam umierać z nudów na plaży, podczas gdy kwatermistrzowie borykali się z opóźnieniami dostaw wszystkiego, nawet beczek z wodą pitną, przeznaczoną dla żołnierzy. Aby zabić czas, Orry pisywał sążniste listy do Madeline, ale gdy tylko kończył jeden, rwał go na strzępy i zaczynał pisać kolejny. I w ten sposób nastąpił 9 marca 1847 roku, on zaś kołysał się w łodzi nadal bez chrztu bojowego, bitwę widział jedynie oczyma wyobraźni. To oczekiwanie było z pewnością gorsze niż mogła się okazać walka.

Nagły huk działa przywołał go do rzeczywistości. W gąszczu masztów widniała jeszcze smuga dymu po wystrzale z parowca „Massachusetts”. Ochryplym z emocji głosem Orry krzyknął do Flickera:

To sygnał!

- Tak, sir, ja też tak myślę. — Tym razem i sierżant sprawiał wrażenie podekscytowanego. Orry odetchnął z ulgą, a więc nie tylko on przewidywał, że na wybrzeżu czeka ich opór przeciwnika.

Rozlegało się jakieś dziwne wycie, żołnierze w łodziach spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Szeregowiec Novotny pierwszy pośpieszył z wyjaśnieniem.

To ze statków. Marynarze i artylerzyści Tattnalla. Zagrzewiają nas do walki.

Sześćdziesiąt pięć łodzi sunęło w stronę brzegu. Wieczorne słońce odbijało się od paru tysięcy nadstawionych bagnetów. Wioślarze kierowali łodzi pomiędzy kanonierki osłony. Doniosłość chwili sprawiła, że Orry natychmiast zapomniał o chorobie i nudzie, trudach i awanturach kilku ostatnich miesięcy. Oto nastał czas prawdziwej sztuki wojennej, czas świetności w życiu żołnierza.

Długa łódź wysforowała się przed inne. Wioślarze dawali z siebie wszystko, sądzeni najwidoczniej, że powinni dotrzeć na brzeg pierwsi. Na dziobie, z dobytą szablą, stał człowiek, którego wszyscy od razu rozpoznali: ich wspinały, siwowłosy dowódca, generał Worth.

Sierżant Flicker zerwał z głowy kapelusz i wymachując nim pozdrowił generała. Orry uczynił to samo, a w ślad za nim reszta żołnierzy. Wkrótce wiwatowali wszyscy, krzycząc ochryplymi głosami.

Zanim pod łodzią zazgrzytał przybrzeżny piach, Orry dobył szabli, jeszcze chwila i wyskoczył z łodzi. Wymachując bronią, krzyknął:

— Naprzód, chłopcy! Ruszamy na dwór Montezumy w Mexi-co City!

Jego słowa zagłuszył ryk wiwatujących również na jego cześć żołnierzy.

Po tak obiecującym początku najbliższa godzina stanowiła gorzki zawód. Pułk uformował się w szeregi i z gotowymi do ataku bagnietami ruszył na pierwszą wydnię. Ale już po chwili atak załamał się, przed nimi nie było bowiem żadnego Meksykanina: ani jednego pieszego żołnierza czy dragona. Jedynym przeciwnikiem, z którym Amerykanie musieli zmagać się tego popołudnia, były pchły piaskowe i porywisty wiatr, który napętniał im oczy, nosy i usta piachem.

Przed atakiem Scott podzielił siły na trzy spore jednostki. Po wyładowaniu na brzegu dwóch pierwszych zawodowych żołnierzy Wortha oraz Drugiej Brygady generała Daveya Twig-ga — ruszyli ochotnicy. Dowództwo nad tą brygadą objął generał Patterson. Podlegały mu jednostki z Południowej Karoliny, Tennessee oraz z Pensylwanii, prowadzone przez Gideona Pillo-wa, który na niedawny awans na generała zasłużył sobie tylko jednym: przed wojną był współnikiem Polka, jego prawnikiem.

Pod wieczór armia poczęła przesuwać się na północny zachód. Brygada Wortha miała utrzymać prawą flankę, tuż obok miejsca lądowania, i tam właśnie pluton Orry'ego zaczął się okopywać. Nawet przy idealnej pogodzie wyładunek żołnierzy i sprzętu niezbędnego do przygotowania ośmiomilowej linii oblężenia musiałby zająć kilka dni. Ponieważ znajdowali się w pobliżu Vera Cruz, musieli liczyć się z możliwością ataku artylerii wroga. A miasto mogło bronić się długo, sprzyjały temu solidne fortyfikacje: dziewięć fortów obronnych od strony lądu portu broniła twierdza San Juan de Ulua.

Było już po północy, kiedy Orry wtoczył się do namiotu aprowizacyjnego. Całe jego ciało pokryte było potem, piachem i bąblami po ukąszeniach owadów. Opadł ciężko na ławę obok George'a przy niechlujnie zastawionym stole i skierował wzrok na coś o wyglądzie nieświeżego mięsa.

Dźgnął palcem suchy płat.

— Boże, ależ tu brudno!

Kapitan Place wytarł sobie twarz chustą.

— Ten stół nie jest nasz. Kiedy wyładowywali je na brzeg, pomylili się. To jeden ze stołów chirurgicznych, używanych niedawno w Monterrey. Przy amputacjach i takich tam...

Orry jęknął. Poczul, że zbiera mu się na wymioty. Otarł rękę o spodnie i w tym momencie gruchnęła salwa śmiechu. Nawet Place, pozbawiony poczucia humoru, chichotał do łez. Wkrótce

Orry dowiedział się, że był to jeden z żołnierskich dowcipów. Odetchnął z ulgą. A więc nie był już żółtodziobem, został wreszcie zaakceptowany.

Nikt nie potrafił wyjaśnić — ani tej nocy, ani w przyszłości — dlaczego meksykański komendant wojskowy w Vera Cruz nie oddał w stronę najeźdźców ani jednego strzału. Nieobecność wroga szarpała Orry'emu nerwy, kiedy o trzeciej nad ranem obchodził posterunki wartowników. Prawą dłoń trzymał tuż nad rewolwerem, który kupił za własne pieniądze, podobnie uczyniła większość oficerów. Był to model z 1842 roku, jednostrzałowy, o gładkiej lufie, wykonany przez I.N. Johnsona i powszechnie uznawany za jeden z najlepszych rewolwerów używanych w armii.

Noc była wietrzna, na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Orry znajdował się właśnie w połowie drogi między dwoma posterunkami, kiedy raptem z lewej strony, od ładu, dobiegły go jakieś dźwięki. Usłyszał przyciszone głosy, zauważył ruch. Zaszcło mu w gardle, błyskawicznie wyciągnął rewolwer.

— Kto tam?

Momentalnie zapadła cisza, zakłócana jedynie przez wycie wiatru. Zawołał jeszcze raz i nagle uświadomił sobie, że w ciemności stanowi wyraźny cel: oświetlony namiot dowództwa pułku znajdował się dokładnie za jego plecami. Czym prędzej ruszył w mrok, zaledwie jednak uczynił dwa kroki, kiedy ponownie usłyszał głosy, tym razem donośniejsze, wykrzykujące coś gniewnie po hiszpańsku.

Rozległy się trzy wystrzały. Jedna kula przeszła mu spodnie. Opadł na kolano, wycelował i strzelił. Ktoś wrzasnął przeraźliwie. Inny głos zaklął. Odgłos biegnących, oddalających się stóp. Pobliscy wartownicy wzywali uciekających do zatrzymania się. Ból stępił krótkotrwałe poczucie triumfu. Opuścił wzrok i ku swemu zdumieniu zobaczył, że kula ze strzelby nie tylko rozerwała mu spodnie, ale również łydkę.

Uspokoił wartowników i pokuśtykał do namiotu sanitarnego, odległego o pół mili. Z każdym krokiem czuł, jak but wypełnia się krwią. Ordynans zasalutował i Orry chciał odpowiedzieć tym samym, zanim jednak zdołał unieść rękę, stracił przytomność.

Rana nie była poważna i Orry czuł się już znacznie lepiej, kiedy nazajutrz odwiedził go George.

— Pierwsza rana odniesiona na polu bitwy — uśmiechnął się, chcąc dodać przyjacielowi otuchy. — Gratuluje.

Orry skrzywił się.

— Wyobrażałem sobie, że mój chrzest bojowy będzie czymś wspaniałym, dziękuję bardzo! Być trafionym przez czającego się włóczęgę to według mnie żadne bohaterstwo. Ale wydaje mi się, że załatwiłem jednego z nich.

- Oczywiście że trafiłeś. Flicker natknął się na jego ciało o wschodzie słońca.

- Żołnierz czy cywil?

- Żołnierz. Był ubrany jak wieśniak, ale ekwipunek miał wojskowy.

Orry rozchmurzył się trochę, a George przykucnął obok jego pryczy i zniżył głos do szeptu:

— Powiedz... Kiedy zaczęła się ta strzelanina, czy nie obleciał cię strach?

Orry potrząsnął głową.

— Nie było czasu, żeby się bać. Ale w chwilę później, kiedy było już po wszystkim... — urwał na moment. — Mówię ci, zacząłem przeżywać to wszystko jeszcze raz, każdy szczegół.

1 wtedy zacząłem się bać.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że odkrył coś bardzo istotnego, jeśli chodzi o odczucia ludzi na wojnie.

Kilka nocy później George przysunął się bliżej do słabo oświetlającej wnętrze namiotu lampy. Między palcami niezdecydowanie obracał ołówek. Zamierzał właśnie napisać jeden z tych swoich długich listów do Constance, które wysyłał co trzy dni. Kochał ją tak bardzo, że pragnął dzielić z nią tyle własnych doświadczeń, ile tylko było możliwe.

A jednak o kilku najgłębszych uczuciach starał się nie pisać. Jego tęsknota, chęć przebywania z ukochaną, wywoływała gwałtowną nienawiść do wojny, to zaś wykraczało poza postawę biernej akceptacji, która cechowała go, zanim znalazł się w Corpus Christi.

Zastanawiając się, o czym ma być list, poczuł raptem swędzenie na karku. Błyskawicznie klepnął się dłonią, zabijając owada i z grymasem odrazą otarł palce o kant pryczy. Potem zaczął pisać.

Co wieczór dobrze ukryci snajperzy ostrzeliwują nas przez kilka minut, ale dziś było cicho. Zaczynam wierzyć, że naszym prawdziwym wrogiem jest ten kraj. Ciągle więcej eh... — wydrapał nożem dwie ostatnie litery, chciał już napisać „cholernie” —... silny wiatr, oczy i ciała mamy oblepione piachem. Oczywiście możemy chronić się w namiotach, nie gwarantuję to jednak spokoju ani dobrego snu, gdyż my, Amerykanie, musimy jeszcze walczyć z inną armią, o której nasi dowódcy nie raczyli przedtem wspomnieć. Chodzi mi o armię pcheł i kleszczy, od których roi się całe wybrzeże.

Mały McClellan, jeden z moich kolegów z West Point, który

szły w oddziale zwiadowców, wynalazł metodę obrony przed tymi piekielnymi istotami. Co wieczór smaruje się od stóp do głów mocno osolonym tłuszczem i — w tak wstrętny sposób „zabezpieczony” — wsuwa się do śpiwora, który następnie podciąga aż po szyję i zamyka szczelnie. Twierdzi, że to funkcjonuje wspaniale, ale mnie robactwo nie dopiekło jeszcze na tyle, abym miał się chwycić tak drastycznych środków...

Zerwał się z miejsca na odgłos wystrzału. Ktoś krzyknął, rozległy się gorączkowe wołania, noc wypełniła się zgiełkiem. George rzucił list na posłanie. Gdy wybiegł z namiotu, dostrzegł leżącego nie opodal wartownika, który padł od kuli snajpera.

Wartownik, mniej więcej w wieku George'a, leżał na boku, górną część jego twarzy oświetlał blask lampy. Jedno oko, które George widział, było otwarte i nieruchomo wpatrzone w przestrzeń. Kula ugodziła żołnierza w plecy.

Sierżant zajął się zwłokami. Wartownik należał do innej kompanii, George go nie znał. Wstrząśnięty wrócił do namiotu i wziął z powrotem list. Nie zamierzał wspominać Constance o zabijaniu. Napisał jeszcze kilka słów, ale niebawem przerwał. Twarz zabitego nie dawała mu spokoju, podobnie jak wspomnienie niedawnej przygody Orry'ego, który zaledwie o włos uniknął nieszczęścia. Upłynęło kilka minut, zanim ręka przestała dygotać, on zaś mógł znowu chwycić za ołówek.

Porywy północnego wiatru opóźniały wyładunek artylerzystów Scotta, amunicji i jucznych zwierząt. Aż do 22 marca pod Vera Cruz nie oddano ani jednego wystrzału, tego wieczoru działa odezwały się po raz pierwszy. Scott zamierzał zdobyć miasto dzięki — jak to określił — „cierpliwemu, naukowemu ostrzeliwaniu”. Podczas bombardowania Meksykanie pozostawali w ukryciu. Żołnierze amerykańscy niecierpliwie wypatrywali przeciwnika. W dzień dręczył ich nieznośny upał, w nocy nie pozwalała zasnąć rewanzowy ogień meksykańskiej artylerii, której zasięg nie obejmował wprawdzie linii wojsk amerykańskich, dokuczał jednak piekielny hałas. Orry, który wrócił już do służby, ustawicznie musiał łagodzić spory w oddziale i karać niezdyscyplinowanych.

Na każdym kroku on i George spotykali znajomych z Akademii. Na początku wojny w armii służyło pięciuset absolwentów West Point, mniej więcej taką samą liczbę oficerów powołano z cywila, aby objęli dowództwo nad oddziałami ochotników. Tom Jackson, który z każdym dniem zdawał się być coraz bardziej surowy i zamknięty w sobie, był w artylerii, Pickett, Bee i Sam Grant w piechocie. Innych absolwentów Akademii Orry i George

znali słabo, niektórych jedynie ze słyszenia, ale sam fakt, że w ich otoczeniu znajdowało się tylu oficerów z macierzystej uczelni, dawał im poczucie bezpieczeństwa.

24 marca wojska zostały wsparte przez sześć dział okrętowych dużego zasięgu admirała Matthewa Perry. Tego samego dnia Orry i kapitan Place zostali wezwani do kwatery głównej brygady, aby wyjaśnić przyczyny bójki na noże, która miała miejsce w ich plutonie. Szczegółowego śledztwa nie przeprowadzono, gdyż wszyscy byli w wybornych nastrojach; zwiadowcy właśnie donieśli, że bombardowanie miasta wyrządziło w murach obronnych poważne szkody.

— Działa Perry'ego uratowały nam skórę — warknął Place, kiedy opuścili wreszcie namiot dowództwa. Chyba jesteśmy mu winni wdzięczność, chociaż tak bardzo gdał o prawach marynarki... — Scott musiał zezwolić kanonierom okrętowym na obsługiwanie sześciu dział dalekiego zasięgu. Orry uświadomił sobie, że w armii nie ma sposobu na oficerów zazdrosnych o...

— Poruczniku Main...Main!

— Tak jest, sir'. — Orry machinalnie uniósł dłoń do czapki, obracając się zarazem w stronę wołającego, którego głosu nie rozpoznał. I raptem zdrętwiał.

Elkanah Bent zasalutował mu w sposób niedbały, niemal ironiczny. Pogardliwie zerknął na furazerkę Orry'ego. On sam miał na głowie bardziej przepisowy kapelusz, inspirowany modą francuską.

Tak też myślałem, że to pan - powiedział. Otrzymałem meldunek, że pan tu jest. Tak samo jak pański przyjaciel. Hazard.

To że Bent pamięta nazwisko George'a, Orry uznał za niedobry znak. Ale z drugiej strony nie należało się dziwić: przecież przyrzekł, że ich nie zapomni. Postanowił zachować obojętność.

— Dobrze pan wygląda, kapitanie.

— Biorąc pod uwagę wszystkie akcje, w których wziąłem udział w ciągu ostatniego roku, czuję się nadzwyczaj dobrze. Poinformowano mnie, że jest pan jednym z nielicznych rannych po naszej stronie. Jakiś ukryty strzelec wziął pana na cel, czy tak?

— Tak jest, sir. Tego wieczoru, kiedy wylądowaliśmy. Ale rana nie była poważna.

— Cieszy mnie to. — Wyraz jego twarzy zdradzał coś wręcz przeciwnego. Cóż, poruczniku, jestem przekonany, że spotkamy się jeszcze nie raz. A wtedy może powspominamy chwile spędzone razem w West Point.

Kapitan Place zmarszczył brwi. Wyczuł nieokreślone napię-

cie, ale tylko Orry pojął sens uwagi Benta. Ciarki przeszły mu po plecach, kiedy odprowadzał kapitana wzrokiem. Ten odszedł bez pośpiechu, dumnym gestem wspierając dłoń na rękojeści szabli. Był krepy jak niegdyś, i tak samo niebezpieczny.

— Był pan razem z tym draniem w West Point? — zapytał Place.

Orry skinął głową.

— Tak, on był w starszej klasie. Odbył pan z nim służbę?

— Nie, dzięki Bogu. Ale chyba wszyscy słyszeli już o Bencie z III Pułku Piechoty. Jego dowódca, pułkownik Hitchcock, nie kryje pogardy dla niego. Twierdzi, że Bent cierpi na nie kontrolowany przerost ambicji i jest zdecydowany wspinać się coraz wyżej. Nawet po ciałach swych ofiar, o ile nie będzie mógł inaczej. Niech pan się cieszy, że nie ma pan z nim już nic do czynienia.

W tym rzecz, że mam — pomyślał Orry.

Artyleria Perry'ego skruszyła opór obleżonych w Vera Cruz. 29 marca garnizon meksykański przyjął warunki kapitulacji podyktowane przez generała Scotta, opuścił flagi i wyszedł z miasta przez Bramę Miłosierdzia. W chwilę później, gdy działa amerykańskie na wybrzeżu i statkach grzmiały na wiwat, w mieście załopotwały gwiazdziste sztandary Unii.

Zwycięstwo kosztowało życie niespełna stu amerykańskich żołnierzy. Olbrzymim szokiem dla Orry'ego i George'a była informacja, że politycy oraz część opinii publicznej jest niezadowolona z powodu znikomych strat.

— Wagę zwycięstwa oceniają na podstawie wielkości rzezi — skomentował George. — A potem dziwią się, że nie ma chętnych do służby wojskowej.

Scott był zadowolony z przebiegu działań wojennych. Do zaskakującego triumfu Taylora pod Buena Vista w lutym doszło teraz zdobycie Vera Cruz. Scott raz jeszcze zreorganizował armię, przygotowując ją do marszu na stolicę. 8 kwietnia dywizja Twiggsa wyruszyła w głąb lądu. Nazajutrz w ślad za nią udała się dywizja Pattersona. Oddziały generała Wortha stały w pogotowiu, aby w razie potrzeby udzielić im wsparcia, kiedy rozeszła się wieść, że Santa Anna, ponownie wybrany na prezydenta, zajął pozycję pod Jalapa, przy głównej drodze do Mexico City. 11 i 12 kwietnia oddziały Twiggsa starły się ze zwiadowcami i lansjerami nieprzyjaciela, a pod Vera Cruz bębny i trąbki poczęły nawoływać żołnierzy Wortha do forsownego marszu w kierunku Plan del Rio, aby połączyć się z resztą armii.

W ciągu kilku pierwszych godzin marszu upał zmógł wielu żołnierzy, którzy padli na skraju drogi. Również Orry trzymał się ostatkiem sił. Zignorował jednak rozkazy przełożonych i został

w tyle. Chciał pomóc podnieść się żołnierzowi, który miał zadatki na dobrego podoficera. Zanim jednak otrzyma nominację, będzie musiał zwalczyć zabójczy klimat, choroby, meksykańskie kule i tęsknotę za rodzinnym Brooklynem. Wystarczyło dwadzieścia minut, aby żołnierz pomaszerował dalej sam.

O zmierzchu czterej ludzie z plutonu Orry'ego mieli biegunkę. Nie lepiej wiodło się wielu innym w kolumnie. Rowy ciągnące się wzdłuż drogi cuchnęły i roily się od zielonych much. Obawiali się nie tylko grożącej im dyzenterii. Już od tygodni oficerowie trapiли się perspektywą epidemii żółtej febry, której sezon właśnie nadchodził i która co roku dziesiątkowała mieszkańców nizinnego wybrzeża. Z tego powodu Scott chciał przeprowadzić swoich żołnierzy na wyżej położone tereny, alarm Twiggsa był mu więc na rękę.

Kiedy jeden z kaprali zaczął uskarżać się na tempo marszu i długość wyznaczonej trasy — wynosiła ona niemal sześćdziesiąt mil — Orry odparł:

— Kiedy tylko dotrzemy do generała Twiggsa, poczuje się pan lepiej.

— Lepiej? Przecież tam będę się musiał wystrzegać kul meksów! Z całym szacurikiem dla pana porucznika, nie wierzę w to.

— Ale to prawda. Jest bardziej prawdopodobne, że uniknie pan kuli, niż że ochroni się pan przed vomito.

Tej samej nocy Orry zauważył, że dym z ogniska pnie się pionowo w górę, w czyste, wolne od oparów powietrze. Robiło się chłodniej. Znajdowali się już ponad równiną, której wilgotny klimat przywodził mu na myśl rodzinny dom. Zwrócił uwagę kaprala na tę zmianę, ale ten nadal nie dawał się przekonać.

Zjawił się sierżant Flicker meldując, że rozstawił wartowników zgodnie z rozkazem Orry'ego. Przykucnął przy ognisku, wziął kawałek ciasta i zaczął wydłubywać z niego wolki. Nie przestawał przy tym mówić. Otóż zaobserwował, że większość żołnierzy aż się rwie do wielkiej rozprawy z Meksykanami; wędrówka ciągnęła się już zbyt długo. Potem dodał:

— A przy okazji, sir. Nie miałem dotąd okazji, by zapytać. Czy zbliżył się pan do którejś z tych senioritas w Vera Cruz?

Jego tupet zaskoczył Orry'ego. Widocznie Flicker sądził, że długoletnia służba daje mu prawo do poufałości z oficerami.

— Nie, sierżancie — odparł. — W domu zostawiłem dziewczynę. — To kłamstwo było najwygodniejsze, jakkolwiek sprawiało ból.

— Aha — mruknął Flicker, ale wyraz jego twarzy mówił, że nie ma najmniejszego pojęcia, czemu jedno miałyby wykluczać drugie. — Niektóre damy są bardzo miłe. Tylko że miałem pecha wejść do takiego domu tej samej nocy, kiedy jeden kapitan

z Trzeciego Regimentu obszedł się brutalnie z dziewczyną, której przedtem zapłacił. Krzyczała jak diabli, a szefowa tych dziewczek omal nie zamknęła całego interesu.

— Z trzeciego, powiada pan? A jak się nazywał ten kapitan?

— Bent.

Niemal szeptem powiedział:

— Słyszałem już o nim.

— Jasne, kto by o nim nie słyszał? Nazywają go „Rzeźnik Bent”. To, co zrobił w Monterrey, to skandal.

— Nic o tym nie wiem.

— Był pan tam jesienią, prawda? A więc pamięta pan chyba układ fortyfikacji po wschodniej stronie: Fort Black przy głównej drodze i redutę? No, więc Bent był w kolumnie Garlanda, która atakowała Fort Black. Ōgień był dosyć ostry. Kiedy kolumna rozpoczęła odwrót, ostrzał z tej cholernej reduty prawie zdmuchnął całą lewą flankę. Ludzie wzięli nogi za pas, chcieli skryć się w bocznych uliczkach. Ale tam też nie było bezpiecznie. Wydawało się, że meksy strzelają z każdego okna, z każdego drzewa. Wystarczyło kilka minut, żeby wszystko dokoła stanęło na głowie. Jedynym wyjściem było wycofanie się na inne ulice, gdzie kryło się mniej tych łajdaków. Tylko w ten sposób Bent i cała reszta wydostaliby się spod ostrzału. Ale Rzeźnik Bent wcale nie miał zamiaru ratować kogokolwiek. Przede wszystkim chciał zostać bohaterem i zdobyć redutę. Wysłał pluton do ataku.

— I zdobył ją?

— Gdzież tam! To było nie do zrobienia. Bent utracił ponad połowę plutonu. Słyszałem potem, że znaleziono dwóch jego żołnierzy z dziurami po kulach w plecach.

— Chce pan powiedzieć, że zostali trafieni, kiedy wycofywali się spod reduty?

— Zostali trafieni, kiedy uciekali przed kapitanem Bentem.

— Wielki Boże! Dlaczego nikt nie złożył na niego raportu?

— Poruczniku, to lizodup. A w tej naszej armii jest kilku durniów, i to bardzo wysoko postawionych, dla których liczy się tylko cholerny wynik, a nie, w jaki sposób się do niego doszło. A zresztą powiadają, że Bent ma całą masę przyjaciół w Waszyngtonie.

Orry mógł potwierdzić tę informację, milczał jednak.

— Nikt nie wie na pewno, że to on zabił tamtych dwóch — mówił dalej Flicker. •-- To znaczy, nikt nie może tego udowodnić. Ale sam słyszałem, jak Bent groził sądem wojennym każdemu, kto by zaczął rozpytywać o tamtą akcję. To chyba panu coś mówi, prawda?

Orry skinął głową.

— A więc jego żołnierze nie opowiadają o nim?

— I mają, do diabła, rację. Za bardzo się boją. Bóg jedyny wie,

ilu jeszcze wyśle na śmierć, zanim dosięgnie go kara albo zanim wybiorą go na prezydenta, co jest bardzo prawdopodobne... Chryste, czy nie mogliby dawać nam coś porządnego do jedzenia! -- Pochylił się i wypluł w płomień wijącego się jeszcze wołka.

Nieco później Orry wypatrzył na skraju drogi kompanię George'a. Powtórzył przyjacielowi wszystko, co usłyszał od Flickera.

— Wierzę, że tak było naprawdę — oświadczył George.

Ostrożnie przycisnął kamieniem kartkę papieru, na której pisał coś ołówkiem. Pod nią leżało już osiem czy dziesięć innych.

Jeszcze jeden list do Teksasu pomyślał Orry.

Coś ci powiem, Tyczko kontynuował George. Gdyby dobry Bóg zwrócił się kiedyś przeciw mnie i oddał pod komendę Benta, to myślę, że raczej odebrałbym sobie życie, niż zgłosił się do odbycia służby. Aha, przy okazji... dowiedziałem się właśnie, że w naszej artylerii w Vera Cruz jest broń sporządzona w Cold Spring. Jego myśli zaprzętnęła fascynująca go sprawa udziału w tej wojnie hutnictwa.

Owej nocy Orry miał kłopoty z zaśnięciem. Trapiły go słowa Flickera, a przede wszystkim wspomnienie oczu Benta.

Wieczorem, niedaleko Cerro Gordo, George wypił jedną trzecią butelki meksykańskiego wina, przeschmuglowanego przez dowódcę jego kompanii, absolwenta West Point, Enosa Hoctora. George nie przepadał za nim. Kapitan Hoctor był zbyt poważny i skory do zamartwiania się opinią o West Point. George nie podzielał jego troski o Akademię, z przyjemnością jednak przyjął ofertę wspólnego wypicia wina. Najchętniej zaprosiłby Orry'ego, ale przyjaciel wołał kolejny raz przeczytać *Taktykę piechoty* Scotta. Biedny Orry, jakże tęsknił do prawdziwej bitwy! Co do George'a, byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł nigdy nie usłyszeć świstu kuli wroga.

Amerykanie, aby kontynuować marsz na Mexico City, musieli zdobyć wszystkie fortyfikacje, znajdujące się przy głównej drodze, w pobliżu Cerro Gordo. Na Telegrafo, ufortyfikowanym szczycie wysokości około sześciuset stóp, czekała meksykańska artyleria. W zasięgu jej dział był wawóz, przez który wiodła droga na zachód od obozu amerykańskiego pod Plan del Rio do Cerro Gordo.

Działa nieprzyjaciela znajdowały się również na wzgórzu Atalaya. Kapitan Robert Lee z wojsk inżynierskich odkrył szlak mułów wiodący wokół północnej flanki wzgórza na szczyt. Otrzymał zasłużoną pochwałę, gdyż 17 kwietnia, przed południem, amerykańscy snajperzy tą ścieżką dotarli pod szczyt. Po

trzecim ataku zdołali wyprzeć nieprzyjaciela z Atayala. Na górę wtoczono działo, które rozpoczęło ostrzał Telegrafio.

Nazajutrz planowano główne natarcie; oddziały Twiggsa miały przedrzeć się przez wzgórze i zaatakować nieprzyjaciela od flanki. Dywizja Wortha, w której znajdowali się Orry i George, otrzymała rozkaz wymarszu, zatrzymano ją jednak na głównej drodze na wypadek, gdyby Twiggs potrzebował wsparcia. George zaczął podejrzewać, że Orry'ego czeka kolejne rozczarowanie; nie można było wykluczyć, że ich dywizja w ogóle nie weźmie udziału w walce.

Po wypiciu wina Hootora George zapadł w głęboki sen, obudził się jednak na długo przed wschodem słońca, kiedy rozpetał się pojedynek artyleryjski. Z miejsca gdzie on i jego ludzie czekali na rozkazy, widział jedynie dym i czerwoną poświatę. Zagrzmiały strzelby, słychać było bębny i trąbki, raz po raz docierały okrzyki bólu. Żołnierze przerwali pogaduszki, w milczeniu wymieniali posępne spojrzenia.

George już od dawna przestał liczyć na to, że pozna strategię bitew, w których brał udział. Był tylko porucznikiem liniowym, drobnym trybem w olbrzymiej maszynie. Poza tym wyznaczył sobie dwa cele: wykonywać zadania jak należy i przetrwać. Pod tym względem różnił się od Orry'ego- Strategia wojenna fascynowała Południowca, na jej znajomości bowiem opierała się kariera oficerska. W tej chwili Orry znajdował się ze swym plutonem nieco bardziej w przodzie i George miał nadzieję, że jego przyjaciel zrozumie coś z ogólnego planu działania. Może dzięki temu zdoła przeboleć fakt, że znowu nie uczestniczy w bitwie.

Walki trwały nieco ponad trzy godziny. O wpół do dziesiątej odezwały się bębny i trąbki, a żołnierze Wortha, jak zwykle przed wymarszem, poczęli nerwowo raczyć się żarcikami. Okazało się, że czeka ich pościg za pobitą armią meksykańską.

Przed bitwą Santa Anna złożył publicznie ślubowanie, że pod Cerro Gordo odniesie zwycięstwo albo zginie. Ale Napoleon Zachodu najwidoczniej cenił sobie bardziej życie niż obietnice. Kiedy klęska była nieuchronna, Santa Anna — jak dowiedział się potem George — odciął konia z zaprzęgu swojej prezydenckiej karety i odjechał galopem, znikając niebawem w gąszczu zarośli.

Po obu stronach drogi leżały wzdęte od upału ciała zabitych żołnierzy. W większości byli to Meksykanie, ale wśród nich znajdowało się wielu poległych amerykańskich dragonów. Odór rozkładających się zwłok przyprawiał George'a o mdłości. Przy najbliższym wykopie zwymiotował. Zastanawiał się, czy w tej chwili Orry myśli o wspaniałości wojny.

Martwe konie, przewrócone wozy amunicyjne i inne ślady odwrotu armii meksykańskiej utrudniały dostęp do przełęczy La

Joya. Dwie mile dalej, gdzieś ze skalistego występu nad północną stroną drogi, raptem zagrzecotały muszkiety.

— Kryć się! — krzyknął George, dobywając pistoletu i szabli.

Rozkaz był zbyt cenny, jego żołnierze rozpięchli się już na prawo i lewo, kryjąc się w rowach. George również ułożył się na skraju drogi. Tylko dwóm jego podkomendnym nie udało się umknąć przed kulami.

George dostrzegł, że jeden żołnierz jeszcze się rusza. Zamrugał kilkakrotnie, starając się dostrzec coś w kłębach białego dymu, który nadpływał od wzgórza. Odchrząknął dwukrotnie i zaczął człogać się w kierunku rannego.

Poruczniku, cofnąć się! — usłyszał z lewej strony krzyk kapitana Hoctora. Znajdował się już w połowie drogi do kaprała, którego po chwili pod gradem kul odciągnął na bok.

Ułożył rannego w rowie i skrył się obok niego. Jakieś amerykańskie działo otworzyło ogień, ostrzeliwując niewidocznych snajperów. Po trzeciej salwie strzały z muszkietów ustały, słychać było jedynie jęki i krzyki.

Niepotrzebnie się pan odsłonił warknął do niego Hoctor, kiedy noszowi zabrali rannego. — Pańskim obowiązkiem jest być obok swych żołnierzy.

Bardzo mi przykro, sir — odparował George. Byłem przekonany, że właśnie wykonuję swój obowiązek.

Co za nieczuły sukinsyn pomyślał. Nie obchodzi go tamten żołnierz ani to, że martwiałem ze strachu. Jeśli West Point produkowało więcej takich absolwentów jak ten kapitan, to opinia o tej uczelni jest w pełni usprawiedliwiona.

Wieczorem kazał osiodłać konia i pojechał do szpitala polowego, aby odwiedzić rannego kaprała. Podoficer czuł się już dobrze i wyglądało na to, że niebawem stanie na nogi. Tuż obok niego leżał rudobrody sierżant, którego tułów owinięty był pokrwawionym bandażem. Miał obrażenia wewnętrzne lub rany brzucha, najgorsze ze wszystkich. George słyszał, jak skarży się ordynansowi, wymieniając nazwisko Benta.

— Przepraszam — przerwał mu czy ma pan na myśli kapitana Elkanaha Benta?

Podoficer, z gniewnym błyskiem w oku, szepnął z trudem:

— Czy to pański przyjaciel, sir?

— Wręcz przeciwnie. Gardzę tym łajdakiem.

Sierżant podrapał się po brodzie. Milczał przez chwilę, zaskoczony albo nieufny. Wreszcie doszedł do przekonania, że kontynuowanie rozmowy o oficerze nie jest niebezpieczne.

— Skąd pan zna Rzeźnika Benta?

— Uczyliśmy się razem w West Point. Musiałem się przyglądać, jak znęcał się nad młodszymi kadetami. A co pan mówił o nim? Czy nie żyje?

— To by było zbyt piękne. Przez niego straciłem najlepszego wywiadowcę plutonu, jakiego kiedykolwiek miałem. Wysłał porucznika Cumminsa, aby zaatakował redutę na Telegrafo, której nie mogła zdobyć brygada. Oczywiście sam krył się za plecami innych, jak zawsze. Jakiś zabłąkany pocisk naszej artylerii z Atalaya rozerwał na strzępy porucznika i jego ludzi, a do tego mnóstwo Meksykanów. A ten rzeźnik poprowadził resztę naszych przez dym i rozkazał nam przez dziesięć minut siekać szablami Meksów. Tych martwych.

— Jezu Chryste! — jęknął George. Niemal widział teraz okrągłą, woskową twarz Benta, który przygląda się widowisku. Był pewien, że kapitan uśmiechał się przez cały czas.

Oczy rannego pałały.

— To co zostało z Cumminsa włożono w brezentowy wór. A chyba pan wie, kto zostanie odznaczony.

— Niech mi pan powie, sierżancie. Jeżeli Cummins wiedział, że ten atak to szaleństwo...

— Jasne. My wszyscy wiedzieliśmy.

— A więc pytam: czy zakwestionował rozkaz?

— Nie, to nie była pora na sprzeczkę.

— A inni? Czy inni próbowali zakwestionować ten rozkaz?

— Sierżant. To twardy... to był twardy facet. Miał dwadzieścia lat. Nie przejmował się zbyt dużo oficerami, zwłaszcza tymi z Akademii. Odchrząknął zakłopotany, zbyt późno zorientował się, że popełnił gafę. — Nie chciałem pana urazić, sir.

— Nie uraził pan. Dalej.

— No więc, ten sierżant nie owijał niczego w bawełnę, wygarnął prosto z mostu; że według niego posyłanie ludzi na redutę to właściwie morderstwo.

— I jak na to zareagował Bent?

— Kazał sierżantowi dołączyć do oddziału szturmowego.

— A Cummins nadal milczał?

— Bo to był zdyscyplinowany oficer. I myślę, że nie chciał dostać w plecy z pistoletu Benta. Pod Monterrey...

— Tak, wiem już, co było pod Monterrey. Coś mi się zdaje, że jeśli Bent nie zaprzestanie tych wyczynów, również może zginąć od kulki. Zastrzelą go jego żołnierze.

W słabym głosie rannego raptem zabrzmiała stanowcza nuta.

— Chyba że ja dostanę go pierwszy.

— Dostanie pan? Jak?

— Gdy tylko stanę na nogi, pójdę do sztabu dywizji i opowiem wszystko. Jeżeli w tej cholerniej armii pozostało choć trochę sprawiedliwości, tego Rzeźnika Benta czeka sąd i degradacja.

— Ma pan zamiar oskarżyć Benta o wykroczenie?

— Na pewno... — zakasłał znowu najwidoczniej odczuwał silny ból. — Niech mnie diabli, jeśli tego nie zrobię.

- Ale jeżeli tylko pan złoży oskarżenie...
- Znajdę się w ślepej uliczce, to pan chciał powiedzieć, prawda? — George przytaknął ruchem głowy. — Niech pan idzie spokojny, nie jestem sam. Są świadkowie, żołnierze plutonu. Pół tuzina, może więcej.
- I każdy z nich zgodzi się złożyć zeznanie?
- Wszyscy byli przy tym, tak mi powiedzieli.
- Są wśród nich oficerowie?
- Nie, sir.
- To niedobrze. Zeznanie oficera przydałoby wagi oskarżeniu. — Dopiero kiedy to powiedział, zauważył błysk w oczach innego.
- Tak, to prawda, sir. A pan? Może pan by nam pomógł? Czy zezna pan przed sądem wszystko, co wie o Bencie? Jak sądzę, ma pana nim jak najgorsze zdanie.
- Tak istotnie jest, ale...
- On musi zostać ukarany. Ktoś musi stanąć mu na drodze, proszę nam pomóc, sir. Proszę.
- George odetchnął głęboko. Był niemal zaskoczony, kiedy słyszał własne słowa:
- W porządku, zrobię, co tylko będzie możliwe.

Jeszcze tego samego wieczoru George odszukał pluton Orry'ego. Wziął przyjaciela na bok i powtórzył mu treść rozmowy z rudobrodym sierżantem, którego nazwisko poznał dopiero przy pożegnaniu: Lennard Arnesen.

Kiedy skończył, Orry pokiwał głową. George najeżył się. Nie wierzysz w to, co opowiedział Arnesen? Jasne, że wierzę. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego ty chcesz się wpakować w coś takiego.

George przykucnął i podrapał się w prawą nogę. Wyczuł palcem kleszcza i oderwał go gwałtownie.

— Ja sam nie mogę tego pojąć. Hazard, ten specjalista od zajmowania się tylko własnymi sprawami, chciał początkowo puścić Arnesena w biedzie. Ale potem przypomniało mi się, co ten lajdak wyczyniał w West Point, i pomyślałem sobie: Jeśli nasi żołnierze naprawdę muszą umierać, to niech giną z rąk Meksykanów, a nie amerykańskich oficerów.

— Zaczynasz upodabniać się do mnie. Właśnie niedawno oświadczyłem kilku podoficerom, że moim zdaniem dowództwo powinno odwołać Pillowa. Słyszałeś już, jak dziś rano spartaczył swoje zadanie? Nie.

— Rozmyślnie zajął niewłaściwą pozycję na lewej flance. W rezultacie jego żołnierze dostali się pod ogień trzech nieprzyja-

cielskich baterii zamiast jednej. Na domiar złego zaczął wykrzykiwać rozkazy tak głośno, że Meksykanie zorientowali się dokładnie, gdzie jest. I wtedy otworzyli morderczy ogień.

George parsknął wzgardliwie.

— A czego się spodziewał po tym karierowiczu? Tylko że w sprawie Pillowa jestem bezsilny, a co do Benta, no... to już coś innego.

— Co zamierzasz?

— Najpierw porozmawiam z kapitanem. Powiem mu, że poprę oskarżenie, które wniesie Arnesen. Nie mogę zeznawać na temat wydarzeń, które miały miejsce w plutonie Arnesena, ale niech mnie diabli, jeśli nie zeznam prawdy o charakterze Benta i jego przeszłości. Jak powiedział ten sierżant: Jeśli w tej armii istnieje jeszcze coś takiego jak sprawiedliwość, dowództwo dywizji wyda odpowiednie orzeczenie. Oczywiście... — tu spojrzął ostro na przyjaciela — ... zeznania dwóch oficerów byłyby bardziej wiarygodne niż jednego.

Miałem właśnie wrażenie, że poprosisz mnie, abym poszedł z tobą.

— Zrobisz to?

Bez chwili wahania Orry odparł:

— Tak. — Ziewnął i dodał: — Ale nie teraz. Z samego rana.

— Jestem zaszokowany — oświadczył kapitan Hocter.

— Nie, to za mało powiedziane. Jestem przerażony.

George zerknął na Orry'ego, zadowolony z reakcji dowódcy na jego otwarte słowa.

— Jestem zbudowany tym, że tak pan uważa, sir — zaczął.

— Postawa Benta jest naprawdę...

— Nie miałem na myśli postawy kapitana Benta. Chodziło mi o pańską postawę. Szczerze mówiąc, nie mogę uwierzyć, by jeden absolwent Akademii mógł kwestionować umiejętności, motyw i przydatność drugiego. A poza tym, czy nikt wam, panowie, nie mówił nigdy, że od dowódcy oczekuje się, że wyśle swoich żołnierzy na pozycję wroga bez względu na siłę oporu, bez względu na okoliczności?

Przez chwilę George czuł zamęt w głowie.

— Tak jest, sir, oczywiście. I na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że kapitan Bent stosował się po prostu do tych oczekiwań. Ale są jeszcze inne aspekty tej sprawy. Problem jego charakteru, jego...

— Jego postawy w przeszłości — wtrącił Orry. — Czy oskarżenie nie powinno być przeanalizowane również pod tym kątem, sir?

Spojrzenie Hoctora było druzgoczące.

— Nigdy jeszcze nie miałem okazji przeczytać odnośnych przepisów, poruczniku. Mój pogląd na tę sprawę jest jasny. Nie mogę wprost pojąć, panowie, że mielibyście przyczynić się do wniesienia tak odrażającego oskarżenia, zwłaszcza kiedy reputacja Akademii, a może nawet jej istnienie, uzależnione są od opinii o jej absolwentach całego społeczeństwa i Kongresu.

Z widocznym wysiłkiem George zapytał:

— Sir, z całym szacunkiem, czy mogę zapytać, co wspólnego z tym wszystkim ma Akademia? Sierżant Arnesen przysięgnie, że kapitan Bent o mało nie popełnił morderstwa. Podoficer w plutonie Benta zakwestionował rozkaz i za to Bent wysłał go na pewną śmierć. Sierżant ma na to świadków, którzy są gotowi złożyć zeznania potwierdzające wszelkie...

— Poruczniku, powtarza się pan. — Głos kapitana był ostry jak brzytwa.

— Przepraszam, sir, zapomniałem. — George wsunął palce za kołnierz, jakby się dusił. — Ale jestem przekonany, że sprawa kwalifikuje się do rozprawy sądowej, wina kapitana Benta jest bowiem ewidentna. Porucznik Main i ja jesteśmy gotowi dostarczyć wszelkich brakujących informacji. A jest jeszcze dużo do ujawnienia. Gdyby wysłuchał pan, co zdarzyło się pod Monterrey...

— Oczywiście. Dzielni oficerowie zawsze byli celem niewybrednych ataków ze strony oficerów mniej walecznych. — Mina Hoctora zdawała się mówić, że do tej drugiej grupy należy George.

— Za pozwoleniem, sir — odezwał się znowu Orry. — Wydaje mi się, że należy odróżnić tu dwie sprawy. Pozwoli pan, że posłużę się przykładem kapitana Lee z oddziału inżynieryjnego. Nie słyszałem nigdy, aby jakikolwiek oficer czy żołnierz podawał w wątpliwość jego odwagę. Ale on udowodnił swoje męstwo pod Cerro Gordo osobistym udziałem w walce, nie zaś wysyłaniem żołnierzy na pewną śmierć. Natomiast Bent...

— Wystarczy! — przerwał mu Hoctor. Wyłożyliście już panowie swój punkt widzenia. A teraz chciałbym ja zadać pewne pytanie. — W jego głosie zabrzmiała nuta groźby. — Czy istotnie macie zamiar nadać tej sprawie tok formalny?

George nie mrugnął nawet okiem.

— Tak jest, sir.

Podobnej odpowiedzi udzielił Orry.

— Spodziewam się, sir — dodał George — że kiedy sporządzą formalny raport dla dowództwa, pan, po zapoznaniu się z nim, przekaże go dalej.

Oczy kapitana płonęły groźnie, głos był ledwo słyszalny,

— Wbrew osądowi, który zdołałem wyczytać z pańskich słów i zachowania, poruczniku, jestem człowiekiem honoru.

— Sir, nie miałem wcale na myśli...

— Proszę pozwolić mi skończyć. Oczywiście nie przytrzymam pańskiego raportu w kieszeni ani go nie wyrzucę. Byłoby to sprzeczne z moim poczuciem obowiązku. Ale to nie znaczy, że aprobuję pańską postawę. Budzi ona we mnie wstręt. A teraz, jeśli już wyjaśniliśmy to sobie, niech pan się wynosi.

Z poczuciem odniesionego zwycięstwa, nawet jeśli wiązało się ono z olbrzymim ryzykiem, George udał się do szpitala polowego, aby poinformować o wszystkim sierżanta Arnesena. Kiedy podszedł do jego pryczy, stanął jak wryty na miejscu rudobrodego sierżanta leżał jasnowłosy żołnierz, młody, z rzadkim zarostem na twarzy.

George poczuł skurcz w żołądku. Obrócił się na pięcie i począł gorączkowo przeszukiwać wzrokiem wszystkie kąty mrocznego pomieszczenia, z których rozlegały się jęki rannych. W tej samej chwili nadbiegł sanitariusz, w rękę trzymał cuchnący basen.

— Sierżant Arnesen? Wczoraj wieczorem umarł na stole operacyjnym. Tak to się przeważnie kończy, kiedy trafiają pod nóż chirurga.

Jasnowłosy żołnierz przyglądał im się zamglonym wzrokiem, jakby się czemuś dziwił. Sanitariusz pobiegł dalej. George stał bez ruchu, a w głowie kołatała mu myśl:

Nawet nie zdążył mi podać nazwisk świadków!

Bez przekonania George wrócił do kapitana Hoctora, aby poinformować go o rozwoju wypadków i oświadczyć, że mimo wszystko *zamierza* przygotować raport.

— Pan chyba zupełnie oszalał, poruczniku! Wszystkie doniesienia na temat śmierci porucznika Cumminsa opierają się na pogłoskach, a teraz nie może pan nawet podać ich źródła! Sierżant nie żyje, pan nie zna nazwisk tych tak zwanych świadków, niech pan zaniecha tej sprawy!

— Mógłbym popytać tu i tam... spróbuję zdobyć nazwiska tych...

Jeśli pan to uczyni, proszę nie liczyć na moją pomoc. To wszystko zaszło wystarczająco daleko. Za daleko, moim zdaniem.

Nietrudno było odgadnąć, co ma na myśli. Raport George'a nie będzie przekazany dalej, zostanie odłożony do akt, może nawet zniszczony. Ale sumienie kazało George'owi nie dawać zą wygraną. Podjął ostatnią próbę.

— Sir, kapitan Bent nie jest człowiekiem, na którym można polegać. Popelnia błędy, jest niebezpieczny, powinno się go...

Hocctor zerwał się z miejsca jak oparzony.

— Nie chcę tego więcej słuchać. Nawet gdyby w pańskich wywodach kryło się źdźbło prawdy, to czy rzeczywiście sądzi pan, że Bent jest jedynym złym albo najgorszym oficerem w armii? Czy nie dotarły do pana wieści o zarzutach stawianych Gideonowi Pillow, temu fajtlapie? Kapitan Bent jest przy tym wszystkim przynajmniej absolwentem West Point, podobnie jak pan i pański przyjaciel Main. Bóg jeden wie, czemu wy dwaj, panowie, nie potraficie docenić tej więzi czy też odpowiedzialności, która w związku z tym spoczywa na panach. Ale, dla dobra waszej kariery, mam nadzieję, że pan i porucznik Main przejrzy cie w końcu na oczy i to wkrótce. Odmaszerować.

— Panie kapitanie...

— Twarz Hocctora pociemniała.

— Odmaszerować!

George wyszedł upokorzony.

— Cóż, to rzeczywiście przykra nauczka — mruknął Orry, kiedy przyjaciel opowiedział mu o wszystkim. — West Point zapewnia protekcję swym wychowankom. Myślę, że już pierwsze uwagi Hocctora zdradziły jego stosunek do tej sprawy. — Westchnął. Przynajmniej Bent nie dowie się, że usiłowaliśmy pozbawić go laurów i wsadzić do paki.

Tak myślisz? Kiedy wychodziłem od Hocctora, aż pienieł się ze złości. Według niego to my jesteśmy niebezpieczni. Mogę się założyć, że kapitan Rzeźnik Bent już niebawem będzie wiedział dokładnie, jakie plany mieliśmy wobec niego. Do diabła, jestem pewien, że Hocctor powie mu o nas. W końcu wykrzywił się komicznie West Point zapewnia protekcję takim jak on.

Orry uświadomił sobie, że przyjaciel ma rację. Był tak przynębiony, że pozostawił to bez odpowiedzi.

Tego samego dnia George napisał kolejny list do Constance. Zaczynał się od słów:

Nigdy jeszcze nie czułem się tak znużony, jakkolwiek sądzę, że nie z powodu braku snu. Winna jest moja odraza do wojny. Śmierć, niesprawiedliwość, brud, wieczny strach, armia ludzi niekompetentnych, tchórzliwych, protegowanych i ofiar bo zawsze są ofiary, wysyłane przez innych na śmierć oto „splendor” wojska, który zdołał zawrócić Orry'emu w głowie. Kiedy wreszcie otworzą mu się oczy, kiedy zda sobie sprawę, że ów „splendor” to nic innego, jak tylko źle nałożona pozłota, mająca ukryć zgniliznę? Mam nadzieję — dla jego dobra — że

bielmo spadnie mu z powiek, zanim zdecyduje się poświęcić swe życie wojsku. Ale musisz wiedzieć, najdroższa, że ostatnio nieraz jestem zbyt zmęczony, aby rozmyślać nad losem mego najlepszego przyjaciela.

Tym, co wypełnia mi noce i dnię, podtrzymuje mnie na duchu, jest myśl, że nadejdzie dzień, gdy los nas połączy i nie będziemy się mieli już czego obawiać, gdyż będą nas czekały jedynie zwykłe koleje wspólnego pożycia. Nie jestem zbyt religijny, ale ostatnio często przyłapuję się na tym, że wnoszę do Boga modły o to połączenie. Powiadają, że najczęściej ludzie nawracają się na polach bitew, powoli zaczynam rozumieć sens tej opinii.

Warunki, o których piszę, stały się jeszcze bardziej nie do zniesienia od czasu, kiedy dokonałem nieudanej próby ukrócenia pewnej niesprawiedliwej, przestępczej działalności. Bardzo się starałem, możesz mi wierzyć, ale...

Nagle odłożył ołówek i przeczytał list od początku. Ku swemu wielkiemu niezadowoleniu stwierdził, że cały czas pisał tylko o sobie, po prostu wylał wszystkie żale. Byłby godzien surowej chłosty, gdyby obarczył Constance swoimi kłopotami. Zmiał starannie kartkę. Był to jedyny list napisany w Meksyku, którego nie wysłał.

12

Nad główną drogą wiodącą do Churubusco zaświstał granat. Meksykańscy artylerzyści, rozmieszczeni w klasztorze w San Mateo, wstrzelali się wreszcie, podobnie jak ich ziomkowie na obwarowanym moście nad Rio Churubusco. Ów most był częścią drogi wiodącej do Mexico City. Nie opodał, na bagnistym polu posianym żytem, z szablą w lewej i pistoletem w prawej dłoni przykucnął Orry. Zgarbił się jeszcze bardziej, czekając na eksplozję pocisku. Wstrząs prawie rzucił go na ziemię. Wystrzeliła fontanna mokrej ziemi: źdźbła żyta i pokrwawione szczątki ciała mignęły mu przed oczyma.

Było wczesne popołudnie 20 sierpnia. Już od trzech godzin Orry znajdował się w samym centrum ciężkich walk. Był przekonany, że zdołał się już oswoić z widokiem gwałtownej śmierci. O tym, jak naiwne okazało się to rozumowanie, przekonał się, kiedy na jego oczach wybuch zmiotł z powierzchni ziemi grupę żołnierzy. Poczł mdłości, kiedy ludzkie szczątki zaczęły spadać tuż obok niego.

... Gryzący dym zasnuł mu oczy. Z ogrorAnym trudem dostrzegał zarysy strzelistych wieżyczek stolicy Meksyku i okryty śniegiem wierzchołek Popocatepetl. BezsKutecznie rozglądał się w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. Od strony drogi dobiegły go gardłowe komendy; usiłowano na nowo sformować w kolumnę oddziały Wortha. Po zwycięstwie odniesionym nad garnizonem w San Antonio i po zmuszeniu przeciwnika do ucieczki dywizja parła na Churubusco, kiedy nagle morderczy ogień z klasztoru i z mostu zmusił żołnierzy do opuszczenia drogi i szukania ratunku na polu.

Z kłębow dymu wyłoniła się przysadzista postać; nieznajomy ślaniał się na nogach, miał zaciśnięte zęby, rysy twarzy zatarła warstwa brudu. Orry wybuchnął nagle szaleńczym, niepohamowanym śmiechem, rozłożył ramiona.

— George, George, tutaj!

Przyjaciel skrzył ku niemu. Obok przebiegali jacyś oficerowie i żołnierze, większość zdążyła w stron*? mostu, inni kierowali się nie wiadomo gdzie.

— Straciłem z oczu mój oddział wyjął Orry.

— A ja straciłem wszystkich swoich ludzi •— krzyknął George.

— Kiedy zaczął się krzyżowy ogień, cała dywizja jakby zapadła się pod ziemię, a potem zobaczyłem, że kapitan Smith z piątego pułku biegnie na drogę, aby zebrać... Chryste Jezu, kryj się!

Niemal wcisnął twarz Orry'ego w błoto, a ten poczuł, jak do ust wlewa mu się cuchnąca maź, wołał już jednak to, niż zostać rozszarpany przez kartacze, które eksplodowały właśnie, rozsiwając na wszystkie strony tysiące śmiercionośnych, świszczących w zbożu odłamków.

Poczekali, aż ostrzał artyleryjski ustanie, a potem chyłkiem, ramię w ramię, ruszyli do traktu. Palba z muszkietów od strony mostu i klasztoru rozbrzmiewała nieprzerwanie. George zebrał ośmiu żołnierzy ze swego oddziału; byli zagubieni, skonfundowani, wystraszeni. Prowadzeni przez George'a wspięli się na nasyp w pobliżu skrzyżowania, przy którym stało kilka glinianych chałup. Ich ściany podziurawiły pociski obu walczących stron, dwa dachy płonęły. Rozbrzmiewały krzyki oficerów usiłujących uformować oddział z żołnierzy nadających się jeszcze do walki. Orry widział twarze nie znanych mu osób i insygnia jednostek, które nie powinny znajdować się w tym miejscu.

Wzorem innych oficerów i on zaczął wydawać rozkazy.

— Formuj się w oddziały, formuj się! — krzyczał, chwytając ludzi, którzy miotali się bezładnie, biegali tam i z powrotem. Ustawiał ich w szeregu na skraju drogi. Zatrzymał około dwu dziesięciu żołnierzy, ale połowa z nich natychmiast rozpierchła się ponownie. George pogroził reszcie pistoletem.

— Zastrzelę każdego, kto spróbuje dać drapaką!

To powstrzymało ich na trzydzieści sekund, a potem grupa rozsypała się na boki. Kolejny pocisk rozerwał ziemię, tworząc olbrzymi lej. W deszczu opadającej ziemi Orry zaczął ponownie wspinać się na nasyp. Jego noga ugrzęzła w czymś mokrym.

A myślałem, że woda trzyma się tylko na polu.

Pochylił głowę i zobaczył, że stopa tkwi w czymś ciepłym, czerwonym, były to wnętrzności człowieka. Odskoczył wstrząsany mdłościami, nie miał już jednak czym wymiotować.

Ktoś szturchnął go mocno w plecy. Zaklął i dopiero wtedy zorientował się, że to George, który chciał w ten sposób odepchnąć go od zwłok. Wydostali się na trakt i poczęli formować oddział. Czterech żołnierzy poległo.

Od strony obwarowanego mostu nadbiegło kilku umundurowanych Amerykanów.

— Odparli nas — krzyknęli, nie przystając nawet na chwilę.

Orry dojrzał jakąś postać wyłaniającą się z mgły.

— Może powinniśmy rozpoznać teren i sprawdzić, czy tak jest istotnie, panowie.

Szczeka Orry'ego opadła, również George stał osłupiały. Przed nimi wyrósł Elkanah Bent: brudny, niechlujny, mokry od potu. W jednym ręku trzymał zdobytą szablę, w drugim rewolwer. Orry przestał wreszcie wątpić, że to szaleniec, kiedy ujrzał, że Bent uśmiecha się — uśmiecha się pośród piekielnego ognia muskietów i artylerii.

Ruchem głowy Bent wskazał niewielką grupkę żołnierzy tłoczących się opodal.

Poruczniku Main, weźmie pan tych ludzi i rozeznaj sytuację nad rzeką. — Jego małe oczy skierowały się na George'a. — Pan pójdzie z nimi, poruczniku Hazard.

— Na Boga, Bent, czy pan wie, co to znaczy? To niemożliwe, aby oddział zdołał dotrzeć tak daleko, by...

Bent wycelował w niego z rewolweru. Nadal przebiegali obok nich jacyś żołnierze; obrzucali ich zdumionymi spojrzzeniami, żaden jednak nie zatrzymał się, aby sprawdzić, co oznacza ta dziwaczna scena. Widocznie wyglądało to po prostu tak, jakby tłusty kapitan karcił kilku niesubordynowanych żołnierzy, których obleciał strach.

— Złóżycie mi potem, panowie, meldunek albo zastrzelę każdego z was za odmowę wykonania rozkazu w warunkach bojowych.

Dłoń Orry'ego zacisnęła się na rękojeści szabli. Z trudem powstrzymywał się, aby jednym ruchem nie przeszyć nią Benta, nawet za cenę utraty własnego życia. Bent odgadł pragnienie Orry'ego i skierował na niego lufę rewolweru.

George podszedł do przyjaciela i położył mu dłoń na ramie-

niu. Obaj wiedzieli doskonale, że Bent chce, aby zginęli. George mrugnął ukradkiem i skinął głową w stronę mostu, jakby chciał powiedzieć: Tam mamy jakąś szansę, tu żadnej.

Stojąc plecami do krępego kapitana, obserwowali drogę. Mniej więcej ćwierć mili za skrzyżowaniem stały dwie chaty, najwidoczniej opuszczone.

— Spróbujemy dostać się do nich — szepnął George. Kiedy będziemy już w środku, nic nam nie będzie mógł zrobić. A my obmyślimy, co dalej.

Na moment Orry stracił poczucie rzeczywistości.

Zabiję go, zabiję go powtarzał monotonicznie.

George chwycił go za ramię i ścisnął tak mocno, jak tylko mógł. Orry wzdygnął się z bólu i oprzytomniał. George wydał rozkaz wymarszu. Staniając się na nogach ruszyli z garstką żołnierzy. Uszli kilkanaście kroków, kiedy w oknie chaty stojącej przy skrzyżowaniu pojawiła się lufa muszkietu, a drzwi rozwarły się gwałtownie; z wnętrza wychyliły się trzy kolejne muszkiety. Huknęły strzały i dwaj żołnierze idący obok Orry'ego padli martwi na ziemię.

George krzyknął do pozostałych, aby schronili się w rowie, zanim jednak dotarli na skraj drogi, padło jeszcze dwóch. George'a ogarnęła szaleńcza furia. Spojrzał za siebie i dostrzegł Benta, który gestykulując żywo tłumaczył coś majorowi z oddziału strzelców konnych. Bóg jeden wiedział, w jaki sposób major i koń znaleźli się w tym zakątku piekła. George poczuł teraz taką samą nienawiść, jaka ogarnęła niedawno jego przyjaciela, i ruszył biegiem w stronę Benta. Podjął już decyzję; niezależnie od konsekwencji zabije tego bydlaka na miejscu.

Przystanął słysząc krzyk. Wydało mu się, że to głos Orry'ego. W tym wołaniu było coś przerażającego. Starał się dostrzec coś przez dym. Krzyk narastał, przeradzając się w wycie. Nie był to jednak krzyk bólu, lecz ryk wściekłości. Orry biegł drogą, wymachując szablą, krzycząc jak szaleniec. Ukryci w chacie Meksykanie byli tak zaskoczeni, że przez kilka chwil żaden nie strzelił do pędzącej ku nim postaci. Kiedy doszli do przekonania, że lepiej zatrzymać go kulą, Orry znajdował się już na dwa jardy przed drzwiami.

Pierwsza kula z muszkietu chybiła, druga zrzuciła mu czapkę z głowy. Kopniakiem otworzył drzwi na oścież i nie przestając krzyczeć i wymachiwać szablą, wskoczył do środka, w ciemność.

George dostrzegł, że Bent i major strzelców konnych obserwują tę scenę, nie kryjąc zdumienia. Z wnętrza chaty dobiegły wrzaski. Może to Orry... George pochylił się i pobiegł do chaty, aby pomóc przyjacielowi. Trzech żołnierzy, których przywołał, wspięło się na wykop i ruszyło za nim. Ich buty wznosiły tumany kurzu. Tuż przed Georgem i z jego lewej strony uderzyły

pociski. Zamknął oczy, by uchronić je przed unoszącym się piachem, skręcił w prawo, ale nie zatrzymał się. Jęki nie ustawały; sądząc po odgłosach w chacie odbywała się rzeź.

Z drzwi nagle wypadło dwóch Meksykanów w poszarpanych mundurach, dwaj inni przeciskali się przez wyłamane okno. W progu z szablą ociekającą krwią stanął Orry. W lewej dłoni ścisnął coś, jakby strzęp człowieka, co momentalnie skrył za plecami, zanim George zdołał to zidentyfikować. Żołnierze natarli bagnetami na uciekających Meksykanów. George podbiegł do przyjaciela, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, usłyszał świst nadlatującego pocisku, donośny, mrozący krew w żyłach świst.

Zamachał gwałtownie rękoma.

— Orry, uciekaj z...

Granat eksplodował. Chata rozprysła się na setki kawałków, piach i jakieś szczątki trysnęły mętną chmurą w górę. George zamrugnął, kilkakrotnie odkaslnął, czuł ból w piersi. Leżał na drodze. Nie pamiętał nawet, że upadł. Musiał to sprawić wybuch. Ale gdzie Orry? Nigdzie nie mógł go dojrzeć. Z trudem stanął na nogi i spojrzał na krater powstały w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała chata. Ostatnie szczątki spadały właśnie na ziemię. Dym rozwiewał się z wolna. Za plecami usłyszał krzyki oficerów, między innymi Benta, usiłujących raz jeszcze uformować sztyk bojowy z żołnierzy, którzy przedzierali się przez żyto. Ale cała uwaga George'a skupiła się na czymś, co leżało na skraju krateru.

Kilkakrotnie przetarł dłonią oczy, jak gdyby nie wierzył w to, co ujrzał. Nie chciał uwierzyć. Nie potrafił. Jeszcze chwila i puścił się pędem.

Tuż obok krateru leżała ręka oderwana w połowie przedramienia. Rękaw, w którym tkwiła, był postrzępiony i w kilku miejscach spalony. Orry'ego znalazł na nasypie, po lewej stronie, drogi, obficie broczącego krwią.

George nie pamiętał, co działo się w ciągu kilku kolejnych minut. Doszedł potem do przekonania, że nie zniósłby tego, co widział, ani by nic nie zrobił, gdyby o tym myślał. Usunął całą grozę z umysłu, i dzięki temu mógł funkcjonować. Pamiętał jedynie, że ukląkł obok przyjaciela, powtarzając w kółko: Nie możesz umrzeć. Instynktownie, nie zastanawiając się, co robi, ze skrawka swego munduru sporządził opaskę zaciskową i zawiązał ją mocno za pomocą lufy pistoletu. W ten sposób zatamował krew tryskającą z kikuta.

Zarzucił sobie Orry'ego na ramię i chwiejnym krokiem wycofał się, podtrzymując przyjaciela prawą ręką, a broń — lewą. Nie wiedział nawet, czy Orry oddycha, może wynosił z pola bitwy zwłoki. Nie zastanawiał się nad tym. Mobilizując siłę,

której istnienia nie podejrzewał, przyśpieszał kroku coraz bardziej, aż począł biec.

Major strzelców konnych przemknął obok galopem, wymachując szablą i pokrzykując na biegnących za nim maruderów. Potem pojawił się zdyszany Bent. Przezornie wmieszał się w gromadę żołnierzy z nastawionymi do ataku bagnietami. George spojrział na kapitana złowieszczo. Na umorusanej, niemal czarnej twarzy groźnie błysnęły oczy w nieco jaśniejszych obwódkach. Nawet jeśli Bent domyślił się, kim jest ta dziwaczna postać z przewieszonym przez ramię ciałem, nie dał tego po sobie poznać.

Żołnierze po chwili zniknęli na drodze do Mexico City, a George skierował się w przeciwną stronę. Wysilek wyciskał mu na twarz pot i łzy, w piersi narastał ból. Kilka minut później natknął się na stojący na poboczu drogi ambulans.

Sanitariusz spiesznie zbadał Orry'ego.

— Niech mi pan pomoże. Musimy ułożyć go na wozie.

Wydał odpowiednie instrukcje, woźnica zawrócił wóz i zaciął konie. Ruszyły z kopyta, impet rzucił George'a w lewo, potem w prawo. Przytrzymał się z całych sił, aby nie upaść na rannego.

— Na miłość boską, zabijecie go! — krzyknął. Zwolnijcie trochę!

— Czy woli pan dowieźć go żywego i posiniaczonego, czy też martwego? — zawołał sanitariusz. On ma tylko jedną szansę; dostać się jak najprędzej do chirurga. A więc niech pan tak nie wrzeszczy i przytrzyma go.

George zacisnął powieki, a potem spojrział na przyjaciela. Głowa Orry'ego uderzała o brudne derki, rozpostarte na podłodze pojazdu. George ściągnął bluzę, zwinął ją w rulon i wsunął rannemu pod głowę. W tym momencie, w ambulansie, do którego wnętrza wdzierały się tumany kurzu i odgłosy toczącej się nadal bitwy, uświadomił sobie, jak bardzo kocha przyjaciela.

Mając nadzieję, że Bóg go wysłucha, począł modlić się żarliwie:

— Nie daj mu umrzeć!

Po jego policzkach płynęły łzy.

Szpital polowy był pełen jęków i krwi. Błady ze zmęczenia chirurg zapalił lampę nad zakrwawionym stołem, podczas gdy sanitariusz przytrzymał opaskę zaciskową. Po krótkim badaniu skinął na drugiego sanitariusza.

— Przygotować go.

— Co pan chce zrobić? — zapytał George.

— Amputować resztę ręki. Tylko w ten sposób mogę go uratować.

- Nie! — krzyknął George tak gwałtownie, że spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się na niego. Chirurg obrzucił go druzgoczącym spojrzeniem.

— Czyżby zamierzał pan zająć się sam tym przypadkiem?

George otarł usta dłonią.

— Nie, oczywiście, że nie, ale... odcinając mu resztę ręki, zabije go pan.

— Bzdura. Połowy i tak już nie ma, a mimo to nadal oddycha... dzięki pańskiej szybkiej akcji. Odkąd trwają te walki, dokonuję codziennie kilkunastu amputacji. W czterdziestu albo nawet pięćdziesięciu procentach są to operacje udane.

— Kiedy mówiłem, że pan go zabije, nie miałem na myśli...

— Och, nie czas teraz na dysputy i zagadki — przerwał mu chirurg. — Proszę opuścić namiot. Dam panu znać, kiedy będzie już po wszystkim.

Orry otworzył oczy. Uświadomił sobie, że leży w jakimś dziwnym, nie znanym mu miejscu. W górze ujrzał osiem lamp, wszystkie były zapalone. Raz po raz przenikały go fale silnego bólu. Usiłował poruszyć rękami, ale bezskutecznie. Odniósł wrażenie, że niezależnie od bólu dzieje się z nim coś złego, nie miał jednak pojęcia, co. Raptem w polu widzenia zjawił się jakiś człowiek, korpulentny mężczyzna w poplamionym fartuchu. W pulchnej dłoni trzymał ociekającą czerwienią piłę. I nagle Orry zrozumiał, gdzie się znajduje i po co. Krzyknął przeraźliwie. Czyjeś ręce chwyciły go za ramiona. Szarpnął głową w drugą stronę i ujrzał innego człowieka, który podgrzewał nad kotłem z płonącym węglem kawałek żelaza. Krzyknął ponownie, ale natychmiast ktoś uciszył go, wlewając w otwarte usta palącą whisky.

Sześć dni później George wszedł do namiotu dowódcy kompanii, w której służył Orry. Nie pytając o zgodę nalał sobie kieliszek whisky z zapasów kapitana Place'a. Dolina Meksyku była pogrążona w ciszy i tylko z oddali dobiegały odgłosy trąbek i sporadycznej strzelaniny. Generałowie uzgodnili kolejne zawieszenie broni, chcąc najwidoczniej przedyskutować warunki rozejmu. George nie znał żadnych szczegółów na ten temat i nie interesował się nimi. Podobnie jak wielu oficerów liniowych i żołnierzy armii amerykańskiej uważał, że ten, kto tuż przed wyczerpaniem się możliwości obrony Mexico City zaproponował zawieszenie broni, powinien zostać zliczowany.

— Jak on się czuje? — Pytanie kapitana i wieczorne wizyty George'a stały się już zwyczajem.

— Żadnej zmiany. Ciągłe jeszcze nie pewnego.

George przełknął whisky. Bywały chwile, kiedy wstydząc się samego siebie myślał, że może byłoby lepiej, gdyby Orry umarł.

Place przerzucił stertę raportów i rozkazów, wreszcie wyciągnął jakiś dokument i podał George'owi, który wpatrywał się w niego przez chwilę nie widzącym wzrokiem.

Tak... mruknął kapitan. Mam nadzieję, że wyzdrowieje na tyle, by móc to przeczytać.

— Co to takiego?

— Awans. Już nie jest oficerem tytularnym. Jest też raport pochwalny podpisany przez generała Scotta. Za pomoc w oczyszczeniu drogi, co ułatwiło atak i zdobycie mostu. Przypuszczam, że kapitan Hoctor ma również dla pana przyjemne wieści.

— Pełen stopień — mruknął beznamyślnie George. W niepełna rok.

Mam też dla pana mniej radosną nowinę. Kapitan Bent z III Pułku Piechoty udzielił najwidoczniej odpowiednich wyjaśnień na temat tak znacznego oddalenia się od swojej jednostki. Udało mu się też przekonać swych przełożonych, że to on dowodził atakiem na gniazdo wroga. Z wiarygodnych źródeł otrzymałem informację, że dostał rangę majora.

George zaklął siarczyście i sięgnął po kolejną whisky. Place nie unikał mocnych słów, ale tym razem język George'a zaszokował go.

Lekarz oświadczył Orry'emu, że jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo, minął jednak cały dzień, zanim zrozumiał, jaką ofiarę musiał ponieść, by uniknąć śmierci. Kiedy dotarło to do niego, szalał i płakał całą godzinę, a potem odwrócił się twarzą do ściany namiotu i zamknął oczy.

Od tej pory sprawiał wrażenie, jakby pragnął tylko jednego: spać. Jednak nawet w ten sposób nie mógł uciec od rzeczywistości. Przed oczyma jawił mu się bęben wojskowy, spoczywający na skale w blasku słońca, cichy. Ktoś zniszczył go bagnetem lub szablą; z rozciągniętej na nim skóry pozostały jedynie strzępy.

Dopiero 16 września Orry zgodził się przyjąć wizytę. Dwa dni wcześniej generał Scott wjechał triumfalnie do Mexico City. Zawieszenie broni okazało się fiaskiem, tu i ówdzie doszło do zaciętych walk, w wyniku których nieprzyjaciel skapitulował.

Witaj, Orry.

George przysunął sobie skrzynkę na amunicję i usiadł na niej. Orry miał już zdrową cerę, bujną i imponującą brodę, oczy były jednak martwe. Podciągnął wysoko brudne prześcieradło, aby przyjaciel nie mógł dojrzeć bandaża na kikucie ręki.

Wreszcie odpowiedział: — Witaj, George.

Słyszałem, że wygraliśmy. George kiwnął głową.

— Otrzymałeś awans. Jesteś teraz pełnym porucznikiem. Ja też. Niestety, nasz przyjaciel Bent jest majorem. Powiedziano mi, że wszyscy okazaliśmy się wielkimi bohaterami na drodze do Churubusco.

Uśmiechnął się, ale twarz Orry'ego pozostała nieporuszona; wpatrywał się w żerdź podtrzymującą namiot. George ścisnął w dłoniach furazerkę.

— Jak się czujesz?

— Och, nie wiem. — Powiedział to głosem tak bezbarwnym, że trudno było odgadnąć, co naprawdę myśli. George nadal siedział w bezruchu, trzymając oburącz czapkę. Początkowo chciał opowiedzieć przyjacielowi o walkach, które doprowadziły do zdobycia Mexico City, ale doszedł do przekonania, że nie jest to właściwy moment. Ale czy ów odpowiedni moment w ogóle kiedyś nadejdzie?

Gdzieś na zewnątrz jakiś domorosły muzyk zaczął grać na harmonijce ustnej znaną melodię. George znał ją jako pieśń o „szczwanym lisie”, ale kilku skrzypków podchwyciło ją, nawiązując do melodii „Indor na sianie”. George zapragnął wyjść z namiotu i własnoręcznie udusić grajka. Melodia była zbyt radosna, zbyt natarczywie przywodziła na myśl wszelkie przyjemności, mogące stać się udziałem mężczyzny, o ile nie jest kaleką.

Orry spojrzał na niego.

— Winię ci jestem słowa podziękii za uratowanie mi życia. Ale wiesz, kiedy tak leżę, myślę sobie często, że żałuję, iż to zrobięś.

George odparł natychmiast nieco ostrzejszym tonem:

— No, no, Tyczko, tylko nie rozczulaj się nad sobą. Najważniejsze, że żyjesz. A życie jest cenne.

— Jeżeli istnieje coś, co ma dla ciebie wartość — przytaknął Orry. — Aleja uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie miałem nigdy szans z Madeline. Utraciłem ją, zanim jeszcze poznałem. Jedyna szansa, jaką miałem, to kariera w armii. No i teraz muszą mnie zwolnić z wojska.

— Ale za to będziesz mógł wrócić do domu.

W tej samej chwili dostrzegł w oczach przyjaciela wyraz bólu i strpił się.

— Do czego? — zapytał Orry.

George poczuł, że wzbiera w nim gniew, pohamował go jednak, gdyż uświadomił sobie, iż tak naprawdę jest wściekły na samego siebie. Wszystko zepsuł, nie udało mu się poprawić nastroju przyjaciela. Ale jeżeli nie on, to kto to sprawi?

Podjął ostatnią próbę.

— Wpadnę do ciebie jutro. A tymczasem wypoczywaj i weź się w garść. Zobaczysz, że niedługo poczujesz się...

Urwał i zaczerwienił się po same uszy. Bezwiednie uczynił gest, jakby chciał ująć przyjaciela za rękę. Lewą rękę. Opamiętał się w ostatniej chwili.

Ciemne oczy Orry'ego zdawały się mówić: A widzisz? Nie jestem już taki jak ty, a więc nie udawaj, że wszystko w porządku.

Kiedy George odwrócił się, mruknął obojętnym tonem.

— Dzięki, ześ przyszedł.

George wymknął się z namiotu przybity. Nie był pewien, ale miał nadzieję, że czas zdoła wyleczyć Orry'ego z goryczy i melancholii. Przyjaciel został pozbawiony już dwóch rzeczy, których pragnął jak niczego innego. Czy mężczyzna może mimo to żyć dalej?

List od Constance, który właśnie nadszedł, uratował resztę dnia, nie pozwolił, aby zamienił się w totalną katastrofę.

Był pogodny, październikowy dzień, kiedy George siedział przy stoliku przed niewielką gospodą w Mexico City. Wprost przed sobą miał Pałac Narodowy, na którego szczycie powiewała flaga amerykańska. Wraz z nim siedzieli Pickett, Tom Jackson i Sam Grant. Spotkali się po raz pierwszy od miesiący.

Pickett i Grant, podobnie jak George, wypili już po kilka kufli piwa, Jackson miał duży kielich wina; w trosce o swój żołądek zamawiał zawsze jeden kieliszek, który zostawiał nietknięty.

Biorąc pod uwagę wynik wojny, Meksykanie byli w doskonałych nastrojach. Sklepikarze i właściciele tawern bardzo szybko pogodzili się z losem i próbowali skorzystać z obecności okupanta. Na wzór europejski rząd wybił medale upamiętniające wszystkie ważniejsze bitwy, zarówno wygrane jak i przegrane. Pickett, który rozprawiał właśnie o Robercie Lee, otrzymał błyszczący na jego kurtce order za Churubusco.

— Nie twierdź tego jako Wirgińczyk, chociaż tak właśnie sądzicie. Bob Lee to najlepszy żołnierz tej armii. Udowodnił to raz na zawsze w pedregal.

Miał na myśli teren pokryty skałą wulkaniczną, na który Amerykanie natknęli się podchodząc do Mexico City. Wydawało się, że jest to obszar nie do przebycia, ale Lee i Pierre Beauregard wyruszyli na zwiady i orzekli, że to nieprawda. Podczas burzy Lee zgłosił się na ochotnika. Musiał przedostać się przez ów pedregal z ważnymi informacjami dla Scotta. Drogę, gdy jechał przez teren poprzerynany ostrymi graniami i zwodniczymi jarami, oświetlały mu jedynie błyskawice.

— Zgadzam się z tym — powiedział Grant i upił trochę piwa.
— Nie znam żołnierza, który byłby bardziej bystry i śmiały. Dobrze, że nie służy u wroga.

Ogólnie rzecz biorąc, w trakcie tej sześciomiesięcznej kampanii absolwenci Akademii spisali się bardzo dobrze. Nawet Elkanah Bent został uznany za bohatera. George wiedział, że gdyby oskarżył majora o brak kompetencji albo go zaatakował, niewielu oficerów stanęłoby po jego stronie. Również koledzy siedzący z nim teraz przy stole stanowili najlepszy dowód na to, że West Point wydaje na świat dzielnych i godnych zaufania oficerów. Grant na przykład wraz z kapitanem Robertem Andersonem z III Pułku Artylerii znalazł się pośród pierwszych, którzy zaatakowali Molino del Rey. Potem, w trakcie szturmów na miasto, Grant wciągnął haubicę na wieżę kościoła, skąd można było ostrzeliwać bramę San Cosme. Uczynił to z własnej inicjatywy. I rzeczywiście: garnizon broniący bramy nie oparł się ostrzałowi.

Jackson odznaczył się wielokrotnie, zwłaszcza podczas zdobywania stoku Chapultepec, gdy sam obsługiwał działą z baterii Johna Magrudera. W czasie tego samego szturmów inny absolwent Akademii, porucznik Lewis Armistead, padł ranny, kiedy wspinał się po drabinie oblężniczej ze sztandarem w dłoni. Sztandar przejął James Longstreet, wychowanek West Point, jego jednak również dosięgła kula. Ostatecznie sztandar zatknął na murach zdobytego miasta Pickett.

George'a począł ogarniać niepokój. Koledzy siedzieli nad swoimi kuflami, najwyraźniej mieli czas, on natomiast miał w kieszeni dwa nowe listy. Jeden z nich był od Constance. Widząc, że rozmowa przy stole zeszła na kolejny temat, wyjął go i otworzył. Kiedy skończył czytać, roześmiał się. Pieczołowicie złożył list z powrotem i schował go tam, gdzie przechowywał poprzednie.

— Od kogo to? — zainteresował się Grant. — Od twojej dziewczyny?

George kiwnął głową.

— Chcesz ją poślubić?

— Być może. Przesunął dłonią po kieszeni, w której leżał list.
— Pisz, że nadal o mnie myślisz.

— To zrozumiałe — uśmiechnął się Pickett. — Jesteś przecież wielkim bohaterem. W tym miesiącu wszyscy jesteśmy wielkimi bohaterami. Nawet Kongres, o dziwo! jest teraz tego zdania.

Jackson, jak zwykle poważny, odchrząknął.

— Czy ta młoda dama wyznaje wiarę rzymskokatolicką, George?

— Tak. A czemu pytasz?

— Tylko aby ci przypomnieć, że gdybyś się ożenił z papistką,

twoja kariera byłaby utrudniona. Dowiedziałem się o tym niedawno, kiedy... no... poznałem pewną młodą kobietę z tego miasta.

Pickett aż się nachylił.

— Ty, generale? Zalecasz się do seniority?

Jackson spłonął rumieńcem, nie odrywał wzroku od kieliszka.

— Tak, mam ten zaszczyt. Niestety jednak obawiam się, że ślub nie wchodzi w rachubę. Bóg sprawił, że wszystkie Jego dzieci są sobie równe, ale w oczach sztabu generalnego i większo ści Amerykanów katolicy są mniej równi od pozostałych.

Grant i Pickett parsknęli śmiechem, ale twarz George'a pozostała poważna. Darzył Constance tak gorącą miłością, że sprawa jej religii nie była ważna. Wiedział jednak, że może się ona okazać przyczyną wielu problemów. Maskując niepokój, odparł: Co do mnie, nie muszę tak bardzo martwić się o swoją karierę. Jeszcze tylko niecałe trzy lata i żegnaj się z wojskiem. Trzy lata to dla nich wystarczająco dużo czasu, aby zatruć ci życie — mruknął Grant.

Zwłaszcza dla naszego kochanego majora Benta dodał Pickett.

Z pobliskiej katedry dobiegł ich dźwięk dzwonów. Stado gołębi poderwało się z dachu Pałacu Narodowego. Jak przystało na późne popołudnie, słońce przybrało barwę bursztynu.

Radosny nastrój spotkania w gospodzie pierzchnął nieodwracalnie. George pomyślał, że może w drugim liście, który nadszedł z Lehigh Station, znajdzie się coś, co go rozweseli. Podczas gdy Grant i Pickett zamawiali następną kolejkę, złamał woskową pieczęć i przeczytał pierwsze, napisane wytwornym charakterem pisma matki słowa. W jednej chwili krew odpłynęła z jego twarzy.

— Co się stało, Pniaku?

Spojrzał tępo na Granta.

— Mój ojciec. Dwa miesiące temu dostał apopleksji. Serce nie wytrzymało. Nie żyje.

Dwa dni po krótkim liście Maude Hazard nadszedł drugi, o wiele dłuższy, od Stanleya, który błagał młodszego brata, aby zrezygnował ze służby wojskowej i czym prędzej wrócił do domu. Stalownia Hazarda była fabryką zbyt dużą, aby mógł nią kierować jeden człowiek, zwłaszcza teraz, kiedy miała się rozpocząć eksploatacja nowej walcowni. William Hazard sam ją zaprojektował, nadzorował jej budowę. Wyposażeniem walcowni zajmował się jeszcze w dniu swojej śmierci.

Najnowsza część huty Hazarda, trzy razy wyższa od poprzednich walcownia, pozwalała na produkcję szyn kolejowych z kutego żelaza typu T, które w coraz szybszym tempie wypierały stosowane dotychczas w Stanach Zjednoczonych szyny w kształcie odwróconego U. W liście Stanley powtarzał swą opinię, że ojciec zdecydował się na tę inwestycję po otwarciu konkurencyjnej walcowni w Danville w stanie Pensylwania. Pisał też, że gdyby decyzja należała do niego, nie podjąłby jej jako zbyt nowatorskiej i ryzykownej.

— Zbyt nowatorska — parsknął George, opowiadając o wszystkim Orry'emu, który pakował się przed wyjazdem do domu. — A przecież Henry Cort prowadził podobną walcownię w Fontley w Anglii przez ponad dwadzieścia lat. Mój bojaźliwy braciszek będzie mówił o ryzyku tak długo, aż skończy się koniunktura, cały kraj od jednego oceanu do drugiego będzie pokryty szynami i interes przestanie być rentowny.

Orry złożył koszulę i umieścił ją w skrzyni. Zdażył się już nauczyć robić wszystko jedną ręką. Kiedyś poskarżył się, że obciążony skórą kikot boli go i nie daje spać, ale więcej nie poruszał tematu swego kalectwa. W ciągu ostatnich dni uśmiechał się niezmiernie rzadko.

Usiadł na pryczy, aby odpocząć przez chwilę.

— Co teraz zamierzasz, George? Zdecydowałeś się już? — Od kąd został wypisany ze szpitala, jakby zapomniał przydomka, który nosił przyjaciel.

George, robiąc nieszczęśliwą minę, pokiwał głową.

— Muszę być lojalny wobec rodziny, która mnie potrzebuje. Mimo iż tak bardzo nienawidzę tej cholernej armii, mimo iż tak bardzo chciałbym ujrzeć znowu Constance, czuję się nieswojo, kiedy myślę o tej decyzji. Myślę, że to dlatego, iż zgodziłem się odsłużyć w wojsku cztery lata, a obietnica to obietnica. Cóż, nic na to nie poradzę. Napiszę do Stanleya, że wracam do domu. Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że Departament Wojny zgodzi się na zwolnienie mnie. W każdym razie nie tak od razu.

Czekała go jednak niespodzianka. Na dzień przed wyjazdem Orry'ego nadszedł kolejny list od Stanleya. Okazało się, że przekazał on sprawę brata swemu nowemu przyjacielowi, Simonowi Cameronowi, pochodzącemu z Pensylwanii senatorowi z ramienia demokratów.

— Ten senator to pierwszorzędny dowód na to, że z demokracją w naszym stanie jest naprawdę niedobrze — stwierdził George. — To człowiek przebiegły jak lis. Przynosi hańbę swojej partii. Stanley wspominał nieraz o swoich ambicjach politycznych, ale nie spodziewałem się, że mógłby się zadawać z kimś takim jak Cameron.

— Czy twój brat nadaje się na polityka?

— Wiesz, Orry, moim zdaniem człowiek zaczyna zajmować się polityką, kiedy nie jest w stanie zapracować na chleb w uczciwy sposób. Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Mój brat nie został obdarzony zbyt błyskotliwym umysłem. Cameron mógł zainteresować się nim tylko z jednego powodu: sumy na jego koncie w banku. Koneksje w Waszyngtonie... Dobry Boże! — George uderzył pięścią w dłoń. — To upodabnia mnie do Benta! Napisz do Stanleya, żeby wszystko odwołał. I to natychmiast.

Następnego ranka przyjaciele pożegnali się. Orry miał jechać na wybrzeże pociągiem pełnym rannych i ochotników, którym udzielono przepustek. Dla obu był to nieprzyjemny moment. Orry zaproponował przyjacielowi, aby w drodze na północ zatrzymał się w Mont Royal, George obiecał, że spróbuje. Nie palił się do tego pomysłu, gdyż nie chciał być świadkiem potęgującej się depresji swego najlepszego przyjaciela. Orry bardzo zmizerował, stracił na wadze co najmniej dziesięć kilo. Wyglądał żałośnie, kiedy szedł wzdłuż pociągu, szukając swego wagonu.

List protestacyjny do brata George wysłał za późno. Po trzech tygodniach wezwał go kapitan Hoctor.

— Nadeszły właśnie rozkazy dotyczące pana, podpisane przez ministra Marcy. Nie miałem dotąd pojęcia, że synowie bogatych właścicieli hut kwalifikują się do przypadków losowych. — Mimo jego ironicznego tonu twarz George'a pozostała beznamiętna. Odchrząknął. — W każdym razie zostanie pan zwolniony ze służby wojskowej w następnym piątek.

Po wyjściu George'a Hoctor począł się zastanawiać, dlaczego porucznik otrzymawszy tak dobre wieści zaklął jak ostatni obwieś. On w każdym razie był zadowolony, że wreszcie pozbył się tego niepoprawnego wichrzyciela.

Następny pociąg miał odjechać rankiem, nazajutrz po oficjalnym zwolnieniu George'a. Do tego czasu zdążył przemyśleć sobie to i owo. Był niewiele wart, skoro religia Constance wystarczyła, aby zawahał się choćby przez moment. Teraz jednak podjął ostateczną decyzję — z Vera Cruz pojedzie wprost do Corpus Christi, obojętne czym.

Ostatni wieczór w wojsku spędził z Pickettem i Grantem. Wszyscy trzej upili się i George ocknął się dopiero na godzinę przed świtem. Dokuczał mu ból brzucha, wszystko wirowało przed oczyma, a uczucie suchości w ustach wywoływało mdłości. Godzinę później spotkał po raz pierwszy od Churubusco majora Elkanaha Benta. George minął go spiesznie, nie oddając honorów; bał się, że najmniejsza prowokacja może skończyć się morderstwem.

Bent zawołał za nim:

— Czemu jest pan bez munduru, poruczniku?

— Bo nie służę już w armii... majorze.

Krew pulsowała mu w skroniach. Czuł, że traci kontrolę nad sobą. Nie dbał o to. Bent skwitował wiadomość pełną zawodu miną. George mówił dalej:

— Gratuluję panu awansu. Zdobył go pan kosztem mego przyjaciela, Orry'ego Maina. Gdyby nie pan, miałby obie ręce. Wszyscy uważają pana za jakiegoś cholernego bohatera, ale my obaj wiemy aż za dobrze, co pan naprawdę chciał osiągnąć na drodze do Churubusco, majorze!

— Niech pan puści moją rękę, arogancki, nędzny...

George zadał cios z taką siłą, że przeszył go ból aż do ramienia. Z nosa Benta popłynęła krew, a George odszedł wolnym, pewnym krokiem. Major z Ohio był zbyt zaskoczony, a może też zbyt przerażony, aby oddać cios.

Pięść bolała go tak, jakby była złamana. Po raz pierwszy jednak George uświadomił sobie, że również ból może sprawiać satysfakcję.

13

Do Corpus Christi George dotarł pod koniec października. Powietrze było rześkie, chłodne nawet w południe. Kiedy zszedł na ląd, była czwarta, ale słońce chyliło się już ku zachodowi. Domy rzucały podłużne cienie. Światło dnia przypominało bezlitośnie, że to jesień; było jaskrawe i niepewne zarazem.

Sceneria sprzyjała melancholii. Rok zbliżał się coraz szybciej do końca, równie ulotne wydawało się życie człowieka. Meksyk obdarzył George'a rzadko spotykaną u młodych ludzi świadomością istnienia śmierci. Uznał to za cenę, którą płaci się za udział w wojnie, nawet jeśli walczyło się po stronie zwycięzców. Traktując to doświadczenie jak nauzkę, nie zamierzał być na tyle niemądry, aby je zignorować. Właśnie dlatego przyjechał tu wprost z Vera Cruz.

Na przystani nikt na niego nie czekał, co przygnębiło go jeszcze bardziej. Ożywił się momentalnie, słysząc okrzyk:

— Tu jestem, George!

W tej samej chwili zza rogu wybiegła Constance. Miała na sobie modną od niedawna suknię na krynolinie, która kołysała się w tył i przód jak łódź na wzburzonej fali. Strój był bardzo twarzowy, w kolorze szmaragdu.

— Przepraszam, że się spóźniłam, ale zanim się przygotowałam... chciałam wyglądać szczególnie ładnie na twoje powita nie... a potem okazało się, że w tej sukni nie można chodzić szybko. Och, tak bardzo chciałam być na przystani, kiedy dobiejesz do brzegu...

Śmiała się i płakała na przemian. Odstawił na bok walizę, a Constance przesunęła dłonią po jego ramieniu aż do twarzy, jak gdyby chciała sprawdzić, czy z tej straszliwej wojny wraca cały i zdrowy.

— Byłam wstrząśnięta wiadomością o twoim ojcu. Bałam się już, że nie znajdziesz czasu, aby zatrzymać się tu w drodze do domu.

— Od pogrzebu ojca upłynęły już tygodnie, nic się nie stanie, jeśli przyjadę do domu kilka dni później. Muszę... — przez chwilę nie mógł wykrztusić dalszych słów — ... zapytać cię o coś ważnego.

Cóż to takiego? Filuterny uśmiech zdradzał, że Constance wie, o co chodzi.

— Wydaje mi się, że powinienem porozmawiać najpierw z twoim ojcem.

— Właśnie czeka na nas. Pilnuje pieczeni z jagnięcia, którą przyrządziłam dla ciebie. Ale przede wszystkim musisz mnie pocałować.

Opuściła rąbek sukni, którą do tej pory unosiła nad ziemią, i objęła go za szyję. Rozłożysta, przypominająca kształtem dzwon suknia sprawiła, że George musiał się nachylić, aby odwzajemnić uścisk. Waliza zniknęła pod krynoliną, ale ani to, ani miny ludzi stojących na przystani nie miało znaczenia. Niektórzy spoglądali na nich z rozbawieniem, inni z oburzeniem. Jedyne, co liczyło się teraz, to słowa, które wyszeptala mu do ucha:

— Och, George, jakże tęskniłem za tobą! Tak bardzo cię kocham!

Podczas gdy Constance nakrywała do stołu, George wyszedł z jej ojcem na krótką przechadzkę. To nieodzowne pytanie wcale nie zaskoczyło prawnika.

— Spodziewałem się, że oboje będziecie chcieli wkrótce wziąć ślub. Ona już od wielu dni przygotowywała się na pański przyjazd. Czyżby nie dostrzegł pan tych wszystkich egzemplarzy „Godey”, które ułożyła sobie na stoliku do szycia! Wykroje i różne przybory? Ciągłe tylko rodzaje szwów i naporstek. Myślałem, że oszaleję. Jeśli to nie miłość, to nie znam się na niczym. — Skrył dłonie w szerokich rękawach czarnego płaszcza. — Nie mam zasadniczych obiekcji co do tego ślubu, tylko

jedno pytanie, ale za to ważne. — Przystanął na środku ulicy i spojrzął George'owi prosto w oczy. — Nie wyznajecie tej samej wiary. Jak pan zamierza postąpić w tej sprawie?

— Muszę zapytać Constance, czy ma jakieś specjalne życzenia, sir. Uczynię wszystko, co uzna za stosowne.

— Postawa bardzo chwalebna. Ale czy pańska rodzina jest równie tolerancyjna?

— Jestem tego pewien — skłamał George.

— A więc może pan ją brać.

— Och, sir, dziękuję...

— Pod jednym wszakże warunkiem! — Uniesiony palec Flynna rzucił na ziemię nienaturalnie długi cień, a potem wskazał na pozbawiony drzew horyzont. — Poślubi pan ją na Północy. Tutaj jest zbyt ponuro, to nie miejsce na wesele. Poza tym chętnie odbyłbym tę podróż. Mam już dosyć wysłuchiwania od tutejszych fanatyków, że kongresmen Willmot to syn diabła. Przyda mi się zmiana perspektywy.

— Mogę to panu zapewnić — obiecał z uśmiechem George.

Ruszyli do domu, Constance wołała już na kolację.

Tego samego wieczoru George i Constance, trzymając się za ręce, wyszli na spacer wzdłuż brzegu. Constance włożyła długą, obszytą futrem pelerynę; strój był raczej ozdobny niż praktyczny. George objął dziewczynę ramieniem, aby ogrzać ją choć trochę. Od portu wiała chłodna bryza, zginająca przybrzeżną trzcinę. Gwiazdy odbijały się w pomarszczonej przez nieduże, pieniste fale rzece.

— Na północy jest dużo chłodniej niż tu — powiedział. — Obawiam się, że będzie ci brakowało panującego tu klimatu.

— A więc będziesz się musiał starać, abym nie zziębła w łózku.

Chrząknął zakłopotany. Constance zawsze mówiła to, co myślała. Tę szokującą bardziej konwencjonalnych ludzi zaletę, obok wielu innych, wprost uwielbiał. Swą otwartość zawdzięczała być może latom spędzonym na pograniczu. Miał nadzieję, że zrozumie to jego rodzina.

— Właściwie — kontynuowała — bardzo się cieszę, że będę mogła wyjechać tam, gdzie nie trzeba przewędrować pięciuset mil, aby spotkać jednego abolicjonistę. Sama włączę się do tego ruchu, kiedy będziemy już po ślubie. — Zatrzymali się przy wydmie, by popatrzeć na zatokę. — Myślisz, że twoja rodzina będzie miała coś przeciw temu?

— A gdyby tak, czy to by cię powstrzymało? — uśmiechnął się.

— Nie. Nie zrezygnowałabym z tego chyba nawet dla ciebie.

— To dobrze. Gdyby było inaczej, nie byłabyś tą dziewczyną, w której się zakochałem. — Cmoknął ją w policzek.

— Nie odpowiedziałeś mi jeszcze na pytanie.

— Kochanie, po ślubie ty będziesz moją rodziną. Tylko ty i może jeszcze ktoś, kto będzie należał do nas obojga.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, musnęła wargami jego usta, a potem szepnęła:

— Zrobię wszystko, żeby nie zawieść cię w tym względzie.

— Nigdy nie będziesz w stanie mnie rozczarować. Kocham cię.

Stała za nią i objął w talii, przydeptując jej suknię. Nie zaprotestowała, lecz wsparła się o niego całym ciałem. Przesunął dłonie ku górze, aż poczuł jej piersi. Zamiast się oburzyć jak się obawiał — nakryła jego dłonie swoimi, wzmagając nacisk.

— Jak tu pięknie — powiedział po chwili. — Na pewno zateskniesz za tym widokiem.

— Wiem, że chwilami będzie mi go brakowało. Ale jeszcze bardziej tęskniłabym za tobą. — Obróciła się ku niemu po kilku próbach, jej ruchy krępowała sztywna suknia. Głosem łagodnym, ale pełnym powagi szepnęła: „Gdzie ty zamieszkasz i ja zamieszkam, lud twój będzie moim ludem”. Oto pierwszy rozdział *Księgi Rut*. — Ponownie dotknęła wargami jego ust. — Czytałam to tak często, kiedy byłeś tam, daleko, że umiem to już na pamięć.

Roześmieli się cicho, pochylając głowy tak, że czoła zetknęły się. Niczym zwiewny welon otuliły ich jej rude włosy. Zawrócili do domu, rozprawiając o sprawach praktycznych, również tych związanych ze ślubem. George wspomniał, że chciałby mieć Orry'ego za drużbę.

— Zapewne się zgodzi, prawda?

— Nie jestem tego pewien — mruknął George. — Wojna pozbawiła go czegoś więcej, niż tylko ręki. Martwię się o niego. I chociaż naprawdę nie mam na to ochoty, wstąpię do Mont Royal jadąc do domu.

14

Kilka mil przed plantacją George poczuł zapach dymu. Posępne listopadowe niebo ściemniało jeszcze bardziej. Zaniepokojony zapytał kapitana statku, czy przypadkiem nie palą się jakieś zabudowania.

Kapitan spojrzał nań z góry.

— Wątpię, sir. Myślę raczej, że wypalają ścierniska.

Powietrze wypełniło się krzykiem niewidocznych ptaków.

Czarne fale toczyły się po rzece i wdzierały na ląd. Wkrótce George zaczął kasłać. Kiedy statek dobił do brzegu, nie było na nim nawet śladu Orry'ego, chociaż George uprzedził go w liście, że przyjedzie. Nie wiedział, czy winić urzędników pocztowych, czy też przyjaciela. Zszedł na ląd. Dym drażnił mu oczy i gardło. Miał wrażenie, że znowu znajduje się na polu bitwy.

Z wysokiej sterty beczek z ryżem runęła nań jakaś postać. George, przestraszony, odskoczył błyskawicznie. Potem uśmiechnął się bez cienia wesołości.

— Aleś mnie przestraszył, Charles.

— Och — zaczął chłopiec. — Myślałem, że dostrzegł mnie pan wcześniej. — Najwidoczniej nie zamierzał przeproszać.

George uspokoił się, a kuzyn Charles mówił dalej:

— Orry wysłał mnie po pana. Jest teraz zajęty w Hull Square. — Czubkiem swego wielkiego noża „bowie” wygrzebał spod paznokcia trochę brudu.

Na brzegu pojawił się stary Murzyn, służący, który biegł ku nim tak szybko, na ile pozwalały mu siły. Charles krzyknął:

— Zwawiej, Cyceronie, bo poderżnę ci gardło. — To mówiąc, pogroził mu nożem. Murzyn krzyknął coś z przestachem i odskoczył w bok, stracił równowagę i z donośnym pluskiem wpadł do płytkiej w tym miejscu wody. Charles podbiegł do niego. — Na Boga, Cycero, ja tylko żartowałem!

— Skąd miałem to wiedzieć? wydyszał stary, kiedy Charles pomógł mu wyjść z wody. — Nieraz naprawdę zamierzasz się na innych tym żelastwem.

Charles wetknął nóż do pochwy.

— Zamierzam się tylko na Smithów i LaMotte'ów, nigdy na czarnuchów. A teraz rusz się i zanieś do domu torbę pana Hazarda.

Stary ociekał wodą. Przez dziury w mokrych butach wystawały brunatne palce. Bez słowa schylił się po bagaż George'a i oddalił się spiesźnie, najwidoczniej nie zależało mu na przedłużaniu spotkania z Charlesem.

— Chodźmy już — powiedział chłopiec, nie kryjąc rozbawienia.

Miał najwyżej jedenaście lat, wyglądał jednak na piętnaście, a nawet szesnaście. Od poprzedniej wizyty George'a urosł o kilka cali, był też znacznie szerszy w ramionach. George zerknął nań z zawiścią, żałował, że sam choćby w połowie nie wygląda tak mężnie i interesująco.

Charles poprowadził go wzdłuż nasypów oddzielających olbrzymie kwadratowe pola. Ziemię po prawej stronie zasnuwał dym. Niewolnice w sukniach podwiniętych do kolan i chustach

chroniących włosy przeciągały motykami płonące zarośla, aby podpalić następny kawałek ścierniska. Nieco dalej George dostrzegł Salema Jonesa siedzącego na mule. Ze swoją pałką i batogiem nadzorca wyglądał jak posąg.

Idąc za radą Charlesa George zakrył usta chustką. Na czarnoskórych robotnicach gryzący dym najwyraźniej nie robił żadnego wrażenia. Może wdychały go już od tyłu lat, że zdołały się przyzwyczaić. Kiedy płomienie buchały zbyt wysoko, kobiety biegly do najbliższego rowu irygacyjnego, chroniąc się w ten sposób przed niebezpieczeństwem. Wszystko to odbywało się wśród krzyków i śmiechów, ale nie sprawiało wrażenia zabawy, raczej przywodziło na myśl piekło. Może te płonące ścierniska stanowiły upragnioną rozrywkę od lat wykonujących tę samą pracę na plantacji Murzynów.

Już niedaleko odezwał się Charles, skręcając na wypalone pole, gdzie chmary czarnych ptaków i dzikich kaczek hałaśliwie dziobały ziemię. Szukają ziaren, które nie wykiel-kowały wyjaśnił.

Odganiane w sezonie uprawnym ptaki liczyły teraz, podczas wypalania pól, na pomoc ludzi. Donośny odgłos młota skierował uwagę George'a na nasyp biegnący tuż przy rzece. Dostrzegł Orry'ego, jedyne białego w grupie sześciu niewolników. Orry wbijał gwoździe w furkę drewna. Wystraszony Murzyn wciskał je jeden po drugim i odskakiwał w popłochu, zanim Orry uderzył młotem. Ciosy były silne i zamaszyste.

Dlaczego, na Boga, Orry próbuje swych sił w stolarce, skoro jest kaleką? George nie potrafił tego pojąć. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że właśnie kalectwo jest tego przyczyną.

Wreszcie Orry skończył pracę i obrócił się do George'a, który cierpliwie czekał nie opodal.

Witaj, George. Wybacz, że nie wyszedłem ci na spotkanie. Chłopcy spartaczyli robotę, musiałem więc pokazać im, jak to trzeba naprawić. Rzucił młot na ziemię, nie przejmując się faktem, że ciężkie narzędzie omal nie spadło na stopę niewolnika.

Widok przyjaciela zaszokował George'a. Orry sprawiał wrażenie starszego, był wymizerowany, ponury, zwichrzona broda zwisała do piersi wyglądał jak postać z *Biblii*. Lewy rękaw białej, mocno poplamionej bluzy przyczepił do ramienia.

— Co u ciebie? — zapytał George, kiedy ruszyli w stronę dworku.

— Haruję jak wół — powiedział Orry gwałtownie, niemal wyrzucił z siebie te słowa. — Praca ma mi pomóc wciągnąć się z powrotem, tak szybko jak to możliwe, w normalny tok życia. Zresztą ojciec jest już za stary, aby się zajmować plantacją, a Cooper wyjeżdża. Dziś po obiedzie, jeśli mam być dokładny.

George uniósł brwi.

— Dokąd się wybiera?

— Do Charleston. Uzgodnił to z ojcem. Coś w rodzaju dobrowolnego wygnania. Po prostu nie potrafi już dojść z ojcem do ładu. Nabił sobie głowę całą masą radykalnych idei. Obaj zdają sobie sprawę, że wyjazd jest jedynym wyjściem. Cooper sam zaproponował, że usunie się stąd, zanim jego poglądy poróżnią ich na dobre.

Nowina była zaskakująca, nic dziwnego, że Orry sprawiał wrażenie przygnębionego.

— Dostanie tam pracę?

— Praca czeka już na niego. Rok temu jakiś człowiek był winien memu ojcu mnóstwo pieniędzy, nie mógł ich jednak oddać. Zapisał mu więc wszystko, co posiadał: niewielką firmę bawelnianą. Aktywa nie są zbyt imponujące: dwa stare parowce na koła łopatkowe, walący się magazyn i przystań. Ojciec nie dałby za to złamanego centa. Dlatego też nie miał nic przeciwko temu, żeby Cooper przejął i poprowadził firmę. George, bardzo się cieszył, że cię widzę, ale nie jest to dobra pora na składanie wizyty w Mont Royal. Od jakiegoś czasu wszyscy pokrzykują na siebie.

Czy ty też? — pomyślał George, ale zachował to pytanie dla siebie. Jakiż wychudzony był Orry, jakie miał zapadnięte oczy! Gdy patrzył na przyjaciela, ogarnęło go przygnębienie.

— Musiałem cię odwiedzić — wyjaśnił, szukając wzrokiem kuzyna Charlesa, który w pewnym momencie odłączył się od nich. Dostrzegł go teraz na pobliskim polu; chłopiec stał obok Murzynki dwa razy starszej od siebie i z uśmiechem głąaskał ją po pośladkach. — Żenię się z Constance i chciałbym, abyś był moim przyjacielem.

— To wspaniałe nowiny. Gratuluje! — Orry nie podał mu ręki, nawet nie miał zamiaru tego zrobić. Usiłował właśnie wyjąć chustkę z tylnej kieszeni spodni.

— Jest w drugiej — powiedział George, sięgając po nią.

— Sam sobie poradzę. — Z zawziętą miną Orry wsunął rękę do lewej kieszonki. Chwycił za rąbek materiału i wyszarpnął chusteczkę.

— Zgadzasz się, Orry?

— Co? Ach tak, jasne. Pod warunkiem, że tu nie będzie zbyt wiele pracy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, aby zjeść obiad w towarzystwie mego ojca i Coopera. Upprzedzam, że może nie być zbyt przyjemnie.

Tym razem w Mont Royal nic nie było przyjemne. George żałował, że tu przyjechał. Postanowił jak najprędzej pożegnać się z przyjacielem.

Posiłek upłynął w dokładnie tak przykrym nastroju, jak przepowiedział Orry. Nie tylko on, ale również Tillet znacznie się postarzał od poprzedniej wizyty George'a. Wprawdzie niebawem rozpoczął ze swym najstarszym synem rozmowę o różnych sprawach, dotyczących owej małej firmy bawełnianej, ale nawet przypadkowy rozmówca zorientowałby się natychmiast, że Til* let wcale się tym nie interesuje.

Cooper natomiast z ogniem w oczach opowiadał o swoim planie postawienia firmy na nogi, tak aby zaczęła przynosić zyski.

— Z każdym rokiem wysyła się z tego stanu więcej bawełny. Powinniśmy również mieć udział w dochodach.

— Cóż, pokaż więc, co potrafisz — wzruszył ramionami Tillet.

Orry wspomniał kiedyś, że jego ojciec nie lubi nawet słuchać o rozwoju przemysłu bawełnianego w Południowej Karolinie; uważał, że zagraża on plantatorom ryżu, a szczególnie Mainom. Był zdania, że wszyscy farmerzy uprawiający bawełnę to parweniuszki bez rodowodu, mimo iż jeden z najznakomitszych obywateli stanu i prawdopodobnie jeden z najbogatszych, Wadę Hampton z Millwood, również zajmował się uprawą bawełny.

Cooper, który wyczuł niechęć w słowach ojca, zirytował się.

— Oczywiście, że pokażę — odparł kategorycznym tonem.

Clarissa westchnęła i pogłaskała go po ramieniu. Tillet nie zwrócił na to uwagi. Ashton, coraz bardziej świadoma swej kobiecości, podczas posiłku nie odrywała od George'a oczu, czym wprawiała go w zakłopotanie. Brett trąciła sipstrę łokciem, aby przywołać ją do porządku, na co tamta chwyciła ją za włosy. Scysję uśmierzył rozwścieczony Tillet; odesłał córki do ich pokoju wraz z Clarissą, aby ta sprawiła im lanie,

Kiedy George wyszedł na podwórze, Brett szlochala jeszcze, Ashton natomiast wpatrywała się w ojca z płomienną nienawiścią.

Jeśli w tej dziewczynie tkwią jakieś uczucia pomyślał George — to z pewnością najgorsze.

Kuzyn Charles siedział wsparty plecami o jedną z kolumn i strugał coś w drewnie. Zirytowana Clarissa pociągnęła go za ucho.

— Wstań i pożegnaj się ze swoim kuzynem.

Charles obrzucił ją ponurym spojrzeniem).

— Chciałbym skończyć tę figurkę.

Orry postąpił do przodu.

— Wstawaj! — Wsunął dłoń pod lewe ramię cniopca i szarpnął tak gwałtownie, że Charles jęknął z bólu. Wlepił wzrok w Orry'ego, ten jednak wytrzymał spojrzenie, nie mrugnawszy nawet okiem.

George spojrział na rękę przyjaciela; wyglądała na bardziej mocarną, szerszą w przegubie niż dawniej.

Czyżby Orry ćwiczył ją, by była silniejsza? Chyba tak.

Charles wymamrotał do Coopera słowa pożegnania, po czym wsunąć nóż do pochwy i zaczął pocierać ramię, jakby nadał czuł uścisk Orry'ego. Pocierał je jeszcze, kiedy pięć minut później powóz wiozący Coopera potoczył się drogą ku bramie.

Tego samego wieczoru George oznajmił Mainom, że nazajutrz z samego rana będzie musiał wyjechać do Pensylwanii. Orry zaproponował, że odprowadzi go na małą leśną stacyjkę północno-wschodniej linii kolejowej. George spał niespokojnie i zbudził się skoro świt. Ubrał się i wyszedł z pokoju. Przypuszczał, że napotka jedynie niewolników przyrządzających kawę. Ku swemu zaskoczeniu usłyszał na dole donośne głosy gospodarzy, nie szizby. Tillet był już na nogach, podobnie jak Clarissa i Orry. Dlaczego?

Zbiegł po schodach. Mainów zastał w jadalni. Przez wschodnie okna, ponad drzewami, wpadały pierwsze, nieśmiałe jeszcze promienie słońca. Białe od szronu trawnik pokrywała mgła.

— Dzień dobry, George powitała go Clarissa. Nigdy jeszcze nie widział jej z nie zaczesanymi porządnie włosami, w większości już siwymi, i niedbałym stroju. Teraz miała na sobie starą, znoszoną suknię z wypłowiałymi haftami.

— Dzień dobry.

Co miał im powiedzieć? Dlaczego się tu zgromadzili? Czyżby ktoś zmarł tej nocy?

Tillet opadł na swój fotel, od wieczora postarzał się jeszcze bardziej. Na stole przed nim stała filiżanka aromatycznej, gorącej kawy. Orry westchnął przeciągle i zwrócił się do przyjaciela:

— Nie ma sensu ukrywać tego przed tobą. Na całej plantacji wrze. Ostatnio mieliśmy same kłopoty z tym czarnuchem, Priamern... pamiętasz go chyba?

George skinął głową, jakże mógłby zapomnieć tamten wrzask?

— Cóż — mówił dalej Orry — wygląda na to, że dał drapaka.

Zapadła cisza. W tym momencie do jadalni weszła służąca. Niosła tacę z ciasteczkami i dzbanem miodu. George pamiętał ją z czasu swej poprzedniej wizyty w Mont Royal. Wtedy było to pogodne, skóre do żartów stworzenie. Teraz niemal bezszelestnie kręciła się ze spuszczoną głową, nie patrząc na nikogo.

Kiedy wyszła, przez lekko uchylone okno dobiegły go bojaźliwe głosy. Tuż obok kuchni stało kilka niewolnic, szepczących coś jedna do drugiej. Nie było słyhać śmiechu. Najwidoczniej przestępstwo jednego niewolnika kładło się ciężkim brzemie-

niem na reszcie. Ale niepokój nie był udziałem samych niewolników. Tu w jadalni zapach strachu był tak intensywny, jak aromat świeżych ciasteczek.

— Tato, co się stało? Dlaczego wszyscy już wstali?

To nieoczekiwane pytanie sprawiło, że wszyscy drgnęli. W progu, odziana jedynie w nocną, bawełnianą koszulę, stała Brett. Na jej twarzy malował się niepokój.

— Zbiegł jeden z naszych czarnuchów. Ale schwytamy go. A ty wracaj do łóżka.

— Ale który to, tato? Który z nich uciekł?

— Tillet uderzył pięścią o stół.

— Powiedziałem: wracaj do siebie.

Brett odwróciła się i pobiegła do sypialni. George wsłuchiwał się w rytm, który jej bose stopy wybijały na schodach. Clarissa poprawiła się na fotelu. Z założonymi rękami wpatrywała się w błyszczący blat stołu. Orry nerwowo kręcił się w pobliżu okna.

Wstające słońce rozrzedziło mgłę. Tillet przecierał dłońmi oczy i policzki, a George gryzł ciastko, nie wiedząc, co robić.

Dlaczego oni wszyscy tak bardzo przejmują się ucieczką jednego człowieka? Czyżby dlatego, że jeden Murzyn znalazł się na wolności? Czy w takim razie wolność była dla nich pojęciem aż tak karygodnym? Przecież przodkowie Tilleta wystąpili przeciw Anglikom, walcząc właśnie o wolność tego kraju!

Niebawem uświadomił sobie, że rozumuje niemądrze. Mainowie walczyli o wolność dla białych, i ta idea była w ich oczach czymś wielkim. Wolność dla czarnych oznaczała już coś zupełnie odmiennego; należało się jej obawiać nie tylko ze względu na uciekiniera, ale konsekwencje jego desperackiego kroku. Raptem George pojął dylemat Południa, począł dostrzegać szpony, w których system niewolnictwa trzymał właściciela niewolników. Nie wolno było dopuścić do ucieczki choćby jednego czarnego, gdyż jego sukces mógłby zachęcić do podjęcia podo bnej próby tysiące innych. Mainowie i inni plantatorzy byli więźniami systemu, z którego ciągnęli zyski. Byli również więźniami własnego strachu. Poczuli litość dla rodziny Orry'ego, ale po raz pierwszy również pogardę.

Tętent kopyt poderwał Tilleta na nogi. Na podwórze wpadł galopem Salem Jones, który po chwili szybkim krokiem wszedł do pokoju. Nadzorca sprawiał wrażenie zadowolonego. Starając się stłumić uśmiech, zameldował:

Nadal nigdzie śladu tego łajdaka. Ostatnio widziano go wczoraj o zachodzie słońca. Przeszukałem jego chatę i teraz już rozumiem, dlaczego sprawiał tyle kłopotów. Rzucił szybkie, oskarżycielskie spojrzenie na Clarissę, czego zatopiona w myślach matka Orry'ego nie dostrzegła, ale co nie uszło uwagi Tilleta.

— O czym ty mówisz? — zapytał

Joimes sięgnął pod kurtkę.

— O tym. Była ukryta pod siennikiem Priama. — Cisnął na stół brudną książkę z postrzępionymi brzegami. Pozostali skupili się wkoło, aby zobaczyć, co to takiego. — Podejrzewam, że przeczytał ją, zanim stąd czmychnął. To pewnie dlatego wpadł na ten pomysł. Uwierzył, że jest źle traktowany.

— Nie wiedziałem, że niewolników uczy się czytać — odezwał się George.

— Zazwyczaj się tego nie robi — mruknął Orry.

— W przypadku Priama uczyniliśmy wyjątek — wyjaśnił Tillet; nie patrząc na żonę. — Pani Main była zdania, że drzemia W niin spore zdolności. I że ma spokojną naturę. Co do pierwszego, miała może rację, ale jeśli chodzi o ten spokojny charakter... nie, hie, wcale cię nie obwiniam, Clarisso.

Dopiero teraz spojrział na nią. Każde jego słowo było zarzutem pod jej adresem.

- Pozwoliłem ci uczyć Priama czytać i rachować. Był to jednak fatalny błąd. — Zwrócił się do George'a. — Myślę, że teraz pan już rozumie, dlaczego Południe musi mieć prawo zabraniające czarnym pobieranie nauk. Nawet *Biblia* może się stać źródłem buntowniczych idei, o ile zinterpretuje się ją niewłaściwie.

Orry podniósł książkę.

— Kto w ogóle przyniósł na naszą plantację ten śmieć?

— Nie mam pojęcia — odparł Tillet. — Ale przypilnuj, by ją spalono.

Dopiero teraz George, patrząc na okładkę, zorientował się, co to za książka. Taki sam egzemplarz widział w domu kilka lat temu. Na obwolucie widniał znak firmowy Amerykańskiego Stowarzyszenia Przeciwników Niewolnictwa z Nowego Jorku oraz tytuł: *Niewolnictwo w Ameryce — prawdziwe oblicze*. Książka została napisana przez czcigodnego Teodora Welda i ^publikowana w 1839 roku. Zawierała fragmenty ustaw dotyczących niewolników, wspomnienia zbiegów, jak również wypowiedzi właścicieli niewolników, którzy z olbrzymim zapalem bronili tego systemu, pomniejszając albo w ogóle dementując fakt niewłaściwego traktowania czarnych. Jego siostra, Virgilia, powiedziała kiedyś, że publikacja Welda jest najbardziej znaczącym dokumentem potępiającym niewolnictwo ze wszystkich, k^oóre do tej pory ukazały się w Stanach Zjednoczonych.

— Bardzo łatwo wskazywać teraz palcem, Tillecie — odezwała się Clarissa — ale co proponujesz? Głos zabrał Salem Jones.

— Ja bym wypytał siostrę Priama, chociaż nie wiem, czy to coś da. Jest wystraszona. Co gorsza, nic nie wie. Nawet gdyby

chciała powiedzieć mi coś rozsądnego, nie potrafi. Kiedy zapytałem, dokąd udał się jej brat, wykrztusiła tylko dwa słowa: na północ. I tego się spodziewałem, jeśli mam być szczerzy. Moim skromnym zdaniem nie mamy innego wyboru, jak tylko zaapelować o pomoc do wszystkich sąsiadów i zorganizować specjalny konny patrol, który wytropiłby tego czarnucha. Tillet siedział nachmurzony.

— Uzbrojony patrol? — zapytał.

— I to ciężko uzbrojony, sir. Przykre, ale konieczne. v

Nareszcie będzie się mógł wyżyć — pomyślał George.

Nerwowym gestem Tillet potarł sobie czoło.

— W całej historii Mont Royal ani razu Mainowie nie musieli uciekać się do czegoś takiego, jak specjalny patrol konny. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tu przypadku ucieczki kogokolwiek z moich ludzi. Nawet jednego! — Spojrzał na Georga błagalnie i jakby z udręką. George, nadal zakłopotany, a zarazem zirytowany, odwrócił wzrok. Twarz Tilleta stężała. — Ale mówisz słusznie, Jones. Najwidoczniej tamta nauczka nie wywarła na Priamie większego wrażenia. Trzeba więc udzielić mu takiej, która będzie stanowiła przestrożę dla innych.

— Jestem tego samego zdania — mruknął niemal bez wahania Orry.

George wlepił w niego wzrok, czując, że ogarnia go przerażenie. Jones, nie próbując nawet ukryć radości, wyszedł z pokoju.

Kilka godzin później Orry i George jechali w stronę stacji kolejowej. W drodze zamienili zaledwie parę słów. Orry podążał przodem, miał na sobie nieco sfatygowany już, ale z dobrego materiału surdut z wyłogami. U jego prawego boku wisiał skryty w kaburze pistolet marki Johnson.

Nisko nad ziemią nadal kłębiła się mgła, a przedzierający się przez drzewa pomarańczowy blask słońca oblewał las. Jego piękno było wyjątkowe, prawie nienaturalne. Kopyta koni miękko uderzały o dywan z sosnowych igieł i zwiędłych liści. Kufer George'a kolebał się na grzbiecie zwierzęcia tuż za siodłem.

Dlaczego Orry jest taki milczący? Wygląda na zagniewanego. Ale na kogo się gniewa? Na Priama? Na swego ojca? Na cały świat? A może na mnie?

George'a korciło, aby zapytać o Madeline LaMotte. Podczas wizyty nie wspomniano o niej ani razu. Zdecydował jednak, że lepiej nie poruszać tego tematu.

Od stacji dzieliło ich jakieś pół mili, kiedy rozległ się przeciągły, powtórzony przez echo gwizd. George trącił konia piętami i zrównał się z Orrym.

— Czy to mój pociąg?

Orry wyjął z wewnętrznej kieszeni ciężki, złoty zegarek. Otworzył wieczko, potrząsając głową zatrzasnął je z powrotem.

— To towarowy na północ. Jest tu codziennie o tej porze. Teraz znajduje się pięć, może sześć mil stąd na południe. Na moczarach dźwięk rozchodzi się bardzo daleko. Osobowy nie przyjedzie wcześniej niż za dwadzieścia minut.

Ruszył przed siebie. Droga wyprowadziła ich spośród drzew, zatoczyła łuk wzdłuż kolejnego trzęsawiska i znowu zanurzyła się w gąszczu. Niebawem znaleźli się na pospęnej polanie, przeciętej na dwie części ścieżką biegnącą mniej więcej z południowego wschodu na północny zachód. Tuż przy niej stała szopa z drzewa cyprysowego, pozabawiona ściany od strony szyn.

Orry trafnie ocenił odległość pociągu od stacji. Towarowy był już niedaleko, jednak poza zasięgiem wzroku. Dobiegł ich odgłos przestawianej zwrotnicy oraz stukot kół. Podczas gdy George uwiązywał podniecone konie, Orry wszedł do szopy i podniósł wieko drewnianej skrzynki, wiszącej na ścianie, wyjął czerwoną flagę i zawiesił ją na linie biegnącej po sosnowym słupie. - Zrobione. To sygnał dla osobowego, żeby stanął.

Podszedł do George'a w tej samej chwili, kiedy zza zakrętu wyłoniła się lokomotywa pociągu towarowego. Znowu rozległ się przeciągły, ogłuszający gwizd. Parowóz dudniąc po szynach minął ich z prędkością około dziesięciu mil na godzinę. Palacz i maszynista pomachali radośnie rękami, Orry dosyć oziębło odpowiedział im podobnym gestem. George przecesał palcami włosy, aby strzepnąć sadze.

Lokomotywa zniknęła już w lesie, obok nich przejeżdżały teraz wagony towarowe i platformy. Orry otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale George nie patrzył na niego; jego uwagę przykuł widok czarnoskórego mężczyzny, który raptem wynurzył się z gęstwiny. Pędził teraz co sił równoległe z pociągiem.

Orry, zaalarmowany wyrazem twarzy przyjaciela, obrócił się. Zaskoczenie przerodziło się niemal natychmiast w gniew.

— Priam! Stój!

Niewolnik zapewne ujrzał obu białych już wcześniej, ale widocznie nie rozpoznał ich. Zdołał uchwycić się otwartych drzwi wagonu w tej samej chwili, kiedy Orry dopadł konia. George nie przypuszczał nawet, że jego przyjaciel potrafi ruszać się i dosięgać konia tak szybko.

Leżąc na pomoście Priam popełnił błąd; spojrzął za siebie. Kiedy rozpoznał brodatą twarz jeźdźca, w jego oczach pojawił się paniczny strach. Orry przynaglił konia, dźgając jego boki raz po raz.

Szybciej, Priam — krzyczał w duchu George. — Wczołgaj się do wagonu, bo cię zastrzelili!

Ale widok właściciela najwidoczniej odebrał Priamowi zdolność myślenia. Leżał na brzuchu, rzucając się jak ryba na brzegu. Nogi zwisały na zewnątrz, niemal szorowały po nasypie. Orry mknął galopem aż na skraj polany, tam obrócił się w siodle, prawym bokiem do pociągu.

Dyszząc ciężko Priam uniósł wreszcie prawą nogę i wsunął się bardziej w głąb wagonu. George podejrzewał, że niewolnik jest nie tylko przerażony, ale i opada z sił; w przeciwnym razie byłby już wewnątrz jadącego pociągu. Tymczasem lewa noga Priama nadal wisiła w powietrzu.

Kiedy wagon mijał go z wolna, Orry wyciągnął rękę i chwycił Priama za stopę, wyciągając go na zewnątrz. Niewolnik usiłował przytrzymać się czegoś na podłodze, ale nagle krzyknął, gdyż drzazga rozorała mu dłoń. Orry kolanami skierował konia na lewo, nie rozluźniając uchwytu i wreszcie Priam wypadł z pociągu. Runął ciężko na brzuch tuż obok torów, a George'owi zdawało się, że przez dudnienie kół słyszy rozpaczliwy szloch niewolnika, kiedy ostatni wagon zniknął w oddali. Stojący nieruchomo na platformie hamulcowy obserwował całą scenę.

George, musisz mi pomóc! krzyknął Orry, zsiadając z konia i wyciągając pistolet. Kiedy George podbiegł do niego, przyjaciel podał mu broń kolbą do przodu.

Trzymaj go na muszce. Jeśli się ruszy, strzelaj.

Priam zerknął przez ramię. George wzdrygnął się na widok jego oczu.

— Panie Orry... proszę... panie Orry...

— Nie masz co skomleć przerwał rnu Orry, odczepiając od siodła zwiniętą linę. Chyba wiedziałeś, co robisz, kiedy zwiewałeś. Wstań i trzymaj ręce na plecach!

- Panie Orry...! powtórzył Priam, dźwigając się na nogi. Nie był to już ten sam hardy niewolnik, co dawniej. Nieudana ucieczka uczyniła z niego człowieka słabego i bezbronno jak dziecko. W wyglądzie tego dorosłego człowieka, zebrzącego o litość tak żarliwie, że po policzkach ściekały łzy, było coś haniebnego, niemal ohydneho.

Trzymaj go na muszce - powtórzył Orry, nie spuszczać wzroku z niewolnika. Jednym końcem liny, sprawnie posługując się prawą dłonią, związał mu ręce. Trzeba było przyznać, że wiele się nauczył w tak krótkim czasie. George oblizwał wargi. — Co teraz będzie?

Nie wiem. Myślę, że go okulawią, aby nie mógł już nawet marzyć o ucieczce. Ale mój ojciec jest na niego tak wściekły, że może go zabić.

Priam spuścił głowę.

.— Chryste Jezu, o Jezusie!

— Przestań, Priam. Wiedziałeś, co cię czeka...

— Orry, puść go...

George powiedział to tak ochryplym głosem, że sam był zaskoczony. Właśnie stanął nad przepaścią, jakiś impuls kazał mu uczynić krok do przodu. Cała ta sprawa nie powinna go była obchodzić nic a nic, ale odezwało się w nim coś, co nie pozwalało mu stać beczynn timer przyglądać się, jak ów Murzyn wraca do Mont Royal po to tylko, aby ktoś okuliawił go tam albo nawet zamordował.

Przez moment wydało mu się, że postąpił głupio. Priam nie znaczył dla niego nic, jego przyjaźń z Orrym bardzo wiele. Wiedział jednak, że nigdy nie zaznałby spokoju, gdyby w takiej chwili milczał.

— Coś ty powiedział? — zapytał Orry z taką miną, jakby ujrzał nagle, że słońce wschodzi na zachodzie, a na drzewach zamiast liści wyrastają banknoty.

— Puść go. Nie maczaj rąk w morderstwie.

Orry w ostatniej chwili zdusił ostrą odpowiedź, zaczerpnął głęboko tchu.

— Mieszasz ludzi z niewolnikami. To nie to sa...

— Diabła tam! Powiadam: nie rób tego! — George dygotał na całym ciele, tracił panowanie nad sobą. Udało mu się złagodzić ton. — Jeśli nasza przyjaźń coś dla ciebie znaczy, wyświadcz mi tę przysługę.

— To nie fair! Wykorzystujesz sytuację!

— Tak, to prawda. Po to, aby uratować mu życie.

— Nie mogę wrócić do Mont Royal i oświadczyć ojcu...

— A czy musisz mu coś mówić? — przerwał George. — Ja nie pisnę nikomu ani słowa, a Priama nie ujrzysz już nigdy!

— Tak, sir, będę milczał jak grób — zaszlochał Priam. — Boże, panie Orry, przysięgam, że kiedy już będę daleko, nikt i nigdy nie...

— Zamknij się, do diabła!

Okrzyk Orry'ego odbił się głośnym echem w ciszy, która nagle zapadła.

Orry przesunął dłonią po twarzy, spojrział na George'a gniewnie i wyrwał mu z ręki pistolet.

Chryste Jezu, zastrzeli go na miejscu!

Mina Orry'ego zdradzała aż nadto wyraźnie, że tak właśnie uczyniłby najchętniej. George zdawał sobie sprawę, że jego życzenie jest sprzeczne z tym wszystkim, czego Orry uczył się do tej pory, z tym wszystkim, czym był. Raptem gestem wyrażającym zarazem furię i przyzwolenie Orry machnął pistoletem, tak jakby ciałą szabłą powietrze.

— Wynoś się — warknął. — Wynoś się, zanim się rozmyślę.

Priam nie tracił czasu na zbędne słowa. Jego duże, załzawione

oczy spoczęły na krótką chwilę na twarzy George'a, tylko w ten sposób mógł mu podziękować. Wkrótce zniknął wśród sosn po północnej stronie polany. Orry odszedł na bok, przystanął ze spuszczoną głową. Tupot nóg Priama przebrzmiał w oddali. George usłyszał gwizd zbliżającego się pociągu osobowego. Odetchnął głęboko i podszedł do przyjaciela.

— Wiem, że nie powinienem był prosić cię, abys go puścił. Wiem, że należy do ciebie. Ale po prostu nie mogłem stać i patrzeć, jak...

Urwał. Orry trwał w bezruchu, zwrócony doń plecami.

— W każdym razie jestem ci bardzo wdzięczny.

Orry obrócił się na pięcie. Jego dłoń ściskająca pistolet była biała jak mąka. George spodziewał się krzyku, ale głos przyjaciela był nadzwyczaj cichy:

— Już kiedyś próbowałem ci wyjaśnić, na czym polega istota Południa. Powiedziałem ci wtedy, że my rozumiemy lepiej nasze problemy i potrzeby niż intruzi z zewnątrz. Powiedziałem też, że spróbujemy rozwiązać te problemy, o ile w nasze sprawy nie zaczną się mieszać ci z zewnątrz. Jak widzę, to wszystko nie wywarło na tobie wrażenia. W przeciwnym razie nie poprosiłbyś, abym pozwolił odejść Priamowi. Uszanowałem twoje życzenie, gdyż przyjaźnimy się od dawna, ale jeśli chcesz, żebyśmy byli nadal przyjaciółmi, nie proś mnie nigdy więcej o coś takiego!

George poczuł przypływ gniewu, ale opanował się niemal natychmiast. Surowa powaga Orry'ego zrobiła na nim wrażenie, a jego słowa precyzyjnie określiły warunki ich przyszej przyjaźni.

— Zgoda — odparł. — Wiem, co czujesz.

— Mam nadzieję.

Orry wetknął pistolet pod ramię i sięgnął do kieszeni po zegarek. Kiedy otoczony kłębami pary pociąg wjeżdżał na stacyjkę, Orry był już na tyle spokojny, że zmienił temat.

— Żałuję, że twoja wizyta wypadła w czasie, kiedy wszystko wygląda tu, jakby stało na głowie. Jego wzrok złagodniał. Najwidoczniej te słowa miały być podawaną przyjacielowi gałązką oliwną. — Następnym razem kiedy tu przyjedziesz, wszystko będzie inaczej. A tymczasem bardzo się cieszę, że na twoim ślubie z Constance będę przy tobie. To znaczy, jeśli nadal chcesz, abym...

Uradowany George poklepał go po ramieniu.

— Oczywiście. Jak tylko uzgodnimy datę i wszystkie szczegóły, napiszę do ciebie.

— Świetnie. Szczęśliwej podróży... i pozdrów ode mnie całą rodzinę.

— Na pewno nie zapomnę. Dzięki, Orry.

Konduktor dał sygnał do odjazdu i po chwili George machając

ręką stał już na pomoście wagonu. Orry w geście pożegnania uniosł dłoń, w której nadal ścisnął broń. Wkrótce wszystko przesłoniła para, dym i drzewa.

George wepchnął kufer pod siedzenie i usiadł przy oknie, wpatrując się w umykające za szybą sosny. Co jakiś czas gąszcz drzew ustępował miejsca moczarom, ale George jakby nie widział zmieniającego się krajobrazu. W jego pamięci utrwalił się inny obraz: widok ściąganej z platformy wagonu Priama i wyraz jego oczu, w których była świadomość zbliżającej się śmierci.

Priam miał zostać ukarany za to, że pragnął wolności, takiej samej wolności, jaką Orry mógł cieszyć się tylko dlatego, że był biały. George nigdy nie uważał się za zwolennika Murzynów, czuł jednak, że staje się nim teraz, zwłaszcza w kwestii wolności. Czemu nie mogą z niej korzystać wszyscy ludzie? Akurat w Ameryce?

Miał nadzieję, że Orry nie mylił się, mówiąc że Południe rozwiąże swoje problemy. Bo gdyby nie potrafiło tego uczynić, sprawę musiałby wziąć w swoje ręce cały naród. Po raz pierwszy uświadomił sobie ten fakt i zrozumiał, dlaczego tak się będzie musiało stać.

15

Kilka dni później Madeline stała w mroku swej ubieralni, dotykając własnego ciała. Odczuwała ból, nie był to jednak ból fizyczny, lecz męka zrodzona przez samotność. Przez brak miłości. Przez świadomość potęgującej się izolacji.

Dłońmi ścisnęła piersi, jak gdyby mogła w ten sposób uśmierzyć cierpienie. Stała tak przez dłuższą chwilę, z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczyma, ale nie doznała ulgi. Zrezygnowana wyszła przez obszerną sypialnię na werandę. Zadrżała z zimna. Z budynku kuchennego dobiegł ją intensywny zapach pieczonego ptactwa, przyrządzanego na sobotni obiad. Ach tak, to jutro sobota... Dni nie miały już większego znaczenia, jeden przypominał drugi... Co za udręka!

Jak bardzo chciała mieć teraz przy sobie Maum Sally. Ale stara Murzynka wyjechała do Nowego Orleanu, aby pomóc ojcu Madeline w jego ostatnich chwilach. Będąc raczej wolną służącą Nicholasa Fabraya niż jego niewolnicą, Sally postanowiła nie wracać po śmierci swego chlebodawcy do Południowej Karoliny. Madeline zrozumiała przyczyny jej decyzji; kilka miesięcy wśród LaMotte'ów oznaczało dla Sally więcej niż potrafiła znieść. Nigdy

nie tolerowała arogancji i nieuprzejmości, a te właśnie cechy charakteryzowały Justina i większość jego rodziny.

Madeline znalazła kogoś, kto kiedyś — miała taką nadzieję — zdoła zastąpić jej Maum Sally. Była to Nancy, służąca, śliczna Mulatka, licząca sobie niewiele więcej niż dwadzieścia lat. Obie rozumiały się doskonale, były dla siebie niemal powiernicami. Już dwukrotnie Nancy przyniosła Madeline ustną wiadomość z Mont Royal. Wiadomość zawsze była krótka: kaplica Zbawienia, potem godzina i dzień. Nie zawierała żadnego nazwiska, a w oczach Nancy, kiedy przekazywała ją swej pani, nie było nawet śladu szyderstwa. Jej mina wyrażała raczej sympatię i zrozumienie.

Madeline nie pytała nigdy, w jaki sposób niewolnicy z jednej plantacji przekazują wiadomości niewolnikom z innej, wierzyła w dyskrecję posłańców. Ale czy miała wybór? Zaakceptowała Nancy w roli pośredniczki, musiała więc obdarzyć ją zaufaniem.

Madeline nigdy nie odpowiedziała na owe wezwania, nie poszła do kaplicy, jakkolwiek trawiła ją żądza, aby udać się tam, być z Orrym, objąć go i całować. Opierając się teraz o poręcz werandy uświadomiła sobie, że nie słyszy rozmów w kuchni, chociaż niewolnicy musieli tam pracować. Ta osobliwa cisza zaintrygowała ją, ale po chwili dobiegł ją jakiś dźwięk z biura plantacji, niewielkiego budynku, w którym Justin rzadko spędzał czas. Był to odgłos bicza smagającego gołe plecy. W wieczornej ciszy wyraźnie rozległ się kolejny dźwięk: ktoś jęczał. Justin chłostał niewolnika. To zdarzyło się już nie raz.

Przepelniona odrazą, a jednocześnie pchana jakąś potężną siłą, zbiegła na dół i przemknęła przez hol. Na jego ścianie widniała ozdoba, stara, wyszczerbiona szabla. Przez wiele pokoleń należała do LaMotte'ów. Justin opowiedział jej kiedyś, że podczas rewolucji tą szablą walczył u boku Gamecocka Sumtera jego przodek.

Madeline wypadła na ścieżkę wiodącą w stronę biura. Kiedy stanęła za pobliskim krzakiem, usłyszała kolejne odgłosy uderzeń i jęki. Potem rozległ się szorstki głos Justina:

— Mój brat powiedział mi, że tej nocy, kiedy uciekł czarnuch Mainów, ktoś z mojej plantacji pomógł mu się ukryć. Kto to był, Ezekiel? Gadaj!

-- Nie wiem, panie LaMotte. Przysięgam na Boga, nie wiem.

— Łiesz! Justin uderzył ponownie, Ezekiel zawył.

Madeline stała bez ruchu: ciemna postać na tle mroku.

Ogarnęło ją przerażenie. A więc Justin wypytywał o tego niewolnika, Priama? W jaki sposób Francis LaMotte dowiedział się, że ktoś w Resolute dopomógł mu w ucieczce? Wiedział o tym czy tylko podejrzewał? Jak daleko posunie się w swoim śledzt-

wie? Czy zaczniesz przesłuchiwać wszystkich w domu? Również Nancy?

Madeline wiedziała, że nie powinna tu stać. Gdyby ktoś dostrzegł ją, wzbudziłaby podejrzenie. Nie opodal biura wznosiła się niewielka pergola, tam mogła przysiąść, każdy pomyśli, że chce po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza. Wieczór był tak bezwietrzny, że przy odrobinie szczęścia może uda jej się złowić uchem trochę więcej z tego, co odbywa się w biurze.

Skryła się w pergoli, niebawem jej wysiłki zostały nagrodzone. Przez najbliższe trzy kwadransy Justin, nie oszczędzając razów, przesłuchiwał niewolników. Najbardziej rozjuszył Madeline sposób, w jaki jej mąż traktował niewolnice. Bił je z nie mniejszą siłą niż mężczyzn. Zadawał te same pytania:

— Kto to zrobił? Kto mu pomógł? Kto zlitował się nad zbiegłym czarnuchem? Powiedz, Clyta!

Clyta? Madeline drgnęła, jak ugodzona kijem. Myśli kłębiły jej się w głowie. W Resolute była tylko jedna Clyta, osiemnastoletnia dziewczyna, z którą Justin — jak podejrzewała Madeline — spał już kilkakrotnie. Teraz była w ciąży. Mimo to Justin uderzył ją ponownie. Clyta jęczała z bólu.

— Kto to zrobił?

Madeline zacisnęła pięści, nie zważając, że paznokcie wbijają się w ciało. Odpowiedź na pytanie tak bardzo nurtujące Justina zabrał ze sobą zbiegły niewolnik, który zaledwie kilka mii przed granicą stanu natknął się na patrol. Priam stawiał opór i został śmiertelnie ranny. Zabrał do grobu nazwisko swego dobroczyńcy.

Madeline poczuła ziąb. Jej oddech w chłodnym powietrzu zamieniał się w obłoczki pary. Justin powtórzył pytanie, krzyczał donośnie. Jeszcze jedno uderzenie i kolejny jęk bólu. Madeline zacisnęła pięści jeszcze mocniej, paznokcie przecięły skórę dłoni jak drobne ostrza.

Kto to zrobił? Chciałbyś wiedzieć, Justinie? Twoja żona. To właśnie twoją żonę Nancy przywołała owej nocy, kiedy na plantacji zjawił się wystraszony i głodny Priam. To właśnie ją poszłam mu pomóc. Nie wiedziałeś o niczym. Byłeś jak zwykle przy swoich koniach albo może z którąś z murzyńskich dziwek. To właśnie ja mu pomogłam, łajdaku! To właśnie ja współczuję tym czarnuchom!

Nie starczyło jej odwagi, aby pobiec do biura i wykrzyczeć mu to wszystko w twarz. Poczuła wstyd. Zerwała się z miejsca i uciekła, zakrywając uszy, aby nie słyszeć przeraźliwych jęków Clyty.

Justin zajmował oddzielną sypialnię, do Madeline przychodził tylko wtedy, gdy chciał zaspokoić żądzę. Była mu wdzięczna, że tej nocy zostawił ją w spokoju. To, co usłyszała, kryjąc się w pergoli, nie pozwalało jej zasnąć. Przepełniało ją pragnienie zemsty na mężu. Zemsta była jednym z powodów, dla których tak skwapliwie zgodziła się udzielić pomocy, kiedy Nancy powiedziała jej o zbiegłym niewolniku, ukrywającym się na poddaszu chaty dla chorych.

Niebawem uspokoiła się trochę, zaczęła rozmyślać o Orrym. Ludzie powiadali, że zmienił się, odkąd stracił rękę w Meksyku. Podobno stał się zgorzkniały. A jednak dwa razy przesłał jej wiadomość, prosząc o sekretne spotkanie.

Kierując się wpojonymi jej zasadami, kodeksem postępowania, według którego żyła dotąd, nie zareagowała na te wiadomości. Tak jakby Justin zasługiwał na jakiegokolwiek względy! Przesunęła dłońmi w dół ciała, usiłując stłumić to, co czuła w swym wnętrzu. Na próżno. Jutro po obiedzie złoży wizytę Clarissie Main. Justin oczywiście nie będzie jej towarzyszył, na samo wspomnienie o obowiązkach towarzyskich zaczynał ziewać. W trakcie tej wizyty będzie mogła sama przekazać Orry'emu wiadomość.

Dlaczego czekała z tym tak długo? Dlaczego odmawiała sobie krótkiej nawet chwili szczęścia? Najistotniejsze powody to z pewnością ów nieuzasadniony strach przed młodością Orry'ego, jej własne sumienie, sekret, który ojciec powierzył jej na łożu śmierci. Ale to wszystko straciło raptem znaczenie. Modliła się, aby Orry nie był obrażony za jej wcześniejszą odmowę, aby nie odwrócił się teraz od niej.

Rankiem, zanim jeszcze wstał świt, narzuciła szlafrok i poszła do kuchni. Tak jak się spodziewała, zastała tam jedynie Nancy, która w mdłym świetle lampy skubała dorodne indyczki.

— Pojedziemy dziś po południu do Mont Royal, Nancy

— Tak, psze'pani.

Madeline była tak szczęśliwa, tak uradowana, że nie zastanowiły jej smutek i powaga malujące się na twarzy Nancy.

— Czy mogłabyś przesłać tam wiadomość, tą samą drogą, którą otrzymujesz wieści z Mont Royal?

Nancy ze zdumieniem spojrzała na nią.

— Wiadomość dla młodego pana?

— Właśnie. To będzie nasz sekret.

— Tak, psze'pani. Pewnie.

— Nancy, co się stało?

Mulatka odwróciła wzrok. Patrzyła z uwagą na duży piec, z którego rozchodziły się intensywne zapachy. Madeline dotknęła jej wątego ramienia, ciało dziewczyny było zimne.

— Powiedz mi.

— To Clyta, psze'pani. Po tym, jak pan Justin stłukł ją tej nocy, straciła swoje dziecko.

— Och, nie! Och, Nancy! — zawołała Madeline, tuląc dziewczynę, jakby mogła w ten sposób ukoić jej ból.

Po jej policzkach spływały łzy, ale w sercu była pustka, kiedy pomyślała o mężu. Co za dzicz! Po prostu dzicz!

Orry wyruszył do kaplicy Zbawienia bez kapelusza, mimo iż posępne niebo zapowiadało deszcz. Przez ostatnie pół mili rzeczywiście padało. Nie była to wprawdzie rześista ulewa, ale przyniosła chłód. Zimowy deszcz, sygnał, że minął już czas upraw i niebawem rozpocznie się sezon towarzyski w Charleston.

Tego ranka nic nie mogło zmącić radosnego nastroju, który ogarnął Orry'ego. Uchylił się przed wiszącymi nisko gałęziami. Przed sobą ujrzał ruiny kaplicy, a nieco dalej opary mgły, okrywające większą część bagien. Wykrzyknął imię Madeline.

— Tu jestem, najdroższy.

Głos dobiegł z lewej strony. Tak jak za pierwszym razem znalazła schronienie pod drzewami, tuż nad moczarami. Uwiązał konia i pośpieszył do niej. Położył dłoń na jej ramieniu, a ona sięgnęła po jego prawą rękę i zaczerwieniła się, uświadamiając sobie od razu, co chciała uczynić. Nagły uśmiech rozjaśnił jego okoloną ciemną brodą twarz.

— Przyzwyczaisz się, że jej nie ma. Ja już do tego przywykłem... prawie.

Spowaźniał, kiedy objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, tak aby przylgnął doń każdy skrawek jej miękkiego ciała. Niemal natychmiast zdał sobie sprawę z własnego, tłumionego od dawna pragnienia. Poczula go przez warstwy ubrania i przytuliła się jeszcze mocniej, wydając cichy, gardłowy jęk.

Oparła głowę na jego piersi, Orry przesunął dłonią po jej włosach.

Myślałem, że nigdy już nie zechcesz się ze mną spotkać.

— Czy dlatego, że nie odpowiadałam na twoje wezwania? — Odchyliła się nieco. — Nie powinnam być tu teraz z tobą. Za bardzo cię kocham.

— W takim razie wyjedź ze mną.

~~ Dokąd?

— Dokądkolwiek.

Poczuł ulgę, że nareszcie może to powiedzieć. Madeline Uśmiechnęła się, choć z jej piersi wydarł się szloch. Stała na palcach, aby go pocałować. Ujęła w dłonie twarz Orry'ego. — Oddałabym duszę, aby tak uczynić, ale nie mogę.

— Czemu? Na pewno nie ze względu na Justina?

- Gardzę nim. Ostatnio uświadomiłam sobie, jak bardzo. Właśnie dlatego złożyłam w sobotę wizytę twojej matce. Nie mogłam już dłużej znieść rozłąki z tobą. Chcę, abyś opowiedział mi wszystko o Meksyku. — Głaskała go po twarzy, palce raz po raz nieruchomiały, jak gdyby sądziła, że w ten sposób zapamięta lepiej jego rysy. — Jak zostałeś ranny... jak się czułeś...

— Czułbym się o wiele lepiej, gdybyś była przy mnie.

— Orry, to niemożliwe.

— Z powodu Justina.

— Nie, ze względu na to, co przyrzekłam, wychodząc za niego za mąż. To było przyrzeczenie na całe życie. Gdybym je złamała... i uciekła z tobą... miałabym już zawsze wyrzuty sumienia. A poczucie winy zniszczyłoby nasze życie.

— A nie masz poczucia winy, spotykając się ze mną tak jak teraz?

Oczywiście, że mam. Ale to... mogę jakoś znieść. Mogę przekonać samą siebie, że nadal postępuję zgodnie z literą umowy małżeńskiej.

Raptem ogarnęło go podejrzenie. Nie była z nim zupełnie szczerą. Z pewnością istnieją jeszcze jakieś inne powody, dla których mówi „nie”. Po chwili jednak doszedł do przekonania, że tak mu się tylko wydaje, a może to przypuszczenie było jedynie wybiegiem, który miał mu ułatwić przyjęcie jej odmowy.

Obróciła się i zrobiła krok w kierunku trzęsawiska.

— Z pewnością myślisz teraz, że jestem wstrętną hipokrytką.

Podszedł bliżej. Stojąc za nią odgarnął jej włosy z karku i pocałował ją za uchem.

Po prostu cię kocham, to wszystko. Chcę, abyś była ze mną przez resztę naszego życia.

- Najdroższy, ja czuję to samo. Ale i ty masz pewne zobowiązania. I niezależnie od tego, co powiesz, nie sądzę, abyś mógł od nich uciec i czuć się szczęśliwy.

Postanowił zmienić temat rozmowy, aby dać i jej, i sobie chwilę wytchnienia.

Wiele bym dał, aby mój ojciec zaczął rozumować rozsądniej. Czy wiesz, że wystawił ciało Priama, tego uciekiniera, na widok publiczny jako przestrożę dla innych?

— Nie, nie wiedziałam. Nie patrząc na niego, masowała sobie ramiona. To niktzemne!

— Z pewnością niepotrzebne. Nasi ludzie pojęli znaczenie śmierci Priama, zanim ujrzeli jego ciało leżące w lodzie. Czasem myślę, że ojciec jest już za stary, że nie bardzo wie, co robi. Albo też postępuje w ten sposób na złość tym cholernym abolicjonistom. Jest bardzo dumny. I potrafi być przekorny.

— Odnoszę wrażenie, że to cecha wszystkich ludzi z tych stron — odparła z wymuszonym uśmiechem.

Uświadomił sobie nagle, że nie potrafi dłużej rozmawiać z nią tak, jak czyniłoby to dwoje obcych sobie ludzi na przyjęciu u wspólnego znajomego. Żądza fizyczna była zbyt silna, niemal bolesna. Spojrzał jej prosto w oczy.

— Nie mówmy już więcej. Jedyne, czego pragnę, to ty. Chodź... proszę...

Ujął ją za rękę i pociągnął na usłaną suchymi liśćmi i igłami sosen polankę.

— Nie, Orry! — szarpnęła się gwałtownie, oczy zapłonęły gniewem. W następnej chwili rzuciła mu się na szyję, obejmując go ze wszystkich sił. — Czy nie rozumiesz, że nie wolno nam posunąć się tak daleko? Nigdy! Jeśli to uczynimy, nasza wina nie będzie mniejsza, niż gdybyśmy stąd uciekli.

Zwichrzył jej włosy, tym razem szorstkim gestem, a potem ucałował oczy i ciepłe, wilgotne kąciki ust. — Chcesz kochać się ze mną, chyba nie zaprzeczysz? — Rękę, którą obejmował ją w talii, przesunął niżej. Był zaskoczony własną śmiałością, czuł, że ogarnia go gorączka. Odruchowo przyciągnął do siebie jej biodra i pocałował raz jeszcze. — Nie możesz zaprzeczyć?

— To prawda. Pragnę, abys trzymał mnie w ten sposób, ale nie wolno nam tego robić.

Wypuścił ją z objęć.

— Nie rozumiem cię.

Kosmyk lśniących, czarnych włosów opadł jej na czoło. Odgarnęła go jednym ruchem, po czym uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Jak mógłbyś mnie zrozumieć, skoro ja siebie nie rozumiem? Kto w ogóle może powiedzieć, że poznał siebie do końca? Wiem tylko, że mogłabym znieść odrobinę poczucia winy, nie więcej.

Twarz Orry'ego spochmurniała. Napięcie, które czuł, odkąd trzymał ją w ramionach, osłabło.

— Skoro nie możemy żyć razem ani kochać się jak należy, to co nam pozostało?

— Możemy... — Zacerpnęła głęboko tchu, patrząc mu prosto w oczy. Jej głos przybrał na sile. — Możemy spotykać się tu od czasu do czasu. Rozmawiać. Objąć się choćby na chwilę. To by osłodziło mi życie.

— Ale to również oznacza niewierność, Madeline.

— Ale nie cudzołóstwo.

— Sądziłem, że to to samo.

— Nie dla mnie.

— Cóż, różnica jest niezmiernie subtelna. Wątpię, czy ktoś z zewnątrz patrzyłby na to w ten sposób.

— Nic na to nie poradzę. Ale czy miłość w ogóle jest zrozumiała dla kogoś z zewnątrz?

Zacisnął usta, potrząsnął gwałtownie głową. Wyszedł spod drzew na deszcz, kierując się w stronę moczarów. Madeline była gotowa rozpocząć z nim romans, ale na ustalonych przez siebie warunkach. Szedł tak długo, aż pod butami poczuł grząską maź. Wtedy przystanął i odwrócił się. Stał nie bacząc na deszcz, kapiący mu na brodę, i patrzył na ślady, które zostawił krocząc zamasyście.

— To twarde warunki. Tak bardzo cię pragnę! Nie jestem pewien, czy długo j'eszcze zdołam oprzeć się tej pokusie.

— Czy odrobina miłości to nie więcej, niż w ogóle nic?

Omam nie wykrzyknął: „nie!”. Zbliżała się doń wolnym krokiem, deszcz zmoczył jej ubranie, spłaszczył fryzurę, ale nawet teraz wydawała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie mógł jej odepchnąć, jakkolwiek przedstawione warunki były prawie tak samo bolesne, jak sytuacja, która je zrodziła.

Stali twarzą w twarz, Madeline patrzyła mu w oczy.

— Czy tak nie lepiej, Orry?

Uśmiechnął się smutnie.

Tak.

Cicho jęknęła i przyłgnęła doń całym ciałem. Objął ją ramieniem, na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

— Boże, jakże żałuję, że wychowano cię na przyzwoitą kobietę, a nie na dziwkę!

— Czasem ja też tego żałuję.

Roześmiali się oboje i to rozładowało napięcie. Wrócili pod drzewa i usiedli, gawędząc jeszcze przez niemal godzinę. Orry zauważył, że im częściej będą się spotykać, tym większe będzie ryzyko, że ich związek zostanie wykryty, ale Madeline odparła, że jest skłonna je podjąć. Pocałowali się raz jeszcze i przytulili do siebie.

Tuż przed powrotem do domu Madeline umówiła się na kolejne spotkanie, co Orry zaakceptował, jakkolwiek w duchu pomyślał, że szaleństwem jest przystawać na jej warunki. Wyrzeczenie się fizycznej miłości oznaczało dla nich obojga napięcie niemal nie do zniesienia. Wiedział, że będzie ono narastało, jeżeli nie przestaną się widywać. A jednak gdy stał przy zgliszczach kaplicy, patrząc na malejącą w oddali sylwetkę Madeline, jego nastrój uległ zmianie. Mimo iż napięcie trwało dalej, uświadomił sobie ze zdumieniem, iż owo samowyrzeczenie zaczyna potęgować i pogłębiać jego tęsknotę i miłość.

Jadąc na północ George ani na chwilę nie uwolnił się od wspomnienia oczu Priama. Prześladowały go również teraz, kiedy z głową wspartą na dłoniach spoglądał przez okno pociągu na rzekę Delaware.

Był pośepny zmierzch, wirujące w powietrzu płatki śniegu topniały natychmiast po zetknięciu z ziemią lub szybą. George był zmęczony, miał już dość długiej podróży i nie kończących się przesiadek. Posiłek spożyty w jadalni na jakiejś kolejowej stacji nie wpłynął dobrze na jego żołądek, na domiar złego przez ostatnie sto mil omdlewał od upału, gdyż pasażerowie wymogli na konduktora, aby dokładać więcej drewna do paleniska lokomotywy.

Najważniejsze jednak, że nazajutrz miał znaleźć się wreszcie w Lehigh Station. Na noc zamierzał zatrzymać się w Haverford House, gdzie Hazardowie zwykle nocowali, gdy przebywali w Filadelfii. Rankiem, wsiądzie do lokalnego pociągu., a kiedy będzie już w domu, rozpocznie delikatną misję — przygotuje rodzinę do tego, że zamierza poślubić katoliczkę.

Znowu przypomniał mu się Priam, a potem napłynęły myśli o przyjaźni z Orrym, jak również o jego rodzinie. U każdego Maina można było* znaleźć coś miłego, co zasługiwało na sympatię, nawet u tego niezbyt udanego kuzyna Charlesa, ale te właśnie myśli rodziły w George'u konsternację i poczucie winy. Sympatyczni czy nie, faktem było, że Mainowie trzymali niewolników.

Pociąg zwolnił, minął parę chat i walących się zabudowań, wreszcie wjechał na stację. Zadaszenie nie dopuszczało na perony dziennego światła. Zamiast płatków śniegu za oknem przeleciał deszcz iskier z parowozu. Pasażerowie podnieśli się z miejsc i wzięli swoje bagaże, okopcone okna odbijały ich twarze. Ale George widział jedynie twarz Priama.

Z niewolnictwem należy skończyć. W przeświadczeniu tym utwierdził go ów krótki pobyt w Karolinie Południowej. Ale osiągnięcie celu nie będzie łatwe. Na drodze znajduje się jeszcze zbyt wiele przeszkód. Tradycja. Duma. Zależność gospodarcza od systemu. Nieproporcjonalnie duże wpływy niewielkiej liczby rodzin posiadających większość niewolników. Nawet *Biblia*. Tuż przed wyjazdem George'a z Mont Royal Tillet zacytował *Pismo Święte*, aby usprawiedliwić fakt wysłania patrolu za Priamem. Uciekinier najwyraźniej sprzeciwił się pouczeniu zawartym w trzecim rozdziale listu do Kolosan: „Słudzy, bądźcie posłuszni we wszystkim ziemskim panom...”

Likwidacja tego dziwnego systemu wymagała przebiegłości, zapału, a przede wszystkim zdecydowania. Żadnej z tych cech George nie dostrzegł u mieszkańców Mont Royal. Przez chwilę zastanawiał się nad tym problemem. Musi też pamiętać, że chce zachować przyjaźń Orry'ego. Ale i tu wyłoniły się trudności, poważne trudności. Kiedy błagał o wolność dla Pria-ma, Orry udzielił poważnego ostrzeżenia: nie wolno mu się nigdy więcej wtrącać, o ile zależy mu na ich przyjaźni.

Ale jak silne były więzi tej przyjaźni? Czy mogła zniszczyć je różnica zdań na temat tak ważny, jak wolność człowieka? Czy mogą zachowywać się, jakby cały ten problem po prostu nie istniał? Czy przyjaźń może przetrwać w atmosferze wzmagającego się napięcia?

Orry uznał, że tak, pod warunkiem że problem niewolnictwa nie będzie w ogóle rozpatrywany. Ale stary Calhoun, chory i zgorzkniały, był innego zdania, oświadczając, że jedynym wyjściem byłaby secesja.

Jeżeli istotnie można znaleźć jakieś wyjście pomyślał George to ciężar tego obowiązku spoczywa głównie na ludziach takich jak Main. Nawet jeśli Południe nie ponosi wyłącznej odpowiedzialności za powstanie tego problemu, to w każdym razie utrzymywało ten stan rzeczy dostatecznie długo i dlatego to Południe musi podjąć środki, aby go wreszcie rozwiązać. Północ jest pod tym względem pozbawiona wszelkiej winy i odpowiedzialności.

Na szczęście mimo braku rezerwacji otrzymał pokój w Haverford House. Właśnie wpisywał się do księgi hotelowej, kiedy recepcjonista powiedział:

— Zdaje się, że mamy tu jeszcze jednego gościa z pańskiej ro...

— George, czy to ty?

Głos z tyłu zagłuszył słowa urzędnika. George odwrócił się, a potem uśmiechnął na widok biegnącej ku niemu młodej kobiety. Na mufce i futerku okalającym kapelusz połyskiwały niczym diamenty topniejące płatki śniegu.

Virgilia! Wielki Boże! Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę.

Jej policzki zaróżowiły się z podniecenia i przez chwilę kanciasta twarz wydała się prawie ładna. Podczas jego nieobecności utyla trochę, co zauważył na pierwszy rzut oka.

Zarezerwowałam tu pokój, bo zostaję w mieście na noc -powiedziała zadyszana.

— Sama? A po co?

— Mam wygłosić swoje pierwsze przemówienie na publicznym zebraniu zorganizowanym przez stowarzyszenie.

Potrząsnął głową.

- O czym ty mówisz? Jakie stowarzyszenie?
- Och, oczywiście stowarzyszenie do walki z niewolnictwem. George, jestem tak podniecona... Spędziłam całe tygodnie na przygotowaniu przemówienia i uczeniu się go na pamięć.
- Chwyliła jego dłonie. George pomyślał, że jej zimne i twarde palce przypominają ręce mężczyzny. — Zupełnie zapomniałam, że wracasz. Musisz koniecznie przyjść na to zebranie i posłuchać mego przemówienia! Wszystkie bilety wyprzedano już kilka tygodni temu, ale jestem pewna, że znajdę dla ciebie jakieś miejsce.
- Pójdę tam z przyjemnością. Do domu wracam jutro.
- Och, to cudownie. Może chciałbyś teraz coś zjeść? Ja nie mogę, jestem zbyt podekscytowana. George, nareszcie znalazłam sprawę, której mogę poświęcić całą swą energię!
- Jeśli tak, to bardzo się cieszę — odparł, kierując się ku schodom za portierem, który wziął jego bagaż.
- Znalazłaś sprawę, bo nie mogłaś sobie znaleźć adoratora
- pomyślał.
- Natychmiast skarcił się w duchu za brak życzliwości. On i Virgilia nigdy nie odnosili się do siebie zbyt ciepło, ale mimo wszystko była jego siostrą. Czuł zmęczenie, a może niechęć na widok jej entuzjazmu.
- To sprawa wielkiej wagi, warta dużego poświęcenia, jakkolwiek wątpię, czy Orry Main podzieliliby moje zdanie. Naprawdę, nie mogę zrozumieć, jak możesz zadawać się z ludźmi jego pokroju.
- Orry jest moim przyjacielem. Wyłączmy go z naszych dyskusji, dobrze?
- Ależ to niemożliwe! Przecież jest właścicielem niewolników.
- George w ostatniej chwili przeknął ostrą odpowiedź i mimo wszystko zdecydował się towarzyszyć siostrze przez resztę wieczoru. Potem żałował swej decyzji.

Sala mieściła około dwóch tysięcy osób, wszystkie miejsca były zajęte. Kobiety i mężczyźni tłoczyli się nawet w przejściach pomiędzy ławkami i za ostatnimi rzędami. Wśród widzów znajdowały się dzieci i wytwornie odziani Murzyni. Rozmieszczone wzdłuż całej sali lampy rzucały przyćmione, żółtozielone światło.

George'a wciśnięto na krzesło w tylnym rzędzie prawej łąży. Przed nim siedziało trzech mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy ubrani bardzo oficjalnie. Kiedy przedstawił się, odpowiedzieli nadzwyczaj chłodno i z rezerwą. Prawdopodobnie należeli do wyższych sfer Filadelfii.

• Mimo niskiej temperatury na zewnątrz — gdy jadł obiad, znacznie się ochłodziło — ścisk sprawiał, że na sali panował upał, a twarze zebranych oblewał pot. Przed rozpoczęciem części oficjalnej publiczność odśpiewała kilka pieśni, które wprawiły ją jakby w trans; rozentuzjazzmowani ludzie tupali nogami i klaskali z całych sił.

George rzucił okiem na ulotkę, którą otrzymał wchodząc do loży, i westchnął. Program obejmował dziewięć punktów. Zapowiadał się długi wieczór. Burzliwe owacje powitały pół tuzina mówców, którzy weszli na podium. Virgilia sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. Zbliżyła się do krzeseł ustawionych przed jaskrawoczerwoną aksamitną kotarą, zajęła trzecie miejsce z lewej i zwróciła wzrok na brata. Skinął głową i uśmiechnął się do niej. Przewodniczący, duchowny metodystów, podszedł do podium i zastukał młotkiem, by uciszyć widownię. Program zainaugurowała grupa wokalna z New Hampshire, „Rodzina Hutchinsonow”. Przyjęta głośnymi oklaskami ustawiła się po prawej stronie sali.

Hutchinson-senior przedstawił grupę jako „członków ple-mienia Jesse i przyjaciół równouprawnienia”, co wywołało jeszcze większy entuzjazm publiczności, żywiołowe tupanie i oklaski. W kręgach abolicjonistów grupa była widocznie znana bardzo dobrze, chociaż George nigdy o niej nie słyszał. Ferwor zebranych dziwił go i trochę przerazał, nie przypuszczał, że abolicjoniści w Pensylwanii są tak impulsywni.

Hutchinsonowie wykonali pięć pieśni z akompaniamentem fortepianu i wiolonczeli. Ostatnia okazała się porywającym hymnem o wzniosłym zakończeniu:

*Hej, swobody nadszedł czas!
Niech rozszerza się wśród nas I
historię nam odmieni Wolność
którą tu się ceni! Niech ogarnie
cały kraj Duch wolności w to
nam graj!*

Zebrani zerwali się z miejsc, wznosząc gromkie okrzyki. Aplauz zatrzymał Hutchinsonow na scenie przez kilka minut, w ciągu których kłaniali się na prawo i lewo. Twarz Virgilli była rozpromieniona i wilgotna od łez.

Pierwsze przemówienie trwające dziesięć minut wygłosił duchowny z Nowego Jorku. Przedstawił i poparł plan zniesienia niewolnictwa, głoszony przez słynnego unitarianina, Williama Ellery Channinga z Bostonu, który uważał; że najlepszym sposobem na uporanie się z tym problemem byłoby ustawiczne i bezpośrednie apelowanie do zasad chrześcijańskich, którym

hołdowali przecież właściciele niewolników. Do podobnego przekonania podczas podróży pociągiem doszedł również George. Teraz jednak porównał ową teorię z duchowym wizerunkiem Tilleta Maina i doznał szoku. Uświadomił sobie, że plan Channinga nie może się udać. Nie zaakceptowała go również publiczność, mówcę odprowadziły na miejsce skąpe oklaski.

Kolejny mówca zyskał większe uznanie. Był to wysoki, siwowłosy Murzyn, przedstawiony jako Daniel Phelps, dawny niewolnik, który zdołał uciec przez nurty Ohio. Opowiadał o swej niewoli w Kentucky. Phelps był zdolnym mówcą. Jego czternastominutowa oracja, zgodna z rzeczywistością w szczegółach czy też nie, poruszyła słuchaczy do głębi; przerażające opisy chłosty i tortur, stosowanych przez właścicieli niewolników, poderwały wszystkich na nogi, wzburzyły krew. Kiedy Phelps skończył, nagrodzono go owacją na stojąco.

Virgilia, kiedy przewodniczący zapowiedział jej wystąpienie, wymieniając nazwisko z wyjątkową emfazą, bawiła się niespokojnie chusteczką. Pomruk na sali dowodził, że część słuchaczy dobrze zna rodzinę właściciela stalowni. Jedna z kobiet w łozy obróciła się do George'a, obrzucając go szybkim spojrzeniem. Poczul się trochę lepiej; a więc nie był tu kimś anonimowym.

Virgilia wchodząc na podium nadal była bardzo zdenerwowana.

To biedne dziewczę jest naprawdę zbyt hoże — pomyślał George — prawie nieładne. Ale może ujmowała niektórych mężczyzn inteligencją. Zyczył jej tego z całego serca.

Początkowo Virgilia mówiła jakby z wahaniem, oferując publiczności oklepane oskarżenia pod adresem niewolnictwa. Jednak po czterech czy pięciu minutach jej głos uległ przemianie. Słuchacze przestali nerwowo szurać nogami; oczy wszystkich, od pierwszego rzędu do ostatniego, utkwione były w jej twarzy.

Mierzi mnie, że mam mówić o tych sprawach w obecności kobiet i małych dzieci, powiadają jednak, że prawda nie jest i nie może być nieczysta. Nie możemy więc cofać się przed przeanalizowaniem wszystkich aspektów owego dziwaczego systemu Południa, choćby najbardziej niesmacznych, choćby najbardziej niemoralnych.

Na sali panowała cisza. Słuchacze dali się porwać słowom, które umiejętnie wzmagaly gniew i napięcie. Siedzący przed Georgem mężczyźni i kobiety nachylili się do przodu, aby niczego nie uronić. A George wpatrywał się w tłum zaniepokojony widokiem tyłu spoconych twarzy, wyrażających święte oburzenie. Najbardziej jednak niepokoiła go jego własna siostra. Wspierając się oburącz o pulpity, mówiła dalej, tym razem bez zahamowań. Chwilami nawet gubiła sens:

— Nawet jeśli na Południu istnieją takie cechy jak uprzejmość czy wytworność, to spoczywają na przegniłym na wskroś fundamencie. Na fundamencie stanowiącym jawne kpiny z najbardziej podstawowych praw ludzkich i boskich. Nienawistny system Południa, system darmowych robotników, wymaga stałego dopływu owej bezpłatnej siły roboczej. A skąd biorą się nowi robotnicy, kiedy starzy padają na skraj drogi, zamęczeni nieludzkimi torturami? Nowi robotnicy pochodzą z tych samych plantacji. Bo prawdziwym płodem na tych plantacjach są ludzie.

Śluchacze zadrżeli, a po sali przetoczył się jęk, kiedy wszyscy pojęli, co Virgilia ma na myśli. Jedna z kobiet wstała i poprowadziła swą córkę, małą dziewczynkę, do wyjścia. Ci, którym przeszkodziła słuchać, sykali niecierpliwie.

Plantacje na Południu to nic innego jak farmy rozplodowe dla czarnych. Gigantyczne burdele usankcjonowane, utrzymywane i chronione przez zdegenerowanych przedstawicieli arystokracji, ignorujących wiarę chrześcijańską kilku... bardzo nielicznych Południowców, którzy krzyczą w słabym, daremnym proteście przeciw tym oszalałym satyrom, przeciw tej bezbożnej rozpuście!

Zdegenerowani arystokraci? Oszalałe satyry? Farmy rozplodowe dla czarnych? George siedział w bezruchu, nie wierząc własnym uszom. Czuł, że zaschło mu w gardle. Virgilia wrzucała wszystkich Południowców do jednego wora, a przecież jej zarzuty nie odnosiły się do Mainów. Chyba że był idiotą i pozwolił wywieść się w pole, kiedy przebywał w Mont Royal. System niewolnictwa krył w sobie wiele zła, to prawda, ale on nie dostrzegł w nim ani śladu tego, co opisała Virgilia.

Ale tym, co przerażało go najbardziej, była reakcja tłumu. Wierzyli w każde słowo. Chcieli wierzyć. A Virgilia, niczym dobra aktorka, wyczuła gorliwość sali i zareagowała na nią jak należy. Wyszła zza podium, tak aby widzieli ją całą. Niech widzą jej słuszny gniew, graniczący z furją, niech widzą jej płonące spojrzenie i rozdygotane dłonie, zaciśnięte w pięści i przywarte do piersi.

Nawet kamienie płaczą w obliczu takiej niegodziwości. Wszystkie serca prawych ludzi rozdziera krzyk moralnego oburzenia. Nie! NIE! NIE! Wykrzykując to słowo, odrzucała głowę do tyłu i wypinała piersi. Ktoś na galerii podchwycił ten okrzyk, a wkrótce wtórowała jej cała sala: - Nie! Nie! NIE! NIE!

Po chwili zgiełk zaczął opadać. Virgilia wsparła się o podium, jakby zabrakło jej sił, piersi falowały gwałtownie, na sukni pojawiły się ciemne plamy potu. Widać było, że gorączkowo szuka w pamięci dalszego ciągu przemówienia i wreszcie, dysząc ciężko, dotarła do konkluzji, ale George nie zwracał już uwagi na

jej słowa. Był zatrwożony ostrymi wypowiedziami i faktem, że tłum akceptuje je tak bezkrytycznie.

Najwidoczniej Virgilia znalazła wreszcie ujście dla swych tłumionych od dawna emocji. W tym, jak zachowywała się na oczach setek widzów, było coś nieprzyzwoitego. Koncentrowała się na seksie, język i styl był niemal orgiastyczny, zwłaszcza gdy oznajmiła, że moralność wymaga, aby podjęto zdecydowane kroki przeciw owym farmom rozplodowym:

— Musimy je spalić! Zniszczyć! Wymazać z powierzchni ziemi! Podobnie jak ich właścicieli!

Zerwał się z miejsca i wypadł z łoży, przewracając w pośpiechu krzesło. Biegł po nie kończących się schodach na dół spragniony jak jeszcze nigdy rześkiego, czystego powietrza. Kiedy dotarł na parter, ściany budynku zatrzęśły się od oklasków i tupotu nóg, wieńczących przemówienie. Spojrzał w górę.

Publiczność stała. Virgilia z głową odrzuconą do tyłu znajdowała się jeszcze na scenie. Burzliwe przemówienie sprawiło, że jej włosy i suknia były w nieładzie, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Twarz rozpromieniło jakieś nieprzytomne uniesienie, a może i poczucie spełnienia. George odwrócił wzrok czując, że robi mu się niedobrze.

Na ulicy zaczerpnął świeżego powietrza i spojrzał uradowany na spadające płatki śniegu. Oczywiście powie jej, jak entuzjastycznie przyjęto przemówienie, zamierzał jednak zwrócić siostrze uwagę, że ma skłonność do nieuzasadnionego uogólniania. Jej występ uraził go głęboko, nie tylko ze względów intelektualnych, ale również osobistych. To prawda, Virgilia jest dorosłą kobietą i może sama kierować swym życiem, ale mimo to widok własnej siostry czy nawet innej kobiety, zachowującej się tak bezwstydnie, przyprawiał o dreszcz trwogi. Spod maski przyzwoitości wyłoniła się prawdziwa istota jej przemówienia — wybuch seksualnej namiętności. I to właśnie pozwoliło jej wypowiedzieć słowa, których żadna kobieta, a nawet mężczyzna, nie ośmieliliby się wygłosić publicznie. Jeszcze bardziej przerażało go wrażenie, że Virgilia znalazła w tym wszystkim upodobanie, i to nie tylko ze względów moralnych, jak się zastrzegła.

Nawet jednak gdyby odrzucił obiekcje natury osobistej, wytrącały go z równowagi krzyki i owacje, którymi sala reagowała na słowa jego siostry, uświadamiały mu bowiem nie doceniane dotychczas rozmiary problemu niewolnictwa. Niezależnie od tego, jak słuszna była sprawa, w której wystąpiła Virgilia, przedstawiona została przez nią niewłaściwie; apel o sprawiedliwość przekształcił się w podłe, złowieszcze wezwanie do okrutnej świętej wojny. A na sali było — jak się okazało — wielu wojowników. Nadal słyszał ich wycie, ryk domagający się krwi Południowców.

Podczas podróży uznał, że cała wina leży po stronie Południa, po stronie dumnych i aroganckich właścicieli niewolników. Dzisiejszy wieczór był dla niego bolesną nauką. Okazało się, że rozumował błędnie. Wystarczyła godzina, aby zmienił zdanie na temat abolicjonistów z Północy, gdyż Virgilia z pewnością czerpała swe poglądy z postawy innych członków stowarzyszenia. Ilu z nich dążyło raczej do konfrontacji niż do znalezienia rozwiązania problemu? Ilu głosiło nienawiść zamiast zdrowego rozsądku? To, czego świadkiem był dziś, nie skłoniło go do usprawiedliwienia niewolnictwa lub uznania Mainów za ludzi całkowicie pozbawionych winy, ale po raz pierwszy uwierzył, że uraza rodziny jego przyjaciela ma swoje podstawy. Czy przyjaźń pomiędzy ludźmi z różnych regionów, zrodzona ze wspólnych przeżyć, może oprzeć się tak straszliwemu naciskowi? Czy ludzie i naród znajdują w sobie wystarczająco dużo dobrej woli, aby przezwyciężyć bezmyślną pasję, która na jego oczach zawładnęła Virgilia?

Wzdrygnął się, kiedy wiatr cisnął mu w twarz tuman śniegu. Burza przybierała na sile, śnieg niemal przesłaniał światła miasta. Raptem zaczął dostrzegać przyszłość o wiele bardziej posępną, niż sobie początkowo wyobrażał. Przeszyła go krótka, mroczna wizja kraju szarpiącego się z problemem niewolnictwa tak długo, aż pęknie niczym kruchy stop. Nadchodziły ciężkie czasy. Miał nadzieję, że Constance pomoże mu je przetrwać, pragnął, aby jego miłość była podporą dla niej. Nie miał pewności, czy kraj zdoła przetrzymać tę ciężką próbę, czy okaże się na tyle tolerancyjny i elastyczny, aby rozwiązać nabrzmiały problem.

Doszedł do przekonania, że do tej pory żył w iluzji i nieświadomości. Teraz, oparty o ścianę audytorium, usiłując zapalić na porywistym wietrze cygaro, zetknął się z rzeczywistością.

Ta myśl wstrząsnęła nim do głębi.

Ostatni etap podróży, kanał Lehigh, George przebył łodzią. Kanał podążał za biegiem rzeki przez dolinę, od Mauch Chunk do Easton. Wielka Dolina w okręgu Lehigh była domem dla czterech pokoleń rodu Hazardów. Pradziadek George'a porzucił pracę w kuźni w Pine Barrens w New Jersey później najważniejszym regionie hutniczym w kolonii — aby stanąć w Pensylwanii na własnych nogach.

Dolina nie miała olbrzymich złóż naturalnych, takich jak ruda błotna w Jersey, nie była też tak wydajna w topniki, jak słone zatoki w Pine Barrens, z których tamtejsi robotnicy wyławiali muł i muszle ostryg. Ale pradziadek George'a znalazł tu lasy i uznał, że z drewna może otrzymać węgiel drzewny.

Odkrył też rzekę, której siłę postanowił wykorzystać. A nade wszystko dopisało mu szczęście.

Przez wiele lat obsługiwał jedyny piec nad tą rzeką. Rudę trzeba było sprowadzać zza gór w skórzanym workach na grzbietach koni, ale to go nie odstraszało. Z podobnych środków transportu korzystano w Jersey przez długi czas.

Konkurenci powiadali, że robi głupio, nie przenosząc się w dolinę rzeki Schuylkill, ale pradziadek George'a ignorował ich rady. W dolinie Lehigh był sam dla siebie panem, a sukcesy czy porażki odnosił dzięki własnym decyzjom.

Podczas wojny o niepodległość rodzina Hazardów zainwestowała cały swój majątek i niemal zbankrutowała. Na szczęście rebelianci odnieśli zwycięstwo, ciągłość rodu nie została więc przerwana na samobójczym stryczku. Rok za rokiem Hazardowie przewozili żelazo do Delaware rzeką w starych łodziach Durhama, o których nigdy nie wiadomo, czy nie roztrzaskają się na skałach. I raptem w 1829 roku otwarto kanał. Josiah White zbudował go, by transportować odkryty nie opodal antracytu, ale już wkrótce łodzie poczęły przewozić wszystko, świadcząc usługi dla mieszkańców doliny, nie wyłączając oczywiście Hazardów. Przez cały wiek żelazo zapewniało rodzinie stały, choć skromny dochód. Dzięki otwarciu kanału pojawiły się nowe rynki zbytu, a Hazardowie doszli do majątku w ciągu jednego pokolenia — za czasów ojca George'a.

George wyrastał, można by rzec, wraz z kanałem.. Niebagatelną częścią jego dziecięcych doświadczeń były pokrzykiwania wioślarzy i porykiwanie mułów przemierzających szlak. Potem zaczęto mówić, że czasy kanału należą już do przeszłości. Minęło zaledwie trzydzieści lat, jeszcze jeden zdumiewający dowód tempa, w jakim zmienia się świat naznaczony piętnem maszyn. William Hazard najwidoczniej wziął sobie do serca proroctwa na temat kanału. W przeciwnym razie nie zdecydowałby się na podjęcie produkcji szyn kolejowych.

Łódź zatrzymała się na pół godziny w rozbudowującym się właśnie mieście Betlejem, gdzie osiedlili się członkowie kościoła czeskiego. Kilka mil dalej wznosiły się znajome zarysy South Mountains. Dzień był burzliwy i ponury. Pasażerowie pozostali pod pokładem, ale George wyszedł na górę, by rozkoszować się widokiem rodzinnych stron.

Pod szarymi, przesuwanymi się szybko chmurami niskie, zaokrąglone szczyty gór sprawiały wrażenie czarnych. Pokrywająca je roślinność drzewa jeszcze, ale wiosną na stokach pojawiały się tysiące różowych i białych kwiatków, które potem można było spotkać w każdym pokoju domu Hazardów. Matka George'a uwielbiała je, niemal czciła. Mawiała, że krzew wawrzynka można porównać z ich rodziną; często zakorzeniał się

w jałowej, mało obiecującej glebie, potrafił jednak przetrwać i rozkwitnąć tam, gdzie ginęły inne rośliny. To szczególne uczucie do kwiatu wawrzynka zaszczepiła George'owi, ojciec przekazał mu wiarę w potęgę żelaza.

Łódź pokonała długi zakręt i oto w polu widzenia pojawiło się niewielkie miasto, Lehigh Station, a nieco dalej, w górze rzeki, zabudowania stalowni Hazarda. Tuż nad brzegiem stała kolonia skromnych chałup. Mieszkali w nich przybysze z Irlandii, Walii oraz Węgrzy pragnący uzyskać pracę w fabryce Hazarda. Na budowach w dużych miastach zużywano coraz więcej lanego żelaza, moda na żelazne filary i gzymsy przerodziła się w manię; w hutach wytwarzano nawet całe frontony budynków. Hazardowie oczywiście produkowali również szyny kolejowe. Nieco wyżej, na pagórkowatym terenie, wznosiły się większe zabudowania, niektóre nawet murowane, należące do miejscowych kupców, oraz domy majstrów i nadzorców ze stalowni. Nad nimi, pośrodku dużej parceli, górował przylegający do stoku niczym taras dom, w którym przyszedł na świat George.

Kochał ten budynek, gdyż był jego rodzinnym domem, nie cierpiał jednak jego obecnego wyglądu. Najstarsza część została postawiona sto lat temu, wielokrotnie przebudowywano ją w różnych stylach architektonicznych i obecnie dom miał trzydzieści, może nawet czterdzieści pokoiów, nie stanowił jednak zwartej całości, nie miał w ogóle zdaniem George'a swojego charakteru.

Dominującą cechą kompleksu stalowni Hazarda były trzy piece w kształcie stożków, wznoszące się na wysokość czterdziestu stóp. Z czubka każdego z nich prowadził na wzgórze drewniany most. Obecnie pracowały dwa piece. George widział ociążałe ruchy miechów tłoczących gorące powietrze i słyszał hałas poruszającej się maszyny parowej. Z pieców wydobywał się dym, który zasnuwał czarnymi kłębami i tak już posępne niebo. Węgiel drzewny był paliwem brudnym. Jego czas powoli przemijał.

Po moście prowadzącym do trzeciego pieca poruszali się robotnicy. Wysypywali zawartość ręcznych wózków do luku ładunkowego, po czym wracali na drugi kraniec mostu, aby je ponownie napęlić. Zapewne istniały bardziej racjonalne sposoby transportu rudy, opału i topniku, można było na przykład zastosować napędzaną parą maszynę, ale Stanley wolałby zapewne ujrzeć najpierw takie urządzenie we wszystkich fabrykach w całym kraju, zanim zdecydowałby się zainstalować je u siebie. Również w odlewni panował ożywiony ruch. George zdążył już zapomnieć, jak bardzo rozrosły się zakłady Hazarda, zwłaszcza że podczas jego nieobecności tuż obok walcowni przybył nowy, okazały budynek.

To z pewnością walcownia szyn — pomyślał.

Stalownia Hazarda była fabryką hałaśliwą i brudną. Krajobraz specyliły duże hałdy żużlu i węgla drzewnego. Dym otulał wszystko, a żar i zgiełk mogły przywieść na myśl piekło. Z każdym jednak dniem pojmowano coraz lepiej, że Ameryka rośnie i rozkwita dzięki żelazu i ludziom, którzy je produkują. George wiedział, że ten zawód wszedł mu już w krew, ale tak naprawdę uświadomił to sobie teraz, wracając do domu.

Ciekawe jak zareaguje Constance? Czy będzie szczęśliwa jako żona właściciela huty, żyjąc tu, w obcym mieście? Zamierzał uczynić wszystko, co tylko możliwe, aby zapewnić jej szczęście, ale czy Constance zaaklimatyzuje się w Lehigh Station, nie zależało tylko od niego. Niestety.

Dobrze, że działalność w stowarzyszeniu zwalczającym niewolnictwo zmusiła Virgilię do pozostania w Filadelfii. Mógł przyjechać do domu sam, aby stopniowo wciągnąć się w dawne życie z wszystkimi jego radościami. I troskami. Nie ma już ojca. Poczuł wyrzuty sumienia, że widok stron rodzinnych pochłonał go do tego stopnia, iż zapomniał o ojcu. Musi to naprawić, powiedzieć mu: „żegnaj”.

Efektowny zachód słońca oświetlał marmurowy obelisk z wyrytymi na cokole słowami: WILLIAM HAZARD. George otworzył oczy, jeszcze raz poprawił czarny wieniec, który wcześniej tu położył, i wstał. Kiedy otrzepywał spodnie, podeszła do niego matka. W to pogodne, zimowe popołudnie przyszli na cmentarz razem, pozostała jednak na uboczu, kilka jardów dalej, aby mógł pożegnać się z ojcem. Stromą ścieżką zeszli do czekającego na nich powozu. Od przyjazdu George'a do domu upłynęło zaledwie kilka godzin, ale Maude Hazard już upajała się perspektywą jego ślubu i układała plany.

— Wielka szkoda, że twój ojciec nie zdążył poznać Constance — powiedziała.

— Sądziś, że zaakceptowałby ją?

Maude westchnęła głęboko.

— Raczej nie. Ale my powitamy ją serdecznie. Obiecuję ci to.

— A Stanley? Czy i on powita ją serdecznie? — W jego głosie zabrzmiał sceptycyzm.

— George — spój rżała mu prosto w oczy — zapewne wiesz, że niektórzy ludzie znienawidzą cię za ten krok. Irlandczycy są tu narodem pogardzanym, chociaż nie bardzo rozumiem dlaczego. Ale ty jesteś, jak widzę, człowiekiem bardzo realistycznym, i za to cię podziwiam. Podziwiam cię też za to, że nie wahasz się stawić czoła nienawiści, z którą możesz się spotkać.

— Szczerze mówiąc, nie myślałem jeszcze o tym wszystkim, mamu. Wiem tylko, że kocham Constance.

— Rozumiem cię, ale na tym świecie, wbrew naukom głoszonym przez chrześcijaństwo, jest mnóstwo nienawiści. Ufam, że miłość zdolają przewyciężyć. Jeśli mamy przetrwać, musi tego dokonać.

George pomyślał o Elkanahu Bencie, Tillicie Mainie i swojej siostrze. Podzielał zdanie matki, że miłość powinna pokonać nienawiść. Ale czy pokona? Co do tego miał poważne wątpliwości.

KSIĘGA DRUGA

Przyjaciele i wrogowie

„Istoty ludzkie mogą być niekonsekwentne, ale natura człowieka pozostaje sobie wierna. Z krzykiem oburzenia nie przestawała świadczyć przeciw niewolnictwu, odkąd ów koszmar zagościł na ziemi; i dopóki nie ulegnie on zagładzie przy wtórze złożeń całego wszechświata, będzie podążała obraną raz drogą, sypiąc weń strzałami i bijąc swym karzącym mieczem.”

Theodore Dwight Weld, *Niewolnictwo w Ameryce prawdziwe oblicze*,
1839 rok

17

Święta Bożego Narodzenia Hazardowie obchodzili szczególnie uroczystości, aby uczcić przyjazd George'a. Dla niego święta były okazją do zaobserwowania zmian, które zaszły w rodzinie w stosunkowo krótkim czasie. Część z nich uznał za dosyć zaskakujące.

Jego brat, Billy, na przykład przy swoich dwunastu latach wyglądał i zachowywał się jak dorosły człowiek. Twarz wypełniła mu się, przybrała ów zdecydowany, zuchwały wyraz, charakterystyczny dla wszystkich mężczyzn w rodzinie, z wyjątkiem Stanleya. Kasztanowe włosy Billa były ciemniejsze niż George'a, jego błękitne oczy bardziej wyraziste i nie tak srogie. Miał ujmujący uśmiech, który jednak zniknął, kiedy chłopiec zaczął zadawać poważne, konkretne pytania na temat wojny. Kto okazał się lepszym generałem, Taylor czy Scott? Jak wypadła armia amerykańska w porównaniu z meksykańską? Co George myśli o Santa Annie?

Billy nie jest chyba tak poważny, na jakiego wygląda — pomyślał George.

Ale niemal natychmiast przypomniał sobie, że w jego wieku w niektórych sytuacjach również był bardzo poważny. Dotyczyło to zwłaszcza młodych kobiet. Czyżby Billy miał z nimi

kłopoty? Jeśli tak, to niedobrze. Roześmiał się w duchu. Wszystko wskazuje na to, że podobnie jak reszta rodziny i on się zmienił.

Virgilia nieustannie paplała o ruchu abolicjonistów, do którego — jak twierdziła — należała całą duszą. Była nie tylko fanatyczką, miała też wysokie mniemanie o sobie. Oczywiście George nie wypowiedział na głos opinii o siostrze, nie starał się jednak ukryć niezadowolonia, kiedy oznajmiwszy wszystkim, że jego drużbą będzie Orry, Virgilia odparła:

Ach tak, ten twój przyjaciel, który trzyma u siebie niewolników... No cóż, George, ostrzegam cię: nie zamierzam uśmiechać się ani też płaszczyć przed kimś takim.

Zapowiadał się więc dosyć nieprzyjemny ślub. Virgilia najwidoczniej postawiła sobie za zadanie zepsuć nastrój podczas wizyty Orry'ego, a żona Stanleya zdążyła już wypowiedzieć parę chłodnych i ironicznych uwag na temat religii Constance Flynn oraz miejsca, gdzie miał być zawarty ślub: małej, bezpretensjonalnej kapliczki nad samym kanałem.

Stanley ożenił się niewiele ponad rok temu, akurat wtedy, gdy George jechał do Meksyku. Isabel Truscott Hazard była kobietą dwudziestoosmioletnią, dwa lata starszą od męża. Pochodziła z rodziny, która przy każdej okazji podkreślała z dumą, że jej założyciel był znajomym, a nawet przyjacielem Williama Penna. Jakkolwiek przez pierwszy rok pobytu w Lehigh Station była zaabsorbowana swą ciążą, nazwisko męża i nie okiełznana ambicja Isabel pozwoliły jej niebawem wspiąć się na szczyt drabiny społecznej.

George starał się polubić bratową, ale wysiłki te nie trwały dłużej niż pięć minut. Była typem dosyć pospolitym, co ostatecznie zniósłby, gdyby mogła poszczycić się intelektem lub wdziękiem. Ona natomiast przechwalała się otwarcie, że nie czytuje nic poza kroniką towarzyską. George właściwie powinien jej współczuć, ale czemu w ogóle miałyby się nią zajmować? Przecież uważała, że jest uosobieniem ideału. Podobną opinię wypowiadała na temat swego domu, swoich strojów, swego smaku w meblowaniu mieszkania, jak również swoich synów, bliźniaków, których wydała na świat dokładnie dziewięć miesięcy po ślubie. Zdążyła już poinformować Stanleya, że nie zamierza mieć więcej dzieci, gdyż uważa to wszystko za niesmaczne.

Z dumą George pokazał rodzinie niewielki dagerotyp Constance. Fotografii obejrzeni wszyscy po kolei, a kilka minut później, kiedy lokaj podał poncz na rumie, Isabel zauważyła:

— Panna Flynn jest dosyć ładna.

— Dziękuję. Jestem tego samego zdania.

— Powiadają, że mężczyźni na Południu uwielbiają urodę zewnętrzną, nie zwracając uwagi na... nazwijmy to: zawartość.

Mam nadzieję, że twoja narzeczona nie jest tak naiwna, aby sądzić, że z podobną postawą spotka się tu u nas.

George poczerwieniał. Isabel najwidoczniej postanowiła skrytykować Constance za to, że jest ładna. Maude Hazard nie ukrywała, że nie pochwała słów synowej. Zmarszczyła brwi, a Stanley, widząc to, spojrział wilkiem na żonę. To sprawiło, że umilkła na resztę wieczoru, ale George był pewien, że milczenie nie potrwa zbyt długo.

Na święta Bożego Narodzenia białe obramowanie kominka w salonie przybrano liśćmi wawrzynka, podobnie jak wszystkie okna i drzwi. Na kominku stała duma rodziny: masywny, wysoki na dwadzieścia cztery cale puchar, wykonany w 1740 roku przez słynnego Johna Amelunga z Maryland. Ojciec Williama nabył go w czasie prosperity. W szkle artysta wygrawerował tarczę i amerykańskiego orła z rozpostartymi skrzydłami. W dziobie ptak trzymał wstążkę z napisem „E pluribus unum”^{*}.

Po posiłku Maude podeszła do kominka i wygłosiła krótką mowę do zebranych.

— Teraz, kiedy George wrócił do domu na dobre, musimy dokonać zmian w sposobie zarządzania fabryką. Od tej pory Stanley i ty, George, ponosicie wspólną odpowiedzialność za pracę pieców i walcowni. Na ciebie też przyjdzie pora, Billy, tak więc nie przejmuj się. — Stanley usiłował się uśmiechnąć, ale zrobił przy tym minę, jakby zjadł cytrynę. Maude mówiła dalej: — Ponieważ nasza rodzina rozrasta się, moim zdaniem nie możemy mieszkać wszyscy pod jednym dachem, tak więc i w tym względzie musimy poczynić pewne zmiany. Ten dom będzie należał do Stanleya i Isabel. Ja pozostanę tu z wami, przejściowo również Billy i Virgilia.

Spojrzała na George'a. Z kominka zdjęła złożony pieczołowicie dokument, którego wcześniej nie zauważył.

— Jednym z ostatnich życzeń twego ojca było, abyś miał własny dom. A więc proszę: to dla ciebie i twej narzeczonej. Akt własności ziemi. Parcela jest duża, przylega do naszej. Twój ojciec podpisał dokument na dwa dni przed śmiercią. Zbuduj dom dla Constance i waszych dzieci, mój drogi. Z naszymi najlepszymi życzeniami.

George przyjął akt własności ze łzami w oczach. Billy zaczął klaskać z radości, Stanley i Isabel bez entuzjazmu przyłączyli się do aplauzu. George odgadł przyczynę. Stanley nie był zachwycony pomysłem, że ma dzielić kierowanie interesami rodziny

^{*} Jedno uczynione z wielu (łac.) — napis na pieczęciach i wielu monetach USA odnoszący się do faktu utworzenia jednego kraju z wielu stanów.

z bratem, którego uważał za niedoświadczonego i lekkomyślnego człowieka.

Constance i jej ojciec przyjechali na Północ pod koniec marca, a ślub młodych odbył się w ciepły dzień na początku kwietnia. George piastował swoje odpowiedzialne stanowisko w stalowni już od trzech miesięcy.

Kiedy dorastał, zajmował się dorywczo tym i owym w hucie ojca, ale teraz zaczął patrzeć na wszystko okiem zarządzającego, a nie znużonego wyrostka, który właściwie wolałby spędzić czas gdzie indziej. Nieustannie kręcił się koło pieców, przyglądał się pracy w odlewni i walcowni, chciał poznać wszystkich robotników i wpoić w nich przekonanie, że mogą mu zaufać. Zadawał moc pytań, a odpowiedzi wysłuchiwał zawsze z uwagą. Jeśli wyłaniał się problem, który mógł rozwiązać, nigdy nie odmawiał pomocy.

Niejednokrotnie rezygnował ze snu, wertując aż do świtu dawną korespondencję firmy, zmagając się z grubymi broszurami na temat techniki i hutnictwa. Jego ciekawość drażniła Stanleya, ale George nie przejmował się tym. To co czytał, było niezwykle pouczające, a nieraz nawet denerwujące. Dokumenty wykazywały, że zawsze gdy ojciec pozostawiał Stanleyowi wolną rękę w podejmowaniu decyzji, ten wybierał drogę najmniejszego ryzyka. Na szczęście William Hazard nie przekazał swemu najstarszemu synowi zbyt wiele kompetencji. W przeciwnym razie — George nie wątpił w to ani przez chwilę firma cofnęłaby się do poziomu z osiemnastego wieku.

Mimo rozlicznych zajęć znalazł czas na wynajęcie w Filadelfii architekta, który miał złustrować parcelę i zaprojektować dla niego dom. Ostatnim krzykiem mody były wille w stylu włoskim i architekt sporządził plan właśnie takiego domu asymetrycznej bryły w kształcie litery L z kunsztowną wieżyczką widokową w narożniku. Owa wieżyczka, czy też belweder, narzucała nazwę dla całej budowli; architekt wyjaśnił, że belweder oznacza „piękny widok”. Akurat wykopano fundamenty, gdy przyjechali Flynn z córką.

Constance spostrzegła niemal od razu, z jaką pogardą odnosi się do niej Isabel, kwitowała to jednak uśmiechem. A jeśli Orry czuł się urażony postawą Virgili w czasie wesela, nie okazywał tego po sobie. Swój miesiąc miodowy nowożeńcy postanowili spędzić w Nowym Jorku. Rodzinny powóz wioził ich w stronę starej faktorii handlowej, która użyczyła miastu swojej nazwy, ale ani George, ani Constance nie dostrzegali piękna krajobrazu: siedząc w powozie tulili się czule. Mieli dla siebie tylko jedną noc w Easton. Rankiem kurier wezwał George'a z powrotem do

domu w sprawie, która miała stać się źródłem pierwszego konfliktu z bratem.

Jeden z pieców wybuchł pod wpływem zbyt wysokiego ciśnienia panującego we wnętrzu; nie był to pierwszy wypadek tego typu. Pod szczątkami zginęło dwóch robotników. George dokonał oględzin miejsca, gdzie doszło do tragedii, po czym udał się do biura na rozmowę ze Stanleyem.

— Dlaczego kominów nie zaopatrzono w żelazne obejmy?! Z akt wynika, że przeznaczono na to odpowiednią kwotę.

Stanley był blady, wyglądał na wyczerpanego. W jego głosie zabrzmiała niechęć, kiedy odpowiedział:

— To był pomysł ojca, nie mój. Po jego śmierci zrezygnowałem z tych obejm. Moim zdaniem nie możemy sobie na to pozwolić.

— A możemy sobie pozwolić na dwóch zabitych i dwie rodziny pozbawione ojców? Chcę, aby zainstalowano te obejmy. Wypiszę zlecenie.

Stanley odparł z oburzeniem:

— Nie sądzę, abyś był upoważniony do wypisywania...

— Do diabła! Twoje uprawnienia przewyższają moje tylko pod jednym względem; nikt prócz ciebie nie może podpisywać czeków. Ale te obejmy muszą zostać założone. Poza tym zapłacimy rodzinom ofiar po tysiąc dolarów odszkodowania.

— George, to kompletna głupota!

Nie, o ile zależy nam na dobrych robotnikach. Nie, o ile chcemy mieć spokojne noce. Podpiszesz te чеки, Stanley, albo zbiorę setkę robotników, z którymi będę oblegał twój dom tak długo, aż ustąpisz.

— Cholerny parweniusz mruknął Stanley, ale kiedy George wystawił чеки dla obu rodzin, podpisał je.

Stanley, informując matkę o zamiarze zainstalowania obejm na kominach, przedstawił sprawę w taki sposób, jakby inicjatywa wyszła od niego.

W listopadzie 1848 roku wybory prezydenckie wygrał Zachary Taylor. W tym samym czasie została ukończona budowa Belwederu, a George i Constance — w bardzo już zaawansowanej ciąży — mogli wprowadzić się do nowego domu. Niebawem w pięknym łożu z baldachimem przyszedł na świat William Hazard III.

Nowy dom sprawiał obojgu wiele radości. Constance umeblowała najpierw pokój dziecięcy, a potem' wypełniła pozostałe pomieszczenia drogimi, lecz wygodnymi meblami, które miały spełniać funkcję użyteczną, a nie ozdobną. Zupełnie inaczej postąpili Stanley i Isabel, których dom przypominał muzeum.

Przed podjęciem każdej ważnej decyzji George naradzał się z żoną. O hutnictwie nie wiedziała początkowo nic, była jednak inteligentna i uczyła się szybko. Kiedyś powiedział jej, że może popełniać błędy, działa bowiem zbyt gwałtownie i bez namysłu, a jest to ryzykowne wtedy, gdy nie może polegać na instynkcie. Wierzył jednak, że tylko w ten sposób można osiągnąć postęp. Constance była tego samego zdania.

Już niebawem rozwijająca się w zawrotnym tempie sieć linii kolejowych zaczęła odbierać wszystkie szyny, które walcownia mogła wyprodukować, pracując w ruchu ciągłym. I to mimo niezbyt korzystnej koniunktury. George jednak nadal musiał walczyć z bratem o każdy krok, o każdą decyzję.

Na miłość boską, Stanley, znajdujemy się w sercu ważnego regionu węglowego, a ty chyba tego nie dostrzegasz! To już niemal sto pięćdziesiąt lat, odkąd Darby'owie zaczęli w Anglii wytapiać żelazo za pomocą koksu, a dla ciebie to w dalszym ciągu eksperyment?

Stanley spojrział na brata jak na człowieka niespełna rozumu.

Zawsze używaliśmy węgla drzewnego i byliśmy z tego zadowoleni. Po co więc zmieniać?

Bo drzewa nie rosną wiecznie. W każdym razie nie starczy ich na długo, jeśli będziemy wycinać je w takim tempie.

A więc wykorzystujemy je, póki są, a potem zaczniemy eksperymentować.

Ale węgiel drzewny jest brudny. Jeśli pył osadza się nawet tu przesunął palcem po biurku Stanleya, czubek palca zrobił się natychmiast czarny to jak myślisz, co się dzieje, kiedy wdychamy i pył, i dym? Chciałbym, abyś wyraził zgodę na wybudowanie eksperymentalnego pieca koksowniczego... — Nie, nie zapłacę za to.

Stanley...

Nie. Wymogłeś już na mnie bardzo dużo, ale w tym przypadku nie ustąpię.

George chciał zainwestować trochę pieniędzy w proces otrzymywania wysokogatunkowej stali tyglowej, wypróbowany po raz pierwszy przez braci Garrard w Cincinnati w latach trzydziestych. Cyrus McCormick docenił widocznie stal Garrardów, wykorzystał ją bowiem na ostrza do swoich pierwszych żniwiarek. Jednak obniżka ceł importowych za administracji Jacksona pozwoliła sprowadzić z Europy tyle stali, by zaspokoić niewielki jeszcze popyt w Stanach Zjednoczonych. Znajdujący się jeszcze w powijkach przemysł stalowy Ameryki został wyparty z rynku.

Obecnie Ameryka produkowała jedynie dwa tysiące ton stali węglowej rocznie, ale w miarę powiększania się kraju George dostrzegał rosnące potrzeby i coraz bardziej chłonny rynek.

Problem nie polegał na tym, jak wyrabiać stal — sposób wynaleziono już przed wiekami — ale jak wytwarzać ją na tyle szybko, aby produkcja była opłacalna. Dawna metoda nawęglania wymagała niemal dziesięciu dni, aby otrzymać niewielką ilość stopu. Bracia Garrard opracowali bezsprzecznie lepszą metodę. Dlatego też George ustąpił w przypadku koksu, zbierając siłę na walkę z bratem, która byłaby nieunikniona, gdyby zaproponował mu zastosowanie metody Garrardów.

Stanley, będąc niewątpliwie pod wpływem Isabel, jak dotąd odpowiadał „nie” na prawie wszystkie propozycje brata. Tak samo zareagował na wzmiankę o stali. George kipiwał ze złości przez szereg dni, jego gniew uśmierzyła dopiero Constance oświadczając, że spodziewa się drugiego dziecka.

Latem 1849 roku Stanley i jego żona przyjęli wizytę z Middletown. Gość został u nich na noc. George i Constance nie zostali zaproszeni na obiad, Virgilia przebywała w Filadelfii, a Maude wyjechała akurat z Billym do Nowego Jorku. Wyglądało na to, że spotkanie w ścisłym gronie zostało zaplanowane.

George nie interesował się gościem, pragnął jednak poznać cel wizyty. Ledwie rzucił okiem, od razu rozpoznał tego wysokiego, dystyngowanego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat, który wysiadł z powozu i znikł w domu Stanleya na resztę wieczoru. Simon Cameron był osobistością doskonale znaną w Pensylwanii, od wielu lat z powodzeniem inwestował w drukarnie, banki, kolejnictwo, a nawet hutnictwo.

George podejrzewał, że nie intratny interes przywiódł Camerona do Lehigh Station. Może polityka? Jego częściowa kadencja w Senacie dobiegła końca, mógł liczyć jeszcze na wsparcie ze strony kliki demokratów i uzyskać nominację, gdyby zdobyli większość. Kiedy George z dłonią na brzuchu żony leżał już w łóżku, uświadomił sobie, że istnieje związek między sytuacją Camerona a innym faktem:

- Wielki Boże! A jeśli to on otrzymuje te czeki?
- Nie wiem, o czym mówisz, kochanie.
- Nie miałem nawet czasu, aby ci o tym powiedzieć. Niedawno odkryłem, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy Stanley wystawił trzy czeki, każdy na kwotę pięciuset dolarów. Żadnego nazwiska, miała to być gotówka na okaziciela. Może próbuje pomóc Cameronowi stanąć z powrotem na nogi.
- To znaczy wrócić do Senatu?
- Niewykluczone.
- Z chorągiewką demokracji?
- Nie, tego by nie mógł zrobić. Rozczarował zbyt wielu ludzi* odchodząc od linii partii. Zwłaszcza starego Jima Buchanana;

Ale z drugiej strony nie można pozbyć się Camerona, mówiąc mu po prostu „nie”. To go tylko pobudza do działania. Muszę się dowiedzieć, czy Stanley daje mu pieniądze, aby pomóc w tworzeniu nowej organizacji.

Czule pocałowała go w policzek.

— Przez te spory ze Stanleyem zestarzejesz się za szybko.

— A jak jest między tobą i Isabel?

Odrzuciła się, wzruszając ramionami. Zbyt przesadnie, aby George uwierzył w lekceważenie, które ów gest miał wyrażać.

— Nie sprawia mi żadnych kłopotów.

— Spodziewałem się, że to właśnie powiesz. Ale wiem, że jest inaczej.

— Więc tak, dokuczają mi — przyznała Constance, tracąc panowanie nad sobą. — Jest wstrętna i złośliwa. Boże, przebaczyć mi, ale nic na to nie poradzę; chciałabym, aby ich oboje pochłonęła ziemia.

Przywarła doń całym ciałem, obejmując mocno za szyję, i zaszlochała.

— Tak, to prawda, daję Cameronowi pieniądze — oświadczył następnego ranka Stanley. Demonstracyjnie pomachał dłonią.

Czy musisz tu palić to cholerne zielisko?

George nadal pykał swe kubańskie cygaro.

Nie zmieniaj tematu. Wydajesz pieniądze firmy. Pieniądze, które powinny być zaangażowane w działalność huty. Co gorsza, wydajesz je na politycznego hochsztaplera.

— Simon nie jest hochsztaplerem. Ze swej funkcji wywiązywał się z godnością.

— Czyżby? W takim razie dlaczego demokraci nie poparli go na drugą kadencję? Ale to, szczerze mówiąc, nie jest dla mnie zaskoczeniem. Cameron jest jak chorągiewka na wietrze. Nikt nie potrafi przewidzieć, po czyjej stronie stanie, jaką partię poprze, chyba że jest to partia, która ma akurat zapewnioną władzę. Jaka jest jego obecna przynależność partyjna? Pewnie nie masz pojęcia.

Stanley zakasłał, aby zademonstrować, jak bardzo przeszkadza mu dym, ale również, aby zyskać na czasie i znaleźć stosowną odpowiedź. Za oknem małego biura umorusani robotnicy schodzili w dół po zboczach, skończyła się nocna zmiana. Sześć szepionych wagonów z węglem drzewnym jechało w odwrotnym kierunku.

— Simon tworzy organizację państwową — powiedział wreszcie Stanley. ----- I nie zapomni o tych, którzy udzielili mu pomocy.

— Stanley, ten człowiek to oportunist! Znasz chyba opinię

o nim: „Raz przekupiony, przekupiony na zawsze”. Chcesz się związać z kimś takim jak on?

Stanley pozostał niewzruszony.

— Simon Cameron będzie w Pensylwanii prawdziwą potęgą. A nawet w całym kraju. Po prostu miał ostatnio trochę przejściowych kłopotów.

— Cóż, w każdym razie nie wspomagaj go naszymi pieniędzmi. W przeciwnym razie będę zmuszony omówić tę sprawę z matką. Bardzo mi przykro, ale to chyba jedyny sposób, by cię uratować.

Stanley spojrzał nań groźnie; sarkazm brata najwidoczniej nie ubawił go. Przygryzł wargi, potem mruknął:

— W porządku. Rozważę twoje obiekcje.

— Dzięki — odparł George i wyszedł z biura.

Wiedział, że odniósł zwycięstwo. Użył broni, którą nie posługiwał się nigdy dotąd: groźby. Nie był tym zachwycony, tylko duren poskramia innych, poniżając ich. Człowiek poniżony często oddaje cios, i to w sposób jeszcze bardziej nikczemny. To ryzyko było większe w przypadku kogoś takiego jak Stanley, który zdawał sobie sprawę ze swojej niekompetencji.

Ale George nie miał wyboru.

Constance ma rację — pomyślał, wspinając się na wzgórze, ku piecom. — Te wieczne spory wykańczają mnie.

Tego ranka, przeglądając się podczas golenia w lusterku, dostrzegł nad czołem kilka siwych włosów. A przecież nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat.

Na wieść o ostatniej sprzeczce Isabel eksplodowała.

— Chyba mu nie ustąpisz, Stanleyu! Kiedy senator znajdzie się znowu na górze, z pewnością przypomni sobie twoją wspania łościwość. A wtedy i ty zajmiesz w polityce miejsce, o którym marzymy. To nasza jedyna szansa, aby nie dać się pogrzebać na zawsze w tej zapadłej dziurze.

Stanley opadł na krzesło stojące w sypialni. Znużonym ruchem rozwiązał krawat.

— Jeśli nie cofnę dotacji dla Camerona, George wtajemniczy we wszystko matkę.

Uśmiechnęła się drwiąco.

— Chłopczyk poleci na skargę?

— Nie mogę go za to potępić. Dopóki ja nadzoruję finanse, George nie ma innego wyjścia.

Chyba że rzuci się na mnie z pięściami - pomyślał, przeszedł go dreszcz. George był bardzo impulsywny. Walczył na wojnie i potrafił się bić. Nie można wykluczyć, że rzuciłby się na własnego brata. Stanley wolał uniknąć tego ryzyka.

- Isabei dopadła krzesła, na którym siedział.
- Na Boga, żebyś tylko nie oddał temu przekłętemu łajdako wi kontroli nad finansami!
 - Nie, tu nie ustąpię — obiecał Stanley.
 - To moja władza! — dodał w myślach.
 - I musisz znaleźć jakiś sposób, żeby nadal wspierać Camerona, rozumiesz?
 - Tak, moja droga, wymyślę coś Stanley westchnął boleśnie.
 - Obawiam się, że zaczynam nienawidzić własnego brata.
 - Och, nie sądzę, abyś musiał posuwać się tak daleko
 - odparła. Była jednak zadowolona.
 - Zacerwienił się i wszedł za parawan, aby zdjąć koszulę.
 - Wiem o tym. I nie zawsze myślę o nim źle. Ale czasem mam wrażenie, że go nienawidzę.
 - Pomiędzy tobą a twoim bratem stoi ta świętoszka, z którą się ożenił. Spoglądała na swoje odbicie w ozdobnym zwierciadle, ale widziała śliczną twarzątkę właścicielki Belwederu.
 - Przekłęta papistka! Najwyższy czas, aby utrzeć jej nosa!
 - Stanley wychylił głowę zza parawanu.
 - Ale w jaki sposób? Jedyłą odpowiedzią był zimny uśmiech na jej twarzy.

18

Morawska Uczelnia dla Kobiet usytuowana była nad brzegiem Monocacy Creek w pobliżu Betlejem. Założona w roku 1742 cieszyła się sławą pierwszej w koloniach szkoły z internatem dla młodych kobiet. Virgilia uczęszczała tam przez dwa semestry, potem jednak została odesłana do domu za nieprzestrzeganie regulaminu uczelni.

Co roku pod koniec września kobiety zamieszkałe w sąsiedztwie organizowały wentę dobroczynną, aby wspomóc finansowo szkołę. Impreza odbywała się na murawie przed Colonial Hall, a przygotowania do niej rozpoczynały się latem. Propozycja objęcia przewodnictwa nad jednym z licznych komitetów była oznaką społecznej akceptacji. Isabei kierowała działalnością takiego komitetu ostatnim razem.

Constance wierzyła w edukację kobiet taką, jaka była dostępna dla nich — nawet jeśli oznaczała rywalizację z mężczyznami. George uważał jej postawę za nieco zaskakującą, ale nie sprzeciwiał się. Constance powiedziała mu, że chciałaby wziąć

udział we wrześniowej wencie; ciąża nie dała się jej jeszcze na tyle we znaki, aby nie mogła działać lub jeździć po niewygodnych górskich drogach. George obiecał, że wspomni o tym bratu, zapomniał jednak.

Constance czekała. Miała mnóstwo pracy. Kilka godzin dziennie zajmowała się małym Williamem, wychodziła bowiem z założenia, że dzieci pozbawione w okresie niemowlęcym ciepła i troski wyrastają na ludzi skrzywionych psychicznie i trudnych we współżyciu. Tak naprawdę jednak po prostu lubiła zajmować się tym pulchnym, różowym cherubinkiem, być przy nim.

Nie stroniła też od obowiązków gospodyni. Bardzo dobrze radziła sobie ze służbą, potrafiła łagodzić ich spory zdecydowanie i sprawiedliwie, pomagała im osiągać więcej w krótszym czasie pokazując, jak można zaplanować obowiązki i wykonać je lepiej. Niebawem służba poczęła darzyć ją szacunkiem. Uwielbiała ją, ale jednocześnie bała się jej; irlandzki temperament Constance niekiedy dawał o sobie znać, zwłaszcza gdy praca nie była wykonana jak należy albo gdy spotykała się z nonszalancją lub kłamstwem.

Mimo obowiązków Constance nie przestawała myśleć o wencie, wreszcie zapytała męża wprost, czy przekazał jej prośbę, tak jak obiecał. Uderzył się w czoło i jęknął tak rozpaczliwie, że roześmiała się na znak, że nic złego się nie stało: sama powie o tym Isabel. Wymagało to jednak specjalnego spotkania, jako że widywały się niezmiernie rzadko, niemal wyłącznie przypadkowo. W przypływie rozgoryczenia Constance nieraz myślała, że z pewnością Isabel unika jej umyślnie.

Zaprosiła Maude i Isabel na herbatę. Najpierw rozmawiały o jej ciąży. Constance powiedziała, że tym razem z pewnością urodzi dziewczynkę; uzgodnili już nawet z Georgem jej imię

— Patricia Flynn Hazard. Słyszac to Isabel zacisnęła wargi i zapatrzyła się w jakiś odległy punkt.

Kiedy Constance wspomniała, że chciałyby wziąć udział w wencie, Maude odparła:

— To ładnie z twojej strony. Jestem przekonana, że wszystkie nasze panie docenią, iż zgłosiłaś się na ochotnika. Chętnie przekazałabym twoją prośbę, ale nie działałam tam już od dwóch lat. Uznałam, że czas, aby zajęły się tym młodsze ode mnie.

— Ja im o tym powiem, kochanie — odezwała się Isabel.

— W następny poniedziałek mamy zebranie organizacyjne.

— Dziękuję — szepnęła Constance. Usiłowała przekonać samą siebie, że słodki uśmiech Isabel jest szczerzy. Wysiłek był jednak daremny.

W poniedziałek, na spotkaniu członkiń komitetu organizacyjnego, Isabel wspomniała o szwagierce.

- Pomyślałam sobie, że mogłaby objąć przewodnictwo komitetu, który zajmie się kołdrami... — zaczęła.

— Świetny wybór — oświadczyła natychmiast siedząca obok dama.

— Ale kiedy powiedziałam jej, o co chodzi, odmówiła.

Kobiety zmarszczyły brwi.

— Ale dlaczego, Isabel? — zapytała któraś.

— Czyżby nie uznawała edukacji kobiet? — dodała druga.

— Nie potrafię odpowiedzieć. Oświadczyła tylko, że nie może w tym uczestniczyć, bo... no... religijne ukierunkowanie szkoły bezceści przykazania jej kościoła, a ona liczy się tylko z nim.

Głos zabrała przewodnicząca zebrania.

— Cóż, my w każdym razie po raz ostatni liczyliśmy na nią. To pewne.

Isabel potrząsnęła głową.

— Doprawdy, jaka szkoda! Constance jest osobą inteligentną i ma wiele zalet. Słyszałam już nieraz, że katolicy to dziwacy, bigoci, ale nie wierzyłam w to, póki jej nie poznałam. Jestem przekonana, że postawa Constance jest efektem wpływów księży i zakonnic. NN jaki sposób ten, kto nie wychodzi nigdy z ciemnej celi, może być... hm... normalny? A o klasztorach słyhać tyle okropnych historii!

Kobiety ze zrozumieniem pokiwały głowami. Ten temat był teraz na porządku dziennym w całym kraju i chętnie wierzono w podobne informacje.

Nazajutrz po południu Isabel odwiedziła Constance. Na jej twarzy malowało się głębokie rozczarowanie, kiedy powiedziała: Niełatwo mi o tym mówić, kochanie. Przedstawiłam im twoją wspaniałomyślną ofertę, ale panie z grupy organizacyjnej nie przyjęły jej. Proszę, nie zrozum ich decyzji fałszywie; nie uczyniły tego ze względów osobistych, nie mają nic przeciw tobie, ale w końcu ta impreza ma zgromadzić fundusze dla instytucji religijnej, która przecież różni się w znacznym stopniu od twojego kościoła.

Constance nerwowo miętoszyła chusteczkę.

— Chcesz powiedzieć, że one nie chciały, aby pomogła im katoliczka?

Isabel westchnęła.

— Tak mi przykro! Może spróbujemy znowu za rok.

Wiedziała, że wyrazu twarzy szwagierki nie zapomni już nigdy, że zawsze będzie delektować się tym wspomnieniem.

Podczas gdy Isabel rozmawiała z Constance, George wezwany przez przerażonego nadzorcę pędził co tchu do walcowni szyn. Sprzeczką doprowadziła do wypadku. W takich sprawach

Stanley zawsze posyłał po brata. Mawiał wtedy bez żenady, że to dlatego, iż George ma właściwe podejście do ludzi. Gdyby coś takiego powiedziała Isabel, George z pewnością uznałby to za powód do obrazy.

Lato było wyjątkowo upalne, nawet zbliżająca się jesień nie przyniosła ochłodzenia. W rodzinie Hazardów krewki temperament często dawał o sobie znać, a George mógł sobie tylko wyobrazić, jakie napięcie musi panować w walcowni, gdzie żar przywodził na myśl piekło.

Walcownia szyn została zorganizowana na sposób zwany belgijskim. Długie, poruszające się szybko wstęgi rozgrzanego do czerwoności metalu były stopniowo spłaszczane i kształtowane według potrzeb, w miarę jak przepuszczano je przez cały szereg zamontowanych na stojakach walców. Stojący pomiędzy nimi krzepcy robotnicy — tak zwani chwytacze — łapali strumień metalu szczypcami i kierowali go do kolejnych walców. Była to praca ciężka i niebezpieczna, ryzyko zmniejszałoby się, gdyby ktoś tak skonstruował walcownię, by metal przesuwiał się nieprzerwanie po walcach. Właściciel huty z Nowego Jorku, niejaki Serrell, niemal dokonał tego, ale jego pomysł okazał się w końcu chybiony. George kilkakrotnie próbował rozwiązać ów problem, ale jak dotąd również bezskutecznie.

Teraz biegł tak szybko, jak tylko mógł. Wszelka praca w walcowni ustała. Żelazo poprowadzone do pierwszej pary walców zdążyło już skrzepnąć, co zauważył, gdy tylko przybył na miejsce wypadku. Jeden z chwytaczy jęcząc rozpaczliwie leżał na brudnej podłodze. Śwad spalonego ubrania i ludzkiego ciała przyprawił George'a o mdłości.

Ofiarą wypadku okazał się żylasty Słowianin, którego nazwiska George nie potrafił wymówić. Był dobrym robotnikiem, w przeciwieństwie do swego partnera, barczystego draba o nazwisku Brovnic.

— Posłaliśmy po doktora Hopple'a — powiedział zarządca.

— To dobrze. — George ukląkł pomiędzy rannym robotnikiem a zastygłą już ciemną strugą metalu. Najwidoczniej rozgrzane żelazo padło w poprzek prawego boku ofiary, oparzyło mu pierś i przedramię i spaliło przód koszuli. Ciało robotnika przypominało nie dogotowane mięso. George z trudem opanował mdłości. Bóg jeden wiedział, czy ten człowiek będzie jeszcze kiedykolwiek władał ręką.

Otarł usta wierzchem dłoni.

--- Jak to się stało? — zapytał.

Wypadek — zawołał Brovnic. Jego wysunięta do przodu szczeka zadrzała się grozić każdemu, kto by temu zaprzeczył, ale próba zastraszenia nie powiodła się. Jeden z robotników, okryty potem i brudem, wystąpił przed innych.

— Diabła tam wypadek! Brovnic napastował żonę Tony'ego. Tony powiedział mu, że ma tego dość, no i wtedy...

Brovnic zaklął i rzucił się na niego, ale trzech stojących w pobliżu mężczyzn pochwyciło go i odepchnęło w tył, podczas gdy świadek kończył relację, wskazując na zastygłą strugę zelaza.

— Brovnic powalił go tym, a potem rzucił w niego.

— Przekłety łgarz — wrzasnął Brovnic, próbując wyrwać się z trzem przytrzymującym go robotnikom. George skoczył do niego i dźgnął palcem w pierś.

— Od pierwszego dnia, kiedy przyjąłem cię do pracy, Brovnic, mamy z tobą same kłopoty. Niech kasjer wypłaci ci to, co ci się należy, a potem wynoś się stąd. Natychmiast!

Serce waliło mu jak młotem. Brovnic opuścił na niego wzrok.

— Nie powinien pan tego robić...

George musiał odchylić głowę, aby spojrzeć osiłkowi w oczy.

Powiedziałem: wynoś się natychmiast! - Zapłaci mi pan za to obiecał Brovnic i wyszedł z fabryki.

Kiedy Isabel opuściła jej pokój, Constance wybuchnęła płaczem. Stała przy wysokim oknie, za którym rozciągała się panorama miasta z połyskliwą wstęgą rzeki, nie widziała jednak tego pięknego widoku. Z całych sił, jakby w obawie, że mogłaby upaść na podłogę, trzymała się kotary.

Nie mogła się uspokoić i za te łzy gardziła sobą. W Teksasie, gdzie dorastała, płakała bardzo rzadko, ale tu wszystko było inaczej. Czasem, mimo iż tak bardzo kochała George'a, przesyłała ją nienawiść do Lehigh Station i w takich chwilach pragnęła uciec stąd, dokąd oczy poniosą. Zamiast tego zaczynała płakać.

Była pewna, że za odmową kryje się intryga Isabel. Zona Stanleya nienawidziła jej. Właśnie tak, nienawidziła, nie było na to innego określenia. Postanowiła opowiedzieć o wszystkim mężowi, kiedy wróci do domu. Zazwyczaj starała się nie zaprzętać mu głowy swoimi kłopotami, ale tym razem brzemię było zbyt ciężkie, by mogła udźwignąć je sama. Isabel wypomniała jej religię, ale z pewnością istniały jeszcze inne powody, dla których ta arogancka kobieta gardziła nią tak bardzo. Isabel była dziwą, kobietą nieszczęśliwą, potrafiła jednak zranić Constance bardzo głęboko.

— Czy coś się stało, proszę pani? Wydawało mi się, że słyszałam...

Pokojówka stanęła jak wryta. Próbowwała wycofać się z pokoju tak niepostrzeżenie, jak weszła. Constance była bardziej zmieszana z powodu jej obecności, niż ze względu na siebie. Otarła oburącz łzy.

- Przykro mi, że cię przestraszyłam, Bridgit. Przez chwilę nie byłam sobą. Nie mów o tym nikomu, dobrze? I przynieś mi Williama, jak się tylko obudzi.

— Oczywiście, proszę pani. — Bridgit wyszła z pokoju z widoczną ulgą.

Niebawem, trzymając w ramionach swoje pulchne, gruchające maleństwo, Constance poczuła się dużo lepiej. Żałowała już, że Isabel udało się doprowadzić ją do takiego stanu. Oczywiście nie powie George'owi ani słowa. Sama rozegra tę batalię, tak jak czyniła to zawsze. Wybrała to miejsce na ziemi, ponieważ kochała George'a i nie pozwoli Isabel ani nawet całemu legionowi bigotek, aby zniszczyły wszystko.

Była zła na siebie, że w obecności Isabel straciła panowanie nad sobą, choćby nawet na krótką chwilę. W ten sposób żona Stanleya przekonała się na własne oczy, że jej intryga powiodła się.

Ale już ostatni raz ta jęzda miała powód do radości — postanowiła w duchu, tuląc małego Williama.

— Powinniśmy pomyśleć o kupnie letniej rezydencji powiedziała Maude. — Od kilku miesięcy dokuczają nam straszliwe upały.

— Zgadzam się z tym — przytaknął Stanley. — Isabel uskarża się na to dzień i noc. — George, zatopiony w aktach, rzucił mu szybkie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że Isabel zawsze się na coś uskarża. — Z pewnością możemy sobie pozwolić na letni domek — mówił dalej Stanley. — Czy zastanawiałaś się już, mamo, gdzie moglibyśmy się rozejrzeć za czymś odpowiednim?

— Dobrze byłoby nad Atlantykiem.

W małym biurze było duszno. Od chwili gdy Brovnic pieniać się z wściekłości opuścił walcownię, upłynęły dwie godziny; Maude składała właśnie swą cotygodniową wizytę. Rozpoczęły się one natychmiast po śmierci męża. Przedtem nigdy nie wchodziła na teren stalowni.

Początkowo Stanley usiłował zniechęcić ją do tych odwiedzin, twierdząc, że kobiecie nie przystoi zajmować się interesami. Kiedy George wrócił do domu, niemal natychmiast odkrył prawdziwą przyczynę niezadowolenia brata — w ciągu zaledwie kilku miesięcy Maude dowiedziała się więcej na temat produkcji, magazynowania czy obrotu gotówką niż jej starszy syn przez cały czas zarządzania fabryką. To właśnie jej instynkt, dzięki któremu poznała się tak szybko na wszystkim, skłonił Stanleya do wyrażenia swojej dezaprobaty z powodu wizyt matki w stalowni. Ale jego starania nie odniosły skutku. Maude była osobą

cichą i skromną, ale jednocześnie twardą jak dowożone łodziami w dół rzeki, na rynek, żelazo Hazardów.

Zachęcony jej słowami o wybrzeżu, George wtrącił się do rozmowy.

— Orry mówił mi kiedyś, że spora część plantatorów z Południowej Karoliny spędza lato w Newport.

Maude klasnęła w ręce.

— Och, tak! Aquidneck Island! Słyszałam, że to piękne miejsce.

Stanley zrobił minę, jakby ta propozycja nie przypadła mu do gustu, zanim jednak zdołał coś powiedzieć, drzwi otworzyły się z hukiem. W progu stanął Brovnic, rozsiewając wokół zapach whisky i wymachując starym kawaleryjskim pistoletem.

Maude jęknęła i znieruchomiała. Stanley w jednej chwili rzucił się na podłogę.

Ostrzegalem pana! — krzyknął Brovnic, chwiejąc się na nogach.

Nie spuszczał oczu z lufy wycelowanej w George'a. Ten bez namysłu chwycił za kałamarz stojący na biurku i chlusnął jego zawartość w twarz intruza. Ociekający czarnym atramentem Brovnic ryknął i zatoczył się na drzwi. Pistolet wypalił, ale kula utkwiała w suficie. A George przeskoczył już przez balustradę dzielącą biuro na dwie części, wytrącił pistolet z dłoni Brovnica i zadał nim potężny cios w nos. Rozwścieczony napastnik usiłował pochwycić go umazanymi atramentem rękami, ale George cofnął się o krok i ciężkim butem kopnął awanturnika w kroczce. Brovnic wrzasnął jak oparzony i wymachując ramionami zatoczył się do tyłu, po czym wypadł przez drzwi na zewnętrzne schody. Dopiero wtedy George poczuł przyływ trwogi. Trzymając się jedną ręką framugi drzwi, skinął drugą na czterech przechodzących w pobliżu robotników.

— Zabierzcie stąd tego pijanego durnia. A jeden niech pobiegnie po konstabla.

Stanley począł dźwigać się na nogi. Maude przez cały ten czas nie wykonała najmniejszego ruchu. Teraz spojrzała na Stanleya i zauważyła łagodnie:

— Powinieneś być pomóc bratu. Tamten mógł go zabić.

Stanley poczerwieniał, zbyt zaskoczony, aby coś odpowiedzieć. Matka po raz pierwszy dokonała wyboru między synami. Nie wróżyła to nic dobrego na przyszłość.

Tego wieczoru, kiedy George wrócił do Belwederu, Constance nie okazała w najmniejszym nawet stopniu, że coś ją dręczy. George najwidoczniej podekscytowany wypadkiem w walcowni nie przestawał o nim mówić przez cały czas trwania obiadu.

Odwiedził nawet rannego robotnika, który mieszkał w pobliżu kanału; wszystko wskazywało na to, że wyzdrowieje. Doktor Hopple uważał, że ramię da się wyleczyć, jakkolwiek nie był pewien, czy ranny będzie mógł w przyszłości wykonywać ciężką pracę. George postanowił, że w takim przypadku ofiaruje mu u siebie jakąś stosowną posadę. Brovnic został aresztowany.

W sąsiednim domu wieczorny posiłek dobiegł już końca. Maude wyszła, aby przejść się trochę z Billym. Virgilia siedziała w swoim pokoju, a Isabel odbyła swą rytualną pięciminutową wizytę u bliźniaków, Labana i Levi'ego, po czym wróciła do jadalni. Siedzieli tam teraz sami ze Stanleyem. Chciała mu właśnie opowiedzieć o swoim triumfie nad Constance, kiedy Stanley ponownie wspomniął o incydencie w biurze. Po powrocie do domu napomknął o nim w kilku słowach, potem zapadł w grobowe milczenie. Maude podczas posiłku rozmawiała z nimi przez chwilę, unikała jednak tematu strzelaniny.

— Matka patrzyła na mnie tak, jakby miała przed sobą najgorszy okaz tchórza — mruknął żalonym tonem. — Nie mogę tego znieść!

— Stanley, rozumiem, że to wydarzenie mogło wyprowadzić cię z równowagi. Słyszałam o wszystkim. Chciałabym, abyś dał mi powiedzieć...

Zmiał serwetkę i cisnął jej w twarz.

Zamknij się, megiero! Czy naprawdę jesteś tak głupia, że nie widzisz, co się szykuje? Przez George'a matka zwraca się przeciw nam! Jej następnym krokiem będzie przekazanie mi kontroli nad finansami. I co wtedy zrobisz ty, z tą twoją zachłannością, ty, tak rozrzutna?

Krzyczał tak głośno, że zabrzęczały wisioriki na kandelabrach. Oniemiała z wrażenia Isabel wpatrywała się w serwetkę, która musnęła jej twarz i wpadła do pustej szklanki po szербecie. W pierwszym odruchu chciała skarcić męża za to niesłychane zachowanie, ale niemal natychmiast rozmyśliła się. On po prostu nakrzyczał na nią, dlatego że matka nakrzyczała na niego. Maude uczyniła tak nie bez powodu. Stanley był tchórzem. Ale to nic... przynajmniej dopóki ma w tej rodzinie coś do powiedzenia.

Doszła do przekonania, że osobą, która ponosi największą winę za wszystkie kłopoty, jest George. Energiczny, arogancki, mały George. Dziś odniosła zwycięstwo nad Constance, ale George doprowadził Stanleya do takiego stanu, że nie chciał nawet wysłuchać opowieści o jej triumfie.

Oczywiście zadowolenie Isabel brało się wyłącznie z przeświadczenia, że Constance czuje się nieszczęśliwa. Ale już po chwili zaczęła wątpić, czy dobrze oceniła sytuację. Od strony murawy okalającej Belweder dobiegły ją rozbawione głosy. Podeszła do okna i ujrzała George'a i Constance, którzy mimo

zapadającego zmierzchu grali w krykieta. Śmiali się przy tym i dokazywali jak małe dzieci.

Stanley powiedział coś, ale Isabel nie zwracała na niego uwagi. Wpatrywała się teraz w Maude. Starsza pani siedziała w łodzi Belwederu, huśtając na kolanach małego Williama. Billy leżał nie opodal na trawie. Isabel kipiała ze złości. Maude nigdy nie bawiła się w ten sposób z Labanem i Levim.

Constance sprawiała wrażenie szczęśliwej. Szczęśliwej. Jej siła zdołała jakoś obrócić wniwecz zwycięstwo Isabel. A na domiar złego Constance i jej mąż robili teraz wszystko, co tylko możliwe, aby nastawić Maude przeciw Stanleyowi.

Isabel poczuła raptem, że nienawidzi tych dwoje bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— Jeszcze jeden wykolejony pociąg — powiedziała Constance. — Czterech zabitych. To już trzecia katastrofa w tym miesiącu. — Potrzęsnęła głową i złożyła gazetę.

George nie odrywał wzroku od planów architektonicznych rozłożonych na stole w bibliotece.

— Im więcej układa się szyn i im więcej jeździ pociągów, tym większe jest ryzyko wypadku.

— To chyba zbyt proste wyjaśnienie. Słyszałam, że połowy tych katastrof, albo i więcej, można by uniknąć.

— Cóż, to niewykluczone. Ludzie popełniają błędy. Stosowane są nieodpowiednie materiały na podkłady kolejowe i tabor. No i byłoby dobrze, gdyby wszystkie linie kolejowe ustaliły jakąś jednolitą normę.

Wstał, przeciągnął się, po czym z uwagą poprawił ułożenie przedmiotu leżącego na stole, tak jakby miał do czynienia z niezwykle cennym antykiem. Nie było to jednak nic innego, jak ów kawałek meteorytu, który znalazł w pobliżu West Point, gdy był jeszcze kadetem. Chronił tę grudkę żelaza jak skarb, gdyż jak mówił symbolizował on cel i znaczenie jego pracy. Zauważyła, że ów gest był również symboliczny; mąż przesunął meteoryt zaledwie o kilka milimetrów. Uśmiechnęła się do siebie.

Podszedł do fotela i cmoknął ją w czoło.

— Orry powiedziałby na to, że za postęp niestety trzeba zawsze płacić.

— Zdaje się, że już od jakiegoś czasu nie dostałeś od Orry'ego żadnego listu.

— Od sześciu tygodni. — Ciężkim krokiem podszedł do okna. Światła Lehigh Station migotały zza pierwszej w tym roku łagodnej śnieżycy. — Napisałem do niego i zaprosiłem całą rodzinę Mainów na przyszłe lato do Newport.

W październiku George i Stanley pojechali na wyspę w zatoce

Narragansett i kupili obszerny dom, architektoniczny zlepek różnych stylów, oraz dziesięć akrów gruntu na Bath Road, w pobliżu plaży. Architekt z Providence przedstawił im plany całkowitej modernizacji domu; to właśnie te plany George oglądał teraz uważnie. Ich autor obiecał, że przebudowa zostanie zakończona do lata 1850 roku.

— I od tamtej pory nie odezwał się?

— Nie.

— Może coś się stało?

— Jeżeli tak, to nic mi o tym nie wiadomo.

— Newport to miejscowość odwiedzana głównie przez ludzi z Północy. Myślisz, że przyjmie to zaproszenie?

— Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby je odrzucić. Latem zawsze pełno tam Południowców z Karoliny, zjeżdżają się ich całe chmary.

Jednak George nie był do końca szczery z żoną. Przychodzące sporadycznie listy Orry'ego pozornie tchnęły pogodą, zawierały jednak osobliwy, pełen goryczy podtekst, który nie uszedł uwagi George'a, jako że doskonale pamiętał dawnego Orry'ego, bardziej wesołego i beztróskiego. W listach Orry wielokrotnie wspominał o swoim „wiecznym starokawalerstwie” i tylko od czasu do czasu odpowiadał na ostrożne pytania przyjaciela o „M”. Niekiedy nieoczekiwanie przeskakiwał z jakiegoś błahego tematu do kwestii, którą można by określić protestem przeciw ruchom antyniewolniczym na Północy. Był zdecydowanym przeciwnikiem ugrupowań Partii Wolnej Ziemi, domagających się, by w każdym nowym stanie lub terytorium wprowadzono zakaz zatrudniania niewolników. Ostro krytykował klauzulę Wilmota*. Wyglądało na to, że ów projekt jeszcze długo będzie budził gniew Południa.

I tak, chociaż George bardzo chętnie zobaczyłby się znów ze swoim starym przyjacielem, coś przestregало go przed spotkaniem. W połowie grudnia otrzymał wiadomość, że jednak dojdzie ono do skutku. List dotarł do niego w wyjątkowo mroźny dzień. Wieczorem George wsunął się do łóżka, ułożył obok ciężarnej żony i, jak zwykle, począł opowiadać jej sennie o wszystkim, co się wydarzyło.

— Przyszedł list od Orry'ego.

— Nareszcie! W jakim jest nastroju? — Oddychała ciężiej niż zwykle, ale nie od razu zorientował się, w czym rzecz.

* Chodzi o zgłoszoną w sierpniu 1846 roku przez Davida Wilmota klauzulę do wniosku prezydenta Polka o zakup ziem od Meksyku. Klauzula głosiła, że na owych terenach nie będzie niewolnictwa ani przymusowej służby.

— Niespecjalnym. Ale odwiedzi nas latem i przywiezie ze sobą wszystkich, których zdoła namówić na tę podróż.

— To... wspaniale — jęknęła Constance. — Ale póki co... myślę, że powinienies... zaprosić tu jak najszybciej... doktora Hopple'a...

— Co? To już pora? Teraz? Mój Boże... ach, to dlatego oddychałaś tak ciężko!

Wyskoczył z łóżka i w pośpiechu wszedł w nocnik, na szczęście pusty. Mimo to stracił równowagę i runął na wznak.

— Auu!

— Wielki Boże! — zawołała, usiłując wstać. — Jeśli nie zaczniesz na siebie uważać, nie będziemy mogli mieć więcej dzieci.

Nad ranem bez większych kłopotów przyszła na świat Patricia Flynn Hazard. George dostał tę wiadomość w bibliotece, gdzie siedział uśmiechając się sennie i masując obandażowaną nogę.

Billy, który liczył już czternaście lat i stawał się z każdym dniem wyższy, przyjechał z internatu, aby spędzić święta Bożego Narodzenia w domu. Jego nowa kuzynka zaabsorbowała go do tego stopnia, że większą część wakacji przesiedział w Belwederze, jakkolwiek wszystkie jego rzeczy pozostały u Stanleya.

Czuł się już dorosły i samodzielny. Często drażnił się z matką grożąc, że niebawem wyjedzie do Kalifornii, aby szukać złota. Połowa narodu uległa gorączce złota, czemu więc on miałby być inny?

Dlatego, że ty nie potrzebujesz pieniędzy, młody człowieku — odparła za którymś razem Maude, kiedy siedzieli przy stole.

— Właśnie że potrzebuję, nie mam własnych dochodów. — Raptem, zmęczony tą grą, podbiegł do fotela i przytulił się do matki. — Tak naprawdę to wcale nie chcę kopać i szukać złota.

— A czego chcesz?

— Chciałbym posłuchać jeszcze raz o bitwie pod Churubusco.

Ten opis nigdy go nie nużył, a wspominki nieuchronnie prowadziły George'a do długiej, chaotycznej opowieści o latach spędzonych w West Point. Lubił powracać myślą do czasów szkolnych, siedząc przy ogniu trzaskającym na kominku, cieszył się też, że odciągnie młodszego brata jeszcze na godzinę od Stanleya i Isabel. Od czasu owego incydentu, który zakończył się zamknięciem Bronnica w więzieniu w Harrisburgu, Stanley patrzył na niego wilkiem. Isabel była taką samą jędzą jak zawsze. George obawiał się, że oboje mogliby mieć na Billy'ego zły

wpływ i był zadowolony, że chłopiec spędzał większą część roku poza domem, w szkole.

— Wydaje mi się, że Orry jest miłym człowiekiem — skomentował kiedyś Billy jeden z monologów brata o Akademii.

— Nie mylisz się. Poza tym to mój najlepszy przyjaciel. Mam nadzieję, że spotkacie się latem.

— Czy bije swoich Murzynów?

— Dlaczego miałby to robić? Nie, jestem pewny, że nie.

— Ale ma niewolników, prawda? — Billy nie ukrywał dezaprobaty.

George zmarszczył brwi i sięgnął po karafkę z czerwonym winem. Najwidoczniej nie można było uniknąć tego tematu.

— Owszem, ma ich kilku.

— W takim razie cofam to, co powiedziałem. Nie sądzę, aby był tak miły, jak twierdzisz.

George starał się opanować rozdrażnienie.

— To dlatego, że masz już niemal piętnaście lat. Nikt w twoim wieku nie zgadza się z dorosłymi.

— Dlaczego tak mówisz? To nieprawda! — odparł Billy. Powiedział to z takim zapalem, że George wybuchnął śmiechem, chłopiec zaś, nie rozumiejąc powodu wesołości brata, dodał z uporem: — Zgadzam się z tobą we wszystkim, co opowiadasz o West Point. To miejsce chyba jest naprawdę cudowne.

George upił trochę wina, z upodobaniem wsłuchując się w znajome odgłosy domu. Rodziny powinny mieć swoje tradycje, on zaś wyobraził sobie właśnie jedną z nich, doprawdy wspaniałą, nie chciał jednak mówić wprost o swym pomysle temu upartemu młodzianowi. Obawiał się, że wtedy Billy mogły powiedzieć „nie”. Począł krążyć wokół tematu.

— O, to były ciężkie czasy. Ale kiedy już udało się je przeżyć, czułeś się jak prawdziwy mężczyzna. Były też piękne chwile.

I zyskałem wielu dobrych przyjaciół. Tom Jackson wykłada na uczelni wojskowej w Wirginii. George Pickett. To dobrzy przyjaciele — mruknął znowu sięgając pamięcią wstecz, do krótkiego, spędzonego w Akademii okresu, który już teraz wydał mu się dużo dłuższy. — A poza tym West Point oferuje bez wątpienia najlepszą poziom edukacji w Ameryce.

Billy uśmiechnął się.

— Bardziej interesowałby mnie udział w bitwach.

George przypomniał sobie krew wielu żołnierzy przelaną w Churubusco i oderwaną rękę Orry'ego.

W takim razie nie masz pojęcia, co to naprawdę znaczy bitwa.

Nie powiedział tego głośno, tylko uśmiech zniknął z jego twarzy. Postanowił umożliwić bratu samodzielne podjęcie decyzji, co też Billy z pewnym wahaniem spróbował uczynić w chwili później:

- Wiesz, George, właściwie chciałem cię zapytać, co myślisz o moich szansach...

George zrobił wszystko, aby nie okazać radości.

— Szansach na co?

W oczach chłopca widniał podziw dla starszego brata.

— Żeby tak jak ty dostać się do West Point i ukończyć ją.

— Sądzisz, że to by ci odpowiadało?

— O tak, nawet bardzo!

— To wspaniale!

Życie żołnierza bywało trudne, nieraz nawet cholernie nieciekawie. Podczas wojny uznał je nawet za odrażające i nieludzkie. Nadal był tego zdania. Mimo to mężczyzna w tym wieku i w tym kraju nie miał lepszej drogi, jak tylko zacząć swoje dorosłe życie w West Point. George zdawał sobie sprawę, że nie zawsze tak sądził. Fakt, że miał teraz inne zdanie, dowodził zmiany jego charakteru, i ta świadomość zaskoczyła go.

Oczywiście egzaminy wstępne mają charakter konkursowy) gdyż jest wielu chętnych mówić dalej. Ale ty i tak nie będziesz mógł przystąpić do nich wcześniej, niż za... niech pomyślę... za trzy lata. Gdybyś zapisał się do klasy z rocznika 56, miałbyś siedemnaście lat. To idealnie. Muszę sprawdzić, czy nie będzie jakiegoś wakatu z okręgu. Zajmę się tym natychmiast.

I tak właśnie uczynił.

19

Pod koniec 1849 roku wśród ludzi osiadłych nad Ashley poczęła krążyć opinia, że z każdym miesiącem Orry Main staje się bardziej brodaty i bardziej małowówny.

Orry nie zamierzał być szorstki, lecz zwięzły. Jego umysł koncentrował się na rozważaniu setek szczegółów dotyczących rodziny i funkcjonowania plantacji. Mniej więcej raz w tygodniu musiał interweniować w jakiejś sprawie w majątku. Nie miał więc zbyt wiele wolnego czasu, co usiłował nadrabiać, skracając rozmowy do niezbędnego minimum.

Jeśli sąsiedzi i znajomi uznają to za objaw złego humoru, proszę bardzo. Taka reakcja przynosiła korzyści. Ludzie nie oczekiwali, że zacznie rozprawiać o swoich sprawach osobistych, nie dręczyli go też pytaniami na temat, który stał się dlań bardzo drażliwy.

To znaczy, nie dręczył go nikt prócz ojca.

Tillet miał już niemal pięćdziesiąt pięć lat, dokuczały mu podagra i częste napady złego humoru.

— Do diabła, chłopcze, stanowisz świetną partię — powie dział któregoś wieczoru w bibliotece. — Dlaczego nie chcesz poszukać sobie żony?

Grudniowy deszcz bębnił o szyby. Orry westchnął i odłożył pióro. Właśnie sprawdzał roczny bilans i w tym celu przeglądał jedną z wielu ksiąg, które wziął z biura. Odkął Tillet podupał na zdrowiu, księgi prowadził Salem Jones. W nich zapisywana była liczba baryłek ryżu wysyłanych do Charleston.

Po zbiorach Orry kiedyś przypadkowo rzucił okiem na bieżący rejestr. Starannie wypisane cyfry nie odpowiadały liczbie baryłek wysyłanych z plantacji; wyczuł to raczej instynktownie. Miał jeszcze w pamięci obraz baryłek zalegających przystań. Już od tygodni planował, że sprawdzi to spostrzeżenie. Zrobił to teraz, a potem zwrócił się do ojca:

— Mogę zapytać, co cię skłoniło do postawienia pytania, na które moim zdaniem odpowiedziałem już, zadawając wszystkich?

— Może zadowoliliś matkę. Mnie nie. — Nie wstając z fotela pomachał w powietrzu ostatnim listem Coopera. — Twój brat przyprowadza na wszystkie te przyjęcia i bale młode damy, nadające się do ożenku i adoruje je. Oczywiście, gdyby o którejs z nich pomyślał poważnie, jej ojciec posłałby go zapewne do diabła z powodu tych jego zwariowanych idei. Ale stan cywilny twego brata nie interesuje mnie, podałem go jedynie jako przykład tego, co powinienieś zrobić, aby...

Drgnął gwałtownie, jęknął i ścisnął oburącz wyciągniętą nogę. Dopiero po chwili dokonczył:

— Powinieneś się ożenić i założyć rodzinę.

Orry potrząsnął głową.

— Jestem na to zbyt zajęty.

— Ale z pewnością są chwile, kiedy czujesz się samotny. Zdrowy mężczyzna w twoim wieku zawsze...

Orry uśmiechnął się i ojciec umilkł. Na jego twarzy malowała się ulga. Orry wyjaśnił:

— O to nie musisz się martwić, jakoś sobie radzę.

Tillet skrzywił się.

— Tak też słyszałem od paru dżentelmenów z sąsiedztwa. Ale kobiety tego pokroju... zwykle kobiety albo takie, w których płynie trochę murzyńskiej krwi... one nadają się tylko do jednego. Nie mógłbyś poślubić żadnej z nich.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Jak już wspomniałem nieraz — dotknął piórem swego pustego, spiętego szpilką rękawa — nie uważam się za mężczyznę nadającego się do zawarcia małżeństwa. A teraz chciałbym wrócić do pracy. Odkryłem kilka dziwnych nieścisłości, które ciągną się już od ponad dwóch lat.

Tillet wzruszył ramionami, co miało oznaczać zgodę. Syn był

nieco gburowaty, kiedy oświadczył, że nie nadaje się do ożenku. Tillet słyszał to nie po raz pierwszy — i chociaż myślał o tym niechętnie, musiał przyznać w duchu, że coś w tym jest. Wiedział, co mówią o Orrym ludzie znad Ashley. Uważali, że wojna trochę pomieszała mu w głowie.

Argumentów na poparcie tego twierdzenia było aż nadto — sposób, w jaki Orry wywiązywał się ze swych obowiązków w Mont Royal, tak jakby musiał udowodnić samemu sobie, że nie jest wcale gorszy od zdrowego mężczyzny. Jego ubranie, zawsze za ciężkie i posepne jak na klimat i obyczaje tych okolic. Jego szorstki sposób bycia. Ta przekłeta broda, tak długa i gęsta, że mogłyby się w niej zagnieździć sikorki.

Pewnego razu Tillet, który wracał właśnie powozem z Charleston, minął się przy bramie z Orrym, jadącym konno coś załatwić. Trzej ogrodnicy pielący chwasty podnieśli na Orry'ego wzrok, kiedy mijał ich galopem, a potem spojrzeli po sobie; jeden z nich potrząsnął głową, drugi wzdrygnął się. Tillet dostrzegł to i ogarnęło go przynębienie. Jego syn stał się dla innych kimś obcym, nawet wzbudzającym strach.

Oczywiście nie należało przesadzać. Nawet jeśli Orry był trochę dziwny, Tillet wolał go o wiele bardziej niż Coopera, który wprawdzie z energią przystąpił do kierowania małą linią żeglugową i nawet zaczął odnosić sukcesy, nie przestawał jednak głośić obraźliwych, żeby nie powiedzieć zdradzieckich, opinii.

Ostatnio pisano wiele o rozmaitych rezolucjach, które stary Henry Clay zamierzał przedłożyć w Senacie z początkiem przyszłego roku. Clay miał nadzieję, że uda mu się powstrzymać dalszy rozłam pomiędzy Północą a Południem. Unia, która składała się obecnie z trzydziestu stanów, z trudem utrzymywała jedność: w piętnastu istniało niewolnictwo, w pozostałych piętnastu było ono zakazane. Clay planował dorzucenie na każdą szalę nowych atutów; zaproponował przyjęcie Kalifornii do Unii po stronie Północy, a więc jako stanu wolnego, Południe natomiast uzyskałoby zapewnienie zgody na handel niewolnikami pomiędzy poszczególnymi stanami oraz na uchwalenie nowego surowego prawa o zbiegłych niewolnikach.

Gdyby ktoś poprosił Tilleta, aby sprecyzował główną przyczynę swej niechęci wobec Północy, wymieniłby natychmiast kwestię zbiegłych niewolników. Czwarty artykuł konstytucji głosił wyraźnie, że każdy obywatel ma prawo do odzyskania swego niewolnika, który zbiegł. Dotyczyło to również terenu stanów, na których nie istniało niewolnictwo. Owa ustawa z 1793 roku miała uzupełnić konstytucję, stanowiła poprawkę do niej, ale wspaniałomyślni hipokryci z Północy czynili wszystko, aby obejść prawo lub wręcz zakpić z niego.

Tillet podobnie jak wielu polityków Południa, łącznie z sena-

torem Jeffem Davisem z Missisipi i senatorem Johnem Calhounem, był przeciwny kompromisowemu projektowi Claya. Po swojej stronie Clay miał słynnego i wpływowego senatora Webstera, natrafił jednak na opozycję w osobach radykalnych abolicjonistów, z których najbardziej ekstremalnym był chyba senator Seward z Nowego Jorku. Cooper uważał, że ów kompromis jest rozwiązaniem rozsądnym, a zarazem jedynym. Natomiast Tillet był zdania, że najlepszym wyjściem jest wychłosta-nie Coopera.

Podczas gdy Tillet nabijał sobie głowę polityką, Orry rozmyślał o tym, co powiedział ojciec — że ludzie z sąsiedztwa wiedzą, iż zadaje się z różnymi kobietami. Ta wiadomość wprawiała go w dobry humor. A więc plan się udał. Przez cały ostatni rok miał wiele kochanek, ostatnią z nich była Mulatka, szwaczka, którą poznał bawiąc w Charleston. Zawsze starał się postępować dyskretnie, choć nie robił z owych kontaktów tajemnicy.

Kobiety dawały mu to, czego nie mogła ofiarować Madeline ze względu na warunki ich umowy. Ale wbrew przekonaniu ojca Orry nie zadawał się z nimi tylko po to, by zaspokoić swe pragnienia. Czynił to, aby ludzie oswoili się z tym faktem i nie wiązali jego nie wyjaśnionej nieobecności w Mont Royal z nieobecnością Madeline w Resolute tego samego dnia. Ochrona ukochanej kobiety przed podejrzeniami była dlań niemal tak samo ważna, jak regularne spotkania z nią.

Zadowolony, że podstęp się udał, Orry powrócił do ksiąg rachunkowych. Oto natrafił na coś, co cuchnęło jak nieświeża ryba, więc przez następne pół godziny wyteżał całą swą uwagę, podczas gdy Tillet drzemał, upajając się we śnie rozkoszną wizją senatora Sewarda, który pada na ziemię pod kamieniami roz-wścieżonego tłumu.

Do rzeczywistości przywołał go dźwięk przypominający wystrzał z pistoletu; to Orry zatrzasnął księgę, a teraz stał w bezruchu, trzymając ją w dłoni.

Tillet przetarł oczy.

— Coś nie w porządku?

— Jeszcze jak! Trzymamy pod naszym dachem złodzieja. Za twoje zaufanie i dobroć odplacił oszustwem. Nigdy nie lubiłem tego łajdaka. Nareszcie mogą się go pozbyć. I zrobię to natychmiast.

— O kim ty mówisz? — Tillet nie doszedł jeszcze do siebie.

— Kto jest tym złodziejem?

Orry stał już w progu.

— Jones.

— Ale... ja go tu zatrudniłem. Nie możesz go teraz wyrzucić.

— Pozwalam sobie mieć inne zdanie na ten temat, sir

— odparł Orry głosem twardym, ale tak cichym, że niemal

zagłuszał go szum deszczu. - Teraz ja kieruję tą plantacją. Zaaprobujesz moją decyzję, kiedy przedstawię ci dowody jego winy. Ale nawet jeśli nie, tak czy inaczej Jones jest tu skończony.

Wpatrywał się w ojca nie gniewnie, lecz nieustępliwie. Broda, oczy, wysoka, chuda sylwetka i pusty rękaw -- to wszystko wywarło raptem na Tillecie jakieś dziwne wrażenie. Wydało mu się, że toczy spór z kimś obcym i do tego niebezpiecznym.

— Rób, jak chcesz — mruknął.

Jego syn skinął gwałtownie *głową* i wyszedł.

Z księgą pod pachą, w starym płaszczu rozwianym na wietrze, skierował się do domu nadzorca. Włosy i broda ociekały deszczem. Szedł szybko, zamasyście i był tak pochłonięty swym zadaniem, że nie zauważył kuzyna Charlesa, który leżał na ciemnym ganku jednej z chat murzyńskich.

Jones spał. Orry zbudził go krzykiem, po czym przyparł do muru w niewielkiej kuchni. Niespodziewana wizyta wytrąciła nadzorcę z równowagi. Na łysej głowie zaślśniły krople potu, ciemne plamy pojawiły się też na nocnej koszuli. Z sypialni wyszedł z pałką i harapem. Najwidoczniej nie rozstawał się z nimi nawet w łóżku.

— Wszystko było bardzo proste, prawda? warknął Orry, rzucając ciężką księgę na stół. W oczach Jonesa pojawił się strach. Przy każdym załadunku wpisywał pan mniejszą liczbę, mniej więcej o tuzin beczek mniej niż w rzeczywistości zabierał statek. Ale nasi odbiorcy płacą za taką ilość beczek, jaką otrzymują. Odkąd zajął się pan również prowadzeniem ksiąg rachunkowych, wystarczyło tylko wpisać do nich tę pomniejszoną liczbę beczek, a różnicę schować sobie do kieszeni. Kiedy ostatnim razem byłem w Charleston, przejrzałem księgi naszych odbiorców; wynikało z nich, że płacono nam więcej, niż wykazywał pan w aktach.

Jones przełknął ślinę i przycisnął pałkę do brzucha, jak gdyby nagle chwyciły go bóle.

— Nie udowodni mi pan, że to ja jestem odpowiedzialny za tę różnicę.

— Może nie przed sądem, chociaż wydaje mi się, że i tam miałby pan ciężki orzech do zgryzienia. Dopóki nie wróciłem z Meksyku, nikt nie ruszał tych ksiąg z wyjątkiem pana i mojego ojca, który niestety podupał trochę na zdrowiu i okazał się zbyt łatwowierny. Trudno mi uwierzyć, aby ojciec oszukiwał sam siebie.

— Niezależnie od tego, co pan mówi, nie sposób mi udowodnić...

— Przestań pan już o tych dowodach. Do tego, żeby pana

zwolnić, nie potrzebuje wyroku sądu. Decyzja należy do mnie i już ją podjąłem.

— To nie w porządku! — krzyknął Jones. — Włożyłem w tę plantację wszystko, co miałem.

W świetle lampy twarz Orry'ego mogła wzbudzić strach. W jego oczach zapłonęły ogniki.

— I wziął pan niemało.

— Nie jestem już pierwszej młodości, panie Main. Proszę, niech mi pan da jeszcze jedną szan...

— Nie.

— Potrzebuję... — Jones odłożył harap — ...przynajmniej tygodnia, aby spakować swoje rzeczy.

— Opuści pan ten dom przed wschodem słońca. Polecę woźnicom, aby spalili wszystko, co zostanie tu po tym terminie.

— Niech pana diabli! — wrzasnął Jones. Cień jego uniesionej groźnie pałki przesunął się po ścianie na sufit, zanim jednak zdążył zadać cios, Orry obrócił się doń bokiem, ujął prawą ręką dłoń nadzorcy i przytrzymał pałkę w górze.

— Nie jestem jednym z pańskich niewolników, Jones. Jeśli jeszcze raz podniesie pan na mnie głos lub rękę, wyniosą stąd pana na noszach.

Trzęsąc się ze złości, wyrwał mu pałkę i wetknął sobie pod pachę. Szybkim ruchem wziął ze stołu książkę i ruszył ku wyjściu, nie zwracając uwagi na kuzyna Charlesa, który stał wsparty o jeden ze słupów z podekscytowaną, niemal nabożną miną.

— Co się stało? — zapytał. — Czy Jones coś nabroił?

Deszcz przerodził się w lekką mgłę. Orry zszedł z ganku, odgłos ciężkich kroków zagłuszył szorstką odpowiedź. Kuzyn Charles pomyślał, że Orry nie raczy mu nawet wyjaśnić, co się wydarzyło. Podniecenie malujące się na jego twarzy ustąpiło miejsca niechęci.

Kuzyn Charles leżał nagi obok Semiramis. Jej gładkie, ciepłe ciało wydzielalo jeszcze nikły zapach potu po odbytych dopiero co stosunku. W ciemności dziewczyna usłyszała nagle powtarzające się głuche dźwięki. Tonk, tonk, tonk. Każde uderzenie poprzedzał gwałtowny ruch Charlesa. Raz po raz dźgał swoim dużym nożem myśliwskim ścianę obok siennika.

Powtarzało się to zawsze, kiedy był zły. Ale na pewno nie był zły na nią. Przeżyli rozkoszne chwile, jak zwykle kiedy się kochali — chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, tym razem wchodził w nią wyjątkowo mocno i gwałtownie.

Semiramis przeciągnęła się, ale nie chciało jej się spać. Charles nie przestawał walić nożem w ścianę. Minęła już niemal

godzina, odkąd zakradł się do niej, aby powiedzieć, że spotkał Orry'ego. Teraz wszyscy niewolnicy rozprawiali tylko o jednym: Salem Jones został wyrzucony z plantacji. W ozdobnym domu nadzorca płonęły wszystkie lampy. Salem pakował swój dobytek. W zasnutej mgłą ciemności Semiramis słyszała śmiechy i strzępy ożywionych rozmów. Wszyscy byli na nogach i cieszyli się. Jeszcze przez całe tygodnie będzie tu panował radosny nastrój.

Wiadomość o Jonesie uszczęśliwiła również Semiramis. Była w doskonałym humorze, kiedy ów krzepki czternastolatek położył się na niej. Charles zaspokajał ją zawsze, ale dziś odczuwała rozkosz intensywniej; ze względu na Jonesa, ale także dlatego, że chłopiec przyszedł do niej ponownie. Była pierwszą, która pokazała mu, co robią mężczyzna i kobieta, kiedy są razem — i obojętne z iloma białymi dziewczynami zadawał się do tej pory, zawsze do niej wracał. Ostatnio, jak słyszała, zabawiał się z jedną z córek Smitha. Sue Marie Smith, tak się nazywała. Ładniutką, ale zbyt grzeczną na tak ognistego młodziana.

Tonk. Ściana zawibrowała. Semiramis ujęła jego wolną dłoń i położyła ją sobie na pokrytej mezbekiem wypukłości. Gwałtownym gestem cofną rękę.

— Wielki Boże! — zawołała, zmuszając się do śmiechu. Na kogo się tak wściekasz?

— Na Orry'ego. Patrzy przeze mnie, jakbym był szybą w oknie. Nawet nie wie, że żyję. Nie obchodzi go nic a nic.

Tonk.

— Hmm. Na pewno nienawidzisz go tak jak ja jego ojca za to, że potraktował mojego brata jak złodzieja. Chyba myślałam się co do pana Orry'ego.

— To znaczy?

— Zdawało mi się, że go lubisz.

Kuzyn Charles parsknął wzgardliwie.

— Czy mogłabyś lubić kogoś, kto uważa, żeś nic niewarta? Że jesteś po prostu śmieciem?

Przed jej oczyma stanęło nagle tyle białych twarzy, że nie próbowała nawet ogarnąć ich wszystkich pamięcią.

— Nie, mój słodki chłopcze, na pewno nie.

— A więc nie oczekuj tego ode mnie.

Tonk. Tym razem uderzył z taką siłą, że ostrze zabrzęczało śpiwnie.

— Myślę, że cieszyłeś się, mogąc zwolnić Jonesa — powiedziała Madeline, kiedy spotkała się z Orrym przy kaplicy.

— Co za łajdak! Ale ja tego nie uknułem, możesz być tego pewna.

- Nie unos się tak, najdroższy. Oczywiście, że tego nie uknułeś. Ale wiesz, co mam na myśli.

Przyłożyła chłodną dłoń do jego twarzy.

— Zdążyłam cię już poznać. Już teraz masz za dużo pracy, a bierzesz na siebie jeszcze więcej. Jonesa można było zwolnić za tydzień, nawet za miesiąc, ale ty uparłeś się, aby przejąć jego obowiązki natychmiast. — Pocałowała go czule. — Wyglądasz na zmęczonego. Twoje siły też nie są niespożyte, wiesz?

Odniósł wrażenie, jakby oświeciła tę część jego duszy, gdzie skrywał myśli i uczucia, których się wstydził. Jej spostrzegawczość drażniła go, ale — jak zawsze — nie mógł się na nią długo gniewać.

Może — przeszła go nagle myśl — może miłość jest wtedy najprawdziwsza i najgłębsza, kiedy można zajrzeć sobie w serca, nie bojąc się tego, co tam tkwi.

Zdobył się na słaby uśmiech.

— Wydaje mi się, że odkryłaś mój sekret. Ciężka praca i nasze spotkania; tylko to podtrzymuje mnie na duchu.

Mimo uśmiechu dojrzała w jego oczach ból, uświadomiła sobie, jak rozpaczliwa jest prawda bijąca z jego słów. Nie mówiąc nic, tuliła go mocno w ramionach.

20

W dniu 29 stycznia 1850 roku senator Clay przedłożył w Kongresie projekt swoich ośmiu rezolucji.

Na ich temat już od dłuższego czasu toczyły się w Resolute namiętne dyskusje. Dwaj krewni Justina, zamożni kupcy z Columbii, zostali wykluczeni z towarzystwa osiadłych na nizinach LaMotte'ów, ponieważ ośmielili się — siedząc przy stole wraz z Justinem — wyrazić przekonanie, że Południe nie powinno bronić się tak zaciekle przed tym kompromisowym rozwiązaniem. Zwłaszcza że dotychczasowa równowaga wpływów zaczęła ustępować miejsca przewadze Północy; na dwustu trzydziestu czterech członków parlamentu jedynie dziewięćdziesięciu reprezentowało stany niewolnicze.

Całymi dniami Justin wygłaszał grzmiące tyrady na temat herezji swych wujów. Nie mógł znieść, że ktoś miał zdanie sprzeczne z tradycyjnym sposobem myślenia, jego myślenia. Była to jedna z przyczyn rozmyślań Madeline o ucieczce.

Z kilku powodów powstrzymała się przed tym krokiem. W dalszym ciągu uważała taki czyn za niegodny człowieka

uczciwego. Istniał jeszcze aspekt bardziej praktyczny — gdyby zdecydowała się na ucieczkę, musiałaby wyjechać sama, nie mogła bowiem wymagać od Orry'ego, aby dzielił jej hańbę. To zaś oznaczało, że nie będą się widywać. A tak spotykali się przynajmniej raz w tygodniu.

Inna przeszkoda, niemal tak istotna jak tamte, wiązała się z przemianą dokonującą się w niej przez ostatnie dwa lata. Kiedy po raz pierwszy przybyła do Resolute, była typową dziewczyną z miasta. Zawiloci życia na plantacji stanowiły dla niej wielką nieznaną. Przyrzekła sobie jednak, że je pozna. I jakkolwiek bardzo szybko przyszło rozczarowanie małżeństwem, nie wpłynęło to na zmianę jej planów, a nawet przeciwnie — utwierdziło ją w przekonaniu, że to ważne. Resolute potrzebowało działań kogoś rozsądnego i wstrzemięźliwego, kogoś, kto by dyskretnie bronił czarnych wszędzie, gdzie to możliwe, a tym samym ulżył nieco ich niedoli.

Zmawiała się z kucharzami, aby dostarczali niewolnikom dodatkowych porcji jedzenia, odkładała drobne sumy z pieniędzy przeznaczonych na gospodarstwo, aż uzyskiwała kwoty wystarczające na zakup lepszej odzieży lub dodatkowych leków dla chorych. Nauczyła się rozpoznawać prostsze choroby i leczyć je tradycyjnymi środkami, co zresztą należało do jej obowiązków jako żony Justina. Próbowiała też łagodzić szczególnie okrutne kary wyznaczane przez męża, co już nie należało do jej obowiązków.

Na przykład po zatargu z wujami Justin rozglądał się za kimś, na kim mógłby wyładować swą złość — i to nie tylko symbolicznie. Wybór padł na Toma, czternastoletniego chłopca należącego do służby domowej, który miał wypolerować kilka przedmiotów z miedzi stojących na korytarzu i nie uczynił tego tak, jak życzył sobie Justin.

W odpowiedzi na pytanie swego pana wystraszony chłopiec mruknął tylko coś niezrozumiale, co sprawiło, że Justin zarzucił mu hardość i kazał wymierzyć dwadzieścia batów. Madeline zaprotestowała jak zwykle, gdy dostrzegła okrucieństwo. I jak zwykle Justin zignorował ją. Po prostu odszedł, mówiąc ironicznie coś o kobiecej wrażliwości. Kilka minut później Madeline pobiegła do osiedla czarnych, aby porozmawiać z woźnicą, który miał przeprowadzić chłostę.

Sprawa była niezwykle drażliwa. Gdyby Madeline odwołała zarządzenie męża, wpędziłaby woźnicę w poważne kłopoty. Mogła jedynie poprosić go — wysokiego, czarnego jak mahoń Samuela — aby nie bił zbyt mocno, ale robił to, nie narażając siebie.

— Dobrze, ale muszę zrobić coś jeszcze gorszego temu chłopcu — odparł Samuel. — Pan Justin kazał mi wylać potem wiadro na jego rany.

— Wiadro z czym?
Zawstydzony woźnica odwrócił wzrok.
— Czy słyszałeś, o co pytam, Samuela? Co to za wiadro? Co ma być w środku?
— Terpentyna.
— O, mój Boże! — Zacisnęła usta. — To może go zabić. Ze smutkiem wzruszył ramionami.
— Pan Justin, on był bardzo zły. Kazał mi to zrobić.
Skrzyżowała ręce na piersiach, pogrążając się w zadumie.
— Ale jeśli ktoś poda ci to wiadro — powiedziała wreszcie — nie ty będziesz odpowiedzialny za to, co w nim jest, prawda?
Spojrzał na nią wzrokiem, w którym lęk ustąpił miejsca zrozumieniu.
— Tak jest, pani Madeline. — Chciał się uśmiechnąć, ale nie starczyło mu odwagi.
— Sama przyniosę ci wiadro, a ty uczynisz z nim to, co musisz. Postaraj się tylko, aby nie było całego tłumu świadków, którzy mogliby potem powiedzieć mojemu mężowi, czym pachniało to wiadro, a czym nie.
— Nie, psze pani, nikt nie będzie patrzeć. Tego pan Justin nie żąda.

I w ten sposób Tom został wychłostany, ale uniknął dalszych tortur.

Dla Madeline i chłopca nie był to wielki triumf, wiedziała jednak, że gdyby uciekła z Resolute, nie byłoby żadnych zwycięstw.

Wiele z tego, co Madeline wiedziała o życiu na plantacji i miejscu przyzwoitej kobiety, nauczyła się od niektórych sąsiadów, a zwłaszcza od Clarissy Main. Różniąc się pochodzeniem, obie kobiety były do siebie podobne pod względem temperamentu. Może też Clarissa orientowała się w uczuciach swego syna do żony Justina. W każdym razie spędzała z Madeline wiele godzin w Mont Royal, ucząc ją cierpliwie.

Między innymi wprowadziła ją w tajniki położnictwa. Na początku lutego, w księżycową noc około godziny dziesiątej, Madeline została wezwana do osiedla niewolników, aby pomóc przy porodzie robotnicy polowej Jane. Dla Jane było to pierwsze dziecko, dla Madeline — dziesiąte. W chacie rodzącej zebrało się kilka niewolnic. Madeline uklękła i podała Jane ręce; dziewczyna zaciskała na nich dłonie raz po raz, wstrząsana spazmami bólu. Wcześniej uklękła obok niej inna kobieta, ale Jane zrezygnowała z pomocy czarnej; jej pani była tą, której ufała.

Madeline pomogła przywiązać dziewczynę do pryczy, po czym zaczęła przyglądać się starej Aunt Belle Nin, doświadczono-

nej położnej, która manipulowała swymi drewnianymi kleszczami. W mniej skomplikowanych przypadkach poród przyjmowała Madeline, ale tym razem sprawę przejęła w swoje ręce Aunt Belle. Sprowadzono ją specjalnie w tym celu. Płód leżał nieprawidłowo i Aunt Belle sprawnie obróciła go kleszczami, a wkrótce pomogła wy dostać się na mroźne powietrze.

Aunt Belle liczyła sobie sześćdziesiąt pięć, może nawet siedemdziesiąt lat, ale trzymała się doskonale. Miała w żyłach jedną ósmą krwi murzyńskiej, mieszkała samotnie na mokradłach, które opuszczała, gdy jej pomoc była niezbędna. Zapłatę przyjmowała w odzieży, pozywieniu i tytoniu do zucia. Teraz tuliła w ramionach wilgotnego noworodka o kakaowej skórze, jak gdyby było to jej własne dziecko.

— Będzie zdrow — powiedziała. — Znam się na tym. Przeżyłam już nędzę, huragany i mężów. I jeśli ja dałam sobie radę, możecie być pewni, że poradzi sobie tym bardziej ten mały człowieczek.

Madeline ukradkiem rozejrzała się dokoła. Ściany nie były bielone od lat.

Dlaczego kobieta wydaje na świat dziecko, skoro czeka je życie w przymusowej nędzy i niewoli — pomyślała.

Ostatnio coraz lepiej rozumiała abolicjonistów, do czego dążą i dlaczego.

Jane poprosiła, aby wzięła dziecko na ręce i Madeline spełniła jej życzenie, żałując, że nie widzi tego Orry. Potem, kiedy miała już wyjść, jakaś przygarbiona, pomarszczona kobiecina o smutnych oczach uczyniła błagalny gest. Madeline przystanęła.

— Ja być matka małego Toma. Tego, co dostać chłostę, bo być hardy.

— Ach, tak. Mam nadzieję, że czuje się dobrze.

— Tak, dobrze. Ale on nigdy już nie być całkiem dobrze. Już do końca życia mieć blizny na plecach. Samuel... — zacisnęła usta, jakby przerażona. — Samuel powiedzieć mi, co pani zrobiła. Dziękuję, pani Madeline. Z pani dobra chrześcijanka.

Madeline ze zdumieniem usłyszała zgodny pomruk aprobaty. Wśród kobiet, które stały za nią i przysłuchiwały się rozmowie, była Aunt Belle Nin. Zapaliła swoją glinianą fajkę, po czym powiedziała:

— Wszyscy mówią o pani w ten sposób. Obserwowałam panią dziś i myślę, że mają rację. Gdybym mogła kiedykolwiek pomóc pani w jakiejś sprawie, proszę mnie odwiedzić.

— Dobrze, dziękuję, Aunt Belle.

Zadowolona pobiegła czym prędzej do domu. Justin przeglądał właśnie litografie przedstawiające wyścigi konne. Niewolnicy szanowali ją, ale on nie. Dał temu wyraz, kiedy powiedziała mu, gdzie była.

- Proszę, proszę — skrzywił się szyderczo. — To doprawdy urocze. A więc zadomowiłaś się tu już na dobre, potrafisz nawet pomóc przyjść na świat murzyńskiemu dziecku. Jaka szkoda, że nie jesteś w stanie urodzić własnego. — Odwróciła się wstrząśnięta i zraniona. Wyczuł to widocznie, gdyż mówił dalej, aby spotęgować jej ból. — A może potrzebna ci jakaś specjalna pomoc? Czy mam wybrać jednego z tych czarnych samców i dopuścić do ciebie? Zdaje się, że bardziej niż mnie upodobałaś sobie właśnie czarnych.

Ból przerodził się we wściekłość.

— Justin, zawsze starałam się, jak mogłam, być dla ciebie dobrą żoną i to pod każdym względem. Nie możesz obwiniać mnie o to, że nie zachodzę w ciążę!

Powinieneś raczej winić samego siebie — dopowiedziała w myślach.

Przewiesił nogę przez poręcz wytwornego fotela, na którym siedział.

— Nie mogę? Czemuż to? Nigdy jeszcze nie byłaś odpowiednio żwawa, kiedy próbowaliśmy przedłużyć tę gałąź naszego rodu. Zresztą, owe próby zdarzają się coraz rzadziej, za co, muszę przyznać, i ja ponoszę pewną odpowiedzialność. Widzisz, uni kam cię świadomie. Twoja sympatia do czarnuchów zaczyna mnie już nużyć. Dobranoc, moja droga.

Wrócił do swoich litografii.

Od czasu ostatniego spotkania pod kaplicą Zbawienia upłynął dopiero tydzień, ale Madeline, pogrążona w rozpacz, już następnego ranka złożyła wizytę w Mont Royal, by Nancy jak najszybciej mogła doręczyć bilecik Orry'emu.

— Myślisz, że on wie o nas? — zapytał Orry, kiedy następnego popołudnia siedzieli przy kaplicy. Był pogodny, ciepły lutowy dzień, nic niezwykłego w tych stronach o tej porze roku.

Madeline potrząsnęła głową.

— Gdyby wiedział, nie musiałbyś o to pytać. Justin nie jest z tych, którzy cierpią w milczeniu.

W zadumie popukał palcem w przyniesioną ze sobą książkę.

— W takim razie dlaczego stajesz na głowie, aby cię unieszczęśliwić?

— Bo nie mamy dzieci. W każdym razie to główny powód. Justin należy do tych biednych ludzi, co zawsze czują się pokrzywdzeni przez los. Zamiast zastanowić się nad sobą, szuka winy u innych, i wali dokoła siebie. Czasem marzę, aby dowiedział się o nas. Wtedy mogłabym okazać otwarcie to, co czuję do ciebie i do niego.

Przechadzała się szybko tam i z powrotem, ale teraz przystać

neła. Orry siedział na rumowisku, szurając zabłoconymi butami po brunatnej trawie. Madeline objęła go za szyję i pocałowała.

— Jakże jestem ci wdzięczna, że przyszedłeś! Nie mogłam już wytrzymać w Resolute.

Drugi pocałunek był bardziej namiętny. Potem wygładziła suknię i podeszła nad skraj trzęsawiska. Podobnie jak na poprzednim spotkaniu również tym razem zaczęła opowiadać o wydarzeniach ostatnich dni. Urodziny syna Jane. Wychłostanie Toma. I raptem na plan pierwszy w jej umyśle wypłynęła sprawa niewolnictwa. Zazwyczaj unikała tego tematu, nie chcąc ranić jego uczuć, ale dziś musiała podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

— Myślę, że Południowcy patrzyliby trochę inaczej na ten system, gdyby mogli spojrzeć nań oczyma niewolników. Odwróciła się od migocących w promieniach słońca moczarów i podniosła na Orry'ego poważny wzrok. Co ty byś czuł, widząc, jak inny zakłada twojej matce kajdany na ręce i nogi, a potem oddaje ją drugiemu, a tamten może robić z nią wszystko, co chce, aż do śmierci?

Zmarszczone gniewnie brwi Orry'ego były jednoznaczną odpowiedzią.

— Moja matka jest białą kobietą. Chłopiec, któremu pomogłaś, pochodzi z Afryki.

Czyżby to wystarczało, aby usprawiedliwić przestępstwo? Czy choćby wyjaśnić je w miarę przekonywająco? Nie przeczę, Tom pochodzi z Afryki, ale czy ty zaprzeczysz, że jest również istotą ludzką?

Czy w twoich oczach jestem przestępcą? Przez chwilę przypomniał jej Justina, pytanie zabrzmiało bowiem tak, jakby odmawiał jej prawa do dyskusowania na ten temat. Opanowała wzbierający w niej gniew i podbiegła do niego, starając się mówić spokojnie i bez emocji:

O nic cię nie oskarżam, najdroższy. Chciałabym tylko, abys spojrzął na to bezstronnie. Jesteś przecież mądrzejszy niż... — chciała już powiedzieć: „twój ojciec”, jednak w ostatniej chwili dokończyła: ...większość tutejszych mieszkańców. W nastawieniu Południa do systemu niewolnictwa jest coś straszliwie nielogicznego. Co roku na Boże Narodzenie dajecie niewolnikom nowe koszule, odmawiacie im jednak prawa do wolności i za to oczekujecie od nich wdzięczności. Oczekujecie, że przyklasnie wam cały świat!

Madeline, mówisz o ludziach, którzy są...

Pośledniejszego gatunku. Uniosła ramiona. Słyszałam to już tysiące razy. Ale po prostu nie wierzę w to. W Resolute jest kilku czarnych o wiele mądrzejszych od Justina, tyle że nie wolno im korzystać ze swych umysłów i oczywiście nikt ich nie

zachęca do nauki. Ale dajmy temu spokój. Założmy przez chwilę, że w twojej wymówce jest trochę prawdy, że biali rzeczywiście są z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu kimś lepszym. Czy to usprawiedliwia fakt, że pozbawiamy innych wolności? Czy zamiast tego biali nie powinni raczej poczuć się w obowiązku pomóc tym, dla których los okazał się mniej łaskawy? Czy nie taka winna być postawa chrześcijanina?

— Diabła tam, skąd mam to wiedzieć! — Orry wstał i trzepnął cienką książką o nogę. — Pomieszalaś mi zupełnie w głowie tymi wywodami!

— Bardzo mi przykro.

Ale tak naprawdę nie było jej wcale przykro. Wręcz przeciwnie, czuła się szczęśliwa. Orry nie próbował zaprzeczać, nie zbijał jej argumentów, a to mogło oznaczać, że zastanawia się nad tym. Może nie uda jej się przekonać go, że niewolnictwo jest złem, ale jeśli zdoła zasiać w nim wątpliwości, już to będzie olbrzymim sukcesem.

Przez dłuższą chwilę milczał. Potem wzruszył ramionami.

— Nie rozeznaję się w tym wszystkim na tyle, aby łamać sobie głowę. A zresztą chciałem, żebyśmy poczytali trochę.

Pokazał jej książkę ze złotymi literami na okładce, poprzedniego dnia przywiozła mu ją łódź z Charleston: *Kruk i inne poematy*.

Madeline poprawiła suknię i siadła obok niego.

— E. A. Poe. W zeszłym tygodniu wspomniała o nim żona Francisca LaMotte'a. Przeczytała mnóstwo jego fantastycznych opowieści, ale żadna jej się nie spodobała. Twierdzi, że Poe powinien znaleźć się w szpitalu dla obłąkanych.

Po raz pierwszy tego dnia Orry roześmiał się.

— Typowa reakcja wobec jankeskiego pisarza. Ale jest już za późno, aby wsadzić go za kratki. Zmarł w ubiegłym roku w Baltimore. Miał dopiero czterdzieści lat, ale był nałogowym pijakiem. Kilka artykułów na jego temat zamieszczono w „Southern Literary Messenger”. Był również wydawcą. Ale tym, co mnie w nim najbardziej zainteresowało, jest fakt, że studiował w West Point.

— Był kadetem?

— Przez jeden semestr, chyba w drugiej połowie 1830 roku. Wydaje mi się, że świetnie się zapowiadał. Był wśród najlepszych, ale potem coś się popsuło, postawiono go przed sądem wojskowym za zaniechanie obowiązków. Zanim pozbyli się go z uczelni, przesiadywał u Benny'ego Havena.

— Pił?

— Tak mi się wydaje, chociaż główną atrakcją u Benny'ego było zawsze jedzenie. Nie uwierzysz, jak bosko smakowały u niego smażone jajka! Nigdy nie jadłaś też w kasynie oficerskim.

W jego głosie zabrzmiała lekka nuta żalu, spojrzenie powędrowało gdzieś w dal, za moczary.

Jak bardzo tęskni za tym wszystkim — pomyślała, wsuwając mu rękę pod ramię.

Zawsze siadała obok niego z prawej strony, aby nawet przypadkiem nie przypomnieć mu o kalectwie.

— Jakby nie było — otworzył książkę. — nie potrafię oceniać poezji, chociaż lubię wiersze. Jest w nich jakaś dziwna, wspaniała melodia. Może zaczniemy od tego?

Tytuł wiersza brzmiał „Annabel Lee”. Madeline odczytała pierwszą strofę:

*Hen, dawno temu, daleko stąd,
W krainie, gdzie morze łśni,
Żyta dziewica. Czy znaliście ją?
Zwała się Annabel Lee.*

Dała znak, że teraz kolej na Orry'ego.

*Miała pragnienie jedyne: bym ja
Kochał ją ze wszystkich sił.*

Nie po raz pierwszy czytali wiersze na głos. Wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej, kiedy Orry zrobił jej niespodziankę, przynosząc na spotkanie książkę. Jedne wiersze podobały im się bardziej, inne mniej, ale zwyczaj ich głośnego odczytywania już niebawem zaczął sprawiać im przyjemność. Jak zwykle obcowanie z poezją sprawiło, że poczuła dreszcz podniecenia.

Za pierwszym razem owa reakcja zaskoczyła ją, ale potem cieszyła się na nią z góry. Czytali na zmianę, wpadając sobie w słowo w rytmie, który przywodził na myśl niemal seksualny akt, jakby oddawali się sobie. Uprawiali miłość w jedyny dostępny dla nich sposób. Wspólnie trzymali książkę; raz po raz muskała jego dłoń swoją i ten kontakt wywoływał falę żaru, nieustannie przeszywającą jej ciało. Obróciła się trochę, aby móc obserwować czytającego Orry'ego.

Anonimowy kochanek z poematu utracił swoją Annabel Lee, a oni oboje coraz intensywniej przeżywali ból wraz z nim, w miarę jak wiersz zbliżał się do punktu kulminacyjnego.

*Nie było dnia, żebym nie patrzył w dal,
Marząc o Annabel Lee.*

Orry **czytał** teraz nieco szybciej.

*I każda z gwiazd w górze błyszczała jak
Oczy ślicznej Annabel Lei.*

Wzrok Madeline wędrował od jego twarzy do książki. W uwięzionych pod warstwami ubrania piersiach czuła ból, policzki pałały.

*I oto jestem, jestem wraz z nią
Dzień w dzień i nocami po świt...*

Zająknęła się i musiała spiesźnie rzucić okiem do książki, aby przeczytać wiersz do końca.

*Z moją lubą, co leży w grobowcu swym,
W krainie, gdzie morze lśni — wyręczył ją Orry.*

Zamknął książkę i uściśnął jej dłoń. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w siebie. A potem, nie panując nad sobą, Madeline zarzuciła mu ramiona na szyję i z cichym okrzykiem przywarła rozchylonymi wargami do jego ust.

Lutowe popołudnie przechodziło we wczesny wieczór, kiedy Orry wracał do domu. Czuł się dokładnie tak samo jak zawsze po spotkaniu z Madeline. Czas, który spędzali wspólnie, nigdy nie był wystarczająco długi. A czytanie poezji nie mogło zastąpić prawdziwego kochania, takiego, jakie zaplanował Bóg, stwarzając mężczyznę i kobietę.

Tego dnia znaleźli się na samej krawędzi, niemal ulegając przemożnej żądzy. Jedynie niezwykła siła woli i wręcz herkuleśowego zmagania z własnymi emocjami powstrzymały ich przed osunięciem się na brunatną trawę w pobliżu kaplicy. I właśnie dlatego że posunęli się tak daleko, Orry czuł się bardziej samotny i sfrustrowany niż zazwyczaj, kiedy konno podjechał do jednego ze służących. Murzyn uśmiechnął się do niego i skłonił z szacunkiem. Orry odpowiedział uprzejmym kiwnięciem głowy.

O czym tak naprawdę myślał ten niewolnik? Co roku na Boże Narodzenie dajesz mi koszulę i pozbawiasz mnie wolności, i oczekujesz, że będę cię za to całował po rękach? Prędzej wyrwałbym ci tą drugą!

Orry zacisnął usta. Wszystko przez Madeline. To ona wywołała wątpliwości i pytania na temat systemu, który on niezmiennie do tej pory traktował jak moralny i słuszny.

Wszedł do biblioteki i energicznie rozsunął kotary, wpuszczając do pokoju gasnące promienie słońca. Cierpiał katusze widując ją, męcząca była jednak sama myśl o tym, że miałby zrezygnować ze spotkań. Cóż więc miał robić?

Nalał sobie szczydry whisky. Słońce już zaszło, miedziane ozdoby na pochwie wojskowej szabli, umieszczonej na wieszaku

w kącie pokoju, połyskiwały coraz słabiej. Obok szabli wisiała ciemnoniebieska kurtka mundurowa. Nie ta, którą miał na sobie, kiedy granat oderwał mu rękę, to oczywiście. Wisząca tutaj miała obydwie rękawy. Miedziane guziki i gałkę na rękojeści szabli pokrywał zielonkawy nalot. Na kurtce tu i ówdzie można było dostrzec plamy pleśni.

Orry opadł na swój ulubiony fotel, przebiegając myślą miniony czas. Wiedział, że powinien uwolnić się od wspomnień, gdyż to one uświadamiały mu zaprzepaszczone ambicje, które z wolna zamierały jak całe jego życie. Nie miały już najmniejszego sensu, podobnie jak on. Po prostu istniały, to wszystko.

Boże, gdyby tamten dzień w Churubusco przebiegł inaczej! Gdyby odwiedził Nowy Orlean nieco wcześniej i spotkał tam Madeline! Gdyby! Gdzieś przecież musi istnieć jakieś antidotum na to „gdyby”. Ale gdzie?

Potykając się podszedł do sekretarzyka, aby po raz drugi napełnić kieliszek. Z góry dobiegały odgłosy sprzeczki jego siostr. Ostatnio kłóciły się chyba codziennie). Jaki to niemądry okres! Zamknął okno i usiadł, popijając i wsłuchując się w odległe dźwięki wymyślanego werbla. Siedział tak, dopóki mundur nie rozplątał się w mroku.

Okolo jedenastej Clarissa otworzyła drzwi i znalazła syna rozciągniętego na podłodze. Dwóch służących zaniósło go do łóżka.

Mimo iż Ashton i Brett osiągnęły już wiek dojrzenia, nadal miały wspólną, obszerną sypialnię na pierwszym piętrze. Czternastoletnia Ashton, w pełni już rozwinięta i prześliczna panna, nie przestawała uskarżać się z tego powodu. Czemuż to musi wyrzekać się choćby paru chwil z dala od innych? Czemu musi mieszkać w jednym pokoju z, jak to określiła, „dwunastoletnim dzieciuchem, nadal płaskim jak deska”?

Nadchodząca noc była szczególnie ciepła. Ashton, zajmująca łóżko przy oknie, mruzczała coś ze złością, hałaśliwie poprawiała poduszkę, przyciskała dłoń do wilgotnego czoła i wzdychała raz po raz.

Zmęczona i zirytowana Brett zawołała wreszcie:

— Na miłość boską, przestań już! Daj mi spać!

— Nie mogę. Jestem napięta jak skóra na bębnie.

— Ashton, czasem w ogóle cię nie rozumiem.

— Nic dziwnego — syknęła starsza. — Jesteś jeszcze dzieckiem. Dzieckiem o niemowlęcej cerze i w białych majteczkach. I na pewno będziesz taka sama jako starszka.

— Och! — krzyknęła Brett, ciskając w siostrę poduszką.

Ze wszystkich obraźliwych uwag, jakimi raczyła ją Ashton,

najbardziej drażniły ją aluzje do faktu, że nadal nie wykazywała żadnych oznak tego, co niektórzy nazywali „kobietą kłętą wstydu”. Tymczasem Ashton co miesiąc z dumą paradowała po sypialni, aby siostra mogła dostrzec jej poplamione krwią pantalonny. Brett za każdym razem czuła się upokorzona; oto jeszcze jeden dowód na to, że jej rozwój fizyczny nie przebiega jak należy.

Oczywiście nie była wcale pewna, czy chce stać się już osobą dorosłą. A już na pewno nie, jeśli to oznaczało, że będzie musiała robić niewinną minkę i słodkie oczy do każdego mężczyzny poniżej trzydziestki. Albo gdyby z tego powodu musiała być miłą dla kogoś takiego jak adwokat Huntoon.

Wspomnienie tego człowieka uświadomiło jej, że oto ma jedną z nielicznych okazji do odwetu. Naśladowując słodki głosik siostry powiedziała:

— Wydaje mi się, że dziś powinnaś się czuć rozkosznie szczęśliwa. Jutro odwiedzi nas James Huntoon... on i wszyscy ci politycy, z którymi kuma się ostatnio tata. A ty przecież lubisz pana Huntoona, prawda?

Ashton odrzuciła poduszkę.

Według mnie to poczwara i ty masz o nim podobne zdanie. Poza tym jest za stary. Ma prawie dwadzieścia lat. Teraz już wiesz, co o nim myślę.

Wysunęła język i cztery razy zrobiła minę, jakby zbierało jej się na wymioty. Brett przycisnęła poduszkę do brzucha, zanosząc się od śmiechu. Na Południu rodzice nadal decydowali, który z młodych mężczyzn będzie dobrą partią dla ich córek. Ashton była już w odpowiednim wieku, by mieć adoratorów, ale póki co jedynie Huntoon uzyskał zgodę Tilleta na złożenie wizyty.

Brett zamierzała powiedzieć jeszcze coś, żeby podrażnić się z siostrą, ale jakiś dźwięk z zewnątrz zwabił dziewczęta pod okno. Zjednoczone ciekawością wpatrywały się w niewyraźną sylwetkę jeźdźca, który pędził drogą co koń wyskoczy. Na chwilę oświetlił go blask księżycy, potem jeździec zniknął w stajni.

— To kuzyn Charles — wykrzyknęła jakby z lękiem Brett.

— Jasne — odparła Ashton. — Złożę się, że był znowu u tej Sue Marie Smith. Albo u którejś z murzyńskich dziwek. — Jej uwaga sprawiła, że Brett stanęła w piasach.

Ashton zachichotała.

— Jeśli Whitney Smith dowie się kiedykolwiek, że jego kuzynka Sue Marie zabawia się z Charlesem, wybuchnie piekło. Sue Marie i Whitney są zaręczeni.

— A kiedy ty i Huntoon ogłosicie swoje zaręczyny?

Ashton pociągnęła siostrę za włosy.

— Kiedy w piekle spadnie śnieg.

Brett uszczypliła ją lekko w ramię, po czym wróciła do łóżka. Ashton stała przy oświetlonym blaskiem księżyca oknie, masując sobie obydwoma dłońmi brzuch i miętosząc nocną koszulę w sposób, który jej siostrze wydał się wyjątkowo bezwstydnym.

— Podejrzewam, że kuzyn Charles nie dogodzi tej Sue Marie. Ani inny chłopiec. Powiadają, że jest gorąca jak fajewerki puszczane na 4 Lipca*. Wiem, jak to jest — westchnęła ciężko.

Ty oczywiście nie masz o tym najmniejszego pojęcia.

Brett przycisnęła do siebie poduszkę i odwróciła się raczej dotknięta niż zirytowana. Ashton górowała nad nią błyskotliwością, urodą i talentem. I tak już z pewnością będzie zawsze. Ashton była też odważniejsza. Zawsze kusila los. Pod tym względem przypominała kuzyna Charlesa. Może ten prawnik, Huntoon, zdoła ją poskromić. Brett miała taką nadzieję. Właściwie lubiła siostrę, ale postawa Ashton, a zwłaszcza jej błazeństwa, działały jej nieraz na nerwy.

James Huntoon nosił okrągłe okulary i niewidzialną maskę prawości. Był starszy od Ashton zaledwie o sześć lat, miał już jednak podwójny podbródek i rysujący się coraz wyraźniej brzuch oraz nalaną twarz, co szpeciło ujmujące właściwie rysy.

Jego rodzina przebywała w Południowej Karolinie od dawna, brakowało jej jednak około pięćdziesięciu lat, aby mogła dorównać Mainom. Pierwszy Huntoon w tym stanie, imigrant, który nie umiał czytać ani pisać, osiedlił się w regionach górzystych, ale jego potomek zrozumiał, że żywot ciemnego, brudnego farmera w środkowej części kraju nie doprowadzi do dobrobytu, przeniósł się więc na wybrzeże i tam energicznie zajął się interesami oraz dokonał kilku udanych zakupów ziemi. Jego działalność zaowocowała w ciągu dwóch najbliższych pokoleń, a kilka szczęśliwie skojarzonych małżeństw połączyło Huntoony z znanymi rodzinami i z czasem stworzyło imponujący ród.

Obecnie jednak majątek rodziny kurczył się coraz bardziej, a złożyły się na to te same przyczyny, co u LaMotte'ów — złe zarządzanie oraz zbyt wystawny tryb życia. Rodzice Jamesa Huntoona, ludzie starsi, żyli korzystając z miłosierdzia krewnych. Wraz z pięcioma czarnymi, zbyt starymi, aby zająć się czymkolwiek, zamieszkiwali w podupadłym dworku na plantacji, a James jeszcze jako mały chłopiec uświadomił sobie, że jeśli chce przetrwać i dojść do czegoś, nie może w nim zostać.

* 4 Lipca — święto narodowe w Stanach Zjednoczonych. „Independence Day” — rocznica ogłoszenia niepodległości.

Na szczęście Huntoonowie posiadali pokaźną liczbę przyjaciół i znajomych; w Karolinie Południowej fakt zubożenia jakiejś rodziny nie był równoznaczny z utratą pozycji społecznej. Doprowadzić do tego mogło jedynie zachowanie sprzeczne z przyjętymi powszechnie normami. James znał więc całą masę odpowiednich ludzi, do których mógł się zwrócić, kiedy postanowił stanąć na nogi w Charleston, został doradcą prawnym w jednej ze znaczących firm, a następnie otworzył w mieście własną kancelarię adwokacką.

Tillet większość członków klanu Huntoonów uważał za ludzi niewiele wartych; podczas gdy inni troszczyli się o przyszłość stanu, Huntoonowie użalali się nad przeszłością i zachowywali się tak, jakby nie istniały problemy teraźniejszości. W Jamesie jednak dostrzegł drzemiące możliwości, mimo iż ten młody człowiek nie zawsze zajmował się tym, co do niego należało. W każdym razie Huntoon miał szerokie kontakty w całym stanie, co dawało mu duże szanse na sukces. Interesował się polityką i był zręcznym mówcą. Stał w szeregach tych, którzy pragnęli, aby w tym coraz bardziej wrogim świecie stan i cały region uzyskał Tirepodtegłość. Podobne idee girA międz-j ymy??A spokrewniony z matką Huntoona Robert Barnwell Rhett, wpływowy wydawca „Charleston Mercury”.

Po raz pierwszy Huntoon ujrzał Ashton ostatniej zimy w teatrze w Charleston. Clarissa przyjechała z córkami do miasta na otwarcie sezonu towarzyskiego i wykupiła łożę, by obejrzeć występ znanego aktora Frederica Stanhope Hilla, który zawsze włączał Charleston do trasy swego tournée, jak zresztą większość sław teatru. Od pierwszej chwili, gdy młody prawnik rzucił okiem na Ashton Main, poczuł, że tr[^]wi go gorąca namiętność. Była śliczna i — mimo młodego wieku — emanowała zmysłowością. Huntoon wysłał do Clarissy kartę, w której prosił o zgodę na złożenie wizyty, kiedy tylko rodzice Ashton uznają, że dziewczyna osiągnęła odpowiedni wiek.

Upłynęło kilka miesięcy i urodziny Ashton, zanim Clarissa odpowiedziała krótkim, uprzejmym listem. Inne dziewczęta zaczynały przyjmować adoratorów W wieku czternastu lat, tak więc ani ona, ani Tillet nie mieli zamiaru pozbawiać tego przywileju córki. List do przyszłego konkurenta zakończyła jednak znamioną uwagą: *Mąż mój wyznaje przyjętą w tych stronach zasadę, która głosi, że nazwisko kobiety winno ukazać się w gazetach tylko dwa razy -- kiedy wychodzi za mąż i kiedy umiera. Wspominam o tym, aby był pan w pełni świadomy jego postawy wobec wszelkich przejawów' nieodpowiedniego zachowania.*

Ostrzeżony w ten sposób Huntoon rozpoczął zaloty od tradycyjnych prezentów — najpierw kwiaty, potem skórzane rękawi-

czki i pralinki — i doszedł wreszcie do etapu, kiedy mógł sobir; pozwolić na krótkie wizyty u Ashton bez udziału osób postronnych. Nadal jednak nie wchodziło w rachubę spędzenie z nią czasu gdzieś poza domem, na przykład przejażdżka konna bez przywoitki. Huntoon starał się, jak mógł, poskromić swą żądzę. Pewnego dnia, o ile wszystko pojdzie po jego myśli, posiadzie to wspaniałe ciało.

Musiał przyznać w duchu, że Ashton przeraża go trochę. Nie zachowywała się wprawdzie niekonwencjonalnie, cechowała ją jednak jakaś szelmowska zuchwałość, intrygująca u dziewczyny w jej wieku i z jej pochodzeniem. Podziwiał królewską postawę Ashton, którą niektórzy brali za arogancję. Podziwiał również bogactwo Tilleta.

Reszta rodziny nie wywarła na nim większego wrażenia. Clarissa była typem dobrej duszy, nikomu nie szkodziła, a młodsza siostra Ashton - szarą, nieciekawą istotą. Z Orrym, jednorękim upiorem, Huntoon przezornie nie utrzymywał żadnych kontaktów, a co do Coopera, który paradował po Charleston, tak jakby miał prawo uważać się za Południowca, James był zdania, że powinno się go *wyekspediować z tego stanu jak najszybciej* i jak najdalej. Pogląd ten podzielali wszyscy czterej dżentelmeni towarzyszący mu tego ranka do Mont Royal. Jednym z nich był Rhett, wydawca „Charleston Mercury”.

Konwencja została zwołana na czerwiec oznajmił Huntoon swemu gospodarzowi. Do Nashville. Reprezentanci wszystkich stanów Południa mają stawić się tam, aby ocenić rezolucję senatora Clay'a i ustalić tekst wspólnej odpowiedzi.

— Na czerwiec, tak? Tillet podrapał się po brodzie. A do tego czasu nie będzie głosowania nad tym projektem?

Jeden z gości zachichotał.

To raczej nieprawdopodobne, jak sędzę, zważywszy na rozłam w Kongresie.

Huntoon zacisnął wargi; była to odruchowa reakcja na badawczy wzrok Orry'ego, którego Tillet zdołał jakoś namówić na wzięcie udziału w rozmowie. Orry ostentacyjnie demonstrował swe lekceważenie, siedząc niedbale ze skrzyżowanymi nogami w kącie pokoju. W milczeniu obserwował zebranych.

Dlaczego ten przekłety upiór nie spuszcza mnie z oka? Przecież adoratorzy siostry nie powinni go obchodzić. Huntoon doszedł do przekonania, że Orrym kieruje zwykła niechęć. Odwzajemniał to uczucie.

Czy w ogóle warto jechać na to spotkanie w Nashville? zapytał Tillet. — Powiedział pan, że nie jest to oficjalna konwencja partii...

Rhett powstał raptownie. Ten pięćdziesięcioletni wydawca górował nad zebranymi, jak zwykle zresztą.

Tillet, mój przyjacielu, widzę, że trzymał się pan długo z dala od polityki, zbyt długo.

— Zarabiałem na życie, Robercie.

Pozostali roześmiali się, a Rhett kontynuował:

— Wie pan równie dobrze jak ja, że od co najmniej dwudziestu lat nasi przeciwnicy głoszą doktrynę wrogości wobec Południa. Swoimi kłamstwami ranią naszą wrażliwość i systematycznie obdzierają nas ze skóry niesłychanymi podatkami za produkty rolnicze. Co więcej, wielu z naszych zagorzałych wrogów znajduje się w szeregach demokratów. Dlatego właśnie partia zniknęła powoli z Karoliny Południowej i teraz można powiedzieć, że raczej jesteśmy sprzymierzeńcami organizacji niż jej aktywnymi członkami. Tylko w ten sposób możemy wyrazić naszą dezaprobatę wobec poglądów i praktyk partii.

Wreszcie przemówił Orry:

— Ale jeśli nie podoba nam się postępowanie partii, to czy nie byłoby łatwiej dokonać w niej zmian od środka, zamiast od zewnątrz?

Rhett spojrzął na niego spode łba.

— Panie Main, uważam to pytanie za niegodne mężczyzny urodzonego i wychowanego w tym stanie. W ogóle na Południu. Nie należy wchodzić w kompromisy ze śmiertelnymi wrogami. Od dwudziestu pięciu lat jesteśmy przedmiotem agresji Północy. Czy nie byłoby głupie z naszej strony, gdybyśmy w celu poprawy tej sytuacji zwrócili się właśnie do tych ludzi, którzy ją stworzyli? Istnieje tylko jeden sposób ukrócenia wszystkich krzywd, którzy od nich zaznaliśmy: uzyskać niepodległość.

Calhoun leżał w agonii i przeważała opinia, że w Senacie potajemnie wybrano Rhetta na jego miejsce. Tillet potrafił zrozumieć, dlaczego. Ku swemu niezadowoleniu zauważył, że jego syn siedzi niewzruszony, nawet nieufny.

— Osobiście — dodał Rhett — ja również nie widzę wielkiej potrzeby odbycia tej konwencji w Nashville, zwłaszcza od chwili gdy pojąłem, jak zgubna jest cała ta idea kompromisu. Postanowiłem jednak poprzeć konwencję dla dobra jedności Południa.

— Z całym szacunkiem dla mego znakomitego krewniaka — odezwał się Huntoon jak zwykle ze zjadliwym uśmiechem na twarzy — muszę stwierdzić, że niektórzy z nas, jakkolwiek pragną autonomii Południa, nie są całym sercem za tym, co reprezentuje ostatnio Robert i „Mercury”.

Zimnym tonem Orry dopowiedział:

— Rozpadem Unii.

— Właśnie — odparł Rhett, a Orry odniósł wrażenie, że ma przed sobą wojowniczego, przekonanego o swej sile koguta.

Odwrócił wzrok, nie ukrywając dezaprobaty. Dwóch z przybyłych do Mont Royal gości dało Huntoonowi znak oczyma,

gdyż również Tillet miał sceptyczną minę. James czym prędzej odegnał od siebie lubieżne myśli o Ashton, której dziś jeszcze nie widział, przezornie założył nogę na nogę i przejął kontrolę nad rozmową.

— Tillet, nie przybyliśmy tu na dyskusję, ale po to, aby poprosić pana o poparcie dla konwencji w Nashville. Prawdę powiedziawszy, chodzi nam o bardzo konkretną przysługę. Niedawno wyraził pan chęć ponownego zaangażowania się w sprawy wagi państwowej. — Starszy pan ostrożnie kiwnął głową, a Huntoon mówił dalej: — Delegacja z Karoliny Południowej poniesie spore wydatki na podróż do Tennessee, jak również zakwaterowanie i posiłki w trakcie obrad. Pomyśleliś my więc sobie...

A więc po to tu przyjechali — pomyślał Orry. Chodzi po prostu o pieniądze. Przestał przysłuchiwać się rozmowie. Zgodził się wziąć udział w tym spotkaniu, teraz jednak żałował, że uległ namowom ojca.

Tillet nie dał się prosić. Obiecał wsparcie finansowe dla delegacji stanu w wysokości pięciuset dolarów. Orry z niesmakiem patrzył przez okno. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Skwapliwie pośpieszył, aby je otworzyć, z ulgą przeprosił gości i wymknął się na zewnątrz, skąd dobiegał go nagłący szept siostry.

— Co się stało, Ashton?

Za jej plecami stanęła zadyszana Brett. W oczach jednej i drugiej widniał strach.

— Chodzi o kuzyna Charlesa — wyjaśniła Ashton. Znalazł się w prawdziwych tarapatkach. Jest tu człowiek, który domaga się od niego satysfakcji, chce się z nim pojedynkować.

21

— Nie mogliśmy nigdzie znaleźć Charlesa — mówiła Brett, kiedy wszyscy troje wypadli z domu. — Dlatego Ashton przez szkodziła ci w rozmowie z gośćmi.

Orry niemal biegł przez werandę w stronę młodego mężczyzny czekającego obok konia.

— To najbardziej absurdalna rzecz, jaką słyszałem. Kuzyn Charles nie ma żadnego powodu, aby się pojedynkować. Zresztą to jeszcze chłopiec.

— Nie wydaje mi się, aby miało to jakiegokolwiek znaczenie dla tego pana — dyszała Ashton. Orry w duchu przyznał jej rację. Napuszony młody dandys z ociąganiem zdjął z głowy niemodną

już bobrową czapkę. Ów gest, mina i lodowata duma podkreśliły wrogość przybysza.

— Pański oddany sługa, panie Main. Nazywam się Smith Dawkins.

— Wiem, kim pan jest. Co pana tu sprowadza?

— Cóż, sir, myślałem, że te młode damy wyjaśniły już panu, z jaką sprawą przybywam. Przyjechałem tu w imieniu mego powinowatego, pana Whitneya Smitha, który wczoraj wieczorem natknął się na pana Charlesa Maina z tej plantacji bałamucącego jego narzeczoną, pannę Sue Marie Smith. Obaj panowie zamienili parę słów, po czym pan Main uciekł się do rękoczynów, w efekcie czego pan Smith zażądał satysfakcji. Przyjechałem więc, aby uzgodnić warunki. Przypuszczam, że jest pan upoważniony do występowania jako sekundant pana Maina?

— Jestem upoważniony do odwołania całej tej hecy. To, co pan proponuje, jest sprzeczne z prawem.

Twarz Dawkinsa wyrażała jawną pogardę.

— Wie pan równie dobrze jak ja, sir, że mimo prawa obowiązującego w Karolinie Południowej wszyscy zachowujemy się stosownie do zasad kodeksu honorowego.

Ten młody szczeniak zastawił pułapkę i to paskudną, a kuzyn Charles nie mógł jej ominąć, jeśli nie chciał narazić się na miano tchórza. Z kolei ratując twarz i honor mógł utracić życie. To właśnie czyniło ów kodeks tak idiotycznym. Gdyby Smith Dawkins był pod Churubusco, nie igrałby tak lekkomyślnie ze śmiercią.

Gość zdecydowanym ruchem wcisnął czapkę na głowę. Gdyby pan zechciał łaskawie skierować mnie do sekundanta pana Maina albo jeszcze lepiej do niego samego...

Orry westchnął głęboko i dał za wygraną.

— Nie wiem, gdzie Charles przebywa w tej chwili. Będę jego sekundantem.

— Znakomicie, sir.

— Przypuszczam, że czeka nas długa droga. Aby uniknąć interwencji władz, będziemy zapewne musieli przepłynąć się na drugi brzeg Savannah River?

— Nasza strona gotowa jest przyrzec absolutną dyskrecję i dopuścić jako świadków jedynie członków rodziny. Jeśli pan może udzielić podobnych gwarancji, nie będzie potrzeby wybierać innego stanu na miejsce spotkania.

Biorąc pod uwagę liczebność klanu Smithów, mogło to oznaczać, że świadków przybędą setki. Ale Orry nie sprzeciwił się. Skinął głową.

— Niech pan mówi dalej.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, uzgadniając szczegóły. Wybrali tradycyjne pistolety i najbliższy wtorek, tuż po wschodzie

słońca jako termin pojedynku. Miał się on odbyć na polanie znanej pod nazwą Sześć Dębów, mniej więcej dwie mile od Mont Royal w górę rzeki.

Niebawem młody Dawkins, zadowolony z siebie, jeszcze raz przytknął dłoń do czapki i odjechał, Orry natomiast zszedł z werandy i z chmurną miną udał się na poszukiwanie Charlesa, aby przekazać mu nowiny. Dziewczęta obserwowały całą scenę zza jednej z kolumn. Ashton otworzyła już usta, aby zawołać coś do Orry'ego, ale Brett pociągnęła ją za rękę i ostrzegawczo przyłożyła palec do ust. I Ashton — o dziwo! — posłuchała jej.

Orry postanowił nie mówić rodzicom o pojedynku. Matka z pewnością przejęłaby się, a Tillet uparłby się i chciałby jechać na polanę razem z nimi. Orry miał nadzieję, że uda mu się utrzymać wszystko w tajemnicy, ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, aby Charlesowi nie przytrafiło się nic złego.

O tak wcześniej porze chłopiec kręcił się zazwyczaj w pobliżu kuchni, gdzie mógł wyżebrać trochę kaszy albo kawałek świeżego chleba. Ale żadna z niewolnic zatrudnionych w kuchni nie widziała go jeszcze tego dnia. Orry skierował się do stajni, uznał bowiem, że konno odszuka Charlesa o wiele szybciej, kiedy nagle z oddali dobiegł go huk wystrzału. Natychmiast odwrócił się i ruszył drogą w stronę osiedla niewolników. Szedł zamaszystym krokiem, nie dbając o to, jakie wrażenie na niewolnikach robi jego wykrzywiona ze złości twarz.

Przełożył przez sztachety parkanu najpierw jedną, potem drugą nogę. Na przeciwległym końcu ścierniska kuzyn Charles ćwiczył miarowy krok. W prawej dłoni trzymał olbrzymi, zardzewiały pistolet, którego Orry nigdy dotąd nie widział. Czekał w bezruchu, aż Charles zrobi dziesięć kroków i obróci się do niego. Gwałtownym, nerwowym ruchem chłopiec poderwał pistolet do góry, a kiedy wykręcił się na pięcie, dojrzał Orry'ego; poznał go po brodzie i pustym rękawie powiewającym na wietrze. Na moment wytrzeszczył oczy, wykonał jednak obrót do końca i strzelił.

Obłoczek dymu odplynał powoli. Orry ruszył w kierunku chłopca.

Smith Dawkins był u nas w domu zawołał. Zatrzymał się, a Charles, widząc jego wzburzoną minę, rzucił na niego ostrożne spojrzenie. — Uzgodniłiśmy już szczegóły twego wspaniałego występu. Pistolety, najbliższy wtorek. No i wygląda na to, że jestem twoim sekundantem.

— Myślałem, że nie uznajesz pojedynków.

— I tak rzeczywistość jest. Ty, tak jak i inni tutejsi młodzieńcy nie macie najmniejszego pojęcia, co znaczy prawdziwa walka.

Chłopiec przywołał na pomoc jeden z wielu swoich ujmujących uśmiechów.

— Widać, że przemówił prawdziwy żołnierz.

Odpowiedzią było zimne spojrzenie. Charles spoważniał.

— Przykro mi, że wciągnąłem cię w to wszystko, Orry. Ostatniej nocy straciłem poczucie czasu, za późno pożegnałem się z Sue Marie. W przeciwnym razie nic by się nie wydarzyło.

— Ale się wydarzyło. I nic już na to nie poradzimy. Co wiesz na temat broni?

— Niewiele. Ale myślę, że zdążę nauczyć się tego, co konieczne.

— Nie w ten sposób, w jaki się do tego zabrałeś. — Wycelował palcem w zardzewiały pistolet. — Skąd wytrzasnąłeś to żelastwo?

Charles opuścił wzrok i wzruszył ramionami.

— Nieważne.

Ukradł — pomyślał z niechęcią Orry.

— No cóż, przede wszystkim pozbędziemy się go. — Chwycił broń i odrzucił ją daleko.

— Cóż to! — krzyknął Charles, mieniając się na twarzy. — Przecież muszę ćwiczyć!

— Posłużymy się moim pistoletem wojskowym. Pistolety do pojedynków to zazwyczaj skątkówki, ale ta różnica nie przeszkodzi ci dobrze poznać broni, którą zapewne będziesz musiał walczyć. Myślę, że będzie to coś pośredniego między kalibrem 60 a 70. I jeszcze jedno. W pistoletach pojedynkowych jest luznik. Gdybyś zrobił to tak, jak przed chwilą, obracając się i machając ręką, jakby było to złamane skrzydło wiatraka, pistolet wypaliłby o wiele za wcześniej. Trafiłbyś w niebo albo w drzewo, a twój przeciwnik miałby wystarczająco dużo czasu, aby wyprawić cię na tamten świat. Twoje ruchy muszą być płynne i spokojne.

Zawrócił w stronę drogi. Widząc, że Charles nie idzie za nim, machnęła nań ręką.

— Na co czekasz? Walczysz we wtorek, a nie w przyszłym roku.

— Myślałem, że przećwiczę to sam...

Słowa uleciały wraz z podmuchem wiatru, który powiał właśnie nad ścierniskiem. Na twarzy Charlesa coraz wyraźniej malowały się żal i gniew.

— Jeśli chcesz się dać zabić jako ten, co nic nie wie — odkrzyknął Orry — to proszę bardzo: ucz się sam.

Charles zacisnął wargi, aż zbieleły.

— Dlaczego miałbyś mi pomóc? — zawołał wreszcie. — Przecież mnie nie lubisz?

— To, czego nie lubię, to twoje zachowanie przez ostatni rok. Jeśli według ciebie oznacza to, że cię nie lubię, nic nie poradzę.

Ale nadal jestem za ciebie odpowiedzialny. Nie mogę stać bezczynnie i przyglądać się, jak Whitney Smith popełnia morderstwo. Choć ze mną albo zostań tu, jak chcesz.

W dalszym ciągu kroczył przez pole. Charles tkwił w bezruchu z zaciśniętymi pięściami. Ale wrogość niczym topniejący śnieg zniknęła powoli z jego twarzy, jej miejsce zajmował nieśmiały, niedowierzający uśmiech. Pobiegł za Orrym.

Ćwiczyli po trzy godziny dziennie. Orry zabronił siostrze mówić komukolwiek o pojedynku, ale Ashton i tak wyśpiewała wszystko, kiedy rodzina siedziała przy obiedzie. Charles zdumiał się, widząc, jak bardzo strapiła się tą wieścią Clarissa, a Orry pośpiszył z wyjaśnieniem, że uczy Charlesa i że chłopiec ma szansę wyjść z pojedynku z niewielką raną albo w ogóle bez szwanku. Poparł go Tillet, wyrażając się lekceważąco na temat charakteru Whitneya Smitha i jego porwyczości. Swojemu bratankowi życzył powodzenia. Wszystko to stanowiło dla Charlesa wstrząsające doświadczenie. Jeszcze nigdy rodzina nie poświęciła mu tyle uwagi.

~ - Nie! — To słowo Orry wypowiadał najczęściej, kiedy ćwiczyli na polu. — Zbyt krótko celujesz. Wiem, że strach pcha cię do pośpiechu. Ale pośpiech z kolei popchnie cię do grobu.

Chwycił Charlesa za prawą rękę i potrząsnął nią.

— Na Boga, musisz o tym pamiętać! Zrobisz ze mnie durnia, jeśli dasz się zabić.

Ostatnie zdanie wykrzyknął bez namysłu i dopiero kiedy na twarzy Charlesa zaczął pojawiać się uśmiech, uświadomił sobie, jak śmiesznie musiało to zabrzmieć.

— No cóż — odparł chłopiec — nareszcie wiem, dlaczego nie mogę dać się zabić. — Uśmiech zastygł nagle na jego ustach.

Orry był poważnym człowiekiem i surowym instruktorem. Usiłując pożartować, Charles przekroczył pewną granicę. Zdażył już zaakceptować zmianę w ich wzajemnych stosunkach, która nastąpiła w ciągu ostatnich dni; jego żal do Orry'ego ustąpił miejsca czemuś w rodzaju braterskiego uczucia, a nawet przebłyskom szczerzego afektu. Najwidoczniej w oczach Orry'ego był coś wart, w przeciwnym razie nie mógłby korzystać z jego pomocy i rad. Ale teraz posunął się za daleko. Orry wcale nie wyglądał na ubawionego.

Raptem jego mroczna, okolona brodą twarz poczęła się rozjaśniać. Pojawił się uśmiech.

— To przecież jasne — powiedział, zdając sobie w pełni sprawę z niestosowności swojej poprzedniej uwagi. Do diabła z twoim życiem! Nieważne, czy da się je uratować. Uratuj mój honor. I moją dumę. Ostatecznie jestem Południowcem.

Śmiali się długo i serdecznie. Potem Orry dotknął błyszczącej lufy pistoletu zakonserwowanego tak dobrze, że nie było na nim nawet jednej plamki rdzy.

— Nie dojdziemy do niczego, jeśli nadal będziemy tu gdać jak para pleciug. Liczę do dziesięciu. Odejdiesz, obrócisz się i trafisz w tę gałąź. Staraj się tym razem celować, jak należy. Zostały nam tylko dwa dni.

Nieoczekiwanie nadeszły chłody. W dzień pojedynku Charles i Orry wstali o wpół do piątej, zjedli po sucharku, popili kawą i narzucili na siebie płaszcze. Ponieważ Orry ustalił miejsce i godzinę spotkania, wybór broni należał do Smitha.

Wyszli przed dom, gdzie w mroku czekali już *na* nich stajenni z końmi. Byli również Tillet i Clarissa, dziewczętom nie zezwolono zejść na dół.

Tuż nad ziemią unosiły się kłęby mgły; ranek był naprawdę posepny.

A może to tylko złudzenie, może jest nam po prostu ciężko na sercach — pomyślał Orry, dosiadając konia i czekając na słowa pożegnania.

Tillet ujął dłoń Charlesa i uściśnął ją z całych sił, Clarissa przytuliła chłopca do siebie. Kiedy ruszyli w drogę, Orry ujrzał na wschodzie jutrzenkę. A może i to było złudzeniem? Z nozdry oddychających miarowo koni wydostawały się podłużne kłęby pary. Charles odchrząknął.

— Orry?

— Tak?

— Cokolwiek się zdarzy, chciałbym, abyś wiedział, że doceniam sposób, w jaki mi pomogłeś. Nie myślałem nawet, że ktoś troszczy się o mnie choć trochę.

— Wszyscy troszczymy się o ciebie, Charles. Należysz do naszej rodziny. Jesteś jednym z Mainów.

Naprawdę tak myślał. Sam był zdziwiony zmianą, która w tak krótkim czasie dokonała się w jego nastawieniu do chłopca. Charles okazał się gorliwym uczniem, zaprzestał wreszcie mędrkowania, które zrażało do niego wszystkich dokoła. Oczywiście, chodziło o jego życie, ale Orry odnosił wrażenie, że duchowa przemiana Charlesa jest spowodowana jeszcze czymś innym. Orry wyciągnął ku niemu pomocną dłoń, a Charles pochwycił ją jak brat. Szkoda, wielka szkoda, że zmiana ta nastąpiła tak późno.

Nadal otulała ich mgła. Na jaśniejącym niebie migotały setki gwiazd. Charles nabrał głęboko powietrza.

— Orry?

— Co takiego?

Boję się jak diabli.
Ja też — odparł Orry. Skręcili nad rzekę.

Zanim dotarli do Sześciu Dębów, świt odegnał mgłę. Ku swemu niezadowoleniu Orry zastał na umówionym miejscu ponad dwudziestu członków rodziny Smithów, zarówno starszych, jak i młodszych. Tak duża liczba widzów miała jedną zaletę; ci młodszy mogli stanąć na drodze i wzdłuż brzegu, aby ostrzec przed niepożądanymi gośćmi. Wyznaczeni na wartowników protestowali wprawdzie, nie chcieli bowiem przegapić widowiska, ale w końcu ustąpili.

Orry uwiązał wierzchowce na skraju polany, w miejscu zarezerwowanym dla nich. Charles zrzucił z siebie płaszcz, kurtkę, kamizelkę i krawat, po czym podwinął rękawy koszuli. Starannie ubrany Whitney Smith, stojący wraz z przedstawicielami swego klanu w cieniu olbrzymiego dębu, przyglądał się poczynaniom Charlesa z nieskrywaną wzdumą.

Krewny Whitney, Smith Dawkins, podszedł do Mainów dumnym krokiem. W rękę trzymał przepiękną palisandrową kasetkę, którą otworzył, aby pokazać jej zawartość. Dwa pistolety kaliber 70 zasługiwały na to opakowanie. Każda z osmiokątnych luf była osadzona do połowy w błyszczącej rękojeści z drzewa orzechowego, od spodu znajdowała się niewielka nisza na wycior. Pistolety wykonano znakomicie, na każdym z nich widniało wygrawerowane nazwisko londyńskiego rusznikarza oraz data; rok 1828.

— Zadowoleni? — zapytał Dawkins.

— Powiem panu dopiero wtedy, kiedy je sprawdzę. 4- Orry wyjął spoczywający na fioletowym aksamicie pistolet.

Na czoło Charlesa wystąpiły drobne krople potu. Podczas gdy sekundanci ładowali pistolety, nerwowo przechadzał się tam i z powrotem. Obaj otrzymali broń i sekundanci wskazali im uzgodnione wcześniej miejsce, gdzie mieli stanąć plecami do siebie. Na ostatnie przygotowania przeznaczono jeszcze pięć minut.

Charles sprawiał wrażenie opanowanego. Jego zdenerwowanie zdradzało jedynie ustawiczne przeczesywanie dłonią włosów. Orry czuł, że musi pilnie oddać mocz — był to efekt napięcia, jak przypuszczał — nie chciał jednak zostawiać Charlesa samego, zwłaszcza że tuż obok stali puciołowaty Whitney Smith i jego przyjaciel Dawkins, strojący głupie miny i wygadujący złośliwości na temat przeciwnika.

Orry odwrócił się.

— Charles, wiem, że się boisz. Ale pamiętaj o jednym: masz nad nim pewną przewagę. Zrozumiesz, o czym mówię, kiedy

przyjrzyś się dokładnie temu napuszonemu pawiovi, który stoi za mną. Ponieważ większą wagę przywiązuje do wyglądu niż wygody, nadal ma na sobie ciężki płaszcz. Po drugie, jest zbyt głupi, aby się bać, a tylko ludzie wystraszeni zachowują niezbędną ostrożność. Tacy jak Whitney są zwykle pierwszymi ofiarami w bitwie.

Charles chciał coś odpowiedzieć, jednak zdobył się tylko na nerwowy rechot. Orry *ścisnął jego ramię*. Charles położył rękę na jego dłoni i przytrzymał ją przez chwilę.

— Dziękuję — szepnął.

— Czy jesteście panowie gotowi? — zawołał Dawkins. W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Orry obrócił się szybko.

— Gotowi.

Ruszył przez pole, tuż za nim szedł Charles. Wśród widzów zaległa cisza. Nad skąpanymi w blasku słońca wierzchołkami drzew poszybowała biała czapla. Złociście migotała woda w płynącej spokojnie skrajem polany rzece.

Whitney i Charles kiwnęli do siebie głowami.

Whitney uczynił to z wielkopańską wyniosłością — pomyślał Orry.

Z bliska widział przyszczatą twarz Smitha. Charles, pięć lat młodszy od niego, sprawiał wrażenie bardziej dojrzałego i zrównoważonego. Whitney trzymał pistolet pionowo przed twarzą w mocno dygoczącej rące.

To dobry znak — pomyślał Orry — chyba że Smith należy do tych nielicznych ludzi, którzy celują lepiej, gdy są zdenerwowani.

Dawkins odchrząknął i zwrócił się do obu przeciwników, stojących plecami do siebie z pistoletami skierowanymi w niebo.

— Najpierw powiem „start”. To słowo będzie dla panów sygnałem, że należy ruszyć przed siebie, podczas gdy ja będę liczył. Kiedy zrobicie panowie dziesiąty i ostatni krok, wolno panom odwrócić się i wypalić. Gotowi? Start!

Charles począł kroczyć w jedną stronę, Whitney w drugą. Serce Orry’ego waliło jak oszalałe. Nabrał głębokiego powietrza i wstrzymał oddech. On i Dawkins spiesznie odeszli na bok. Dawkins stał teraz obok, licząc głośno.

— Trzy. Cztery. Pięć.

Charles szedł pewnym, zamaszystym krokiem. Przedzierające się przez gałęzie drzew słońce połyskiwało w jego włosach.

Jest taki zdolny — pomyślał Orry. — Gdyby tylko znaleźć sposób, aby mógł się wykazać. Gdyby udało mu się żyć wystarczająco długo, aby ktoś się o tym przekonał! — Siedem. Osiem.

Krostowata twarz Whitneya lśniła od potu, jego ręka drżała coraz bardziej.

Zdoła wystrzelić czy też wcześniej runie na ziemię?

— Dziewięć.

Charles wpatrywał się prosto przed siebie. Orry ujrzał, jak wysuwa koniec języka, aby zlizać pot z wargi. Było to jedyna widoczna oznaka strachu, który zapewne wywracał mu wnętrzości. Chciał krzyknąć do niego: „Pamiętaj, spokojnie i płynnie!”

— Dziesięć.

Nogi Whitneya ugięły się w kolanach, zdołał jednak opanować się na tyle, by się odwrócić. Gwałtownie, z rozmachem, podobnie jak Charles na polu podczas swych pierwszych prób, wysunął przed siebie rękę z pistoletem. Huk zaskoczył Charlesa; zamrugał oczyma, jakby został trafiony kulą. Po chwili od drzewa rosnącego jakieś cztery stopy za Charlesem oderwała się gałąź i zaczepiając o inne konary spadła na ziemię.

Na spodniach Whitneya raptem pojawiła się mokra plama. Niezdarnie obrócił się o kilka stopni i chciał odejść na bok, ale wśród widzów rozległy się sykania, a Dawkins szepnął gniewnie: Musisz stać w miejscu, Whitney. Stój!

Zatrzymał się, ale widać było, jak wiele go to kosztuje. Kompromitująca plama powiększała się. Dygotał na całym ciele, lufa jego pistoletu chwiała się. Charles powoli wyciągnął rękę, wycelował i, patrząc zimnym okiem na cel za ośmiokątną lufą, wystrzelił.

Whitney zapiszczał jak dziewczyna. Przechylił się na lewą stronę i padł na ziemię, trzymając się za ramię. Spod palców pocięła krew, ale Charles zaledwie go drasnął. Co więcej, trafił właśnie w to miejsce, gdzie celował. Orry, nie posiadając się z radości, biegł już ku niemu. Dawkins ukląkł przy Whitneyu leżącym bez przytomności na trawie. Widzowie podnieśli krzyk. Charles, wyczerpany napięciem, zatoczył się w stronę rzeki. Orry zatrzymał go.

— Musisz podziękować im za aplauz. To uznanie dla ciebie.

Młodzieniec spojrział na Orry'ego z niedowierzaniem. Potem przeniósł wzrok na krewnych Smitha. Rzeczywiście: oklaskiwali jego celność, odwagę i wspaniałomyślność, gdyż tylko zranili przeciwnika, mogąc go przecież zabić.

Typowe cechy prawdziwego dżentelmena z Karoliny pomyślał Orry oszołomiony ze szczęścia.

Charles zasalutował widzom pistoletem, ale nadal nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

— Chciałbym ci jeszcze raz podziękować — powiedział, kiedy jachali w stronę domu. Łagodne promienie słońca, prze-

dzierające się przez płataninę galezi, rzucały na drogę pasma światła i cienia. Obu mężczyznom ten zimowy dzień wydał się szczególnie piękny, a życie wspaniałe.

— Świetnie się spisałeś, Charles.

— To nie moja zasługa. Gdyby nie ty, leżałbym teraz martwy. — Uśmiechnął się i potrząsnął głową. — Mój Boże, nie wiesz, co czułem słysząc te oklaski! Wiwatowali na moją cześć, a przecież tamten jest ich krewniakiem.

— Który na swoje nieszczęście okazał się tchórzem. Pyszałek bez charakteru. Tacy nie są tu lubiani.

— Nie mogę jeszcze w to uwierzyć. I chyba nigdy tego nie pojmę. Mam jeszcze do ciebie pytanie...

Urwał. Orry czekał, ale Charles nie kończył zdania. Po chwili Orry wskazał na przydrożną rudere z zniszczonym szyldem, wiszącym krzywo przed wejściem.

— Znasz to miejsce? Wprawdzie jest to tylko marna namiastka gospody, ale właściciel sprzedaje całkiem znośną whisky. Myślę, że obaj zasłużyliśmy na porządny łyk. Wejdziemy?

— Jakżeby nie. — Charles roześmiał się wesoło i ruszył przodem.

Karczmarz wybałuszył oczy na widok gości żądających alkoholu o wpół do siódmej rano, ale pieniądze, które Orry rzucił na szynkwasy, szybko rozwiały wszelkie obiekcje. W izbie panował zaduch, wzięli więc szklaneczki i usiedli na słońcu przed wejściem. Orry wypił swoją whisky do połowy, otrząsnął się i zadowolony z siebie przymrużył oczy.

— Chciałeś mnie o coś zapytać — powiedział wreszcie.

— Tak. Jeszcze niedawno, kiedy pobiliśmy się z kimś, wszyscy mieli mi to za złe. Ty też. Dlaczego dziś było inaczej? Przecież tego ranka chodziło o coś diabelnie poważniejszego, nie o jakieś tam popychanki. A więc czemu dziś nikt nie miał nic przeciw temu?

Orry obserwował go przez dłuższą chwilę, nie był pewny, czy młodzieniec nie żartuje. Ale nie, mina Charlesa wskazywała, że traktuje pytanie serio. I że przywiązuje do niego dużą wagę.

Odpowiedź musiała być właściwa. Orry zebrał myśli, potem wypił do dna i klepnął Charlesa po ramieniu.

— Chyba będzie najlepiej, jeśli odpowiem ci na to w Mont Royal.

— Nie rozumiem.

Ale Orry dosiadł już konia.

— Jedziemy.

Tillet, Clarissa i dziewczęta wybiegli przed dom, gdy tylko dostrzegli obu jeźdźców. Z przejęciem wysłuchali relacji Orry'ego, po czym Tillet pogratulował zwycięzcy z wyjątkowym entuzjazmem, Clarissa odetchnęła z ulgą, a dziewczęta podska-

kiwały z radości i błagały Orry'ego, aby jeszcze raz opowiedział im o bohaterskim wyczynie Charlesa. Wszystko to trwało godzinę. Dopiero potem Orry pociągnął kuzyną za sobą do mrocznej biblioteki i wskazał na wieszak ze swoją kurtką mundurową i szablą.

— Oto odpowiedź na twoje pytanie.

Charles patrzył zdziwiony.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Pomówmy o mężczyznach, którzy idą na wojnę. Co tam robią?

— Walczą.

— Zgadza się. Ale jest w tym coś więcej: oni robią to w sposób dokładnie z góry ustalony. Te reguły mogą ci się wydać twarde, ale tak już jest, że ludzie honoru muszą bić się tak, jak to określa kodeks. Smithowie wiwatowali na twoją cześć nie tylko dlatego, że zwyciężyłeś, ale ponieważ trzymałeś się zasad. W przeciwieństwie do Whitneya, który próbował uchylić się przed twoją kulą. Widziałeś sam, jaka była reakcja. Dawniej, bijąc się, nie uwzględniałeś żadnych reguł. I na tym polega różnica.

Uniósł lewy rękaw kurtki.

— Nie myśl, że świat potępia tego, kto lubi walkę. Wprost przeciwnie, zachęca go, a nieraz nawet nagradza. Część chwały spada też na tych, którzy przegrali; wystarczy przejrzeć książki historyczne, aby przekonać się, że jest tak, jak mówię. Nie mam pewności, czy to właściwe zachęcać ludzi do walki i zabijania, i jeszcze nagradzać ich za to, ale tak już jest na tym świecie. Czy możemy uznać, że odpowiedziałem ci na pytanie?

Charles z namysłem skinął głową, wpatrując się w pochwę szabli, miedziane guziki i granatową kurtkę tak, jakby miał przed sobą relikwie. To, co przed chwilą powiedział Orry, było dla chłopca objawieniem.

Orry zaczął myszkować w komodzie.

— Mam tu gdzieś whisky. Nie wiem jak ty, ale mnie nadal dręczy pragnienie.

— Mnie też.

Charles obszedł wieszak, nie odrywając oczu od munduru. I raptem Orry doznał olśnienia, ujrzał kuzyna Charlesa w zupełnie nowym świetle.

A może on nie jest jeszcze tak całkiem stracony. Jak gapi się na ten mundur. Jest nim zafascynowany!

Jeszcze tego samego dnia wziął Charlesa w obroty. Zaczął od drobnych uwag, które miały przygotować grunt, od łagodnych, niemal nieśmiałyh sugestii na temat wyglądu, manier, punktualności. Początkowo nie poruszał spraw zbyt poważnych, aby nie wywołać buntu. Zamiast tego spotkał się z natychmiastową aprobatą swych poczynań i niezwykłą sumiennością. Charles

zaczął przychodzić na wszystkie posiłki z dokładnie wymytymi rękami i twarzą, w koszuli wsuniętej do spodni, bez wielkiego noża dyndającego za pasem.

Mniej więcej w trzy tygodnie po pojedynku Orry podsunął Charlesowi parę książek, namawiając go, by je przeczytał. Wybrał lekturę łatwą: romanse historyczne Williama Gilmore Simmsa, pisarza pochodzącego z Karoliny Południowej, niemal równie popularnego, jak Fenimore Cooper, w swoim czasie. Tempo, w jakim Charles połknął powieści, przekonało Orry'ego, że młodzieniec jest rzeczywiście inteligentny, w co nie chciał dawniej wierzyć mimo zapewnień matki.

Następnie począł udzielać kuzynowi krótkich lekcji o dobrych obyczajach: wyjaśnił mu, na czym polega kurtuazyjne zachowanie wobec kobiet, w co należy się ubierać zależnie od rodzaju spotkań oficjalnych i rodzinnych. Charles nie tylko okazał się pilnym uczniem, lecz zaczął wprowadzać niektóre poznane zasady w czyn. Już niebawem począł odnosić się do Ashton i Brett z niezwykłą galanterią, która oszałamiała je, ale zarazem sprawiała przyjemność, gdyż Charles był przystojnym młodzieńcem, a w jego wytwornym zachowaniu nie było nawet cienia niezręczności.

— • Ten chłopiec to urodzony džentelmen — powiedział ze zdumieniem Orry przy najbliższym spotkaniu z Madeline. — Do szło do tego, że przewyższa swego nauczyciela. Jest zręczny, szarmancki, a co więcej, jest przy tym bardzo naturalny. Gdzie on ukrywał tak długo te cechy?

— Zapewne pod warstwą brudu i urazy — odparła, uśmiechając się łagodnie.

— Chyba masz rację. Ta przemiana jest frapująca. I pomyśleć, że jedyne, czego potrzebował, aby się odnaleźć, to odrobina uczucia ze strony własnej rodziny.

— A zwłaszcza od ciebie. O tej zmianie mówią już nawet w Resolute. Nancy powiedziała mi, że Charles nie odstępuje cię ani na krok.

— Tak, od świtu do zmroku. Chodzi za mną jak pies! To trochę kłopotliwe. — Ale wyraz jego twarzy zdradzał, że tak naprawdę nie ma nic przeciw temu, iż stał się obiektem kultu. — Kłopot polega na tym, że rozwiązuję jeden problem, a już tworzy się nowy.

— Co masz na myśli? Powiedziałaś przecież, że z Charlesem wszystko już w...

— Właśnie o to chodzi. On jest już w porządku. I w tym cały szkopuł. Dawniej byłem pewien, że któregoś dnia znajdą go martwego na drodze po kolejnej bijatyce czy też wycieczkach konnych. A teraz głowię się nad tym, w jaki sposób powinien sobie ułożyć życie. Muszę mu coś doradzić i to natychmiast.

- Mówisz, jakbyś był jego ojcem.
- Nie żartuj sobie. To spora odpowiedzialność.
- Oczywiście. Ale ja nie żartowałam z ciebie. Uśmiechałam się, bo cieszy mnie, że jesteś szczęśliwy. Nigdy cię nie widziałam w tak dobrym humorze. Wygląda na to, że lubisz być odpowiedzialny za innych.
- Spojrzał na nią.
- Tak, to prawda,

Co wieczór po kolacji, kiedy Orry'ego nie czekała praca w biurze, szli z Charlesem do biblioteki na kieliszek whisky. Czasem towarzyszył im Tillet, który zwykle siedział w milczeniu, patrząc na nich obu jak osłupiały. Wiedział, że w stosunkach pomiędzy synem a bratankiem dokonał się pozytywny i zbawienny przełom. Nie zamierzał w to ingerować. Uświadomił sobie również, że Orry w szybkim tempie staje się głową rodziny. W niemałym stopniu drażniło go to, czuł jednak również radość. W obecności Tilleta kuzyn Charles zachowywał się bardzo powściągliwie, natomiast kiedy byli sami, bez końca wypytywał Orry'ego o jego przeżycia na uczelni. Podobało ci się w West Point?

— No, może nie wszystko. Ale zdobyłem paru dobrych przyjaciół... również tego najlepszego.

— George'a? — kiedy Orry skinął głową, Charles zapytał: — Chciałeś zostać w armii?

Nawet bardzo. Ale generał Scott ma jakieś nieuzasadnione uprzedzenie do jednorękiich oficerów. Może dlatego, że sam ma dwie ręce.

Charles uśmiechnął się. Dowcip nie należał do najbardziej udanych, ale dawniej Orry nie potrafiłby mówić o swoim kalectwie tak niefrasobliwie. Przemiana godna uwagi.

Charles skierował wzrok na wiszący w kącie mundur.

— Nie mogę jakoś tego pojąć, że ktoś walczy i jeszcze dostaje za to zapłatę.

Orry wstrzymał oddech. Czyżby nadszedł właściwy moment? Skwapliwie skorzystał ze sposobności.

— Charles, coś mi przyszło do głowy. Może uda nam się załatwić ci skierowanie do Akademii.

— Ale... nie jestem dosyć bystry.

— Owszem, jesteś. Po prostu masz jeszcze za mało wiadomości, żeby zdać egzaminy wstępne. Innymi słowy, jesteś inteligentny, ale niedouczony. Pan Nagel z pewnością mógłby ci pomóc uzupełnić braki w ciągu roku albo coś takiego. Co do ciebie, musiałbyś dać z siebie wszystko, wiem jednak, że sobie poradzisz, jeśli tylko będziesz chciał.

Zaskoczony perspektywą, która tak nagle zarysowała się przed nim, Charles przez chwilę siedział w bezruchu, zanim odpowiedział:

— Tak, sir, poradzę sobie.

— Wspaniale! Poszukam Nagłą z samego rana.

— Co takiego? — wykrzyknął guwerner, wysłuchawszy propozycji Orry'ego. — Ja miałbym go uczyć? Powiniennem odmówić, Herr Main. Za pierwszym razem, kiedy skarcę go za zaniedbanie pracy domowej, wyciągnie zza pasa ten swój ogromny nóż i... ciach! — Przesunął kciukiem po własnej szyi. — I w taki oto sposób moja błyskotliwa działalność edukacyjna pańskiej rodziny zostanie przerwana.

— Charles jest teraz innym człowiekiem — zapewnił go Orry. — Niech pan mu da szansę. Zapłacę panu za to ekstra.

To zmieniło sytuację. Herr Nagel wyraził zgodę, a pod koniec tygodnia zjawiał się u swego chlebobdawcy, nie kryjąc zdumienia.

— Ma pan całkowitą rację. Ta przemiana jest zdumiewająca. Nieraz zachowuje się wprawdzie jak uparty osioł i wpada w złość... ale to głównie wtedy, gdy trafia na coś, czego nie zna, a powinien umieć to od dawna. Muszę jednak przyznać, że chwyta wszystko w mig. Myślę, że wyuczę go bardzo szybko, chociaż oczywiście będzie to wymagało... hmmm... dodatkowego wysiłku z mojej strony.

Za który otrzyma pan co tydzień dodatkowe wynagrodzenie.

— Jest pan dla mnie zbyt łaskaw — mruknął Herr Nagel, kłaniając się nisko. — Jeszcze zrobimy z niego uczonego.

W głosie Orry'ego zabrzmiała nuta wesołości, a w oczach zatańczyły iskierki.

— Zrobmy z niego po prostu kadeta z West Point. Tak żeby w tej rodzinie był zawodowy żołnierz.

Mimo wszystko — dodał w duchu.

Pod koniec pierwszego tygodnia kwietnia Orry zwrócił się do ojca:

— Za dwa albo trzy lata Charles będzie mógł się ubiegać o przyjęcie do Akademii. Dowiedziałem się, że w tym czasie znajdzie się wolne miejsce. Wydaje mi się, że nie będzie za wcześnie, jeśli już teraz postaramy się o skierowanie. Moglibyśmy zacząć od listu do Departamentu Wojny. List przekazałby senator Calhoun, gdybyśmy go o to poprosili. Mam napisać ten list czy ty to zrobisz?

Tillet pokazał mu egzemplarz „Mercury”.

- Calhoun nie żyje.
- Wielki Boże! Kiedy umarł?
- 31 marca. W Waszyngtonie.

Właściwie nie powinno to być niespodzianką — pomyślał Orry.

Calhoun niedomagał już od dłuższego czasu, a ostatni miesiąc obfitował w wydarzenia polityczne tak burzliwe, jak nigdy przedtem. Projekt kompromisowej rezolucji Claya został zgłoszony do dyskusji w Senacie, a ponieważ Calhoun był najstarszym rzecznikiem Południa, niecierpliwie oczekiwano na jego reakcję, jakkolwiek była łatwa do przewidzenia. Niestety Calhoun był zbyt chory, aby wystąpić i zabrać głos, komentarz wygłosił za niego senator Mason. Oczywiście Calhoun wypowiadał się przeciw programowi Claya i przestrzegał raz jeszcze przed secesją, do której Południe popycha wroga postawa Północy. Z biegiem lat Calhoun oddalał się coraz bardziej od koncepcji zintegrowanego jednego państwa. Najważniejsze stało się dobro Południa. Wielu Południowców uważało, że do takiego zatwardziałego i partykularnego stanowiska doprowadziła go działalność w Kongresie i poza nim abolicjonistów.

W trzy dni po zaprezentowaniu opinii Calhouna senator Daniel Webster przedstawił zdanie opozycji. Opowiedział się za rezolucją Claya, jak również za potrzebą utrzymania za wszelką cenę całości Unii. Przemówienie utrzymane było w duchu tak dobrotliwym i skłonny do kompromisów, że wielu senatorów z Północy, kolegów Webstera, poczęło wieszać na nim psy. Również Tillet jakkolwiek z innych powodów niż abolicjonisci uznał wystąpienie Webstera z 7 marca za odrażające.

Ale w tym momencie Orry rozmyślał o Calhounie w innym kontekście.

— On był jednym z najwierniejszych zwolenników Akademii.

— Owszem, był — warknął Tillet. Kiedyś. Wtedy był również zwolennikiem Unii. Tak jak my wszyscy. A potem Jankesi zwrócili się przeciw nam.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby krytyka pod adresem Południa była bezpodstawna. Orry pomyślał o Priamie, ale nie odezwał się. Ten nieoczekiwany konflikt sumienia zaskoczył go i zaniepokoił. Jego ojciec mówił dalej:

— Calhouna zabiły nie tylko wiek i choroba. To Jackson, Garrison, Seward... ta cała cholerna klika, która przeciwstawiła się jemu i nam na całej linii: od sprawy unieważnienia po sposób, w jaki zarabiamy na chleb. Osaczali Calhouna jak sfora wściekłych psów, aż wreszcie zagonili go na śmierć. — Zrzucił gazetę na podłogę. — Nie wolno nam o tym zapomnieć.

Orry milczał; nieprzejednany ton ojca zatrwożył go.

Kilka tygodni później Tillet miał kolejny powód, aby stracić panowanie nad sobą. Niewolnik, który uciekł z plantacji położonej w pobliżu Mont Royal, został pojmany w Columbus w stanie Ohio przez zawodowego łapacza, wynajętego przez właściciela zbiega.

Zanim łapacz i jego więzień zdołali opuścić Columbus, doszło do interwencji abolicjonistów. Zagrozili białemu linczem i wzięli Murzyna pod ochronę, twierdząc, że sąd musi stwierdzić legalność roszczeń właściciela niewolnika. Był to jednak wyłącznie pretekst; wszyscy bowiem wiedzieli, że ów sąd nie posiada niezbędnych uprawnień. Zwłoka dała jednak abolicjonistom czas na umożliwienie niewolnikowi ucieczki z więzienia. W tajemniczy sposób, nie wiadomo dlaczego, tylne drzwi nie zostały zamknięte. Zbieg przekroczył granicę i, zanim zorientowano się, w czym rzecz, bezpiecznie dotarł do Kanady. Niezręczna intryga w Ohio rozeźliła właściciela niewolnika i wielu jego sąsiadów. Tillet nie mówił o niczym innym.

Orry w tym czasie przeżywał najszcześniejsze chwile z Madeline i nie przestawał szczyścić się postępami swego protegowanego, kuzyna Charlesa, który sumiennie uczył się pod okiem Herr Nagła.

— Niestety latem będziemy musieli przerwać lekcje mniej więcej na dwa miesiące. — Nie był to zgrabny sposób rozpoczęcia rozmowy o sprawie, która dręczyła go od jakiegoś czasu, ale nie przyszło mu do głowy nic lepszego.

— Czyżby Charles miał wyjechać?

Wyjeżdża razem z nami wszystkimi. Wynająłem letni domek w Newport, tuż obok domu George'a.

— A więc wreszcie spotkacie się znowu!

— Tak.

— Och, Orry, to wspaniale! — Jej radość wyglądała na prawdziwą. Jeśli była rozczarowana, potrafiła to ukryć.

Nie będziesz za mną tęskniła?

Jeszcze jak! Będzie mi ciebie brakowało! Te dwa miesiące będą najdłuższe w moim życiu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała tak gwałtownie, że leżący na jej kolanach tomik poezji zsunął się na ziemię. Nawet tego nie zauważyła. Przez chwilę nie mogła złapać tchu, potem powiedziała:

— Ale jakoś przeżyję. To znaczy przeżyję, o ile będę wiedziała, że do mnie wrócisz. Nie zniosłabym, gdybyś zadał się z jakąś jankeską kobietą.

— Nigdy bym tego nie zrobił — odparł Orry z powagą, która nieraz wzruszała Madeline, czasem jednak, nie wiedzieć czemu, irytowała. On zaś mówił dalej:

— Najwyższa pora, aby Charles zobaczył świat leżący poza

granicami Południowej Karoliny. Jeśli dostanie się do Akademii, zetknie się z różnymi ludźmi o nowych i odmiennych poglądach. To może być dla niego, tak jak dla mnie, szok. Musi się na to przygotować.

Musnęła dłonią jego twarz.

— Zachowujesz się jak ojciec, coraz bardziej przejmujesz się tą rolą.

— To chyba nic złego, prawda?

— Oczywiście że nie. — Przelotnie, niemal jak żona, cmoknęła go w policzek. — To wspaniale dla Charlesa. Ale z tych nowych układów korzysta nie tylko on. Ty też jesteś o wiele szczęśliwszy, a to z kolei raduje mnie.

Pocałowała go jeszcze raz, demonstrując szczerą swych słów. W chwilę później, kiedy schylała się po książkę, coś jej przyszło do głowy.

— Powiedziałeś, że jedziecie całą rodziną do Rhode Island?

— Oczywiście oprócz Coopera.

— Tak też myślałam. Czy to była jego decyzja, aby zostać w domu, czy też twego ojca?

Przed dwoma dniami Cooper złożył wizytę w Mont Royal. Okazało się, że on i Tillet nie mogą siedzieć w tym samym pomieszczeniu, żeby nie pokłócić się od razu — i to gwałtownie — na temat rezolucji Claya. Twarz Orry'ego spowaźniała.

— Ich obu — odparł.

22

Cooper Main kochał Charleston.

Kochał wąskie, wybrukowane uliczki, które wielu przybyszom przypominały Europę; wytworne towary sprzedawane w sklepach; melodię dzwonów płynącą z białych wież kościelnych, które trwały od tylu lat, opierając się słonym wiatrom i sztormom. Kochał dyskusje na tematy polityczne, prowadzone w barze Charleston Hotel; turkot furgonów, których woźnice często płacili grzywny za poruszanie się po ulicach z szybkością niebezpieczną dla przechodniów; ciepły blask ulicznych latarni zapalanych przez jednego z dwóch urzędników miejskich lub któregoś z ich niewolników. Kochał też dom kupiony za część zysku, który mu przyniosła po pierwszym roku prowadzona przez niego firma Carolina Shipping Company.

Dom mieścił się przy Tradd Street, nie opodal słynnej, starej rezydencji Heywardów. Była to typowa w tym mieście budowla,

zapewniająca chłód i wygodę. Każde z trzech pięter miało taras biegnący wzdłuż budynku, a więc długi na około sześćdziesiąt stóp. Dom miał dwadzieścia stóp głębokości, co akurat odpowiadało szerokości pokoi, i był usytuowany na parceli w ten sposób, że jego fronton był widoczny z ulicy.

Mimo iż wchodziło się do niego właśnie od tej strony, za piękniejszą uznawano przeciwległą część budynku, za którą rozciągał się ogród. Cooper nazywał go swoim drugim biurem. Skryty za wysokim murem z cegieł pracował godzinami nad sprawami firmy otoczony pięknymi azaliami i magnoliami oraz zielenią mirtu i juki. Zawsze gdy uświadamiał sobie, że w tym pięknym domu żyje sam, ogarniał go niemal wstyd.

Nie zastanawiał się nad tym często, był zbyt zajęty. Swoje wygnanie, jak również niewielką firmę bawełnianą, przekształcił w sukces, a teraz miał zamiar powiększyć magazyn, zakupując kolejne budynki. Swoich decyzji nigdy nie konsultował z ojcem. Tillet nadal uważał Carolina Shipping Company za uciążliwe ryzyko finansowe. I to właśnie pozwoliło Cooperowi samodzielnie prowadzić firmę. Główne biuro, magazyn oraz rampa mieściły się na Concord Street, tuż za urzędem celnym. Znak firmy, widoczny na szyldzie zawieszonym nad wejściem i flagach powiewających na dwóch sfatygowanych już statkach, tworzył owal z liny okrętowej, okalający trzy krótsze odcinki liny, układające się w literę C.S.C.

Cooper wiedział, że Charleston nigdy nie będzie portem bawełnianym o takiej randze, jaką cieszył się niegdyś jako port ryżowy. Bawełnę uprawiano przede wszystkim w Alabamie i Missisipi. Ale również z Charleston ekspediowano znaczne ilości tego towaru. Cooper pragnął powiększyć swoją firmę, zostać najważniejszym przewoźnikiem bawełny w Południowej Karolinie. Z tego powodu kilka miesięcy wcześniej oddał w zastaw hipoteczny wszystko, co posiadał, i wysłał do stoczni Black Diamond w Brooklynie zamówienie na nowy, nowoczesny statek. Miał on być napędzany śrubą, nie kołami. Pod pokładem trzy poprzeczne przegrody tworzyły cztery wodoszczelne pomieszczenia. Gdyby statek rozbił się o przybrzeżne skały, można było przynajmniej liczyć na to, że towar w ładowniach nie zostanie zniszczony.

Właśnie owe przegrody znacznie podwyższyły koszt statku. Ale Cooper przedstawił już paru miejscowym fabrykantom bawełny szczegóły konstrukcyjne ładowni. Ich reakcje okazały się na tyle przychylnie, że doszedł do przekonania, iż dodatkowy wydatek pozwoli mu wygrać z konkurencją. Fakt, że statki rozbiły się o skały niezmiernie rzadko, nie miał większego znaczenia; fabrykanci, wybierając statek, który miał przewieźć ich towar, kierowali się mimo wszystko zasadą większego

bezpieczeństwa i mniejszego ryzyka. Niebezpieczeństwo roztrzaskania się statku było minimalne dzięki dodatkowej innowacji; zastosowaniu żelaza zamiast drewna. Specjalną stal miały dostarczyć zakłady Hazarda.

Cooper był dumny z projektu nowego statku, który zamierzał nazwać „Mont Royal”. Przed napisaniem i wysłaniem do Brooklynu listu z danymi technicznymi oraz zamówienia spędził szereg miesięcy nad książkami traktującymi o budowie okrętów, wykonał też mnóstwo szkiców. Prezes stoczni Black Diamond powiedział potem, że jeśli kiedyś Cooperowi znudzi się Charleston, zatrudni go u siebie — i nie był to żart.

Cooper nie miał wielu problemów ze sfinansowaniem swego projektu. Bankierzy z Charleston nie interesowali się jego poglądami politycznymi, podobały im się za to pomysły, które miał, cenili jego energię, a przede wszystkim uzyskane już efekty. Zdołał zwiększyć obroty C.S.C. o osiemdziesiąt procent, a zyski o dwadzieścia. Osiągnął to dzięki decyzji o odnowieniu starych statków, tak aby były niezawodne, oraz ofercie rabatu dla tych fabrykantów, którzy nawiążą z nim stałą współpracę.

Oprócz zabudowań przy Concord Street C.S.C. posiadała jeszcze jedną nieruchomość: dwudziestopięcioakrową parcelę na James Island, dokładnie naprzeciw półwyspu, na którym stało miasto. Parcela rozciągała się wzdłuż brzegu na przestrzeni pół mili i sąsiadowała z opuszczonym fortem Johnsona. Zakupienie tej pozornie bezwartościowej ziemi było wynikiem obmyślnego, perspektywicznego planu, który trzymał w sekrecie przed wszystkimi. Nie przejmował się drwinami, po prostu czuł, że przezorny człowiek interesu nie opowiada o swych zamierzeniach, dopóki nie uzna, że rozgłos wyjdzie mu na dobre. Teraz, w pierwszy poniedziałek maja, przechadzał się po Battery, spoglądając na parcelę po drugiej stronie wody. Nadal wierzył w słuszność decyzji o jej zakupie. Może nawet upłyną lata, zanim zrobi z tej ziemi użytek, ale ów moment z pewnością nadejdzie.

Pod pachą trzymał ostatnie wydanie „Mercury”. Skrajność poglądów głoszonych przez gazetę mierzyla go, publikowano w niej jednak również ciekawe reportaże o wydarzeniach w mieście i całym stanie. Zamieszczony na pierwszej stronie artykuł opowiadał mrozącą krew w żyłach historię o starej kobiecie zaduszonej w łóżku przez dwóch niewolników, których uprzednio skarciła. Sprawcy zbrodni zbiegli i jak dotąd nie udało się ich schwytać. Artykuł wstępny rozwodził się nad buntowniczymi charakterami Murzynów i rozbudzaniem tych niebezpiecznych nastrojów przez propagandę Jankesów. Kiedy Cooper uświadał sobie, jak wielu jest Murzynów w porównaniu do białej ludności, doskonale rozumiał zdenerwowanie posiadaczy niewolników.

Inny artykuł prezentował nowe zarządzenia przeciwpożarowe. W Charleston nie było to niczym nowym. Raz po raz wnoszono poprawki do istniejących przepisów, aby nie dopuścić do kolejnej katastrofy, jaką był pożar w 1838 roku, który omal nie zmiotł całego miasta z powierzchni ziemi. Na marginesie obok tego artykułu Cooper wynotował to, co musiał zgromadzić przed planowaną na następny dzień podróżą na północ.

Liczba ludności Charleston zbliżała się już do dwudziestu ośmiu tysięcy, nieznaczną większość stanowili biali. Poza starą arystokracją istniały jeszcze spore grupy porywczych Irlandczyków, zorganizowanych w klany Niemców i ortodoksyjnych Żydów. Strzeliste wieże i dachy domostw, pomiędzy którymi tu i ówdzie wznosiły się stare dęby i drzewa palmowe, stwarzały niezwykle miły dla oka widok, zwłaszcza o zmierzchu. Cooper, zachwycony otoczeniem i rześkim, słonym powietrzem wiejącym od wody, raptem przypomniał sobie ślubowanie, które złożył w duchu przed paroma miesiącami: dopóki żyje albo przynajmniej dopóki ze względu na swoje poglądy polityczne musi żyć na wygnaniu, jego dom będzie tu, w Charleston.

Z cierpkim uśmiechem przeniósł wzrok na pejzaż, który lubił jeszcze bardziej niż widok miasta — port i rozciągający się tuż za nim bezmiar oceanu. Port w Charleston stanowił nadal jedną z najsilniejszych baz rządu federalnego, jak okiem sięgnąć, wszędzie wznosiły się forty. Po lewej stronie, na Sullivan's Island — Fort Moultrie; nieco bliżej, na błotnistej równinie — Castle Pinckney. Na wprost był widoczny masyw Fortu Sumter, a na James Island — stare, opuszczone mury Fortu Johnsona.

Forty nie robiły na Cooperze większego wrażenia. Tym, co pasjonowało go najbardziej od bardzo wielu dni, był ruch parowców w porcie. W stosunkowo krótkim czasie niemal pokochał statki i morze, po którym pływały.

Ziemia za jego plecami wydała mu się nagle stara i zastygła w uświęconych przez stulecia formach, należała do przeszłości, morze natomiast, z płynącymi bezustannie tam i z powrotem parowcami, stanowiło nowoczesne królestwo tempa, nieograniczonych odkryć i możliwości; oznaczało przyszłość.

Sam nie wiedział kiedy i dlaczego przestał być związany z lądem. Przekształcił się w człowieka morza — i również ta świadomość sprawiała, że czuł się szczęśliwy.

Cooper pojechał pociągiem do Nowego Jorku, gdzie spędził dwa tygodnie w obskurnym hotelu w pobliżu stoczni Black Diamond. Jego statek był już częściowo *wyhończony*; wodoszczelne przegrody wewnętrzne miały być gotowe przed upływem miesiąca.

Wykonał wiele rysunków statku i zapisał kilka notatników, zanim wreszcie wyjechał z uczuciem satysfakcji. W porównaniu do obu bliźniaczych miast, Brooklynu i Nowego Jorku, Charleston wydawał mu się senny i zaniedbany, ale wielkość i zgiełk tych miast, jak również ich agresywni mieszkańcy, onieśmielali go.

Wsiadł do pociągu jadącego do Pensylwanii. Od ostatniego pobytu w Nowym Jorku liczba pociągów uległa niemal dziesięciokrotnemu zwiększeniu. Pierwsza lokomotywa Ameryki, słynna „Best Friend” z Charleston, wyruszyła w swą pierwszą podróż niemal dwadzieścia lat temu, w grudniu 1830 roku. W trzy lata później uruchomiono linię Charleston Hamburg, obsługującą 136-milową trasę do przystani nad Savannah River.

To zakrawa na ironię — pomyślał Cooper że właśnie stan, w którym rozpoczął się rozwój komunikacji kolejowej, pozostał teraz pod tym względem w tyle za innymi. Królami linii kolejowych stawali się Jankesi, zgodnie ze swymi ambicjami przodowania w każdej ważnej gałęzi przemysłu.

Po przybyciu do Lehigh Station Cooper spotkał się z Geor-gem, który zaprowadził go do walcowni i pokazał próbki stali przeznaczonej na kadłub „Mont Royal”. Poprzez ogłuszający hałas krzyczał:

— Wielu konstruktorów statków nadal krzywi się na stal. Ale właśnie stalowe kadłuby to przyszłość.

Cooper zawołał coś w odpowiedzi, ale George mówił dalej: Na przykład ten brytyjski inżynier, Brunei. Zbudował „Great Britain”, cały z żelaza, i bez najmniejszego trudu przepłynął nim Atlantyk. A teraz obiecuje, że któregoś dnia zbuduje tak olbrzymi statek z żelaza, że „Great Britain” będzie wyglądał przy nim jak szalupa. Znalazłeś się więc w świetnym towarzystwie.

— Wiem o tym — odkrzyknął Cooper. „Mont Royal” to właściwie pomniejszona wersja statku Brunela.

Na pomysł, aby wykorzystać pomysł Anglika, wpadł od razu, kiedy przeczytał o „Great Britain”.

George oprowadził gościa po całej stalowni, która rozrosła się niepomiernie, odkąd Cooper widział ją po raz ostatni. Olbrzymie piece hutnicze, odlewnie i walcownia, nowa walcarka szyn — wszystko pracowało na pełnych obrotach, jak powiedział George. Strugi płynnego żelaza, sypiące snopami iskier, oślepiający blask i piekielny żar deprymowały Coopera jeszcze bardziej niż miasta, które niedawno opuścił. Ogień i hałas w fabryce Hazarda były dla niego dowodem rosnącej potęgi przemysłowej Północy.

Właśnie ta potęga, jak również kłębiące się tłumy na ulicach miast czyniły nedorzecznymi wystąpienia Południa, domagają-

cego się niezależności. Dlaczego te gorące głowy z Karoliny nie spędzą tu choćby tygodnia? Wtedy uświadomiliby sobie od razu, że to Północ i tylko Północ dostarcza większości artykułów używanych przez nich w gospodarstwach: od żelaza budowlanego do narzędzi, od szpilek do włosów dla ich żon czy kochanek do brązu armatniego na broń, którą niektórzy z nich chcieli wykorzystać, aby zgodnie ze swymi bzdurnymi deklaracjami utworzyć wolne i niezależne Południe.

Ale z drugiej strony ojciec nigdy nie zmieniłby swoich poglądów po obejrzeniu Północy — doszedł do przekonania Cooper. — Ojciec nie dopuściłby do tego, aby rzeczywistość zastąpiła wiarę. A takich jak on jest z pewnością więcej. Również wśród Jankesów.

Tego wieczoru Cooper jadł kolację w posepnym nastroju. Oddając się posepnym rozmyśleniom uśmiechał się, chociaż nie czuł wesołości. Usiłował nie tracić wątku rozmowy prowadzonej przez uroczą Irlandkę, żonę George'a, i jej pełną życia teściową. Dzieci, William i Patricia, zjadły wcześniej.

— Są bardzo grzeczne — wyjaśniła Constance — ale potrafią zaleźć za skórę. Pomyślałam więc sobie, że lepiej zjeść bez nich, nie narażając się na latające w powietrzu talerze z kremem.

Udział George'a w dyskusji ograniczał się właściwie do monologu na temat konieczności zastosowania lepszej i tańszej metody produkcji stali. Kilka problemów natury technicznej wyjaśnił tak dokładnie, że Cooper pamiętał je w szczegółach jeszcze długo potem. Wydawało się, że Constance rozumie troskę męża o sprawy zawodowe i nie przerywała mu. Kiedy posiłek i *monolog* dobiegły końca, mężczyźni przeszli do palarni, gdzie George zapalił cygaro, a Cooper nalał sobie kieliszek brandy.

— Za chwilę dołączymy do pań — powiedział George. W jego głosie nie było entuzjazmu. Przyjdzie mój brat Billy. Również Stanley i jego żona. Billy wyjeżdża do West Point. Orry nie mówił ci o tym?

— Nie. To wspaniała nowina. Może za rok czy dwa dojdzie znowu do spotkania.

— Do spotkania? Co masz na myśli?

Pamiętasz kuzyna Charlesa? Bardzo się zmienił, odkąd widziałeś go ostatni raz. On też chciałby studiować w West Point. George pochylił się w kierunku Coopera.

— Chcesz powiedzieć, że może znowu Main i Hazard będą uczyli się razem?

Porównali daty i uznali, że jest to możliwe.

George rozsiadł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął się.

— Cóż, dzięki temu spędzimy ten wieczór w lepszym nastroju. — Niemal natychmiast spowaźniał. — Mam nadzieję, że nie uznasz go za niemą.

- Dlaczego miałby być niemiły?

- Moja siostra Virgilia przyjechała na parę dni do domu. Rzadko jąda z nami, ale jest tutaj.

— Przypominam ją sobie. Sympatyczna dziewczyna. — Cooper bez zająknięcia powiedział to drobne kłamstwo.

— I fanatyczka, przynajmniej jeżeli chodzi o abolicjonizm — dodał George, patrząc mu prosto w oczy. — Faktem jest, że zraziła już do siebie większość mieszkańców Lehigh Station. Ma zwyczaj brać wycinek prawdy i ubierać go w najbardziej oburzające komentarze i osady. Twierdzi na przykład, że wolność Murzynów wiąże się w naturalny sposób z zasadą wolnej miłości., Jeśli ktoś opowiada się za jednym, powinien uznawać i drugie. Oczywiście to powiązanie doprowadzi do wymieszania ras, co według niej jest zjawiskiem jak najbardziej prawidłowym.

Cooper wychylił swój kieliszek, powstrzymując się od komentarzy.

Nie polemizując już nawet z tą ostatnią kwestią George przygryzał koniuszek cygara mogę stwierdzić bez żadnej przesady, że postawa Virgilia wywołuje diabelnie wrogie nastroje wśród tych samych ludzi, którzy właściwie podzielają większość jej poglądów. Wprowadza też zamieszanie do naszego domu. Moja matka traci już cierpliwość, nie potrafię ci też opisać, jak Virgilia wpływa na żonę Stanleya... och, ale ty jeszcze nie znasz Isabel, prawda? Zobaczysz ją dziś wieczorem, a przez lato będziesz miał możliwość przekonać się, co to za typ.

Obawiam się, że nie będzie to możliwe — mruknął Cooper.

— Czeka mnie moc obowiązków w Charleston. — Jeszcze jedno kłamstwo, tym razem dla jego dobra.

— Przykro mi to słyszeć. Na czym, u diabła, skończyłem?

— Isabel i twoja siostra.

— Ach, 'tak. Jeżeli chodzi o nie, bardziej martwi mnie Virgilia. Odkąd wróciła do domu, zdążyła otrzymać dwa ohydne anonimy, a kiedy niedawno była w miasteczku, ktoś obrzucił ją błotem. Trudno przewidzieć, co się jeszcze może zdarzyć, jeśli nie przestanie głosić swych zwariowanych poglądów. Podejrzewam, że i ona przyłączy się do nas wieczorem i przypuszczam, że powinienem cię ostrzec.

Cooper założył nogę na nogę i uśmiechnął się.

— Doceniam twą troskę, ale ona nie będzie mi przeszkadzać.

— Mam nadzieję. Na twoim miejscu nie byłbym jednak tego taki pewien.

Cooper uznał Stanleya za człowieka tak samo nudnego jak dawniej. Brat George' a sywał nazwiskami polityków z Pensylwanii, a każde z nich wymawiał z taką emfazą, jakby spodziewał się zaimponować w ten sposób Cooperowi.

Jeśli chodzi o Isabel, Cooper ochrzcił już ją w myślach mianem sekutnicy. Do salonu przyszła ze swymi bliźniakami. Chłopcy wiercili się jej na kolanach i próbowali przekrzyknąć jeden drugiego. Constance zaproponowała, że przytrzyma któregoś, ale Isabel niezwykle ostrym tonem odmówiła.

Jak one muszą się nienawidzić — pomyślał Cooper.

Kiedy wreszcie Stanley polecił żonie, aby wyprowadziła dzieci z salonu, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Billy z widocznym podnieceniem rozprawiał o zbliżających się feriach, które miał spędzić w Newport. Ukończył szkołę z internatem, a teraz przy pomocy nauczyciela, którego raz po raz odwiedzał w Filadelfii, kontynuował naukę w domu. Był jednym z Hazardów, to nie ulegało wątpliwości, jakkolwiek trudno byłoby doszukać się w nim podobieństwa do George'a; miał ciemniejsze włosy i bardziej błękitne oczy. Pogodna twarz o regularnych rysach budziła zaufanie, a barczyste ramiona pozwalały domyślać się godnej podziwu siły.

Zjawiła się Virgilia. Ujęła Coopera za rękę i uściśniła ją jak mężczyzna. Matka zmarszczyła brwi, a Virgilia wypowiedziała kilka zdawkowych słów, siadła obok Coopera i przystąpiła do ataku.

— Panie Main, jakie są reakcje u pana na Południu na propozycje senatora Claya?

Ostrożnie — pomyślał, patrząc w jej roziskrzona oczy. Ona chce cię sprowokować. Politykowanie w salonie prowadzi najczęściej do wybuchu emocji, niemal, nigdy do ugody.

Uśmiechnął się uprzejmie.

Takie mniej więcej, jakich można się było spodziewać, panno Hazard. Większość obywateli Karoliny Południowej jest przeciwna wszelkim kompromisom z...

— Ja też — wpadła mu w słowo. Maude zawołała coś, co miało zapewne oznaczać dezaprobatę, ale dziewczyna nie zwróciła na matkę najmniejszej uwagi. — W sprawach dotyczących wolności człowieka nie ma miejsca na kompromisy czy negocjacje. Webster, Clay i cała reszta tej bandy ... oni wszyscy powinni zostać zlinczowani.

Uśmiech Coopera był nieco sztuczny.

— Myślę, że John Calhoun miał do tych panów i ich propozycji stosunek zbliżony, choć może nie tak radykalny, no i z pewnością mających u swych podstaw inne powody niż te, które pani wymieniła.

— Dobrze więc, tym razem mogę się zgodzić ze zmarłym, nie oplakiwanym przez nikogo panem Calhounem. Co się tyczy innych względów, to po prostu zdrajca.

George, który właśnie trzymał płonąca zapałkę, rzucił ją machinalnie na dywan.

— Na miłość boską, Virgilio! Jak ty się zachowujesz! Maude zerwała się z miejsca i spiesznie zdeptała zapalną, *

— George, co ty wyrabiasz?

Stanley prychnął i skrzyżował ramiona.

— Wszystkiemu winien jest niewyparzony język Virgillii.

— Zdrajca? — powtórzył Cooper. — Jestem przekonany, że miała pani co innego na myśli, panno Hazard.

— Nie ma innego określenia dla kogoś, kto oręduje za rozbiciem, aby ochraniać niewolnictwo. — Nachyliła się do niego, dłonie zacisnięte w pięści oparła na kolanach. — Tak samo nie ma innego określenia na właściciela niewolników jak tylko rozpustnik.

Cisza, która zapadła, była tak głęboka, że mogli teraz usłyszeć dobiegające gdzieś z głębi domu zawroźnienie bliźniaków Isabel.

— Gdybym nie wiedział, że powiedziała to pani bez zastanowienia — odparł spokojnie Cooper — odebrałbym te słowa jako obrazę całej mojej rodziny. Nie twierdzą, że Mainowie nie posiadają niewolników, prowadzą jednak plantację, nie zaś dom publiczny. Zacerpnął tchu i zwrócił się do Maude. Proszę mi wybaczyć, pani Hazard. Nie miałem zamiaru używać wulgaryzmów.

Nie potrzebował dodawać, że popchnął go do tego gniew. To było oczywiste bez wyjaśnień.

— Virgilio, naszemu gościowi należą się przeprosiny - powiedział George.

— Ja... — Zaczęła skubać chusteczkę. Jej zeszpecona dziobami twarz poczerwieniała, na górnej wardze zabłyśły krople potu. — Chciałam tylko wyrazić mój osobisty pogląd, panie Main. Jeśli uraziłam pana, zrobiłam to nieumyślnie.

Nie była to prawda. Virgilia ocierała sobie chustką usta, zasłaniając w ten sposób część twarzy. Zdradzały ją jednak oczy, wpatrywała się w gościa z fanatycznym wręcz gniewem.

— Ja też zareagowałam zbyt gwałtownie. Przepraszam.

Musiał się zmusić, aby to powiedzieć, ale tego wymagało dobre wychowanie. George wstał, nadepnął na wypaloną w dywanie dziurę i niemal siłą wyciągnął Coopera z fotela.

— Może się przejdziemy?

Zaledwie wyszli na zewnątrz, wykrzyknął:

— Boże, jak mi przykro, że ona to powiedziała! Nie mogę pojąć, jak ona może czerpać przyjemność z tego, że jest niegrzeczna.

— Nie przejmuj się tym. Cooper przeszedł po kamiennych płytach na skraj trawnika. Po prawej stronie trzy piece hutnicze tryskały czerwienią w nocne niebo.

— Muszę się tym przejmować. Nie chcę, aby Virgilia obrażała cię, a już na pewno nie chciałbym, aby zatrąła latem życie twojej

rodzinie. — Jego zdecydowanie przerodziło się nagle w konsternację. — Jest moją siostrą, ale nawet gdybym stanął na głowie, nie potrafię jej zrozumieć. Zawsze gdy zaczyna perorować na temat niewolnictwa i Południa, używa przy tym... określeń... no, seksualnych. Nie wiem czemu, ale ubzduriała sobie, że całe Południe to jedno wielkie morze sprośności.

Zerknął na przyjaciela, aby przekonać się, czy jest tym zaskokowany. Cooper zamyslił się.

— Ludzie często potępiają to, o czym potajemnie marzą.

— Za bardzo się w to wszystko zaangażowała — mruknął George. — Czasem obawiam się, że traci przez to zdolność logicznego rozumowania.

A ja obawiam się, że się nie mylisz — pomyślał Cooper, zatrzymał jednak to podejrzenie dla siebie.

I tak zakończył się incydent. Cooper wyjechał nad ranem, nie spotykając się już z Virgilią. Wkrótce wspomnienie jej gniewnych oczu zatarło się nieco. Kilkakrotnie analizował jednak własną, zaskakującą reakcję podczas tej rozmowy. Opinia Virgii rozjątrzyła go do żywego; rozjątrzyła jako członka rodziny Mainów i również... tak, również jako Południowca.

Zawsze uważał się za człowieka zrównoważonego. Jeżeli fanatyzm Jankesów zdołał pobudzić do gniewu właśnie jego, o ile łatwiej wpadliby w furję zapaleńcy z Południa? I do jak gwałtownej reakcji mógł popchnąć ich gniew? I ten właśnie aspekt incydentu z ostatniego wieczoru niepokoił *go* najbardziej.

Po raz pierwszy dostrzegł tę dziewczynę na pokładzie mniej więcej pół godziny po tym, jak parowiec odbił od przystani w Nowym Jorku, obierając kurs na Charleston. Mogła mieć dwadzieścia parę lat i najwidoczniej podróżowała sama: wysoka dziewczyna o chudych rękach i nogach, płaskich piersiach i długim nosie. Kapelusz zakrywał burzę kędzierzawych, jasnych włosów. Przechadzała się z wolna, potem przystanąła, by popatrzeć na ocean. Jej spokój i pewność siebie zdradzały obycie i zaradność. Cooper stał nie opodal, z boku, patrząc na nią z podyktowanej szacunkiem odległości.

Miała miłe spojrzenie i łagodny zarys warg, z pewnością uśmiechała się często i spontanicznie. Przypadkowy obserwator mógłby powiedzieć, że jest to dziewczyna o dość pospolitej urodzie, w najgorszym wypadku, że nieładna. Dlaczego więc uznał ją za interesującą? Nie umiał tego wytłumaczyć, a zresztą nie zależało mu na tym.

Niebawem dojrzał innego mężczyznę, który również obserwował dziewczynę, choć o wiele mniej dyskretnie. Był korpulentny, w średnim wieku i nosił kraciaste ubranie. Cooper był

rozczarowany, kiedy dziewczyna oddaliła się wolnym krokiem. Jeśli nawet zauważyła grubasa, nie dała tego po sobie poznać. Po chwili zniknęła. Cooper wiedział, że musi ją znowu zobaczyć. Ale jak to zrobić? Dżentelmen nie może tak po prostu rozpocząć rozmowy z dziewczyną, której nie był przedstawiony. Łamał sobie nad tym głowę, kiedy czarnoskóry steward uderzył w gong na znak, że podano obiady.

W jadalni zatrzęsała nim złość, kiedy zorientował się, że przypadek umieścił dziewczynę tuż obok mężczyzny w kraciastym ubraniu, który — było to widać na pierwszy rzut oka nie był dżentelmenem. Przysunął się do niej z krzesłem jeszcze bliżej, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie czterech innych pasażerów siedzących przy stole, podczas posiłku raz po raz trącał jej ramię, kilkakrotnie nachylał się ku niej zbyt poufale, racząc ją jakimś dowcipami, które ona kwitowała uprzejmym uśmiechem. Jadła szybko i pierwsza wstała od stołu. Po chwili Cooper również pośpieszył na pokład, aby ją odszukać.

Spostrzegł ją przy relingu sterburty, o który wspierała się. Patrzyła na odległe wydmę wybrzeża Jersey.

Zrobię to, do diabła, nawet jeśli nie wypada pomyślał.

Odchrząknął i wyprostował się. Czuł mrowienie całego ciała. Podszedł do niej z zamiarem rozpoczęcia rozmowy. Dziewczyna odwróciła się ku niemu i rzuciła przyjazne spojrzenie. Przystanął i sięgnął do kapelusza, ale w tym samym momencie przypomniał sobie, że zostawił go w kajucie, i natychmiast słowa ugrzęzły mu w gardle.

Zdobył się jedynie na pozdrowienie — właściwie było to jakieś mruknięcie i oddalił się czym prędzej. Idiota. Idiota. Ona z pewnością już nigdy nie odezwie się do niego. I słusznie. Chciał zrobić dobre wrażenie, przekonać jakoś, że jest uprzejmy, a nawet nieśmiały, gdyż te cechy, jak sądził, mogłyby jej się spodobać. Wszystko popsuł jego brak doświadczenia; zamiast dostrzec jego zalety, zobaczyła jedynie głupca, który nie potrafił nawet przywitać się jak należy, a tylko bąknął coś pod nosem.

Postanowił nie iść na organizowaną wieczorem imprezę, w ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i udał się do głównego salonu, gdzie zgromadziło się już około trzydziestu osób. Intendent okrętowy, pogodny Włoch, oświadczył, że odbędzie się specjalny program zamiast tego, który pierwotnie zaplanowano, okazało się bowiem, że wśród pasażerów znajduje się ktoś obdarzony talentem muzycznym, udało się przekonać artystę do publicznego występu. On sam będzie akompaniował jej na fortepianie. Zapowiedział pannę Judith Stafford z Bostonu.

Panna Stafford wstała. To była właśnie ta dziewczyna. Siedziała w pierwszym rzędzie, gdzie Cooper nie mógł jej dojrzeć. Nadal miała na sobie tę samą prostą, czarną suknię, w której po

raz pierwszy zobaczył ją na pokładzie. Był przekonany, że to jej „najlepsza suknia”. Każda kobieta ma taką, zazwyczaj z jedwabiu.

Pozerał ją wzrokiem, kiedy zapowiadała pierwszy punkt swego programu, arie z „Normy”. Śpiewała miękkim sopranem, a jej gesty i mimika wskazywały, że jest profesjonalistką. Wykonała jeszcze trzy arie operowe; ostatnią była pełna ekspresji pieśń z „Attyli” Verdiego.

Z każdą kolejną nutą Cooper czuł, że kocha dziewczynę coraz bardziej. I raptem doznał wstrząsu; zauważył, że jeden z widzów skrada się pod ścianą w stronę sceny: typ w kraciastym ubraniu. Chwiał się lekko na nogach — i to nie z powodu wysokiej fali. Ocean był spokojny. Obłeśne spojrzenie grubasa zdradzało, co interesuje go teraz najbardziej. Z pewnością nie talent muzyczny panny Stafford.

Publiczność nagrodziła artystkę za ostatnią arie burzliwymi oklaskami, domagając się zarazem bisu. Dziewczyna naradziła się ze swoim akompaniatorem, po czym zachwyciła zebranych żywiolową interpretacją „Oh! Susanna”. Była to murzyńska balada, chętnie śpiewana przez kalifornijskich poszukiwaczy złota. Słuchacze domagali się kontynuowania występu, wobec czego panna Stafford zaśpiewała bardzo popularną piosenkę „Woodman, Spare That Tree”, wzruszając do łez część publiczności.

Ale to nie łyzyki w małych, odrażających oczach pana Szachownicy, jak nazwał go w duchu Cooper, była w nich wyłącznie żądza.

Po burzliwej owacji publiczność rozeszła się. Intendent podziękował artystce i zostawił ją samą. Stała przez chwilę, raptem zwróciła uwagę na pana Szachownicę, który z przymilnym uśmiechem na twarzy, chwiejąc się na nogach ruszył ku niej, Cooper skoczył w ich stronę.

Ten typ wygląda na zawodowego boksera. Jeśli wmieszasz się, zrobi z ciebie miazgę. A ona uzna cię za durnia.

Mimo tych pesymistycznych myśli nie zmienił zamiaru i znalazł się przy panie Stafford w momencie, kiedy pana Szachownicę dzieliło od niej jeszcze jakieś sześć stóp. Zdezorientowany grubas stanął jak wryty, mrugając nerwowo. Cooper bez namysłu ujął dziewczynę pod ramię.

— To było czarujące, panno Stafford. Czy mogę teraz prosić o ten obiecany wcześniej spacer?

Zaraz zawoła o pomoc — pomyślał.

— Hej, proszę poczekać! — krzyknął pan Szachownica. Rzucił się gwałtownie w ich stronę, potknął się o skórzany fotel, którego nie zauważył, i runął na podłogę.

Judith Stafford zwróciła się z promiennym uśmiechem do Coopera:

- Nie zapomniałam o mojej obietnicy, wprost przeciwnie, cieszyłam się już na naszą przechadzkę.

Serce niemal zamarło mu w piersi, kiedy wzięła go pod rękę. Pozwoliła wyprowadzić się na zewnątrz, a gdy znaleźli się na pokładzie, spontanicznie ścisnęła mu ramię.

— Jestem panu bardzo wdzięczna. Ten typ nie przestaje się na mnie gapić, odkąd wypłynęliśmy z Nowego Jorku. — Cofnęła rękę. — Nie chciałabym, aby uznał mnie pan za zbyt zuchwałą, ale naprawdę muszę panu podziękować, panie...

Zawahała się. Czy dobrze słyszał?

— Cooper Main z Charleston. Czy przypadkiem nie jest pani z Karoliny Południowej?

— Jestem z Cheraw, to takie miasteczko w głębi kraju. Jadę z wizytą do mojej rodziny. Jeszcze raz dziękuję za pańską pomoc, panie Main. Życzę przyjemnego wieczoru.

Jeśli teraz odejdzie, będzie dla ciebie stracona już na zawsze. — Ujął ją za rękę i znowu nadstawił ramię.

Panno Stafford, domagam się nagrody. Ta przechadzka; o której mówiliśmy... o, tak. Proszę tędy.

Przeszli obok iluminatora, przez który spoglądał na nich zdeprimowany pan Szachownica. Do końca podróży nie pokazał się na pokładzie, nie narzucał się też ze swoim towarzystwem. I tak skończył się strach przed zawodowym bokserem.

Judith śmiała się z tupetu Coopera, trzymała go jednak mocno pod rękę, kiedy w blasku księżycy udali się na rufę. Cooper czuł się tak szczęśliwy, że natychmiast skoczyłby za burzę, gdyby go o to poprosiła. Uczyniłby to, mimo iż nie potrafił przepłynąć nawet sześciu stóp.

Większą część następnego dnia spędzili razem. Cooper zdawał sobie sprawę, że dziewczyna przystała na jego towarzystwo, gdyż w ten sposób może trzymać z dala od siebie innych, mniej godnych zaufania mężczyzn, miał jednak nadzieję, że zanim dotrą do Charleston, ich znajomość przerodzi się w przyjaźń. Judith zamierzała poświęcić tam jeden dzień za zakupy, a potem udać się do Cheraw pociągiem i dyliżansem.

Przyszła na świat u podnóża gór w Karolinie Południowej. Była jedynym dzieckiem w farmerskiej rodzinie. Jej matka zmarła, a ojciec mieszkał w Cheraw z krewną, wypadek na polu przed dwoma laty uczynił z niego kalekę.

— Ojciec jest pół-Walijczykiem i pół-Szkotem i nie wiadomo, kim jeszcze — opowiadała, kiedy późnym przedpołudniem siedzieli przy stole, popijając małymi łykami bulion. Urodził się w Karolinie, zawsze był i będzie farmerem na niezbyt dużym polu. Kiedy uprawiał ziemię, robił to sam, niekiedy pomagali mu

sąsiedzi, którym zresztą potem płacił. Nie cierpi plantatorów ryżu i bawełny, gdyż odnoszą sukcesy wyłącznie dzięki pracy całej armii niewolników. Nienawidzi ich również dlatego, że jest ich zaledwie garstka, a przejęli kontrolę nad całym stanem. Faktem jest, że właśnie ich władza była jednym z powodów, dla których wyjechałam stąd pięć lat temu. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat.

— W głębi kraju jest zapewne cała masa farmerów, którzy czują to samo co pani ojciec, prawda?

— Tysiące. Gdyby to zależało od nich, niewolnictwo zostałoby zniesione w jednej chwili.

— Po to, aby w następnej chwili rozpoczęło się powstanie niewolników?

— Och, to tylko taka wymówka — potrząsnęła głową.

— No cóż, ja słyszałam ją wiele razy. — Przełknął łyk bulionu. Postanowił odsłonić przed nią karty: — Moja rodzina uprawia ryż i korzysta z pracy niewolników od paru pokoleń.

Wprawdzie wymienił pan swoje nazwisko, ale nie skojarzyłam go z tymi Mainami z Mont Royal niemal krzyknęła zaskoczona.

Bo powiedziałem, że mieszkam w Charleston, co jest prawdą. Opuściłem rodzinny dom dwa lata temu, gdyż ojciec i ja nie mogliśmy się zgodzić w kilku sprawach. Między innymi mamy odmienne poglądy na temat niewolnictwa.

— Czy to znaczy, że jest pan przeciwnikiem tego systemu?

— Jak najbardziej. Ze względów praktycznych i etycznych.

— Jesteśmy więc do siebie podobni.

— Cieszy mnie to, panno Stafford. — Poczul, że się czerwieni.

W jej piwnych oczach pojawił się błysk, o jakim dotąd tylko marzył. Raptem zapomniał o gorących piecach w Lehigh Station, a przyszłość ujrzał w zupełnie innym świetle.

— Proszę — powiedziała. — Czy nie zechciałby pan mówić do mnie Judith?

Cooper potrafił mówić przekonująco, kiedy musiał, ale zawsze wymagało to wysiłku z jego strony. Również Judith była osobą nieśmiałą. Może właśnie dlatego więź, która ich połączyła, była tak nagła i trwała.

Podczas podróży do Charleston dużo opowiedział jej o sobie. Judith nie pozostała mu dłużna. Jej ojciec uznawał potrzebę edukacji i poświęcił całe swoje życie, aby jej było łatwiejsze. Przez ostatnie dwa lata uczyła się w prowadzonej przez pannę Deardorf Zeńskiej Akademii w Concord w stanie Massachusetts na Północy, a po ukończeniu uczelni otrzymała propozycję pozostania w niej w charakterze nauczycielki muzyki i literatury.

• Ściśle mówiąc, nie mieszkała więc w Bostonie, jeździła jednak do miasta tak często, jak tylko mogła. Chodziła do kościoła przy Federal Street i dzieliła umiarkowane poglądy abolicjonistyczne jego pastora, wielbego Williama Ellery Channinga.

— Unitarianin, tak? — uśmiechnął się Cooper. — A nas uczono, że większość z nich to wcielone diabły.

— Jedni są bardziej radykalni, inni mniej. Na przykład doktor Emerson. Wygłaszał kazania w Drugim Kościele Bostońskim, dopóki pozwalało mu na to sumienie. Jak na mój gust jego kazania są zbyt ogólnikowe, jakkolwiek bez wątpienia to człowiek o sprecyzowanych zasadach moralnych. Mieszka w Concord, tak że widuję go kilka razy w tygodniu. Ale oczywiście nie odważyłabym się odezwać do niego.

Kochała to niewielkie miasteczko, gdzie jankescy farmerzy po raz pierwszy otworzyli ogień do żołnierzy króla Jerzego. Mieszkało tam wielu sławnych ludzi, najlepiej znany był zapewne pisarz Hawthorne. Wspomniała również o radykale Thoreau, kimś w rodzaju pustelnika, o którym jednak Cooper nigdy nie słyszał.

Rozmawiali o różnych sprawach: potrawach z ryb, ruchach transcendentalnych, wszechobecnych damskich parasolkach

ona też miała swoją, małą i przybraną frędzlami i poetach z Nowej Anglii. Longfellow. Whittier z ruchu abolicjonistów. Młody Lowell, zyskujący dopiero sławę w całym kraju.

— Znam twórczość Lowella powiedział Cooper. Pod czas wojny z Meksykiem przeczytałem jego nieudolne raczej wiersze, które mówiły o walce. Zacytował: „Ludzie czyniący niewolników z czarnych zniewolą również białych jak ty.”

Po raz pierwszy w oczach Judith spostrzegł dezaprobatę.

— Chce pan powiedzieć, że nie wierzy w chęć rozszerzenia niewolnictwa na nowe tereny jako przyczynę wybuchu wojny?

— Była to jedna z przyczyn, owszem, ale nie jedyna. Rzadko bywa tak, aby powody były jednoznaczne. Ten kraj zmierza ku poważnym kłopotom, gdyż wszyscy wrzaskliwie domagają się natychmiastowego rozwiązania problemów. A może to nastąpić po wielu latach wysiłków, i to obu stron. Stopniowe usamodzielnianie się Murzynów mogłoby doprowadzić do ich wyzwolenia bez zniszczenia ekonomii Południa. Ale żadna ze stron nie chce nawet słyszeć o takim rozwiązaniu, jest rzekomo zbyt powolne. I zbyt kompromisowe. Wszyscy oczekują kroków szybkich, wyraźnych i niszczycielskich.

Chyba nie potrafiłabym powiedzieć, po której stronie pan stoi.

— Obawiam się, że nie ma dla mnie etykiety. Jestem przeciwnikiem niewolnictwa, ale nigdy nie uciekłbym się do przemocy, aby doprowadzić do jego zniesienia. Sądzę, że próba

ratowania tego systemu poprzez stworzenie niezależnego Południa jest śmieszna i absurdalna. Musimy nauczyć się współżyć z Jankesami. Nie możemy ryzykować, rozpoczynając z nimi walkę, gdyż po pierwsze przewyższają nas liczebnie, a po drugie nasze przeżycie zależy od ich fabryk. Gdybyśmy poszli własną drogą, byłby to nasz koniec.

— Sądzę po tym, co czytałam, wielu polityków Południa myśli zupełnie inaczej.

— Bo zapomnieli już, czego *nauczyli się z Biblii* — odparł z gorzkim uśmiechem. — „Strach przed tobą i zuchwałość twojego serca omamiły ciebie.” Księga *Jeremiasza*, 49.

— Cóż, ja... nie jestem tak liberalna — powiedziała po namyśle. — Niewolnictwo jest złem, które należy tępić wszelkimi środkami. Wielebny Channing usiłuje apelować do miłosierdzia właścicieli niewolników, ale póki co nie dało to efektu.

— I nie da. Tu, na Południu, pieniądze przemawiają bardziej skutecznie niż Bóg.

— Naprawdę myśli pan, że tylko tu? Ale jak możemy twierdzić, że w naszym kraju panuje wolność, skoro część społeczeństwa żyje w kajdanach?

— Mój ojciec uważa, że niewolnictwo jest zjawiskiem pozytywnym.

— Nie mam nic przeciw pańskiemu ojcu, ale despoci zazwyczaj wierzą, że są dobroczyńcami.

— Widzę, że czytała pani tego swojego wielebnego Welda — uśmiechnął się.

— I Garrisona, i Douglasa. I wierzę w to, co oni piszą. Rachunek za emancypację musi zostać zapłacony, niezależnie od ceny.

— Nie mogę się z tym zgodzić. Ale może kiedyś nadejdzie moment, że przyznam pani rację. I tak moje poglądy różnią się coraz bardziej od zdania ogółu. Któregoś dnia wypędzą mnie z Charleston. Ale zanim to się stanie, chciałbym pokazać pani mój dom.

— Jak to? Bez przyzwoitki? — zapytała z figlarnym uśmiechem, ale gdy ich oczy spotkały się, dziewczyna spoważniała.

— Bardzo chciałabym zobaczyć pański dom, Cooper.

Ośmielony tym spojrzeniem pocałował ją parę minut później, kiedy stanęli pod drzwiami jej luksusowej kabiny. Namiętnie odwzajemniła pocałunek, przeprosiła go natychmiast za swoje bezwstydnne zachowanie, a potem szeptem poprosiła, aby pocałował ją ponownie.

Była to cudowna podróż; zanim parowiec zawinął do portu w Charleston, wyznali sobie miłość. Cooper zapytał, kiedy Judith

mogłaby uwolnić się od swych zobowiązań w Concord i czy byłaby szczęśliwa żyjąc w Karolinie Południowej.

Portowy pilot wszedł na pokład o zachodzie słońca. Cooper i Judith stali przy relingu, patrząc na skapane w ostatnich promieniach słońca wieże miasta. Nigdy przedtem Cooper nie spotkał osoby, której ufałby tak bez zastrzeżeń. Kogoś, z kim mógłby porozmawiać bez obawy, że zostanie źle zrozumiany albo wzbudzi jej gniew.

— Mainowie byli zawsze przywiązani do ziemi, ale mnie zafascynowało morze. Zapewne dlatego, że ta ziemia jest nierozwalnie związana z niewolnictwem. — Spojrzał na rufę i rozciągający się pod ich stopami Atlantyk. Dla mnie ten ocean oznacza szansę uwolnienia się od starych, złych nawyków. Symbolizuje prędkość parowców, kurczący się świat. Przy szłość... — Wahał się przez chwilę, na jego twarzy pojawił się rumieniec. — Uważasz, że to, co mówię, jest śmieszne?

Potrząsnęła głową.

----- Wspaniałe. I realistyczne. Ale przestarzałe idee nie umierają tak łatwo. Właśnie dlatego jest tu ostatnio tyle zamieszania. Stary porządek rozpada się na naszych oczach, a ludzie z tego stanu nie chcą zaakceptować tego oczywistego faktu. Gdyby to uczynili, wszystko stałoby się o wiele prostsze.

— Tak, ale ten opór można zrozumieć. — Westchnął. Czło-
wiek, rezygnując z pracy Murzynów, traci naprawdę wiele. Oddaje w ten sposób coś, o czym nie wspomniał jeszcze żaden właściciel niewolników, coś, co istnieje, co jest bardzo istotne i co jest czynnikiem rodzącym wszelkie zło w naszym systemie. — Porywista bryza rozwiała mu włosy. Władzę totalną. Niewolnictwo daje człowiekowi władzę totalną nad drugim. Żadna istota ludzka nie powinna być obdarzona takim przywilejem: ani król, ani prezydent, i na pewno nie mój ojciec. Władza ma moc destrukcyjną. Teraz to zrozumiałem. Mój ojciec był zawsze dobrym i ludzkim panem, ale pewnego dnia zdenerwował się i kazał wychłostać kotem jednego ze swoich niewolników. Czy wiesz, co to takiego?

— Tak, czytałam o tym. — Wzdrygnęła się.

— To właśnie kazał zrobić mój ojciec. A ponieważ był właścicielem tego człowieka, właścicielem nie kwestionowanym, nikt nie mógł mu przeszkodzić. Nie można było zapobiec temu, aby jedna istota ludzka zachowała się jak bestia, a drugą potraktowano jak bestię. Dlatego właśnie wątpię, aby metoda wielebego Channinga dała jakieś rezultaty. Władza absolutna wyzwała w nas wszystkich najgorsze, najbardziej mroczne instynkty.

Jego twarz była teraz tak zdecydowana, że Judith zdobyła się na gest, o którym dotychczas marzyła, na oczach wszystkich

ujęła jego dłoń. Delikatnie zacisnęła palce. Zachwycała ją własna odwaga, cieszyło wszystko, co wydarzyło się podczas tej podróży. Kiedy wsiadała na statek w Bostonie, nie przypuszczała, co jej się może przydarzyć. Z pewnością to wspaniałe poczucie wolności było jeszcze jedną oznaką, że w końcu spotkała mężczyznę, którego może kochać do końca życia.

Również Cooper znalazł towarzyszkę życia. Przyzwoitą, inteligentną kobietę, która w jego oczach była niezrównanie piękna. Kobieta, rozumiejącą jego skomplikowany sposób myślenia, dzielącą wiele jego przekonań i niektóre wątpliwości. Wraz z nią, gdyby go zechciała, mógłby przetrwać nadchodzące burzliwe czasy.

Jeszcze dziś wieczorem, w domu przy Tradd Street, poproszę ją o rękę.

Ta decyzja sprawiła, że na jego twarzy pojawił się spokój. Trzymając się za ręce, nie bacząc na spojrzenia kilku zgorszonych pasażerów, Cooper i Judith patrzyli sobie w oczy przez cały czas, kiedy Fort Sumter przesuwał się powoli wzdłuż burty, aby wreszcie zniknąć w oddali.

23

Napięcia i spory trapiły Hazardów przez całą wiosnę. Służba robiła drobne zakłady o to, kto z kim jeszcze będzie rozmawiał, kiedy państwo w końcu wyjadą do Newport. Niektórzy byli przekonani, że wyjazd w ogóle nie dojdzie do skutku.

George zorientował się, że Stanley ponownie przekazał Cameronowi dotację, tym razem w wysokości dwóch tysięcy dolarów.

Obiecałeś przecież, że skończysz z tym!

Swój zarzut podkreślił tak donośnym uderzeniem pięścią w biurko, że zabrzęczały szyby. Stanley przezornie cofnął się pod ścianę. George nie był wysoki, ale wzbudzał w Stanleyu strach. Bał się też jednak Isabel.

— Nie mówiłem, że skończę z tym na dobre. Jeżeli tak to rozumiałeś, to zaszło nieporozumienie. Zresztą Simon potrzebował pilnie...

— Aha, jesteście już na ty! Przyjaciele! Co ty sobie bierzesz na głowę?

Stanley poczerwieniał. George przechadzał się tam i z powrotem jak rozjuszone zwierzę.

— Nasze koszty rosną z dnia na dzień, a ty trwonisz pieniądze na politycznych hochsztaplerów i na prywatne wagony kolejowe.

Stanley, nie mówiąc słowa bratu, podpisał kontrakt na dostawę ośmiokołowego wagonu, wyposażonego w salonik, przedziały sypialne i kuchnię. Ten niezwykle wagon, jeden z nielicznych w całym kraju, został wysłany do Delaware w celu dalszej rozbudowy. Namówiła go do tego zakupu Isabel, która twierdziła, że nie pojedzie na Rhode Island wagonem, którym jedzą wszyscy ludzie.

— Na pewno możemy to przedyskutować, nie posuwając się do argumentów w złym guście, George.

— Przedyskutować, dobre sobie! Co do tego wagonu, sprawa jest już przesądzona, ale nie pozwolę, abyś dał Cameronowi choćby jednego centa.

— Dopóki ja kontroluję finanse firmy, będę postępował wedle własnego uznania. Jeśli to ci się nie podoba, możesz porozmawiać z matką.

Nie odważył się spojrzeć na młodszego brata. George nie ukrywał irytacji, ale tak jak spodziewał się Stanley, ustąpił. George mógł grozić, że pójdzie do Maude, ale Stanley zorientował się już, że jego brat jest zbyt dumny, by to uczynić. Śmiejąc się w duchu, wyszedł z pokoju. Drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem, jakby podkreślając zakończenie dyskusji.

Klnąc z furią George opadł na fotel. Usiłował opanować gniew, ale bez skutku. Stanley miał go w ręku i obaj wiedzieli o tym doskonale. Nie mógł iść do matki na skargę, chociaż sytuacja stawała się nie do zniesienia. Nie wiedział, co robić. Chwycił za kałamarz i cisnął nim o ścianę.

To dziecinne — mruknął w chwilę później. Ale poczuł się trochę lepiej, mimo iż problem nie został rozwiązany, a atrament z rozbitego kałamarza poplamiał mu koszulę.

Stanley powiadomił o sprzeczce Isabel. Oczywiście w jego relacji wszystkiemu winien był George, on sam zaś wyrósł na bohatera.

Isabel zemściła się kolejnym atakiem na swoich krewnych. Udając zmartwioną, poczęła „dziwić się” głośno religii, którą mieli wyznawać William i Patricia. Wygrzebała z pamięci mrozące krew w żyłach historyjki o złowrogich katolickich księżach, którzy wywierali zgubny wpływ na swoich parafian i co za tym idzie - na ich dzieci. Ale prawdziwym celem jej ataku był George. Przez całe tygodnie jedynym tematem rozmów wśród miejscowych kobiet z wyższych sfer była jego rzekoma bezbożność.

Nie, George nie jest katolikiem, opowiadała im Isabel, ale nie chce też przestąpić progu kościoła metodystów. Czy nad głowami jego biednych dzieci nie zbierają się chmury, skoro wychowu-

ją się z dala od Boga? Ludzie, którzy do tej pory nie troszczyli się w ogóle o wyznanie czy charakter George'a, nagle zaczęli mówić głównie o tym.

Plotki dotarły najpierw do Constance, następnie do George'a, budząc w niej smutek, w nim zaś — furję. Nie zdołał go nawet pocieszyć list od Orry'ego, z którego wynikało, że również w rodzinie Mainów pojawiły się problemy z wiarą. Cooper zapowiedział swój rychły ślub z dziewczyną wyznającą wiarę unitarian i sympatyzującą z abolicjonistami. Tiilet z trudem hamował wzburzenie. Orry miał nadzieję, że podróż do Newport zdoła załagodzić napięcia i spory. Przynajmniej na pewien czas.

Virgilia wyjechała na dziesięć dni do Filadelfii, gdzie miała wygłosić kolejne przemówienie. Maude już dawno przestała wypominać jej brak przyzwoitki i Virgilia robiła teraz to, co chciała.

Pięć dni później, kiedy rozpoczęły się przygotowania do podróży do Newport, jedna z przyjaciółek Isabel złożyła jej wizytę. Była to Grace Truitt, która właśnie powróciła z Filadelfii. Pewnego wieczoru, jak opowiadała, poszli z mężem do teatru przy Chestnut Street na spektakl „Adwokat ludu”. Bohaterem tej popularnej od dłuższego czasu sztuki był jankeski wieśniak, który potrafił wystrychnąć na dudka ludzi rzekomo mądrzejszych od siebie; stał się on ulubioną postacią amerykańskiej komedii.

— Pani bratowa siedziała w łoży w towarzystwie przystojnego kawalera o nazwisku Toby Johnson.

— Nie znam nikogo takiego — odparła Isabel.

— Zdziwiłoby mnie, gdyby było inaczej, ale w Filadelfii to postać bardzo znana. Virgilia i pan Johnson zjawili się razem na zebraniu abolicjonistów — Grace Truitt umilkła na chwilę, jak gdyby chciała, aby wzrosło napięcie. — Przy okazji pan Johnson opowiedział o swoich przeżyciach w Karolinie Północnej, jeszcze przed ucieczką stamtąd.

— Ucieczką? Wielki Boże, chyba pani nie chce powiedzieć, że to... Murzyn?

— Ma skórę brązową jak orzech — skinęła głową pani Truitt.

— Paradowali po całym teatrze, trzymali się za ręce i patrzyli na siebie jak... — Przytknęła chusteczkę do błyszczącej od potu górnej wargi. — Można by rzec: jak zakochani. Bardzo mi przykro, że to właśnie ja przyniosłam tę tragiczną wiadomość, ale pomyślałam sobie, że powinna pani o tym wiedzieć.

Isabel przybrała minę cierpiętnicy.

— Czy ich obecność w teatrze wywołała duże wrażenie?

— Powiedziałabym, że bardzo duże. Niektóre pary na znak

protestu opuściły teatr, zanim kurtyna poszła w górę. Podczas pierwszego antraktu ktoś wrzucił do łoża torbę ze śmieciami. To ordynarna reakcja, nie przeczę, ale musi pani wiedzieć, że Virgilia i jej towarzysz siedzieli przez cały czas bez ruchu, ignorując wszystkich. Isabel ujęła ją za rękę.

— Bardzo proszę, niech pani nie mówi o tym nikomu, Grace. Powiadomię rodzinę w stosownym momencie, kiedy Virgilia wróci do domu.

— Może pani polegać na mojej dyskrekcji.

Była to jednak czcza obietnica.

Po Virgilię, która miała przyplłynąć statkiem, Maude wysłała do miasta stangreta. Kiedy dziewczyna jechała powozem, dostrzegło ją dwóch mężczyzn walęsających się w pobliżu kanału. Jeden z nich schylił się po kamień.

— Nie sprowadzaj tu do nas swego murzyńskiego kochanka!

Rzucił kamień raczej po to, aby dać upust emocjom, niż żeby trafić — i rzeczywiście pocisk przeleciał, nie czyniąc nikomu krzywdy. Stangret zmierzył pasażerkę zdumionym spojrzeniem, ale Virginia zignorowała go. Wieczorem, kiedy GeoTge y. rodziną siedzieli u Stanleyów na kolacji, incydent stał się głównym tematem rozmowy. Zanim wniesiono pierwsze danie, Maude powiedziała:

Yirgilio, słyszałam o jakimś przykrym wydarzeniu w miasteczku. Jak do niego doszło?

Córka wzruszyła ramionami.

Spowodowała je, jak sędzę, moja przyjaźń z Toby Johnsonem. Posłałam z nim do teatru w Filadelfii. Plotka wędruje bardzo szybko. Może widział mnie ktoś z ograniczonych obywateli Lehigh Station?

Isabel była niepokieszona: jej występ, na który liczyła, został odarty z uroku zaskoczenia. Mogła jednak spróbować podkreślić ogrom wykroczenia, którego dopuściła się Virgilia.

Na wypadek, jeśli ktoś nie wie, w czym rzecz: Johnson to Murzyn.

Dla George'a nie było to niespodzianką, wraz z Constance omówili całe zdarzenie już godzinę temu. Zirytowany przygryzł koniuszek cygara, mina Virgillii wskazywała, że upaja się zakłopotaniem rodziny. Również ten fakt nie stanowił dla niego zaskoczenia, złościł się jednak zawsze, kiedy siostra tak ostentacyjnie prowokowała rodzinę.

Virgilia buntowniczo wysunęła podbródek do przodu.

— Toby Johnson jest wspaniałym człowiekiem. Będę spotykała się z nim tak często, jak przyjdzie mi na to ochota.

Billy był najwidoczniej ubawiony sytuacją, pozostali okazywali zdenerwowanie. Stanley jękał się, nie potrafił wymówić

nawet jednego słowa. Maude spoglądała na córkę **jbpełną sifutktt** rezygnacją.

George przemówił w imieniu całej rodziny:

— Nie mamy nic przeciw twemu znajomemu, Virgilio. Ale posunęłaś się za daleko. Nie chodzi mi tylko o to, że ten mężczyzna ma czarną skórę...

Spiorunowała go wzrokiem.

— Z pewnością chodzi ci właśnie o to, George. Nie bądź takim hipokrytą.

— W porządku. Może rzeczywiście chodzi też o kolor skóry. Ale myślę, że mógłbym się z tym pogodzić, gdyby nie rzutowało to na twoją postawę. Nie wydaje mi się, aby naprawdę zależało ci na tym człowieku.

~ Jak śmiesz wątpić w moje uczucia?

Virgilio, zamknij się i pozwól mi dokończyć. Myślę, że postępujesz tak a nie inaczej głównie dlatego, że chcesz zwrócić na siebie uwagę innych. Grasz wszystkim na nosie, gdyż ubzdurałaś sobie, że zamierzają cię skrzywdzić. W rezultacie przynosisz wstyd matce i hańbisz całą rodzinę. Po prostu są rzeczy, których przyzwoita kobieta nie robi, niezależnie od *tego*, czy mężczyzna ma czarną skórę, białe czy purpurową.

Virgilia zmiała serwetkę i odrzuciła na bok. Ależ się z siebie zrobił straszliwy kołtun!

Maude jęknęła i odwróciła twarz.

W tej chwili nie rozmawiamy o mnie, ale o tobie i **twoim** zachowaniu — odparował George. — Nie możemy tego tolerować.

Wstała i zmierzyła go zimnym spojrzeniem.

— A jednak będziesz musiał, kochany braciszku. Jestem dorosłą kobietą. A z kim sypiam, to już moja sprawa.

Zmieszana Constance zerknęła na Billy'ego. Zaszokowani George i Stanley wymienili znaczące spojrzenia, obaj poczuli narastający gniew. Isabel oddychała z trudem. Virgilia wybiegła z pokoju.

Maude przysłoniła twarz dłonią, aby ukryć łzy.

Nazajutrz ciało Williama pokryło się wysypką. Mimo iż doktor Hopple orzekł, że nie jest to odra, chłopiec dostał wysokiej temperatury. Constance została przy nim na noc, również George nie mógł zasnąć. Martwił się o żonę i całym tym zamieszaniem wprowadzonym przez siostrę. Nic dziwnego, że był w złym humorze, kiedy następnego dnia po południu rodzina wyruszyła dwoma' powozami. W trzecim piętrzył się stos kufrów. Z Filadelfii Hazardowie mieli swoją salonką dojechać na bocznice w Newport.

Perspektywa opuszczenia firmy na osiem tygodni niepokoiła George'a. Pocieszał się tylko faktem, że pozostawił dla nadzorców i majstrów całe sterty instrukcji, zamierzał też pojechać do Lehigh Station przynajmniej raz w trakcie urlopu. Ale bardziej niż fabryce potrzebny był własnej rodzinie. Należało coś uczynić, ale przywrócić w niej spokój i powstrzymać Virgilię, aby nie zakłócała go w nadchodzącym miesiącu.

Isabel nie przestawała patrzeć na Virgilię z ukosa, ta jednak zachowywała się jakby nigdy nic, paplała przez cały czas o przesuwanym się za oknem krajobrazie lub o pogodzie — o wszystkim, tylko nie o tym, co miałyby związek z przedmiotem sprzeczki. Była wesoła w jakiś beztroski, a nawet arogancki sposób.

W Filadelfii zatrzymali się na jedną dobę i w tym czasie Virgilia zniknęła gdzieś na całą noc bez słowa wyjaśnienia. Tego wieczoru Maude udała się do łóżka jeszcze przed zachodem słońca. Następnego ranka poczuła się lepiej, wydawało się, że postanowiła zaakceptować sytuację bez względu na to, jak bardzo była żalosna. Z osłabionym jeszcze, ale wracającym już do zdrowia Williamem Hazardowie pojechali na zakupy.

O czwartej po południu wsiedli do salonki. Na obu ścianach wagonu mosiężne, wysokie na pięć cali litery tworzyły napis: „Chłuba Hazardów”. Nieco wyżej mosiężny orzeł rozpościł skrzydła. Wnętrze wagonu było również wykwintne. Ogólny podziw wzbudziły ozdobne ramy okienne, błyszczące mosiężne okucia, boazeria z palisandru i bordowy adamaszek pokrywający górną część ścian.

Stanley nie szczędził pieniędzy. Fotele wyściełane były najlepszym pluszem, umywalki wykonano z najpiękniejszego marmuru. George musiał przyznać, że wagon jest wykwintny, nie odważył się jednak zapytać o koszty. Wolał siedzieć już w domu i być po kilku kieliszkach, kiedy ujrzy rachunek.

Na całe lato zatrudniono czarnoskórego kucharza. Stał już w kuchni, przyrządzając kolację. Virgilia wszczęła z nim pogawędkę, która trwała co najmniej dziesięć minut.

— Tak jakby byli sobie równi — syknęła Isabel do Constance, osłaniając usta dłonią. — Trzeba coś zrobić.

Constance zignorowała ją. Virgilia wyszła wreszcie z kuchni i zniknęła w swoim przedziale sypialnym z egzemplarzem „Wyzwolicieła”.

Chłopcy, William, Laban i Levi, biegali po całym wagonie, wspinali się na meble, szarpali za klamki u drzwi do przedziałów i tworzyli prawdziwą kakofonię dźwięków na pompie ustawionej za przepierzeniem pod ścianą. O czwartej czterdzieści pięć wagon doczepiono do pociągu ekspresowego z Nowego Jorku, który ruszył kilka minut później.

Kucharz podał filety z soli i drogie francuskie wino. Pociąg mknął na północ, przecinając posępne równiny New Jersey. Virgilia nie siedziała przy stole wraz z innymi, swój talerz zabrała do przedziału.

— Zapewne zaprosi swego ciemnoskórego przyjaciela do Newport — odezwała się ochryłym głosem Isabel. Wypiła sporo czerwonego wina, gardząc białym, które kucharz podał innym. — Powinniśmy zareagować.

George dostrzegł błyski w oczach żony, ale Constance nie straciła panowania nad sobą.

— Myślę, że musimy uzbroić się w cierpliwość — powiedziała. — Jeśli zadaje się z tym Johnsonem tylko po to, żeby dowieść swej niezależności, nie potrwa to długo.

— A co mamy robić do tej pory? — głos Isabel zdradzał niezadowolenie. — Godzić się na upokorzenie? Narażać się na potępienie ze strony innych? Uważam, że powinniśmy zareagować.

— Powtarzasz w kółko to samo — odezwała się szorstko Maude. — Ale co proponujesz konkretnie?

Isabel *otworzyła* usta, zamknęła je jednak i wstała gwałtownie:

— Przepraszam, zdaje się, któreś z moich dzieci zapłakało.

Pobiegła do swego przedziału. George wsunął rękę pod wytworny obrus, odszukał dłoń żony i uściśnął ją, patrząc na Constance zrezygnowanym wzrokiem. Potem nalał sobie kolejny kieliszek Chardonnay i wypił wino kilkoma łykami.

Około północy „Chłuba Hazardów” została doczepiona do składu jadącego do Providence. Wagon znajdował się teraz tuż za częścią towarowo-bagażową pociągu, przed wagonami osobowymi.

Mniej więcej w tym samym czasie w małej wiosce West Haven, na wybrzeżu Connecticut, dróżnik, który nie mógł otrząsnąć się z awantury, którą urządziła mu jego przyjaciółka, chwycił za butelkę, aby utopić gniew. Pił tak dużo i tak szybko, że zapomniał przestawić zwrotnicę po tym, jak przejechał z bocznicą na główną linię pociąg zdążający do Nowego Jorku. Ten lokalny pociąg czekał zawsze na bocznym torze, aby przepuścić ekspres do Bostonu.

Chwiejnym krokiem dróżnik pomaszerował do New Haven. Gdyby był człowiekiem sumiennym i trzeźwym, pomyślałby o zwrotnicy. Została ona teraz tak ustawiona, że każdy pociąg z Nowego Jorku jadący z prędkością większą niż pięć mil na godzinę, musiał znaleźć się na bocznicą, która kończyła się

niebawem, i uderzyć z całej siły w ustawioną u kresu szyn barierkę. Za barierką rozciągał się szeroki, ciemny wąwóz.

Constance przekreśliła się w ramionach męża. Tak, naprawdę było tu za ciasno jak na dwie osoby, nie chciała jednak leżeć sama na swojej pryczy, położyła się więc na chwilę obok George'a.

— Zanim zacznę podróżować regularnie nocnymi pociągami, jakiś geniusz będzie musiał wymyślić coś wygodniejszego do spania — mruknęła, tuląc się do niego.

— Ale za to jest przytulnie, prawda?

W tym samym momencie, kiedy- to powiedział, dało się wyczuć nagłe szarpnięcie.

— Czy zauważyłaś? — zapytał. — Tak jakbyśmy wjechali na inny tor!

Maszynista ośmiokołowej lokomotywy Winansa miał duszę na ramieniu; kilka sekund za późno dostrzegł pozycję zwrotnicy. Lokomotywa nieoczekiwanie wjechała na bocznice i chociaż natychmiast pociągnął za sznur, aby zasygnalizować niebezpieczeństwo, zdawał sobie sprawę, że hamulcowi nie zdążą przykręcić kół i zatrzymać pociągu na czas.

W blasku naftowych latarni, umieszczonych na przodzie lokomotywy, dostrzegł zbliżającą się w zawrotnym tempie zaporę na torach.

— Skacz, Fred! — krzyknął do pomocnika, który stał już na stopniu, szykując się do skoku w ciemność.

A więc taki będzie mój koniec — pomyślał maszynista. — Nazwisko w gazecie donoszące o kolejnej katastrofie. Ostatnio zdarzały się tak często, że księża i politycy zaczęli nawoływać do zaprzestania budowy nowych linii kolejowych.

Jeszcze raz pociągnął za linkę alarmową. Urwała się. W świetle paleniska dostrzegł jej postrzępiony koniec i to była ostatnia rzecz, jaką ujrzał. Jadąca z prędkością trzydziestu mil na godzinę lokomotywa wpadła na zaporę, pokonała niewielki nasyp, po czym pociągając za sobą wagony stoczyła się w przepaść niczym gigantyczny pocisk.

24

— Constance, leć po dzieci! Coś się... Ostrzeżenie było zbyt późne, Constance wiedziała już, że stało

się coś złego, gdyż wagon drgnął, zatrząsł się, a potem zaczął powoli przechylać się na lewą stronę.

Odniosła dziwne wrażenie, że unosi się w powietrzu. Z trudem, pokonując pochyłą raptem podłogę, dotarła do drzwi dzielących ich przedział od przedziału dzieci. Lokomotywa uderzyła o odległe dno przepaści i jeszcze zanim rozległ się ogłuszający huk, Constance domyśliła się, że ich wagon, a może nawet cały pociąg, wykoleił się.

Szarpnęła drzwi i zdołała je otworzyć. Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był okopcony cylinder lampy. Wieczorem zostawiła ją zapaloną. Wagon był wyłożony polakierowanym drewnem. Jeśli nie zostaną zmiążdżeni, mogą spalić się żywcem.

Zdawało się, że to powolne, leniwe opadanie nie ma końca. Żelazo zgrzytało posępnie, kiedy pękały spojenia. Wagon towarowy wylądował w wąwozie, o jego dach, kołami do góry, z hukiem uderzyła salonka Hazardów, Wybuchł kocioł lokomotywy, olbrzymia chmura gorącej pary i szczątków metalu rozrastała się szybko nad jego szczątkami niczym osobliwy kwiat z ogrodu szaleńca. Zgrzyt żelaza i krzyki uwięzionych w pociągu ludzi *rozlegały się zewsząd. Znajdujące się za salonką wagonu bagażowe przechyliły się na bok i runęły w przepaść, mijając wagony, na których spoczywała „Chluba Hazardów”*. Constance usłyszała jęki rannych; urzędnicy kolejowi eskortujący bagaże znaleźli się w mrocznej czeluści jak w pułapce.

— William? Patricia? Zostańcie tu! Trzymajcie się mnie! Wszystko będzie dobrze!

Dzieci szlochały podobnie jak dziesiątki pasażerów w pozostałych wagonach — był to chór przerażonych śmiertelnie ludzi, którzy usiłowali przekrzyczeć trzask łamanego drewna, brzęk pękającego szkła i syk płomieni. Gdzie był George? Przerazenie sprawiło, że straciła go z oczu. Może wydostał się z przedziału przez drzwi prowadzące na korytarz?

Lampy w wagonie dawno już pogasły, ale mimo to było widno. To ogień. Płomienie oświetlały twarz George'a. Wracał do przedziału, krocząc po suficie, który *teraz stał się podłogą*. Rzucił się ku drzwiom.

— Podaj mi jedno z dzieci. — Wyciągnął ręce. Za jego plecami dostrzegła Stanleya usiłującego przejść korytarzem. Popychał Maude, za sobą ciągnął Isabel, która oburącz trzymała bliźniaki.

Constance podała mężowi Williama. Dźwigając córkę wydostała się przez okno przedziału. Starła się nie słyszeć krzyków ani trzasku rozprzestrzeniających się płomieni. Ogień wżerał się w ścianę tuż za nią, owiewając ich swym żarem.

— Śmiało, George, naprzód, ze mną wszystko w porządku!

Wolną ręką uniosła nocną koszulę, aby odzyskać swobodę ruchów. Zaczęła kasłać, gryzący dym gęstniał coraz bardziej.

W ślad za mężem wydostała się na korytarz zablokowany z jednej strony przez rumowisko, z drugiej przez Isabel, która straciła nagle panowanie nad sobą. Upuściła bliźniaki na podłogę i zaczęła histerycznie krzyżeć.

W miarę jak pożar ogarniał cały wagon, dym czerwieniał. Trzyletnie bliźniaki szlochwały i szarpały matkę za nogi z nadzieją, że zwróci na nich w końcu uwagę. Daremnie.

— Musimy usunąć ją z drogi — zawołała Constance, podając córkę mężowi. George objął Williama jedną ręką, drugą posadził sobie dziewczynkę na ramieniu. Constance przecisnęła się obok niego, chwyciła Isabel za ramiona i z całej siły potrząsnęła nią, a kiedy okazało się, że to nie pomaga, uderzyła ją w twarz. Isabel zatoczyła się na Stanley a, który chwycił ją za ręce i pociągnął przez rdzawy dym.

Laban... Levi... — dysząc ciężko Constance ukłękła przy bliźniakach, podczas gdy George przecisnął się i ruszył w głąb korytarza. Miała tylko kilka sekund czasu, przedział znajdujący się za nią płonął. Języki ognia raz po raz wydobywały się na korytarz. Bliźniaki wtulały pulchne twarze w jej koszulę. Constance dobywała ostatnich sił, aby nie dać się ponieść nerwom.

Podawała bliźniakom rękę.

Trzymajcie się mnie, chłopcy.

Poprowadziła ich korytarzem, krocząc za Georgem, który — podobnie jak reszta rodziny — zniknął już w kłębach dymu.

Drewniana ściana z prawej strony pokryła się pęcherzami, a trzy stopy dalej pękła raptownie, wygięła się i zajęła ogniem. Płomienie strzeliły na korytarz, zagrażając przejściu. Ognista bariera znajdowała się również z tyłu. Pozostały jeszcze okna. Constance kopnęła jedno z nich bosą stopą. Szyba zadygotała, ale nie pękła. Kopnęła jeszcze raz. Rozległ się ostry brzęk, szkło rozcięło jej stopę.

Do wagonu napłynęło powietrze, rozniecając płomienie jeszcze bardziej. Co kryje się na zewnątrz? Czy ten wąwóz jest głęboki? Czy w dole są tylko zniszczone wagony? Nie mogła nic dojrzeć, ale była to jedyna droga ucieczki. Oderwała od ściany kawałek drewna i powiększyła otwór w szybie, wyłamała szkło. Nie zdawała sobie sprawy, że ostre odłamki kaleczą jej rękę, ale kiedy skończyła, ujrzała, że z dłoni sączy się krew. Odrzuciła listwę i podniosła Labana.

Wypchnęła przez otwór najpierw jego, potem jego brata, wreszcie wyskoczyła sama. W chwilę później wagon zniknął w olbrzymiej kaskadzie płomieni, buchających wysoko w niebo.

Spadła na zbrocze usiane ostrymi kamieniami, siedem czy osiem stóp poniżej wagonu, a potem, oszołomiona, stoczyła się jeszcze trochę. Nad sobą widziała płonące szczątki, ale obraz zamazywał się przed jej oczyma coraz bardziej. Łapczywie

Chwytała powietrze, niezdolna do najmniejszego ruchu i czuła że jeszcze trochę i straci przytomność.

Wszędzie krzyki i jęki. Kłęby dymu. Huczące płomienie i przenikliwy syk **pary**, nadal wydobywającej się z rozbitej lokomotywy.

Mimo bólu i oszołomienia Constance rozróżniała dźwięki, słyszała szloch Labana i jego brata, przerażonych, czółgających się gdzieś obok po zboczu. Potrzebowali pomocy. Wyteżyła wszystkie siły, aby otrząsnąć się z mroku, który ogarniał ją coraz natrętniej. Pokrwawionymi rękami odgarnęła z czoła włosy i potykając się ruszyła w dół, aż w końcu odnalazła obu chłopców. Podniosła ich, wydając jakiś gardłowy dźwięk.

— Już dobrze, nie bójcie się. — Trzymając bliźniaki pod pachami poczęła wspinać się pod górę. Ostre kamienie raniły jej i tak pokrwawione stopy. — Już dobrze. Znajdziemy waszą mamę. Zaraz ją znajdziemy.

Jeśli nie jest martwa — przemknęło jej przez głowę.

Czy te dzieci zdołają kiedykolwiek zapomnieć jęki i krzyki ofiar pogrzebanych pod wagonami, na dnie wąwozu? Czy zapomną przeraźliwy wrzask kogoś uwięzionego w płonącym wagonie, palącego się żywcem? Wiedziała, że ona tego nie zapomni. Na Boga, nie zapomni tego nigdy!

Liczba ofiar wypadku, nazwanego potem przez żadną sensacji prasę „Katastrofą pod West Haven”, wyniosła dwadzieścia osób: czterestu pasażerów i sześciu pracowników linii kolejowej, łącznie z maszynistą. Rodzina Hazardów nie poniosła żadnych strat, chyba że zaliczyć do nich ich kucharza, który z impetem wpadł na sterczący pręt i przeszyty nim jak włócznią zmarł na miejscu. Środek pociągu okazał się miejscem najbezpieczniejszym; ci, którzy zginęli, jechali w przodzie i dwóch ostatnich wagonach.

Stopniowo Constance odnalazła wszystkich członków rodziny. Najpierw Billy'ego. Potem Maude — siedziała na ziemi, oszołomiona i niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Następnie Stanleya, który robił wszystko, aby uspokoić i pocieszyć to szlochającą, to znów wykrzykującą coś bez związku Isabel. Na samym końcu dostrzegła Virgilię, która krzątała się przy szczątkach rumowika. Siostra George'a rozdarła suknię, aby zrobić z niej bandaż. Umorusana, w samej bieliźnie, biegała tu i tam, wspinając się na rumowisko potrzaskanych wagonów jak kozica i szukając rannych, którym mogłaby pomóc. Co się zaś tyczy „Chlubny Hazardów”, wagon przestał istnieć.

Constance przetrzała oczy i spojrzała na Stanleya klęczącego przy swoich synach i oglądającego ich pokrwawione stopy.

— Jak się czują? — zapytała.

— Nie wiem. Dlaczego mają tak poranione nogi? Constance nie odpowiedziała, zdobyła się jedynie na to, aby potrząsnąć głową. Ten dureń był na nią wściekły. Nie do wiary!

— Kto jest poraniony? Moje dzieci? Muszę je zobaczyć!

Isabel, która najwidoczniej zdołała się opanować, przebiegła z przeraźliwym krzykiem obok Maude i padła na kolana przed bliźniakami, z trudem powstrzymującymi łzy.

— Laban... Levi... och, moje kochane biedactwa! Och, jakie pokrwawione! Jakie straszne rany! Co ona wam zrobiła?

Objęła chłopców i obrzuciła Constance spojrzeniem pełnym wrogości.

— Jeśli się okaże, że któryś z nich odniósł trwałe obrażenia, nigdy ci nie wybaczę.

Trwałe obrażenia? Dla Constance ta scena była tak niedorzeczna, że zaniemówiła na chwilę. Potem, odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnęła histerycznym śmiechem. Twarze Stanleya i George'a sponsepniały natychmiast.

— Mój Boże, Isabel—wykrztusiła wreszcie. — Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

Isabel wypuściła chłopców i skoczyła na równe nogi, z włosami w nieładzie opadającymi na czoło rzuciła się w stronę bratowej.

Oczywiście! Spójrz tylko na nich! Popatrz na ich nogi!

— Przykro mi, że nie doceniasz tego, co dla nich zrobiłam, Isabel. Ale taka już jesteś. Zrobiłam, co mogłam, aby uratować twoje dzieci. Nikt inny im nie pomógł, a już na pewno nie ty. Jedyne co potrafiłaś, to krzyczyć histerycznie. Zostawiłaś je na pastwę losu!

— Myślę, że nie musisz więcej mówić — odezwał się łagodnym tonem George.

Wiedziała, że prosi ją, aby przestała; nie żądał tego, ale prosił, nie chciał bowiem piętrzyć kłopotów. Rozumiała go, ale to już nie miało znaczenia. Kontakt ze śmiercią wyzwolił w niej tłumione od dawna emocje.

Nie odrywając wzroku od Isabel, odparła:

— O tak, właśnie że jest wiele do powiedzenia. Za to, że jesteś tak niewdzięczna, ktoś powinien cię wychłostać pejcem. Zrobiłabym to nawet ja, gdybym nie wiedziała, że jesteś po prostu godną pożałowania kreaturą...

— Posłuchaj no — zaczął Stanley, ale przerwał mu okrzyk Isabel:

— Ty irlandzka dziwko!

Podniosła kanciasty kamień i rzuciła się na Constance. George skoczył przed żonę, wyrwał z ręki Isabel kamień i cisnął go na stertę żarzącego się jeszcze żelastwa.

Isabel uniosła pięść, aby go uderzyć, ale George pochwycił jej przegub i zmusił, aby opuściła dłoń. Dygotał z gniewu.

— Moja żona ma rację, jesteś niewdzięczna. Od chwili, gdy Constance przybyła do Lehigh Station, jesteś wobec niej co najmniej niegrzeczna. Próbowала to zignorować, tak jak ja... i tak samo jak ja próbowała ci wybaczyć. Ale teraz przebrałaś miarę. Ona uratowała twoje dzieci, a ty, zamiast jej podziękować...

— George, tego już za wiele — warknął stojący za nim Stanley.

George nie zaszczylił go nawet jednym spojrzeniem.

— Nie wtrącaj się. A co do ciebie, Isabel, będę zawsze nalegał, aby moja rodzina była wobec ciebie uprzejma, nic poza tym. Od dziś nie chcę cię widzieć w Belwederze. Niech twoja noga nigdy więcej nie przestąpi progu mego domu.

— Nie możesz mówić tym tonem do mojej żony! — zawołał Stanley, chwytając brata za ramię. Jego impulsywna reakcja dopełniła miary. George obrócił się, odtrącił rękę Stanleya i cofnął się o krok, aby zadać mu cios.

Stanley próbował jeszcze coś powiedzieć, ale George, ignorując jego bezradny apel o zachowanie rozsądku, uczynił to, o czym marzył od dawna — z całej siły uderzył brata w żołądek.

Isabel zapiszczała przeraźliwie. Stanley jęknął, podobnie jak George; uderzył tak mocno, że wydawało mu się, iż złamał sobie rękę.

— Tato! — krzyknął jeden z bliźniaków i zaniósł się płaczem.

Stanley usiłował utrzymać równowagę, ale siła ciosu odepchnęła go w tył. Zamachał rękami, zatoczył się i klapnął ciężko na ziemię. Jego twarz połyskiwała czerwienią w blasku dogorywających wagonów. W oczach skierowanych na młodszego brata widniało błaganie, z trudem łapał oddech. Gdy tak siedział, wyglądał niezdarnie, bezsilnie i staro.

Boże, szkoda, że to zrobiłem — pomyślał George. Ale nie mógł już cofnąć tego ciosu, który pozostanie w pamięci wszystkich, uprawiając ich w zażenowanie. Dziwne, żałował tego, co uczynił, ale czuł jednocześnie ulgę i dumę.

Podszedł do brata i wyciągnął doń rękę.

— Wstań, pomogę ci.

Stanley uchwycił się jego ramienia i podciągnął do góry. Zaakceptował pomoc mrugnięciem powiek, ale w jego wzroku nie było nawet śladu wdzięczności, zresztą George jej nie oczekiwał. W oczach Stanleya widniało coś innego, coś, co George dostrzegł już dawniej, teraz jednak przekonał się, że nie było to złudzenie.

On się mnie boi. Zawsze się mnie bał,
Ale nawet jeśli George zauważył już wcześniej strach w zachowaniu Stanleya, nie uświadamiał sobie, jak dużą władzę daje mu to nad starszym bratem. Zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz.

Stanley podszedł do żony, zapewniając ją, że czuje się dobrze. Potem zajął się płaczącym nadal dzieckiem, podniósł chłopca i zaczął go pocieszać. George i Constance tulili dzieci do siebie. Billy zbliżył się do Maude i pozostał przy niej. Przez kilka najbliższych minut nie mówiono wiele. Wydawało się, że wszyscy są w szoku — albo z powodu katastrofy, albo niedawnej bójki.

Stanley i Isabel omijali wzrokiem George'a i jego rodzinę, a George uświadomił sobie, że poczucie winy przestaje go dręczyć; Stanleyowi już od dawna należała się nauczka. Jakies dwadzieścia minut później zjawiała się Virgilia z pięcioma mieszkańcami West Haven. Dwaj z nich zabrali Maude na płóciennych noszach.

O wschodzie słońca miejsce wypadku zaroilo się od około dwustu pracowników kolei i ochotników. W tym czasie Hazardowie odpoczywali w pobliskim hotelu. *Virgilia postanowiła udać się do Newport*; była tam już niemal cała ich służba. Kupcy z New Haven, rozumiejąc potrzebę chwili i wykorzystując sposobność do zrobienia interesu, przynieśli swoje towary, głównie odzież, zaopatrując całą rodzinę Hazardów.

Tuż przed południem przywrócono ruch kolejowy w obie strony. Pociąg Virgillii odjeżdżał o trzeciej. Billy zaofiarował się z pomocą przy pilnowaniu dzieci, które usnęły, tak więc George i Constance mogli odprowadzić Virgilię na stację, a potem wyruszyli na zakupy. Po powrocie do hotelu zajrzeli do Maude, która nadal leżała w łóżku. Miała złamane dwa żebra i była jeszcze nieco oszołomiona, zapewniła jedniak, że czuje się dobrze.

— To wspaniale, mamo powiedział George. — Pójdę chyba teraz odnaleźć Stanleya.

Spojrzała nań bez wyrzutu.

— A gdzie on był przez cały rano?

— Nie mam pojęcia.

— On, Isabel i ich dzieci zamknęli się w swoich pokojach od razu po śniadaniu — oznajmiła Constance.

Maude westchnęła ciężko.

— To dobrze, że chcesz z nim porozmawiać.

George przyglądał wężym czubkiem palca.

— Nie chodzi tylko o to, aby go przeprosić. Stanley i ja musimy sobie wyjaśnić parę spraw.

Ponownie westchnęła z rezygnacją, bo czym mruknęła:

— Rozumiem. Już od jakiegoś czasu czułam, że do tego dojdzie. A ta chwila nadaje się do tego tak samo, jak każda inna.

Zamknęła oczy i złożyła dłonie na czystej koldrze. Cieszył się, że zrozumiała, o co mu chodzi, to w znacznym stopniu ułatwiało realizację jego zamiarów.

Zapukał lekko do drzwi apartamentu brata. Otworzyła mu Isabel, informując oschle, że Stanley jest obecnie na dole, w barze. I rzeczywiście, George zastał go nad dużą szklanką whisky z Kentucky. Zamówił to samo, ale nie wypił. Usiłując zachować spokój oświadczył:

— Zamierzam przejąć odpowiedzialność za sprawy finansowe naszej firmy.

— Ooo! Rozmawiałeś z matką? — W głosie Stanleya brzmiało znużenie i gorycz.

— Nie. To sprawa wyłącznie między nami dwoma. Kiedy przyjedziemy do Newport, napiszemy listy do wszystkich banków, z którymi współpracujemy. Czuję, jak mocno wali mi serce. — Od tej pory wydatki przekraczające kwotę pięćdziesięciu dolarów będą musiały mieć moją aprobatę, liczyć się więc będzie wyłącznie mój podpis. Koniec na jakiś czas z ekskluzywnymi salonkami kolejowymi.

Stanley wpatrywał się przez dłuższą chwilę w lustro w mahoniowej ramie, wiszące nad kontuarem. Powyżej spostrzegł wypchany łep jelenia z porożem. Szklane oczy spoglądały obojętnie w dal. Nieoczekiwanie Stanley wybuchnął śmiechem.

Czułem, że któregoś dnia dojdzie do tego. I kicham na to. Nigdy nie przepadałem za handlem żelazem, a ty przez cały czas dwoiłeś się i troiłeś, aby przejąć to wszystko.

George zdusił narastający znowu gniew, usiłował mówić spokojnie:

— Co do mnie, mogę poświęcić hucie całą moją uwagę. A ty interesujesz się czym innym. Przypuszczam, że nie miałbyś nic przeciw temu, aby zająć się polityką.

— Możliwe — przyznał Stanley. — Chociażby dlatego, że w ten sposób uwolniłbym się od Lehigh Station.

I od ciebie — dodał w duchu.

George nie podjął tematu.

— W takim razie cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Przykro mi z powodu tego incydentu, do którego doszło w nocy.

Wyciągnął rękę. Stanley spojrzął na nią, po czym zacisnął palce na swojej szklance i nachylił się, jak gdyby chciał osłonić ją sobie.

— Jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym dopić to sam.

— Jak sobie życzysz.

I George wyszedł z baru.

Rodzina zorientowała się, że nastąpiła pewna zmiana. Isabel

nie kryła złości, ale Stanley sprawiał wrażenie zadowolonego z sytuacji. Śmiał się i żartował jak przed laty.

W New Haven spędzili jeszcze jeden dzień, składając i podpisując zeznania dla zarządu linii kolejowych, a następnego ranka z pewnymi obawami wsiadli do pociągu jadącego na Rhode Island. Mniej więcej po godzinie wydarzył się incydent, który ostatecznie przypieczętował zmianę osoby kierującej firmą.

Zastanawiali się właśnie nad nazwą dla swojej letniej rezydencji, wszystkie posiadłości w Newport o podobnym charakterze miały już nazwy. Stanley wspomniał, że przed domem rozciąga się duży i piękny trawnik, zaproponował więc nazwę „Fairlawn” („Piękna Murawa”).

— Dobry pomysł — orzekła Maude. A co ty o tym sądzisz, George?

Nazwa zupełnie pozbawiona fantazji — pomyślał George. I nagle przypomniał sobie jedną z lekcji w West Point; dobry oficer powinien okazać wspaniałomyślność wobec pokonanego przeciwnika.

— Podoba mi się — odparł, uśmiechając się do brata.

— Sądzę, że to załatwia sprawę — mruknęła Isabel, patrząc wzgardliwie na rodzinę.

I rzeczywiście, Stanley uśmiechnął się z wdzięcznością, uradowany jak małe dziecko.

25

Fairlawn był wspaniałym, przestronnym, dwupiętrowym domem, błyszczącym jeszcze od świeżej, białej farby. Zaniedbany był tylko ogród. Chwasty zarastały rabatki, obumarłe gałęzie szpeciły drzewa. Naprawy wymagał też niski, okalający posiadłość murek z cegieł. Na prośbę George'a Stanley zajął się murarzami i ogrodnikami, najwidoczniej sprawiało mu to prawdziwą przyjemność.

Cena domu obejmowała również jego wyposażenie. Ale kobietom podobała się tylko niewielka część mebli, kilka pierwszych dni spędziły więc na urządzaniu domu. Constance przychyliła się do propozycji Isabel zawsze, gdy było to możliwe, ale te wysiłki nie zdołały osłabić wrogości bratowej.

Wszyscy w rodzinie starali się zająć czymś konkretnym w nadziei, że w ten sposób uda im się zapomnieć o koszmarze katastrofy. O tamtej nocy przypominały jednak dolegliwości Maude. Nadal miewała stany zamroczenia. Z powodu złamanych

zeber poruszała się z trudem. Constance dokuczały złe sny, w których znowu wyteżała wszystkie siły, żeby wydostać się z płonącego wagonu. Również Williama dręczyło we śnie wspomnienie wypadku; niemal przez dwa tygodnie budził się z płaczem, wymachując bezładnie rękami.

Mainowie przyjechali 5 lipca, dzień po patriotycznej uroczystości, podczas której prezydent Taylor zjadł zbyt wiele ogórków i popił je dużą ilością zimnego mleka, po czym zachorował. 9 lipca zmarł na cholere. Część prasy podała, że tak naprawdę zabiły go troski i brzemień pełnionego urzędu, a zwłaszcza ustawiczne tarcia z przeciwnikami politycznymi. 10 lipca prezydenturę objął Miliard Fillmore.

W tym czasie Mainowie zadomowili się na dobre w wynajętej rezydencji w pobliżu Old Beach Road. Obie rodziny rzuciły się w wir uciech, które oferowało latem Newport; były więc przejażdżki powozami zaprzężonymi w kucyki, wyprawy na plażę, pikniki na świeżo skoszonej trawie. Jej zapach umiłał długie wieczory. Plaża znajdowała się blisko, była jednak zatłoczona; szukali więc miejsc bardziej ustronnych na południowym cyplu wyspy, skąd roztaczał się piękny widok na sterczące skały, zwane przez miejscowych Spouting Rock.

Początkowo Tillet nie czuł się dobrze na ziemi Jankeśów, wkrótce jednak odnowił kontakty z innymi rodzinami z Karoliny Południowej, a także z Hazardami, co pomogło mu odprężyć się i zasmakować w letnim wypoczynku.

Radość maciły jedynie chwile, kiedy czytał doniesienia z Waszyngtonu. Fillmore zamierzał poprzeć kompromisowy projekt Claya, który według wszelkiego prawdopodobieństwa miał, może jeszcze przed końcem roku, zostać przegłosowany. Grupa młodych kongresmenów skupionych wokół Stephena Douglasa z Illinois zobowiązała się przełamać wreszcie zaistniały w głosowaniu pat, któremu winna była stara gwardia.

Czwórka młodych ludzi spędzała większość czasu razem. Zarówno Ashton jak i Brett cieszyły się z towarzystwa krępego, wesołego i zawadiackiego Billy'ego Hazarda, chociaż on interesował się głównie Ashton. Miał piętnaście lat, ona była o rok młodsza, Brett natomiast była zaledwie dwunastoletnim dzieckiem.

Czternastoletni Charles sprawiał wrażenie najbardziej dojrzałego z całej czwórki. Niewątpliwie miał znaczenie jego wzrost, przewyższał już o głowę Billy'ego. Był przystojny i skory do śmiechu. On i Billy odnosili się do siebie tak serdecznie, jak tylko można się było tego spodziewać po dwóch chłopcach, którzy się niedawno poznali. Tej nowej przyjaźni z olbrzymim zainteresowaniem przyglądali się Orry i George.

George kupił skiff i któregoś wieczoru, po kolacji, chłopcy

zabrali łódź, aby ją wypróbować. George i Orry przez cały czas spacerowali po plaży, aby mieć na oku świeżo upieczonych żeglarzy. Billy miał już pewne doświadczenie z małymi łodziami, Charles nie miał żadnych.

Niebawem George i Orry usiedli na przeciwległych krawędziach dużej skały. Atlantyk był spokojny, lekka bryza sprzyjała żeglowaniu przy brzegu. Orry podniósł garść piachu i począł z wolna wysypywać go na ziemię. Wyglądało na to, że wakacje pozwoliły mu odpocząć i odprężyć się. Jednak w jego głosie dała się czasem słyszeć nuta goryczy. Ale nie dzisiaj.

Orry z uśmiechem wskazał łódź.

— Popatrz na nich. Wystarczyłoby wyobrazić sobie kilka zmian w ich wyglądzie i można by ich wziąć za nas dwóch. Tyczka i Pniak Drudzy.

George skinął głową, pykając z cygara.

Mam nadzieję, że będą w West Point tak dobrymi przyjaciółmi jak my, nawet jeśli czeka ich rok rozłąki. Charles to diabelnie przystojny chłopiec, prawda? Prawie idealny wizerunek dziarskiego dżentelmena z Południa.

— Kto by przypuszczał, że z szarego kaczątka wyrośnie piękny orzeł? Jak to mówią, rozkwitł wspaniale •• roześmiał się Orry.

Twój ojciec twierdzi, że to dzięki tobie. Orry wzruszył ramionami.

— Charles lubi walczyć. Kiedy uświadomił sobie, że można to robić bez narażania się na więzienie czy gniew innych, zrobiło to na nim duże wrażenie. I bardzo szybko przyjął to do wiadomości.

To i wiele innych rzeczy. Zawsze myślałem, że potrafię obchodzić się z kobietami, ale nie umiem całować je w rękę z takim wdziękiem jak on. Już pierwszego wieczoru, kiedy przyjechaliście do Fairlawn, nadskakiwał mojej matce tak umiejętnie, że zarumieniła się jak panienka.

Nad wodą zabrzmiały głośne krzyki i radosny zgiełk, potem rozległ się plusk, Billy zepchnął Charlesa do wody. Orry i George skoczyli na równe nogi. Charles spiesznie wciągnął się z powrotem na pokład łodzi, wskazał na coś w oddali — na coś, co nie istniało — a kiedy Billy spojrział w tamtą stronę, chwycił go za pas i koszulę, po czym wrzucił do wody. Niebawem obaj siedzieli w łodzi przemoczeni do suchej nitki.

— Jestem dumny, że tak się to wszystko potoczyło — przyznał Orry, siadając znowu na skale. — Kiedy wróciłem z Meksyku, byłem naprawdę załamany. Charles pomógł mi trochę dojść do siebie.

— Ta zmiana była już widoczna w twoich listach. I to mnie ucieszyło.

— A mnie cieszą te wakacje. Chociaż nie zawsze. Na przykład nadal nie cierpię odoru tego zielska, które palisz.

George roześmiał się. Orry wyciągnął prawe ramię wysoko nad głowę i ziewnął. Zachodzące słońce rzucało długie, przyćmione już cienie na plażę. Zerwał się wiatr, rozwiewając ziarna piachu.

George'a ogarnął nastrój melancholii; pomyślał, jak szybko upływa czas, a potem uświadomił sobie, że nawet lata pozornie utrwalone w postaciach tych dwóch roześmianych młodzieńców to tylko iluzja — złudzenie stworzone przez jego własny umysł jako antidotum na to, co dzieje się w rzeczywistości. Antidotum nieskuteczne, gdyż nie można powstrzymać czasu ani zmian. I ta świadomość miała posmak lekko tylko osłodzonej goryczy. Ale mimo wszystko był to miły moment, chwila całkowitego spokoju, podobne zdarzały mu się teraz tak rzadko.

Podobny nastrój ogarnął również Orry'ego. Jego spojrzenie było znowu łagodne.

— Nawet nie wiesz, jak dobrze się tu czuję. Tak dobrze, że odkryłem w sobie życzliwy stosunek do Coopera.

— Co u niego?

— Jest szczęśliwy. Ożenił się z tą wolnomyślicielką, unitaria-nką. To dobre małżeństwo. Ojciec nie potrafi zaakceptować go do końca. Z radością natomiast akceptuje zyski, które Cooper ciągnie z działalności swojej firmy przewozowej. Czy pisałem ci już o naszym nowym statku? Za miesiąc zostanie spuszczone na wodę. Cooper rozmyśla już o zainwestowaniu większej sumy. Chce wyjechać do Brytanii, aby zapoznać się z angielskimi metodami budowy statków.

George odchrząknął i zadał wreszcie pytanie, które nie dawało mu spokoju od pierwszej chwili, kiedy zobaczył się z Orrym.

— Co nowego u Madeline?

Orry odwrócił się od słońca i spojrzał na przyjaciela, ale jego oczy skrywał cień.

— Nic nowego. Nic się nie zmieniło.

— Nadal widzisz się z nią?

— Tak często, jak tylko mogę. Nie jest to dobry układ, ale lepsze to niż nic.

Gnane przez wiatr ziarenka piachu szeleściły u ich stóp. Na plaży zapadał zmrok. George wstał i gestem przywołał chłopców. Billy i Charles wyciągnęli łódź na brzeg, zdjęli maszt i wzięli go na ramiona.

— Jeszcze będzie z ciebie marynarz — powiedział Billy, maszerując za starszymi w stronę piaszczystej drogi wiodącej do domu.

Charles uśmiechnął się.

Marynarz tak, ale mam nadzieję, że nie Jankes. A co masz przeciw Jankesom?

Panie Hazard, sir, chętnie to wytłumaczę, jeśli ma pan czas do rana, gdyż zanim wymienię wszystkie zarzuty...

— Mogę wysłuchać, ale nie plotek i wymysłów. — Żart nie przypadł Billy'emu do gustu. — Lepiej pomówmy o czymś, co nas nie skłóci.

— O dziewczętach?

— O dziewczętach — powtórzył z lubością Billy, odzyskując dobry humor. Przyszła mu na myśl jedna konkretna dziewczyna. Ashton.

Idący przed nimi George i Orry, którzy wyglądali teraz jak dwa cienie poruszające się powoli w purpurowym półmroku, uśmiechali się słuchając tych młodzieńczych głosów: zaiste, Tyczka i Pniak Drudzy.

Miły nastrój prysł natychmiast, kiedy wrócili do Fairlawn. Panie siedziały na werandzie, popijając mrożoną lemoniadę, niedawno dołączyła do nich Virgilia. Po spożyciu większej ilości czerwonego wina przysiadła na krześle. Kiedy George, Orry i chłopcy zjawili się na werandzie, wygłaszała właśnie płomienne kazanie na temat rewizji ustawy o zbiegłych niewolnikach z 1793 roku rewizji, nad którą aktualnie debatowano w Kongresie.

— Ta cała machinacja ma na celu jedynie ugłaskanie Południa oświadczyła, połykając wyrazy.

— Dobry Boże — westchnęła Clarissa. — Zawsze gdy słyszę podobną dyskusję, czuję się zupełnie zagubiona.

Na pani miejscu, pani Main, próbowałabym w takim przypadku zebrać trochę informacji.

Ton Virgilii zirytował pozostałe kobiety. W sposób najbardziej widoczny reagowała Ashton — siedziała na bujaku z nietkniętą szklanką lemoniady w rękę, spoglądając nieprzyjaźnie na Virgilię, która jednak nie zwracała na nią najmniejszej uwagi.

— Nie ma w tym nic skomplikowanego. Nowa ustawa ma wyjąć przypadki zbiegłych niewolników spod jurysdykcji danego stanu. Od tej pory tego typu sprawy podlegałyby rządowi federalnemu, a to skłania panią do przekonania, że sytuacja obróci się na korzyść uciekinierów, czy tak?

— Owszem, tak to sobie wyobrażam — odparła Clarissa.

— To mylne przypuszczenie. Zmiana ustawy ma na celu obejście surowych praw gwarantujących wolność, takich jak na przykład w Vermont. Faworyzuje łapaczy i właścicieli niewolników. Aby udowodnić prawo własności, wystarczy złożyć odpowiednie oświadczenie poparte przysięgą, to zaś można bez trudu sfalszować. Poza tym zbiegły niewolnik nie uzyska zgody na

wypowiedzenie choćby jednego słowa na własną obronę. To wszystko jest po prostu ukartowaną i skandaliczną machinacją. Nigdy nie zdołałam zrozumieć, dlaczego Waszyngton ciągle płaszczy się przed Południem.

Maude milczała, dopóki mogła. Teraz stanowszym tonem zwróciła się do córki:

— To trochę niegrzecznie z twojej strony wygłaszać na przyjęciu towarzyskim mowę na tematy polityczne. Jeśli już skończyłaś, to może przeprosiłabyś gości na jakiś czas. Wyglądasz na zmęczoną.

Isabel roześmiała się.

— Och, czemu nie nazwać rzeczy po imieniu? To biedne dziecko wypilo za dużo.

— Isabel... — zaczęła Maude, ale zanim zdołała powiedzieć coś więcej, Ashton skoczyła na równe nogi, zaczepnie wysuwając podbródek.

— Skoro nie lubi pani Południowców — zawołała do Virgillii — to dlaczego nas pani zaprosiła?

Clarissa wstała z miejsca.

— Ashton, wystarczy. — Zwróciła się do stojących w milczeniu mężczyzn: — Cieszę się, że wróciłeś, Orry. Czy mógłbyś nas odprowadzić do domu? Było mi bardzo miło — dodała, wyciągając rękę do Maude.

Wizyta zakończyła się nagle, w atmosferze zażenowania. Po wyjściu gości George pośpieszył za siostrą na murawę, gdzie stanęła na uboczu, aby umknąć przed gniewem rodziny.

— Czy byłabyś tak uprzejma i powiedziała mi, dlaczego stale prowokujesz naszych przyjaciół? — zapytał.

— Czy nie wolno mi mówić tego, co myślę?

— Gdybym wierzył, że taka jest prawda, nie czyniłbym ci żadnych zarzutów. Ale twoja bezpośredniość znacznie przekracza ramy zwykłej dyskusji czy wymiany poglądów. Ty po prostu robisz wszystko, aby obrazić innych. Zranić. I postępujesz tak w stosunku o moich najlepszych przyjaciół.

— Ale to nie moi przyjaciele. Reprezentują ten styl życia, który uważam na nikczemny i z gruntu niewłaściwy. Nie uroniłabym nawet jednej łzy, gdyby ziemia rozstała się nagle i pochłonęła ich i im podobnych.

— Na Boga, jesteś najbardziej grubiańską i bezwzględną...

— mówił już do ściany, Virgilia obróciła się na pięcie i pobiegnęła do domu.

Trzeba było trzech cygar i długiego spaceru po opustoszałych drogach Newport, by George odzyskał spokój ducha. Czy sprzeczką z Virgilią ma jakikolwiek sens? Taka już była i nic na to nie mógł poradzić. Boże, jak minie reszta wakacji?!

Na szczęście dwa dni później nadszedł list od pewnego

abolisjonisty, który wzywał Virgilię do Bostonu. Nie zamieniając z nikim ani słowa spakowała się szybko i udała na prom. Maude wyglądała na uradowaną takim obrotem sprawy. Również George odetchnął z ulgą, jakkolwiek starał się nie okazywać tego po sobie.

Najsilniejszym uczuciem, jakie wzbudzała w nim siostra, była litość. Virgilia zachowywała się złośliwie wobec zbyt wielu ludzi. Pewnego dnia może ktoś będzie chciał oddać cios. Nawet jakiś Jankes. Ludzie z Północy nie byli wcale tak prawi, jak sądziła Virgilia.

A co z jej przyszłością? Czy istniało coś, z czego mogłaby się cieszyć? Co ją czeka? Nieszczęścia? Niewątpliwie tak. Tragedia? Tak, to bardzo możliwe — przyznał w duchu ze smutkiem.

— Niech to diabli! Cóż to takiego?

— Sądząc po wyglądzie, jeszcze jeden wczasowicz.

— Nie chodzi mi o niego, Orał. Spójrz na tę sztywną wędkę i koszyk!

Billy, który słyszał tę prowadzoną półgłosem rozmowę, zamarł w bezruchu. Znajdował się wysoko na drzewie, gdzie wspiał się po okazałe jabłka. Pod sobą ujrzał czterech miejscowych chłopców, którzy dostali się do sadu przez dziurę w ogrodzeniu. Trzech białych i jeden czarny.

Billy i Charles udali się na północ od miasta, przez dwie godziny usiłowali złowić jakieś ryby w zatoce, a potem wracając do domu zakradli się do sadu. Teraz wyglądało na to, że czekają ich kłopoty. Miejscowi przeważnie nie lubią hord wczasowiczów, którzy nawiedzali wyspę każdego lata. Ta czwórka z pewnością nie była wyjątkiem.

Billy przyklął w rozwidleniu utworzonym przez dwa potężne konary, zgiął lewą nogę, stopa przywierała szczelnie do wewnętrznej strony uda. Mięśnie bolały już jak diabli. Czwórka chłopców nie dostrzegła go jeszcze; całą swą uwagę skoncentrowali na drogim spręcie wędkarskim leżącym w trawie obok Charlesa, który z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami siedział oparty plecami o drzewo.

Jeśli ci się podoba, bierz — odezwał się czarnoskóry chłopiec imieniem Orał. — Ten się nie sprzeciwi. Widzisz przecież, że śpi.

Charles raptownie otworzył oczy. Jeden z chłopców krzyknął ostrzegawczo, a Charles wykorzystał moment zaskoczenia i zgiął prawą nogę w odwrócone V, tak aby móc w każdej chwili sięgnąć do buta. Buta, w którym trzymał nóż.

Chyba mylicie się co do dwóch rzeczy — powiedział z szerokim uśmiechem. Billy spoglądał z góry na głowę Charlesa,

na długie włosy kolegi targane przez wiatr. Jego uwagi nie uszedł niedbały na pozór gest, jakim Charles przesunął prawą dłoń na kolano, zaledwie o kilka cali od cholewy buta.

— Niech mnie diabli, jeśli to nie Południowiec — odezwał się chłopiec o końskiej twarzy. Szturchnął czarnoskórego. — Mogę się założyć, że to jeden z tych, co tłuką batem twoich ziomków w Georgii.

— Taak, też tak myślę — warknął Orał. Jego oczy przybrały brzydki wyraz. — Zabierzemy mu te cacka do łowienia.

Charles, nie przestając się uśmiechać, zacisnął lekko prawą dłoń na łydce.

— Byłby to z waszej strony bardzo poważny błąd, chłopcy.

— Naprawdę? — Orał parsknął śmiechem. — Jest nas czterech na jednego. — Pochylił się, sięgając po duży wiklinowy kosz Charlesa. W tym samym momencie chłopiec o końskiej twarzy dostrzegł drugą wędkę, opartą o pień drzewa.

— Popatrz no, Orał. Tu są dwie wędki. Po co mu dwie?

Ale Orał zignorował nutę strachu, brzęmiącą w głosie kolegi; całą swoją uwagę skoncentrował na sprzęcie Charlesa. Dwaj pozostali zaczęli rozglądać się po sadzie. Powoli, bezszelestnie, Billy wyprostował prawą nogę, nie spuszczając oczu z ręki Charlesa. Kiedy przyjaciel chwycił za krawędź buta i błyskawicznie przeturlał się na bok, Billy zeskoczył z drzewa.

Boże Wszechmogący! — krzyknął chłopiec z końską twarzą, na moment zanim ciężkie buty Billy'ego trafiły go w ramię. Rozległ się trzask kości, zaatakowany padł do tyłu na ogrodzenie. Skulony jak do skoku Charles poruszył powoli prawą ręką. Orał wbił wzrok w jego nóż, który zatoczył w powietrzu rozległy łuk. Na jego twarzy zaśniły krople potu.

— No, to jak, sir? — zapytał go Charles. — Nie lubi pan wszystkich Południowców? Czy tylko takich, którzy nie znoszą złodziei?

W tym momencie Billy stanął na nogi. Na krótką chwilę stracił z oczu dwóch napastników, raptem dojrzał ich, sunęli po trawie jak cienie. Z dużymi kijami w rękach zbliżali się do Charlesa od tyłu.

— Uważaj! Za tobą! — krzyknął Billy.

Zanim Charles zdołał się odwrócić, jeden z miejscowych uderzył go w głowę. Gałąź była zmurszała i rozprysła się na kilka części, ale mimo to cios oszołomił Charlesa i odrzucił go w tył, na Orała, ten zaś bez większego trudu wyłuskał mu z dłoni nóż, po czym, uśmiechając się wzgardliwie, odstał na bok, chwycił Charlesa za kołnierz i zamierzył się drugą ręką, kierując ostrze w twarz przeciwnika.

Z duszą na ramieniu Billy skoczył na Murzyna, podcinając mu nogi. Nóż nie trafił do celu, minął policzek Charlesa zaledwie

o pół cala. Billy przycisnął Orała do ziemi, Charles natomiast chwycił pierwszą lepszą broń, jaka nawinęła mu się pod rękę, to znaczy wędkę, i zarzucił ją na dwóch pozostałych chłopców, którzy ponownie ruszyli do ataku. Ten z końską twarzą wymachiwał ostrym kamieniem.

Haczyk śmignął w powietrzu i zaczepił się o kark napastnika, Charles raptownie poderwał wędkę, przytrzymując żyłkę kciukiem. Haczyk wbił się w ciało, a chłopiec wrzasnął z bólu.

Tymczasem Billy szamotał się na ziemi z Orałem, który siedział na nim okrakiem. Orał był twardy, silny i zdecydowany poderżnąć mu gardło. Billy odsunął głowę w prawo na moment przed tym, jak nóż wrył się w ziemię tuż koło jego lewego ucha. Ty biały skurwielu! — dyszał Orał. Sprężył się i nieoczekiwanie dźgnął Billy'ego kolanem w pachwinę.

Ciało chłopca przeszył straszliwy ból, osłabiając jego szanse obrony. Zdał sobie sprawę, że nie uda mu się uchylić przed następnym ciosem. Orał powoli niczym pogański kapłan szykujący się do złożenia ofiary uniósł nóż. Ostrze zaśniło w promieniach słońca i raptem zniknęło z dłoni Orała. Czarnoskóry chłopiec otworzył usta, po czym przechylił się na bok i runął w trawę, wijąc się z bólu. Charles zręcznie wyciągnął nóż z jego prawego uda.

Oddychał jeszcze z trudem, ale mimo to sprawiał wrażenie spokojnego i całkowicie opanowanego, kiedy z szerokim, zimnym uśmiechem spojrzął na pokonanych napastników.

— Lepiej wynoście się stąd, bo inaczej was wykończymy. A jeśli kiedykolwiek zobaczycie mego przyjaciela albo mnie na jakiejś ulicy w Newport, odwróćcie się i zmykajcie w inną stronę. Chyba że chcecie, abyśmy dokończyli naszą zabawę.

Prawą nogę postawił na pniaku i wsparł się łokciami o kolano. Ostatni z napastników, który nie doznał żadnych obrażeń, znacząc trawę czerwoną smugą zaciągnął Orała pod ogrodzenie.

Billy przeciął żyłkę wędki. Tamci oddalali się chyłkiem i tylko ten z końską twarzą, w którego szyi tkwił jeszcze haczyk, odwrócił się, kiedy dotarł do dziury w parkanie. W jego wzroku malowała się trwoga.

Charles machnął nożem, ostrze zamigotało w słońcu.

— Zjeżdżaj!

Chłopak zniknął.

Dopiero teraz Billy odetchnął głęboko i rzucił się w trawę.

— Dlaczego, u diabła, wszczęli tę bójkę?

— Bo zachciało im się mojej wędki i koszyka. Bo nie spodobały im się moja wymowa i miejsce urodzenia... — wzruszył ramionami. — Po prostu ludzka nikczemność nie zna granic, można dojść do takiego przekonania. W każdym razie poradziliś mi sobie. Coś mi się zdaje, że stworzylibyśmy wspaniałą parę

zabijaków. Dziękuję za pomoc, panie Hazard. Nadeszła w samą porę.

Uśmiech Billy'ego nie był tak radosny, jak jego przyjaciela.

— Nie ma o czym mówić, panie Main. Chciałbym się bić tak jak ty. Szczerze mówiąc, umierałem ze strachu.

— Myślisz, że ja nie? Jeszcze teraz mam nogi jak z waty.

— Ale nie okazałeś tego.

— To wspaniale. Jeśli przeciwnik nie wie, co czujesz, zaczyna się denerwować i popełnia błędy. Tego nauczył mnie Orry.

— Może i ja powinienem wziąć parę lekcji — mruknął Billy, kiedy zbierali swoje rzeczy.

— Tylko że wtedy musiałbyś wytłumaczyć, po co ci one. — Uśmiech zniknął z twarzy Charlesa. — Co do mnie, wołałbym utrzymać tę przygodę w tajemnicy. Orry, ciotka Clarissa i wuj Tillet są przekonani, że wyrosłem już z podobnych bójek. Nie chciałbym pozabawić ich złudzeń. — Wyciągnął rękę. — Zgoda?

— Jasne.

Billy uderzył w dłoń przyjaciela, aby przypieczętować umowę. Po raz pierwszy poczuł, że w osobie Charlesa Maina ma przyjaciela.

Okazało się jednak, że nie udało się utrzymać owego wydarzenia w tajemnicy. Kilka dni później Ashton i Brett wybrały się na plażę. Charles i Billy płynęli przez pewien czas łodzią, jednak kiedy wiatr ustał, wyciągnęli łódź na brzeg, po czym Charles ułożył się na słońcu.

Ashton pod obszerną pasiastą parasolką spoczywała nieco dalej w wiklinowym fotelu. Miała na sobie lekką sukienkę z przewiewnego liliowego materiału, który morska bryza przyciskała szczelnie do dobrze rozwiniętych piersi. Efekt był tak podniecający, że Billy musiał odwrócić wzrok.

Ostatnio myślał o Ashton niemal bezustannie i w jego wyobraźni była zawsze naga. Lato zdawało się zachęcać do marzeń; dwóch młodzieńców i dwie dziewczyny przebywali na plaży bez przyzwoitki.

Billy nie sądził, aby było to dziełem przypadku. Ta nieznośna Brett nie odstępowała go nawet na krok. Może nawet męczyła swą siostrę i przymilała się do niej tak długo, aż ta zgodziła się wreszcie pójść z nią na plażę. Niestety Ashton nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Przeważnie zachowywała się tak, jakby Billy w ogóle nie istniał.

Ukląkł przy brzegu i, nabierając garściami mokry piach i formując z niego wieżyczki, począł budować zamek. Poświęcał się temu zajęciu od dziesięciu minut, kiedy na płataninę baszt i wałów obronnych padł cień. Przed nim skubiąc nerwowo warkocz stała Brett.

— Witaj, Billy.

— O... witaj.

Uznał raptem, że jest nawet dosyć ładna, chociaż nie można było nie dostrzec piegów, pociemniałych jeszcze bardziej na letnim słońcu. Wiek sprawiał, że była jeszcze płaska jak deska. Ale nie tylko to gniewało go w niej.

— Słyszałam, że miałaś bójkę — powiedziała.

Jego dłoń drgnęła, przewrócił wieżyczkę.

— Kto ci o tym powiedział?

— Wczoraj poszłam do sklepu po trochę lukrecji. I tam usłyszałam, jak jakiś chłopiec opowiadał o dwóch zbirach, którzy napadli na niego poprzedniego dnia.

— Znasz go?

Potrząsnęła głową.

— Jak wyglądał?

— Miał jasne, prawie białe włosy i brudny bandaż na karku. <-- Pokazała palcem mniej więcej to samo miejsce, w które chłopcu z końską twarzą wbił się haczyk.

I co było dalej?

Stałam i patrzyłam na słoje z cukierkami, podczas gdy on opowiadał swoją historię. Powiedział, że napastnicy byli wczasowiczami, a kiedy ich opisał, domyśliłam się, że mówi o tobie i Charlesie.

Billy rzucił okiem na plażę. Ashton nadal siedziała spokojnie w fotelu, nie zwracając na niego uwagi. Do diabła!

Mylisz się, Brett.

Na miłość boską, tylko nie ucinaj mi głowy! To byłeś ty, wiem o tym. Spojrzała nań z powagą, co zirytowało go, a zarazem wprawiło w zakłopotanie. Jeszcze ci się przytrafił coś złego, o ile nie przestaniesz zadawać się z kuzynem Charlesem dodała po chwili. — Wiem, że jest przystojny i dowcipny, ale za bardzo lubi się bić. Ma na ciebie zły wpływ. Billy spojrzał na nią pośepnie.

— Do diabła! Czy zawsze jesteś tak skora do wydawania o innych opinii?

Nie powinieneś też kląć w ten sposób. Zerwał się na równe nogi i kopniakiem zburzył zamek. Jeśli będę potrzebował twojej rady, poproszę o nią. A póki co, nie mów nic złego o Charlesie. To mój przyjaciel.

Zaskoczona patrzyła, jak odchodzi, kopiąc gniewnie piach na prawo i lewo.

— Chciałam ci tylko pomóc... Po prostu chciałam powiedzieć ci szczerze...

Nie dokończyła i machinalnie tak silnie pociągnęła za warkocz, że poczuła*^ból. Billy nie rozumiał jej słów ani zachowania. Nie zdawał sobie sprawy, że jej narzucanie się to adoracja, a upomnienia to wyraz jej troski o niego. Podobnie jak wielu

innych młodzieńców nie potrafił jeszcze obcować z dziewczyną, która mówi szczerze to, co myśli.

Och, wiedziała, że często bywała wobec niego szorstka, ale to efekt zdenerwowania, tego że odczuwała tęsknotę, nie miała zaś doświadczenia, aby wyrazić swe uczucia. Dlaczego Billy nie może puścić jej słów mimo uszu i zajrzeć w jej oczy, w jej duszę? Dlaczego nie potrafi dostrzec tego, o czym myślała dzień w dzień i z powodu czego szlochała niemal co noc? Dlaczego tego nie widzi?

Billy tymczasem zwolnił kroku, zbliżając się do dużej pasiastej parasolki. Brett momentalnie znalazła odpowiedź na swoje wszystkie rozpaczliwe pytania.

Billy nie dostrzega jej z powodu Ashton.

Ashton była ekspertem jeśli chodzi o postępowanie z chłopcami. Potrafiła trzepotać rzęsami, a potem opuszczać je w sobie tylko znany sposób, rozbijając tego, nad którym chciała zdobyć władzę. Zawsze zgadzała się z opinią chłopca, a jeśli naprawdę chciała coś od niego uzyskać, stawiała na swoim tak zreżnie i niewinnie, że nie przychodziło mu nawet do głowy, iż jest manipulowany. Miała jeszcze jedną, olbrzymią przewagę: była starsza, była już kobietą.

Wściekła na Billy'ego, ale jeszcze bardziej na samą siebie, Brett obróciła się na pięcie i ruszyła wzdłuż plaży w drugą stronę, przyciskając dłoń do swych nienawistnie płaskich piersi tak mocno, że poczuła ból.

Och, Billy, Billy — pomyślała. — Nigdy nie zrozumiesz, jaka jestem naprawdę. Ani jak bardzo cię kocham.

Ashton ocknęła się z drzemki, kiedy Billy rozmawiał z jej siostrą. Widziała, że Brett stale wodzi oczami za Billym, po raz pierwszy jednak była świadkiem, by przemawiała do niego tak otwarcie i tak impulsywnie. Nawet z daleka widać było na jej twarzy błagalny wyraz.

Głupia, beznadziejna gęś! Nawet nie wie, co naprawdę znaczy „miłość”. Ashton natomiast już trzykrotnie zdołała poznać sens tego słowa. Ale żadne z tych doświadczeń nie wiązało się z osobą tego niedołęgi, Huntoona.

Pierwszy raz był straszny, drugi — już mniej, ale i tak nie odczuła żadnej przyjemności fizycznej ze swoim partnerem, młodzieńcem z klanu Smithów, mniej więcej w jej wieku i zupełnie niedoświadczonym. Zresztą doświadczenie nie było tu najważniejsze; strach połączony z ciekawością wprowadził ją w stan takiego napięcia, że okazała się niezdolna do żadnej reakcji.

Była pewna, że to on ponosił winę za jej bezwład. Zaskłyszane przypadkowo uwagi, którymi jej niewiele starsze znajome dzieli-

ły się szeptem, utwierdziły ją w przekonaniu o niezmiernej rozkoszy, która wiązała się z uprawianiem miłości. Za trzecim razem okazało się, że dziewczęta wcale nie przesadzały, kolejne doświadczenie stało się prawdziwym objawieniem.

Zdarzyło się to pewnego pochmurnego, deszczowego dnia w Charleston. Kiedy burza oddaliła się i zaczął zapadać zmierzch, Ashton wymknęła się na całkowicie opustoszałą ulicę. Mężczyzna, na którego natknęła się przypadkowo, był marynarzem, gburowatym i o dobre piętnaście lat starszym od niej. Przez jakiś czas szli razem, a potem — z sercem bijącym mocno z podniecenia i strachu — zgodziła się towarzyszyć mu do obskurnej gospody nad brzegiem rzeki. Zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili ktoś mógłby ją poznać, sytuacja ekscytowała ją jednak do tego stopnia, że o odwołaniu nie mogło być nawet mowy.

Kiedy dochodzili do gospody, znowu lunął deszcz. Jej kapelusik przemókł na wylot. Przystanęła na moment, aby go zdjąć i przejrzeć się w oknie wystawowym mijanego sklepu. Na wystawie wyłożono tandetny towar, niewiele też wart był łańcuszek z medalionem, na który zwróciła uwagę. Marynarz niecierpliwił się i w tym momencie Ashton postanowiła sprawdzić stopień tego zniecierpliwienia. Wskazała palcem na łańcuszek i bez pośpiechu, okraszając jednak słowa słodkim uśmiechem, dała mu do zrozumienia, że owe błyskotki stanowią cenę za jej względy. Marynarz zawahał się tylko przez chwilę, po czym w mgnieniu oka znalazł się w sklepie. I w ten sposób Ashton przekonała się, jak bezsilny jest mężczyzna owładnięty żądzą.

Po owej niezwykle cennej lekcji z tym większą przyjemnością rozebrała się dla marynarza w jego brudnym pokoju i uświadomiła sobie, że niemal w ogóle nie odczuwa strachu. Wręcz przeciwnie; była wilgotna i poczęła drżeć na całym ciele z radosnego uniesienia, kiedy zdjął spodnie, prezentując swój organ — tak ogromny, że na sam jego widok przeszedł ją dreszcz. Jeszcze chwila i na przemian to jęcząc, to znów wykrzykując jakieś nieprzyzwoite słowa coraz gwałtowniej i bardziej namiętnie poddała się spazmowi rozkoszy.

Nikt nie przygotował jej do przeżycia takiej ekstazy. Natychmiast jednak pojęła, że cały akt ma nie tylko znaczenie praktyczne, ale można się nim również rozkoszować do woli. Było to więcej, niż mogła znieść. Niebawem wyrzuciła łańcuszek z medalionem, dobry nastrój nie opuszczał jej jednak jeszcze przez wiele dni.

Wspomnienie tej wielce pouczającej przygody sprawiło, że Ashton uznała swoją chudą, naiwną siostrzyczkę za godną współuczucia, teraz jednak nieoczekiwanie poczuła coś jakby zazdrość o Brett. Nie zależało jej na Billym Hazardzie; co to, to

nie, oczekiwała jednak, że każdy młodzieniec, którego spotka, będzie wielbił ją, nikogo innego. Brett nie była wprawdzie rywalką, z którą należało się liczyć, ale Ashton nie uznawała konkurencji, a rywalizacja z siostrą wydała jej się w ogóle nie do przyjęcia. Kiedy więc ujrzała Billy'ego, który szedł zamaszystym krokiem, rozkopując na boki piach, Ashton zrobiła minę, jakby właśnie się zbudziła. Przywołała na pomoc swój najśladzszy uśmiech.

Pomachała dłonią, a on natychmiast ukląkł tuż przy niej.

— Myślałem, że spisz — powiedział.

— Taki odpoczynek na dłuższą metę staje się nudny. A my mieliśmy tak mało okazji, aby poznać się lepiej. Może byś usiadł i porozmawiał ze mną?

— Tak. Oczywiście. Chętnie!

Powiedział to z zapałem, który ją rozbawił. Musiała jednak przyznać w duchu, że jego krzepka, mocarna sylwetka zaczyna jej się podobać. A może by tak nie ograniczać się do odciążnięcia go od Brett, lecz posunąć się trochę dalej?

Tydzień później, kiedy płynęli łodzią, Charles powiedział do Billy'ego.

Widziałem cię wczoraj wieczorem, jak włóczyłeś się z kuzynką Ashton. Szliście po Beach Road. Nie mogę sobie wyobrazić, co cię tam mogło zafascynować... chyba że brak obecności ludzi.

Billy roześmiał się.

Obecność ludzi. Niezłe określenie. Charles przechylił się przez burtę i zanurzył rękę w wodzie.

— Jeszcze rok temu takie słowa nie przeszłyby rni przez gardło. Nie możesz jednak studiować na Akademii i być ignoran tem. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Ale muszę przyznać, że udało ci się zmienić temat. Pozwól więc, że powiem ci o Ashton tylko jedno: nigdy bym nie uwierzył, że upodoba sobie Jankesa.

Ta przypadkowa uwaga zapoczątkowała rozmowę na tematy bardzo często ostatnio poruszane przez ich rodziców. Wymiana zdań, zrazu utrzymywana w przyjacielskim tonie, niebawem przerodziła się w nader ożywioną dyskusję. Obaj młodzieńcy rozprawiali z ferworem typowym dla ich wieku.

— Chodzi o to - powiedział Charles — aby prawa stanu były najwyższą władzą na danym terenie.

— Wyższą niż prawa Unii?

— Oczywiście. Unia powstała w wyniku ugody poszczególnych stanów. Każdy stan może wystąpić z niej, kiedy uzna za stosowne.

- Nie, Charles, to jest przecież legalna, pełnoprawna umowa. I jeśli nie ma w niej specjalnego punktu...

— Klauzuli.

— Zgoda, klauzuli. Jeśli nie ma w niej klauzuli określającej metodę anulowania tej umowy...

— I kto tu mówi o dziwacznych określeniach!

— Daj mi skończyć — zmarszczył brwi Charles. — Umowa może zostać prawnie unieważniona, jeśli przewiduje to odpowiednia klauzula. A w przypadku Unii takiej klauzuli nie ma.

— Gadasz jak zawodowy prawnik z Filadelfii. A my nie rozmawiamy teraz o umowie pomiędzy dwoma kupcami, lecz o porozumieniu między rządem a narodem. To nie jest to samo. Jestem zdania, że każdy stan ma prawo wycofać się, kiedy zechce.

Zągiel zwiotczał. Billy skorygował kurs.

— To doprowadziłoby do chaosu — rzucił gniewnie.

Wcale nie. Położyłoby tylko kres rosnącej tyranii Unii. O, masz jeszcze jedno dziwaczne określenie do twojej kolekcji. — Ostatnie zdanie niemal wykrzyknął z pasją i powagą, jakiej Billy jeszcze nigdy nie widział u swego beztroskiego zazwyczaj przyjaciela. Uśmiechnął się, próbując załagodzić sytuację, i powiedział:

— George uprzedził mnie, że wy, Południowcy, uwielbiacie sprzeczki. Teraz widzę, że nie przesadzał.

Południowcy uwielbiają wolność odparł Charles. Kochają ją tak bardzo, że nie mogą patrzeć beczynn timer, jak rozwiewa się w nicosć.

Od brzegu przetoczył się grzmot niczym wystrzał armatni. Billy zacisnął wargi. Słowa Charlesa wytrąciły go z równowagi.

Oczywiście mówisz o wolności białych, jak sądzę. Zdawał sobie sprawę, że posunął się zbyt daleko, ale nie mógł teraz ustąpić, za żadną cenę. Charles wbił w niego wzrok i otworzył usta, aby coś powiedzieć. W tej samej chwili mniej więcej milę przed dziobem łodzi dostrzegł białe, grzywiaste fale. W trakcie sprzeczki zerwał się porywisty północno-wschodni wiatr.

Nadchodzi sztorm — mruknął Charles. - Lepiej zawróćmy do brzegu.

— Zgoda.

Przez resztę dnia odnosili się do siebie z rezerwą. Żaden z nich nie przeprosił drugiego, nie kontynuowali też jednak nie rozstrzygniętej przecież sprzeczki. Po prostu doszli do przekonania, że należy poprzestać na tym, co zostało już powiedziane. Stopniowo odzyskiwali dobre humory. Ale w krótkich momentach, kiedy umysł Billy'ego był wolny od wizji Ashton, chłopiec przypominał sobie tę scenę raz po raz zdumiony faktem, że

pomiędzy nim a Charlesem doszło do tak ostrej wymiany zdań. Jeszcze niedawno zażarte dysputy rodzinne na tematy polityczne śmieszyły Billy'ego. Teraz podobne problemy interesowały i jego, teraz on decydował, po której stronie stanąć.

Ale właśnie tego nie powinien robić, o ile chce, aby Charles pozostał jego przyjacielem. Wystrzegał się więc od tej pory wszelkich uwag, mogących doprowadzić do kontrowersji. Charles również nie wracał do tej rozmowy.

Mimo to ich wzajemne stosunki uległy przemianie. Obaj uświadomili sobie istnienie siły, która mogłaby zniszczyć ich przyjaźń — i chociaż starali się o tym zapomnieć, wysiłki były bezowocne. Owa świadomość drzemała w nich, groziła wybuchem jak nadciągająca burza w tamto popołudnie, kiedy rozpoczęli sprzeczkę.

Ashton poprowadziła go za skałę, tkwiącą na brzegu jak duże, wysokie na siedem stóp, brązowe jajo, po czym oparła się o nią plecami, skryta przed wzrokiem przypadkowych ciekawskich. Billy zwarł nogi tak mocno, jak mógł, mając nadzieję, że dziewczyna nie zauważyła powodu, dla którego to uczynił.

Morze toczyło ołowiane fale pod ołowianym, popołudniowym niebem. Dzień był melancholijny jak kończące się lato.

— To straszne, że wyjeżdżam stąd już jutro — powiedziała.

Billy wsparł się dłońmi o skałę, unieruchamiając pomiędzy nimi głowę dziewczyny, jak gdyby chciał zatrzymać ją tu na zawsze. Z powodu chłodnego wiatru jego nagie ramiona pokryły się gęsią skórą.

— Będę pisał do ciebie co tydzień — obiecał.

— Och, to wspaniale!

— Ty też będziesz pisać?

Jej pełne, czerwone wargi rozchyliły się w uśmiechu. Leciutko zmarszczyła brwi.

— Postaram się, na pewno. Ale tej jesieni będę strasznie zajęta.

Jak zręcznie to zrobiła! Dała coś, odmawiając zarazem czegoś innego. Odmówiła zaś wystarczająco wiele, aby nie poczuł się w pełni usatysfakcjonowany. Potrafiła dochodzić do swych celów małymi krokami, angażując się jednocześnie całą duszą. Bywały chwile, kiedy nienawidził jej za to. Wystarczyło jednak, aby spojrzął w jej ciemne oczy, i natychmiast wszystko inne traciło znaczenie, liczyło się tylko pragnienie posiadania jej — na warunkach, jakie ona postawi.

— Przyjedziesz tu za rok, w lecie? — zapytał.

— Mam nadzieję, że tak. Było naprawdę miło.

Poczuł rozczarowanie.

— Czy to wszystko? Miło?

Przeniosła wzrok na ocean.

— Gdybym powiedziała więcej, byłoby to nieprzyzwoite. Ale może nie uznasz mnie za zbyt nieskromną, jeśli pokażę ci, co czuję.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta, a jej język wśliznął się pomiędzy jego wargi. Zakręciło mu się w głowie. O takich pocałunkach dotąd jedynie słyszał. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, tak aby przez warstwy ubrania poczuła jego podniecenie. Musiała je zauważyć, gdyż raptem jęknęła cicho.

To ze szczęścia — pomyślał.

Na ile jest doświadczona? Chcąc się o tym przekonać — ale nie tylko dlatego — przesunął rękę nieco wyżej. Jednak w tym samym momencie, kiedy dotknął jej piersi, wyrwała się z objęć i poprawiając fryzurę ze śmiechem pobiegła do wody.

Pospieszył za nią, bojąc się, że ją rozgniewał. Ale Ashton nie wyglądała na zirytowaną.

Billy - szepnęła, nie odrywając wzroku od oceanu tego nie wolno nam robić. A właśnie przy tobie zapominam, co przystoi damie w moim wieku.

Jej słowa pochlebily mu, ale jednocześnie pogłębiły zamęt w jego głowie. Nie wierzył jej. Wiedziała dokładnie, co robi, wiedziała przez cały czas. To właśnie dawało jej władzę nad nim. Był tego świadomy, ale nie trapił się zbyt długo, był jeszcze pod wrażeniem chwili, kiedy trzymał ją w ramionach.

Ashton ku swemu niezadowoleniu również. Manipulowała Billym do momentu, kiedy ją objął. Potem przywarł do niej i wtedy utraciła kontrolę nad nim. Przez kilka sekund miała nawet wrażenie, że go kocha. Podobna sytuacja nie może się powtórzyć. To ona, a nie mężczyzna, musi mieć przewagę.

Jednak nie wystarczyło jej sił, aby obrócić ów zamiar w czyn. Kiedy ruszyli do domu, splotła palce z jego palcami i przycisnęła jego dłoń do sukni, przechyliła głowę, tak aby musnąć czołem jego ramię, po czym zaczęła gruchać jak dziewczyna usychająca z miłości:

— Zrobię wszystko, żeby Orry przywiózł nas tu w przyszłym roku. Tak bardzo chciałabym spotkać się z tobą znowu, kochanie. Wydaje mi się, że nie ma rzeczy, której pragnęłabym bardziej niż tego.

Cooper wyszedł na przystań, aby powitać rodzinę. Zamierzał odczekać, aż wypoczną po trudach podróży, a potem powiadomić o planowanym przez Judith spotkaniu rodzinnym w ich domu przy Tradd Street. Był w świetnym humorze, ale dobry nastrój prysł po nieoczekiwanym przyjeździe Jamesa Huntoona.

Z młodym prawnikiem zjawił się wysoki, czarnoskóry mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni. Cooper rozpoznał w nim jednego z nielicznych niewolników Huntoonów. Nazywał się Grady, a jego ojciec został nielegalnie przywieziony do Ameryki z Beninu w 1810 roku, a więc dwa lata po uchwaleniu przez Kongres zakazu importu Murzynów. Prawdopodobnie przetransportowano go przez Hawanę i bezludne tereny wybrzeża Florydy. Jeszcze dziś Cooper czasami słyszał o nielegalnym handlu niewolnikami, który rozwijał się dzięki tej trasie.

Ibosi — gdyż tak nazywano tę kategorię niewolników — nigdy nie byli towarem zbyt poszukiwanym, cieszyli się bowiem sławą niepoprawnych uciekinierów. Huntoonowie postarali się, aby Grady o ile zdecydowałby się na ucieczkę — został bez trudu zidentyfikowany. W tym celu kazali usunąć mu cztery przednie zęby. Był to dosyć popularny sposób znakowania niewolników.

Grady przywitał się uprzejmie z Cooperem, o wiele bardziej uprzejmie niż Huntoon.

— Przywiozłem tu Grady'ego, aby pomógł pańskiej siostrze nieść bagaż — wyjaśnił adwokat. Poblazliwym gestem wskazał na kilku nędznie odzianych Murzynów, stojących w pobliżu. -- Ci czarni tragarze są do niczego. Sam widziałem, jak jeden z nich umyślnie upuścił walizę, wiedział bowiem, że jej właściciel jest biały i jako wyzwolencowi nie może mu nic zrobić.

Co, na Boga, Ashton widzi w tym durniu? — Cooper ugryzł się w język.

Na parowcu wynikły zapewne jakieś problemy, gdyż jeszcze pół godziny czekali, aż dobieje do brzegu. Huntoon zaczął krytykować kompromisowy projekt Claya. Cooper nie był w nastroju do dyskusji, ale adwokat zirytował go do tego stopnia, że nim się obejrzał, wiedli już spór. Klócili się o prawo pojedynczego stanu do secesji. Był to temat dyskusji w całym kraju.

Zadnemu nie udało się przekonać drugiego. Jedynym rezultatem była uraza, którą poczuli obaj. Huntoon żałował, że nie jest na tyle silny i odważny, aby sprawić Cooperowi lanie. Jego zdolności bojowe miały charakter czysto werbalny, o czym

zresztą wiedział doskonale. Zadowolił się więc świadomością, że ostatnie słowo należy do niego.

— Nic dziwnego, że nie ma pan już żadnych przyjaciół w klasie panującej.

Parowiec przybił wreszcie do przystani. Stożące przy relingu

Clarissa i Brett wołały coś, machając rękami. Cooper uniósł brew.

— To my mamy klasę panującą w Karolinie Południowej? — zapytał Huntoona. — Zawsze miałem wrażenie, że pozbyliśmy się jej dzięki rewolucji. Co jeszcze może liczyć na odrodzenie? Przeświadczenie plantatorów, że działają na tej ziemi z woli Boga?

Jego sarkazm rozwścieczył adwokata, ale Cooper był w lepszej sytuacji, gdyż cała rodzina widziała ich już wyraźnie, jak na dłoni. Ruszył w stronę trapu, który czarnoskórzy sztauerzy opuścili właśnie na brzeg, i wtedy dostrzegł na zatłoczonej przystani znajomą postać: Roberta Rhetta z „Mercury”, krewne go Huntoona. Towarzyszył mu człowiek, którego poprzedniego dnia pokazano mu na ulicy; polityk z Georgii, Bob Toombs - jeszcze jeden zagorzały zwolennik praw Południa.

Toombs i Rhett szli pod rękę jak para najlepszych przyjaciół. Kiedy dostrzegli Coopera, uśmiechy zniknęły z ich twarzy. Cooper pozdrowił ich uprzejmie, oni jednak nie odpowiedzieli, minęli go bez słowa, podeszli do Huntoona, podali mu ręce i przywitani się tak głośno, aby usłyszał to również Cooper.

Ashton obserwowała zdarzenie. Powrót do Charleston nie był jej na rękę, z niechęcią myślała o Huntoonie, który z pewnością zacznie jej się znowu narzucać. No i proszę, rzeczywiście stoi na przystani, biedny głupiec. Przyprowadził nawet tego przystojnego czarnucha bez przednich zębów.

W porównaniu z Billym Hazardem Huntoon wyglądał na mięczaka, słabeusza, zwłaszcza w tych połyskujących w słońcu okularach. Westchnęła. Jednak serdeczne powitanie, które młodemu prawnikowi zgotował Rhett, wywarło na niej duże wrażenie. Jej ojciec wskazał na męczyznę towarzyszącego Rhettowi. - To Bob Toombs z Georgii - Jego ton świadczył, że i na nim owo powitanie zrobiło wrażenie. Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o tej ważnej osobistości. Ostatnio dużo rozmyślała o doniosłości faktu, że jest członkiem rodziny Mainów z Karoliny Południowej. Doniosłości faktu, że jest się bogatym, znaczącym, otoczonym wpływowymi przyjaciółmi. Przekonała się na własne oczy, jak wygląda człowiek pozbawiony wpływów i lekceważony przez innych, co przytrafiło się przed chwilą Cooperowi.

Wpływ, władza — to właśnie był klucz wyjaśniający jej stosunek do Brett. Ashton wcześniej zdała sobie sprawę, że tkwi

w niej głęboka, jakkolwiek tylko częściowo uświadomiona potrzebą posiadania władzy nad innymi. Teraz jednak stwierdziła, że pragnie dominować nie tylko nad Brett. Chciała być władczynią również poza kręgiem rodziny i zależało jej, aby zaakceptowali to inni.

Ten cel wyznaczyła sobie stojąc przy relingu. Jednocześnie doszła do wniosku, że jeśli chce go osiągnąć, musi działać w sposób bardziej wyrachowany. Huntoon ma koneksje, ona zaś musi uwzględnić ów fakt niezależnie od tego, co czuje do swego adoratora. Billy był dla niej jak wiosna, ale Huntoon oznaczał wspaniałą przyszłość.

Tak więc, gdy schodzili z pokładu parowca, ujęła ojca pod rękę, wiedziała bowiem, że podejdzie wprost do Rhetta. I rzeczywiście. Kiedy ujrzała przed sobą Huntoona, powitała go śmiałym całusem w policzek.

James! Nawet nie wiesz, jak się za tobą stęskniłam!

Naprawdę? To cudownie!

To kłamstwo — przemknęło jej przez głowę.

Mimo wszystko była z siebie zadowolona, pokazała bowiem, gdzie ulokowała swoje zainteresowanie i swoją lojalność. Niech Brett leci do Coopera i tuli się do niego, co właśnie robiła, proszę bardzo! Brett i tak się nie liczy, nigdy nie będzie jej konkurentką. Ashton z dumą uniosła głowę i niedbale skinęła bratu z daleka.

Pewnego wieczoru, na początku października, Constance zapytała George'a:

— Kochanie, czy przypominasz sobie tę szopę na tyłach naszej fabryki?

Odsunął na bok kartkę papieru, na której coś pisał; właśnie robił plan szybkiej rozbudowy walcowni. We wrześniu rząd federalny po raz pierwszy przydzielił ziemię publiczną kolei, aby przyspieszyć tworzenie nowych tras. George co miesiąc płacił pewną sumę prawnikowi z Waszyngtonu, otrzymując za to informacje o decyzjach w sprawie handlu żelazem. Przekazując wiadomość o nadziałach ziemi, ów prawnik zapowiedział, że podobna akcja obejmie tereny na zachodzie i południu. Dla George'a był to sygnał, że na najbliższe dziesięć, może nawet dwadzieścia lat ma zapewniony zbyt szyn kolejowych.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Constance, zanim zadała to pytanie, milczała dłuższy czas. Widocznie chodziło jej po głowie coś naprawdę ważnego.

W salonie i w całym domu panowała cisza. Słyszać było jedynie tykanie złoconego zegara na ścianie. Już po dziesiątej. Wstał i przeciągnął się.

- Szopa, w której dawniej przechowywaliśmy narzędzia
— odparł i kiwnął głową. — I co z nią?
— Czy pozwoliłbyś mi zrobić z niej użytek?
— Tobie? Po co ci ona?
Nie odpowiedziała wprost.
— Nie używałabym jej zbyt często. Ale chciałabym, abyś wiedział, co może się w niej wydarzyć.
— Wielki Boże, nigdy jeszcze nie zetknąłem się z tak tajemniczą sprawą. O cóż chodzi?

Uśmiechnął się, ona jednak, jakby zatroskana jego reakcją, zmarszczyła brwi. Podbiegła do męża.

- Pokażę ci. Chodź ze mną.
— Dokąd?
— Do szopy.
— Teraz?
— Tak. Proszę.

Zaintrygowany, a zarazem przejęty powagą bijącą z jej twarzy, zgodził się niemal natychmiast. Kilka minut później szli stromą ścieżką na tyłach fabryki. Powietrze było chłodne, niebo pozbawione chmur. Szopa rysowała się wyraźnie w blasku gwiazd.

Raptem George przystanął. Pomiędzy deskami przedostawało się na zewnątrz żółte światło.

- Ktoś tam jest.
— Tak, wiem. Ujęła go za rękę. — Wszystko w porządku. Chodź.

— Wiesz? — zapytał, pozwalając się ciągnąć dalej. A więc może byłabyś tak łaskawa wytłumaczyć mi, co to...

— Pan Belzer? — szepnęła, stojąc w progu. Tu Constance. Musi pan przesunąć lampę. Za bardzo widać ją z zewnątrz.

Żółty blask zniknął. Belzer był sklepikarzem z miasteczka, kwakrem. Co on tu, na Boga, porabia? Drzwi uchylły się i George ujrzał chudą postać zdenerwowanego handlarza. Za nim, opatulony w stare koce, stał drugi mężczyzna, którego wygląd zaszkodził George'emu, choć zarazem wszystko wyjaśnił.

Nieznajomy owinięty w koc nie miał jeszcze dwudziestu lat, ale strach i wycieńczenie sprawiały, że można mu było dać dwa razy tyle. Jego skóra miała barwę ciemnego bursztynu.

--' Nie było innego miejsca, gdzie moglibyśmy go ukryć
— wyjaśnił Belzer. — Zjawił się u mnie w dornu wczesnym rankiem, ale tam robi się coraz niebezpieczniej dla... podróżni ków. To, co robię, nie jest już tajemnicą. Musiałem ukryć gdzieś tego chłopca, w Lehigh Station zjawił się przedstawiciel nowego komisarza okręgu.

Miał na myśli mandatariusza federalnego do spraw zbiegłych

niewolników. Prezydent Fillmore podpisał ustawę 18 września, nie zwlekano z wprowadzaniem jej w życie.

Zbieg pociągnął nosem, a potem kichnął dwukrotnie. George, nie mogąc otrząsnąć się z osłupienia, odwrócił się do żony:

— Od jak dawna zajmujesz się tym?

— Pan Belzer poprosił mnie o to po raz pierwszy na wiosnę. Od tego czasu pomagam mu.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o niczym?

— Nie gniewaj się, George. Po prostu nie wiedziałam, jak zareagujesz.

— Wiesz, co myślę o niewolnictwie. Ale lekceważenie prawa, a tym bardziej postępowanie wbrew jego literze, to już poważne wykroczenie. Gdyby ktoś dowiedział się, że udzielasz schronienia zbiegom, mogłabyś się dostać do więzienia.

Constance wskazała na rozdygotanego chłopca.

— A dokąd odesłaliby jego, gdyby go schwytali? Prosto do Karoliny Północnej, gdzie czekałaby go kara, Bóg jeden wie, jak brutalna!

— Dlaczego zdecydowałaś się tym zająć?

Ponieważ właściciele niewolników są w niezwykle korzystnej sytuacji. Komisarze federalni mają wprawdzie rozpatrywać wszystkie przypadki obiektywnie, ale prawo gwarantuje im dziesięć dolarów za każdego niewolnika, którego zwrócą właścicielowi, a tylko pięć za tego, który pozostanie na wolności. I oni mieliby być obiektywni? To śmieszne!

Na tym polegał kompromis — odparł George. W głosie

Belzera zabrzmiała niemal wrogość, kiedy powiedział:

— Może pan to nazywać tak albo inaczej, panie Hazard, ale nowe prawo stanowi obrazę wobec Boga i sumienia naszego całego narodu. Constance, bardzo mi przykro, jeśli przyczyniłem się do powstania drobnego choćby rozdzwiewku pomiędzy panią a mężem. Widzę teraz że oceniliśmy go niewłaściwie. Spróbuję znaleźć dla Abnera inne miejsce.

George podskoczył jak oparzony.

— Poczekajcie! — A kiedy spojrzeli na niego, dodał: — Przecież nie powiedziałem „nie”, prawda?

Gniew iskrzący się już w oczach żony ustąpił miejsca nadziei. Podbiegła do George'a.

— Jedyne, czego nam trzeba, to trochę zapasów, dodatkowe koce, kłódka do drzwi i jeden czy dwa napisy „Przejdźcie uzbrojone” dla odstraszenia przypadkowych intruzów. Gdybym miała wydać pieniądze jeszcze na coś, uprzedzę cię. Poza tym nie ma już nic, czym mógłbyś się trapić.

— Nie trapić się nielegalnym punktem przerzutowym na mojej własnej ziemi? Nie zgadzam się! — Przygryzł dolną wargę. — Czemu, na Boga, chcecie wykorzystać właśnie to miejsce?

Wyřęczył ją Belzer.

— Bo jest wystarczająco ustronne i bez trudu można się tu dostać od strony lasu na wzgórzach. Ci... no... pasażerowie mogą tu przenocować, a potem wyruszyć do Kanady.

Przez dłuższą chwilę George wpatrywał się w kichającego, wynędniałego uciekiniera. Wiedział, że nie ma wyboru.

— No, dobrze, ale muszę postawić kilka warunków. To dla bezpieczeństwa wszystkich i...

Constance nie pozwoliła mu dokończyć. Z rozpostartymi szeroko ramionami rzuciła się mężowi na szyję, obsypując go pocałunkami, podczas gdy Belzer pocieszał Abnera. Murzyn uśmiechnął się, a potem zgiął wół w kolejnym napadzie kichania.

George był dumny z postawy Constance. Postanowili wtajemniczyć Maude. Wszyscy troje doszli do przekonania, że o nowym przeznaczeniu szopy nie może dowiedzieć się nikt inny. Stanley i Isabel zaprotestowaliby, jako że Stanley nigdy nie miewał się w coś, co mogłoby oznaczać kłopoty. Ostatnio spędzał w domu zaledwie dwa, trzy dni w tygodniu. Resztę czasu poświęcał nowym przyjaciółom w Harrisburgu lub Filadelfii.

W partii demokratów w obrębie stanu rozpoczęła się walka o władzę, stawiając po jednej stronie przyjaciela Stanleya, Camerona, a po drugiej cieszącego się dużą popularnością przywódcę partii, Bucka Buchanana z Lancaster. Za prezydentury Polka Buchanan pełnił funkcję sekretarza stanu, ale w 1848 roku zaprzęgnął nominacji na prezydenta. Za fiasko tego przedsięwzięcia obwiniał Camerona i jego machinacje. Publicznie obrzucali się oskarżeniami, które kompromitowały jednego i drugiego. Stanley związał swój los z Cameronem. George uznał, że postąpił nierozsądnie.

Ale kto mógł być pewny swego w czasie, kiedy powiązania partyjne i same partie zmieniały się z dnia na dzień? Niedawno pojawiło się nowe ugrupowanie polityczne, Partia Wolnej Ziemi. Była to koalicja złożona z wrogo nastawionych do plantatorów bawelny wigów, dawnych członków Partii Wolności i paru Barn Burnersów, jak nazywano skrajnie radykalnych, antyniewolniczych demokratów. W opinii George'a członkowie Partii Wolnej Ziemi mogli co najwyżej wylać dziecko z kąpielą; twierdzili, że są przeciwni przyłączaniu do kraju nowych terytoriów, o ile ceną za ekspansję jest zaakceptowanie niewolnictwa na owych obszarach. Virgilia chodziła na każde zebranie Partii Wolnej Ziemi odbywające się w ich stanie, to znaczy na każde, na które w charakterze obserwatorów wpuszczano kobiety. Pozwalano im wówczas stać na galerii. Virgilia gorąco protestowała, wypisując sążniste memoriały, w których domagała się, aby kobiety

otrzymały prawo siedzenia na parterze jako uczestniczki spotkań.

Również przed nią trójka konspiratorów pragnęła zataić istnienie kryjówki dla zbiegów. Z pewnością zaaprobowałyby ją, to oczywiste, mogłaby jednak nie dochować tajemnicy. W hucie Hazarda pracowało wielu robotników, którzy z całego serca nienawidzili Murzynów; obawiali się, że czarnoskórzy wyzwolenicy mogą odebrać im miejsca pracy. George dałby dużo, aby ta nienawiść zniknęła z jego fabryki, zdawał sobie jednak sprawę, że żaden rząd nie zdoła jej zlikwidować za pomocą ustaw czy odezów, gdyż korzenie tego uczucia tkwiły w zwykłym ludzkim strachu. Trzeba było starań kilku pokoleń i odpowiedniego systemu edukacyjnego, aby zniszczyć nienawiść rasową raz na zawsze.

— Nie wydaje mi się również mądre mówić o tym twoim przyjaciółom z Południa — zauważyła Constance.

George zmarszczył brwi.

— Powiedziałaś to tak, jakbyś miała im coś do zarzucenia. A ja myślałem, że są to również twoi przyjaciele.

— Och, oczywiście — zapewniła pośpiesznie. — To tylko to, że nie jestem z Mainami tak blisko jak ty. I gdybym miała wybierać: przypodobać się Orry'emu czy pomóc Belzerowi, może mój wybór nie przypadłby ci do gustu.

Wiedział, że żona nie chciała go rozgniewać ani sprowokować; po prostu była z nim szczerą. Ale mimo to jej słowa zirytowały go. Maude zauważyła to i z zakłopotaniem poczęła oglądać swoje ręce.

Po co w ogóle mówisz takie rzeczy? — burknął George. — Przecież nigdy nie stanielś przed takim wyborem, nigdy.

Nie był jednak pewien, czy mówi prawdę. I właśnie ta niepewność, która zatruwała mu duszę, była prawdziwym powodem przepelniającej go troski i rozdrażnienia.

27

— Gotowe — zawołał Charles. Podniósł w górę przedmiot, który wyciął nożem, końcem ostrza wskazał długi rowek, wyrzeźbiony w drewnie. — Tak właśnie wygląda kanu w Karolinie. W Luizjanie nazywają to chyba pirogą.

Czteroletni Laban Hazard siedział u jego stóp, na frontowych schodach Fairlawn. Chłopczyk uwielbiał Charlesa i cały rok czekał, aby go zobaczyć. Mainowie przyjechali do Newport tego dnia wczesnym rankiem.

Zza rogu wyłonił się bliźniak Labana tocząc przed sobą obręcz. Na widok łódki wyciągnął rękę.

— To dla Labana?

— Charles skinął głową.

— Levi zrobił kwaśną minę.

— Chcę taką.

Charles zachichotał. Wyglądało na to, że Levi miał usposobienie swojej matki.

— W porządku — odparł. — Zrobię i dla ciebie, jak tylko skończę tę.

Levi wydał dolną wargę i potrząsnął głową.

— Zrób najpierw moją.

Charles pogroził mu nożem.

— Bądź grzeczny, panie Jankesie, bo inaczej nadzieję cię na różno i upiekę na obiad.

Powiedział to żartem, ale Levi wybuchał płaczem i uciekł. Laban roześmiał się i oparł o kolano swego idola. Z domu wyszedł Billy.

— Nie za wcześnie na umizgi? zapytał Charles. Dziewczęta nie zdążyły się nawet rozpakować.

Billy, ignorując go, poprawiał coś przy krawacie. Charles zagwizdał przez zęby.

— O Boże, co za szykowny strój! Nie przypominam sobie, abyś ubierał się tak w zeszłym roku. To niewątpliwie miłość...

Billy roześmiał się.

— Idź do diabła. Laban, nie mów ojcu, że przeklinałem w twojej obecności.

I natychmiast zniknął. Po kilku krokach, kiedy skryły go zarośla, zaczął biec, a potem przeskoczył murek, strasząc kamieniarzy, którzy kolejny raz naprawiali powstałe w nim dziury.

Tej wiosny Brett stała się kobietą. Ciekawe, czy on to zauważy, zastanawiała się, przeglądając się w lustrze i obciążając sukienkę i bieliznę, tak aby jej drobne piersi sprawiały wrażenie pełniejszych.

Stojąca za jej plecami Ashton wykrzyknęła radośnie:

— O mój Boże! On już tu jest! Słyszałam, jak rozmawiał z Orrym!

Szybko jak strzała zbiegła po schodach. Brett pozostała zaledwie o kilka stopni w tyle, ale to wystarczyło była w połowie schodów, kiedy Orry wyszedł z holu, a Billy i Ashton wypadli z domu, nie patrząc nawet w jej stronę.

Wolnym krokiem zeszła na podest. Raptem ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Pisnęła i odskoczyła na bok.

— Papa!

— Myślałam, że będziesz teraz odpoczywać, panienko.

Tillet dostrzegł lżę ściekającą po policzku córki. Z trudem zginając nogi, stękając usiadł na najniższym stopniu, po czym przyciągnął Brett i objął ją ramieniem. Co się stało?

— Ten Billy Hazard! To najbardziej nadęty człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałam! Chciałam się z nim przywitać, a on nawet na mnie nie spojrzął!

— Nie gniewaj się na niego tak bardzo. Zadurzył się w twojej siostrze. Wydaje mi się, że z wzajemnością.

— Ona zawsze dostaje to, na co ma ochotę! Będzie miała i jego, prawda?

— Och, czyja wiem? Oboje są jeszcze chyba zbyt młodzi, aby rozprawiać o mał... Panienko, wracaj tu, słyszysz? Nie chciałem ci sprawić przykrości!

Ale ona wbiegła już na schody, jej pełen żalości szloch słyszał jeszcze przez chwilę.

Billy i Ashton od razu ruszyli do tej samej skały, gdzie rok temu pocałowali się po raz pierwszy. Kiedy tylko Billy objął ją ramieniem, a na ustach poczuła dotyk jego słodkich, nieśmiałych warg, wszystkie praktyczne zamierzenia ulotniły się w mgnieniu oka.

Ileż to czasu zmarnowała na obmyślanie dalekosiężnych planów, które przysły jej do głowy przed rokiem, kiedy stojąc na pokładzie parowca przyglądała się, jak pan Bob Rhett lekceważąco mija Coopera. Teraz owe plany i patetyczny Hun-toon odeszli w zapomnienie. Wyjdzie za Billy'ego, to pewne, za nikogo innego!

Zresztą, wszystko można wspaniale dopasować do jej planu. Hazardowie to wprawdzie Jankesi, zaliczani są jednak do ludzi zamożnych i wpływowych. Musi zapoznać Billy'ego ze swymi ambitnymi zamierzeniami. Ale nie w tej chwili. Jedyne, o czym marzyła teraz, to móc oddać się z rozkoszą miłości i jemu.

Przyłgnęła doń całym ciałem, tak aby poczuł dotyk jej piersi.

— Nigdy nie sądziłam, że będę tęskniła za kimś tak bardzo. Myślałam, że umrę, czekając na każdy z twych listów.

— Nie jestem dobrym pisarzem. Musiałem pisać i niszczyć dziesięć listów, żeby wysłać jeden.

— Możesz to teraz nadrobić, mój kochany. Pocałuj mnie mocno i nie przerywaj, aż nie zacznę mdleć.

Posłuchał ochoczo.

Latem 1851 roku obie rodziny i cały naród ogarnął nastrój złudnego spokoju. Większość Amerykanów było znużonych

wojną i swarami o kwestię niewolnictwa. I nawet jeśli kompromis z 1850 roku nie oznaczał definitywnego rozwiązania problemu, ludzie reagowali tak, jakby byli usatysfakcjonowani, jakkolwiek po obu stronach odezwało się kilka gromkich głosów. Mówiono, że bardzo mało się zmieniło, nie rozwiązano niczego; wrzód przykryty bandażem pozostawał wrzodem. A jednak ludzie pokroju Jamesa Huntoona i Virgilia Hazard mieli olbrzymie kłopoty ze znalezieniem zwolenników swych wojowniczych poglądów podczas tych ciepłych, łagodnych miesięcy. Przeważająca część Amerykanów pragnęła wytchnienia, przynajmniej na sezon lub dwa.

Cooper i Judith pobrali się w czerwcu 1850 roku, ale los niemal natychmiast pokrzyżował plany Coopera, który chciał odwiedzić Anglię. Dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie Judith wydała na świat Judaha Tilleta Maina albo J.T., jak dumny dziadek nazwał wnuka w pierwszej chwili, kiedy otrzymał tę radosną nowinę. Pod koniec lipca 1851 roku rodzice, dziecko i mamka wybrali się w podróż do Newport, aby spędzić tam z Mainami dziesięć dni.

W parę godzin po ich przybyciu Tillet rozsiadł się w bujanym fotelu na werandzie wynajętego domu. Cooper siedział tuż obok, trzymając opatulone w kocyk dziecko. Tillet wpatrywał się we wnuka z nie skrywaną dumą, podczas gdy Judith, George, Billy i Ashton na trawniku nie opodal grali w kręgle. Zachodzące słońce wydłużało ich cienie coraz bardziej.

Tillet odchrząknął.

Twoja żona to wspaniała kobieta.

Cooper był poruszony. Jeszcze nigdy ojciec nie wypowiedział komplementu pod jej adresem.

Dziękuję, sir. Jestem tego samego zdania. Poprawił rożek koca, tak aby osłonić głowę dziecka przed wiatrem.

Tillet odchylił się do tyłu i skrzyżował dłonie na brzuchu, który powiększał się z roku na rok.

Jak on staro wygląda pomyślał Cooper. Ile ma lat? Pięćdziesiąt pięć? Nie, pięćdziesiąt sześć. Zresztą widać to po zmarszczkach. I po oczach. Z pewnością zdaje sobie sprawę, że jego czas mija.

Po raz pierwszy od kilku lat Cooper poczuł gorącą miłość do ojca. Miłość bezinteresowną i bezgraniczną.

Tillet miał zastrzeżenie, które wymienił w chwilę później:

— Mogę chwalić Judith, nie zgadzając się z tym wszystkim, o czym mówi. A o tym, że się z tym nie zgadzam, wiesz doskonale. Mimo to rodziny powinny dbać, aby w ich łonie nie toczyły się walki.

— To prawda, sir. Ale diabelnie trudno osiągnąć ów ideał w tych ciężkich czasach.

— Doskonale poradziłeś sobie z firmą — kontynuował ojciec. — Bilans jest rzeczywiście niezwykły. A „Mont Royal” jest pięknym statkiem... tak, wiem, jest to również wspaniały interes.

— Zeby sprostać wszystkim zamówieniom, które otrzymuję, musiałbym mieć trzy takie statki jak ten. Mam zamiar zająć się tym. I jeszcze coś. Zaproponowano mi, abym projektował statki dla innych. Tym również zajmę się niebawem.

Tillet podrapał się po brodzie.

— Sądzisz, że to słuszne, rozwijać się tak szybko?

— Tak, sir, tak sądzę. Myślę, że budowa statków to interes bardziej pewny i intratny niż transport bawełny.

— Czy to tylko rozważania, czy też konkretne plany?

— Jeśli chcesz wiedzieć, czy mam oficjalne zamówienie, to owszem, mam. Jedno od linii żeglugowej w Savannah, drugie z firmy w Baltimore. Uzgadniamy jeszcze parę szczegółów, ale każda z tych firm chciałaby statek podobny do „Mont Royal”, o ile bym się tego podjął. A ja w każdym razie postanowiłem spróbować. — Rozgorączkowany nachylił się do ojca. — Wyobrażam już sobie dzień, może za pięć lat, kiedy parowce Mainów będą kursować pod flagami różnych firm wzdłuż Wschodniego Wybrzeża i do Europy. Rynek bawełniany może się skurczyć, ale jestem przekonany, że zapotrzebowanie na powierzchnię załadunkową na statkach oraz na jak najszybsze dostarczanie różnego rodzaju towarów znacznie wzrośnie jeszcze za naszego życia..

— Tak, może tego dożyję. Ale nie radziłbym wiązać się z tym na stałe. Jankescy politycy są nieobliczalni. Zachłanni i podstępni jak... no, ale zostawmy to, nie psujmy wszystkiego. Jestem naprawdę pod wrażeniem rozgłosu, który uzyskałeś dzięki temu jednemu statkowi.

— W „Mont Royal” jest cała masa innowacji. Dwa drobne ulepszenia wymyśliłem sam. I nawet je opatentowałem.

— A czy te dwie firmy przewozowe nie mogły zwrócić się wprost do stoczni w Brooklinie?

— Oczywiście, że mogły, chodziło im jednak o coś więcej. Chcą, żebym to ja nadzorował opracowanie projektu i budowę. Zupełnie przypadkowo zostałem ekspertem do spraw budowy statków na Południu. A takich nie ma tu zbyt wielu. — Dopiero teraz uśmiechnął się. — Znasz chyba definicję eksperta? To ktoś taki, co zjawia się na prowincji nie wiadomo skąd.

Tillet roześmiał się, rozbudzając wnuka. Maluch zapłakał. Cooper muskał palcem jego delikatny, ciepły policzek tak długo, aż J.T. ucichł.

— Nie bądź zbyt skromny — pouczył syna Tillet. — Ciężko harowałeś w Charleston... słyszałem o tym z wielu źródeł... i nadal pracujesz za kilku. Wystarczy spojrzeć na książki, które przywoziłeś tu ze sobą. Budowa okrętów, metalurgia... książki,

których bym nie udźwignął, nie mówiąc już o zrozumieniu tego, co w nich napisano.

Cooper wzruszył ramionami, ale te nieoczekiwane pochwały sprawiły mu przyjemność. Większą niżby się tego spodziewał.

— Aby nauczyć się jeszcze więcej, w listopadzie wyjedziemy do Wielkiej Brytanii.

— Mój wnuk też?

— Tak, pojedziemy wszyscy. Doktor powiedział, że Judith może wziąć mamkę. Brunei obiecał mi spotkanie i rozmowę. Wyobraź sobie tylko: godzina z tym człowiekiem! Jego talent... ta niesłychana fantazja... nie do wiary! Razem ze swoim ojcem buduje tunel pod Tamizą, słyszałeś o tym?

— Nie, ale po co komu tunel pod rzeką? Nie wystarczą już promy? Albo mosty? A w ogóle, komu zależy na szybszych statkach? Przypomina mi się, co książę Wellington powiedział o liniach kolejowych w Europie, a mianowicie, że doprowadzą jedynie do niepokojów społecznych, umożliwią bowiem klasom niższym swobodne poruszanie się. Podobne myśli chodzą mi po głowie, kiedy słyszę o tych wszystkich nowoczesnych dziwolągach, które powstają ostatnio. To zbyt rewolucyjne!

- Dobrze to nazwałeś, ojcze. Znajdujemy się w samym środku rewolucji, pokojowej rewolucji przemysłu i rozumu.

— Powinniśmy ją zatrzymać na jakiś czas.

— To niemożliwe. Nie można też się cofnąć. Jedyne możliwe ruch to iść do przodu.

— Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco! Po chwili Tillet westchnął: — Ale dobrze, zostawmy już ten temat. Z pewnością masz prawo do takiej podróży. Ale zasłużyłeś sobie na coś więcej i w związku z tym chciałbym ci coś powiedzieć. Odchrząknął. — Poleciałem naszym prawnikom, aby przygotowali dokumenty zmieniające właścicieli C.S.C. W związku z tym pod twoją kontrolą znajdzie się pięćdziesiąt jeden procent akcji firmy, będziesz też otrzymywał proporcjonalną część zysków, wolną od podatków. Czytałem wszystkie sprawozdania, które mi przesłałeś. Przy tym tempie osiągania zysków, zmiany, o których mówię, pozwolą ci stać się szybko człowiekiem bogatym, bardzo bogatym. I będziesz to zawdzięczał sobie. To też coś znaczy.

Uplęła dłuższa chwila, zanim Cooper otrząsnął się z zaskoczenia, przynajmniej na tyle, aby powiedzieć:

— Nie wiem, jak mam ci dziękować. Za to, że okazujesz mi tyle zaufania. Za twoją wspaniałomyślność.

Tillet machnął ręką.

— Jesteś moim synem. Dałeś swojemu pierworodnemu moje imię. To już wystarczające podziękowanie. W rodzinie nie powinno być niesnasek. — Ostatnie słowa wyraźnie zaakcentował.

Czyżby to była prośba? Może ostrzeżenie? Mara nadzieję, że to nie to — pomyślał Cooper. — Mam nadzieję, że nie próbuje w ten sposób zapewnić sobie mojego milczenia albo aprobaty własnych poglądów. Kocham go, ale nie dam się kupić.

Raptem przeszła go myśl, czy przypadkiem nie jest niewdzięczny. Chciał już zapytać ojca, co dokładnie chciał powiedzieć, wspominając o niesnaskach w łonie rodziny, nie miał jednak ochoty psuć nastroju tego wieczoru. Ten spokój, podobnie jak spokój całego narodu, był niezwykle kruchy. Nie oparłby się wstrząsowi.

Obie rodziny powitały lato z radością. Zapanował nastrój odprężenia i spokoju, nastrój, który każdy starał się podtrzymać. Nawet Constance i Isabel niekiedy rozmawiały ze sobą. Z jednym wyjątkiem: nie rozprawiano na tematy polityczne. Virgilia, która pewnego wieczoru wypila za dużo wina, wypowiedziała się krytycznie o ostatnich publicznych oświadczeniach Williama Yanceya, prawnika pochodzącego z Georgii i dawnego kongresmena, duchowego spadkobiercy najbardziej radykalnych poglądów Calhouna. Południe w dalszym ciągu żywiło urazę do senatora Sewarda z Nowego Jorku. Seward bronił klauzuli Wilmota twierdząc, że służy ona prawu ważniejszemu niż konstytucja, a mianowicie prawu boskiemu, które pewnego dnia zatriumfuje. Yancey zaatakował go niezwykle ostro, Virgilia natomiast, która dowiedziała się o jego wystąpieniu z prasy, obrzuciła Yanceya stekiem obelg, nazwała go nawet alfonssem. Po kilku chwilach, kiedy zaczęła lżyć nie tylko Yanceya, ale całe Południe, Orry wybuchnął:

- Trzeba przyznać, że zbudowała pani na Północy cudowną kopalnię cnót, Virgilio. Cały grzech gromadzi się poniżej linii Masona i Dixona. I nieważne, że — jak właśnie przeczytałem — każdy wolny Murzyn, który odważy się postawić swą stopę w Iowa, podlega tam bardzo surowej karze. Również cała obłuda kryje się u nas, na Południu. I nieważne, że Kalifornia, wciągnięta tak skwapliwie przez waszych polityków do Unii jako stan wolny, wysłała do Senatu swoich przedstawicieli, zażarcie głosujących za niewolnictwem. Ale tych rzeczy jakoś pani nie dostrzega. Przyomyka pani oczy i obrzuca innych inwektywami!

Cisnął serwetkę i odszedł od stołu. Kilka minut później George przyparł siostrę do muru i beształ ją tak długo, aż przyrzekła, że przeprosi Orry'ego. Uczyniła to potem z olbrzymią niechęcią.

Z wyjątkiem tego zdarzenia ciepłe, pełni euforii dni upływały w spokoju. Brett zachwycała wszystkich wykonując na fortepia-

nie nową piosenkę Fostera „Old Folks at Home”. George grywał zawzięcie w kręgle, udowadniając, że jest mistrzem nie do pokonania. Na werandzie z ożywieniem rozprawiano o usilnych staraniach niektórych kaznodziejów, którzy wyklinali pikantną powieść pana Hawthorne'a *Szkarłatna litera*. Jeden z pastorów nazwał tę książkę „handlowaniem rozpustą”.

Isabel i Tillet wyrazili zgodne przekonanie, że prawo powinno zabraniać wydawania podobnej szmiry, na co George odparował, że ci, którzy tak sądzą, nie wiedzą, co znaczy „wolność słowa”. Clarissa wtrąciła nieśmiało, że chociaż książka jest chyba rzeczywiście nieprzyzwoita, George w zasadzie ma rację.

Kobieto! zagrmiał Tillet. Nie wiesz nawet, o czym mówisz.

Na szczęście dyskusja została przerwana; na murawie przed domem zamieszkanym przez Mainów zjawili się Ashton, Billy i kuzyn Charles.

Młodzi właśnie wybierali się na plażę. Spędzali tam niemal każdy wieczór, przy czym Charles pełnił rolę przyzwoitki. Na samą myśl o tym Orry uśmiechnął się pod wąsem. Charles zmienił się, to prawda, ale mimo wszystko wyglądało to tak, jak gdyby wilk miał pilnować owiec.

George odprowadził wzrokiem młodych, którzy oddalali się powoli w blasku księżyca. Potem zwrócił się do Orry'ego:

Mam wrażenie, że twoja siostra chce złapać Billy'ego na męża.

George, nie tak szybko wykrzyknęła Constance żartobliwym tonem. Billy wybiera się w przyszłym roku do Akademii. Na cztery lata.

Mimo to wtrącił Orry myślę, że George ma rację. Nie dodał już, że wątpi, aby kiedykolwiek doszło do tego małżeństwa. Ashton była za bardzo chimeryczna. Oczywiście może się zmienić jak Charles. Biorąc to pod uwagę, dodał:

Powinnościście przyjechać z Billym do Karoliny Południowej.

— Tak, z radością gościlibyśmy was wszystkich podchwy ciła Clarissa. Siedząca nieco na uboczu, w kącie werandy, Virgilia spojrzała na nią sceptycznie.

Bardzo chętnie odwiedziłabym Mont Royal — powiedziała Constance.

Orry nachylił się ku niej.

— Dlaczego nie jesienią, jeszcze w tym roku? Październik jest u nas jednym z najpiękniejszych miesięcy. Cooper byłby szczęśliwy, mogąc pokazać wam Charleston, a potem przyjecha libyście do nas na dłużej.

Dobrze, zrobimy tak zdecydował George, zachęcony przez Constance, która ukradkiem ścisnęła mu rękę.

Już po chwili jednak opadły go wątpliwości. Virgilia przysłu[^] chiwała się ich rozmowie z ogromnym zainteresowaniem. Jeżeli wezmą ją ze sobą, Mainowie mogą pożałować swego zaproszenia.

Charles oparł się plecami o wilgotną skałę; blask księżyca muskał jego przymknięte powieki, on zaś oczyma wyobraźni widział nagie uda w najrozmaitszych odcieniach brązu i różu — wśród nich znajdowały się również uda pulchnej, skorej do uciech dziewczyny imieniem Cynthia. Cynthia Lackey. Poznał ją w pierwszym tygodniu wakacji w sklepie prowadzonym przez jej ojca, do którego wszedł po cukierki.

Dobiegł go przytłumiony śmiech. Otworzył oczy i ujrzał dwie postaci wynurzające się z cienia urwistej skały. Dwie postaci, które wyglądały jak jedna. Obejmując się mocno kroczyły po migocącym w księżycowej poświacie piachu.

— Uważaj, nasza przyzwoitka! — zawołał Billy. Ashton zachichotała. Cień rozdzielił się. Charles odegnał erotyczne marzenia, ale napięcie w lędźwiach pozostało. Najwyższy czas, aby znowu zajrzeć do Cynthia.

Ashton przygładziła włosy, a Billy wsunął koszulę w spodnie. Charles poczuł, że jest mu go żal. Nie wiedział nic konkretnego o doświadczeniach Ashton, ale podejrzewał to i owo. W najlepszym przypadku — jak sądził jego kuzynka okaże się mistrzynią w draznieniu i będzie podniecała swego wielbiciela tak długo, aż dostanie maślanych oczu. Zresztą on już teraz ma taki wzrok.

W drodze do domu Ashton omawiała plany na jutrzejszy wieczór. Najpierw nazbierają trochę muszli, potem rozpalą na plaży ognisko i ...

— Obawiam się, że jutro wieczorem nie uda się nam tego zrobić — wtrącił Charles. — Billy i ja mamy coś do załatwienia na drugim krańcu wyspy, a tamta sprawa czeka już tak długo, że nie możemy odkładać jej na później.

Billy spojrzął na niego osłupiały.

— Tak? Nawet już nie pamiętam... — Charles trącił go łokciem, aby zamilkł.

Ashton nadaśała się, była nawet nieznośna, bez końca nalegając, aby powiedzieli jej, o co chodzi. Ale Charles uśmiechał się tylko w milczeniu. Billy odprowadził Ashton pod drzwi jej domu przy Beach Road i pędem wrócił na ganek, gdzie Charles siedział wygodnie z jedną nogą wspartą o poręcz.

— Cóż to, u diabła, za dziwne sprawy na drugim końcu wyspy?

— Mój drogi, to wcale nie dziwne. Zamierzam przedstawić cię pannie Cynthia Lackey i jej siostrze Sophie. Jestem pewien, że Sophie nie mniej ochoczo niż jej siostra lubi dogadzać chłopcom,

pod warunkiem że i oni dogodzą jej. Miałaś już chociaż raz jakąś dziewczynę?

— Jasne!

— Ile?

Nieustępliwy wzrok Charlesa sprawił, że Billy przyznał wreszcie:

— No więc dobrze... Nie miałem.

— Tak też myślałem. Postaramy się, abys nigdy nie zapomniał tego lata. — Klepnął przyjaciela po ramieniu. — Zresztą wiem, jaką kobietką jest kuzynka Ashton, a przebywała z tobą sam na sam tak długo, że z pewnością przyda ci się wieczór z panną Sophie, to sprawi ci ulgę, zobaczysz.

Nazajutrz wieczorem pojechali powozem na małą farmę należącą do Lackeyów. Do Newport wrócili dopiero o drugiej nad ranem, a Billy dziękował swemu przyjacielowi, zapewniając go, że istotnie nigdy nie zapomni tego lata.

— Ale mnie bardzo zależy na tym, żeby zobaczyć Południe — powiedziała do George'a Virgilia. — A poza tym oni mnie zaprosili.

— Zaprosili cię, ponieważ wymagała tego uprzejmość, to wszystko! — Dopiero od dwóch dni byli w Lehigh Station, a już po raz czwarty sprzeczali się na temat tej podróży. Na pewno nie chcieliby, żebyś przyjechała i zaczęła ich krytykować, wyśmiewając co chwila sposób, w jaki żyją. Nie wątpię, że obnosiłabyś się z tym po całym Mont Royal. — Gwałtownym ruchem podniósł do góry szeroką, satynową wstążkę, którą niedawno przyniosła do domu. Jako uczestniczka demonstracji sympatyków Partii Wolnej Ziemi w Harrisburgu miała założyć ją w sobotę. Na wstążce widniało hasło partii: „Wolność ziemi — wolność słowa wolność pracy — wolność człowieka”. — Jeśli pozwolę ci pojechać z nami, to tak jakbym wszedł z płonąca pochodnią w głąb lasu podczas największej suszy. Virgilio, byłbym głupcem wyrażając zgodę.

— A jeśli ci przyrzeknę, że będę zachowywała się wzorowo? Czuję, że to dla mnie bardzo ważne, zobaczyć Południe na własne oczy. Jeśli weźmiesz mnie ze sobą, będę zachowywała się jak aniołek. Nie wypowiem ani słowa na temat wolnej ziemi ani niczego, co Mainowie mogliby uznać za obraźliwe.

Spojrzał na nią przez dym z cygara.

— Mówisz poważnie? Będiesz dla nich uprzejma przez cały czas?

— Tak, przyrzekam. Jeśli chcesz, przysięgnę na *Biblię*.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— To niepotrzebne. — Wydał wargi, wypuścił dym i obserwowal go przez chwilę, rozważając stopień ryzyka. Wreszcie powiedział:

- W porządku. Ale przy pierwszym potknięciu odeślę cię do domu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i poczęła całować z radością. Już od dawna nie zachowywała się w tak dziecinny sposób. Przez kilka sekund miał wrażenie, że odzyskał siostrę.

Wieczorem Virgilia długo przewracała się z boku na bok w swoim łóżku, a kiedy wreszcie zasnęła, śniła o czarnoskórych mężczyznach.

28

Hazardowie wyruszyli w drogę w grupie liczącej osiem osób: Maude, George i Constance, dzieci, ich niania, Billy i Virgilia. Z nich wszystkich jedynie Billy oparł się chorobie morskiej, kiedy płynęli po wzburzonych falach w stronę Charleston. Wystarczyło jednak parę dni wypoczynku w domu Coopera, aby cała rodzina wróciła do zdrowia.

Drugiego wieczoru, po kolacji, Judith umiliła im czas grą na fortepianie, a potem wraz z gośćmi przez godzinę śpiewała najrozmaitsze pieśni. W ogólnej zabawie wzięli udział wszyscy oprócz Virgillii, która usprawiedliwiła się jakoś i poszła do swego pokoju.

Statek „Mont Royal” znajdował się właśnie w porcie; przyjmował ładunek bawełny dla odbiorcy w Nowym Jorku. Cooper wprowadził wszystkich na pokład, zwracając ich uwagę na każdy szczegół, od smukłego dziobu po nowocześnie zaprojektowaną śrubę. Goście nie znali się na technicznych nowinkach, nie reagowali więc na nie tak entuzjastycznie, jak może życzyłby sobie Cooper, wyrazili jednak zgodny podziw dla kształtu statku. Był smukły, elegancki i niewątpliwie bardzo nowoczesny.

Cooper zawiózł ich również na James Island, na parcelę, którą zakupił wcześniej.

Zamierzam wykorzystać zyski z C.S.C. i zbudować tu stocznię wyjaśnił. Stocznię, w której powstawałyby statki handlowe. Stocznię, która będzie najlepsza na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Mówisz prawie jak Jankes powiedział George. Obaj roześmiali się.

Cooper i Judith pokazali swoim gościom cały Charleston, łącznie z marmurową płytą pamiątkową na grobie Calhouna pochowanego na cmentarzu kościelnym St. Philipa. Cooper zaproponował Hazardom wzięcie udziału w zebraniu organizacji noszącej nazwę „Koalicja do Walki o Prawa Południa w Charleston”.

- Czy to partia polityczna? — zapytał George.

— Trudno mi odpowiedzieć mruknął Cooper. - Przynajmniej na razie. A z drugiej strony tradycyjne partie znikają z pola widzenia tak szybko, że nie mogą nadążyć. „Wigowie” i „demokraci” to teraz etykiety bez najmniejszego znaczenia.

— A kto zajął ich miejsce? zainteresowała się Virgilia. Ugrupowania dzielące się na obozy. W jednym znajdują się unioniści, ludzie pokroju Boba Toombsa z Georgii, którzy kochają Południe, ale nie są w stanie przełknąć tej gorzkiej pigułki, jaką byłaby secesja. Obóz drugi to krzykacze upominający się o prawa Południa: Yancey, Rhett i przyjaciel Ashton, Huntoon. Tak się składa, że właśnie on wygłosi przemówienie na tym zebraniu. Przypuszczam, że nie spodoba się pani ani jedno słowo z tego, co on powie ta łagodnie zaakcentowana uwaga wywołała na ustach Virgillii sztywny, pozbawiony wesołości uśmiech ale dzięki temu będzie pani miała sposobność zapoznania się z nastrojami, które panują w Charleston.

Zaproszenie przyjęli jedynie George i jego siostra. George obawiał się, że Virgilia, wbrew przyrzeczeniu, urządzi jakąś scenę, a może nawet w trakcie przemówienia zacznie wykrzykiwać jakieś obraźliwe słowa, ona jednak siedziała spokojnie na swoim miejscu, zatopiona we własnych myślach, jakby nie zainteresowana tym, co dzieje się na sali. Kiedy Huntoon zaczął ogłaszać z trybuny potrzebę istnienia „olbrzymiej, utrzymującej niewolnictwo republiki od rzeki Potomac po tereny tropikalnego Południa”, szepnęła do George'a, że musi wyjść na świeże powietrze, po czym opuściła salę.

Po schodach zatopionych w półmroku zbiegła na dół do holu. Był tam, tak jak przewidywała. Wraz z innymi stangretami czekał przed głównym wejściem zadziwiająco przystojny czarnoskóry mężczyzna w ciemnej, zamszowej liberii. Dostrzegła go już wcześniej, kiedy otwierał drzwiczki powozu przed swym panem, Huntoonem.

Poczuła, jak nabrzmiewają jej piersi, kiedy, wachlując się koronkową chusteczką, przechadzała się tam i z powrotem, tak aby nikt nie miał wątpliwości, dlaczego opuściła salę. Nad jej górną wargą perlił się pot. Nie mogła oderwać wzroku od Murzyna.

Z otwartych drzwi dochodził ją grzmiący głos Huntoona. Nasze zwyczaje muszą zapanować wszędzie tam, gdzie powiewa flaga amerykańska. Gdyby nasz system miał się skurczyć albo gdyby przestał się rozprzestrzeniać, zyskując uprawomocnienie na coraz to nowych terenach, oznaczałoby to dla nas klęskę. Nie wolno nam do tego dopuścić.

Przerwały mu burzliwe owacje i głośnie okrzyki. Publiczność tupiała jak oszalała. Zgiełk wydobywający się z sali wdzierał się

w jej duszę, potęgując jeszcze ekscytację Virgilia. Ponad ramieniem jakiegoś stangreta spojrzała na wysokiego Murzyna, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

Dostrzegł jej wzrok, nie śmiał jednak okazać zainteresowania białą kobietą z obawy przed karą. Pojęła to i popatrzyła na niego wymownie, wyrażając swe zrozumienie i jeszcze coś. W oczach Murzyna pojawiło się zdumienie, ale po chwili, patrząc przez ramię stojącego przed nim stangreta uśmiechnął się. Zaskoczona, wstrzymała oddech. Na przodzie brakowało mu czterech zębów. A więc był jednym z tych biedaków, których w ten nieludzki sposób naznaczali właściciele.

Jego ciemne, błyszczące oczy spoczęły na moment na jej piersiach. Nogi ugięły się pod nią. Zrozumiał! Stojący obok stangret zainteresował się, na co tamten tak patrzy. Odwrócił się, a widząc białą kobietę zaszokowany spojrzął na swego ziomka i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Jesteś tu! — George zbliżał się do siostry spiesźnie, wołając już z daleka. — Wyszłaś tak nagle, że zaniepokoiłem się. Żle się czujesz?

— Nie, było mi tylko trochę duszno. Ale teraz już lepiej. — Wzięła go pod rękę i wprowadziła do środka.

Nie mogła przestać myśleć o tym wysokim Murzynie. W drodze powrotnej na Tradd Street zapytała, czy brak przednich zębów u niewolnika to jakiś szczególny znak.

— Widziałam jednego, przy powozie.

George nastroszył się, ale Cooper wyjaśnił prawdopodobną przyczynę wyrwania zębów. Wydawało się, że Virgilia słyszy o tym po raz pierwszy, zachowała jednak spokój. Cooper dodał:

— Mężczyzna, którego pani widziała, to z pewnością niewolnik Huntoona, Grady. Taki wysoki, przystojny?

— Przykro mi, ale nie przyjrzałam mu się dokładnie — skłamała Virgilia, zaciskając pod suknią uda. Właśnie na tę informację czekała.

Grady. Upajała się brzmieniem tego imienia, kiedy wieczorem zapadała w sen. Ciepły wiatr roznosił po pokoju zapachy z ogrodu. Słodka woń i wilgotne powietrze potęgowały jej żądzę aż do bólu.

— Grady — szeptała w ciemności. Wiedziała, że nie zobaczy go już nigdy, pragnęła jednak, żeby stało się coś, co umożliwiłoby spotkanie.

Kiedy Hazardowie przybyli do Mont Royal, ochłodziło się. Jaskrawe, ale padające już ukośnie promienie październikowego słońca nadawały dniom urok melancholii, ale był to urok, z którego Billy nie zdawał sobie sprawy. Nie dostrzegął niczego ani nikogo oprócz Ashton.

Każdą wolną chwilę spędzał z nią. Często objeżdżali razem plantację, jakkolwiek podejrzewał, że większość z tego, co mu opowiada, to jej wymysły. Czuł, że uprawa ryżu to coś, na czym dziewczyna się nie zna i co nie interesuje jej w najmniejszym stopniu.

Osiedle niewolników zafascynowało Billy'ego w sposób niemal chorobliwy. Murzyny odpowiadali na jego spojrzenia posępnym, pełnym rozpaczki wzrokiem. Czasem rozlegał się śmiech, zdarzało się to jednak rzadko. Po raz pierwszy zaczął rozumieć, dlaczego Virgilia, Constance i reszta rodziny krytykowali istnienie tego systemu.

W przeszłości jego postawa była odbiciem ich zachowań: poprawna, lecz pozbawiona emocji. Przejazdźka brudną uliczką pomiędzy dwoma rzędami prymitywnych chat zmieniła jego stosunek do problemu. Jeżeli niewolnicy byli rzeczywiście tak beztroscy i szczęśliwi, jak twierdzili Południowcy, to na tej plantacji było to cholernie mało widoczne. Ogarnął go gniew. Coś tu było nie tak. I ta świadomość była jak drzazga w stopie, tkwiąca na tyle płytko, by nie mobilizować go do działania, ale jednak wywołująca nieustanny ból.

Podobne wrażenie odnosił w obecności Ashton. Początkowo nie potrafił określić powodu, dla którego czuł się w jej towarzystwie trochę nieswojo. Z pewnością było to podniecenie, ale seks, częściowo za sprawą owej dziewczyny z Newport, z którą zabawiał się na sianie w stodole jej ojca, był już pozbawiony uroku tajemniczości. W pierwszej chwili, kiedy rozebrał się przed Sophie, ogarnęło go zakłopotanie, ale potem przyznał w duchu, że chwile spędzone z nią były rzeczywiście nadzwyczaj upojne.

Ashton była nadal jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek widział. I jeśli nie grzeszyła nadmiarem inteligencji, to w każdym razie natura obdarzyła ją sprytem i niezwykle ciętym językiem. Tym, co niepokoilo go najbardziej doszedł do tego przekonania już pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Mont Royal — był osobliwy sposób, w jaki go całowała, dotykała jego twarzy lub spoglądała w oczy. Było w niej coś dorosłego; tak, to odpowiednie określenie. A przecież skończyła dopiero piętnaście lat.

Na cześć gości w sobotni wieczór Orry zaaranżował piknik. Kiedy zapadł chłodny zmierzch, zaczęli zjeżdżać się krewni i sąsiedzi, wśród nich pewna atrakcyjna kobieta, pani LaMotte, do której Orry zdawał się odnosić z jakąś szczególną estymą. Większość czasu spędzała z dala od męża stojącego nie opodal i otoczeniu kilku mężczyzn; sądząc po ich przytłumionych głosach i rubasznym rechocie zapewne opowiadali sobie jakieś sprośne historyjki.

Po zapadnięciu zmroku pochodnie wetknięte w ziemię oświetliły murawę, odstrasżając zarazem owady. Billy i Ashton opuścili rozbawione towarzystwo i trzymając się za ręce zeszli nad rzekę.

— To wspaniale, że jesteś szepnęła, kiedy stanęli na przystani, wpatrując się w pomarszczoną od wiatru powierzchnię wody. — Długo jeszcze zostaniesz?

George mówił, że wyjedziemy za tydzień albo jakoś tak.

— Bardzo się cieszę. Ale trochę mi smutno.

— Smutno? Czemu?

— Kiedy jesteś tak blisko mnie...

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Światło dalekich pochodni odbijało się w jej źrenicach, zapalając ostre błyski.

— Tak?

— Kiedy jesteśmy blisko siebie, jak teraz, muszę stale walczyć z własnymi uczuciami. Chciałabym poczuć cię jeszcze bliżej. — Przywarła do niego piersiami, ustami, a potem całym ciałem. Wargi, które muskały jego twarz, wyszeptaly: — O wiele bliżej niż to przystoi.

Chciał ją pocałować, kiedy raptem poczuł coś poniżej pasa. Wielki Boże! Opuściła rękę, aby chwycić go przez spodnie i bieliznę. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby ziemia rozstąpiła mu się pod nogami.

Powtarzając raz po raz jego imię, zacisnęła mocno dłoń i zaczęła całować go jak szalona. Szybko opanował zaskoczenie i odwzajemnił pocałunek. Lewą ręką objęła go za szyję, podczas gdy prawa ścisnęła go, uparcie i rytmicznie. Ruchy jej warg i dłoni doprowadziły niebawem do żenującego zakończenia. Poczula, jak nagle zeszytywniał w jej ramionach.

Odskoczyła, przyciskając dłoń do ust.

— Mój Boże, powiedz, czyżbym...?

Stał w milczeniu, niezdolny do wymówienia choćby słowa, straszliwie upokorzony. Odwrócił się w stronę rzeki.

— Billy, tak mi przykro, najdroższy. Nie mogłam się opanować.

— Już dobrze — mruknął.

Pięć minut później nadeszli Brett i Charles, szukali ich. Billy musiał zaakceptować obecność przyjaciela i Brett, czy chciał tego, czy nie. Na szczęście włożył dziś grube, wełniane, wzorzyste spodnie, gdyby więc nawet ktoś był na tyle niegrzeczny i zapytał go, co się stało, mógł wyjaśnić, że po prostu wylał na nie trochę ponczu.

Podeszli do pozostałych gości. Nikt o nic nie zapytał. Ale zachowanie Ashton pozostawiło niezatarte wrażenie. Była zbyt doświadczona. Właśnie to dręczyło go przez całą noc i kilka następnych dni. Jak na tak młodą dziewczynę była zbyt doświadczona.

Jak na to wpadła? Rozważając różne możliwości poczuł, że ogarnia go zazdrość. Zapraǳił dowiedzieć się, gdzie i od kogo nauczyła się tego wszystkiego, póki co uświadomił sobie jedynie, że ich znajomość kończy się. Zrobiło mu się ciężko na sercu, ale jednocześnie poczuł ulgę.

Pogoda zepsuła się, było szaro i duszno. Pomiędzy Billym i Ashton poczęło dochodzić do drobnych nieporozumień. Nie pojmowała na przykład tego, co powiedział, mimo iż powtórzył to dwa razy, jemu natomiast kamyk w bucie nie pozwalał iść tak szybko, jak ona sobie życzyła. Błahe spory irytujące oboje, psujące wszystko.

Koniec nastąpił pewnej upalnej, cichej soboty. Obojgu nie przychodziło do głowy nic, czym mogliby się zająć, aby zabić nudę. Wreszcie wyruszyli na przechadzkę wzdłuż nasypu oddzielającego rzekę od pól. Po kilku minutach Ashton usiadła, nie bacząc na to, że ubrudzi sobie suknię. Przysiadł obok niej i wtedy bez żadnego wstępu zapytała:

— Zależy ci na tym, aby w przyszłym roku zacząć naukę na Akademii?

— Tak.

— Wydaje mi się, że mężczyzna mógłby znaleźć sobie coś lepszego do roboty.

Spojrzał na nią z ukosa.

— Dlaczego łamiesz sobie nad tym głowę? Nie jesteś mężczyzną.

Jej oczy zabłysły, nie było w nich może wrogości, nie dostrzegł jednak również ciepła, które widział przez całe lato.

Nie, ale mam go poślubić — odparła.

I wiesz już dokładnie, czego się po nim spodziewasz, prawda?

— Wiem, czego oczekuję od samej siebie. Wiem, czego chcę, i on musi mi to dać.

Rozmowa stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Czyżby domyślała się już, że Billy pragnie się wycofać? Ale mimo wszystko nie chciał z nią walczyć. Uśmiechnął się mając nadzieję, że to rozładuje napięcie. Imitując palcem ołówek, przytknął go do dłoni.

— To może spisujemy listę pani życzeń, panno Main?

— Nie żartuj sobie, Billy. Mam teraz piętnaście lat. Za pięć lat osiągnę prawie połowę mego życia. Ty też.

Spowaźniał od razu.

— To prawda.

— Jeśli będziesz szedł przez życie bez planu, niczego nie osiągniesz. Zamierzam poślubić mężczyznę, który ma dużo

pieniędzy, a przynajmniej tyle, żebym była pewna, że nie chodzi mu o moje. Ale jeszcze ważniejsze jest to, żeby był kimś. Kongresmanem. Gubernatorem. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby był prezydentem. Nadszedł czas, aby prezydentem został ktoś z Południa.

— Stary Zach Taylor pochodził z Luizjany.

— Też coś! Był bardziej Jankesem niż ty. W każdym razie... chcę zostać żoną człowieka, który posiada władzę i wpływy.

Wszystko było więc jasne, nie musiał już nic dodawać. Mężczyzna, którego chciała poślubić, miał realizować przede wszystkim jej cele, nawet gdyby nie pokrywały się z jego własnymi dążeniami. Jej ciemne oczy zabłyśły, kiedy oświadczyła:

— Oczywiście żołnierz również może stać się kimś ważnym i słynnym. Weźmy na przykład generała Scotta. Albo tego Jankesa z New Hampshire, który może zostanie prezydentem... jak on się nazywa?

— Pierce. Generał Franklin Pierce.

— Właśnie. — Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. — Czy będziesz takim żołnierzem?

A więc to koniec. Wiedział o tym.

Nie — odparł.

Nie liczyła się z taką odpowiedzią, z tak definitywną odmową. Jej uśmiech przygasł, stał się raptem nieśmiały. Oparła się o niego, muskając piersiami jego ramię, tak jakby chciała mu przypomnieć, co może zaoferować mężczyźnie.

— Jestem pewna, że mógłbyś, gdybyś tylko chciał.

— Nie mam tak dużych aspiracji. — Wstał i otrzepał spodnie z piachu. — Wracamy? Wygląda na to, że zaraz spadnie deszcz.

Do domu wracali w milczeniu. Ona była oszołomiona i markotna, jego zaś raptem ogarnęło nie znane mu dotychczas uczucie spokoju. Ashton zaoferowała samą siebie i wymieniła cenę. Była zbyt przebiegła i niebezpieczna jak na niego. Cofnął się znad skraju przepaści i dlatego czuł teraz ulgę.

Nagły poryw wiatru zerwał liście ze stojących w pobliżu domu dębów i obsypał nimi młodych w tym samym momencie, kiedy natknęli się na Orry'ego; nadzorował pracę kilku niewolników, którzy zamykali okiennice i zabijali je gwoździami.

Cooper przysłał właśnie jednego ze swoich ludzi z Charleston — wyjaśnił Orry. — Wpływające do portu statki meldują o sztormie, który szaleje o sto mil od brzegu. Kazalem już ostrzec inne plantacje. Możemy tu mieć niebawem huragan.

Ashton podciągnęła spódnicę i puściła się pędem do domu. Orry odprowadzał ją wzrokiem, drapiąc się po brodzie.

— Wygląda na to, że pierwszy poryw huraganu mamy już w domu.

Uśmiech Billy'ego nie wyrażał nic. —
Czy nie widziałeś Charlesa?

Następnego ranka Ashton była uosobieniem pogody i słodyczy. Lekkim krokiem weszła do jadalni i zajęła miejsce obok. Billy'ego, który właśnie kończył jeść ostatni plaster wędzonej szynki. Poglaskała go po dłoni.

— Co dziś robimy?

Odsunął krzesło.

— Charles zabiera mnie na polowanie. Z łukiem i strzałami. Zobaczymy się jutro.

Kiedy wyszedł, poczuła, że coś skręca jej wnętrzności. Żałowała słów, które powiedziała mu nad rzeką. Właściwie miał to być test, chciała sprawdzić, z jakiej gliny jest ulepiony i jaka jest jej władza nad nim. I nawet nie zależało jej na tym specjalnie: kochała go. Kochałaby go, nawet gdyby pozostał porucznikiem do końca życia. Dla niego bez namysłu zrezygnowałaby ze swych marzeń, z ambicji — ze wszystkiego.

Miała jednak wrażenie, że teraz to już nie ma znaczenia.

Billy nachylił się nad grzbietem konia, wyteżając wzrok. Strugi deszczu ograniczały widoczność do kilku stóp. Drzewa trzeszczały. Gałęzie pękały i ulatywały z wiatrem. Było dopiero wczesne popołudnie, ale niebo przybrało już barwę posępanej, trochę niesamowitej szarości.

— To ten dom - krzyknął jadący przodem Charles. Billy nie widział nic, tylko poruszający się w rytm kroków ogon kojnia przyjaciela. Dawno by już zabłądził bez Charlesa jako przewodnika. Jazda pod wiatr szybko pozbawiła go sił. Charles krzyknął coś ponownie, ale jego słowa zagłuszył przeraźliwy łoskot. Billy podniósł wzrok w tej samej chwili, kiedy olbrzymi konar dębu odłamał się i począł spadać wprost na niego. Spiął konia i guścił się galopem przed siebie, gałęzie drzew smagały jego twarz. Na szczęście zdołał umknąć przed ciężkim konarem.

Przerazony koń stanął dęba. Czyjaś ręka wyłoniła się z mroku, delikatnie pogłaskała konia, uspokajając go. Kiedy najgorsze już minęło, Billy usłyszał głos Charlesa:

— Jak z tobą? Dobrze?

Przelknął ślinę i skinął głową.

Po pięciu minutach byli już w stajni. Pozostałe konie niespokojnie wierzgały. Młodzieńcy przekazali swoje wierzchowce wystraszonym stajennym i odłożyli łuki i strzały na siano; dwaj przemoczeni do suchej nitki, znużeni, niefortunni myśliwi. Przez cały dzień dostrzegli tylko jednego jelenia. Charles pozwolił, aby

Billy strzelił pierwszy, strzała poleciała jednak za wysoko i jelen uciekł. Charles przeciął dół koszuli przyjaciela na dwie części, było to tradycyjne oznakowanie nowicjusza, który chybił.

Porażka zmartwiła nieco Billy'ego, jednak nie zaskoczyła go. Przez cały dzień jego myśli krążyły wokół Ashton, nie dając mu skupić się na niczym innym. Teraz był już w stanie patrzeć na nią bardziej trzeźwo, bez emocji. Była piękną dziewczyną, wzbudzącą pożądanie, ale nie dla niego. Na szczęście odkrył to, zanim pokochał ją naprawdę.

— Dobrze, że sprzątnięto już zbiory — krzyczał Charles, kiedy biegli do domu. — Czasem rzeka wzbiera podczas sztormu do tego stopnia, że słona woda zalewa pola.

— Myślałem, że największe burze zdarzają się w sierpniu albo we wrześniu.

Zazwyczaj tak, ale mogą też nadejść później, nawet w listopadzie.

Dotarli do domu, z ulgą wbiegli do środka i stanęli jak wryci na widok swoich rodzin, zebranych w hallu i spoglądających na nich w napięciu.

— No, przynajmniej wy dwaj jesteście bezpieczni — głos George'a łamał się z emocji.

Billy odgarnął z czoła mokre włosy.

— Co się stało?

Twoja siostra uparła się, że odbędzie przed południem konną przejażdżkę — wyjaśnił Orry. — Wysłałem jednego z moich ludzi, aby jej towarzyszył. Jeszcze nie wrócili.

Billy dostrzegł stojącą przy schodach Brett. Spojrzała nań bojaźliwie, kiedy zapytał Orry'ego:

- Czy mamy osiodłać konie i poszukać ich?

Zadałem już to samo pytanie — powiedział George — ale Orry nie pochwalił tego pomysłu.

- I nie bez powodu — w głosie Orry'ego dało się wyczuć rozdrażnienie, jak gdyby uwaga przyjaciela zirytowała go. — W tych okolicach jest tuzin dróg i jeszcze więcej ścieżek, którymi mogła udać się Virgilia. Nawet nie wiedziałbym, gdzie rozpocząć poszukiwania. A ulewa jest tak gęsta, że mogliśmy przejechać obok dziewczyny i nawet tego nie zauważyć. Ale jeśli chcesz, George, to pojedę.

— Nie, skoro to ryzykowne, to nie. Nie zamierzam się upierać.

— Cuffey to chłopiec godny zaufania — uspokoił zebranych Orry. — Z pewnością znajdzie jakieś schronienie. Nic im się nie stanie.

Gdzieś w górze gwałtowny poryw wiatru oderwał okiennicę, zawirował w pokoju, przewracając meble. Rozległ się łoskot tłuczonego szkła. Clarissa krzyknęła coś przerażona i wbiegła po

schodach na piętro. W ślad za nią podążyła Maude, a potem trzy pokojówki. Brett z zatrwożoną miną stała obok Charlesa. Ash-ton, co Billy zauważył dopiero teraz, nie było w holu.

— Jak to dobrze, że zdążyliście wrócić szepnęła Brett. Dotknęła ramienia kuzyna, ale jej wzrok skierowany był na Billy'ego.

Zamrugał oczyma, tak jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Troska, którą okazywała, zaskoczyła go i uradowała.

Tillet zaprosił obu myśliwych na kieliszek whisky, aby się rozgrzali, na co Charles przystał z entuzjazmem. Billy ruszył za nim. Mijając Brett zatrzymał na niej wzrok. Była jeszcze bardzo młoda, ale ładna. Jej twarz miała w sobie coś delikatnego, czego brakowało Ashton. Uznał, że jest bardzo pociągająca.

Może zwracał do tej pory uwagę na niewłaściwą dziewczynę?

Panienko, wracajmy lepiej do domu — odezwał się Cuffey mniej więcej w godzinę po opuszczeniu Mont Royal.

Nie, to takie ekscytujące! ----- Virgilia starała się przekrzy-
czeć wycie wiatru.

Cuffey skrzywił się, jechał przed nią na starym mule, nie mogła więc dostrzec jego reakcji. Virgilia siedziała w damskim siodle. Ponieważ poprosiła młodego Murzyna, aby pokazał jej jakieś malownicze miejsca nad brzegiem rzeki, prowadził ją w znany sobie zakątek leśnym traktem, który był tylko trochę lepszy od wąskiej, bagnistej ścieżki. Gąszcz zatrzymywał większą część gasnących już promieni słonecznych, nie uchronił jednak jeźdźców przed deszczem, co wskazywało na wyjątkowo dużą siłę wiatru.

Virgilia rozglądała się z coraz większym niepokojem. Jeszcze nigdy nie była świadkiem huraganu. Z drugiej jednak strony, gwałtowność burzy nieoczekiwanie podniecała ją; jej ciało pokryło się potem, gorset uwierał boleśnie.

Cuffey, nie odpowiedziałeś jeszcze na pytanie, które ci zadałam.

Ja niepokoić się burzą, panienko. Nie pamiętać pytania.

Kłamca pomyślała raczej z żalem niż z gniewem. Za nimi jakieś drzewo runęło z trzaskiem, przygniatając zarośla. Poczuli, że ziemia drgnęła.

— Czy panienka może tu poczekać? Cofnę się trochę i zobaczę, czy droga nie jest zatarasowana.

Trącił muła bosymi piętami i przejechał obok Virgilli, obrzucając ją szybkim, spłoszonym spojrzeniem. Był przystojnym chłopcem, mniej więcej w wieku kuzyna Charlesa. Był również inteligentny, chociaż starał się jak mógł, aby tego nie okazywać. Przeraziły go pytania, którymi obsypywała go przez ostatnie pół

godziny. Mainowie zastraszyli go do tego stopnia, że ukrywał, a może nawet zatracił zdolność logicznego myślenia, którym obdarzył go Stwórca. Również dlatego Virgilia nienawidziła tej rodziny i całej przeklętej arystokracji żyjącej dzięki pracy swych niewolników.

Po to, aby przyjechać do Karoliny Południowej i ujrzyć niewolnictwo na własne oczy, musiała udawać przyjaźń i stłumić swoje przekonanie, emocje i pragnienia. Nie zawsze jej się to udawało. Dziś, kiedy ten cholerny, arogancki Orry próbował odwieść ją od zamiaru odbycia przejażdżki, grzecznie, ale stanowczo stawiała mu czoła. Uczyniła to dla zasady, ale również dlatego, że chciała bez przeszkód porozmawiać z niewolnikiem. Na jego terenie. Ale póki co, był to raczej jej monolog.

Niebawem wrócił Cuffey, popędzając muła kijem. Wyglądało na to, że jest zatroskany perspektywą kolejnych chwil w jej towarzystwie.

Nie, nie — uświadomiła sobie po chwili — to nie moja obecność trapi go tak bardzo, to coś innego.

— Panienko, tamto drzewo, kiedy runęło, odsłoniło gniazdo węży. Teraz łąją po całej drodze. Silna burza, boją się jej. I przez to robią się złe. Nie możemy tamtędy wracać. Musimy objechać las, a to zajmie nam z godzinę.

— Nie boję się. Jesteś wspaniałym przewodnikiem.

Nachyliła się i z uśmiechem pogłaskała go po dłoni. Odskokzył tak gwałtownie, jak gdyby dotknął rozżarzonego żelaza. Trącił muła i ruszył przodem.

— Jedyne, co możemy zrobić, to dojechać nad rzekę — mruknął.

— Skoro będziemy wracać tak długo do domu, możesz wykorzystać czas i odpowiedzieć wreszcie na moje pytania. Chciałabym wiedzieć, czy rozumiesz znaczenie słowa „wolność”?

Na moment zaległa cisza, słychać było jedynie szum ulewy. Milczenie przedłużało się.

— Cuffey? — ponagliła go.

— Chyba tak — odparł, nie patrząc na nią.

— Czy wyobrażałeś sobie, co byś odczuwał, będąc człowiekiem wolnym?

— Nie, panienko, nigdy o czymś takim nie myślałem. Tu żyje mi się bardzo dobrze.

— Powtórz to, patrząc mi w oczy.

Nie podniósł na nią wzroku i nie odezwał się nawet słowem.

— Cuffey, mogłabym dać ci pieniądze, gdybyś zechciał stąd uciec.

Zatrzymał muła, rzucając gorączkowe spojrzenia na prawo i lewo, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ktoś nie czai się za ścianą gęstniejącej ulewy.

Ta biedna istota boi się, że ktoś mógłby podsłuchać nas w środku lasu. Niech ich diabli za to, że złamali mu duszę. Do diabła z całą rodziną Mainów, z każdym Południowcem i z Geor-gem! Okazał się człowiekiem bez charakteru; Jankes sympatyzujący z Południem! Zrobi wszystko, aby całą tę bandę spotkała kara!

Cuffey wlepił w nią swe duże, proszące oczy.

— Nigdy bym stąd nie uciekł, panienko. Pan Tillet i pan Orry traktują mnie bardzo dobrze. Jestem szczęśliwy.

Jak smutno, jak rozpaczliwie smutno brzmiały te zapewnie-nia. Machnęła ręką.

— W porządku. Jedźmy już. Rozpadało się na dobre.

Trakt ciemniał coraz bardziej, w miarę jak zagłębiali się w gęsty las. To, co początkowo było zwykłym deszczem, przerodziło się teraz w nawałnicę, która nie zostawiła na niej nawet jednej suchej nitki. Ujrzała raptem dwa jelenie, umykające na zachód. Gęstwina ożyła wieloma szmerami i trzaskami; to spłoszeni ulewą mieszkańcy lasu pierzchali na wszystkie strony.

Virgilia czuła, jak na podobieństwo wznmagającej się wichury rośnie jej gniew. Przywdziała maskę, złożyła fałszywą obietnicę, aby skłonić brata do wzięcia jej ze sobą na Południe. Teraz nie była już tak pewna, czy zdoła spędzić tu resztę czasu, nie potępiając otwarcie tych, którzy okaleczyli ducha Cuffeya i pozabawili go odwagi. Zapragnęła wychłostać ich, zranić...

— Co ty tu robisz, czarnuchu?

Virgilia otrząsnęła się z zadumy, Cuffey dotarł już do skraju lasu i krzyczał teraz do kogoś, kogo nie mogła dojrzeć. Popędziła konia i niebawem znalazła się u jego boku, a wtedy zauważyła wytworny powóz, którego tylne koła aż po osie ugrzęzły w błotnistej kałuży.

Stangret tkwił na wysokim koźle, nie bacząc na strugi deszczu, które zalewały mu obnażoną głowę. Ostentacyjnie pomachał kartką papieru, zawieszoną na szyi na kawałku sznurka.

— Niepotrzebnie tak wrzeszczysz, czarnuchu. Mam przy sobie przepustkę.

Virgilia siedziała bez ruchu. Twarz stangreta była wykrzywiona, tak jakby spodziewał się w ten sposób powstrzymać ściekające po niej krople deszczu. Grymas obnażał zęby. Czterech przednich brakowało.

Pojednawczym tonem Cuffey wyjaśnił:

— Nie poznałem cię, Grady. Co się stało?

— A jak ci się zdaje, do diabła? Starsza pani Huntoon powiedziała, żebym pojechał do Charleston, bo pan Jim potrzebuje powozu. Tłumaczyłem, że burza na pewno podmyje drogi, ale nie chciała mnie słuchać.

W stwierdzeniu wyraźnie zabrzmiał żal, a nawet źle tłumioną

wściekłość. Właścicielom Grady'ego nie udało się go złamać; przynajmniej on pozostał mężczyzną.

Teraz wpatrywał się z zainteresowaniem w Virgilię, widząc to Cuffey powiedział ostrzegawczo:

Ta dama jest gościem w Mont Royal. Przyjechaliśmy tu tamtą drogą, ale teraz pełno na niej węży. Trzeba wracać inną drogą, dłuższą.

— Teraz to lepiej nie — doradził Grady. — A przynajmniej lepiej, żeby pani teraz nie wracała. Za silna burza. Pani wsiądzie do tego powozu, a ja postoję tu i popilnuję. Ty pojedziesz tak szybko, jak tylko potrafisz, do Mont Royal i powiesz im, że pani jest bezpieczna.

Cuffey przygryzł wargę.

— Chyba ty powinienes pojechać.

— Znasz drogę lepiej niż ja. Ty pojedziesz! <>

Cuffey zrobił nieszczęśliwą minę. Najwyraźniej obawiał się kary, która czekała go, gdyby goście przytrafiło się coś złego. Grady był starszy i silniejszy i Cuffey czuł przed nim respekt. Nie zamierzał jednak ustąpić, dopóki nie odezwała się Virgilia, przekrzykując wycie wichury i szum deszczu:

— Tak, Cuffey, jedź. Oni będą się o mnie zamartwiać, będę tu bezpieczna z tym człowiekiem.

• — Dobrze — kiwnął wreszcie głową. Ale ty pilnuj dobrze, Grady. Wrócę tu z którymś z panów tak szybko, jak będę mógł.

Po chwili zniknął w oddali. Kiedy burza zagłuszyła odgłos człapania muła po błotnistej drodze, Grady zsunął się z kozła, po czym nie spuszczać wzroku z Virgili, podszedł do drzwiczek powozu.

— Nie wiem, czy chciałaby pani schronić się w środku. Może jest tu za dużo wody i błota?

— Tak. Zwłaszcza gdyby się okazało, że te drzwi nie zamykają się jak należy. — Jej mina i wyraz oczu miały przekonać go, że nie ma się czego obawiać.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej badawczo, po czym zacisnął dłoń na dolnej części okienka z drzwiczek, i szarpnął z całej siły, rozrywając górne zawiasy. Drzwiczki zawisły na najniższym skórzanym rzemieniu i zsunęły się w kałużę.

Wyciągnął rękę, wskazując na nie.

Teraz na pewno się nie domkną. A do środka dostanie się woda.

— A co... — przełknęła ślinę. — Co, jeśli Cuffey pamięta, że drzwi były całe, kiedy tu podjechał?

— Był zbyt zdenerwowany, żeby o tym pamiętać. A jeśli nawet, to nie powie o tym nikomu. Postaram się o to.

Z podniecenia zakręciło jej się w głowie.

— Dokąd możemy pójść?

- Jakieś pół mili stąd, jeśli iść drogą, stoi stary, opuszczony młyn. Muszę stać tu na warcie, kiedy nadjadą, ale nie myślę, że przybędą prędko. Minie jeszcze kilka godzin. — Obrzucił ją jeszcze raz uważnym spojrzeniem, zebrał cugle i ruszył w stronę traktu.

— Nazywam się Grady.

— Tak. Wiem.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

Stary młyn był pełen pajęczyn i zapachu pleśni. Solidny dach zapewniał dobre schronienie przed niepogodą.

Virgilia czuła zdenerwowanie niczym podrastająca panienska tańcząca swego pierwszego kadryla; niezwykła reakcja jak na nią. Wszystkiemu winien był Grady, miał w sobie coś srogiego, a zarazem szlachetnego. Spostrzegła to mimo zabłoconych rąk i nóg oraz sfatygowanego ubrania.

Z cynicznym uśmiechem zapytał:

— Czemu chce pani to zrobić?

— Grady, Grady przesunęła dłonią po jego grubym, mokrym od deszczu ramieniu nie patrz na mnie w ten sposób. Jestem twoim przyjacielem.

Nie ma takiego białego człowieka czy białej kobiety, którzy byliby przyjaciółmi czarnucha. Nie w Karolinie Południowej.

— Na Północy jest inaczej.

— Pani jest stamtąd?

— Tak. Ludzie na Północy nienawidzą niewolnictwa. Tak jak ja. Należę do organizacji, która pomaga zbiegom rozpocząć nowe życie. Jako ludziom wolnym.

Myślałem już raz czy dwa, żeby uciec na Północ. Ale nie wiedziałem, czy warto ryzykować.

Ujęła oburącz jego ramię i z całych sił zacisnęła palce.

Warto, na pewno warto, uwierz mi.

-- Chce mi pani pomóc, to wszystko?

— Nie szepnęła. Wiesz dobrze, że to nie wszystko.

Uśmiechnął się.

— Zastanawiam się, dlaczego. Nigdy przedtem nie była pani z czarnuchem?

— Nie pochlebiaj sobie!

Odpowiedzią był wybuch śmiechu.

Cóż — powiedział po chwili nie jest pani najładniejszą z kobiet, które widziałem...

Przygryzła wargę. Skwitowała tę obraźliwą uwagę milczeniem. Po prostu chciał jej zademonstrować, kto tu jest górą.

— ... ale za to żadna z nich nie miała w oczach tyle ciepła.

- Delikatnie potarł dłońmi jej policzki. W górę i w dół. — Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zobaczyć panią całą.

W chwilę później, płonąc na całym ciele, Virgilia zsunęła pantalon, ujęła oburącz przód spódnicy i halki. Uniosła je do góry. Uśmiech zniknął z twarzy Grady'ego.

— No, no! Teraz widzę, że byłem wobec pani zbyt surowy. Jest pani wystarczająco ładna.

— Nie, wcale nie. Ale to nieważne.

— Muszę powiedzieć pani prawdę. Nie byłem jeszcze nigdy z białą kobietą.

— A więc chodź — szepnęła i kusząco poruszyła rąbkami spódnicy.

Potem straciła rachubę czasu, wciągając go w siebie znowu i znowu, gdy na zewnątrz szalał huragan.

Po burzliwej i mokrej nocy nastał różowy i cichy ranek. Kiedy tylko się rozwidniło, Orry w towarzystwie George'a, Billy'ego i Cuffeya przyjechał do młyna. Grady stał przed wejściem, jakby na straży.

— Szukamy was od kilku godziny — warknął Orry. — Dla czego nie czekałeś przy powozie?

Grady wyprostował się i odparł z respektem:

— Sir, chciałem tak zrobić. Tak jak powiedziałem pańskiemu czarnuchowi. Ale drzwiczki od powozu były uszko...one, do środka dos...ły się deszcz i błoto. To nie było dobre, suche miejsce dla białej pani. Przypom...łem sobie ten stary młyn i doszliśmy tu jeszcze przed deszczem. Wiedziałem, że będą kłopoty ze znale...niem nas, ale myślałem, że będzie pan jechał tą oto drogą i albo ja zobaczę pana, albo pan mnie. Przez całą noc nie zmru...łem oka. A pani jest w środku i czuje się ...niale. Myślę, że jest głodna, ale poza tym w porządku.

Śmiał się w duchu. Zawsze połykał sylaby, kiedy zwracał się do białych, dzięki temu odnosili wrażenie, że mają do czynienia z jeszcze jednym głupawym, prostolinijnym Murzynem. Podstęp zadziałał wspaniale, jak zwykle zresztą.

Przez wrota młyna wyszła Virgilia, robiąc na widok przyjezdnych minę, jakby kamień spadł jej z serca. Pochwaliła Grady'ego za jego ogładę i lojalność, okazywane przez całą noc. George odetchnął z ulgą i wszedł do środka, aby zabrać jej przemoczone buty i pończochy — jedyne rzeczy, które jak powiedziała, zdjęła do spania.

Największe szkody huragan wyrządził na samym wybrzeżu. Przechodząc nad Ashley i Mont Royal był wprawdzie tak silny,

że wrywał drzewa z korzeniami, blokując drogi, ale na samej plantacji i w jej pobliżu uszkodził zaledwie parę dachów i mebli — zwłaszcza tam, gdzie deszcz wdarł się do domu przez potraskane szyby. Fala przyływu okazała się zbyt słaba, aby wypchnąć słoną wodę wyżej, na pola uprawne. W gruncie rzeczy Mainowie mogli się cieszyć, że los oszczędził im grozy tej straszliwej burzy.

W środę ostatniego tygodnia wizyty Hazardów Virgilia oświadczyła, że wybiera się statkiem do Charleston na zakupy, zapytała też, czy mogłaby jej towarzyszyć jedna z pokojówek. Clarissa oczywiście wyraziła zgodę. Maude zainteresowała się wyprawą córki. Czy nie może zrobić zakupów, kiedy wszyscy pojedą do Charleston, aby wsiąść na parowiec? Nie, odparła Virgilia z uśmiechem, to niemożliwe. Matka zrozumie dlaczego, kiedy wróci ze sprawunkami.

Zachowanie Virgilia jest nieco zagadkowe pomyślała Maude. — Ale ostatecznie Virgilia zachowuje się dziwnie przez cały czas tej wizyty. To znaczy zachowuje się poprawnie. A może chce kupić w Charleston jakieś upominki dla Mainów?

Maude również myślała o prezentach, zamierzała je jednak wysłać po powrocie do Lehigh Station. Skoro córka czuje potrzebę wyrażenia swej wdzięczności za gościnę wcześniej, to nic się na to nie poradzi. Niech jedzie. Zmiana w postawie Virgilia była zbyt pożądana, aby można było ingerować w jej decyzje.

Zgubienie przywoitki, niewolnicy wypożyczonej przez Clarissę, okazało się sprawą trudniejszą, niż przypuszczała. Gnana żądzą Virgilia musiała poczekać, aż dziewczyna przyśnie na swoim sienniku. Trwało to dłużej, niż oczekiwała. Wreszcie wymknęła się z hotelowego pokoju i zbiegła po schodach.

Samotna biała kobieta przebiegająca przez Meeting Street ścigała na siebie uwagę kilku spóźnionych przechodniów, nie przejmowała się tym jednak; byli to nieznajomi, których i tak nigdy więcej nie spotka. A zresztą jej rozbudzona niedawno namiętność była silniejsza niż obawa przed zdemaskowaniem.

W alejce w pobliżu Dock Street Theater natknęła się na Grady'ego, który krył się w mroku bramy. Wtedy, we młynie, uzgodnili dokładny czas i miejsce tego spotkania. Na jej widok warknął:

— Spóźniłaś się!

— Nie mogłam wcześniej. Miałaś jakieś kłopoty, wychodząc z domu?

— Nie, z tym nie mam nigdy kłopotów, ale pora, kiedy niewolnikom nie wolno oddalać się od domu, minęła już pół godziny temu. Moja przepustka jest już nieważna. Od dwóch

tygodni. Powinniśmy coś wymyślić, żeby móc się spotykać za dnia.

— Ale w dzień nie moglibyśmy tego robić. — Objęła go oburącz za szyję i poczęła obsypywać pocałunkami. — Może musielibyśmy czekać całymi miesiącami, zanim udałoby mi się zorganizować dla ciebie przerzut. Ale my postanowiliśmy uczynić to teraz. Postanowiliśmy wspólnie, rozumiesz?

— Tak — kiwnął głową.

Pocałowała go ponownie, a potem otworzyła torebkę.

— Proszę. To wszystkie pieniądze, które mam. Na tej karte czce jest adres w Filadelfii. To dom moich przyjaciół, kwakrów. Tam będziesz bezpieczny.

Niezdeterminowanie obracał kartkę w palcach.

— Nie potrafię tego przeczytać. W ogóle nie potrafię czytać.

— Och, mój Boże! Nie pomyślałam o tym.

— Ale potrafię dojrzeć Gwiazdę Polarną na czystym niebie.

— Oczywiście! A kiedy zabłądzisz na dobre, pytaj o drogę w kościołach. Kościoły nie zawsze są bezpiecznym miejscem dla zbiegów, ale nie przychodzi mi do głowy nic lepszego. A teraz co do jedzenia. Umiesz liczyć?

Potrząsnął głową.

— A więc mogą cię oszukać, gdybyś chciał kupić coś do jedzenia, bo nie znasz się na pieniądzach. Co gorsza, to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Mniejszym ryzykiem byłaby już chyba kradzież. Sam musisz zdecydować.

W jej głosie wyczuł strach, poklepał ją lekko po ramieniu. Dostanę się tam, nie ma obawy. Mam swoje powody, żeby dostać się na Północ. I to teraz.

Znowu przyłgnęli do siebie w długim, namiętym uścisku. Przywarła policzkiem do jego schludnej, roboczej koszuli.

Oczywiście, Grady. Masz wiele powodów. Tam będę mogła nauczyć cię czytać i rachować. Kupimy ci nowe zęby, a wtedy będziesz najprzystojniejszym mężczyzną na ziemi.

Odchyliła się trochę do tyłu i spojrzała na niego, usiłując coś dojrzeć w słabym świetle latarni stojącej na końcu alejki. Och, tak bardzo cię kocham!

Uświadomienie sobie tego faktu zaskoczyło ją. Dlaczego tak się stało? Czyżby dlatego, że chciała zrobić na złość Mainom i ludziom ich pokroju? Ponieważ chciała udowodnić, że jest zdolna do zaangażowania się bez reszty w jakąś sprawę? Zapewne i jedno, i drugie, ale było jeszcze coś więcej.

Uśmiechając się z zakłopotaniem szepnął:

-- Czasem wydaje mi się, że i ty, i ja będziemy smażyć się za to w piekle.

Uśmiech nie zdołał ukryć jego zatroskania. Zapragnęła rozweselić go jakoś.

— W piekle dla białych czy czarnych?
— Jasne, że dla białych. Słyszałem, że jest tam dużo lepiej. Ale w ostatecznym rozrachunku wychodzi na to samo.
— Nie dla nas. Będziemy żyli razem szczęśliwie i rozsądnie. I niech tylko George lub jemu podobni spróbują nam w tym przeszkodzić!

Przy końcu alejki pojawił się jakiś cień, zamigotało oko latarni.

— Kto tam?

— Gorączkowo szepnęła:

— Uciekaj, Grady!

Momentalnie zniknęła w ciemności.

Policzyła do dziesięciu. Serce biło jej jak oszalałe, kiedy patrzyła na zbliżający się cień. Odrzuciła torebkę jak najdalej od siebie, po czym zawołała:

Strażnik! Tutaj. Jakiś chłopiec ukradł mi torebkę i pobiegł za nim.

Dała Grady'emu wszystkie pieniądze, które miała, a więc historyjka mogła wydać się prawdziwa. Korpulentny strażnik podbiegł zadyszany, świecąc jej latarnią w oczy. Czarnuch?

Nie, to był biały. Tak z piętnaście lat. W lewym uchu miał mały, złoty kolczyk. Myślę, że to jeden z majtków okrętowych. O, może pan tu poświecić? Zdaje się, że tu coś leży...

Po chwili otwierała torebkę, pokazując strażnikowi jej wnętrze.

Zabrał wszystko, co do centa. Jakaż ja byłam głupia, że wyszłam z hotelu na świeże powietrze. Myślałam jednak, że skoro czarnym nie wolno o tej porze kręcić się po ulicach, biała kobieta może czuć się w Charleston bezpiecznie.

Jej wybieg zdeorientował strażnika. Nie stawiając już żadnych pytań, odprowadził Virgilię do hotelu.

W dwa dni później do Mont Royal zawitał właściciel Grady'ego.

29

Kiedy zaanonsowano gościa, wszyscy siedzieli w jadalni, przy stole, na który Virgilia wykladała prezenty dla gospodarzy. Tylko Tillet zdążył rozwinąć swoją paczuszkę, znalazł w niej wytworny, jedwabny krawat.

Orry odsunął krzesło.

— Przepraszam, zobaczę, o co mu chodzi.

— Nie wiem, czego może od nas chcieć — burknął Tillet. — Myślisz, że to ma coś wspólnego z ucieczką Grady'ego?

— Jak to? — wzruszyła ramionami Clarissa. W tej samej chwili dostrzegła wzrok męża utkwiony w Virgilli, która nie czekając na zaproszenie zajęła miejsce u szczytu stołu. Wydeła przy tym wargi w dziwny sposób.

Tak jakby była bardzo z siebie zadowolona — pomyślała Clarissa.

Również George zauważył minę siostry i zmarszczył brwi. Orry wyszedł do holu.

— Dzień dobry, James.

Wyciągnął rękę na powitanie. Dłoń Huntoona była jak zwykle zwiotczała i zdumiewająco wilgotna. Mimo chłodu gość był pokryty potem; miał nawet zaparowane okulary. Kiedy przetarł je ręką surduta i nerwowym gestem nałożył z powrotem na nos, Orry mimo woli pomyślał o Ashton, dziwiąc się, dlaczego dziewczyna toleruje takiego niezdarę.

— Co pana do nas sprowadza? — zapytał Orry.

— Nie przyjechałem tu ze względów towarzyskich, może pan być tego pewien. Czy wie pan już o tym, że jeden z moich niewolników zbiegł?

— Tak. Grady. Ta wiadomość dotarła już do nas. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania.

— Uważam, że nie jest to tylko przypadek. Czarnuch, który nigdy jeszcze nie okazał najmniejszej nawet oznaki niezadowolenia, decyduje się na ucieczkę właśnie wtedy, kiedy pan podejmuje u siebie gości z Północy.

Orry zeszywniał.

— James, nie sugeruje pan chyba...

— Ja niczego nie sugeruję — przerwał Huntoon. — Stwierdzam fakty.

Przez otwarte drzwi jadalni dostrzegł już Mainów i ich gości. Mówił tak głośno, aby go usłyszeli. W odpowiedzi skrzyknęło krzesło. Orry rozpoznał ciężki chód ojca.

Huntoon mówił dalej:

— Jestem przekonany, że ktoś zachęcił mojego Murzyna do ucieczki. Co więcej, sądzę, że osoba odpowiedzialna za to gości teraz w tym domu.

Cień Tilleta przeciął nikły promień słońca, który wpadał przez okienko nad drzwiami. Pozostali, siedzący jeszcze przed chwilą w jadalni, wyszli za nim do holu. Huntoon spojrzął na nich pośpiesznie.

— Orry, to przecież żadna tajemnica, że jeden z pańskich gości z Północy działa bardzo aktywnie w ruchu, który wznieca nastroje buntownicze wśród czarnuchów z Południa. Tamtej nocy, kiedy zerwała się burza, Grady czuwał albo miał czuwać

nad tym właśnie gościem. — Postąpił krok do przodu, omijając Orry'ego. — Zwracam się teraz wprost do pani, panno Hazard. Czy pomogła pani mojemu niewolnikowi w ucieczce? Orry pochwycił go za ramię.

— Chwileczkę, James. Nie może pan wpadać tu tak po prostu i zwracać się do moich gości tonem sędziego. Zdaję sobie sprawę, że poniósł pan sporą stratę finansową, ale to jeszcze nie powód...

— Niech ona odpowie — warknął Huntoon.

Pozostali otaczali go półkolem. Ashton wpatrywała się w Virgilię z nie skrywaną wrogością, Billy również był zirytowany, ale z powodu zachowania Huntoona. Tillet stał z nieszczęśliwą miną, Clarissa wyglądała na zakłopotaną, George był skonsternowany. A jego siostra...

Orry miał wrażenie, jakby wielki kamień ugodził go dotkliwie w brzuch. Virgilia wysunęła wyzywająco podbródek, na jej twarzy malował się bunt.

Orry wziął się w garść.

Nie, James powiedział. — Najpierw musi pan nam podać powód.

Huntoon poczerwieniał z gniewu aż po uszy.

Powód czego?

— Swoich podejrzeń. Trudno mi uwierzyć, że sam domysł sprowadził pana tu, aby szukać winnego.

Z szybkością kota rzucającego się na zdobycz Huntoon odparł:

To nie jest tylko domysł. Po pierwsze, o czym już wspominałem, panna Hazard spędziła całą noc w towarzystwie mojego czarnucha, czego nie uczyniłaby żadna dama z Południa. Ale mniejsza o to. Podejrzewam, że właśnie wtedy napchała mu głowę różnymi buntowniczymi myślami...

— Virgilio, czy zdajesz sobie sprawę z wagi słów tego czło-
wieka? — przerwał mu George.

Uśmiechała się z niezmaconym spokojem.

— Całkowicie.

— A więc, na miłość Boską, powiedz mu, że to nieprawda.

— Dlaczegoż to? Czemu miałabym przywiązywać jakąkolwiek wagę do jego gadaniny?

Uścisk w brzuchu Orry'ego nasilił się jeszcze bardziej; Virgilia nie powiedziała, że jest niewinna. Uświadomił to sobie również George, który wyglądał, jakby był chory.

— Mam jeszcze jeden dowód — mówił dalej Huntoon, mani-
pułując nerwowo przy kłapie surduta. — Z pewnego źródła
wiem, że tej nocy kiedy Grady, posługując się starą przepustką,
którą niestety zapomniałem zniszczyć, uciekł z Charleston,
panna Hazard przebywała w mieście.

Tak, rzeczywiście. Teraz przypomniał to sobie również Orry.

Głos Huntoona stawał się coraz mocniejszy.

— Jej jedyną towarzyszką była czarnoskóra dziewczyna z tej plantacji. Istota o ograniczonym umyśle, co jest typowe dla jej rasy, bardzo naiwna. Poinformowano mnie również, że obudziła się owej nocy krótko po dziewiątej i wtedy zauważyła, że panny Hazard nie ma w pokoju hotelowym. A więc pytam teraz, co mogła robić o tej porze poza hotelem, jeśli nie pomagała memu niewolnikowi w ucieczce? — Energicznie podszedł do Virgilio.

— Dlaczego pani nie odpowiada, panno Hazard?

— Właśnie — odezwała się Ashton. — Najwyższa pora, aby za naszą gościnność zrewanżowała się pani wyjawieniem prawdy.

Tillet pociągnął ją za rękaw.

— Nie mieszaj się do tego.

Ale dziewczyna przemknęła obok i — najwidoczniej deklarując się, po czyjej stoi stronie — wzięła Huntoona pod rękę.

Orry spojrział bacznie na siostrę. Teraz już rozumiał, dlaczego Huntoon przyjechał do Mont Royal. Wezwała go Ashton, która znalazła potwierdzenie swych podejrzeń w najrozmaitszych strzępach informacji. Odkrycie to wstrząsnęło nim, ale nie zaskoczyło. To, że Ashton nie cierpi Virgilio, było widoczne od dłuższego czasu.

W tej samej chwili poczuł, że podziela uczucia siostry. Virgilia nie przestawała się uśmiechać, jej mina była niemal arogancka.

Odchrząknął.

Byłoby wiele pożądane, Virgilio, aby ustosunkowała się pani do tego, co powiedział James.

— Ustosunkować się? Jak?

— Zaprzeczając temu! — eksplodował raptem George.

— Czemu miałabym zaprzeczać?

— Do diabła, Virgilio, przestań się wreszcie uśmiechać. :- George nie zwrócił uwagi na żonę, która westchnęła głośno.

— Nie niszczyć wszystkiego! Powiedz, że to nie ty!

— Nie uczynię tego. Tupnęła z całych sił. — Nie pozwolę się tyranizować i zastraszać przez człowieka, który sam ma nieczyste ręce. Jak *on* śmie prawić mi o winie, skoro traktuje istoty ludzkie jak swoją własność?

W nagłym przypiływie desperacji Constance krzyknęła: Nikt nie zamierza tu wyśmiewać twoich zasad. Musisz być jednak rozsądna. Nie odplacaj wrogością i złymi manierami za uprzejmość państwa Main.

— Przykro mi, Constance, ale zawsze robię to, co dyktuje mi moje własne sumienie.

Ona jest tak samo szalona jak Huntoon — pomyślał Orry.

Adwokat przysunął twarz do policzka Virgilio.

— Zrobiła to pani, prawda? Dlatego nie zaprzecza pani moim oskarżeniom.

Na jej twarz powrócił słodki uśmieszek.

— Tego nigdy się pan nie dowie.

— A co jeszcze ofiarowała pani memu czarnuchowi? Obdarzyła go pani swymi względami? Czy parzyła się pani z tym Murzynem, aby zademonstrować swój egalitaryzm? Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby tak właśnie postąpiła dziwka związana z abolicjonistami.

Billy i jego siostra nigdy się nie rozumieli. Ale ostatnie słowa, nie do pomyślenia w towarzystwie, przepełniły miarę. Billy krzyknął coś i rzucił się na Huntoon.

Ashton zapiszczała i uczyniła ruch, jakby chciała odciągnąć Billy'ego, okazał się jednak zbyt silny. Huntoon odskoczył. Billy, zamiast chwycić go za gardło, zdołał jedynie strącić mu z nosa okulary. Spadły na podłogę, błyskając w promieniach słońca, i pękły z trzaskiem pod butami George'a, który skoczył w ich stronę, aby powstrzymać brata.

— Przestań! Opanuj się! Zostaw go!

To niech nie obraża Virgilia! dyszał ciężko Billy. George stanął przed nim i niczym semafor wznosił rękę. Tillet ujmując w dwa palce potrząskane okulary podał je Huntoonowi. Proszę już iść, James powiedział. Natychmiast! Huntoon począł wymachiwać okularami tuż przed nosem Virgilia.

To przez nią zostałem pozbawiony mojej własności. A ten młody rozbójnik napadł na mnie. Żądam satysfakcji. Wkrótce przysięś tu swoich sekundantów.

— Nie będzie żadnego pojedynku zaoponował Orry.

Kuzyn Charles, który do tej pory stał w milczeniu, skrzywił się rozczarowany.

Billy szarpnął brata za ramię.

— Dlaczego nie? Chciałbym się z nim zmierzyć. Zabiję tego cholernego sukinsyna!

Huntoon głośno przelknął ślinę. Zaskoczona Ashton spojrzała na Billy'ego jakby z podziwem, po czym obróciła się na pięcie i zaczęła wypychać swego konkurenta za drzwi. Odgrażał się jeszcze i wykrzykiwał coś buńczucznie, ale niebawem znalazł się w powozie. Przerażony stangret zaciął konia i bryczka ruszyła gwałtownie. Tumany kurzu przesłoniły frontowe drzwi, drobiny piachu zamigotały w promieniach słońca.

Orry, nie owijając słów w bawełnę, oświadczył gościom:

— Jeśli Huntoon rozgłosi swoje oskarżenie, wywoła to wśród sąsiadów silne poruszenie. Na waszym miejscu wyjechałbym do Charleston jeszcze dziś.

Będziemy gotowi za godzinę — powiedział George. Pchnął Billy'ego w stronę schodów. Virgilia stapała bezszelestnie za nimi, obnosząc się demonstracyjnie ze swą wielkopańs-

ką arogancją. Najbardziej uraziła Orry'ego reakcja przyjaciela na ostrzeżenie. George wyglądał na zagniewanego, był zły na niego! Nie do wiary! Orry potrząsnął głową i zaklął w duchu. Wyszedł przed dom, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

W trzy kwadranse później George, który wziął się już w garść, począł szukać przyjaciela. Znalazł go na werandzie w wiklinowym fotelu. Rodzinny pojazd stał nie opodal, a służba rozmieszczała na jego dachu kufry i walizy, mocując je do biegnącej wkoło barierki.

Orry siedział z nogą opartą na drugim fotelu, prawą dłonią osłaniał oczy. Sprawiał wrażenie załamanego i George, widząc to, odchrząknął zakłopotany. W dłoniach miętosił kapelusz.

Zanim wyjechaliśmy z Pensylwanii, Virgilia obiecała zachowywać się tak, aby nie urazić ciebie i twojej rodziny. Teraz widzę, że nie dotrzymała obietnicy. Może nawet planowała to od samego początku. Kłopot polega na tym, że nie wiem, co z tym teraz począć. Przed chwilą odbyłem z nią rozmowę, nie wykazuje jednak najmniejszej skruchy, a nawet wręcz przeciwnie — jest z siebie dumna. I tego właśnie nie mogę jej wybaczyć.

— Ani ja.

To proste stwierdzenie wywołało rumieniec wstydu na twarzy George'a. Orry wstał gwałtownie, jakby otrząsając się z przygnębienia.

Posłuchaj, wiem, że nie masz z tym nic wspólnego. Grady z pewnością zostanie schwytany, zanim ucieknie gdzieś dalej. Ubolewam nad tym, co się stało, ale nie cofniemy czasu i póki co, nie da się nic zrobić.

— Mogę co najwyżej trzymać moją siostrę z dala od Karoliny Południowej.

— Tak, to jest dobry pomysł.

Patrzyli na siebie zażenowani powstałą sytuacją, ale w końcu górę wzięła przeszłość, to wszystko, co legło u podstaw ich przyjaźni.

George mówił w imieniu ich obu:

— Żyjemy w niedobrych czasach. A zło pogłębia się z każdym dniem. Raz po raz pojawiają się pytania, na które nie ma chyba odpowiedzi. Ale nie chcę, aby te pytania wbiły klin pomiędzy twoją rodzinę a moją.

Orry westchnął.

— Ani ja. I naprawdę nie obarczam cię odpowiedzialnością za zachowanie twojej siostry. — W rzeczywistości mała częśćka jego osoby obwiniała George'a.

— Czy przyjedziesz do nas z rodziną na przyszłe lato? Zrobię wszystko, żeby Virgili nie było wtedy w Newport.

Orry zawahał się przez moment.

— Jeśli nic nie wyniknie... tak. Postaramy się przyjechać.

— Doskonale!

Padli sobie w objęcia. George wcisnął kapelusz na głowę.

— Chyba powinniśmy już ruszać. Zaraz może tu nadjechać Huntoon z całą zgrają wymachującą w powietrzu lassami, aby nas zlinczować.

— Nie mamy tu takiego zwyczaju.

— Uspokój się, Orry. Ja tylko żartowałem.

Orry poczerwieniał.

— Przepraszam. Wydaje mi się, że stałem się za bardzo wrażliwy. Ostatnio to chyba cecha wszystkich Południowców.

Nadeszły Maude i Constance w towarzystwie piastunki prowadzącej dzieci.

— Wszyscy gotowi? — zapytał George.

— Niezupełnie — odparła Constance. Nie możemy znaleźć Billy'ego.

Tymczasem Billy przemierzał szybkim krokiem kryty pasaż łączący dworek z kuchnią. Od jednej ze służących dowiedział się, że Brett pomaga przy pieczeniu.

Billy? Przez chwilę wydawało mu się, że to głos, który chciał usłyszeć. Potem uświadomił sobie, że należy do Ashton. Dziewczyna wyłoniła się zza węgła. Szukałam cię wszędzie.

Opuściła krynolinę, którą uniosła biegnąc, przyjrzała mu się badawczo.

— Wszyscy już ubrani dojazdy... Boże, jakiś ty teraz przystojny!

Przykro mi, że musimy wyjechać w takich okolicznościach.

— Mówił z trudem, niezmiernie zakłopotany jej towarzystwem. — Wiem, że Virgilia nadużyła waszego zaufania, ale mimo to nie mogłem pozwolić, aby twój przyjaciel obrzucał ją obelgami.

Liczył się z ostrą reakcją, ale nic takiego nie nastąpiło. Ku jego zdumieniu nawet przytaknęła energicznie głową.

— Tak, mnie również poniosły nerwy. Nie powinnam była... naprawdę nie potrafię wyjaśnić, czemu tak się zachowałam. Bo musisz wiedzieć, że nie dbam o starego Jamesa Huntoona nawet ociupinkę.

Napięcie ustąpiło nieco, Billy zdołał się nawet uśmiechnąć.

— W takim razie jesteś dobrą aktorką. — Oczywiście zauważył to dużo wcześniej. — Szkoda, że twój brat i George nie dali mi zmierzyć się z Huntoonem. Naprawdę strzelam nieźle.

— Och, James to tchórz, nie stanąłby do pojedynku. Potrafi się tylko przechwalać... tak jak większość polityków, z którymi się zadaje. Ty to co innego...

Przesuwała dłonią po jego przegubie, wsuwając ją pod aksamitny mankiet kurtki. Pragnęła go i chciała powiedzieć mu o tym oczami, układem warg i pieścizotliwym gestem. Usiłowała odzyskać go z powrotem. Bezskutecznie.

— To miłe, że tak myślisz, Ashton, ale teraz muszę już iść. Wstąpię jeszcze do kuchni.

— O, jesteś głodny? — zapytała, zmuszając się do uśmiechu.

— Słyszałam, że dorastający chłopcy są bez przerwy głodni.

— Mówiąc to, zaakcentowała wyraz „chłopcy”.

Splonął rumieńcem.

— Wybacz, pójdę już.

Odwrócił się i oddalił spiesźnie. Pomiedzy nimi wszystko było skończone. Jeżeli ludziła się jeszcze jakąś nadzieją, to owo nagłe pożegnanie musiało rozwiązać ją ostatecznie. Oczy Ashton wypełniły się łzami, które starała się bez powodzenia powstrzymać.

Billy czuł się jak głupiec umykając przed jedną siostrą, aby odnaleźć drugą, zdecydował jednak, że musi porozmawiać z Brett. Ciekawe, jak ona zareaguje... Rozgniewa się? A może zacznie szydzić? Z pewnością jedno albo drugie. Mimo to szedł uparcie do przodu, do dusznej, pełnej gwaru kuchni, w której krzątali się czarni kucharze i unosiły się zapachy pieczonych ciast i grubych platów szynki, smażonej na piecu. W dużych kotłach kipiała zupa. Co jakiś czas przez komin dostawał się podmuch wiatru, napełniając pomieszczenie gryzącym dymem. Pomiedzy jedną taką chmurą a drugą dostrzegł Brett, która ugniatała ciasto.

— Sir, w czym mogłabym panu pomóc? zapytała nagle hoża kucharka o świdrujących oczach, najwidoczniej nie lubiła, kiedy jakiś obcy kręcił się po jej królestwie.

— Chciałbym porozmawiać z panną Main.

Brett podniosła oczy, dostrzegła go i ogarnęło ją zmieszanie. Uniosła fartuszek, aby ztrzeć z twarzy mąkę, a kiedy pobiegła wokół obszernego stołu rzeźniczego, kucharki i ich pomocnice wymieniły znaczące, rozbawione spojrzenia.

Przyszedłem pożegnać się z tobą — oświadczył Billy.

Ogarnęła kosmyki włosów opadające jej na czoło.

— Myślałam, że żegnasz się z Ashton.

— Ona przyjaźni się z panem Huntoonem. — Zakrzuszył się dymem i zakasłał. Brett odruchowo chwyciła go za rękę.

Wyjdźmy na zewnątrz. Tu jest gorąco jak w piekle. — Porównanie świadczyło, że jest albo bardzo śmiała, albo zdenerwowana. Billy wołał przypuszczać, że w grę wchodzi to drugie.

Jesienny wietrzyk przyjemnie orzeźwiał. Z twarzy Brett powoli zniknął rumieniec.

— Na pewno wyglądam okropnie. Nie spodziewałam się, że ktoś tu do mnie przyjdzie.

— Musiałem zobaczyć się z tobą przed wyjazdem. Virgilia zepsuła całą wizytę, ale ja nie chcę, żeby to zniszczyło przyjaźń naszych rodzin. Zwłaszcza że dopiero teraz zaczęliśmy poznawać się tak naprawdę.

Tak myślisz? To...

Najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. Upokorzona tym, co wydawało jej się zupełnym brakiem kobiecego wdzięku, z trudem wykrztusiła te słowa.

Jak okropnie muszę wyglądać — pomyślała ----- cała ubielona mąką i z twarzą upstrzoną drożdżami.

Było jednak tak, jak mu powiedziała — nie liczyła się z możliwością spotkania się z kimś. Wiele razy marzyła, że zwróci na nią uwagę, to prawda, ale, na Boga, nie w momencie, kiedy spocona krząta się po kuchni.

Mam nadzieję, że... że my... również Billy był tak zakłopotany, że nie potrafił sklecić dwóch zdań. W końcu dał za wygraną, roześmiał się i to przełamało lody.

Nikt nie ma do ciebie pretensji o to, co uczyniła twoja siostra — powiedziała Brett.

Spojrzał jej w oczy. Jakie ładne, pozbawione fałszu... Nie była tak porywająco atrakcyjna jak Ashton i nigdy taka nie będzie.

Ale jest ładna — pomyślał jest ładna urodą bardziej prostą i naturalną. Jej nieśmiały, łagodny wzrok i miękki uśmiech jest pełen uroku. To typ urody odpornej na upływ czasu w przeciwieństwie do czarar Ashton. Urok przyciągający wprost do jej serca.

Tak przynajmniej widział ją teraz.

To ładnie, że tak mówisz, Brett. To, co zrobiła Virgilia, było okropne. Ale reszta naszej rodziny pragnie, żebyście wszyscy przyjechali do Newport w przyszłym roku. A ja pomyślałem sobie...

Tylne drzwi dworku otworzyły się, ujrzeni czepek niańki.

— Master Billy? Szukaliśmy pana. Jesteśmy gotowi do odjazdu.

— **We-**

Drzwi zamknęły się z powrotem. Billy zebrał się na odwagę:

— Gdyby Orry miał odwiedzić nas w Newport, czy przyjedziesz razem z nim?

— Mam nadzieję, że tak.

— A póki co... chociaż nie jestem zbyt mocny w piórze... czy mógłbym przysłać ci co jakiś czas krótki list?

— Będzie mi bardzo miło.

Uśmiech na twarzy Brett uradował go. Może zaryzykować

i pocałować ją? Ale zamiast ulec impulsowi, nachylił się, ujął jej dłoń i przylgnął do niej ustami niczym romantyczny rycerz. Potem pobiegł, jak gdyby goniła go horda diabłów, głównie dlatego, aby nie mogła dojrzeć jego zarumienionej twarzy. A Brett przycisnęła ręce do piersi i spoglądała za nim uszczęśliwiona. Dopiero po dłuższej chwili zawróciła do domu.

Padające ukośnie promienie słońca tworzyły na szybach lśniące refleksy. Nie można było dostrzec, czy ktoś stoi za firaną. Ale Ashton nie wiedziała o tym; bojąc się, że siostra odkryje jej obecność, spieszenie cofnęła się spod okna, skąd podglądała całą tę obrzydliwą scenkę pomiędzy Brett i Billym.

Brett niebawem zniknęła z pola widzenia, ale Ashton długo jeszcze tkwiła w bezruchu wpatrzona w okno. Słabnące promienie słoneczne wpadały przez koronkową firanekę, tworząc na jej twarzy wzór przypominający pajęczynę. I tylko zaciśnięte mocno wargi i przymrużone oczy zdradzały szalejącą w jej duszy furję.

— Tato, czego chciał ten człowiek z bokobrodami?

Pytanie zadał mały William Hazard. Patricia siedziała u ojca na kolanach, obejmując go oburącz za szyję i tuląc się sennie. Dzieci miały już na sobie flanelowe pidżamki.

W Belwederze unosił się zapach świątecznej choinki. W salonie mieszał się z wonią płonącego w kominku drewna z jabłoni i przyjemnym aromatem mydła, którym pachniały dzieci.

— Chciał, żebym stał się znowu żołnierzem — odparł George.

Oczy Williama zaiskrzyły się.

— I naprawdę będziesz żołnierzem?

— Nie. Starczy to, co było. A teraz do łóżek, spać! Cmoknął oboje w policzki i poklepał po pupkach, aby skłonić

je do pośpiechu. Constance czekała już w holu. Przesłała mężowi całusa, po czym przytknęła palce do czoła i zabeczwała jak koza. Dzieci zapiszczały i pobiegły do łóżek. Uwielbiały te wieczorne zabawy. Constance udawała raz słonia, raz lwa, czasem żabę, a jej pomysłowość, która zdawała się nie mieć końca, zachwycała dzieci. George nie był tym zaskoczony, on również nie mógł wyjść z podziwu nad talentami żony.

Jednak tego wieczoru, mimo miłych chwil spędzonych z rodziną, George był wytracony z równowagi. Człowiek, który złożył mu wizytę, reprezentował generała milicji w Pensylwanii. Już na wstępie rozmowy oświadczył, że potrzebni są wykwalifikowani oficerowie, aby poczynić niezbędne przygotowania do wojny, która z pewnością wybuchnie w ciągu kilku najbliższych lat.

— Jaka wojna? — zainteresował się George.

— Wojna, która uciszy wreszcie wrogie głosy na Południu. Która zagwarantuje wolność osobistą na nowych terytoriach naszego kraju. — W ten sposób gość ujawnił się jako sympatyk Partii Wolnej Ziemi. Oznajmił, że jeśli George wstąpi do milicji stanowej, zostanie z całą pewnością awansowany na kapitana. — Moi łącznicy z Lehigh Station twierdzą, że cieszy się pan tu dużą popularnością. Jestem przekonany, że fakt ten pomógłby zapomnieć o wadzie, jaką jest pańskie wykształcenie z West Point.

Powiedział to tonem tak lekceważącym, że George z olbrzymim trudem opanował się, aby nie wyrzucić go na śnieg. Pamięć o wojnie w Meksyku przygasła, a opinia publiczna powróciła do dawnej nieufności wobec wojska i tradycyjnej już niechęci do instytucji kształcącej zawodowych oficerów.

Gość okazał się człowiekiem niezwykle upartym i George musiał aż trzykrotnie odrzucać jego propozycję wstąpienia do milicji. W końcu, tracąc panowanie nad sobą, oświadczył, że zniesienie niewolnictwa może zaaprobować jedynie pod warunkiem, że zostanie to dokonane bez użycia siły.

Nigdy nie cierpiał drylu wojskowego, miał też nadzieję, że nie zetknie się z nim więcej. Niechęć ta przybrała na sile pod wpływem postawy gościa i jego szyderczej uwagi na temat niepatriotycznej decyzji George'a, o czym jakoby świadczyła odmowa zabijania innych Amerykanów. W tym momencie George stał się niegrzeczny, a gość czym prędzej opuścił jego dom.

Wizyta sprawiła, że na nowo odżyło kłopotliwe pytanie. Nad odpowiedzią na nie George głowił się bardzo często. W jaki sposób można znieść niewolnictwo na Południu bez uciekania się do przemocy? W trakcie wielu dyskusji na ten temat emocje brały górę nad rozsądkiem. Zatarg przybierał coraz ostrzejszą formę i trwał już za długo. Był tak stary jak kompromisowa linia z 1820 roku biegnąca wzdłuż Missouri, tak odwieczny jak pierwsze statki przybyłe tu z ładunkiem czarnoskórych niewolników.

Przypomniawszy mu się list, do jego napisania zabierał się od paru dni. Może odkładał to dlatego, że nie lubił ukrywania prawdy? Było to jednak konieczne, wiedział o tym. Przeszedł obok pięknie udekorowanej, wysokiej na dziewięć stóp choinki, ale jej widok nie poprawił mu humoru. Z piórem w rękę siedział co najmniej przez dziesięć minut, zanim napisał pierwsze słowa.

*Drogi Orry,
może zdołam jakoś odegnać wspomnienia ostatniej jesieni,
jeśli Cię powiadomię, że moja siostra wyprowadziła się od nas
na moje żądanie. Działalność Yirgillii w najprzeróżniejszych*

organizacjach abolicjonistycznych i jej zachowanie stały się zbyt skandaliczne, abyśmy mogli je dłużej znosić.

Resztę przemilczał. Nie napisał nic o tym, że Grady zdołał bezpiecznie dotrzeć do Filadelfii ani o tym, że Virgilia zaczęła pokazywać się wszędzie ze zbiegłym niewolnikiem. Zamówiła dla niego nową protezę, która miała wypełnić lukę po czterech zębach wyrwanych przez jego dawnego właściciela. Ta właśnie sprawa była powodem sprzeczki z Georem.

Virgilia poprosiła brata o pożyczkę na nowe zęby dla Grady'ego. Wyraził na to zgodę pod warunkiem, że przestanie pokazywać się w jego towarzystwie. Nastąpiła krótka, głośna i przykra wymiana zdań, w efekcie której George polecił siostrze opuścić Lehigh Station. Tym razem Stanley poparł decyzję brata.

Virgilia i jej kochanek mieszkali obecnie w Filadelfii. Żyli w nędzy, jak przypuszczał George. Niektórzy właściciele domów czynszowych odnajmowali pokoje parom, które nie miały ślubu, nigdy jednak w przypadku, gdy kobieta była biała, a mężczyzna czarny.

O przeszłości Grady'ego wiedziano jak dotąd niewiele, chyba tylko tyle, że urodził się w Pensylwanii. Dłużej nie mógł milczeć; targana wewnętrznym konfliktem Virgilia z jednej strony pragnęła uchronić swego kochanka, a z drugiej wykorzystać go do swych planów. Raz czy dwa zażądała nawet, aby wystąpił przed publicznością z przemówieniem, Grady jednak odmówił. Teksty takich przemówień zamieszczała lokalna prasa, a gazety z Północy mogli czytać łapacze niewolników zatrudnieni przez Jamesa Huntoona.

Zbieg wystąpił jednak na prywatnym spotkaniu abolicjonistów z Filadelfii, a jeden z nich, partner handlowy George'a, opowiedział potem zatrwożony, że Grady wzywał do zniesienia niewolnictwa poprzez „bunt, podpalenia, terror i inne skuteczne środki”. George podejrzewał, że autorką całego przemówienia była Virgilia. Bóg jeden wiedział, jakie jeszcze szaleńcze plany przeciw panującemu porządkowi knuli ona i Grady!

Bywały chwile, kiedy żałował, że w ogóle myśli o siostrze. Ale lojalność wobec rodziny nie opuszczała go nigdy — nie zapominał też o słowach, które kiedyś wypowiedziała jego matka: „Miłość pokona nienawiść, przyjdzie na to czas. Musi tak być, o ile mamy przetrwać”.

Właśnie dlatego nie napisał w liście więcej o Gradym. Nowiny mogłyby dojść do uszu Huntoona i skłonić go do wysłania do Filadelfii kilku łapaczy.

Jakż ze mnie hipokryta — pomyślał George.

Kontakty Virgili z dawnym niewolnikiem nie obchodziły go nic a nic, a jednak osłaniał ich, osłaniał zbiegłego Murzyna

i własną siostrę. Nie potrafił inaczej, coś zmuszało go do tego, a jednocześnie dręczyły go wyrzuty sumienia; miał wrażenie, że oszukuje swego przyjaciela.

Boże, jakże nienawidził tego całego zamieszania! Podobnie jak cały naród czuł się coraz bardziej rozdarty.

30

Tej zimy Brett zdobyła nowego adoratora, choć był to niezupełnie jej wybór.

Rodzinę Francisa LaMotte'a cechowało zamiłowanie do hazardu i awantur. Syn przerósł ojca, okazał się młodzieńcem nader urodziwym. Mierzył sześć stóp wzrostu, miał jasne włosy, dumny krok i skłonność do próżniactwa, chyba że w grę wchodziły kieliszki do opróżnienia, konie do szybkiej jazdy lub dziewczęta do zdobycia. Francis miał nadzieję, że jego syn ukończy Cytadelę — stworzoną w 1842 roku stanową kopię uczelni w West Point, ale już po pierwszym semestrze w szkole wojskowej w Charleston Forbes został relegowany za złe wyniki w nauce.

Znużony zbyt łatwymi dziewczętami z niższych sfer i nie zainteresowany zdobyciem Ashton, która budziła w nim strach, Forbes zwrócił uwagę na Brett. W 1852 roku Brett skończyła czternaście lat, w szybkim tempie stawała się kobietą. Zmieniła się jej sylwetka, dziewczyna stała się bardziej zrównoważona. Uświadomiła też sobie siłę własnego uroku.

Forbes udał się do Mont Royal, aby uzyskać zgodę na złożenie jej wizyty. Właściwie powinien był poprosić o to Tilleta, ale patriarcha rodu Mainów coraz bardziej podupadał na zdrowiu, miał trudności z oddychaniem i większość czasu spędzał w łóżku, obowiązki głowy rodziny przejął więc właściwie Orry.

Sąsiedzkie plotki głosiły, że Brett otrzymywała co pewien czas z Pensylwanii listy od młodzieńca, który ostatniej jesieni przebywał z wizytą na plantacji, ale Forbes nie traktował Billy'ego Hazarda jak poważnego rywala. Przebywał zbyt daleko, poza tym jego temperament nie pozwolił mu połączyć się z panienką z Południa. A zresztą, gdyby nawet; Forbes, większy i silniejszy, sprawi mu lanie i przepędzi z tych stron.

Orry miał Forbesowi mniej do zarzucenia niż innym członkom rodziny LaMotte, ale nie darzył go sympatią. Mimo to wyraził zgodę. Zgoda na złożenie wizyty jeszcze nie oznaczała zgody na ślub. Poza tym nie sądził, aby siostra robiła sobie wiele z kurtuazyjnych upominków, jakimi Forbes zaczął ją obsypywać, nie odnosiła się też zbyt serdecznie do niego samego.

Ale Brett sprawiła bratu niespodziankę. Miała ku temu powody. Nawet gdyby nie znała Billy'ego, nie traktowałaby Forbesa jako poważnego konkurenta do swojej ręki. Podobnie jak reszta LaMotte'ów chłopak uważał, że liczy się jedynie jego opinia i wpadał w złość, jeśli ktoś nie zgadzał się z jego zdaniem. Trzeźwy i w dobrym humorze potrafił natomiast być czarujący.

Brett nie umiała określić, na ile poważne są zamiary Billy'ego. Pomiędzy jego krótkimi, niezdarnie skleconymi listami były zawsze długie przerwy, doszła więc do wniosku, że nie można wykluczyć, iż raptem młodzieniec zada się z jakąś Jankeską. Sporadyczne spotkania z Forbesem stanowiły zabezpieczenie przed ewentualnym rozczarowaniem; lubiła Billy'ego bardziej, niż miała odwagę przyznać się do tego.

Forbes był o pięć lat starszy od Brett i o trzy młodszy od tego wymoczek Huntoona. Trudno było porównywać obu kawalerów — adorator Ashton był jak pies na smyczy, podczas gdy Forbes stanowił typ człowieka, który jest panem siebie samego, co Brett uznawała za zaletę.

Ustawicznie musiała opędzać się od chłopaka. „Przestań” — to właśnie słowo wypowiadała najczęściej. Nigdy szorstko, ale zawsze zdecydowanie. Powtórzyła je również teraz. Grała na fortepianie, podczas gdy on stał pochylony nad nią. Zamiast przewrócić stronę nut, opuścił dłoń i delikatnie położył ją na piersi Brett.

— Forbes, powiedziałam, żebyś przestał — zaprotestowała. Chwyliła wachlarz i trzepnęła go po dłoni. — Dlaczego uparłeś się traktować mnie jak jedną z tych miejskich dziewczek, z którymi się zadajesz?

Uśmiechnął się.

— Ponieważ jesteś dziesięć razy piękniejsza od każdej z nich i ponieważ pragnę cię dziesięć razy bardziej.

— Pragnąc to słowo, które przystoi tylko mężowi, jemu i tylko jemu.

— Boże, co za język u tak młodej damy!

Ale patrzył na nią z widocznym upodobaniem. Również ona nie chciała zapewne kończyć tej rozmowy, gdyż poczęła droczyć się z nim:

— Skoro tak bardzo martwi cię mój młody wiek, dlaczego skubiesz mnie ciągle, tak jakbym była starą kurą?

— To silniejsze ode mnie — odparł, przechodząc nieco dalej. Wsparł się łokciami o fortepian i wlepił w nią wzrok. Skuliła się pod jego nieoczekiwane poważnym spojrzeniem. — Brett, szaleję za tobą i ty dobrze o tym wiesz. Niedługo pobierzemy się

Skoczyła na równe nogi.

— Nie licz na to! — zawołała. — Też coś! Nawet nie przyniosłeś mi prezentu, o który prosiłam!

— Posłuchaj, niech to... Nie znam w Charleston nikogo, kto zajmowałby się sprzedażą „Ery Narodowej”. A nawet gdybym znalazł kogoś takiego, nie chciałbym, aby ktoś dźgnął mnie nożem za to, że kupuję tego szmatławca abolicjonistów!

— Ale Forbes... o powieści pani Stowe* piszą teraz we wszystkich gazetach. Ja też chciałbym o niej przeczytać. — Zainteresowanie powieścią wyraził nawet Orry.

— Przeczytać — powtórzył Forbes z pogardą machając ręką.
— Dziewczęta nie powinny czytać. Zgoda, „Godey” i niektóre wiersze pana Timroda nie są szkodliwe. Ale gdyby Bóg chciał naprawdę, aby kobiety były wykształcone, zadbałby o to, aby mogły się uczyć w takich miejscach jak Harvard. Tam jednak nie chcą ich przyjmować i to, jak sądzę, wyjaśnia sprawę.

— To idiotyczne, co mówisz. Idiotyczne i zacofane.

— Diabła tam! Wujek Justin cierpi straszliwie właśnie dlatego, że ciotka Maddie czyta zbyt wiele. Powinnaś zobaczyć, jakie szmatławce sprowadza sobie z Nowego Jorku. Wujka doprowadza to do szału!

— W twojej rodzinie wścieka się każdy, kiedy coś mu się nie podoba. Życzę przyjemnego wieczoru, Forbes — zakończyła raptownie, wybiegając z pokoju.

Stał jak rażony piorunem, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła.

Brett? Poczekaj, do diabła! Nie chciałem przecież...

Ale nie miał już do kogo mówić. Na schodach cichł odgłos jej szybkich kroków.

Uderzył prawą pięścią w lewą dłoń i rozejrzał się dokoła: w holu ujrzał Ashton i Huntoona. Młody prawnik nie miał jeszcze wielu okazji, aby utrzyć nosa komuś tak silnemu jak Forbes. Postanowił nie przepuścić okazji.

— Przeklina pan, przyjacielu? Coś takiego! W ten sposób nie nadskakuje się młodej damie. A już na pewno jej rodzinie. Powinien pan raczej... — Huntoon przełknął momentalnie resztę rad, kiedy Forbes skoczył ku niemu.

— Jeszcze jedno słowo, a stłukę panu tę świńską głowę.

— Pochwycił go za żabot. — Całe to śliczne ubranie spłynie krwią. Przypuszczam, że na sam widok straci pan przytomność.

Szarpnął z całych sił, rozdzierając żabot. Wziął swój kapelusz, laskę i rękawiczki i wypadł w mrok ciepłego, lutowego wieczoru.

— Mój koń, czarnuchu!

Jego ryk był tak donośny, że Ashton wzdrygnęła się z odrazą.

— Zachowuj się jak zwierzę!

* Chodzi o powieść Harriet Beecher-Stowe *Chata Wujka Toma*.

Zupełnie jak zwierzę — przytaknął Huntoon, usiłując doprowadzić do porządku poszarpany żabot. — Nie mogę zrozumieć twojej siostry. Dlaczego ona go toleruje?

Zerknęła z ukosa na jego pełne, błyszczące policzki i niemal przeszył ją dreszcz wstrętu. Uśmiechnęła się słodko i wzięła Huntoona pod ramię.

— Po prostu brak jej ambicji. Ugania się za mężczyznami, którzy są nie niewarci.

Między innymi za tym, którego nadal pragnę.

Niebawem Forbes i Brett pogodzili się. Właściwie była to jej zasługa. Doszła do przekonania, że nie powinna brać na serio niczego, co powie Forbes.

Tej zimy Huntoon składał wizyty w Mont Royal przynajmniej dwa razy w tygodniu. Ale Ashton nie czuła się szczęśliwa. Jej myśli stale krążyły wokół innej osoby. Pewnego popołudnia pośpieszyła za siostrą do wiklinowego kosza, w którym zawsze leżała bieżąca korespondencja. Dobiegła tam pierwsza i pochwyciła zapieczętowaną kopertę.

— O, jeszcze jeden list od Billy'ego! To już drugi w tym miesiącu! Widać, że się stara.

Brett wyciągnęła po niego rękę. Trudno było nie zauważyć zawiści w oczach siostry.

— Ashton, to do mnie!

Ashton roześmiała się i uniosła list nad głową.

— Co mi dasz za niego?

— Jeśli nie przestaniesz się ze mną drażnić, dam ci nauczkę, którą popamiętasz!

Proszę, proszę! Tak jakbym słyszała pana LaMotte'a. -*-
Cisnęła list na podłogę. — Czy Billy wie o nim? Głos Brett drżał z gniewu.

— Idź do diabła!

Ashton osłupiała, nigdy jeszcze nie słyszała, aby siostra użyła wyrażenia choćby w połowie tak bluźnierczego, jak to. Może rzeczywiście posunęła się za daleko. Nie mogła jednak inaczej. Była przygnębiona, a wizyty Huntoona unieszczęśliwiały ją. Za każdym razem próbował zaciągnąć dziewczynę w jakiś kąt, gdzie nie było nikogo, by ją obłapiać. Kiedy stawiała opór, pytał z urazą w głosie:

— Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób, Ashton?

— Bo nie jesteśmy jeszcze po ślubie. To że ty i Orry uzgodniliście, jaki będzie posag, a ja przyrzekłam, że w odpowiednim czasie zostanę twoją żoną, nie upoważnia cię jeszcze do takich poufałości.

Jej nieobliczalna natura była dla niego nie kończącym się

źródłem zdumienia. Bywały chwile, kiedy jego śmiałe zaloty zdawały się sprawiać jej przyjemność, jakkolwiek nigdy nie pozwalała na zbyt wiele. Kiedy indziej odtrącała go zarliwie niczym pruderyjna panienka, co dezorientowało go niepomiernie, zwłaszcza gdy przypominał sobie krążące tu i ówdzie plotki, łączące ją z jakimś mężczyzną z rodziny Smithów.

— Ale pewne prawa mam — powiedział z wyrzutem.

W każdym razie nie teraz. A zresztą, nie mam ochoty sprzeczać się na ten temat.

Jego twarz pokryła się cętkami.

— Czy tak zamierzasz postępować ze mną po ślubie?

— Poczekaj trochę, a przekonasz się.

Dopiero teraz zorientowała się, jak bardzo jest rozdrażniony. Robiła wszystko, aby uświadomić mu, kto tu jest górą, i w swym zapale przekroczyła miarę. Cmoknęła go niedbale.

— Uspokój się, James. Wiesz, że chcę zostać twoją żoną. A wtedy czeka cię wspaniała kariera.

— Stosowna do planów, które już ukułaś?

Tym razem on posunął się za daleko. Zbladła, zeszywniała, cofnęła się kilka kroków.

Mój drogi, stajesz się prawdziwym zrzedą. Ale jeśli zmieniłeś zdanie na temat spraw, o których już rozmawialiśmy...

W tym miejscu urwała. Strategia była doskonała. Wystraszony chwycił ją za rękę.

— Nie, nie. Nie zmieniłem zdania. Chcę, abyś to ty planowała naszą przyszłość. Nie jestem taki jak ten uparty LaMotte i jego rodzinka. Co do mnie, uważam, że żona powinna być partnerem swego męża. Zwłaszcza jeśli ten mężczyzna zamierza zająć się działalnością publiczną.

— Jestem szczęśliwa, James, że tak uważasz! A przecież już teraz masz wpływowych przyjaciół. I będziesz ich miał jeszcze więcej. LaMotte'owie spędzą całe życie na grze w kości i gonitwach konnych, aż wreszcie umrą w zapomnieniu. Nie tak jak państwo Huntoon z Karoliny Południowej!

Zachichotał nieco nerwowo.

— Ashton, jesteś doprawdy wspaniała. Mam wrażenie, że gdybym nie był kowalem swego losu, mógłbym bez obawy oddać się w twoje ręce, pozwolić ci podejmować wszelkie decyzje. Sukces czekałby mnie tak czy inaczej.

Tak czy inaczej? Czyżby ten zadufany w sobie typek naprawdę wierzył, że osiągnie sukces dzięki sobie? Może nawet zdoła się jakoś wybić, ale nie zdobędzie prawdziwego rozgłosu bez jej poparcia. Przekona się o tym już wkrótce.

— Masz rację, mój drogi. — Obdarzyła go ciepłym uśmiechem, potem pocałowała, rozchylając wargi.

Trzeba przyznać, że dziś omal nie odkrył prawdy. Wyjdzie za

niego, owszem, ale będzie to małżeństwo oparte wyłącznie na jej warunkach. Ten biedny głupiec podejrzewa to, ale już się z tym pogodził. Oby tylko nie zastanawiał się dłużej nad powodami jej decyzji, gdyż to mogłoby popsuć jej szyki. Dzięki Bogu wiedziała, w jaki sposób skierować jego uwagę na inne tory. W trakcie pocałunku oparła dłoń na jego nodze, przesunęła ją na wewnętrzną stronę uda i poczęła poruszać nią delikatnie i ospale.

Zbliżała się wiosna. Pewnego marcowego wieczoru Orry zamknął się w bibliotece z listem od Billy'ego, który przeczytał już trzy razy. Wciąż jednak nie wiedział, jak ma zareagować.

Siedział wpatrując się przed siebie i ściskając w dłoni list. Cienie wydłużały się coraz bardziej. Wieszak z mundurem i szablą stał w przeciwnym rogu, z każdą chwilą niknąc w półmroku. Tuż przed zapadnięciem ciemności usłyszał tętent konia na alejce przed domem, a niebawem do biblioteki wpadł Charles. Jego płowe bryczesy i płócienna koszula były ciemne od potu, uśmiechał się jednak zadowolony z siebie.

— Gdzie byłeś? — zapytał Orry, chociaż mógł się domyśleć.

— Jechałem na Minxie, tą drogą wzdłuż rzeki.

— Wyścigi, tak? Wygrałeś?

Charles opadł na głęboki fotel i przewiesił nogę przez poręcz.

— Tak, sir. Zostawiłem w tyle Forbesa i Clincha Smitha. Mój koń odsądził się od nich na pół mili. Wygrałem dwadzieścia dolarów. — Wyciągnął z kieszeni garść złotych monet, po brzękując nimi wstał. — Jestem głodny jak wilk. A ty powinienesz zapalić lampę. Ciemno tu jak w jaskini.

Niepotrzebnie to mówię — pomyślał.

Kiedy Orry'ego opadał nastrój zadumy, potrafił przesiedzieć w ciemnościach biblioteki kilka godzin. Służba znajdowała go o wschodzie słońca chrapiącego w najlepsze w fotelu. W pobliżu zawsze stały dzban po whisky i pusty kieliszek.

Orry nigdy nie otrząsnął się po przeżyciach wojennych i nie pogodził się z odniesioną w Meksyku raną. Rozumieli to doskonale nie tylko Charles, ale również wszyscy pozostali mieszkańcy Mont Royal. Ale może nie to było powodem złego nastroju Orry'ego. Może istniała inna przyczyna jego melancholii?

Charles wskazał na list.

— Jakieś złe wieści?

— Nie sądzę. To od Billy'ego. — Orry wyciągnął rękę, podając mu kartkę.

Zaintrygowany zachowaniem Orry'ego Charles zapalił lampę i przeczytał list od przyjaciela. Przed wyjazdem do West Point w czerwcu Billy chciał odwiedzić Mont Royal i — zgodnie

z obyczajem — oficjalnie poprosić o zgodę na zalecanie się do Brett.

— To wspaniale! — wykrzyknął Charles, kiedy przeczytał list do końca. Raptem spoważniał. — Czy Billy może mieć tu jakieś kłopoty... mam na myśli Huntoonów...?

— Nie. Już dawno zapłaciłem im za Grady'ego tysiąc trzysta pięćdziesiąt dolarów właśnie po to, by uniknąć kłopotów. tj

Charles zagwizdał cicho i opadł na fotel.

— Nic o tym nie wiedziałem.

Orry wzruszył ramionami.

— Czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za ich stratę, chciałem też, aby George mógł bez żadnej obawy składać nam w przyszłości wizyty. O tych pieniądzach nie wie nikt oprócz Huntoonów i mego ojca. Ty też zatrzymaj to dla siebie.

— To oczywiste.

— Cena za dobrego Murzyna wzrasta z każdym rokiem: — wyjaśniał dalej Orry. Francis LaMotte przypuszcza, że już niebawem dojdzie do dwóch tysięcy dolarów. W ubiegłym tygodniu „Mercury” zamieścił artykuł wstępny nawołujący do ponownego zalegalizowania handlu niewolnikami. Czytałem też wiele innych artykułów utrzymanych w podobnym tonie... No, ale to teraz nieważne. Mówiliśmy o Billym.

Charles zamachał listem.

— Czy Brett wie o tym?

— Jeszcze nie.

— Ale chyba napiszesz Billy'emu, że się zgadzasz, prawda? Niech przyjedzie i stara się o jej względy.

— Co do drugiej sprawy, nie jestem jeszcze pewien. Billy to wspaniały młodzieniec, ale zamierza zostać oficerem.

— Ja też. W przyszłym roku w lecie zaczynam naukę w West Point, czyżbyś o tym zapomniał? Na Boga, Orry, to przecież ty mnie do tego namówiłeś. Sam mnie zachęcałeś!

— Wiem, wiem — odparł spiesźnie Orry. I cieszę się, że będziesz kadetem. Ale z drugiej strony, od czasu naszej pierwszej dyskusji o Akademii sytuacja w kraju zmieniła się. Na gorsze. Gdyby zaogniła się jeszcze bardziej, przypuszczam, że każdy będzie lojalny przede wszystkim wobec swego rodzinnego stanu. A Billy jest Jankesem.

Myślisz, że może być aż tak poważnie? szepnęła Charles.

— Czasem mam takie wrażenie. Ale moje przypuszczenia nie są jeszcze sprecyzowane. Nie wiem, jak daleko może zajść to wszystko.

— Ale dlaczego przywiązujesz do tego jakąkolwiek wagę? Niezależnie od czynu Virgilia Hazardowie i Mainowie są dobrymi przyjaciółmi. Gdybyś w to nie wierzył... albo nie chciał wierzyć... nie zapłaciłbyś Huntoonom za tego zbiega.

— Chyba masz rację. Mimo to nie chciałbym pchnąć Brett na drogę, na której mogłoby ją spotkać coś złego.

— Wydawało mi się—rzucił zimno Charles — że to j jej wybór.

— Również mój. Teraz, kiedy mój ojciec jest praktycznie przykuty do łóżka, ja jestem głową rodziny.

Sprzeczali się jeszcze przez kilka minut, przy czym Charles starał się, jak mógł, przekonać Orry'ego, aby przystał na prośbę Billy'ego. Prawdę mówiąc, jego argumenty odpowiadały dokładnie przekonaniom Orry'ego. Po prostu grał rolę adwokata diabła. Miał wrażenie, że tak trzeba.

Ale może patrzył na tę sprawę zbyt pesymistycznie? To prawda, istniało wiele czynników, które mogły doprowadzić do konfliktu pomiędzy stanami, były też jednak takie, które pozwalały mieć nadzieję na inny rozwój wydarzeń. Południe odgrywało nadal ważną rolę w życiu narodu. Generał Scott, Wirgińczyk, pozostawał naczelnym dowódcą, Orry czytał niedawno, że Robert Lee, który miał wszelkie szanse objąć stanowisko Scotta, będzie najprawdopodobniej kolejnym dyrektorem Akademii w West Point. Poza tym większość wybitnych członków korpusu oficerskiego pochodziła z Południa.

Cooper twierdził, że w ich regionie znowu rośnie zainteresowanie przemysłem. Wprawdzie podstawowym produktem w dalszym ciągu była uprawiana i zbierana rękami niewolników bawełna, której roczny zbiór wynosił biliony funtów, ale właściciele południowych towarzystw kolejowych skwapliwie budowali nowe linie. Statek „Mont Royal” nie mógł nadążyć z przewożeniem towarów, tak olbrzymie było zapotrzebowanie na tego typu usługi. Cooper wrócił z Anglii pełen entuzjazmu; przyszłość handlu na Południu w ogóle, a jego firmy w szczególności, rysowała się w różowych barwach. Może te nowe prądy zastąpią stopniowo stare, a ludzie dobrej woli odsuną na bok osobników pokroju Rhetta i Huntoona, po czym rozwiążą wszelkie problemy...

Ale w głębi duszy Orry miał co do tego poważne wątpliwości*

— Orry?

Otrząsnął się z zadumy.

— Co takiego?

— Odpowiesz „tak” na oba pytania, prawda? Pozwolisz Billy'emu złożyć nam wizytę i zabiegać o względy Brett?

— Oddam jej ten list i zastanowię się nad wszystkim. Nic mądrzejszego nie mogę uczynić.

Charles, nie kryjąc rozczarowania, opuścił bibliotekę.

— Zabronił mi czytać tę powieść — Madeline aż trzęsa się ze złości. — Wyrwał mi ją z ręki i kazał spalić... tak jakbym była małym dzieckiem!

Podeszła na skraj moczarów, Orry naćlał siedział na resztkach fundamentu kaplicy, bębniąc palcami po książce, którą przyniósł na spotkanie. Zawierała osobliwe wiersze dziennikarza z Północy o nazwisku Whitman. Coopef nie szczędził pochwał pod adresem tych bezładnych poematów, twierdząc, że wspaniałe oddają rytm epoki maszyn. Orry uznął, że są trudne, jakkolwiek rzeczywiście dostrzegł w nich ów rytm. Przypominał mu głos werbla.

----- Poproszę George'a, żeby przysłał mi jeden egzemplarz — powiedział. — Ale nie mogę pojąć, dlaczego tak bardzo zależy ci na tym śmieciu.

Odwróciła się gwałtownie.

Na miłość boską, nie mów tak! Jakbym słyszała Justina! Powieść pani Stowe to sukces roku!

Miała rację. George również napisał w liście, że cała jego rodzina zaczytuje się ową łzawą opowieścią o niewolnikach i ich właścicielach, opublikowaną najpierw w odcinkach, a teraźn. wydaną w dwu tomach. Ale mimo poruszenia, które książka wywołała, Orry naprawdę nie interesował się „życiem wśród najniższych”, jak nazwano powieść pani Stowe. Z życiem takim stykał się na co dzień i nie musiał czytać o jego trudach. I tak rozmyślał o tym bardzo często, czując wyrzuty sumienia.

Odpowiadając na uwagę Madeline mruknął:

W tej części kraju nie jest uznawana za sukces roku. Wyrażeniem bardziej trafnym byłoby: „skandal”.

Powinna poczuć się urażona, wiedziała jednak, że Orry martwi się listem Billy'ego, którego każde słowo przedyskutowali wspólnie bardzo dokładnie. Objęła go ramieniem i pocałowała.

— Wszyscy mężczyźni z Karoliny południowej unoszą się z byle powodu. A ja chętnie o tym zapominam, ze szkoda dla siebie.

— Jak mam to rozumieć?

— Kiedy Justin odkrył u mnie tydzień temu egzemplarz *Chaty Wujka Toma*, konsekwencje były bardzo nieprzyjemne.

Wpadł w furie...

Przez co najmniej pół godziny zachowywał się jak niespełna rozumu. Ale nie to było najgorsze. To wszystko wydarzyło się na krótko przed kolacją. Tego dnia Francis gościł u nas i razem z Justinem podczas posiłku wykrzykiwali o potrzebie utworzenia wolnego i niezależnego Południa.

— Bardzo mi przykro, że musiałaś znieść to wszystko.

Nie odrywała wzroku od swych dłoni-

!

— Wcale nie znosiłam. Powiedziałam, że takie hasła nadają się na przemówienie agitacyjne, ale tak naprawdę są po prostu śmieszne. Wiedziałam, że takie odezwanie się to błąd, ale przy tych dwóch czasami nie potrafię utrzymać języka na wodzy. Justin natomiast jest przekonany, że wcześniej czy później zrozumie, gdzie moje miejsce, co oznacza, że nie wolno mi wypowiadać opinii na tematy ważniejsze niż ostatni... — jej głos załamał się. Orry zauważył, że wspomnienie tej sceny sprawia jej duży ból. Cicho dokończyła: — ... niż ostatni krzyk mody w hafcie.

Odłożył tomik Whitmana i ujął jej dłoń.

— Jak Justin zareagował na twoje słowa?

— Okropnie. Zamknął mnie w pokoju na cały dzień i całą noc. Nancy musiała wynieść wszystkie książki, które miałam, i przynosić mi na górę posiłki. Przez cały czas widywałam tylko ją. Musiałam jej nawet podawać nocnik...

Pochyliła głowę i dłonią zakryła oczy.

— Mój Boże, jakie to ponizające!

- Łajdak! Powinienem go zabić!

Spiesznie otarła łzy z policzków.

— Nie chcę stwarzać ci kłopotów. Mówię ci o tym tylko dlatego, że nie mam nikogo innego.

— Gniewałbym się, gdybyś mi nie powiedziała. — Postąpił kilka kroków, rozgarniając nogami chwasty i strząsając z nich krople deszczu, który spadł w ciągu dnia. — Chciałbym porwać cię z tego miejsca. Resolute nie jest twoim domem. To więzienie.

— Masz rację. Coraz mi trudniej akceptować Justina, jeśli mam pozostać sobą. Dawniej miałam szlachetne wyobrażenia na temat honoru i świętości przysięgi małżeńskiej. — Na jej twarzy pojawił się grymas, który miał być uśmiechem. — Justin obrócił to wszystko w żart.

— Odejdź od niego, a ja pójdę i powiem mu...

— Nie, Orry. Na to już za późno. Zbyt wielu ludzi w Resolute ucierpiałoby, gdybym odeszła. Nie jestem w stanie zrobić dla nich wiele, ale lepsze to niż nic. A całą tę udrękę mogę znieść tylko dlatego, że mam ciebie. — Szeleszcząc spodnicami podbiegła do niego po mokrej trawie. — Ciebie.

Objęła Orry'ego oburącz w pasie i spojrzała błyszczącymi od łez oczyma. Potem, w nagłym porywie tęsknoty za czułością, przywarła doń namiętnie, całując raz po raz.

Zanurzył twarz w jej włosach, wdychając ich słodycz. Jego ciało, jak zwykle, odmówiło mu posłuszeństwa. Madeline poczuła jego żądzę i przytuliła się jeszcze mocniej, aby pokazać mu, że i ona go pragnie. Napięcie powstałe przez ich dobrowolną wstrzemięźliwość dręczyło ich do bólu zawsze, kiedy się spotykali, ale dziś stało się nie do zniesienia.

Rozsznurowała gorset i zsunęła bieliznę, odchyliła głowę i zamknęła oczy, a ciało jej ogarnął upojny żar, kiedy Orry począł całować jej piersi.

Nigdy jeszcze nie posunęli się tak daleko. Jedynie siła woli powstrzymała ich przed uczynieniem ostatniego kroku.

— Orry, nie wolno nam... — powiedziała ochryple.

— Tak.

Nie wiedział jednak, jak długo jeszcze wytrzyma kochając ją, pragnąc jej, ale rezygnując ze spełnienia tego pragnienia.

Kilka dni później, już po kolacji, Orry i Charles wyszli na werandę, aby napić się whisky. Zachodzące słońce, przesłonięte lekką mgiełką, oblewało bladoróżową poświatą. Orry siedział w bezruchu, obserwując grę barw na falach rzeki, podczas gdy Charles przeglądał „Mercury”. Od jakiegoś czasu poświęcał codziennie kilka minut na czytanie prasy, co w oczach Orry’ego stanowiło jeszcze jedną — i to pozytywną — oznakę dojrzałości.

Od czasu ostatniego spotkania z Madeline Orry pragnął kobiety. Teraz uznał, że nadeszła pora na kolejną nocną wizytę u dosyć pospolitej, ale za to ognistej wdowy, z którą już dawno doszedł do porozumienia. Jego frustrację pogłębiał fakt, że nie zdecydował jeszcze, co ma odpisać Billy’emu.

Charles złożył gazetę.

— Przeczytałeś już? Orry

potrząsnął głową.

— Huntoon wygłosił jeszcze jedno przemówienie.

— Gdzie tym razem?

— W Atlancie. Co to znaczy: suwe...? O, tu, przeczytaj...; Orry nachylił się, aby rzucić okiem na słowo, po którym

Charles przesunął kciukiem.

— Suwerenność. To senator Douglas ukuł ten wyraz. To znaczy, że na nowych terytoriach kraju żyjący tam ludzie mają prawo sami zdecydować, czy niewolnictwo będzie u nich dozwolone, czy też zakazane.

— Huntoon twierdzi, że to jest nie do przyjęcia, podobnie jak doktryna wolnej ziemi. Tego pojęcia również nie rozumiem.

— Doktryna wolnej ziemi głosi, że Kongres ma moralny obowiązek zakazania niewolnictwa na nowych terytoriach. Bez względu na wolę ludzi. Mogę sobie wyobrazić, co na to powiedział James. — Orry rozpostarł palce i przycisnął je do koszuli niczym wytrawny orator. Jego głos zabrzmiał pompacyjnie:

Opowiadam się po stronie wielkiego Calhouna. Niewolnictwo musi podążać w ślad za naszą flagą. Świętym obowiązkiem Kongresu jest ochrona wszelkiej formy własności... — W tym momencie urwał. — Własność oznacza niewolnictwo — wyjaśnił.

— To jedyna doktryna, którą akceptuje większość naszych sąsiadów.

— A ty co o tym sądzisz?

Orry zbierał przez chwilę myśli.

— Sądzę, że podzielał opinię Douglasa. George też, tak mi się przynajmniej wydaje.

— No cóż, próbowałem dowiedzieć się czegoś o tych sprawach. Sądzę, że to mi się przyda, gdyż w West Point mogą natknąć się na ludzi z różnych części kraju.

— Kwestia nowych terytoriów może eksplodować wcześniej. Niektórzy mówią, że stanie się to jesienią, kiedy wybierzemy nowego prezydenta. Ziemie na zachodzie zapełniają się ludźmi w szalonym tempie, a lojalność zostanie wystawiona na ciężką próbę. Lojalność rodzinna, ale nie tylko — zakończył, obrzucając Charlesa surowym spojrzeniem.

Młodzieniec wyciągnął wygodniej nogi i skierował wzrok na rzekę, na jej falach coraz rzadziej pojawiały się różowe błyski. Nadal się tym trapisz? To dlatego nie odpisałeś jeszcze Billy'emu, prawda?

Orry zmarszczył brwi.

— Skąd wiesz, że nie odpisałem?

— Bo w przeciwnym razie Brett nie kręciłaby się jak chmura gradowa. Może nie powinienem się wtrącać, ale coś mi się zdaje, że chcesz skreślić Billy'ego tylko z jednego powodu: że jest Jankesem. To tak jak... — Przełknął ślinę. Ale musiał dokończyć zdanie. — Tak jak Huntoon. Albo Virgilia Hazard. Wszystkich, którzy są po drugiej stronie, wrzucają do jednego worka.

Osąd Charlesa rzeczywiście zirytował Orry'ego, ale reakcja ta trwała nie dłużej niż parę sekund. Zwyciężył rozsądek. Rozsądek i uczucie, gdyż jeśli Billy zamierzał starać się o rękę jego siostry, oznaczałoby to zacieśnienie więzi pomiędzy obydwiema rodzinami. Więzi, które o mały włos nie rozpadły się z winy Virgilli.

W gęstej brodzie Orry'ego pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Charles, trzeba przyznać, żeś nie w ciemną bity. Cieszę się. — Odetchnął głęboko. — Jeszcze dziś napiszę do Billy'ego. Z pewnością uraduje go ten list. Może miałbyś ochotę powiadomić o tym Brett?

Charles wydał okrzyk radości, z całej siły uściśnął Orry'emu rękę i wbiegł do domu.

Wieczorem Orry napisał list. Poinformował Billy'ego, że będzie mile widziany w Mont Royal, wraz z nim zaprosił resztę rodziny Hazardów.

Oprócz Virgilli — pomyślał, wiedząc, że nie musi tego dodawać.

Obiecał urządzać po przyjeździe gości party albo bal, aby zrekompensować to nieszczęsne zakończenie poprzedniej wizyty.

Napisanie listu sprawiło mu ulgę. Był to krok mały, ale pozytywny. Gdyby przyjaciółom z Północy i Południa nie udało się dojść do porozumienia, w jaki sposób mieliby je osiągnąć ich przedstawiciele siedzący w Waszyngtonie?

Hazardowie przyjęli zaproszenie i przyjechali w środę, w trzecim tygodniu maja. Maude nie towarzyszyła im tym razem; podczas pracy w ogródku skrzyła sobie nogę i musiała zrezygnować z podróży.

Bal w Mont Royal zapowiedziano na sobotę, zaproszenia rozesłano wszystkim sąsiadom.

— Ze względu na twoich gości Justin wolałby zostać w domu — powiedziała Madeline, kiedy spotkała się z Orrym.

Pocałował ją w szyję.

— Niech zostanie. Najważniejsze, żebyś ty przyszła.

— Czy to nie byłoby wspaniale? Ale obawiam się, że nie jest nam dane zaznać aż tyle szczęścia. Justin przyjdzie. Jest przekonany, że odrzucając zaproszenie Mainów, naraziłby się na nieprzyjemne komentarze. Nie licz jednak na to, że będzie miłym gościem.

Pierwszego wieczoru wizyty mężczyźni i kobiety spędzali osobno czas po kolacji. George, rozkoszując się whisky i cygarami, powiedział:

Kiedy jechałem pociągiem przez Wirginię i Karolinę Północną, wszyscy rozprawiali tylko na dwa tematy: powieść pani Stowe w tym miejscu Tillet głośnym sapnięciem wyraził swoją dezaprobatę i secesja.

Ten pomysł mknie po całym stanie jak huragan mruknął Orry. I tak co kilka lat.

Ale tym razem sprawa jest chyba naprawdę poważna wtrącił Charles.

Cooper kołysał kieliszkiem whisky. Razem z żoną i małym Judahem przyjechali około piątej.

Rzeczywiście, huragan. Tylko że dom, który zdmuchnie, należy do nas, do nikogo innego. Niektórzy Południowcy rozu-

mieją to. Na przykład Alexander Stephens. Ale większość tych głupców jest upojona własną retoryką. Nie potrafią zrozumieć, że Unii nie da się rozerwać tak, jakby to był kawałek sznura. Stawka jest zbyt wysoka, aby rząd federalny mógł na to pozwolić, w grę wchodzi ekonomia i emocje. W Charleston słyszałem, jak ludzie mówili o pokojowej secesji. To po prostu śmieszne. Pomieszenie pojęć.

Najwidoczniej jesteś ekspertem w tych sprawach odezwał się sarkastycznie Tillet. Cooper postanowił przyjrzeć się dokładniej zawartości swego kieliszka, a jego ojciec mówił dalej:

Rozłączenie za pomocą środków pokojowych byłoby sprawą idealną, ale jeśli to niemożliwe, jak twierdzisz, to alternatywą jest tylko rozłączenie osiągnięte siłą. Niektóre prawdy są wieczne, Cooper. Lepsza jest śmierć, niż uleganie tyranii.

Cooper podniósł na niego spokojny wzrok i powiedział łagodnie:

— Tak, sir. To właśnie mówią Murzyni za każdym razem, kiedy łapiesz ich po nieudanej próbie ucieczki.

Tillet wstał.

— Proszę mi wybaczyć. Myślałem, że to przyjęcie towarzyskie. Wolnym, chwiejnym krokiem opuścił pokój, po czym zatrzaskał za sobą drzwi.

George siedział zakłopotany.

— Jest mi niezmiernie przykro. To ja sprowokowałem tę dyskusję.

Billy zaprotestował. Poparł go Orry:

— Czyżbyśmy doszli do momentu, kiedy nie można sobie nawet pozwolić na normalną wymianę zdań?

Cooper roześmiał się, ale nic nie wskazywało na to, że jest mu wesoło.

— W tym domu doszliśmy do tego momentu już wiele lat temu. Cały czas łudziłem się nadzieją, że to się zmieni, teraz jednak widzę, jak bardzo się myliłem.

Wyciągnął dłoń z kieliszkiem do Orry'ego, ten zaś dostrzegł w wymuszonym uśmiechu brata dławiący go żal.

— Nalej mi jeszcze, proszę — powiedział. — Nalej do pełna.

Constance klasnęła w dłoń.

— Judith, to wspomniała wiadomość.

Pozostałe kobiety z wyjątkiem Ashton, która siedziała znużona, wpatrując się w sufit, zawtórowały jej. Zebrały się w salonie muzycznym i popijały sherry; Brett otrzymała pozwolenie jedynie na mocną herbatę. Kiedy służba wyniosła puste szklaneczki, Clarissa zapytała:

— Kiedy spodziewasz się rozwiązania, kochanie?
— Jeśli dobrze wyliczyliśmy, za około sześć i pół miesiąca — odparła Judith. — Lekarz zabronił mi podróżować, wykluczył zwłaszcza długie podróże, a Cooper natychmiast go poparł. Pod pewnym względem twój syn jest bardzo konserwatywny — do dała z uśmiechem. — Aż przykro mi o tym mówić, ale w tym roku zamierza udać się do Anglii beze mnie.

— Znowu do Anglii? — zawołała Brett. — Przecież dopiero co stamtąd wróciliście.

— To prawda. Ale, jak wiesz, Cooper jest zafascynowany pomysłami tego słynnego inżyniera, pana Brunela. Rozumieli się wspaniale i Brunel zaprosił go do złożenia kolejnej wizyty, ale już dłuższej. Cooper marzy przecież o budowie...

W sąsiednim pokoju raptem usłyszały podniesione głosy, nawet przekleństwa. Clarissa podbiegła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Gniewny głos Tilleta oddalał się stopniowo.

— Mój Boże! — westchnęła Clarissa, siadając ponownie.
— To mój mąż. Podejrzewam, że właśnie miała miejsce kolejna dyskusja polityczna.

— Ta polityka psuje dziś wszystko — mruknęła Judith.

Clarissa zacisnęła usta.

— Nie chciałabym, aby zepsuła waszą wizytę. Ani dzisiaj szego balu. Niech to będzie radosne przyjęcie, jedno z tych, które wspomina się z prawdziwą przyjemnością. A ponieważ mężczyźni nie zatroszczą się o to, musimy uczynić to my.

Przytaknęły skwapliwie, nawet Ashton kiwnęła głową, aby zachować pozory. Ale myśl o balu na cześć Billy'ego Hazarda i jego rodziny oraz — co gorsza na cześć Brett doprowadzała ją do szału. I z tej wściekłości zrodziła się żądza zemsty na tych wszystkich, którzy wyrządzili jej tak olbrzymią krzywdę.

— Och, och, pchnij!

— Ashton, ja... dyszał równie ciężko jak ona — ...nie chciałbym sprawić ci bólu.

— Do diabła, Forbes, pchnij wreszcie! Do końca. Och, tak!

Ostatnie słowo przerodziło się w jęk. Poprzez narastający szum w uszach Ashton słyszała jakby z oddali turkot nadjeżdżających powozów i dźwięki orkiestry. Forbes i jego rodzina znaleźli się wśród pierwszych gości. Ashton zaczęła się na niego, po czym natychmiast zaciągnęła chłopca w ten ciemny, ustronny kąt stajni.

Niemal trzęsła się z pragnienia mężczyzny, ale nie pierwszego lepszego; miała chętkę akurat na tego, którego chciała się pozbyć Brett. Nie był to jedyny powód, dla którego rzuciła się na Forbesa od razu, kiedy się pojawił. Doszły ją słuchy, że jako kochanek jest

wprost wspaniały. I rzeczywiście nie rozczarował jej pod tym względem; miała wrażenie, że tkwi w niej armatnia lufa.

Stali twarzą do siebie, ona opierała się plecami o ścianę stajni. Nie pamiętała już nawet, w jaki sposób zdołała zadrzeć spódnice i usunąć z drogi resztę szatek. Gorączkowe uderzenia pchały ją wciąż na nowo na ścianę, wydawało się jej, że lewa noga łąda chwila załamie się pod nią. Prawą trzymała na biodrze Forbesa, opierając stopę na jego pośladkach.

Wspólnie osiągnęli punkt kulminacyjny, Ashton przygryzła dolną wargę, aby stłumić własne krzyki, i wbiła paznokcie obu rąk w kark Forbesa. W kilka minut później, gdy ocierał sobie szyję chusteczką, dostrzegł na niej plamy krwi.

— Jak, u diabła, wytłumaczę to teraz innym?

Stał nadal z opuszczonymi spodniami, podczas gdy Ashton, nie tracąc czasu, doprowadziła suknię do porządku.

— Na pewno coś wymyślisz, kochanie. Co byś powiedział na moskity? Dziś wieczorem są szczególnie dokuczliwe. Dwa ugryzły mnie przed chwilą.

— Jasne, to dobry pomysł, pogryzły mnie moskity. — Jeszcze raz przyłożył chustkę do szyi. Zachichotał na poły z podziwem, na poły z respektem.

Wiesz, Ashton, jesteś naprawdę dobra.

— A więc nie żałujesz, że przyszedłeś tu ze mną?

Ani trochę. To było... no, powiem szczerze. To było prawie najlepsze z tego, co przytrafiało mi się do tej pory. Wydeła wargi.

— Tylko tyle? Prawie?

Roześmiał się.

— Masz o sobie wysokie mniemanie, dziewczyno. — Z upodobaniem pieścił przez chwilę jej piersi. — No, dobrze. To było najlepsze.

Dziękuję, Forbes. Ale nie dotykaj mojej sukni, proszę. Jeszcze ją pognieciesz.

Pieczołowicie poprawiła halki i zwiotczałe na słońcu koronki. Właściwie mogła powiedzieć to samo, co on. Jeszcze nigdy nie czuła takiego podniecenia przed stosunkiem i nie była tak w pełni zaspokojona po nim, jak teraz. Działał niemal brutalnie, sprawił jej ból, ale każda sekunda spędzona z nim dała jej rozkosz.

A jednak nie powiedziała mu tego. J«iszcze uderzyłoby mu to do głowy! Lepiej niech się kręci koło niej w niepewności. Zaczęła nucić coś pod nosem.

Wreszcie wykrztusił:

— Spotkasz się ze mną znowu? To znaczy, tak jak teraz?

— Ale nie dziś. Muszę przecież być miła dla tych wszystkich Jankesów, dotrzymać im towarzystwa.

— Jasne, że nie dziś. Chodziło mi o to, czy będziemy się spotykać nadal, dopóki nie wyjdiesz za Jima Huntoona.

Podbiegła do niego, kołyszając krynoliną.

— Forbes, musisz coś zrozumieć. Moje stosunki z panem Jimem Huntoonem można by określić mianem „interesy”. A tak jak z tobą... to dla przyjemności. O ile ludzie zachowują dyskrecję, nie widzę powodu, aby przyjemność nie miała trwać w nieskończoność.

— Czy to znaczy, że nawet kiedy ty i Huntoon...

— Czemu nie? Chyba że wypijesz za dużo, jak ci się to często zdarza, i wypapłasz wszystko, stawiając mnie w kłopotliwej sytuacji. Gdybym choć raz usłyszała, że coś takiego miało miejsce, więcej mnie nie zobaczysz.

— Przysięgam, że nigdy nie powiem o tym nawet słowa. Możesz prosić mnie, o co tylko zechcesz, Ashton... na pewno to uczynię. Boże, jesteś naprawdę wspaniała!

Zanim wymknęli się ze stajni w dwóch różnych kierunkach, pozwoliła pocałować się jeszcze raz. Póki co, była zadowolona z tego, co osiągnęła tego wieczoru. Forbes pomógł jej złagodzić trochę napięcie, które narastało w niej od pewnego czasu. Nie mniej ważny był fakt, że oddał się całkowicie w jej ręce. Jakby weszła w posiadanie nowego niewolnika.

Kiedy biegła po trawniku w stronę jasno oświetlonego dworku, na jej czerwonych wargach błąkał się uśmiech. Miała wrażenie, że pan Forbes LaMotte okaże się w przyszłości doskonałym sprzymierzeńcem.

Tego wieczoru we wszystkich oknach stały kandelabry ze świecami, a na trawnikach rozmieszczono lampiony. Dom nie mógł pomieścić wszystkich przybyłych powozami i konno gości; przechadzali się teraz parami i w większych grupkach na zewnątrz, pomiędzy drzewami lub po alejkach.

Z parteru wyniesiono wszystkie meble oprócz krzeseł. Jadalnię przeznaczono na tańce, do których przygrywała „Orkiestra von Grabowa” z Charleston. Orry wynajął „Eutaw”, aby przywieźć na plantację wszystkich czternastu muzyków i ich instrumenty, a o północy — o ile nie zawiedzie pogoda statek miał zabrać gości na przejażdżkę z kolacją podaną na pokładzie.

Na przybrzeżnej łące ustawiono stoły zjedzeniem i napojami. Niewolnicy wachlarzami odganiaли owady od półmisków z szynką, baraniną i pieczoną wołowiną, kurczakami, ostrygami, krewetkami i krabami. Przygotowano dwieście funtów szynki i podobne ilości innych smakolejków, francuski szampan płynął równie obficie, jak importowane wina francuskie i niemieckie; każdego gatunku było po około czterdzieści skrzynek.

Goście ubrali się elegancko, powietrze wypełniała woń wytwornych perfum i pudru. Fryzury wielu mężczyzn w blasku lampionów błyszczwały od oliwy i zanim upłynęła godzina, Orry mógł zamknąć oczy i, wsłuchując się w ożywiony gwar, uznać przyjęcie za nadzwyczaj udane.

Wieczór był ciepły. W surducie i krawacie Orry czuł się niezręcznie, temperatura zdawała się rosnać z każdą chwilą, a może był to efekt wypitego szampana. W rękę trzymał kieliszek; kiedy go opróżnił, czyjaś czarna, usługująca ręka natychmiast napełniała go z powrotem, czy chciał tego, czy nie.

Nic nie zdołałoby zepsuć mu nastroju. Przyjęcie było dlań symbolem wytworności i elegancji, cech typowych dla jego rodzinnego stanu. Płonące świece, lampiony, smaczne potrawy, wina i muzyka stwarzały miłą atmosferę, sprzyjającą dobremu samopoczuciu. Cały wieczór przepojony był magicznym czarem.

Tillet i George opowiadali zabawne historyjki i raz po raz wybuchali głośnym śmiechem, tak jakby nigdy nie sprzeczały się na temat secesji. Orry ujrzał, jak napełniają kieliszki i oddalają się zgodnym krokiem.

Czerwona na twarzy, zadyszana, zanosząca się ze śmiechu Constance wybiegła z sali tanecznej. Jeden ze Smithów zaprosił ją do polki i zdołał swym czarem przewyciężyć jej skrępowanie. Na bal przybyło wiele kobiet i mężczyzn o nazwisku Smith, nie było jednak wśród nich bliskich krewnych Whitneya Smitha, który zresztą nie przyjął zaproszenia.

Constance tańczyła niezwykle dynamicznie, za co usłyszała komplement od partnera, Clarissa natomiast uściślała ją.

— Tańczysz zupełnie jak dziewczyna z Południa — zawołała z uznaniem. — Jesteś pewna, że nie chciałabyś przenieść się tu?

— Przyjęcie jest tak wspaniałe, a ludzie tak cudowni, że kto wie, może dałabym się namówić?

Orry wyszedł znowu przed dom, oparł się o białą kolumnę popijając szampana i uśmiechając się do gości. W głowie miał już lekki zamęt, ale czuł się wspaniałe. Nie wszyscy jednak podzielali jego nastrój. Cooper nadal rozpamiętywał słowa ojca z poprzedniego wieczoru; świadczyła o tym jego posępna mina, kiedy stał na uboczu, opróżniając swój kieliszek.

Orry podszedł do niego i przyjaznym gestem poklepał po ramieniu, wylewając bratu na rękaw trochę szampana.

— Chodź, zabaw się choć raz! Musisz przyznać, że przyjęcie jest cholernie udane.

— Owszem, udane — przyznał Cooper bez zbyteńnego zachwytu. — Ale byłoby wspaniałe, gdybyśmy zawsze zachowywali się tak życzliwie wobec Jankesów.

Orry spojrział nań ze zdziwieniem.

— Czemuś taki poważny? Jeśli przyjęcie ci się podoba, powinienes się cieszyć.

— Tak się składa, że nie mogę przestać myśleć o kosztach, ponoszonych w takich przypadkach. Możesz bez trudu zauważyć, że nie wszyscy tu się bawią.

Powolnym, majestatycznym gestem dłoni, w której trzymał kieliszek, wskazał mężczyznę w pocie czoła dzwigającego na ramionach dwie ciężkie skrzynki wina. Był to sześćdziesięcioletni lokaj.

Orry aż zatrząsł się ze złości, odwrócił się i odszedł. Jego dobry nastrój prysnął bezpowrotnie. Wszystko, co widział i słyszał, wzmagало teraz jego niezadowolenie i melancholię.

Młody Buli zerwał sznur przytrzymujący kilka lampionów, jeden z nich buchnął ogniem i niemal podpalił suknię ciotki Betsy. Zirytowana ofuknęła krewniaka, kazała mu wsadzić głowę do wody w korycie i trzymać ją tam tak długo, dopóki nie wytrzeźwieje. Winowajca zrobił posepną minę, jak gdyby wziął sobie jej słowa do serca.

Ale to nie wyrzuty sumienia zmieniły wyraz jego twarzy, lecz nadmiar alkoholu w zbolałym żołądku. Stojąc tuż przed ciotką Betsy, młodzieniec zwymiotował. Świadkowie zajścia rozpięrzchli się w popłochu na boki, a jeden z nich zbladł, omal nie tracąc przytomności.

Sytuacja staje się poważna — pomyślał Orry — sprawy przybierają niedobry obrót.

Nieco później natknął się w zatłoczonym domu na Justina LaMotte'a. Justin oparł swój błyszczący but na stojącym opodal krześle, nie bacząc na to, że ktoś chciałby na nim usiąść. Wszystkie pozostałe krzesła były pozajmowane.

...szczerze mówiąc, obojętne, kto otrzyma nominację z ramienia partii — mówił właśnie. — Yancey miał rację. Tradycyjna lojalność partyjna przegniła, stała się czymś cuchnącym. Głosując na wigów, wybiera się partię chorą, jeśli nie martwą. Głosując na demokratów, wiążemy się z organizacją polityczną, która przestała reprezentować interesy tego regionu. Co do mnie, jestem za partią amerykańską. Żadnych imigrantów. Żadnych papistów. I jestem pewien, że wkrótce wśród ich haseł pojawi się zawołanie: Precz z abolicją!

Orry wpatrywał się w jego but z nie budzącą wątpliwości miną. Justin spojrział na gospodarza wzrokiem niemal wzywającym, ale nie zdjął nogi z krzesła. Orry odwrócił się z niesmakiem i poszedł dalej. Dziesięć minut później stał w jadalni, wspierając się o ścianę i patrząc na George'a, który wirował w walcu z Madeline. Wyglądało na to, że czyni to z prawdziwą przyjemnością.

Orry uniósł kieliszek, wylewając sobie na koszulę trochę

szampana. Uświadomił sobie, że jest pijany, ale nie przejmował się tym. Było piętnaście po jedenastej i przyjęcie toczyło się już własnym rozpędem, niezależnie od niego. Nawet gdyby padł nieprzytomny na ziemię, nikt nie zwróciłby na to uwagi.

Ale nie miał zamiaru przewracać się na podłogę. W każdym razie nie teraz, kiedy stał i patrzył na Madeline. Jakaż ona piękna, z jakim wdziękiem tańczyła z jego najlepszym przyjacielem! Jej piersi odcinały się mleczną bielą od szmaragdowego jedwabiu sukni. Ta zieleń doskonale harmonizowała z ciemnymi włosami i oczami. George tańczył z wprawą i zapałem.

Nic dziwnego — pomyślał Orry, opróżniając kolejny kieliszek — w końcu ma tyle rąk, ile trzeba.

Jak bardzo żałował, że jest kaleką. Że nie może poprosić Madeline, aby zatańczyła z nim tego cudownego walca. Że musi ukrywać miłość, która wypełniła jego myśli, jego całego, aż do bólu. Zaciśnął wargi. Ciemne oczy Orry'ego, w których odbijały się miriady gwiazd, zdradzały narastający gniew. Nie podnosząc nawet wzroku, wyciągnął rękę z kieliszkiem. Czarna dłoń z butelką pojawiła się natychmiast, aby go napęłnić, tak jak się spodziewał.

To czarująca partnerka — oświadczył George, kiedy po skończonym tańcu przyprowadził Madeline do Orry'ego. — Nadzwyczaj czarująca. Ale widzę, że Constance mnie szuka. Muszę chyba państwa przeprosić. Pozwolisz, Orry? Pani LaMotte, pani użony sługa.

W gniewu oka oddalił się, pozostawiając u boku przyjaciela zarumienioną i zmieszaną Madeline.

Teraz już wiem, czemu go lubisz — szepnęła. — Jest miły, inteligentny i dowcipny. — Otworzyła koronkowy wachlarz i pomachała nim dla ochłody. — Co za cudowny wieczór. Szkoda, że nie może trwać dłużej.

Zatopił wzrok w jej oczach; był na tyle pijany, że nie dbał o to, czy ktoś zwróci na nich uwagę.

— Nic nie trwa długo, Madeline. Wszystko przemija tak szybko. Miesiące, czas, który nam pozostał...

Zamknęła wachlarz tak gwałtownie, że złamała fiszbinę, a potem, nie patrząc na niego, krzyknęła bezgłośnie:

— Nie!

Ku jego zaskoczeniu cofnęła się o krok, poruszała się jak lalka.

— To prawda, czas umyka. Wszyscy starzejemy się, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Dlaczego, do diabła, mówi tak głośno?

— Czy wiesz, jak zwraca się teraz do mnie syn Francisa,

Forbes? Ciotka Maddie. — Roześmiała się, chociaż mógłby przysiąc, że ma raczej ochotę zapłakać.

— Ach, tu jesteś, moja droga.

Odwrócili się na dźwięk tego głosu, był to Justin.

— Powiedziano mi, że tańczysz z Jankesem — mówił dalej, podchodząc bliżej. — Mam nadzieję, że to już przeszłość.

Na jego twarzy malowało się zdziwienie i wymuszona wesołość, chciał, aby wypowiedziana przed chwilą uwaga pod adresem gości Mainów zabrzmiała obraźliwie. Orry poczuł, że narasta w nim gniew, nie mógł jednak nic uczynić. Uśmiech Justina uczynił z tej uwagi żart, a ten, kto potraktowałby ją poważniej, mógłby zostać uznany za prostaka.

Justin podał żonie ramię.

— Czy nie powinniśmy skosztować kogoś z tych smakołyków, moja droga?

— Tak, idź, Justinie. Ja już...

— Będę nalegał. — Ujął jej prawą rękę i zmusił, aby wzięła go pod ramię. Poczuli się upokorzona, na jej policzki wystąpił ciemny rumieniec. Odchodząc, zdołała jeszcze rzucić Orry'ernu krótkie i tęskne spojrzenie. Jego również dręczyła bolesna, coraz trudniejsza do zniesienia tęsknota.

To nie może tak dłużej trwać. Coś się musi wydarzyć, coś się musi zmienić.

Może nie stanie się to od razu, ani nawet wkrótce, ale intuicja podpowiedziała mu, że zmiana jest nieunikniona. Coś się na pewno wydarzy. Ale czy wyjdzie im to na dobre, czy też sprowadzi na nich nieszczęście?

Napięcie stało się zbyt duże. Odwrócił się gwałtownie, postąpił krok do przodu i cisnął kieliszkiem o ścianę. Odłamki szkła posypały się na podłogę.

Wziął się w garść.

Po co to, u diabła uczynił? Dlatego, że był pijany? Na szczęście nie było tu nikogo, nikt nic nie zauważył. Podniósł rękę, po przegubie ściekała wątła strużka krwi.

Billy i Brett zawirowali w walcu obok Orry'ego. Nie zauważyli go, ani tym bardziej jego zmieszanej miny; w migotliwym blasku świec i chwiejnych płomyków lamp naftowych widzieli jedynie siebie, zatracali się w świetle własnych emocji. Billy pragnął, aby ten taniec i ta wspaniała noc trwały wiecznie.

— Kamelie dostarczono akurat, kiedy zesłam na dół powiedziała Brett. Westchnęła z ulgą. Po raz pierwszy wspomniała o prezencie. — Dostałam ich tak dużo dodała. — Musiały kosztować fortunę.

— Myślę, że Hazardowie mogą sobie na to pozwolić. ,

Natychmiast poczuł się nieswojo. Tylko nadęty głupiec mógł wypowiedzieć taką uwagę. Boże, jak bardzo zawróciła mu w głowie! Te jej błyszczące oczy, sposób, w jaki przechyliła głowę, grymas warg, wcale nie odpychający... George powiedział mu kiedyś, że wielu kadetów z West Point wypowiada się przeciw romantyczności, gdyż od tego tylko mętnieje umysł, co z kolei nie sprzyja nauce. Billy potrafił zrozumieć taki pogląd, ale co do niego było już za późno. Poza tym to, co czuł, sprawiało mu przyjemność.

— W każdym razie — przerwała milczenie — kwiaty są naprawdę śliczne... tak jak intencje ofiarodawcy.

— Dziękuję. Niektóre dziewczęta nie byłyby może tak miłe, aby to powiedzieć.

— Nie wierzę.

— To prawda. Właśnie dlatego uważam, że jesteś inna. Nie flirtujesz ani nie trzymasz innych w niepewności. Mówisz tak, jak myślisz. Między innymi dlatego cię... — urwał w ostatniej chwili, zaczerwienił się — dlatego cię lubię.

— Kiedyś miałam wrażenie, że właśnie to nie podoba ci się we mnie.

Uśmiechnął się.

— Lepiej nie zaczynamy dyskusji o moich dawnych błędach. Było ich tak wiele, że nie starczyłoby nam czasu, aby je omówić.

Och, wcale nie popełniasz błędów. W każdym razie żadnych poważnych.

— Owszem, były i takie. — Kątem oka dostrzegł bladą twarz Ashton. Stała u boku Huntoona, ale spoglądała na niego. — Choć czasem zdarzało mi się również uczynić coś właściwego. Na przykład poprosiłem Orry'ego o zgodę na złożenie ci wizyty. Ale chciałbym odwiedzać cię o wiele częściej niż raz w roku.

Cieszę się, że poprosiłeś o to Orry'ego i że wyraził zgodę. — Ucisnęła mu rękę. — Będę do ciebie często pisała. I może Ofry zawiezie mnie do West Point na wizytę. To nadal bardzo popularna miejscowość wypoczynkowa, prawda?

— Tak słyszałem. Ale nie sędzę, abyś czuła się tu samotna. Ten młody LaMotte będzie się do ciebie zalecał.

— Już nie- Forbes jest przystojny, ale zachowuje się... no, jak ktoś o wiele starszy. Nie będzie mnie już odwiedzał — zakończyła z naciskiem.

— Wie o tym?

— Tak, powiedziałam mu kilka minut temu. Pomyślałam sobie, że tak trzeba po tym, jak ofiarowałaś mi kamelie i... — Zarumieniła się, tak jak on wcześniej. — Billy, nie patrz na mnie tak surowo, bo zaraz się rozplacę. To niemądre z mojej strony, że jestem tak bezpośrednia i mówię to wszystko, ale nic na to nie mogę poradzić, to silniejsze ode mnie... — Na krótki

moment przytuliła się do niego policzkiem i szepnęła: — Lubię cię już od tak dawna. Myślałam, że nigdy tego nie zauważysz.

Odchylił głowę i spojrzał jej w oczy. Tym razem bez najmniejszego trudu odnalazł właściwe słowa:

— Nigdy nie zwrócę uwagi na żadną inną. Nigdy!

Z opróżnionym do połowy kieliszkiem w dłoni Forbes przyglądał się tańczącej parze. Widok ich zakochanych twarzy wywoływał niesmak i wściekłość. Nie zauważył Ashton, która podeszła bliżej, drgnął gwałtownie, kiedy wzięła go pod rękę.

— Forbes, mój drogi, wyglądasz jak stary, rozwścieczony niedźwiedź.

— Tak właśnie się czuję. Spojrzał na kłębiący się za jej plecami tłum. — Gdzie Huntoon?

— Odesłałam go na moment. Chciałam z tobą porozmawiać.

— Świetnie. Mam już dosyć gapienia się na tych dwoje.

Odwrócił się plecami do tańczących i poprowadził Ashton przez ciżbę. Z wdziękiem wymijała grupki gości, uśmiechała się i kiwała głową na prawo i lewo, nie przestając szeptać do niego:

— Co się stało? Myślałam, że dobrze się bawisz.

— Bawiłem. Potem twoja kochana siostrzyczka poinformowała mnie, że woli, abym nie odwiedzał jej więcej.

— Ach, tak? I jak to przyjąłeś?

— Czuję się cholernie urażony.

— Trudno mieć ci to za złe.

— Ashton, nie zrozum mnie źle. Brett nie jest jedyną, która ma... chciałem powiedzieć, że nie jest jedyną kobietą na świecie.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego ramię.

— Wiem, co chciałeś powiedzieć, wstęciuchu. Na dzisiejszy wieczór już znalazłeś sobie inną, prawda?

Odważemnił uśmiech, a na jego twarzy pojawił się lubieżny wyraz.

— To oczywiste. Ale mężczyzna musi też myśleć o ożenku. Sądziłem, że Brett będzie dla mnie odpowiednią żoną. Nie lubię, kiedy mnie odtrącają.

— A jak myślisz, jak ja się czułam, kiedy porzucił mnie pan Hazard?

— Przypuszczam, że tak samo jak ja. Czyżbyś chciała ze mną porozmawiać na ten temat?

— Właśnie, O, tam stoi waza z ponczem. Bądź łaskaw przynieść mi szklaneczkę.

Nie dał się dwa razy prosić. Zanim wyszli przed dom, wypił swój kieliszek i nalał sobie ponowie. Pił łapczywie, potem stanął w rogu werandy i cisnął kieliszek w gąszcz azalii. Bywały chwile, kiedy wydawał się Ashton naprawdę odrażający. Wiedziała

jednak, że właśnie on potrafi spełnić jej pragnienia, nie tylko te cielesne.

Poczęli przechadzać się po trawniku-

— Szczerze mówiąc, Forbes, wcale mnie nie zdziwiło to, co powiedziałaś. Przeczuwałam, że Brett zechce dziś z tobą porozmawiać.

— Jak to?

— Wspomniała o tym, kiedy ubierałyśmy się. Cały czas gdała jak kura. Była tak podniecona, że ujrzy znowu Billy'ego, ze...

— Chryste —jęknął. — Naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego Orry pozwolił, aby jakiś Jankes zalecał się do jego siostry.

— Och, jeśli o to chodzi, zakochał się w całym tym klanie.

— Jeśli Brett chciała żołnierza, czemu nie wybrała sobie kogoś z Cytadeli? I jak, u diabła, może zalecać się do niej Hazard, który będzie siedział w Akademii oddalonej stąd o tysiąc mil?

— Forbes, przestań kłąć! Zwracasz na siebie uwagę. Byłoby lepiej dla naszej sprawy, aby ludzie nie widywali nas razem... teraz czy w przyszłości.

— Dla naszej sprawy? — powtórzył Forbes. — Cóż to znowu?

— Jak to co? Wyrównanie naszych rachunków z Billym i Brett.

Stał jak wryty, spojrzał na nią, po czym odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

— Na Boga, jesteś niezrównana! Rasowa, bezwstydną dziwka!

Uderzyła go wachlarzem w twarz. Cios nie był mocny, ale, jak oczekiwała, poskutkował. Uśmiechała się w dalszym ciągu, ale jej oczy były zimne.

— Przyjmuję to jako komplement. Ale jeśli jeszcze raz zaklniesz albo podniesiesz głos, nie ujrzysz już ani razu tego, na czym ci tak bardzo zależy.

Już dobrze, już dobrze, przepraszam.

— To brzmi dużo lepiej.

Skrećili w stronę rzeki. „Eutaw”, rozświetlona latarniami, odbiła właśnie od brzegu; rozpoczęła się nocna przejażdżka. Na pokładzie przygrywało dwóch skrzypków, wesołe dźwięki muzyki niosły się daleko po ciemnej wodzie.

— A teraz — odezwała się bezstroskim tonem Ashton — wróćmy do naszej rozmowy. Czyżbym myliła się, przypuszczając, że chciałbyś zaspokoć żądzę zemsty?

— Ty przekl... to jest... nie, nie mylisz się. — Wzdrygnął się. Doprawdy, była okropna.

— To wspaniale. Chciałam się tylko upewnić. Będziemy cichymi sprzymierzeńcami. Niebawem prawdopodobnie poślubię Jamesa, ale być żoną i sojuzniczką to dwie różne sprawy. Nie

mówiąc już o tym, że w naszym przymierzu jest jeszcze coś specjalnego... — Zamkniętym wachlarzem przesunęła pieśczołkiwie po jego dłoni. — A raczej może być, o ile będziesz zachowywał się jak należy. Znowu przeszedł go dreszcz.

— Rozumiem. Ale nie jesteś pijana, prawda?

Odsunęła się urażona.

— Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

— Że mówisz o tym, aby przedsięwziąć coś przeciw siostrze.

— To prawda. — Uśmiech powrócił na jej twarz. — Nienawidzę jej.

Zbladł.

— Jezu! — Nie mógł powstrzymać się od tego okrzyku. — No dobrze... Chciałem to tylko wyjaśnić.

Zdawał sobie sprawę, że powinien uciec od niej tak daleko, jak to możliwe. Ale potem pomyślał o tym, co wydarzyło się w stajni. Ponownie zaoferował jej swoje ramię. — Czy mogłabyś mi powiedzieć, w jaki sposób... przełknął ślinę — ...mamy zrobić to, o czym mówiliśmy?

— Nie mogę, bo jeszcze nie wiem. Musimy dopasować nasz plan do okoliczności. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, będziemy gotowi. Nie wolno nam niczego przyspieszać. Musimy czekać z uśmiechem, a potem, kiedy Billy Hazard i moja siostrzyczka będą się tego najmniej spodziewali, odpłacimy im pięknym za nadobne.

Mimo rozmaitych obiekcji Forbes uśmiechnął się. Był to uśmiech nikły i blady, ale Ashton uznała, że jest czarujący.

— Tak, wyrównamy nasze rachunki — mruknął. Wskazał ręką na rzeźbiście oświetlony dom. — Czy mogę prosić o taniec, aby przypieczętować umowę?

— Oczywiście, panie LaMotte. Proszę, pan prowadzi.

32

1 czerwca 1852 roku Billy stanął na nabrzeżu portu północnego w West Point. Rzekę i wzgórze otulała szara, rozgrzana promieniami słońca mgła. Billy usiłował wypatrzeć choć zarys budynków Akademii, przesłaniał je jednak urwisty cypel.

Ciekawe, jak czuł się George, kiedy przybył tu po raz pierwszy. Czy był zdenerwowany jak on? Czy tak samo jak on podekscytowany?

Billy był zdecydowany nie szczędzić trudu w ciągu tych czterech lat. Chciał dostać się do wojsk inżynieryjnych, to zaś

wymagało jak najlepszych ocen. Wiedział, że może osiągnąć swój cel dzięki pracy i odrobinie szczęścia. Poczynił już pierwsze kroki; uczył się pilnie w trakcie podróży, a nawet przed nią. Większą część bagażu stanowiły książki, używane podręczniki, jak: *Algebra* Bourdona, *Geometria i trygonometria* Legendre'a, *Geometria wykreślna* — opracowane na podstawie oryginalnych źródeł przez profesora Daviesa z Akademii Wojskowej.

— Sir, nie ma co tak stać i gapić się na ład. Czy tylko pan przybył tym parowcem? Doskonałe, sir. Proszę umieścić swój bagaż na tym wozie, sir.

Głos i irlandzki akcent należały do pomarszczonego, wyglądającego dosyć nieprzyjemnie małego człowieka w poplamionym mundurze wojskowym. Przybrał dumną postawę, oparł dłoń na rękojeści szabli i chociaż jego wygląd odbiegał od idealnego wizerunku żołnierza, jednak zrobił na Billym duże wrażenie. Billy poczuł dumę; oto stoi w tym samym miejscu, gdzie jego brat stał dziesięć lat temu. Za Jacksona Akademia nie cieszyła się dobrą sławą, ale George był zdania, że to już przeszłość, West Point coraz częściej jest zaliczana do wiodących szkół wojskowych, takich jak Woolwich i Sandhurst w Anglii i St. Cyr i L'Ecole Polytechnique w Paryżu. Właśnie na tej ostatniej uczelni wzorował się stary Thayer, opracowując nowy plan zajęć w West Point.

Sir, nie zamierzam prosić pana jeszcze raz o wydłużenie kroku. Jestem sierżant Owens i chciałbym panu przypomnieć, że znajduje się pan teraz na terenie wojskowym. Proszę zachowywać się stosownie do tej okoliczności!

— Tak jest, sir — odparł Billy i pośpieszył za sierżantem.

Kapitan Elkanah Bent siedział skubiąc dolną wargę. Na akta, które leżały przed nim na biurku, spływał gromadzący mu się na brodzie pot. Mimo iż wszystkie okna staroświeckiego domu z cegieł otwarte były na oścież, korpulentny oficer dusił się z upału.

Dom był jednym z dwóch, które stały na zachodnim skraju Parku Prezydenckiego. Za osiem miesięcy w rezydencji w samym centrum parku miał zamieszkać ktoś inny. W czterdziestym dziewiątym głosowaniu demokraci nominowali Franklina Pierce'a z New Hampshire. Kiedy Pierce w czasie wojny z Meksykiem został mianowany generałem, natychmiast rozległy się głosy, że jest jeszcze jednym politykiem, któremu zależy jedynie na randze w armii. Dał się jednak poznać jako zaskakująco zdolny dowódca i wielu zawodowych oficerów powitało ten wybór z uznaniem.

Wigowie natomiast powiedzieli się za naczelnym dowódcą.

Stary Scott oczekiwał nominacji już w 1848 roku, musiał jednak odczekać te cztery lata. Tym razem uzyskał wymaganą liczbę głosów w pięćdziesiątej trzeciej turze, kiedy prezydentowi Fillmore odmówiła nominacji jego własna partia, o ile wigowie mogli być jeszcze uznani za partię zdolną do istnienia. Takie były fakty, z którymi musiał się liczyć generał Scott. Na arenę polityczną wjeżdżał na zdychającym koniu.

Ale to nic. Kraj w każdym razie miał otrzymać prezydenta z doświadczeniem wojskowym. Może człowiek tego pokroju zdoła pojąć, że zasadniczą misją rządu jest przygotowanie wojny ze zdrajcami podnoszącymi głowy na Południu.

Bent przebywał w Departamencie Wojny od niespełna czterech tygodni, a już zdążył zniechęcić stolicę kraju. Spodziewał się, że tak będzie, akceptując przeniesienie. Waszyngton był gigantycznym placem budowy. Styl architektury i poglądy mieszkańców odpowiadały poglądom Południowców, a całe miasto trapiło roje much, szczury i różnego rodzaju niepożądane robactwo. Bent nie cierpiał wszystkich tych czarnoskórych wyzwolenców, którzy paradowali w miejscach publicznych, tak jakby byli równi białym, nie potrafił też znieść cywilnych biurokratów, urzędników kręcących się bez przerwy tam i z powrotem, jak gdyby chcieli udowodnić, że są niezbędni.

Mimo tych wszystkich niedogodności przeniesienie do Waszyngtonu stanowiło istotny krok naprzód, potrzebny już od dawna. Działalność w sztabie była ważnym doświadczeniem zawodowym. Przez ostatnie trzydzieści cztery miesiące Bent tkwił w mało znaczącej placówce w koszarach w Carlisle. Nowy przydział mógł oznaczać punkt zwrotny w jego karierze, która, nawet jak na czas pokoju, rozwijała się stanowczo zbyt wolno. Wiedział doskonale, komu to zawdzięcza.

Przez biuro generała-adiutanta przechodziły wszystkie dokumenty personalne. Wkrótce po przybyciu na miejsce Bent przejrzał listę osób zatwierdzonych na najbliższy rok do West Point i odkrył nazwisko Charlesa Maina z Karoliny Południowej. Badania wykazały, że Charles Main to kuzyn oficera, dobrego znajomego Benta.

A potem, właśnie dziś, oficjalną pocztą nadeszła ostateczna lista młodszych kadetów, którzy przebywali już w obozie, jak również tych, którzy mieli zjawić się dopiero jesienią. W wykazie czerwcowym było wprost w oczy jedno nazwisko: William Hazard II, Lehigh Station, Pensylwania.

To musiał być ktoś z tej rodziny.

Bent z trudem pohamował radość. Obawiał się już, że zgubił ślad Orry'ego Maina i George'a Hazarda. To właśnie dzięki nim i wątpliwościom, które pojawiły się wokół jego osoby, nie awansował tak wysoko i tak szybko, jak powinien. Dlatego

i jeszcze z innych powodów nienawdził ich obu. A teraz nadeszła chwila, kiedy będzie mógł się zemścić — choćby na członkach ich rodzin.

Na krawędź biurka wpełzła mała, włochata gąsienica i poczęła przesuwać się w stronę akt, które dopiero co zamknął. Bent, rozmyślając o swoich przeciwnikach, przypomniał sobie ich przezwiska. Ciekawe, czy Tyczka i Pniak pamiętają jeszcze o obietnicy, którą złożył wtedy, dziesięć lat temu? Jeżeli nie, to tym lepiej, gdyż dyskrecja i zaskoczenie okazywały się *zawsze* niezwykle cenne w czasie wszelkiego rodzaju kampanii: wojskowych i prywatnych.

Kapitan Bent? — rozległ się z sąsiedniego pomieszczenia głos generała-adiutanta. — Proszę do mnie na chwilę.

— Już idę, sir.

Elkanah Bent ociężale wstał z krzesła, postąpił krok do przodu, zatrzymał się, wyciągnął rękę i z całej siły kciukiem przycisnął gąsienicę do blatu biurka. Dopiero kiedy była martwa i zmiotł ją na podłogę, ruszył dalej, aby stawić się na wezwanie.

